

Igor Newerly

Wzgórze Błękitnego

Snu

DO TAJGI NA WIECZNE OSIEDLENIE

...To, zdaje się, Nercza. Jeszcze lód idzie, chociaż już koniec kwietnia. Dopływ dopływu, wpada do Szyłki, Szyłka do Amuru... Tam gdzieś nad Szyłką czy Ononem w jurcie jakiejś urodził się Czyngis-chan... Już pierwsze domki. Witaj, stolico katorżniczego kraju! Nerczyńsk... Tak wygląda miasto, które śle karawany złota z Kary i srebra z Akatuja? Rozlaźle i nieruchawe rozsiało się w kotlinie swojej rzeczki, wszystkimi ulicami na przestrzał. Oto biała cerkiew, kilka murowanych budynków, bank, progimnazjum, kramy, sklepy, park miejski... Wszystko w morzu drewnianych domków parterowych, sadków, ogródków, płotków... Studnie uliczne, nie wszystkie ulice brukowane, kurz wzniecamy za sobą jak dymną zasłonę, chodniki drewniane... I oto koniec miasta, znów przed nami goły trakt. A gdzież ten pałac, o którym opowiadał Gawryłow, pałac z ubiegłego wieku, jakiegoś milionera Butina czy Putina? Takiego pałacu, mówił, nie powstydziliby się i Petersburg. Wspaniałe sale, rzeźby z marmuru, kandelabry z brązu, perskie dywany, stylowe meble, na galerii instrument muzyczny rozmiarów organów kościelnych... Biblioteka, oranżeria pełna palm i podzwrotnikowych roślin, muzeum syberyjskich rud i kamieni. I jeszcze lustro. Największe lustro na świecie, które Putin czy Butin kupił na międzynarodowej wystawie w

Paryżu w 1878 roku i przewiózł morzem do Nikołajewska, a później na specjalnie zbudowanym statku po Amurze i Szyłce do Nerczyńska... Gdzie to wszystko? Przegapiłem czy pałac spłonął?

Konie z ogłuszającym łomotem wleciały na kawałek wymoszczonej jezdni przy dworcu i stanęły.

– *Nu wot*, wysiadka – powiedział żandarm.

Wysiadł, Dwaj chłopcy, grający przy dworcu w „kozny”, spojrzeli i zastygli z wyrazem najwyższego zdumienia, ściskając w rękę świńskie kości. Pewnie nie widzieli takiego...

Żandarm wszedł po stopniach dworca do oszklonych drzwi, on za nim, i kiedy ujrzał w lustrzanej szybie swe odbicie, to mimo woli sam się zdumiał, co za elegancki pan! Spod szerokiego randa, nie jakiejś tam szlapy, lecz oryginalnego włoskiego borsalino, spoglądały nań z wychudłej twarzy oczy obce i mroczne. Płaszcz *demi-saison* z najlepszego łódzkiego szewiotu w kolorze perłowym, po krawiecku mówiąc, rybiej skórki, z aksamitnym kołnierzykiem w nieco ciemniejszym odcieniu – leżał jak ulał. Widziało się jeszcze spodnie garnituru w tym samym stalowoszarym kolorze i szare lakierki... Hrabia galicyjski, pomyślał obojętnie jak o mijanym przechodniu.

W restauracyjnej poczekalni bufetowy i kelner wybałuszyli oczy, a miejscowy numerowy, posilający się przy oknie, dyskretnie schował talerz za siebie. Sala była pustawa, tylko nad szklanką herbaty siedział jeden wojskowy.

Odwrócił się do nich i wtedy oni go poznali: Czybisow, Piotr Kapitonowicz, porucznik *konwojnej komandy*. Żandarm stuknął obcasami i wziął pod *kozyriok*:

– Zdrawia żelajem waszemu, błagorodiu!

– *Zdarowo*, Bojarszynow... Skąd i dokąd?

– Z Akatuja wiozę zwolnionego na wieczne osiedlenie.

– Tak? A czy po drodze będziesz miał jakieś miasto?

– Nikak niet, wasze błagorodie.

– To jakże ty go wieziesz w takim stanie? W takiej maskaradzie do lasu?

– A bo to chodź z nim po mieście... On trzy godziny będzie kupował, bo nic nie ma...

To on znalazł sposobność, by się wtrącić:

– Pozwolicie wyjaśnić?

Bystre oczy obrzuciły go przenikliwym spojrzeniem.

– Mów. Pamiętam ciebie. Cztery lata temu zdałem ciebie z konwojem w Czycie.

– Tak jest. A teraz wychodzę z katorgi. Mijamy Nerczyńsk, ostatnie miasto, więc proszę wachmistrza, by pozwolił mnie porobić tu zakupy, taka, zdawałoby się, uzasadniona prośba... Przecież wiezie mnie na wieczne osiedlenie!

Porucznik niespiesznie pomieszał herbatę łyżeczką, odpił.

– Wiesz co, Bojarszynow, ja bym go puścił, przecież nie ucieknie. Pociąg za cztery godziny. Masz tu kogo znajomego?

– Melduję posłusznie, tu w domku przy dworcu mieszka *untier* jeden, wojnę japońską przerobiliśmy razem.

– To idź do niego, nie będzie się tobie nudziło. A on tymczasem pochodzi po mieście, zakupi, co trzeba, i co najważniejsze, niech poczuje smak wolności, bo przy tobie on tego nie poczuje... Ot, i regulamin w porządku, i człowiek nie doznał poniewierki.

W tym był cały Czybisow. Nikt u niego nie uciekł, ale każdy miał co należy i nikt obity nie był przez te dwadzieścia lat, kiedy on prowadził konwoje z Moskwy do Irkucka i Czyty, posiwał przy tym, żelazny porucznik. Za to syn jego uczy się w omskim korpusie kadetów, może już skończył, oficer...

– *Nu*, jak pan porucznik rozkazuje...

– Ja tobie nie rozkazuję, Bojarszynow, ja tylko tak myślę.

– W takim razie, teraz jest – żandarm wyjął swoją cebulę, otworzył – teraz jest kwadrans po dwunastej. Kwadrans po trzeciej żebyś tu był punktualnie!

– Będę niezawodnie – przyrzekł i uklonił się porucznikowi. – Dziękuję za pańską uprzejmość.

Rześkie powietrze przedwiośnia owiało go, gdy w chwilę potem stanął na stopniach dworca. Był koniec kwietnia, ale od rzeki ciągnęło chłodem, siedł jeszcze lód, ale od góry słońce przypiekało i nagrzana ziemia parowała ciepłem zbudzonych zapachów. Stał sam, nie mogąc się oswoić z myślą, że jest sam, bez konwojentów i dozorców,

bez kajdan i towarzyszy. Może iść, dokąd chce, i kupować, co tylko zechce, ma na to warszawski portfel z monogramem, wypchany banknotami, dar pani Stefanii. Chłopcy wciąż stali przy nim bojąc się ruszyć, by nie spłoszyć pana z dalekiego świata, w ubraniu, jakiego nikt tu nie widział, wielkiego pana, który wszystko może...

Podszedł do powozu, konie jadły obrok.

– Wracacie teraz przez Nerczyńsk?

– Tak jest.

– To możecie mnie podwieźć? Wsiądę w Nerczyńsku.

Pojechali. Przebyli tę drogę, chyba pięć wiorst do miasta. Zauważywszy szyld trafiki, Bronisław kazał stanąć, dał woźnicy rubla i pożegnał się z nim.

Kiedy powóz ruszył, zeskoczyli chłopcy, uczepieni z tyłu.

– A wy tu po co?

– Żeby popatrzeć...

– Na co popatrzeć?

– Co pan będzie robił...

Byli jednego wzrostu i jednej twarzy, nie do odróżnienia, bliźniaki. Z oczu im patrzyła niepoohamowana, dziecięca ciekawość.

– Ojciec wasz pracuje na kolei?

– Na dworcu jest kasjerem! Mieszkamy obok w rządowym mieszkaniu.

– A jak się nazywacie?

– Grisza i Misza.

- Który z was starszy?
- Obaj starsi!
- Więc macie po pół rubla i wracajcie do domu!

Dał każdemu z nich po monecie i ruszył z powrotem do sklepu, który przejechali. Nieliczni przechodnie na drewnianym chodniku zatrzymywali się i oglądali, jedna dziewczyna na jego widok stanęła jak wryta – wyminął ją, z gracją uchyliwszy borsalino, i wszedł do trafiki, rzuciwszy okiem na szyld: Piotr Gosudarew.

– Czym mogę panu służyć? – zapytał właściciel w średnim wieku, łysawy, w miarę otyły.

– Chciałbym zaopatrzyć się w tytoń. Messaksudi fajkowy, proszę.

– Nie mam krymskich. Messaksudi to rzadki tytoń. Mogę polecić doński Asmołowa, moskiewski dukat albo gabaj, dobry jest fajkowy mandżurski.

– To proszę Asmołowa. Piętnaście funtów.

– Co, proszę?!

– Powtarzam, muszę zaopatrzyć się w tytoń, bo tam, dokąd jadę, nie mają tytoniu.

– Ale piętnaście funtów Asmołowa ja nie mam! Najwyżej pięć.

– To daj pan pięć funtów Asmołowa i dziesięć dukata.

– Moment! – kupiec majtnął się do magazynu za przepierzeniem i położył na ladzie pięć funtów, majtnął się drugi raz po dziesięć – ruchy miał błyskawiczne, dostał wigoru, poczuwszy klienta. – Co by jeszcze wielmożny pan

sobie życzył?

– Fajkę.

– Proszę..

Otworzył gablotę. Było w niej kilkanaście przeróżnych fajek, ale jedna mu się szczególnie spodobała: nieduża fajeczka, ponętnie wygięta w dół, ustnik koloru miodowego, a drzewo nie znane, misternie rzeźbione... Taka fajeczka może być zaufana w samotności.

– Ustnik oryginalny jantar, a drzewo mandzurska aralia.

– Biorę. Pan pozwoli tego tytoniu na próbę...

Nałożył fajkę. Zapalił... Mój Boże, ileż to lat? Cztery lata pięć miesięcy palił w najlepszym razie machorkę, a to i korę z zielskiem, i marzył o czymś takim!

– No jak?

– I owszem... Może pan pozwoli od razu i kapciuch do niego, i dwie paczki zapalek. Pewniejsze byłoby krzesiwo z hubką.

– Święta racja! I to ja mam. Dla myśliwych, gdy idą do tajgi, i dla Mongołów.

Położył na ladzie krzemień, krzesiwo z hubką i stał wyczekująco, podany nieco naprzód, z lekko przechyloną głową. Bronisławowi zdawało się, że słyszy merdanie ogonkiem.

– Koperty, znaczki pocztowe i parę ołówków chemicznych i zwykłych... Jeszcze notes i gruby brulion. Stalówki, obsadka i atrament. To wszystko. Przydałaby się jeszcze walizka, ale pan chyba nie ma.

– Istotnie, to nie moja branża. Mam walizę, w której wożę towar, ale gdzieżbym ja śmiał taką proponować panu!

– A niech no pan pokaże.

Ten znów szurnął do magazynu i wrócił z ogromną walizą. Rzeczywiście nie była pierwszej świeżości, stareńka, ale mocna i pakowna, trupa by w niej można było przeszwarcować.

– Wezmę. A pan kupi sobie nową. Pięć rubli wystarczy?

– A co też pan, uchowaj Boże... Waliza gratis! Gestem dłoni odpychał pokusę i ofiarowywał dar.

– Dobrze, dobrze, niech pan policzy, ile razem?

Ten usiadł, wciągnął głęboki oddech i przejaśniony przystąpił do rachunku jak do sakramentu. Bronisław tymczasem pakował nabyte rzeczy do walizy.

– Dwadzieścia osiem rubelków siedemdziesiąt pięć kopiejek.

– Czyli razem trzydzieści trzy ruble siedemdziesiąt pięć kopiejek... Proszę.

Podał mu banknot pięćdziesięciurublowy. Kupiec zrobił postną minę.

– Niestety, nie mam reszty... Będę musiał skoczyć do sąsiada, może on ma większy utarg... Pan zaczeka.

– A jaki sklep ma sąsiad?

– Towary mieszane, wszystko, co dla domu, i takie tam różności.

– A to dobrze się składa. Pójdę z panem, kupię co nieco.

– Ależ proszę bardzo, proszę...

Z lekkim wyprzedzeniem szedł przed nim kawałek ulicą – prowadził klienta, jakiego klienta! Już w progu ciemnego sklepu wołał:

– Wasyl Niłycz, masz pan kupca!

Od kantorku na powitanie ich podniosła się wysoka postać w czarnej surducinie, szczelnie opięta, schludna, z końską szczęką i rzadkim kosmykiem zaczesanym z prawa na lewo, włosy te niegdyś były ryże, ale zdążyły się wybielić.

– *Dobro pożałowat'* – kłaniał się kupiec i zapraszał do środka dostojnego gościa.

Bronisław rozejrzał się. Sklep był nieduży, ale zavalony towarem: na półkach stały garnki i statki kuchenne emaliowane, miedziane i z lanego żelaza, talerze, szklanki, filiżanki, dalej przeróżne noże, narzędzia wszelkie aż do brzytew.

– To pan, widzę, całą ekspedycję mógłby zaopatrzyć we wszystko... Ja potrzebuję paru rzeczy. Nieduży saganek, patelnię, imbryk i czajniczek.

Kupiec podawał, Bronisław wybierał. Poza tym wziął talerze emaliowane, płytki i głęboki.

– Jeden komplet? – zdziwił się kupiec.

Rzeczywiście, pomyślał Bronisław, dlaczego jeden? Przecież może ktoś zawitać do mnie, jakiś gość... I zdecydował:

– Dwa komplety talerzy i sztucców... Prócz tego scyzoryk i nóż.

Wybrał duży scyzoryk o dwóch nożach, z szydłem,

śrubokrętem, pilnikiem i piłeczką. A nóż podobał mu się jeden – siedmiocalowy, obosieczny, w skórzanej pochwie, poręczny nóż tajgowy.

Wodząc spojrzeniem po półkach za czymś do picia, nie szklanką, nie filiżanką, ale czymś nie tłukącym się, natrafił na dwa dziwne kubki. Tkwiły wśród garnków jak egzotyczne kwiaty, jak barwne motyle.

Wziął do ręki. Ciężkie. Jak z kamienia. Zasadniczo kolor zielony, ale od góry przechodził w odcień oranżowy i bury. Na wzburzonej fali widać białą smugę i kształt jakiś... Podszedł do okna, bo w sklepie było ciemnawo. Teraz widział: rzeźbiarz pomógł naturze, jedno – dwa cięcia, z białej fali wyłania się postać mężczyzny, wyciąga ręce po ratunek...

– Jaspis – powiedział znacząco kupiec. – To *kustarnik* jeden, były katorżnik, włóczy się po górach, zbiera kamienie i obrabia. Amatorska rzecz.

– Nie tłukące się?

– Bez obawy, może pan rzucić o podłogę.

– To biorę.

– Niestety, jednego kubka sprzedać nie mogę. One są nierozłączne. Pan zobaczy.

Podał drugi kubek. Identyczny. Ta sama wzburzona zieleń i biała rozpryskująca się fala bije o brzeg, tylko na brzegu stoi kobieta i wyciąga ramiona po tonącego mężczyznę na pierwszym kubku.

– Ten rzeźbiarz banalną scenką popsuł piękny kamień.

Ale kubek jest dobry. Nie parzy, nie tłucze się. Wezmę oba.

– Trudno – usprawiedliwiał się kupiec – on to robi dla narzeczonych, dla małżeńskiej pary. Ludzie biorą.

Bronisław wybrał jeszcze brzytwę, pędzel z borsuka, parę cylinderek mydła do golenia, lusterko i szeroki mocny pas z wiązki rzemieni wiszących w kącie.

– Ile płacę?

Kupiec policzył.

– Dwadzieścia osiem rubli pięćdziesiąt kopiejek.

– Pan wyda mi resztę z pięćdziesięciu rubli – dwadzieścia jeden rubli pięćdziesiąt kopiejek. A sąsiadowi rozmieni pan pięćdziesiąt rubli tak, żeby dla mnie było szesnaście rubli dwadzieścia pięć kopiejek.

Spakował rzeczy do walizy.

– Proszę panów, gdzie tu jest sklep z bielizną męską?

Kupiec zastanowił się.

– Takiego sklepu w naszym mieście w ogóle nie ma.

– No jakże – wtrącił się żywo łysawy właściciel trafiki – a Wałujewa?

– Prawda, Wałujewa... Jest wdowa, co z córką prowadzi pracownię bielizny damskiej i męskiej. Piękna robota, a ceny przystępne... O, tu za rogiem na prawo, trzeci dom.

Bronisław podziękował, pożegnał się z jednym i drugim i wyszedł.

Chłopcy sprzed dworca wciąż stali, ale teraz przyłączyło się do nich jeszcze trzech z tornistrami, prawdopodobnie ze szkoły.

Bronisław szybko wyminął tę gromadkę i podążył we wskazanym kierunku.

Przed parterowym domkiem, malowanym ochrą, przystanął, obejrzał oba okna wystawy i popchnął drzwi. Na dźwięk dzwoneczka z sąsiedniego pokoju wyjrzała dziewczyna. Przywitał się, ona odpowiedziała i oboje zamilkli. Ona milczała z zaskoczenia – nigdy nie widziała tak wytwornego pana. A on z powodu jej bliskości, przeszło cztery lata oglądał kobiety w snach tylko, w marzeniach o nich.

– Proszę, pani, czy znalazłaby pani dla mnie sześć nocnych koszul?

Skinęła głową i zaczęła podawać.

– A dzieńne też by się znalazły?

– Jaki rozmiar?

– Co proszę?

– Obwód szyi proszę podać.

– Ach, szyi... Nie wiem, nie pamiętam.

– To muszę zmierzyć. Pan się pochyli ku mnie.

Wyciągnęła ramiona i zarzuciła jak stryczek centymetr... Dreszcz go przeszedł od dotknięcia ciepłych paluszków.

– Czterdzieści jeden. Zaraz poszukam.

Znalazła i rozrzuciła na ladzie. Bronisław wybrał cztery lniane koszule do pracy i dwie świąteczne z popeliny, jedną czerwoną, drugą lila.

– A kalesony?

Znalazła i kalesony.

– To ile jestem pani winien?

Zaczęła liczyć, ale co i raz to zerkała na niego.

– Pan to musi być z dalekich stron...

– Z Warszawy, proszę pani. Wie pani – Warszawa, stolica Polski, Priwiślańskiego Kraju...

– Wiem. Mój dziadek opowiadał. Bo dziadek, ojciec mamy, pochodził z Akatuja i w młodości pracował w mydlarni u Polaka jednego. Wysocki się nazywał.

– Z powstania listopadowego?

– Nie pamiętam miesiąca i roku. Chyba w listopadzie to było. Wielkie wybuchło powstanie i ten Wysocki zdobył pałac carski... Wiele dobrego opowiadał o nim dziadek, bo u niego nauczył się czytać i pisać, to był szlachetny człowiek, a na mydełkach swoich stawiał stempel Piotr Wysocki.

– Pani się myli. Wysocki był bardzo skromny i mydła znaczył tylko inicjałami P. i W. To tak wyglądało. Pani pozwoli...

Wziął ołówek, którym ona robiła rachunek, i narysował prostokąt, a w nim P.W. i miejscowość Akatuj. Odkładając, spojrział na nią. Dziewczyna stała blada i patrzyła na jego ręce. Na czarne, sponiewierane ręce, na których praca przy taczce i piecach płomienistych, grynszpan i siarczek rtęciowy świadczyły ranami i wrzodami, że to ręce katorżnika.

– Pan też... z Akatuja?

– Tak, byłem w Akatuju.

– A teraz wraca pan do swoich, do Warszawy?

– Nie, jadę na wieczne osiedlenie do tajgi.

– W tym ubraniu?

– W tym ubraniu ja byłem hrabią w Warszawie przez jeden dzień. Tak mnie wzięli i po katordze z powrotem ubrali. Teraz żandarm puścił na zakupy... To ileż ja jestem pani winien?

Ołówek drżał jej w palcach i rzęsy trzepotały, była samą rozpaczą i zmieszaniem.

– Ja nie wiem... Mama wyszła, to mamy towar.

Miłe dziecko, towar mamy, a ona nie może brać pieniędzy od katorżnika – jak każda Rosjanka, lituje się nad *nieszczęsnym*.

Wyjął portfel.

– Widzi pani? Mam pieniądze.

– Ale wszystko jedno... Żeby to było moje, to...
Chwileczkę!

Przypomniawszy, widać, sobie coś, wybiegła do sąsiedniego pokoju. Po chwili wyszła, niosąc na rękach jak tacę prześliczną koszulę z seledynowego jedwabiu, bogato haftowaną krzyżykowym ściegiem.

– To moje, moja robota... Pan przyjmie to ode mnie, błagam!

– Dobrze, ale pani przyjmie, ile się ode mnie należy. – Zajrzał do jej podsumowania. – Dwadzieścia cztery ruble. Proszę. I z całego serca dziękuję.

Położył na kantorku i zaczął przekładać bieliznę do walizy. Ona mu pomagała. Milczenie ciążyło.

– Muszę jeszcze zajrzeć do paru sklepów i do apteki. A żandarm na dworcu czeka... No, na pożegnanie! – wyciągnął do niej rękę.

Ufnie położyła mu swe drobne, białe dłonie w jego okropne katorżnicze ręce. Chwilę trzymał je przed sobą żegnając się, takich rąk, takiej dziewczyny nie spotka chyba w tajdze, potem przylgnął ustami: – Nie zapomnę, długo, długo będę pamiętał...

– *Hospod' z wami*, będę się modliła za was!

Zatrzasnąwszy drzwi za sobą, stanął nagle wobec kilkunastu osób, które czekały na niego. Prócz chłopców sprzed dworca i uczniów byli tu ludzie dojrzały i zupełnie starzy. Wszyscy wpatrywali się w niego z nadzieją, spodziewając się czegoś.

– Niech Pan Bóg błogosławi cię, miłościwcze! – zagłosiła jakaś salopka.

– Ja chciałbym na osobności o nadużyciach w Zakładach Nerczyńskich – powiedział wysoki w wytartej bobrowej czapce.

– Ja również. Kulusznikow jestem, *koleżski registrator* – przedstawił się sadlisty z buraczanym nosem.

Ktoś zaczął wyluszczać mu swoją sprawę, kto inny pchał mu do ręki podanie, tamta błagała o wsparcie... Bronisław zrozumiał. A więc wzięli go za kogoś z Irkucka czy Petersburga, za kogoś ważnego, za pełnomocnika tajnego... Katastrofa. Niech no stójkowy zobaczy to zbiegowisko, będzie cyrkuł, koza, badanie. Jeśli nawet okaże

się, że on tu *ni pri czom*, to i tak na pociąg nie zdąży. Bojarszynow!

Zerwał z głowy kapelusz i podniósł do góry. Uciszyło się.

– Nie tu i nie teraz! – zakrzyknął wodząc po nich gniewnym okiem. – Nie psuć mi roboty, rozumiano? *Razojtis'!*

Tłumek cofnął się, zaszeptał, pan się gniewa, nie tu i nie teraz, nie przeszkadzać, rozejść się,.. Zaczął z wolna rozłazić się na boki.

Bronisław ruszył ostrym krokiem w przeciwną stronę. Usłyszał za sobą dworcowych chłopaków, dreptali za nim. Nie bali się go, był dobry dla nich, dał im po pół rubla.

Przystanął.

– Chłopcy, gdzie tu można wszystko kupić, ubranie, buty, czapkę i przebrać się?

– O, to tylko u Szczukina!

– A gdzie on jest?

– Zaprowadzimy. To na rynku, niedaleko...

Wyprowadzili z tej wąskiej uliczki na szerszą, potem na zupełnie szeroką i w końcu na rynek, który przecięli na ukos pokazując:

– O, widzi pan ten sklep!

Sklep był. duży, o czterech oknach. Przed sklepem wysoki pan w sfatygowanej czapie bobrowej i ten sadlisty Kolusznikow żywo opowiadali coś komuś w palcie z gołą głową, pewnie właścicielowi. Zdążyli już przybiec. Na jego

widok rozstąpili się, właściciel cofnął się i Bronisław wszedł do sklepu.

Właściciel – dość przystojny, w średnim wieku, ubrany z europejska, nie bez pretensji do pewnej elegancji – zdawał się reprezentować ten rzadki na Syberii typ człowieka handlowej natury, człowieka nowszych czasów, z odczytaniem, znajomością świata i potrzebą poobiedniej lektury zamiast drzemki. Na pytanie Bronisława, czy znajdzie u niego komplet odzieży zwykłej i czy będzie mógł się przebrać, odpowiedział z godnością:

– Jeśli u mnie pan czegoś nie znajdzie, to nie ma tego w naszym mieście.

Hala była czterookienna i cały wystrój sklepu zdawał się potwierdzać zdanie właściciela.

Bronisław wybrał garnitur świąteczny z *siniewo bostona*, potem szare ubranie robocze, kamaszki, wysokie buty z cholewami, na zimę *unty*^{*1} z dobrze wyprawionego piżmowca skórą na zewnątrz, pięknie haftowane czerwoną nicią; nieprzemakalny płaszcz z grubej impregnowanej tkaniny, sobolowy *małachaj* z długimi, zwisającymi na pierś nausznikami i czapkę podobną do kaszkietu. A przebierając w tym wszystkim, zerkał na słup pośrodku sali, gdzie wisiała burka, raz ręką dotknął, pomacał jakoś owczej wełny. Właściciel to zauważył.

– To burka rotmistrza Abdułdurchmanowa z Dagestanu.

1*

Unty – buty zimowe.

Pół roku temu zginął w pościgu za zbiegłą szajką katorżników, może pan słyszał... Wdowa po znajomości wystawiła na sprzedaż. Czterdzieści rubli.

– Dobra cena.

– Ale i rzecz dobra. Proszę spojrzeć.

Zdjął burkę z wieszaka, obrócił w powietrzu, by połyskliwa czerń płaszczu spływała w dół jak dzwon.

– Widzi pan? W plecach tak mocna, że i w powietrzu trzyma się prosto, ale jest miękka i ciepła, sięga do kostek i jeźdźca otula z koniem. Koniowi też ciepło. Jeździec może się zapiąć szczelnie, bo na bokach ma nieduże rozcięcia, żeby wystawiwszy dłonie mógł powodować koniem. I zważ pan, że wyłogi, srebrem lamowane, nic a nic nie szerniały, najlepszy dowód, że jest całkiem nowa.

– Kupię ją, jeśli pan kupi moje ubranie.

– Co pan ma na myśli?

– To wszystko: kapelusz, płaszcz, garnitur i lakierki...

Ile pan daje?

– Czterdzieści rubli – palnął kupiec.

Bronisław zmierzył go wzrokiem i zdjął kapelusz.

– Pan mnie obraził. Ten kapelusz, pan widzi napis Roma i nazwisko Borsalino, pochodzi z Wiecznego Miasta i kosztował mnie trzydzieści rubli. Ten płaszcz – zdjął płaszcz – szył na miarę najlepszy warszawski krawiec, oto jego metka, Władysław Zaremba, Warszawa, tak samo jak i ubranie. Te lakierki – stając na prawej nodze, zdjął pantofel z lewej – te lakierki pochodzą z pracowni Hiszpańskiego, nie

jakiegoś tam szewca moczymordy, proszę spojrzeć, wcale świeży stempel złoty – Hiszpański, Warszawa. Zatrudnia on trzydziestu wykwalifikowanych majstrów i potrafi obuć całą naszą arystokrację i modny świat. Czy pan widział kiedyś takie lakierki, szare lakierki? Miałem możność podziwiać inteligencję Hiszpańskiego na pokładzie „Taurydy”, gdy wybrał się na wczasy do Egiptu... I za to wszystko, za takie dzieła sztuki, pan śmie proponować mi czterdzieści rubli? Stracił pan okazję być najmodniej ubranym człowiekiem na Syberii... Ile?

– Sto.

– Ja nie pytam o to, ile pan mi daje, ale ile ja płacę.

– Pan niepotrzebnie się obraża. W handlu tak nie można. Ja naprawdę chcę kupić.

– Pewnie. Byłoby na pana w sam raz. Ten sam wzrost, ta sama objętość piersi... Trudno. Ile płacę?

– Sto dwadzieścia.

– Posłuchaj pan. W Warszawie ja dałem za to wszystko dwieście czterdzieści rubli, a pan wciąż proponujesz humorystyczne ceny.

– Proszę pana, ostatnia moja oferta – sto osiemdziesiąt.

– A moja ostatnia – dwieście... Dwieście albo do widzenia – otworzył walizę.

– Ale uparty z pana człowiek... No dobrze już. Dwieście. Burka pańska... Ławrientij, na ile pan wybrał?

– Na dziewięćdziesiąt siedem rubli czterdzieści kopiejek
– odpowiedział subiekt.

– Zatem należy się panu – przytknął na liczydłach – sześćdziesiąt dwa ruble sześćdziesiąt kopiejek. Uprzejmie służę.

Bronisław schował do kieszeni.

– Czy mógłbym gdzieś się tu przebrać?

– A właśnie do tego celu trzymamy parawanik... Ławrientij, obsłuż pana.

Za parawanem włożył czarne kamaszki, granatowy garnitur, czapkę-kaszkiot i narzucił na ramiona burkę. Wyszedł odmieniony nie do poznania. Żegnając się z kupcem, pomyślał: on dopiero teraz uwierzy, że jestem w tajnej misji...

Na dworcu chłopcy doskoczyli gotowi do dalszych usług, ale z boku dopadli go dwaj petenci, ten w wytartej czapce bobrowej i Kolusznikow. Bronisław postawił walizę na ziemi, wziął jednego i drugiego pod ramię, o mało nie stuknął ich łbami.

– Moim człowiekiem w Nerczyńsku jest Gosudarew, trafikant – powiedział dobitnym szeptem. – Umówcie się ze mną przez Gosudarewa, ale nie włączcie mi w paradę na oczach całego miasta.

Puścił ich, podniósł walizę i ruszył dalej.

– Prowadźcie do sklepu żywnościowego, żeby tam wszystko można było dostać do żarcia i picia.

Zaprowadzili. Tu kupił pięć funtów herbaty Kuzniecowa w blaszanych pudełkach w kształcie kuferków, pięć funtów herbaty Braci Popowych w woskowo-papierowym

opakowaniu, owiniętych ołowianą folią, i pięć cegiełek prasowanego *kirpicznego czaju*, na poczęstunek. Sześć butelek smirnówki na nowoosiedliny. Cukier w kostkach... Szynka, polędwica, boczek i moskiewska kielbasa. Ryż, kasza, groch, makaron. Pudełko cukierków dla dzieci i bochen pysznego białego pieczywa syberyjskiego.

Na ulicy poczuł, że walizę z trudem dźwiga. Osłabłem, pomyślał, rany pewnie znów się otworzyły...

– Chłopaki, czy chcecie znów dostać po pół rubla?

– Ojej, *diadieńka*, kto by nie chciał!

– To znajdźcie mi bryczkę, z końmi oczywiście. Wiecie, kto tu ma bryczkę?

– Filimonow!

– To niech zaraz zakłada i zajeżdża przed pocztę. Ja będę na poczcie. Dostanie trzy ruble.

– Za trzy ruble to on w nocy pojedzie na Szyłkę!

Chłopcy pomknęli. Stał chwilę, odsapnął i ruszył dalej. Po drodze zobaczył aptekę, wszedł.

Stary farmaceuta tłumaczył właśnie starowinie, w której butelce do nacierania, a w której wewnętrzne, jak i po ile... Kiedy odeszła, spojrzął ponad niklowymi okularami:

– A co panu dolega?

– Poproszę maść na rany.

– Musiałbym obejrzeć.

Bronisław odwinął nogawki spodni, pokazał czarne pierścienie wokół kostek po kajdanach. Łydka była opuchnięta. Magister nacisnął palcem, został dołek. Powyżej

obrząk przechodził w puchlinę, z której gdzieś się sączyła ciecz.

– Długo pan nosił kajdany?

– Cztery lata.

– A teraz pana zwolnili?

– Na wieczne osiedlenie.

– W samą porę zwolnili, dostał pan flegmony. Ta choroba sama przejdzie od dobrego odżywiania się. Jedz pan dużo jabłek, czosnku, w tajdze *czeremszy*^{*}, masła, mięsa.., Ile lat pan sobie liczysz?

– Dwadzieścia siedem.

– Gdzie pana osiedlają?

– Dokładnie nie wiem. Żandarm powiada, że ma mnie dostarczyć do wioski Stare Czumy.

Magister popatrzył na młodą, urodziwą twarz – zadupie jakieś, same Tunguzki czy Buriatki, co druga zarażona...

– No cóż, młody człowieku, dam panu maść, wieczorem na noc będziesz smarować czas jakiś... I jeszcze dam dobry środek na możliwe dolegliwości.

– Ile jestem panu winien?

– Ja też byłem na zesłaniu, teraz tu się osiedliłem, nie ma o czym mówić.

Zapakował maść i wręczył wraz z banknotem dwudziestorublowym:

– A to na drogę.

* Czeremsza – dziki czosnek.

– Za maść, za dobrą radę ćwiekuję, ale to, to nie... Mam pieniądze.

– No, to szczęść Boże...

Teraz została tylko poczta. Nie było czasu do stracenia, spojrzął na zegarek – pół do trzeciej. Pchnął drzwi, postawił walizę przy stoliku, włożył paczuszkę z maścią do środka, wyjął koperty, omiatając spojrzeniem całe wnętrze poczty, gdzie przy okienku znajdował się jeden młody urzędnik. Wszystko robił szybko, dokładnie, z bezwiedną precyzją, jak za dawnych lat, gdy szedł na akt.

Zanurzył pióro w atramencie, ale zamiast atramentu wyciągnął jakąś maź, a pióro było złamane. Odrzucił i chciał sięgnąć po ołówek chemiczny, ale młody urzędnik obserwując go zza okienka, powiedział „Chwileczkę!” i położył przed nim dobre pióro z pełnym kałamarzem. Podziękował mu skinieniem głowy i zabrał się do pisania swym pięknym kaligraficznym pismem.

„Nerczyńsk, 25 kwietnia 1910 roku.

Droga Pani Stefanio!

Jak Pani widzi, piszę z Nerczyńska, gdzie jestem przejazdem w drodze do tajgi. Katorgę mimo wszystko przetrzymałem. Nawiasem mówiąc, jest to ostatni rok katorgi w Akatju: w przyszłym roku będzie tu więzienie żeńskie, już zaczęły się remonty. Pragnę podziękować za te podkajdanki, które otrzymałem od Pani w dniu wyruszenia z Warszawy. Nie ma Pani pojęcia, ile bez nich człowiek nacierpi się i jak poodbija sobie kostki u nóg. Ja to odczułem

dopiero pod koniec, gdy pot, brud i kwasy zżarły do szczętu podkajdanki. I jeszcze raz dziękuję serdecznie za hojny dar – 200 rubli wręczono mi w dniu opuszczenia zakładu. Dzięki temu czuję się jak burżuj i zaopatrzyłem się we wszystko.

Teraz o najważniejszym. Droga Pani Stefanio, Pani jedna nie dała wiary haniebnym pogłoskom i dalej darzyła mnie swoim zaufaniem. Poniżony, napiętnowany, miałem tylko tę otuchę, że jest na świecie ktoś, kto wierzy, że nie obciążylem dwóch powieszonych. Teraz muszę tego dowieść. Nikt nie uwierzy w przypadkową łaskawość wojennego sądu i że generał nade mną się zlitował. Kasprzak śmiercią swoją dowiódł, że nie był prowokatorem. Ja muszę całym swoim życiem. Kiedy po latach ludzie przeczytają, że prowokator Bronisław Najdarowski odbył cztery lata katorgi i wieczne osiedlenie, zmarłszy w tajdze w Starych Czumach, wtedy mimowolnie zapytają, to jakież to był prowokator?

Raz jeden miałem okazję rozmawiać z Panią. Obraz Pani, Jej uroda, dobroć i dostojeństwo wiecznej żałoby, w czarnej zesłowiecznej sukni do kostek, dla której przyjaciele dali Pani przydomek Markiza, zapadły w duszę głęboko i dziś, gdy żegnam świat, jego uroki i tęsknoty, żegnam w Pani osobie – ave, Markizo, morituri te salutant! – choć wiem, że brzmi to teatralnie i nie w Pani guście.

Oddany Bronisław Najdarowski”.

Włożył do koperty i zaadresował:

„Stefanii Sempołowskiej z listami państwa Zielińskich
Warszawa ul. Wspólnaja 9”.

Zaczął pisać drugi list.

„Nerczyńsk, 25 kwietnia 1910 roku.

Droga Halinko!

Ukończyłem w Irkucku szkołę leśną i zostałem mianowany leśniczym w Starych Czumach, co według tabeli rang Imperium Rosyjskiego odpowiada klasie X, czyli stopniowi porucznika. Pensja sto pięćdziesiąt rubli z dodatkiem dla Wschodniej Syberii podwójnie. Otrzymałem 500 rubli na zagospodarowanie się, kupiłem krowę i dwa konie – nie masz pojęcia, jaka tanizna tu, za te trzy bydłaki dałem 65 rubli! Deputatu mam 15 dziesięcin... – przekreślił 15, napisał 30, niech się biedula cieszy, a ten skurwysyn, szwagier, zzielenieje z zawiści, nie cierpiał go, inaczej o nim nie mówił, jak ten bandyta z «Proletariatu», zabronił siostrze odezwać się do brata, kiedy go aresztowano, kiedy oczekiwał wyroku śmierci, bał się kontaktów, bał się tego, że się wyda, że ma szwagra katorżnika, on kasjer kolei warszawsko-wiedeńskiej, gnida kolejowa... – Rozglądam się teraz za narzeczoną, bo samemu nie sposób prowadzić tak duże gospodarstwo i w ogóle kawaler niewiele osiąga. Mam nawet na widoku dziewczynę, Polkę, jej matka, wdowa, prowadzi pracownię konfekcji damskiej i męskiej, i zdaje się, że jest mi przychylna. W ogóle muszę powiedzieć, że ostatnio szczęście mi dopisuje, czego i Tobie, Siostrzyczko, z całego serca życzę. Tylko że Stare Czumy są tak daleko! To zapadła leśniczówka, czterysta wiorst do najbliższej stacji, więc nie przejmuj się, jeśli listy będą z rzadka przychodziły.

Życzę ci zdrowia i wszelkiej pomyślności, mocno całuję cię i małą Anulę.

Twój brat Bronisław”.

Zaadresował:

„Galinie Edwardownie Galarczyk

Warszawa ul. Krochmalnaja 46 m. 7”.

Podszedł do okienka i podał jako polecone. Zaczekał, aż urzędnik wypisze pokwitowanie. Ale ten skończywszy, zapytał z cicha:

– Macie coś do przekazania towarzyszom?

Bronisław przyjrzał mu się, twarz miał otwartą i śmiało wejrzenie:

– Możecie przekazać towarzyszom polskim z Polskiej Partii „Proletariat”, że Bronisław Najdarowski odbył katorgę w Akatuju i udaje się z żandarmem na wieczne osiedlenie do wioski Stare Czummy w guberni jeniisejskiej.

– Będzie przekazane. Czy towarzysz czego nie potrzebuje?

– Dziękuję, nie. Wszystko mam. Do widzenia.

– Szczęśliwej drogi...

Konie stały. Trójka koni i bryczka na resorach. W biegu podał woźnicy walizkę i zawołał do chłopców:

– Siadajcie, podwiozę... Na dworzec, prędko!

Woźnica ujął lejce:

– Ech, wy orły moje, siwki!

Konie z miejsca ruszyły ostrym klusem, a szły wachlarzowym biegiem: prawy koń trzymał głowę nisko w

prawo dół, lewy koń w lewo dół, a *korennik* niósł głowę prosto i wysoko... Pięknie to wyglądało. Mknęli tak przez pustawę, senne miasto odświetnione z janczarkami jak w karnawałową *maslennicę*.

Na dworcu dał woźnicy trzy ruble, chłopcom po pół rubla, woźnica kłaniał się, chłopcy targnęli łebkami dziękując, wszyscy życzyli mu zdrowia i szczęśliwej drogi. Podbiegł numerowy, chwycił walizę i podniósł, nie poznawszy Bronisława.

Bojarszynowa jeszcze nie było. W restauracji dwóch jadło obiad, dwoje małżeństwa czekało na zamówienie i jeden podróżny drzemał na ławie... Numerowy postawił walizę przed stolikiem, Bronisław płacąc odwrócił się do niego twarzą i wtedy go poznał.

– Ale pan się zmienił! Nie poznałem, proszę wybaczyć.

– Nie szkodzi... Kiedy będzie pociąg?

– A jeszcze, blisko godzinę mamy.

Podszedł kelner i stanął w pozycji wyczekującej.

– Na pierwsze *solanoczka rybna* – bez namysłu zamówił Bronisław.

– Mamy tylko *uchę* i *szczy*.

– To z *uchy* bardzo łatwo zrobić *solanoczku*.

– Pójdę zapytać kucharza, czy się da.

– Da się, da... Jak macie bulion jerszowy.

Kelner odszedł z szacunkiem – smakosz, zna się na kuchni. Bronisław uśmiechnął się – nie znał *solanoczki rybnoj*, nigdy jej nie jadł.

Wyjął fajkę, nabił, zapalił. Aloszka mu się przypomniał, Milioner z przezwiska, może nawet dwa czy trzy miliony miał, tyle statków na Wołdze, a na katordze głodował. Bredził o jedzeniu, co jadał w Petersburgu, a co w Moskwie, w Paryżu i Rzymie, pamięć miał fenomenalną, pamiętał wszystkie odcienie smakowe, upajał się zapachami... A *solanoczku rybnuju* – mówił, i to nieraz – ja ci sam ugotuję. Przyjdiesz do mojego mieszkania na Arbacie. Kucharza zwolnię, włożę fartuch i do roboty. Najpierw będę gotował w lnianym worku *jerszy*. Tymczasem pokroję drobniutko cebulę i zmaceruję ją z masłem i tomatem. Zapachnie rybą. Gdy zrobi się z *jerszy* mocny bulion, wtenczas woreczek wyjmę i do czystego wrzącego bulionu wrzucę moją masę z cebuli, masła i tomatu. Następnie pokroję solone obrane ogórki i też wrzucę. Teraz, mój drogi, na dno rondla będę kładł sparzone kawałki jesiotra, może dodam jeszcze chrząstki, nie wiem, ale na pewno zaprawię przysmakami, kaparami, oliwkami, zaleję to wszystko solanką, pogotuję z kwadrans i podam w głębokim talerzu z cytryną, a ty mi powiesz: „Nigdy w życiu czegoś podobnego nie jadłem!”

– Może być *solanoczka rybnaja*, proszę pana – oznajmił kelner. – Za małe dwadzieścia minut.

– No właśnie, mówiłem.

– A co na drugie?

– Może być szaszłyk?

– Może być... A tymczasem na przekąskę?

– Kawior... I *wodoczki grafinczik*^{*}, tylko dobrej, Smirnowa.

– Według życzenia, panie.

Według życzenia, kawior, wódka, szaszłyk, a wczoraj jeszcze... Stuknął fajką wysypując popiół. Dosyć. Cztery lata na popiół, nie rozpamiętywać, młodość spisana na straty, a teraz odsapka. Odetchnij głęboko i zapamiętaj wszystko, wszystko zapamiętaj po drodze, smak kawioru i *solanoczki rybnoj*, usta dziewczyny pochylonej nad tobą, *Hospod' z wami*, dwóch wesołych chłopaczków, byłeś wielkim panem w małym mieście, złudzeniem, tajną misją, zdobyłeś piękną burkę dagestańską i mknąłeś trójką z janczarkami, wystarczy, to wszystko powinno wystarczyć na długie, długie lata życia na tak zwanej wolności, powolne konanie w Starych Czumach.

– Proszę, kawior i wódka – oznajmił kelner stawiając talerze z kawiosem czerwonym i czarnym oraz butelkę wódki Smirnow, *postawszczik jego wieliczestwa*^{*} kłania się tobie, Bronku – ano, za twój pierwszy dzień wolności, prost!

Z alkoholem i kawiosem spłynęło na niego odprężenie, jak gdyby wszystkie mięśnie i nerwy napięte dotąd rozluźniły się, uspokajały w kojącej błogości... Co ja będę robił w Starych Czumach? Jak to co? Jak tyłu przede mną. Będę

* *Wodoczki grafinczik* – karafka wódki.

* *Postawszczik jego wieliczestwa* – dostawca dworu jego wysokości.

przyglądał się życiu Hakasów, Tunguzów czy Buriatów, będę spisywał ich przeszłość, wierzenia, legendy, napiszę rozprawę jak Sieroszewski „Dwadzieścia lat wśród Hakasów”... Mogę zbierać kamienie i badać góry, jeśli są tam góry, albo zainteresuję się aklimatyzacją zwierząt, jak Dybowski... Mogę zająć się światem motyli i żuczków, latać po łąkach z siateczką, a w długie zimowe wieczory klasyfikować i opisywać. Nie wiem. Czymś podobnym. W każdym razie zbuduję sobie chatę, właściwie mały domek w polskim stylu, kryty gontem, ganeczek z kolumienkami i balaskami, w tym domku to czy tamto będę robił, aż w jakimś roku 1940 napiszą, że tu żył i pracował Bronisław Najdarowski, pierwszy badacz czegoś tam na Syberii, niesłusznie posądzony o prowokację, cześć jego pamięci, amen... Prost!

Znów wypił, zakąsił kawiozem. Poczul lekki rausz – to od tego, że na czczo i od lat nie piłem, a w ogóle słabą mam głowę... Żeby się skupić, zaczął liczyć, ile dzisiaj wydał? Otrzymał od Szczukina sześćdziesiąt dwa ruble sześćdziesiąt kopiejek. Z daru pani Stefanii zostało sześćdziesiąt pięć rubli siedemdziesiąt pięć kopiejek. Powinien mieć teraz sto dwadzieścia osiem rubli trzydzieści pięć kopiejek. Przeliczył w portfelu. Nie zgadzało się...

– Proszę, solanoczka rybna.

Nareszcie można skosztować... Przy solance nie wolno się śpieszyć, mówił Alosza Milioner, najpierw powąchaj, wciągnij ten cały aromat w siebie, niech w tobie wszystko

odmięknie... Wciągnął. W ciepłym parującym zapachu było coś jakby z barszczu ukraińskiego i coś z kuchni węgierskiej, w każdym razie nie ryby. Zaczął jeść. Poczował całą rozkosz podniebienia, delikatny i drażniący smak mięsa rozgotowanego w ostrych przyprawach jesiotra.

Potem był szaszłyk i w połowie różna zjawił się Bojarszynow. Czerwony wrócił, widocznie podjedli sobie i popili niezgorzej z *untierem*. Rozejrzał się. Na sali już było kilka stolików zajętych, nigdzie nie widział popielatego płaszcza ani wspianalego borsalino. Bojarszynow siadł na wprost drzwi. Bronisław dał mu posiedzieć w ten sposób, z oczami utkwionymi w drzwiach, z nogą założoną na nogę, nerwowo podrygującą, aż konduktor u wyjścia na perony obwieścił:

– Skoryj pojezd priamowo soobszczenia Władywostok-Moskwa podojdiet k pierwomu pieronu. Stojanka piatnadcat' minut.

Bojarszynow zerwał się i w tejże chwili Bronisław wstał, wycierając usta serwetą. Podbiegł kelner z rachunkiem 2 ruble 50 kopiejek – Bronisław dał mu trzy i podniósł rękę, że jest obecny...

Bojarszynow rzucił się ku niemu:

– Co ty wyprawiasz? Myślałem, żeś uciekł!

– Ja bym sam dojechał, gdybym znał drogę.

– No, nie bądź taki... – dalsze słowa zagłuszył łoskot nadjeżdżającego pociągu. – Chodźmy.

Bronisław obrócił się za walizą, ale ją miał już

bagażowy. Chciał powiedzieć: „poradzę sobie”, ale pomyślał: niech tam, ostatni raz będę kimś...

Kilkanaście osób wysiadło, kilkanaście wsiadło. Bojarszynow podszedł do konduktora trzeciej klasy:

– Służbowy wolny?

– Wolny.

Przeszli cały wagon, w ostatnim przedziale Bojarszynow wskazał bagażowemu:

– Na górną półkę.

Bagażowy postawił tam walizę. Bronisław dał mu rubla, ten rozpląnął się w podziękowaniach.

– Co tak szastasz rublami? – burknął Bojarszynow. – Przydadzą się na później.

Zdjął szynel, odwiesił. Bronisław zdejmował właśnie burkę.

– Oficerska burka. Gdzieżeś znalazł taką?

Bronisław opowiedział.

– Szczęściarz z ciebie. Burka rotmistrza Abdułdurchmanowa, no-no. Wiesz co, dam ci za nią 45 rubli, zarobisz!

– Nie chodzi o zarobek...

Pociąg ruszył.

Siedli na wprost siebie, popatrzyli w okno, jak mijają budynki i słupy, po czym Bojarszynow odwrócił się do Bronisława:

– A o co chodzi?

Trzeba go albo utemperować, albo oswoić, pomyślał

Bronisław.

– Dawno już chciałem zapytać pana wachmistrza, czy panu sprawia przyjemność ustawicznie mnie poniżać?

– Jak to, poniżać?

– A tym tykaniem. Ty i ty, jakbym ja był od bydła.

– Przecież, regulaminowo!

– Regulaminy są dobre dla dyscypliny w marszu, na etapie dla wielu ludzi, a my dwaj będziemy w podróży wiele dni sam na sam i rozmawiamy prywatnie, więc czy konieczne jest tykanie, przypomnienie, że pan jest panem, a ja chamem!

– Ja tak wcale nie myślałem, tylko jak to na służbie...

– A nie możemy jak ludzie? Ot, siedzimy na wprost siebie, rozmawiamy, nikt nas nie widzi i nie słyszy. Ja nie mam do pana żadnych złości ani pretensji, trudno, taką ma służbę, musi mnie dostarczyć jak towar. Starszawy, wojnę przeżył, ma gdzieś żonę i dzieci, i chce mi się powiedzieć: Danił Pietrowicz, z szacunkiem. Bo słyszałem, jak pana w kancelarii nazywali, prawda?

– Mda, prawda...

– Ale jeśli pan uważa, że jestem zbrodniarzem, wyrodkiem, i nienawidzi mnie, sądzi, że za mało wycierpiałem, dołożyłby mi jeszcze kajdan i taczki, to trudno, tykaj. Zgodnie z regulaminem odpowiadać będę „tak jest, panie wachmistrzu” i *nikak niet*, krótka będzie nasza rozmowa.

Wyciągnął fajkę i kapciuch, zaczął nabijać. Zapanowało milczenie.

– A jak panu na imię?

– Bronisław. A po *otczestwu* Edwardowicz.

– Więc tak, jak nikogo nie ma, to Bronisław Edwardowicz. A na ludziach ty.

– Zgoda... Zapalicie, Daniło Pietrowiczu? Doński, Asmołowa.

– A dawno nie paliłem takiego...

Wyciągnął bibułkę, począł skręcać. Zapalili.

– Dobry, trochę dla mnie za delikatny... To zdążyliście zjeść obiad?

– Zdążyłem. *Solanoczku rybnuju* zamówiłem.

– O, dobra zupa.

– Koleżka jeden przypomniał mi się, Aloszka Milioner.

– Naprawdę milioner?

– No, miał jeden czy dwa miliony, bo odziedziczył po ojcu żeglugę na Wołdze. Dwadzieścia statków na niego pracowało, a on *życie prożigal bezszabasno*. Ale pewnej nocy na popijawie, gdzieś w *szikarnom restoranie*, posłyszał, jak koledzy rozmawiali o dziewczętach, skazanych na Sybir, szkoda, takie młode, czy nikt ich nie uwolni? Tu nastąpiło w nim ocknienie. Jakby się przebudził. Sam mi opowiadał. Co ja tu robię, myślał, jaki ze mnie pożytek? Ot, uwolnię te dziewczyny... Wynajął numer w pokojach umeblowanych na wprost tego więzienia, wypatrzył główną dozorczynię, jak wychodziła, poszedł za nią, gadu-gadu, przedstawił się: student taki a taki, potem drugi raz i trzeci pospacerowali, później zaprosił do siebie, uwiódł ją, miał się zenić. Dostał

się przez nią do środka więzienia, nawiązał kontakt z dziewczętami, zorganizował całe porwanie i wykradł dziewczęta. Kiedy wszystko się wydało, spadła na niego straszna kara: katorga z pozbawieniem praw i majątku... A spotkałem się z nim w moskiewskim więzieniu i potem poszliśmy razem w etapy. Dwóch nas było głodomorów, co nie otrzymywali żadnych *pieriedacz*, i zawsze staraliśmy się stanąć pierwsi w kolejce do kotła, żeby potem, zjadłszy swoją porcję, obrócić znów i dostać dolewkę. Strasznie był nieodporny na głód i bredził o jedzeniu, jakie miał na wolności, tak smacznie opowiadał, że ludziom kiszki się skręcały. Przestań! – prosili. A on swoje. Bili nawet, nie pomagało. Więc on mi opowiadał o *solanoczce rybnoj*, jaka smaczna i jak ją przyrządzają. Musiałem skosztować.

– Nit *da*, bywają ucieczki – zaczął opowiadać Bojarszynow. – Ot, w zeszłym roku do kopalni nad Ononem, gdzie pracowało 150 katorżników, przyjechał kapitan na inspekcję, z podoficerem i ordynansem. Przy sprawdzaniu uzbrojenia wszystkich rozbroił, całą załogę, dwudziestu żołnierzy, uzbroił dwudziestu katorżników i poprowadził ku chińskiej granicy, jakie 500 wiorst marszu. Część uwolnionych, którym zostało niewiele do końca katorgi, nie chciała ryzykować i nie ruszyła się z miejsca, część rozbiegła się po tajdze, a pozostali podążyli za tymi uzbrojonymi. Ściągał ich właśnie rotmistrz Abdułdurchmanow, który zginął w jednej potyczce. Zginęło sporo ich i naszych, ale ośmiu doszło do Amuru i przepравиło się na mandżurski brzeg. Ale

Chińczycy mieli z nami umowę o wydawaniu zbiegłych katorżników, i wszystkich ośmiu wydali. Powiesiliśmy ich. Za Abduldurchmanowa. – Podać wam herbaty? – zapytał w drzwiach *proownik*.

– Podaj, w gardle zaschło – odrzekł Bojarszynow.

– Herbatę i cukier mamy – dodał Bronisław. – Zaparzemy sobie w czajniczku.

Sięgnął na górę, gdzie stała waliza, otworzył, wyjął cukier i herbatę – *proownik* tymczasem postawił na stoliczku przy oknie imbryk, czajniczek, szklanki i wyszedł – Bronisław dalej gmerał w walizie podając pieczywo i wędlinę, natrafił na podłużne pudełko z rozsypanego prezentu aptekarza – co to? Przez całą długość pudełka biegł reklamowy napis: „Serce, prędzej ty pęknieś, nie ja!” i znak firmowy „Olla”.

– O, czort pobieri...

– Czemu *czertychajeszsia*, Bronisławie Edwardowiczu?

– Prosiłem aptekarza o maść na rany, a on mi dał jeszcze prezerwatywy!

– To go za to *k czortu*? Mądry staruszek, pomyślał, zacznie się młody pieprzyć w tajdze, to albo dziecko, albo syf, poratuję biedaka... Za to należy mu się serdeczne podziękowanie, za najbardziej przydatny prezent!

Zakłopotany Bronisław nie odpowiadał, smarując chleb masłem.

– Skosztujcie moskiewskiej albo polędwicy.

– Dobra jest ta moskiewska kielbasa, lepszej w

Moskwie nie znaleźć. Ja jak jestem w Nerczyńsku, zawsze kupuję. Polak, kiedy wyszedł na osiedlenie, to założył tu masarnię, syn dalej prowadzi i prosperuje – pozuł, pomyślał, wreszcie wyznał: – A swoją drogą – coś tu nie gra.

– Co macie na myśli, Daniło Pietrowiczu?

– A to wydaje mi się dziwne, że ja jadę z wami taki szmat drogi. Bo normalnie u nas w Zabajkalu, gdy ktoś odbędzie katorgę, to go osiedlają w tym samym powiecie albo w innym, zawsze w tejże guberni. A was kazali odstawić het do Starych Czumów, to 1500 wiorst kolejną i końmi... Coś w tym tkwi!

– A tkwi.

– Ale co?

– Dobra rada generała Smirnowa.

Ryżawe wąsy Bojarszynowa zdawały poruszać się z pogardą, z jaką dmuchał na herbatę – nie pochwalał niestosownych żartów w poważnej rozmowie.

– Pytam, bo chcę wiedzieć, a wy mi zaraz jakiś kawał z generałem...

– Nie kawał, ale prawda, tak było. Po ogłoszeniu wyroku przewodniczący sądu wojennego generał Smirnow, zapamiętałem nazwisko, jak dostawca carskiej wódki, Smirnow, zszedł z podwyższenia i wdał się w rozmowę ze mną. Powiedział, że lata katorgi przeminą, nic strasznego, a jak żandarm odstawi mnie na osiedlenie, to wy, powiedział, uciekajcie, ale nie do Polski, bo my tu was zaraz złapiemy, uciekajcie do Chin, młody człowieku. Pół żartem, pół serio

tak radził, to był przyzwoity człowiek, a ja go sobie przypomniałem w zeszłym roku w Akatuju i radę jego powtórzyłem, a był wśród nas parszywiec jeden, doniósł. Z Akatuja poszło pismo do zarządu, a tam pomyśleli: „A może? Do Polski stąd 8000 wiorst, a do Chin 500”... I napisali „po odbyciu katorgi skierować na osiedlenie w jensejskiej guberni”.

– Tak, teraz *poniatno* – powiedział Bojarszynow i rozpiął mundur, gorąco się zrobiło po drugiej szklance herbaty. – A sprawa jaka wasza była? Za co was sądzili?

– Za udział w zamachu na życie jego *imperatorskowo wieliczestwa*.

– Za udział w zamachu... – powtórzył wolno, jakby to niezupełnie dotarło do jego świadomości, i raptem, pąsowiejąc, jak nie wrzaśnie: – Ależ to zbrodnia pierwszej klasy! Najwyższa, najpodlejsza! Targnąć się na sam majestat carski... Szubienica za to, nie może być innego wyroku, tylko szubienica!

Zapiął mundur, bezwiednie, jak zawsze. Gdy padało imię carskie, przyjmował je w pozycji na baczność, zapięty na wszystkie guziki. Jego twarz, pospolita twarz żołdacka, po wysłudze lat, żandarmśka, wąsata, szerokoskuła, z perkatym nosem, pałała oburzeniem, ale w spojrzeniu było trochę lęku i trochę respektu. Siedzi sobie żandarm z lada jakim osiedleńcem, je kielbasę moskiewską i nie wie, że je z mordercą! Z niedoszłym mordercą jego *imperatorskowo wieliczestwa*!

– I za to dali wam tylko cztery lata katorgi i wieczne osiedlenie na Syberii? No-no, mieliście szczęście albo znajomości, albo grube pieniądze...

– Miałem szczęście. Sądził mnie sąd wojenny w składzie generał od artylerii, Smirnow, przewodniczący i członkowie, pułkownik od kawalerii i pułkownik od infanterii, czyli piechoty, jeden kapitan i jeden porucznik. Wojskowi z różnych garnizonów okręgu warszawskiego, nie wybrani specjalnie, ale tak jak popadło. Dlatego sprawę badali rzetelnie. Za dużo policja wiedziała przedtem i za dużo świadków było na usługach policji. Wyglądało, że ktoś tu maczał ręce. Pan wie najlepiej.

– Jasne, nie mówi się.

– No, ale ja się przyznałem do winy, że istotnie miałem taki zamiar, i prokurator żądał kary śmierci. Czyn zamierzony, mówił, w tych sprawach należy sądzić jako czyn dokonany. Sądowi wydało się to okrutne. Do tegoż ja miałem 22 lata, a wyglądałem młodziej, dlatego sąd zważywszy wszystko wydał taki wyrok.

– Patrzcie, generał z pułkownikami, a jednak... – kręcił głową Bojarszynow. – Chyba pański święty natchnął litością sąd wojenny.

Ale nie mógł na tym poprzestać. Uchyliła się zasłona od zawrotnych wysokości, dokąd wzrok jego, wachmistrza, nie sięgał, gdzie istnieje niewzruszenie jak porządek świata *gosudar'* i pomazaniec, który jest nad wszystkimi i patrzy w oczy Boga, a który, rzecz niepojęta, mógł zginąć nagle jak

każdy człowiek.

– Przyznaliście się do zamiaru, mówicie, ale do jakiego zamiaru?

– No, zamachu.

– Ale jak jego *awgustiejszeje lico gosudaria* naszego zamierzali wy...

Nie mógł powiedzieć wprost, w jaki sposób zamierzali wy zabić, tylko zrobił ruch cięcia.

– Ach, o to wam chodzi... Cóż, mógłbym powiedzieć. Po wyroku, po katordze, sprawa przyschła, uleżała się. Ale wam nie mogę.

– Czemuż to mnie nie możecie?

– Bo jesteście żandarmem. Chwileczkę, nie chciałem obrazić, tylko przypomnieć. Jesteście na służbie. Wróćcie, Daniło Pietrowiczu, to mogą zapytać, co mówiłem, i wy im powiecie, no nie?

– Powiem.

– I oni to zapiszą. A co jest zapisane, to żyje i czasem żyje w sposób pokręcony, bo jedno dodali, drugiego nie zrozumieli, a trzecie tak im się wydaje. Zechcą wyjaśniać, wypytywać, po co mi to? Zrozumcie, nie mam teraz nic do ukrywania. Ale ostrożność nie zawadzi.

– Jasne, strzeżonego Pan Bóg strzeże.

– Otóż to... Jeszcze szklaneczkę?

– Nie, dosyć... Późno już, pójdziemy spać.

Wyraźnie stracił chęć do rozmowy.

Położyli się, Bojarszynow na dolnej, Bronisław na

górną półkę. Zdjął obuwie i marynarkę, położył burkę na dębową półkę i owinał się, od razu zrobiło się ciepło i przytulnie, wspaniała burka, zakrywa konia z jeźdźcem, swoją drogą pięknie ja bym wyglądał na koniu. To najlepsze, co zrobiłem w pierwszym dniu wolności, nabyłem burkę, dzięki niej sprzedałem wcale korzystnie mój szykowny i zupełnie w tajdze nieprzydatny strój warszawski... A jeszcze koszula, prezent najdroższy, będę cię pamiętał, dziewczyno, twe dłonie, które tak ufnie włożyłaś w moje czarne ręce katorżnika, wyhaftowały dla mnie śliczną koszulę świąteczną, nie do włożenia. Bo i dla kogo wkładać? Dla tych kilku Hakasów czy Kirgizów, gdy pójdę do ich jurt na kumys w niedzielę? Nawet nie wiem, kto mieszka tam w tych Starych Czumach... Pociąg rwie i rwie naprzód, w niezmierną dal, wiorsty lecą w tył jak iskry, a koła zajadle wystukują na złączach naszej ziemi *mnogo, mnogo...* naszej ziemi *mnogo, mnogo...* I w tym ogromie dla mnie tylko ślepy zaułek, to miejsce przeznaczenia, do kresu życia. Czy spotkam tam choć jedną duszę przyjazną?

Jechali noc, dzień i noc. Drugiej nocy Bojarszynow zbudził Bronisława przed świtem, wstawajcie, wysiadamy... Wyszli w szary brzask na niewielkiej stacji, w przejmujący chłód lasu pod koniec kwietnia, gdy dołem zalega noc, a górą wstaje dzień. Zarysy wielkich drzew nad budynkiem stacyjnym na tle jaśniejszego nieba wyglądały fantastycznie i swojsko. I ciszy, zdawało się, to nic nie zmoże.

Koni nie było. „A mówiłem dwa razy, że pociąg przychodzi o trzeciej czterdzieści pięć” – zdenerwował się Bojarszynow i poszedł do zawiadowcy stacji, by zatelefonować do *pristawa*, który miał przysłać konie, zostawiwszy swój sakwojaż do potrzymania Bronisławowi.

Bronisław pociągnął na czczo nosem, chwycił zapach oleju i z walizą i sakwojażem podszedł do bufetowego.

– Pan mi da do skosztowania, co tak smacznie pachnie.

– Proszę bardzo.

Uniósł przykrywą i podał mu parującą kulkę koloru brunatnego.

– Co to jest?

– Filipowskije pirożki, proszę pana.

Bronisław skosztował. Było gorące, pulchne jak pączek, nadziewane mięsem i ogromnie smakowało.

– Pyszne... Poproszę tuzin.

Kiedy pakował do torby, Bronisław spytał:

– Jak interes? Rozwija się?

– Widzi pan... Wstaję dzień w dzień przed świtem, smażę pierożki i mam jednego podróznego jak dzisiaj,

czasem dwóch albo nikogo. Zastój, proszę pana. Trzeba wracać do miasta. Ja byłem kelnerem w „Arkadii” w Irkucku, ożeniłem się, wziąłem posag i akurat wydzierzawiano ten bufet. Ludzie mówili, bierz, taka okazja, kolej to przyszłość narodu... Taka to przyszłość.

– Nie przejmuj się pan. Wszystko, co nowe, nie od razu się przyjmuje. Za rok, za dwa będzie tu wielki ruch... Pan przypilnuje, ja się przejdę trochę.

Bufetowy skinął głową, Bronisław z torbą wyszedł na dwór i przystanął, patrząc na niewyraźne sylwety domków ni to wsi, ni to miasteczka przy kolei. W zamyśleniu wyjął jeden pierożek i zaczął jeść. Skądś doszło go jakieś bolesne westchnienie, jakby stłumiony jęk.

Tuż kilka kroków od niego stał szczeniak z czarną łatą przez głowę, zadartym noskiem chwycił zapach świeżego ciasta i drżał z pożądania.

– Głodnyś? To masz.

Ułamał kawałek i podał. Na ruch ręki szczeniak odskoczył, ale wyciągnięta ręka była nieruchoma i w niej było mięso. Powoli, łapka za łapką, zbliżył się i połknął, w ostatniej chwili zmrużywszy oczy. Spodziewał się ciosu, ale nie odskoczył.

– Biedaku, chapiesz jak bryś... Na, masz jeszcze. Drugi kawałek połknął tak samo błyskawicznie jak pierwszy. Był bardzo głodny.

Bronisław wyjął z torby i dał mu cały pierożek. Zniknął w okamgnieniu – błysk zębów, trzask i koniec.

Dał mu trzeci pierożek – to samo, tylko z postawy, bodaj śmierć, ale daj mu kawałek tego, co tak pachnie, szczeniak wyprostował się i spojrzął w oczy Bronisława spojrzeniem niewypowiedzianej zwierzęcej udręki.

– Tak ci źle, Brysio? No-no, nie rozpaczaj, w życiu tak bywa, raz pod wozem, raz na wozie...

Nie mógł znieść tej psiej skargi, pogłaskał i poszedł w kierunku domków. Ale piesek pobiegł za nim. Szli tak obok siebie czas jakiś, potem Bronisław zawrócił. Piesek także. Wybiegł nieco naprzód z mordą zadartą, zaglądając w oczy.

– I co ty tak się włączysz po nocy? Poszedłbyś spać do domu... A może nie masz domu? Bezdomny?

Piesek słuchał ufnie przechyliwszy łeppek. Bronisław przyjrzał się mu: czarno-biały szczeniak, pięć, najwyżej sześć miesięcy, ogromnie zabiedzony, ale swój rozumek ma, patrzcie, wyczuł przyjazną duszę...

Za budynkiem stacyjnym rozległ się turkot kół, wzburzony głos Bojarszynowa, potem inny głos usprawiedliwiał się, że przecież rzeki wylały... Bronisław pochylił się nad szczeniakiem z zamiarem pogłaskania na pożegnanie, ale ten podskoczył i liznął go w rękę.

– Co ty, Brysio, chcesz ze mną? Ale żebyś nie żałował.

Wziął na rękę i schował pod burkę.

Zdążył wrócić przed przyjściem Bojarszynowa.

– Powiada, że wszystkie rzeki wylały, musiał objeżdżać, dureń. Jakby nie wiedział, że wylały... Chodźmy.

Przed stacją stała trójka, z koni szła para, widocznie

droga była ciężka. Najpierw wszedł Bojarszynow, potem Bronisław, podawszy prawą ręką woźnicy walizę, lewą przytrzymując pod burką szczeniaka i torbę z pierożkami.

Ruszyli, Brysiek leżał skulony na zgięciu ręki pod burką, było mu ciepło i ciemno, zaczął lizać palce Bronisława, skrupulatnie oblizywał każdy palec z osobna od paznokci w dół, mył starannie, jak go kiedyś suka myła. Kiedy skończył, zwinął się i zasnął.

Bojarszynow milczał, może z zamyślenia, może z niewyspania. W ogóle od pamiętnej rozmowy o zamachu mówił mało. Coś w sobie trawił, ale odzywał się według umowy: przy ludziach ty, na osobności Bronisławie Edwardowiczu... Nie chcesz mówić, to nie, pomyślał Bronisław, nie będę tobie nadskakiwał, pies cię drapał!

Po jakiejś godzinie Brysiek zaczął się kręcić. Morde miał przy piersi Bronisława, teraz odwrócił się i wyjrzał z burki przez otwór na ręce. Akurat po stronie Bojarszynowa. Ten poczuł jakieś poruszenie, spojrzał i spotkał się z taksującym wzrokiem Bryśka.

– O, to macie, widzę, psa!

– A mam. Na stacji przybłąkał się, bezpański. Wziąłem. Niech ma pana.

– Niczego sobie – oszacował go Bojarszynow – oczka bystre, tylko to jeszcze szczenię i ogromnie zamorzone.

Brysiek wiercił się niespokojnie, zaskulił, prosząc o coś.

– Coś mu jest. Czego on chce? – zastanawiał się Bronisław.

– Prosi się za potrzebą... Ej tam, stój!

Jamszczyk ściągnął lejce. Bronisław wysadził Bryśka z powozu, ten zaraz podniósł łapkę, siknął, potem zaczął załatwiać grubą potrzebę, odchodziły teraz *filipowskije pirożki*.

– W porządku – powiedział Bojarszynow i mrugnął do *jamszczyka*. – *Trogaj!*

Ten wyszczerzył zęby.

– Ech, wy orły, koni moi woronyje!

Giknął, strzeliwszy biczem nad głowami koni i „orły” poszły w cwał.

– Co pan robi... Stój! Pies został!

– Chcę was uwolnić od kłopotu... O, tam za górką, teraz nie widać, przepadł... Po kłopocie.

– To wy tak sobie wyrzucacie jak szmatę żywe stworzenie... mojego psa? Niedoczekanie wasze!

Wyskoczył w pędzie z powozu, skoziółkował w powietrzu i upadł na kolano.

– Brysiek! – zawołał.

Odpowiedziało leśne echo. Droga była pusta. Może biegł z powrotem? Może stracił głowę z rozpaczy?

– Bry...sieek! – wołał ile sił w płucach.

Z oddali doszedł go wysoki, przejmujący wizg i zza górki wyleciała czarno-biała kula, w susach, nie dotykając prawie ziemi, wpadła w rozwarte ramiona Bronisława.

– Jesteś, Brysiek, jesteś już... no, już – głąskał go, pieścizotą starając uspokoić zmierzwiłone, zgrzane, dygocące

stworzenie.

Konie stały nie opodal. Podeszedł, wciąż trzymając szczeniaka w ramionach.

– Nie podoba się wam mój pies? To pójdę pieszo, a wyrzucić go nie dam!

– *Sadis'* – rozkazał krótko Bojarszynow.

Bronisław w milczeniu wsiadł, znów otulając Bryśka burką, Bojarszynow trącił *jamszczyka*; „*Trogaj!*”, i ruszyli dalej.

Po jakimś czasie, gdy *jamszczyk* zanucił pieśń, jedną z tych pieśni smętnych i długich jak drogi rosyjskie, Bojarszynow pochylił się do Bronisława i powiedział z cicha:

– To było na próbę. Musiałem sprawdzić.

– Niby co?

– A czy człowiek, który chciał zabić cara, ma serce.

– No i czego dowiedzieliście się?

– Wypada, że ma. Bo jeśli tak prędko pokochał szczeniaka, to znaczy, że pragnął pokochać... No, jak to związać jedno z drugim?

– Patrzycie, Daniło Pietrowiczu, na człowieka przez etykietkę, jaką doczepiono do niego. Człowiek po katordze to zbrodniarz bez serca. Oficer to przede wszystkim honor i męstwo. Sędzia to wiedza, rozum i sprawiedliwość. Chłop to trud do ostatniego potu, życie szareńkie, siermiężne, ciemnota, zabobony i wódka, i tak dalej, i tym podobne. A ja znam chłopą, co wyszedł z katorgi świętym. I znałem kiedyś sędziego, ten lubował się w artykułach skazujących i ludzi

niszczył bezlitośnie, żonę doprowadził do samobójstwa, dzieci pokaleczył, a oczy miał takie, że nawet jak na muchę spojrzal na ścianie, to ta padła martwa.

– Che, che, martwa... Żartowniś z was.

– Weź pan Czybisowa, etykieta: porucznik *konwojnoj komandy*. Czy można mieć podlejszą pracę? Latami prowadzi skazańców z Moskwy do Irkucka i Czyty! Każdy w tej pracy schamieje, opuści się, rozpije. A Czybisow, wiecie, jaki jest.

– Czybisow, Piotr Kapitonowicz, sprawiedliwy porucznik.

– Sprawiedliwy to za mało... To wielka sztuka godzić nieludzkie regulaminy i rozkazy z ludzkim postępowaniem. Wiem. Gdyby nie Czybisow, ja bym już nie żył, nie wytrzymałbym tej drogi i załamałbym się. On mi w porę powiedział mądre słowo. I wiecie co? Mnie się wydaje, że on świadomie wybrał takie życie. „W garnizonie, mówił, ja dawno byłbym kapitanem, ale nikomu niepotrzebnym kapitanem, tutaj porucznik dużo znaczy, dużo może zrobić”...

Bojarszynow chciał coś powiedzieć, ale spojrzal pod nogi: – Co tu pies wyrabia...

Otóż Brysiek siedział czas jakiś spokojnie na rękach, potem zaczął się wiercić ciągnąc w dół, Bronisław go puścił, myśląc, że może pies chce się ułożyć między nogami. „Tymczasem on zabrał się do wyjadania *filipowskich pirożków*, które – gdy Bronisław wyskakiwał z powozu –

rozsypały się po podłodze.

– Ach ty, draniu jeden, zżerasz nasze śniadanie. Bo ja te pierożki kupiłem z myślą, że je zjemy na śniadanie.

– A on to ukradł, Brysiek, prawdziwy bryś...

Bronisław odciągnął go od reszty rozsypanych wspaniałości. – Dosyć, Brysiek, dostaniesz sraczki – i umieścił u siebie na kolanach. Bojarszynow zauważył, że nie śniadanie, ale obiad zjedzą u jednego *obieczczyka*, to jeszcze jakie 20 wiorst drogi, tymczasem mogą coś przekąsić... I sięgnął po sakwojaż.

Zdaje się, że jest już oswojony, pomyślał Bronisław.

Piątego dnia dopiero poczuł, co to tajga.

Pierwsze zetknięcie z tajgą przeszło bez wrażenia, przeszkodził Brysiek. Poza tym był dzieckiem wielkiego miasta i nie znał lasu. W Warszawie bywał w Lasku Bielańskim, w Odessie i w Rzymie nie było lasów, po drodze z Rzymu do Paryża, którą przeważnie przebył pieszo, zdarzało się przechodzić przez lasy, przyjemne odcinki drogi, wypoczynkowe, w cieniu drzew, w Paryżu znał Lasek Buloński – to wszystko. Odróżniał drzewa iglaste od liściastych i jeśli kukułka zakukała albo wrona zakrakała, to wiedział, że to wrona i kukułka. Poza tym nic. A tu wjechał w las ogromny. Dookoła stały drzewa olbrzymy, widać, że Bożego siewu, nie ludzkiej ręki, ale jak się nazywały, nie

wiedział. Że modrzew, że limba, cedr, pichta, sosna, świerk – nauczył się później odróżniać. Teraz wszystko to zlewało mu się w jedno tutejsze określenie *krasnolesie*, lasy iglaste. Ciągnęły się dziesiątkami wiorst bez przerwy, bez śladu ludzkiego pobytu. Czasem spotkali wioskę, zjedli coś gorącego, nakarmili i напоили konie i jechali dalej do zmroku, nocowali w przygodnej chacie lub *zimowiu* którejś z bogatych kompanii przemysłowców złota, na stacji przesyłkowej budulca i towarów dla mnóstwa ludzi zatrudnionych na złotodajnych *priiskach*, gdzieś w głuchych stronach tajgi. Było chłodnawo, przyjemnie, jeszcze *gnus* nie dokuczał, syberyjska plaga komarów i meszki. Piątego dnia uświadomił sobie, że mają przebytych wiorstw dwieście z czymś, a wkoło wciąż las i las. A dalej? – spytał. A dalej, powiedzieli, jak będą jechali tak prosto na północ, to za tysiąc wiorst czy za półtora, kto by je tam liczył, znajdą się na gołej tundrze i na wiecznej zmarzlinie. A jeśli skręcą na prawo, to najpierw będą lasy i Góry Przybajkalskie, potem Bajkał i tajga zabajkalska, za nią ussuryjska aż do Oceanu Wielkiego, razem trudno zliczyć, ile tysięcy wiorst. Poczul lęk. Zgroza zdjęła go na myśl, że znajdzie się sam wśród tego bezkresu leśnego, który równy jest oceanowi.

Tak zatem jechali rysią, rozmawiając leniwie, czasami *jamszczyk* przypomniawszy, że to konie *pristawa*, i giknął:

– Ech, wy orły, koni moi woronyjel

Wtedy cała trójka, prężąc karki na prawo, na lewo i prosto w górę, rwała naprzód wachlarzowym biegiem, aż

bryzgi leciały spod kopyt, a janczarki zanosiły się nutą wysoką i zalichwacką.

– Czy konie znają instynkt piękna?

– Co takiego?

– No, kiedy tak nikną symetrycznie, czy wiedzą, że konie skrajne mają głowy odchylać na strony, a środkowy koń nieść prosto?

– *Jerunda*... Każdy koń ma swe miejsce, koń prawy, lewy i *korennik*. Konia do trójki długo trzeba chować. Od małego uwiązuje mu się głowę nisko do prawej nogi albo do lewej, albo wysoko. Przyzwyczajają się na całe życie tak nosić głowę. Nie instynkt. Przyzwyczajenie.

Pod wieczór zobaczyli rzekę i dużą wieś na wysokim brzegu, Udińskie. Miała chyba sto kilkadziesiąt chat, cerkiew, gminę, szkołę, sklep i *kabak*, czyli karczmę. Zatrzymali się w pokoju gościnnym dla osób przyjeżdżających urzędowo. Bojarszynow poszedł do urzędu gminnego, a Bronisław usiadł na ławeczce przed domem, mając przed sobą panoramę wsi. Obejścia wyglądały zamożnie, każde obwiedzione wysokim płotem z bramą, okiennice, ganek i dom, gdzie się dało, ozdobione były rzeźbą, budynki gospodarcze duże, bania, czyli łaźnia, w każdym obejściu na tyłach, gdzie zaczynał się warzywniak... Rzeką szeroka, spławna, widać, sporo drzewa jest na bindudze, flisacy wiążą leśne pnie jeszcze w karawany tratwę...

Brysiek, siedząc na ławce obok Bronisława, zawarczał, i w tejże chwili rozległ się głos zza furtki:

– Z pierwszym maja, towarzyszu!

– I was także... To dziś pierwszy maja? Zupełnie zapomniałem, straciłem rachubę czasu w drodze...

– Posłyszałem, że przywieźli zesłańca, więc przybiegłem... Wasiliew, Iwan Aleksandrowicz, eser, na dziesięć lat.

– Najdarowski, Bronisław Edwardowicz.

– Polak?

– Tak, z Polskiej Partii „Proletariat”. Po katordze, na wieczne osiedlenie.

– A dokąd?

– Do Starych Czumów.

– Szkoda, to zapadły ką. Myślałem, że nam przywieźli nowego osiedleńca.

Ubrany z rosyjska ni to chłop, ni to rzemieślnik: biała koszula przepasana paseczkiem, szara marynarka i spodnie wpuszczone w cholewy błyszczących, dobrze oczyszczonych butów. Młody, lat trzydziestu paru, kusa bródka świeżej daty, oczy wesołe, z kpinką, i na dość przystojnej twarzy zuchowata pewność siebie.

– Proszę wejść, siadajcie, porozmawiamy.

Gość otworzył furtkę, usiadł na ławeczce.

– A dużo jest was w Udińskim?

– Politycznych zesłańców jest nas czterech. Ja od eserów, od esdeków dwoje, Nadieżda Barwienkowa, bolszewiczka, i mienszewik, Lew Frumkin. Polak też jest, polityczny, ale do żadnej partii nie należący, ksiądz Leonard

Sierpiński, najstarszy z nas, przebywa tu od dziesięciu lat. Gronko nieduże, ale otoczone wianuszkami sympatyków swobody, jak kierownik szkoły Wieniamin Ignatiewicz Kosoj. Dla całości obrazu dodam, że i pop miejscowy, Płaton Ksenofontow, jest także zesłańcem, nie politycznym wprawdzie, ale teologicznym – za jakieś złe komentowanie czegoś tam w Piśmie przegnano go do nas, po akademii duchownej. Pali go ogień święty, szuka niewiernych, złąkniony nawróceń, raz nawet zagrzmiął z ambony na księdza Sierpińskiego, ale nie wyszło, niewypałał, bo ksiądz okopał się w ogrodzie i wrażliwy jest tylko na trudne u nas warzywa – pokój z tobą, bracie, u mnie zakwitły pomidory!

– Idylla, można powiedzieć.

– Och, idyllicznie to wygląda, zwłaszcza dla esera, gdy esdeki się kłóca, dyktatura proletariatu czy nie dyktatura, program-maksimum i program-minimum, i kto jest członkiem partii, ten, kto przyjmuje program partii, czy ten, którego przyjmują, i tak dalej, jak to walcują towarzyszka Barwienkowa z towarzyszem Frumkinem, skacząc sobie do oczu, ile razy się zejdą. Oni nigdy nie wyjdą poza rozbieżności drugiego zjazdu RSDRP, takie mole książkowe... Powiedzcie, gdzieście odbywali katorgę?

– W Akatuju.

– O, najcięższa katorga... Jak tam było?

– Co ja będę wam opowiadał. Każdy dzień katorgi jest taki sam. Przemnóżcie przez tysiąc czterysta sześćdziesiąt... To raczej ja powinienem prosić, żebyście wy mi

opowiedzieli, jak jest teraz w Rosji. Po czterech latach przecież wracam do życia, nie wiem kompletnie, co się działo, a wy musicie wiedzieć, właśnie wy, eserzy, najaktywniejsi. Zreferujcie pokrótce.

– Dobrze. Więc tak... Rządzi teraz klika pałacowa cara, tak zwana *zwiozdnaja pałata*. Człowiekiem jej jest premier Piotr Stołypin. On zgniótł rewolucję, wprowadził polowe sądy wojenne i ekspedycje karne, rozpoczął reformę rolną znosząc gminną wspólnotę i popierając chłopską kolonizację Syberii.

– Czy to poważne przedsięwzięcie?

– Najpoważniejsze, na jakie mógł zdobyć się carat. Wyodrębnić zamożne gospodarstwa w chutory, czyli fermy, niech będą jeszcze bardziej zamożne i liczne kosztem małorolnych, których przesiedli się na Syberię albo wypędzi się w proletariat miejski, który dostanie ośmiogodzinny dzień pracy, ubezpieczenia i związki zawodowe jak w Anglii, więc nie będzie się zabijał o socjalizm, najwyżej będzie strajkował o pięciokopiejkową podwyżkę... Grunt to spokój na wsi. Zamożne chłopstwo stanie się jak wszędzie konserwatywną ostoją ustroju, nie będzie żądało podziału ziemi, będzie jej sobie dokupywało.

– To straszne, myślę, dla was. Czy były zamachy?

– Jeden, ale taki, że ścierpła cała Rosja. W sierpniu 1906 roku do willi premiera w godzinach popołudniowych, gdy odbywało się cotygodniowe przyjęcie i dom był pełen gości, przybyło dwóch żandarmskich oficerów i jeden cywil,

wszyscy trzej z teczkami, ale w poczekalni oświadczone im, że lista gości zamknięta. W odpowiedzi oni rzucili teki. Cała willa wyleciała w powietrze. Było 30 zabitych i 22 rannych. Balkon, na którym znajdowały się dzieci premiera, zawalił się, dziewczynka i chłopiec zostali ciężko ranni. Stołypinowi nic się nie stało, tylko siłą podmuchu ciężki kałamarz z brązu przeleciał nad jego głową, oblewając atramentem.

– Czy to było wasze dzieło?

– Nie, komitet centralny naszej partii oświadczył, że sposób, w jakim dokonano, zamachu, jest całkowicie sprzeczny z przyjętymi przez partię zasadami moralnymi i politycznymi. Przyznała się do tego powstająca partia eserów maksymalistów.

– Jaki on jest, jako człowiek, ten Stołypin?

– To bogaty ziemianin, ma 7500 dziesięcin ziemi, z uniwersyteckim wykształceniem, włada językami, ma długi staż pracy w administracji państwowej, dobry organizator, dobry mówca, to jego słowa zwrócone w Dumie do socjalistów: *Wam nużny wielikije potriasienia, a nam nużna wielikaja Rossija!* Nacjonalista, ale w granicach praworządności, nie mieszać z czarnosecińskim Związkiem Narodu Rosyjskiego czy ze Związkiem Michała Archaniola Puryszkiewicza... Naród rosyjski, jego zdaniem, ma do spełnienia wielką misję dziejową, interesy i prawa wszystkich narodowości imperium rosyjskiego są podporządkowane tej idei. Dlatego walczy z Polakami, z Finami, z Żydami i Ormianami. Teraz wnosi do Dumy

projekty dwóch ustaw, o ograniczeniu samodzielności Finlandii i o oderwaniu Chełmszczyzny od Królestwa Polskiego... Subiektywnie uczciwy, łapówek nie bierze. Mam wrażenie, że to postać tragiczna i wcześniej czy później zginie. Wszystkie partie rewolucyjne tego mu życzą.

– Ale mówił pan, że to człowiek *zwiozdnoj pałaty*,

– Był, teraz już nim nie jest. *Zwiozdnaja polata* to ludzie małego kalibru, więc zazdroszczą mu i obawiają się go. Przerasta wszystkich. A i car, prowincjonalny sekretarz, XIV ranga, wyczuwa to, że widzą przede wszystkim jego, Piotra Stołypina, przy nim jest on samodzierzłą malowanym... Doprawdy trudno powiedzieć, co będzie z Rosją. Łatwiej mówić o tym, co tutaj będzie!

– Mówi pan takim tonem, jakby widział w Syberii bogaty kraj.

– Bo jest nim! Syberia to prawie tyle co Rosja, a pod względem bogactw naturalnych to potęga, niech no zrzuci kajdany i gorset carski, potęga światowa! Pokochałem Syberię i pozostanę w niej na zawsze!

– Pan także?! – wyrwało się Bronisławowi, czym prędzej dodał: – Bo ja zostaję na zawsze na mocy wyroku.

Wasiliew zauważył jednak jego zmieszanie i przez chwilę, zdawało się, ważył.

– Tak, ja także... Zmieniłem taktykę. Wzeniłem się w studzięcinne gospodarstwo, jestem *primakiem*. Chłopi już mnie szanują i słuchają. A co będzie i za dziesięć lat, gdy skończy się zesłanie i zwrócą mi wszystkie prawa, w 1917

roku... O, wraca, widzę, wasz anioł stróż. Do widzenia, Bronisławie Edwardowiczu, w Udińskim, to tylko czterdzieści wiorst!

Słońce prześwitywało jeszcze przez mgły i tumany poranne, falujące nad Udą, kiedy przeprawiali się promem na niskie, zalewowe porzecze, gdzie na błotach świstały kuliki, odpływali od wysokiego brzegu, na którym rozsiadło się Udińskie, z jego dzwonnica i cerkwią, z chatami i warzywniakami łagodnie spływającymi w dół na żyzne, rozorane dno leśnego morza, otoczonego zewsząd ciemną ścianą tajgi na horyzoncie. Konie, jakby czując ostatni dzień podróży, szły żwawo wyciągniętym kłusem i Brysieki, wystawiwszy mordkę spod burki, wzdętymi niuchami łowił napotkane zapachy, postawił uszy i drząc z podniecenia, oczami chciwie chwycił mijane nieznane. Bronisław położył mu dłoń na karku, pogłaskał, dobry piesek, dobry. Wziął ciebie pan bezrozumnie, z nagłego odruchu współczucia, boś głodny, zabiedzony i bezpański, ale już nie odejdziesz. Widocznie tak trzeba. Trzebaż poczuć przy sobie bicie serca szczeniaka, jego prawie ludzkie ciepło i całkowite oddanie, żeby powiedzieć, jesteś mój na dobrą i złą dolę, nie jesteś sam, co egoistycznie biorąc przynosi ulgę własnej samotności...

Droga była mało wyjeżdżona, pełna świeżego błota, które zbierało się w rozpadlinach i wybojach, zwłaszcza gdy zjeżdżało się w dół, tarantas miesił kołami tę maź powyżej osi, to znów podskakiwał na korzeniach cedrów i modrzewi,

wyszczierzonych w poprzek drogi, jak żebra kościotrupa wystające z ziemi, na złość jadącym, na objąć boki. Konie straciły rozpęd i wlokły się wiorstą za wiorstą.

– Fadiej, ile jeszcze do Starych Czumów?

– *Nie mogu znat*’. Nigdyśmy jeszcze z przystawem tamuj nie jeździli.

– A co znaczy *czum*, Daniło Pietrowiczu? – spytał Bronisław.

– Po naszymu *czum* to szałas. Stare Czumy – no to, widać, kiedyś, może za Aleksandra Pierwszego albo później, stały tam pewnie szałas, tunguskie albo buriackie szałas.

Potem Bojarszynow zasnął. Bronisław zgadywał swą przyszłość w Starych Czumach. *Kuczer* Fadiej śpiewał „Oj, ty dola moja, doluszka” ... Brysiek nienasytnie patrzył i niuchał.

Gdzieś pod wieczór zaleciało dymem i konie poszły w cwał. Tajga zrzędała, ujrzeli małą wioskę, dwadzieścia kilka chat, niechlujnie rozrzuconych w dolinie, i dymy z łąk naokoło.

– Wypalają jeszcze zeszłoroczną trawę – zauważył *kuczer*.

Dognali idącą drogą babę z krowami.

– Kto tu jest u was starosta? – spytał Bojarszynow.

– Jemielianow.

– Gdzie on mieszka?

Wskazała. Pojechali.

Chata sołtysa czymś się różniła od chat tutejszych, ale

czym mianowicie, Bronisław nie zdążył zauważyć, była tylko duża. Oboje gospodarstwo wyszli na ich spotkanie.

– *Dobro pożałowat', prochoditie* – kłaniali się i gestami zapraszali do wejścia.

Bojarszynow zeskoczył, przywitał się, Bronisław tymczasem zdjął burkę, położył na siedzeniu tarantasa i posadził na nim Bryśka. „Siedź i nie ruszaj się!” i podążył za Bojarszynowem. Z sieni przeszli przez obszerną kuchnię do białej izby, *gornicy*. Podłoga była tu wyłożona grubym płótnem. Łóżko pokryte kolorową kapką, na nim piętrzące się poduszki. Wzdłuż obu ścian ławy, przed nimi stół i w kącie święte obrazy, tryptyk z trzech ikon. I *lampadka* paląca się przed obrazami. Bojarszynow przeżegnał się, z prawa na lewo, Bronisław też, ale z lewa na prawo. Gospodarze to zauważyli i spojrzeli na siebie znacząco.

– Siadajcie, *miłosti prosim* – spiesznie zapraszał gospodarz, był w średnim wieku, niskorosły, kiedyś płowowłosey, teraz całkiem wypłowiały, o małych zmyślnych oczkach.

Siedli.

– Jechałem ja do ciebie, Jemielianow, spod Nerczyńska dziesięć dni.

– *Gospodi*, aż tyle?!

– Na osobisty rozkaz jego *prawoschoditelstwa* gubernatora.

– Samego gubernatora?

– Da, i przywiozłem ja tobie, Jemielianow,

gosudarstwierynowo priestupnika na wieczne osiedlenie tutaj, pod twój dozór i opiekę.

– Panie, a cóż ja mogę?

– Możesz, Jemielianow, dużo możesz. Odbył karę – ruch głowy w stronę Bronisława – na którą zasłużył, teraz *gosudar' impierator* daje mu możliwość naprawy win, możliwość spokojnego życia w obrębie waszej gminy, byle nie poza nią, nie poza gminą! I w swej łaskawości daje mu zapomogę na urządzenie się. Zaraz dam przy tobie.

Wyjął z portfela papier, a z niego dwa banknoty, pięcio- i dziesięciorublowy.

– *Połuczaj*, Najdarowski, piętnaście rubli zapomogi i podpisz tu, żeś otrzymał.

Bronisław podpisał.

– A teraz trzeba go urządzić, gdzieś musi mieszkać.

– Za darmo czy jak? – oględnie spytał Jemielianow.

– Będę płacił – skwapliwie odezwał się Bronisław.

– Jest u mnie na strychu pokoik. Łońskiego roku mierniczy mieszkał.

– Ile chcecie za ten pokoik z utrzymaniem?

Jemielianow pomyślał, poszeptał z żoną.

– Dziewięć rubli.

Po wąsach, jak nimi ruszył Bojarszynow, Bronisław domyślił się, że ten przesolił.

– Bójcie się Boga, gospodarzu, za pomieszczenie na strychu – dziewięć rubli?!

Jemielianow znów poszeptał z żoną.

- Niech będzie siedem rubli. Ale herbata i cukier wasze.
- Moje... Mogę zaraz zapłacić za trzy miesiące naprzód.

Proszę, oto dwadzieścia jeden rubli.

Jemielianow schował.

– *Nu wot i dielo w szlapie* – oznajmił Bojarszynow. – Można odpocząć i przespać się. Nocleg u was znajdziemy?

– Jakżeby nie! Dziesięć dni wielmożny pan do mnie jechał i żeby noclegu nie znalazł?! *Milosti prosim*, bez zbytków wprawdzie, ale czym chata bogata... Ale wpierv powieczerać trza. Łukieria, co w *pieczy*, to na stół *mieczy*!

– To ja pójdę po rzeczy – powiedział Bronisław, Bojarszynow skinął głową, więc wyszedł do tarantasu.

Wyciągając walizę, usłyszał otwieranie okna i głos Bojarszynowa:

– Fadij, wyprzęgaj konie i chodź do *gornicy*.

Z walizą w rękę i z burką pod pachą wszedł do sieni i po schodkach do pokoiku na górze. Pokoik był na poddaszu o skośnym suficie i jednym oknie, z widokiem na rzeczkę, dymiące się łąki i las. Pod oknem stał stół i zydel, obok leżał siennik, ot i całe umeblowanie.

Postawił walizę na stole, rzucił burkę na siennik i posadził Bryśka.

– Nareszcie własny ką, piesku... Sami, tylko ja i ty! Możemy tu robić, co się nam podoba, nikt nie przeszkodzi. Nie będzie ścisku, kłótni, gwaru i spać będziemy bez smrodu ich nie mytych nóg... Szczęście, rozumiesz?

W odpowiedzi Brysiekił dziawknał, a to co?! Na

schodach rozległ się tupot czyichś lekkich nóg i do pokoju wpadła pyzata dziewczynka z miotłą i ścierką.

– Oj-jej, *diadienka*, matula kazała mi wyszorować, a wy... nie zdążyłam... – tłumaczyła się zadyszana.

– Nie szkodzi. Ja zaraz pójdę, to wtedy będziesz mogła posprzątać... Jak się nazywasz?

– Masza.

– A ja Bronisław. Ile masz lat?

– Dwanaście.

– A do szkoły chodzisz?

– Nie. Szkołę mamy dopiero w Udińskim.

– Masz rodzeństwo?

– Mam. Dwóch braci i siostrę. Wszystkie młodsze.

– No, to jako najstarsza podziel sprawiedliwie na cztery równe części i każdemu daj. – Wyjął z walizy torbę cukierków. – Trzymaj!

– Bóg zapłać, dziękuję...

Wziął smirnówkę, herbatę, cukier i szynkę – pieska pogłaskał, zostawiając go na burce: Brysiek przywykł do niej przez sześć dni podróży, wiedział, że to burka jego pana, pan odchodzi i wraca.

W *gornicy* Łukieria kończyła nakrywanie do stołu. Na półmisku leżała baranina z kapustą, *szaniegi* – pierożki z serem, marchwią i jagodami, gruździe solone i *czeremsza*, masło i chleb domowego wypieku, a z boku dzban morsu z żurawiny... Bronisław położył na stole szynkę, oddał herbatę i cukier, zabrał się do odkorkowywania wódki.

I wtenczas zdało mu się, że kiedyś stał tak gdzieś w nowym miejscu przed nie znanymi ludźmi – gdzież to było? W Italii, a może we Francji? – stał na pewno i miał coś powiedzieć na wspólne życie, jakieś słowo zrozumienia, jedno słowo, ale jakie?

– *Dajka, bratiec*, ja prędzej odkorkuję, mam wprawę – posłyszał głos Bojarszynowa. – Pijemy zdrowie gospodarzy, co tak gościnnie nas przyjmują! Tak, na Syberii można żyć!

POCZĄTKI AKLIMATYZACJI – ZAMACH NA STOŁYPINA

Kiedy wstawali gospodarze, nie wiedział, tylko ilekroć schodził na śniadanie, oni wszyscy siedzieli przy stole. Śniadanie było o szóstej. Zastawał ich wszystkich z łyżkami u miski ze śmietaną: Sidor, Łukieria, babcia Agrafena, matka Sidora, sześćdziesięcioletnia, czerstwa, w pełni sił do pracy kobieta, i dzieci, Masza, Jasza, Stiopa i Fenia, najmłodsza, trzyletnia, babci najukochańsza wnuczka, po niej zresztą wzięła imię. Jedli śmietaną z chlebem, a dzieci przeważnie chleb maczały w śmietanie. Mleka było w bród od sześciu krów, robiło się wprawdzie masło, solone odciskało się w formę i sprzedawało do miasta, ale innego zbytu na mleko nie było. Potem piło się herbatę cegiełkową; *kirpicznyj czaj*, w *prikusku** z cukrem, do tego naleśniki z masłem, pierożki lub *szaniegi*, okrągłe placki z brzegu zawijane, tak że widziało się nadzienie – jagody, marchew albo kartofle.

O jedenastej był obiad z trzech dań: zupa-polewka albo kapuśniak na mięsie, *szczy*, albo z ryby, *ucha*, albo zupa szczawiowa, tylko do rosółu kładli nie siekane, całe liście. Bywał niekiedy twaróg ze śmietaną, rzodkiew tarta, ogórki solone, gruździe, *czeremsza* solona i świeża, czyli dziki

* *W prikusku* – na przygryzkę.

czosnek. W święta pierogi z mięsem lub rybą, z kapustą, z grzybami i jajkami. Na trzecie kisiel, legumina na oleju, konfitury lub coś z przetworów. Lubiano przetwory i konfitury z malin, poziomek, czeremchy, borówek, porzeczek syberyjskiej, porzeczek czarnej, czerwonej, *gołubiny*, *kostianki*, *kniażenicy*. Mąka z czeremchy, której jagody suszono i mielono, potem parzono z dodatkiem miodu, służyła im jako dodatek do herbaty lub nadzienie. Lubili też mors z żurawiny i sok brzozy. Widział, jak to się robi, akurat zbierali go nacinając brzozy, potem wlewali do butelki nie do pełna i dodawali kilka rozdartych rodzynek. Butelkę zatykali korkiem i zalewali smołą, stawiając w piwnicy szyjką w dół.

Kolację jadał o siódmej. Była ona zasadniczo gotowana rano podczas śniadania, tylko bez śmietany.

Tak z wolna wchodził w ich życie. Już pierwszego dnia przy kolacji Sidor opowiedział mu historię swojej rodziny. Oni nie są *czeldonami*, to jest Sybirakami z dziada pradziada, lecz przesiedleńcami z guberni rizańskiej. Kiedy ojciec umarł, sprzedali gospodarstwo, swoje trzy dziesięciny ziemi, i przyłączyli się do grupy przesiedleńców. Było to siedem lat temu, w 1900 roku, wielką kolej syberyjską kończono i oni dojechali do Tajszentu, stamtąd ich, rizańców, przydzielano do różnych miejscowości, im przypadły Stare Czumy. W Starych Czumach było wtedy dwanaście chat *czeldonów* na lewym brzegu. Każdy otrzymał piętnaście dziesięcin ziemi, a kto miał zaświadczenie, że przybył za

zgodą swego powiatu, to i sto rubli rządowej zapomogi. On i jego brat wzięli takie zaświadczenie, więc dostali trzydzieści dziesięcin ziemi i dwieście rubli. Zbudowali wspólną chatę za 150 rubli, pozostałe 50 rubli wydali na krowę i parę koni, sprzęt przywieźli ze sobą. Zabrali się do roboty. Byli młodzi, bratu szło na dwudziesty pierwszy, a on miał wtedy dwadzieścia sześć lat, Masza dopiero zaczynała chodzić... Przybyli tu o tej samej porze, co pan, na początku maja, więc trzeba było i las karczować, i dom budować. Pracowali do siódmego potu, spali po kilka godzin, a jedli mało co. W trzecim roku byli już jako tako zagospodarowani, zaczęli wychodzić z biedy, ale w 1904 roku brata zabrali w żołdacy, na wojnę z Japońcem, poszedł i nie wrócił, zginął, kawaler bezpotomny. Jego działkę on, Sidor, odziedziczył. Kiedy indziej znów Bronisław go spytał:

– A czy podatki macie duże?

– Podatek można wytrzymać, to jeszcze nic straszego. Płaci się od duszy po kilka rubli rocznie, kobiety z podatków są zwolnione. Ale gorsze są ciężary w robociźnie, na przykład podwody. Dom, na który przypada kolej, ma obowiązek trzymać w pogotowiu konia, tarantas i człowieka. Gospodarze wożą bez żadnego wynagrodzenia, kogo należy, tylko do pierwszej stacji. Albo praca na drogach, nazywamy to „jechać na mosty”. Ot, tak jak teraz, w maju, z każdej wsi pewna liczba ludzi udaje się wraz z końmi na wskazane miejsce porządkować trakt, czasem, panie, na dwa miesiące, w tej miejscowości odległej o kilkaset wiorst... A przecież

my mamy swoje wiejskie ciężary, jak na przykład grodzenie pastwisk, *poskotina* dla bydła i *prigon* dla owiec całej wsi. Albo przeciwpożarne... A wszystkie te dumskie, gminne, sielskie podatki, niby składki, co jak meszka są małe i liczne, a gryzą, że nie daj Boże! Składki na utrzymanie pisarzy w gminach – piętnaście kopiejek. Na szkoły i nauczyciela – dziesięć kopiejek. Na lekarzy – dwadzieścia pięć kopiejek... Na utrzymanie przytułków i szpitali, na utrzymanie kwater ziemskich, na utrzymanie magazynów zbożowych, na popów, na cerkiew i wszystkich innych, *czort ich pobieri!*

Rzeczka nieszeroka, sto kroków, dzieliła wioskę na stronę czeldońską i rizańską, z mostem drewnianym i czterema brodami. Po stronie czeldońskiej znajdowało się dwanaście chat z wielowiorstwowym, wspólnym dla całej wsi pastwiskiem, *poskotina*, z chatą pastucha, z którym zawierano umowę na cały czas letni, i *prigon* dla owiec, tak samo z miejscem dla owczarza. Wszystko porządne, ogrodzone wspólną pracą. Przy pastwiskach stoją gumna, bo ich nie wolno budować we wsi. A po drugiej stronie, po wypalonym i wykarczowanym lesie, gdzie ziemia jest bardziej urodzajna, stoi piętnaście chat i są zagony orne rizańców.

Na ogół Stare Czумы to wieś dostatnia, niedostatek cierpią tylko ci, których dotknęło nieszczęście boskie, jak wdowę Akulinę – męża jej zabito w burdzie karczemnej, została z pięciorgiem drobiazgu, sąsiedzi pomagali, dopiero w tym roku osiemnastoletni syn wyjechał sam w orkę. Albo

niemocni, jak Parfenek, który nie może nic ciężkiego udźwignąć, więc wziął się za szewstwo. Albo opętani przez spirytnego diabła, jak Wawiła, pijanica wsiowy z duszą rozchełstaną na przestrzał po dziury w kieszeniach. Reszta żyje zamożnie, oczywiście jedni mniej, drudzy bardziej zamożni. Powiedzmy, Kolcowych, zbudował groblę i mały młyn w górze rzeki, prowadzi w lecie gospodarstwo, od jesieni miele – taki chłop-młynarz. Zamiatin urządził olejarnię i wyciska olej z maku, konopi, rzepaku, lnu, słonecznika – też pół chłop, pół olejarz. Mikołaj Czutkich posiada najpiękniejszy dom we wsi, ma złote ręce, zdun i cieśla, ale gospodarstwo zdał na córkę i w zimie go nie ma, od października do marca trudni się myślistwem. A Micheicz – opowiada dalej Sidor – Micheicz, rianzańczyk, odwrotnie, tylko zimuje we wsi, na jego piętnastu dziesięcinach pracują dzieci i żona, a on, jak tylko przychodzi maj, to ładuje na jucznego konia bańki ze spirytusem i hajda w tajgę. Spirytonos. Chodzi nieznanymi tropami setki wiorst, jednych strażników przekupuje, przed innymi ucieka i sprzedaje spirytus przemycaczom złota. Od zeszłego roku odkupił ze współnikiem stary, lichy *priisk*, obok bogatej kopalni towarzystwa akcyjnego, gdzie pracuje kilka tysięcy ludzi. Co sobota wydaje się tam wódkę po blaszanej chochli, czyli po *kriuczku**, ale co to znaczy taka miarka dla nieumiarkowanych! Złotym piaskiem, niekiedy i

* Po *kriuczku* – po haczyku.

samorodkiem kradzionym, płacą robotnicy za możliwość upicia się, a Micheicz w razie kontroli jest zawsze w porządku, wolno mu trzymać spirytus dla własnych robotników... Inni już tylko zajmują się rolnictwem, uprawiają pszenicę, żyto, jęczmień, grykę, owoce, len, konopie. Kobiety prowadzą warzywniaki i pomagają przy żniwach, wychowują dzieci, gotują, chodzą koło drobiu, robią płótna – w każdym prawie domu jest warsztat tkacki.

Nowe w Starych Czumach widziało się przede wszystkim u sołtysa, czyli starosty, Sidora Jemielianowa. Małorostły, szczupły, ale o dobrze umięśnionym ciele, umie zawsze w porę dostrzec, gdzie ono jest, to nowe, i jaka z niego korzyść – w maszynach i w sposobie uprawy roli, w zarządzeniach władz, w zniesieniu wiejskiej wspólnoty rolnej, w gazetach, bo i gazety czytywał niekiedy. I oświatę doceniał. Dotąd nie było czasu, nie było i z kim, ale jak zjawiał się w Starych Czumach pierwszy człowiek wykształcony, pierwszy przestępca polityczny, Najdarowski – to on będzie nareszcie uczył Maszę i Jaszę... A stare patrzyło tu twarzą napiętnowanego chłopca, musiał mieć przeszło dziewięćdziesiąt lat, bo tak piętnowano katorżników do 1864 roku: metalową pieczęć rozpalano do czerwoności, maczano w roztworze farby chemicznej i wypalano trzy litery koloru zielonego, K – na prawym policzku, A – na czole i T – na lewym policzku... Stary siedział na przyzbie z przymkniętymi oczami, uśmiechem błogości witał majowe słońce – głowa rodu, dziadek i ojciec, właściciel domu,

ziemi, koni i bydła... Bronisławowi wydawało się, że słyszy pieśń „Miłosierna”, starą pieśń katorżników, którą prosili i dziękowali za datki:

Litościwi nasi ojcowie,

Pamiętajcie o nas, niewolnikach,

Zamkniętych – na miłość Chrystusa!

Ten człowiek musiał mieć wtedy *kały*, trzewiki, podobne do czółna, do których wsuwa się trzyłokciową, z grubego płótna onuckę, nosił na sobie chałat, z wszytym na plecach asem karowym z czerwonego sukna, i klęcząc, zawodził modlitewnym recytatywem:

Dajcie nam jeść, ojcowie,

Nakarmcie nas biednych, uwięzionych,

Ulitujcie się, nasi ojcowie,

Ulitujcie się, nasze matki,

Nad uwięzionymi, na miłość Chrystusa!

Siedzimy w niewoli, w więzieniach murowanych,

Za kratami, za żelaznemi,

Za drzwiami, za dębowemi,

Za kłódkami, za wiszącymi...

Naturalnie Bronisław zobaczył tego starca wtedy, gdy chodził po wsi. W trzecim stadium po odzyskanej wolności. Bo z początku chciało mu się tylko spać, spać do syta, u siebie we własnym pokoju, rozrzucając na materacu ręce i nogi, jakby nie wierzył swemu szczęściu, macając, z prawej strony naprawdę nie ma nikogo i tu z lewa też nikogo... Wstawał o szóstej, zjadał z gospodarzami śniadanie i ociężały szedł na górę dospać. Nie chciało mu się nigdzie wychodzić i z nikim rozmawiać. Ciało wycieńczone nadmierną pracą fizyczną wypoczywało w błogości...

Potem zaczął urządzać się. Zbił sobie z desek łóżko, kupił u Łukierii kolorową kapę i płótno. Kapą przykrył łóżko, a płótnem zasłonił wnękę w rogu, namiastkę szafy, gdzie odwiesił garnitur świąteczny i burkę. W nogach łóżka urządził na podłodze posłanie dla Brysia. Zasłonił okno firanką. Na wprost łóżka przybił ścienną półeczkę, na której postawił zapasowy talerz, nakrycie i kubek. Nim postawił, długo wpatrywał się w kobietę na kubku. „Taka jak ona, tylko mniej dramatyczna, byłaby w sam raz dla mnie... Pewnie gdzieś istnieje i tak samo tęskni, ale nigdy się o mnie nie dowie. Albo dowie się na stare lata, że żyłem, że przesunąłem się obok samotny, milczący...”

Sidor poprosił, żeby uczył Maszę i Jaszę. Zgodził się. Na górcie wstawiono ławkę, na której dwie godziny dziennie siedziały dzieci u stolika, poznając tajemnicę pisania... W tym właśnie czasie zaczął chodzić, odbywał długie spacery po wsi i okolicy, pewnego razu zobaczył na przyzbie kolegę z

katoggi sprzed wielu lat – to było przeżycie.

Raz w niedzielę po obiedzie Sidor zagadnął:

– A jarzabki jadałeś, Bronisławie Edwardowiczu?

– Nie, jakoś nie zdarzyło mi się.

– Smaczne ptaszki. Pełno ich teraz w brzeźniaku nad rzeczką. Poszedłbyś.

– Kiedy ja nie myśliwy.

– Jak to? Bojarszynow mówił, żeś bojowiec, no to umiesz strzelać.

– Owszem, strzelam dobrze, ale nie do zwierzyny, nie do ptaka.

– To wszystko jedno, do czego, grunt, że umiesz... Zaraz zobaczymy.

Zdjął ze ściany wiszącą dubeltówkę kapiszonową z prochownicą i miarką, przyniósł śrut i kapiszony.

– To wszystko zostało po bracie. Okropnie chciało mu się polować, no i tylko rok cieszył się strzelbą, wzięli w żołdacy... A ja do ręki jej nie brałem. Nie mam zamiłowania.

Strzelba była zardzewiała, kurki ciężko wzwodzą się, zacinają, poza tym wszystko w porządku.

– No, to strzelaj... Jaszka, postaw butelkę na płocie.

Odmierzili miarkę prochu, miarkę śrutu. Bronisław wsypał, przybił, założył kapiszony.

Wyszli na ganek. Wymierzył, gruchnął – brzdęk, butelka w drobny mak.

– A czy strącisz w powietrzu butelkę? Bratu nieraz to się udawało, kiedy strzelał dla wprawy.

Jaszka rzucił, Bronisław wymierzył i nic, butelka spadła.

– Co się stało?

– Niewypał. Kurek się zaciął.

Bronisław go rozruszał i kazał rzucić jeszcze raz. Butelka błyskając w słońcu poszła w górą i gdy była wysoko nad jego głową – wszyscy to widzieli – łupnął ją na rozprysk szklany.

– No, toś ty, widzę, strzelec! Masz na szczęście, strzelaj, za to, że uczysz dzieci!

– Dziękuję, Sidorze Karpowiczu, ale żeby mieć z niej pożytek, trzeba by ze rdzy oczyścić, kurki naoliwić.

– A do tego najlepszy jest Czutkich, myśliwy, ma on oliwę do strzelby i szmergiel. Idź do niego, nazywa się Mikołaj, a po ojcu Sawielicz.

Tak oto tegoż jeszcze popołudnia Bronisław znalazł się przed domem, który od pierwszego spaceru przyciągał jego uwagę. Dom duży, większy od domu sołtysa, pięcioma oknami patrzył na ulicę, z gankiem paradnym, z drugim gankiem kuchennym od tyłu, cały w koronkowej robocie snycerskiej, liście, kwiaty, ptaki, harmonijnie przeplatając się w bordiurach, wieńczyły i zamykały każdy element budowli... Tu Bronisław zrozumiał, dlaczego chata sołtysa na pierwszy rzut oka, kiedy oni przyjechali, wydała mu się jakaś inna. No, bo była inna. Ludzie z guberni riazańskiej budowali po riazańsku i nie mieli dużo czasu – ich chaty były ledwo tknięte rzeźbą. Czełdoni budowali obszerniejsze domy, i mocniejsze, i z większym smakiem. Cieśla Czutkich

budował dom dla siebie i dzieci swoich, nie żałując czasu i pracy, robił miłą ręką, wyglądało to jak modlitwa.

– A czemu tak się gapisz, wejdźże do środka! – usłyszał głos z wozowni.

– Podziwiałem waszą modlitwę, Mikołaju Sawieliczu – odrzekł, zamykając bramę za sobą, Bronisław. – Przypomniało to mi moje rodzinne strony, Polskę. W kościołach też tak rzeźbią.

Pochlebstwo przeszło mimo uszu ledwo musnąwszy.

– At, jak się było młodym, to się robiło takie zdobiny...

Wyprostował się na cały swój wzrost, a był niemały, sto osiemdziesiąt pięć z hakiem, masywny, równomiernie umięśniony... Trzymał w ręku młotek, naprawiał koło.

– Ja was znam ze słyszenia od Sidora, tylko jak się nazywacie, nie słyszałem...

– Bronisław Edwardowicz.

– Piękne imię... Więc z czymże przychodzie, Bronisławie Edwardowiczu? Strzelba, widzę, na ramieniu, strzelba nawaliła?

Wziął kapiszonówkę, obrócił w rękę.

– Jaszy Miotelka – powiedział w zadumie, i Bronisław zrozumiał, że Jemielianowowie pierwszego syna nazwali imieniem stryja. – Tak mówił na nią – Miotelka. Ciągle mi się odgrażał, zobaczysz, Mikołaju Sawieliczu, będzie czas, a wymiecie ona ci spod nosa wszystkie wiewiórki i lisy, i wydry, i rysie... Bo ja, wiecie, *za wsiakoj miagkoi ruchladiu*

*chożu, za puszninój**.

Podszedł do stołu, położył strzelbę i zaczął czyścić kurki papierem ściernym. Naoliwił.

– No, tu wszystko w porządku, popatrzmy, co w środku – wziął śrubokręt i zaczął odkręcać zamki.

Bronisław, milcząc, przyglądał mu się, jak zręcznie, jak delikatnie manipulują grube jego paluchy w zamkowych mechanizmach. Cały on, szeroki w barach, o byczym karku i zdrowej cerze, z zębami jak za młodych lat, z kasztanową brodą przetykaną tylko gdzieniegdzie srebrnymi nitkami siwych włosów, choć na pewno miał pod sześćdziesiątkę, tchnął jakąś czystą siłą i pogodą. Całość była przyjemna i nawet ładna, choć niejednego by raziły szczegóły, a właśnie one wzajemnie się uzupełniały, powiedzmy, zbyt mocno zarysowane kości policzkowe i gęsto nastroszone brwi łagodził mały, miękki nos, z pulchnymi, dziecinnymi ustami sąsiadowała szpetna blizna na policzku, przypominając, że nie wszystko w tym człowieku może być łagodne.

Z tyłu cień jakiś przesłonił światło, które wpadało przez otwarte wierzeje.

– Co jest, Jewko? – zapytał, nie odwracając się, Czutkich.

– Nic. Przyszłam zobaczyć, kto jest u ciebie.

Jewka miała niski altowy głos. Skrzyżowawszy ramiona

* *Za wsiakoj miagkoj ruchladiu chożu, za puszninój* – za wszelkimi miękkimi manatkami chodzę, za futrami.

stała na progu i patrzyła. Przyglądała mu się bez żadnej żenady. Wysoka i silna, to się przede wszystkim rzucało w oczy, potem, że harda, i na końcu, że niebrzydka, jasnoblond kariatyda.

– Moja córka, Jewka – przedstawił wciąż nie odwracając się, zajęty robotą Czutkich.

– Jewdokia Mikołajewna – poprawiła ojca.

– Mikołajewna – zgodził się ten.

Bronisław uklonił się.

– Ja bym poznał na pierwszy rzut oka, że to wasza córka.

Czutkich fuknął, odgłos ten mógł oznaczać zarówno tak i nie, że wdała się w niego, a Jewka odwróciła się od niego i poszła. Szła dużymi męskimi krokami, lekko kołysząc się w biodrach i gruby warkocz ze wstążką, zwisający do kolan, podrygiwał przy każdym jej kroku.

– Strzelba stara, ale jara, może jeszcze popracować – oświadczył Czutkich, zwracając strzelbę. – W lufach mogą być wżery, ja do środka włożyłem szmatki unurzane w nafcie, niech dwa, trzy dni poleżą, potem wytrzesz, naoliwisz... Skąd masz tego psa? – zapytał nagle, przyglądając się Bryskowi.

– Przybłąkał się. Chyba ma siedem miesięcy.

– Ale jego pochodzenie? Mieszaniec, to pewne. Matka była łajką, po niej wziął maść, pysk i ogon, ale ojciec... Ojcem musiał być wilk. Te wielkie łapy z pazurami, łapy na wyrost. On już jest wzrostu łajki, a będzie jeszcze przecież

rósł. I te kły! – szybkim, zręcznym chwytem rozwarł pysk Bryśka, zajrzał. – Kły ma wilka. To wilko-łajka.

– Co wy mówicie! – wyrwało się Bronisławowi, nigdy nie zastanawiał się nad cechami dziedzicznymi Bryśka, teraz zdjął go niepokój. – Wilko-łajka? To dobrze czy źle?

– To zależy, co zwycięży... Kury dusi?

– Dusi. Na razie dwie.

– Dostał lanie?

– Ma się rozumieć.

– No, to teraz trzeba uważać. Jeszcze jedna kura i pies zmarnowany – na łańcuch do pilnowania podwórza albo kula w łeb! Złodziej i włóczęga bez żadnego przywiązania, szkoda zachodu... A jeśli matka zwycięży, to może być jak moja Znajda.

Chmurny wracał Bronisław od niego. Dotąd wszystko go w Bryśku cieszyło, rósł jak na drożdżach, taki czysty, z lśniąca sierścią, te czujne uszy, chyże łapy... Teraz kosym okiem patrzył na niego, jak biegnie przed nim, nazbyt duże sterczące uszy, za długie łapy – z niedopieska wyzierał wilk, kurojad, owcożerca, koniokrad – na łańcuch takiego albo strzelić w łeb!

– Tylko tego brakowało!

Na dźwięk jego głosu Brysieł obejrzał się i spojrział pytająco – do mnie mówisz?

– Tak, do ciebie, wilko-łajko!

Nazajutrz poszli z Jaszą do wysokiego zagajnika, który brzezina, olchą i choiną porastał wypalone niegdyś i

porzucone łąki w kącie przed *poskotińką* na lewym brzegu rzeczki. Zagajnik przechodzący już w las, zapuszczony, dziki. Pełno tam było jarząbków, Jasza pokazał. Bronisław przyjrzał się, jak wyglądają, jak fruwały, gdzie żerują. Następnego dnia poszedł sam bez Jaszy, z Bryśkiem tylko, i spędził cały dzień na podglądaniu jarząbków.

Potem, zaraz po śniadaniu, wyciągnął z luf szmaty z naftą, wytarł do sucha, nabił i poszedł z Bryśkiem na polowanie. Nie wiedział, że jarząbek należy do najostrożniejszych ptaków, że już matka uczy młode położyć się w razie niebezpieczeństwa i nakryć się listkiem, wtedy jest nie do wykrycia, zupełnie zlewa się z tłem. Poświstujące wokoło jarząbki milkły przy zbliżaniu się do nich, las robił się martwy. Na szczęście jarząbków było mnóstwo, zdarzało się, że któryś nie wytrzymał milczenia i furknął, frrr... rdzawą błyskawicą dalej w gąszcz. Wtedy strzelał, a pole widzenia było niewielkie i strzelać trzeba było z przyrzutu równie błyskawicznie jak lot ptaka. Po całym dniu miał cztery jarząbki, choć strzelał siedem razy. Ale czuł ogromne zadowolenie. Zadowolony był z siebie, że złapał chwyt, i z Bryśka, ten ładnie się spisał. Przy pierwszym udanym strzale, kiedy ptak runął w zarośla, Bronisław poszedł szukać, daremnie rozgarniał trawy i krzewy, nic. Wtedy Brysieki zrozumiał, czego jego pan szuka, i zaczął niuchem dochodzić. Znalazł ptaka i podał go w zębach. A potem to już śledził lot i kiedy ptak spadał, rzucał się sam go szukać.

– Ładnie, Brysieki, ładnie, może będzie z ciebie Znajda.

Nie znasz Znajdy? Ja też jej nie znam. Wystarczy, że znakomity myśliwy Czutkich ją chwali.

Jarząbki upieczone z jabłkami jedli z brusznicą, oczywiście dorośli, dla dzieci nie wystarczyło, tylko Fenia, najmłodsza, siedząca na kolanach u babci, skosztowała. Sidor chwalił myśliwego i że on pierwszy dostrzegł – Bronisław Edwardowicz to zawołany myśliwy!

Następnego dnia poszło jeszcze lepiej – ubił siedem jarząbków, a strzelał tylko dziewięć razy. I Brysiek bardzo się starał przynosząc zdobycz. Żeby go jeszcze nauczyć wystawiania! Trzeba poradzić się Mikołaja, w jaki sposób tresuje się psa myśliwskiego? Jak nauczyć go wystawiać, robić stójkę?

I właśnie, kiedy pogwizdując, wracał do domu i przechodził przez most, to tu go spotkał.

– A ja akurat myślałem o was, żeby zapytać, jak nauczyć psa, aby to wystawiał – pokazał swoje trofea.

– To polujesz pan w czerwcu?!

– Tak, a bo co?

– Ależ one muszą mieć spokój, mają małe! Małe przy matkach, a samce... – obejrzał powiązane ptaki. – No tak, samce. Ojców pozabijałeś, Bronisławie Edwardowiczu, sieroty zostały... Nieładnie.

– Przepraszam, nie wiedziałem.

– To trzeba się pytać, żeby wiedzieć.

I wyraźnie zrażony do niego, poszedł swoją drogą.

Bronisławowi zrobiło, się niewymownie przykro.

Tym razem jarząbków wystarczyło dla wszystkich. Dopiero pod koniec obiadu Bronisław oświadczył, że teraz będzie przerwa w polowaniu do jesieni, i opowiedział spotkanie z Mikołajem..

– Ależ to dzikie kuraki, nie domowe! – zawołał Sidor. – No, jak on mówi, nieładnie, to niech tam, poczekamy do jesieni... Mamy co jeść.

„13.VII 1910 r. – Znów miałem sen, o katordze oczywiście. Bo nigdy mi się nic nie śni, a już jak się przyśni, to Akatuj i przeważnie śmierć.

Wysoko na kiju paliła się świeca. Majdaniarz Ostap rozścielił kozuch w kącie i Zabłocki, Stawryda, Chlust i Szypun grali w *biebuńce*, wyścigi pcheł na szkle, a Karajan siedział na kiblu, ja, nie wiadomo czemu, stałem koło wyjścia, żeby w razie potrzeby zawołać «*strioma!*»^{*} – na gaszenie świecy – i to mnie gnębiło, nie byłem byle kim, starałem się przypomnieć sobie, za co spotkało mnie takie poniżenie, bo na *striomę* dawało się zwykle golców i nowych. Nie mogłem sobie przypomnieć, a Karajan wciąż siedział na *parasze*, wysrywał spodłone jądło, które dostał od dozorczy, ktoś się przebudził i cisnął w niego *czyrkiem*^{*}. Mnie się już w głowie mąciło od tego smrodu, bo stać musiałem

* *Strioma* – niebezpieczeństwo.

tuż przy nim – «skończże już, bydlaku» – mówię... Wtem czuję, że ktoś mnie odciąga za poję chałatu na stronę,

– Chcesz, przyprowadzę ci *mazichę**?

– Kiedy ja nie mam *birsa**.

– Nie szkodzi. Tobie ona da za darmo.

– Dlaczego?

– Bo Polka...

I jak to się dzieje tylko we śnie, drzwi się otwierają, strażnik przepuszcza z ukłonem, drugi tak samo kłania mi się, jakby kto ważny kazał mnie wypuścić. Wychodzę, właściwie czuję, że wypływam w wolny świat. Jestem lekki jak barwne motyle, co latają razem ze mną. Zieleń wokoło, nie parkowa, strzyżona, ale bujna zieleń łąki w blaskach porannego słońca. Na wprost jaśmin i bez, z tego kwitnącego gąszczu wychodzi do mnie Mrozińska.

– Serwus, Bronku, podobno tyle przemierzyłeś krajów!

– A ty teatrów, Mario!

– Ale zawsze pamiętam o tobie, moja ty obstawo! Pamiętasz, na Rakowieckiej jak było?

Idziemy wzięwszy się za ręce jak w Łazienkach czy w Ogrodzie Krasieńskich. Maria mówi:

* *Czyrki* – katorżnicze trzewiki.

* *Mazicha* – kobieta.

* *Birs* – rubel.

– Przysuń się, Bronku. Jesteś prowokiem, dlatego cię zabijam! – i wbija mi sztylet w samo serce, w sercu przekręca.

Przebudziłem się. Za oknem świtało. Brysiek przednimi łapami stał na łóżku i skulił, widocznie rzucałem się we śnie, może jęczałem.

Już kilka razy miałem podobne sny. Zawsze coś obrzydliwego z katorgi, potem kobieta i śmierć. Nie jestem zabobonny, nie wierzę w sny. Rozumiem, katorga to skaza psychiczna, coś z możliwości strasznych, deformujących i krańcowych musi się śnić. Kobieta, mój Boże, od pięciu lat żyję w absolutnym celibacie, pragnę jej, to pierwsza potrzeba biologiczna, nie zaspokojona biologia wypiera kobietę w sferę snów. A śmierć – tu się odbija cały kompleks moich porachunków z Polską. Nie sądzę, aby na mnie został wydany wyrok śmierci, choć przy obecnych stosunkach i to jest możliwe. Nie wiem nawet, co naprawdę myślą teraz o mnie w kraju, czy są jakieś dowody, poza pogłoskami i domysłami, mojego tchórzostwa i zdrady, które jakoby wydały moich dwóch towarzyszy na szubienicę. Może sprawę wyjaśniono i odszczekano. Mnie się zawsze śni wariant najgroźniejszy, o którym wcale nie myślę – że mnie zabijają. To byłoby ostatecznym moim pohańbieniem – wyrok został wykonany, koniec, kto by tam dochodził, czy słusznie.

Są przeżycia, które jak urojenia rosną i nasilają się, mogą doprowadzić do samobójstwa lub obłądu, jeśli ich w

porę nie rozładować. Jestem sam. Tylko z Bryśkiem rozmawiam po polsku.

Napocząłem mój zeszyt w ceratowej oprawie koloru zielonkawego marmuru. Spróbuję pisać. Nie dla potomnych. Nie jestem megalomanem, by sądzić, że po latach zainteresować ich może diariusz zesłańca pisany w głuchej wsi syberyjskiej, gdzie wydarzeniem historycznym bywa pomór świń albo gorączka złota. I nie dla sztuki pisania. Będę spisywał podobne momenty, momenty psychiczne, żeby mieć ich rejestr i nie zwariować, zachować zawsze sąd trzeźwego rozsądku”.

„20 VII – Znów kobieta, nie, nie rozwydrzenie, nie chuć, ale uczucie ukojonej błogości. Ta zakwitająca dziewczyna, z którą spotkaliśmy się kiedyś na stacji pod Moskwą, stała w otwartym oknie wagonu, na tle błękitnego nieba, zdawała się śnić swój wiosenny błękitny sen”.

„4 sierpnia. – Na Piotra i Pawła zaczęły się sianokosy. Dzisiaj cała wieś wyruszyła do grabienia i ja także. Po trzech miesiącach dobrego życia na wsi robienie grabiami od świtu do wieczora wydawało mi się przyjemną pracą fizyczną, zwłaszcza w gromadzie, przy śpiewkach i wzajemnym przekomarzaniu się. Kiedy skrzyknięto wszystkim na kolację, podjedliśmy, nie obeszło się i bez tradycyjnego półkwatka wódki. Nadskakującą mi cały czas dziewczyna, przysunąwszy się bliżej, szepnęła: «Uważajcie, Bronisławie Edwardowiczu! Lepiej, żebyście już poszli do domu...» Nie zdążyła wyjaśnić, dlaczego lepiej, jak nas obścibali. Ja

później od niej usłyszałem – dowiedziała się, że chłopcy zmagają się, żeby nas postawić przeciw sobie, mnie i Jewkę Czutkich, na zapasy – jeśli Jewka zwycięży, to nie będą mieli wstydu, widzicie, ona wszystkich kładzie, a jeśli przegra, to się zemszcą na Jewce. Więc chciała uprzedzić, ale nas obstąpili i krzyczą: «Kto silniejszy, Rosjanin czy Polak?» Ja mówię, że jak przypadkiem trafi się silniejszy Rosjanin, to on... A oni, że u nich Jewka najsilniejsza, zmierz się z nią! Ja im na to, że u nas w Polsce mówią: «nie bij kobiety nawet kwiatkiem!» «Ale chodzi nie o bicie, ale o zabawę! Jewka, boisz się go?» Ona stała obok milcząca, wysoka, mojego wzrostu, na pewno ma sto osiemdziesiąt. «Ja się nikogo nie boję!» «No, to spróbuj na rękę!» Wyciągnęła do mnie rękę. Nie jestem słaby, praca przy taczce, przy piecach płomienistych raczej utwardziła moje mięśnie, ale jak ona ścisnęła moją prawicę, to poczułem, ma dziewczka krzepę! Ale wytrzymałem i z kolei ja ścisnąłem z całej siły. Nie drgnęła. «Na przesuwankę!» – zakrzyczano. Stanęliśmy noga w nogę i nuże siłować się, kto kogo przeciągnie. Stałem jak wryty, nagle ona lewą ręką przyciągnęła mnie do siebie i dała pod nogę. Runąłem na ziemię wraz z nią, ja pod spodem, ona nade mną. Buchnął krzyk: «Jewka górą! Kolanem go, kolanem! Na łopatki!» Leżałem na łokciu, więc zaczęła przygniatać mnie do ziemi, ujrzałem z bliska rozbestwione źrenice i opuchnięte usta, dwie prężne półkule zwały się z moją pierśią – nie, niedoczekanie wasze! – zakleszczyłem jej głowę prawym ramieniem i jednym z tych kilku japońskich

chwytów, których nauczył mnie bosman Szirbaszydze w Odessie, przerzuciłem ją przez siebie, tak że znalazłem się na niej, mocowałem się z nią, chcąc położyć na łopatki, tylko od ściskania jej, od bliskości gorącego ciała zrobiła mi się erekcja, i ona widocznie to wyczuła, bo krzyknęła: «Puść, *warnaku!*»^{*} Chlasnęła mnie najgorszym słowem – *warnak*. Puściłem. Skoczyła na równe nogi, a ja pochylilem się, niby otrzepując ziemię z nogawek, tyłem do ogniska, żeby nikt nie zauważył, co się ze mną stało. «Nikt nie wygrał, nikt nie przegrał! – okrzyknęli chłopaki. – Jewka równej siły!» Potwierdziłem to, wciąż otrzepując się, tyłem do nich – oczywiście równej...

Wracałem do domu razem z Jemielianowymi. Sidor opowiadał mi o Jewce, jak ją ojciec nazwał, nie pospolicie Dunią, bo tak zwykle zdrabiają Jewdokię, ale właśnie Jewką, jedną jedyną wśród miliona Jewdokij. Mocowała się już ze wszystkimi chłopakami i wszystkich pokonała, więc została starą panną. Bo u nich tak jest, że jak mąż kocha żonę, to mimo to ją bije, a jak nie kocha, to dopiero bije! I to jest normalne. Nienormalne byłoby, gdyby żona pobiła męża, a od niej można się tego spodziewać, harda jest i silna. Więc nikt nie chciał ryzykować, wszyscy konkurenci poodpadali. I oto została sama, dwadzieścia cztery lata, rówieśnice jej dawno mają męża i po kilkoro dzieci – «a ona z taką siłą całkiem się zbiesi!»

* *Warnak* – obelżywe przezwisko katorżnika.

Niemal całą noc nie spałem. Pragnienie kobiety! Kobiety byle jakiej, pobiegłbym za nią jak pies za suką, gdyby nikt nie widział, że biegnie inteligent, zesłaniec polityczny, Polak... To jedno trzyma, daj Boże wytrzymać”.

Wasiliew zaprosił Bronisława na wieczorynkę, która miała się odbyć szóstego sierpnia, a że to wypadł akurat dzień targowy i Sidor chciał kupić konia i dwadzieścia dziesięcin ziemi, to się zbiegło, pojechali razem.

Przenocowali u znajomego Sidora w Udińskim i nazajutrz poszli na targ, właściwie Bronisław odprowadzał. Spotkali kilku Tunguzów o żółtawo przydymionej cerze, czarnowłosych w sinawym odcieniu, z warkoczykami, niskiego wzrostu, ale szerokich w ramionach, za wesołość, naiwność i rycerskość nazywają ich tutaj „szlachtą syberyjską”, po czym pożegnał Sidora i udał się do księdza Leonarda Sierpińskiego. Ksiądz mieszkał na skraju wsi, tam gdzie wzgórze opada już ku południowi, i tu gospodarzył na pięciu dziesięcinach, ogrodzonych wysokim płotem.

Na szczekanie psa wyjrzała wysoka kobieta w staroświeckim *kumaczowym sarafanie*^{*}, siwa i szczupła, lecz z lekkim rumieńcem na czerstwych policzkach. Bronisław zapytał, czy zastał księdza, na to ona zaprosiła go do wnętrza obszernego domu. Z ganku przeszedł do pokoju, który wyglądał na pracownię, widziało się tu bowiem na oknach

* *Kumaczowy sarafan* – rosyjski kobiecy strój, rodzaju dłuższej sukni, z wysoką talią, z rękawami

skrzyneczki z jakimiś próbkami zasianych roślin, na ścianach pęki suchych ziół i tablice pomiarowe, jak się okazało, temperatury powietrza i ziemi, drobne narzędzia rolnicze, notatki na stole i wielki *omul*^{*}, a przy nim biały ksiądz. Miał na sobie spodnie z grubego domowego lnu, takąż marynarkę z mankietami na guziczki, bez kołnierzyka, wszystko, jak później powiedział, własnej jego roboty, tylko kremową koszulę uszyła mu gospodyni.

Usłyszawszy „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” – oniemiał, dopiero gospodyni odpowiedziała poważnie z radosnym błyskiem w oczach:

– Na wieki wieków, amen!

Teraz Bronisław się zdumiał:

– To pani umie po polsku?!

– Umie, a jakże, umie – powtórzył przytomniejąc ksiądz Leonard i objął go. – Toć z nią tylko rozmawiam po polsku!

– Ja pięć lat nie słyszałem słowa polskiego!

– A ja jednaście, nie licząc tych moich słów do Serafimy.

Puścił na odległość ramion, przyjrzał mu się.

– Słyszałem ja o tobie, synu, ludzie mówili, przywieziono do Starych Czumów osiedleńca jednego, Polaka... Nawet wybierałem się, ale cóż, to trzy dni, tam i nazad, a tu robota w ogrodzie...

Był średniego wzrostu, szczupły, łysawy, łysinę kryła

* Omul – ryba z rodziny łososiowatych, rodzaj siga, długości do 65 cm, wagi 2-7 kg.

piuska, usta szerokie i cienkie, a oczy niezwykle, nieproporcjonalnie duże do mizernej twarzyczki, chabrowe i dziecinne, jakieś zupełnie niekapłańskie oczy.

– Chwała Bogu, trafiła mi się na piątek taaaka ryba! – zawołał zrobiwszy przysłowiowy wędkarski gest. – Będzie *ucha*, że cha!

– I pierogi, proszę księdza – dokończyła Serafima zabierając *omula*.

Druga izba była sypialnią, gościnnym i czytelnią, na regałach pod ścianą piętrzyły się stopy starych dzienników polskich, i tu zaczął wypytywać. Z początku Bronisław miał zamiar opowiadać krótko i zwięźle, ale dziecinne oczy słuchacza i jego przejęcie sprawiło, że rozgadał się. Usłyszawszy, za jaką sprawę dostał taki wyrok, posmutniał.

– To pewnie jesteś niewierzący? – zapytał cicho.

– Nie wiem. Raz mi się wydaje, że wierzę, raz nie. Nie myślę o tym.

– To dobrze, to bardzo dobrze – ucieszył się, nie wiadomo czemu.

– Zwątpienie przyprowadzi cię do Boga.

Wyszli do ogrodu. Ujrzał rządę młodziutkich jabłonek obsypanych dojrzewającymi jabłuszkami. Widok ten ogromnie go wzruszył. Pierwszy raz zobaczył na Syberii jabłonie!

– To zdumiewające, i tyle ich! – policzył – dwanaście. – Ależ to liczba apostołska, dlaczego?

– Bo też są to apostoły – powiedział radośnie ksiądz

Leonard i wyjaśnił, że ta okolica nie zna jabłek.

Opowiedział, jak doszedł do tego, dziesięć lat temu. Chodził po tajdze i szukał dzikiej jabłoni syberyjskiej. Dowiedział się, że rośnie ona po brzegach rzek i opuszkach leśnych. Znalazł młode, pięcioletnie, i w październiku przyszedł wykopać. Jakież było jego zdumienie, gdy zobaczył jabłonki bez liści, ale z owocami czerwonymi jak wisienki. Wykopał, przesadził do zawczasu przygotowanych i dobrze ugnojonych dołków. Przyjęły się. Wtedy odczekał rok i zaszczepił. Pielęgnował starannie, no i ma. Rozeszła się wieść, teraz ze wsi przychodzą, przyglądają się, też chcą szczepić.

– A jak je nazywają?

– A różnie, „ranietki Sierpińskiego” albo „*lubimicy* księdza Leonarda”.

Dalej było dziesięć długich inspektów, „wszystko sam zrobiłem”, nie bez dumy powiedział ksiądz Leonard, a w nich, oczy nie chciały wierzyć! – rosły pomidory, kalafiory i papryka.

– Jak to ksiądz robi? Papryka! Przecie ona wymaga długiego okresu wegetacyjnego, to jak go ksiądz skraca?

– A ja i nie skracam. Wysiewam w lutym, rośnie u mnie w skrzyneczkach w domu, w maju ją rozsadam, w czerwcu przesadam do inspektów, z początku na noc zamykam, a w lipcu i sierpniu w pełnym słońcu dochodzą.

Wokoło rosły ogórki, kapusta, kartofle i inne warzywa. Każdy skrawek ziemi z tych pięciu dziesięcin tutaj

wykorzystano, uprawiano, wypieszczono ręką księdza Leonarda i Serafimy.

O niej dowiedział się, że jest wdową, ma pięćdziesiąt lat, z czworga jej dzieci żyje dwóch synów, jeden podoficer zawodowy w wojsku, drugi kupiec.

Na rozmowach i oglądaniu zeszło im do obiadu. Przed obiadem ksiądz trzymając w ręku karafkę powiedział, że pija na apetyt kieliszek, czy Bronisław pozwoli? Oczywiście, jak najbardziej! Nalał do kieliszka ciemnoczerwonego płynu o smaku cierpkim, ale przyjemnie muskającym podniebienie. Bronisław spytał, co to jest. Nalewka na porzecze syberyjskiej, odrzekł, z dodatkiem *kniażeniny* i ziół. Wypili pod kanapki z kawiozem, także z produkcji, właściwie z połowu księdza. Po podaniu *uchy* ksiądz spytał, czy nie jest przesolona. Skądże, odpowiedział Bronisław, zupa w sam raz dosolona. Ksiądz uśmiechnął się chytrze: „A była przesolona”. „To co się stało, że teraz nie?” „Bo Serafima wrzuciła kawałek węgielka brzozonego, on wchłonął nadmiar soli... Mistrza poznaje się wtedy, gdy coś sknoci, wówczas ratując swe dzieło pokaże, co potrafi...” Istotnie potrafiła tego dokazać i z *uchą*, i z pierogami, i z kisielem. Pili herbatę, do której podała wyśmienite konfitury z poziomek, aż w pokoju zapachniało lasem: Dawno Bronisław nie jadł tak smacznego obiadu. Bo Łukieria daje jeść obficie i pożywnie, ale ma smak niewybredny i gdy coś sknoci, to brak jej owego węgielka brzozonego.

Stosunki sąsiedzkie dobre, szanują go, a już te dwie

uczennice i praktykantki księdza najbardziej są przywiązane, młodziutka żona Wasiliewa i popadia Ksenofontowa. Sam Ksenofontow jest z natury wojujący, musi mieć niedowiarków lub inaczej myślących, żeby ich poskramiać, tymczasem starowiercy kryją się nie przyjmując dyskusji, a chrzcic Tunguzów, szamanistów, lub Buriatów, lamaistów, pod przymusem brzydził się i nie chciał dawać dla przynęty koszuli z krzyżykami. Wyzwał na dysputę Kościół katolicki w osobie księdza Leonarda, ale ten miał wtedy kłopoty z pomidorami. Powtórzyć wyzwania już nie udało się, przeszkodziła popadia, dajże spokój, bój się Boga, toż to najuczciwszy człowiek i biegły w Piśmie Świętym nie gorzej od ciebie. I w końcu tak się złożyło, że Ksenofontow przyszedł za popadią do księdza Leonarda i nie było trzęsienia ziemi. Pogadali sobie, zagrali w szachy i odtąd pokój Boży panuje nad szachownicą.

Na ścianie wisiała strzelba, Bronisław spytał, czy ksiądz poluje. Każdy tutaj poluje, kto ma ręce i nogi, odrzekł, takie mnóstwo zwierzyny. Tylko gołębia i zająca nie jedzą: w gołębie wcielił się ongi Duch Boży, a zając to kot. Za zającem lubi ksiądz pochodzić z psem po martwej poroszy, a najwięcej to on poluje na ptactwo: na kaczki, gęsi, bekasy, jarzabki, cietrzewie i głuszce. O tej właśnie porze, po Pietrze i Pawle, kiedy mija na kaczki czas ochronny...

– Kiedy w Polsce już po żniwach...

Jakby padło zakazane słowo i śpiący się obudził.

– W Polsce ja nie znam wsi, chowany jestem w

Warszawie – rzekł Bronisław. – Kiedy chcę sobie przypomnieć Warszawę, staję w myślach na samym jej wierzchołku, na szczycie, u kościółka na Samborskiej, to zdaje się najstarszy kościół Warszawy. Roztacza się stamtąd wspaniały widok na kamieniczki i rudery Powiśla, na Wisłę i wioski, i pola zarzecz... Idę potem niespiesznym krokiem przez Rynek Starego Miasta, oglądam kamieniczki i kramy, przechodzę obok katedry Świętego Jana...

– Wstępuję do katedry, tam piękne witraże i rzeźby!

– Tak, wstępuję, oglądam i tak spacerkiem dochodzę do kolumny Zygmunta, do Zamku Królewskiego i Krakowskiego Przedmieścia...

– Nie można przejść mimo kościoła Wizytek!

– Racja. Potem Miodową i Senatorską wychodzę na plac Teatralny, do kawiarni Semadeniego pod filarami na filiżankę kawy z ptifurkami...

Tak pomagając sobie we wspomnieniach, wędrowali razem przez Warszawę, oglądając pałace, sklepy i domy znanych firm, Bronisławowi przychodziło z łatwością, był dzieckiem Warszawy, a księdzu przypominała się Warszawa z lat młodości, seminarium duchowne kończył przecież w Warszawie.

– Cudna jest nasza Warszawa...

Po chwili milczenia, cicho, jakby pytał o karty:

– A może byśmy sobie poczytali? Mam świeży numer „Kuriera”.

– Chętnie, proszę księdza.

Przyniósł „Kurier Warszawski”, nałożył okulary i zaczął czytać o obchodach rocznicy 500-lecia bitwy pod Grunwaldem. I kiedy tak w okularach czytał, powieki nakryły oczy jak błony zmęczonego ptaka, wyraźniej wystąpiły cienie pod oczami i bruzdy wokół ust – Bronisław zobaczył nagle starego człowieka, choć lat pięćdziesięciu kilku, przeżyć bolesnych miał na sześćdziesiąt.

Spojrzał na zegarek – było po piątej. Przeprosił, tłumacząc się zaproszeniem do Wasiliewa na piątą, ale czy mógłby mu pożyczyć trochę tej prasy? – Bardzo proszę – powiedział ksiądz – ja prenumeruję „Dziennik Petersburski” i „Kurier Warszawski”, wybiorę panu kilkadziesiąt numerów z ostatniego półrocza.

Pożegnali się serdecznie u furtki. Uszedłszy jakieś dwieście kroków, obejrzał się – wciąż stali, biały ksiądz i obok o głowę wyższa ciemna sylwetka Serafimy.

Nie wiadomo, czy chłopak, który wskazał mu ten kierunek, gdzie mieszka Szestakow, pomylił się, czy on się pomylił, ale szedł i szedł, aż w końcu trzeba było zawrócić. Udińskie, jak się przekonał, jest znacznie większe, niż przypuszczał, ma dwieście domów, przeszło tysiąc mieszkańców i ciągnie się na przestrzeni dwóch wiorst. Słowem, kiedy pobłądziwszy, znalazł dom Szestakowa, było już po szóstej.

Dom był duży jak na Udińskie i ozdobny, Bronisław nie miał jednak czasu mu się przyjrzeć, pomyślał tylko, udał się teść Wasiliewowi, a raczej Wasiliew teściowi. Mikołaj

Czutkich powiada, że Szestakow w samą porę trafił na Wasiliewa, agronoma, toteż szanuje go i słucha jego rad i dobrze na tym wychodzi... Przez kryty ganek paradny wszedł do sieni, która przedzielała dom na dwa jednakowe mieszkania po dwa pokoje z kuchnią. Nie wiedział, po której stronie Wasiliew mieszka, ale usłyszawszy głosy z prawa, pchnął prawe drzwi.

Ujrzał ogromne, pojemności dwóch wiader brzucho samowara z czerwonej miedzi, pełno gości przy długim stole, ktoś ze skrzydełkami na głowie coś referował i właśnie triumfalnie oznajmił: – Tak oto ludzie doszli do idei oszczędzania przez wydatki – i umilkł, wlepiwszy oczy w Bronisława... Ludzie zaczęli się oglądać. Bąknąwszy „przepraszam”, chciał wycofać się, myśląc, że pomylił drzwi, wtęm Wasiliew, precyzyjnie się do niego, wziął pod ramię: – Spóźniliście się, towarzyszu, dłużej nie mogliśmy czekać – i z uśmiechem poprowadził go do gospodyni przy samowarze, młodziutkiej, prześlicznej kobiety w błogosławionym stanie, czego nie mogła była ukryć w fałdach kloszowej sukienki: – A to moja żona, Nastieńka, która obchodzi dziś dwudziestą rocznicę urodzin.

Nieco zmieszany, zaczął składać życzenia, przepraszając, że przychodzi z pustą ręką, nie wiedział...

Buchnął śmiech. Jak się okazało, przyczyną ogólnej wesołości było to, że prawie wszyscy znaleźli się w podobnej sytuacji, Wasiliew bowiem zaprosił zwyczajnie na wieczorynkę nie wspominając o urodzinach.

Kiedy się uciszyło, przedstawił Bronisława: „Nasz sąsiad z niedalekich Starych Czumów, Bronisław Edwardowicz Najdarowski, przybył z Akatuja”.

Bronisław uklonił się, prosząc o wybaczenie mimowolnego zamieszania, po czym siadł na podsunięte krzesło. Nastienka podała mu szklanekę herbaty i jakieś ciasto, wtedy Wasiliew powiedział: – Słuchamy was, Wienieminie Ignatiewiczu.

Człowiek o niezwyklej łysinie, jak gdyby kto maszynką do strzyżenia zrobił mu ścieżkę przez środek głowy do różowej skóry, zostawiając po bokach włosy, długie, gęste, szpakowate, na czubkach białe, od czego wyglądał on wyższy i jakby natchniony, ten człowiek ruszył tymi skrzydełkami, powiódł po zebranych okiem promiennym sponad niklowych okularów:

– I tak tkacze angielskiego miasta Rochdale w 1844 roku doszli do idei oszczędzania przez wydatki!

Opowiadał historię ruchu kooperatywnego, rzeczy znane Bronisławowi, a Wasiliew, przysunąwszy się z tyłu, szeptem prezentował: „To Kosoj, kierownik szkoły, społecznik, zawsze z nami, eserzy, mieńszewicy, bolszewicy, wszystko mu jedno...” A na młodą trzydziestoletnią kobietę: „Ta jasnowłosa – to Nadieżda Barwienkowa, bolszewiczka...” Na człowieka o rysach tak semickich, że wyglądał jak płachta na antysemicie: „Lew Samojłowicz Frumkin, mieńszewik, muchy nie skrzywdzi, tylko zakuty dogmatyk...” O potężnym siwiejącym mężczyźnie w rosyjskiej haftowanej koszuli

szeptał: „Foma Nikitycz Tietiuchin, narodnowolec, dwadzieścia lat zesłania, został na Syberii, dobry felczer, lepszy od niejednego lekarza...” Dalej zwrócił uwagę na przystojnego młodzieńca o rozmytym rumieńcu na policzku – Pietia Luboczkin, były uczeń szkoły Wieniamina Ignatiewicza, trochę starszy od Nastieńki, dwadzieścia dwa lata, bardzo zdolny, pracuje u Zotowa w biurze Samorodka, trzydzieści wiorst stąd...”

Zaprezentował tak nauczyciela, nauczycielkę i pół tuzina byłych uczniów, obecnych na wieczorynce, kiedy go, ścisnąwszy rękę, Bronisław powstrzymał. Mówiło się o rzeczach dla niego nie znanych, wybiegających daleko poza historię ruchu kooperatywnego na Zachodzie. Oto w 1908 roku Bałakszyn zakłada *Sojuz Sibirskich Masłodielnych Artieliej*, czyli związek syberyjskich kooperatywnych producentów masła. Z początku związek liczył 65 arteli i 12 kooperatywnych sklepów z 21 000 kapitału. A po dwóch latach – 181 arteli i 34 sklepy. Związek wywiózł za granicę w ciągu sezonu 3 329 292 pudy* masła wartości 46 924 186 rubli.

– Idea kooperatywności szerzy się obecnie na Syberii w tempie błyskawicznym i z siłą żywiołu! – mówił Kosoj. – Za parę lat – ja wam to mówię, a wiecie, że nigdy nie kłamię! – będziemy mieli tysiące arteli-kooperatywów i tysiące sklepów, będziemy obracali kapitałem dziesiątków milionów

* Pud – dawna miara wagi w Rosji, pud = 40 funtów = 16,38 kg.

rubli, uruchamiając produkcję nie tylko masła, ale i serów, wędlin, narzędzi i maszyn rolniczych, budując szkoły powszechne i szkoły rolnicze, domy ludowe i biblioteki! W tej chwili podbijamy bastiony masła europejskiego, jakimi są Anglia, Holandia, Dania i Niemcy. Podbijamy dlatego, że pod względem smaku i zawartości tłuszczu masło syberyjskie nie ma sobie równych, i Niemcy, nawet Duńczycy, uszlachetniają nim swoje masło... Proszę państwa, w naszym kraju zachodzą i zachodzić będą przeobrażenia, które nie śniły się filozofom, ja tu tylko zacytuję słowa prezesa rady ministrów, Stołypina, który powiedział: „produkcja masła na Syberii daje dwa razy więcej złota niż cały syberyjski przemysł złota”. Koniec cytatu.

Skończył i łyknął wody.

Zapanowało milczenie.

Wasiliew półzartem zapytał, czy Bronisław, który przyszedł ostatni, nie zabierze głosu pierwszy?

Bronisław na to, że czuje się oszołomiony. Wobec wspaniałego rozwoju kooperatywności na Syberii życzyć mu można tylko dalszych sukcesów. A co do samej idei, to nie jest mu ona obca, stykał się z nią w 1903 i 1904 roku, kiedy ją zwalczał.

– Zwalczał pan idee kooperatywności? – przepytął z niedowierzaniem Kosoj, unosząc w górę swe krzaczaste brwi.

– Nie o kooperatywność szło, ale o pewną polską jego odmianę, którą tworzył Edward Abramowski.

– Drobnomieszczański utopista – rzuciła jakby od

niechcienia Barwienkowa i stuliła wargi w ciup, że nie warto więcej o tym mówić.

Ale Lew ruszył, Lew Samojłowicz Frumkin, przysięgły jej antagonistą:

– A dlaczego utopista, możecie mi wytłumaczyć? Bo ja nie słyshałem o Abramowskim.

– No, jeśli chodzi o Abramowskiego, to urodził się na Ukrainie w rodzinie ziemiańskiej, miał majątek – powiedział Bronisław. – Do żadnych szkół nie chodził, do niego przychodzili nauczyciele, najlepsi nauczyciele, jakich mógł mu znaleźć ojciec, a że miał fenomenalne zdolności, to potem na studiach uniwersyteckich wszystko lekko mu szło. W latach młodości był działaczem mojej partii, polskiej partii „Proletariat”, mając 22 lata ożenił się z robotnicą, prócz Polski znał Szwajcarię, Francję i Anglię. W późniejszych latach całkowicie poświęcił się dociekaniom filozoficznym, psychologicznym i socjologicznym, szczególnie dużo pisał o kooperatyzmie.

– W tym nie ma nic z utopii – zauważył Frumkin. – Towarzysz opowiada nam życiorys uczonego, nawiasem, mówiąc, sympatycznego uczonego.

– Musiałbym przedstawić państwu poglądy Abramowskiego na państwo i kooperatyzm, a to, sądzę, nie wszystkich interesuje...

– Przeciwnie, bardzo interesuje! – zawołał Kosoj.

– Poza tym chcecie, widzę, na tym zebraniu zająć się jeszcze kooperacją w Udińskim.

– Jedno drugiemu nie przeszkadza – oświadczył Wasiliew. – Nie szkodzi poznać czyjeś poglądy na ten temat.

– To da nam perspektywę! – dodał Luboczkin.

– I pogłębi referat, jeśli można tak powiedzieć – nieśmiało rzucił ktoś z młodzieży.

– W takim razie postaram się... Czytałem Abramowskiego uważnie, podchwytliwie, wyszukując argumentów na obalenie tego czy innego jego poglądu, to może mi przeszkadzać, ale i pomóc może.

Przede wszystkim, mówił, Abramowski nie podzielał poglądu większości socjalistów na państwo. Jak wiadomo, w większości swej godzą się oni na istnienie państwa po rewolucji, uważając, że to będzie zupełnie inne państwo, nasze państwo, dobre, w służbie klasy robotniczej. Otóż Abramowski twierdzi, że nie może być dobrego państwa, jak nie może być dobrego wilka. Każde państwo z natury swej będzie złe, oparte na przemocy, strachu i sile zbrojnej, dlatego ogłasza się socjalistą bezpaństwowym. Po drugie, każda rewolucja ustroju powinna być poprzedzana rewolucją świadomości, rewolucją moralną. Stary, zgniły świat nie może urodzić nowego zdrowego – ludzie skażeni niewolnictwem i upodleniem nie zbudują pięknego gmachu wolności. Stąd proponowana przez Abramowskiego droga do socjalizmu – nie z góry, nie przemocą przez opanowanie władzy i wydanie odpowiednich dekretów, ale od dołu, stopniowo, w miarę rozwoju stowarzyszeń spółdzielczych. Kooperatysta nie jest zapatrzony w daleki abstrakcyjny świat

o lepszym ustroju, ale on buduje ten świat nie czekając żadnego przewrotu. Tworzy nowe instytucje, wydzierając kapitalizmowi coraz to nowe dziedziny handlu, rolnictwa, przemysłu. Kooperatywy spożywcze zmieniają handel, kooperatywy na wsi organizują produkcję mleka i serów, i całego rolnictwa. Towarzystwa oszczędnościowo-pożyczkowe lub wzajemnego kredytu umożliwiają ludowi tworzenie własnych przedsiębiorstw, a obok związków zawodowe bronią interesów klasy robotniczej. Wszystko to tworzy obraz nie tyle państwa socjalistycznego, ile socjalistycznej rzeczypospolitej kooperatywnej.

Myślał, że zanudził słuchaczy, wtem poczuł uścisk gorącej dłoni Wasiliewa: „Brawo, świetny debiut...”

Kosoj podziękował za piękny koreferat, jak się wyraził, znacznie rozszerzający nasze horyzonty myślowe i podbudowujący główne tezy.

– No, ja bym powiedziała – rzekła Barwienkowa – że towarzysz Najdarowski mówił z takim zapalem, jakby był zwolennikiem Abramowskiego.

– Ja nie odniosłem takiego wrażenia – zaprzeczył Lew Frumkin potrząsając grzywą. – Wyczułem tylko, że pragnie wiernie oddać obce mu teorie, czy nie tak?

– I tak, i nie. Ja tak długo zwalczałem Abramowskiego, że poczułem do niego sympatię, przeszedłem trochę abramowszczyznę. Pewne twierdzenia jego są utopijne, baśniowe, widzę to, ale nie zapominam, że wszystko, czym się teraz szczycimy, było kiedyś utopią.

Zaczęto go wypytywać, kiedy to było? W jakich okolicznościach?

Opowiedział, że zetknął się z Abramowskim w 1903 roku w Warszawie, gdzie ten zakładał swoje Koła Etyków w środowisku młodzieży akademickiej i robotniczej. W 1904 roku, na skutek agitacji PPS, SDKP i „Proletariatu” oraz przybierającej fali rewolucji, kółka te pękły. Zawstydzano ich uduchowieniem, pięknoduchy, wołano na nich, więc chcieli pokazać, że się nie boją. Poszli w rewolucję, do organizacji bojowych, wbrew swej naturze. Szkoda ich. To była piękna młodzież i dużo słusznego było w ich prorocत्वach. I po cośmy ich właściwie zwalczali? Kiedy nareszcie powstanie socjalizm, to co z naszego świata ocaleje w nim, co zostanie? Kooperatyzm na pewno!

Dyskusja potoczyła się chaotycznie, niezupełnie na temat, na skutek niewyrobienia i nieprzygotowania słuchaczy ludzie niewiele mieli do powiedzenia. Bronisław spoglądał na nauczycielkę – ona nie spuszczała wzroku z niego. Była młoda, w jego typie...

W końcu postanowiono zwołać w szkole zebranie założycielskie kooperatywy w Udińskim.

Ludzie zaczęli się rozchodzić. Wasiliew, Barwienkowa i Frumkin zapraszali Bronisława do siebie, kiedy będzie w Udińskim. Kosoj odwołał go na stronę.

– Nie ma pan przypadkiem adresu pana Abramowskiego?

– Niestety nie mam.

– Szkoda... Wciąż jestem pod wrażeniem jego teorii. Chciałbym do niego napisać.

– Tak? W takim razie znam kogoś, kto jest z nim w przyjaźni. Niech pan napisze do Krzywickiego z prośbą o doręczenie Abramowskiemu. Profesor Ludwik Krzywicki, Wyższe Kursy Naukowe, Warszawa, Krakowskie Przedmieście 7...

Kosoj zanotował, na pożegnanie prosił o doręczenie kartki sołtysowi Sidorowi Jemielianowowi.

Po drodze Bronisław rozglądał się za nauczycielką, ale nigdzie jej nie było.

Sidora zastał w świetnym humorze. Wszystko załatwił, jak chciał. Dopełnił w gminie formalności z dokupieniem dwudziestu dziesięcin upatrzonej ziemi i na targu kupił młodego, silnego konia, A potem dowiedział się od znajomego, że tydzień temu przywieziono na osiedlenie skopca*, zaraz poszedł i zgodził go. Zdrowy chłop i ze wsi, na robocie się zna.

Bronisław oddał mu kartkę. Rozwinął. Na arkuszu z zeszytu szkolnego odręcznie dziecinny charakterem pisma było napisane:

„Do wszystkich włościan gminy Udińskie.
Wstępujcie do Artelu Mleczarskiego – składka 1 rubel.

* Skopcy – sekta religijna, według której jedyną drogą zbawienia duszy jest kastracja. Należenie do tej sekty było w Rosji karane zesłaniem na Syberię.

Zebranie walne członków Artelu w głosowaniu tajnym wybierze Zarząd z trzech członków i przedstawiciela Artelu do Związku Spółdzielni Mleczarskich. Całe Twoje mleko nabywa Artel po cenach rynkowych i Ty nikomu więcej nie sprzedajesz. Masło wyprodukowane przez Artel nabywa tylko Związek Spółdzielni Mleczarskich, Artel otworzy sklep i będzie swoim członkom dawać towar na kredyt pod dostawione mleko. Zysk z pracy Artelu jest dzielony stosownie do ilości dostarczonego mleka.

Czysty zysk ze sklepów spółdzielczych jest dzielony stosownie do tego, ile każdy sklep uhandlował.

Założyciele: W. I. Kosoj, kierownik szkoły, F. N. Tietiuchin, felczer, S. Ch. Szestakow, włościanin”.

Sidor przeczytał i powiedział z uznaniem:

– Pójdą jak w dym...

Nazajutrz Bronisław zobaczył nowego robotnika. Przyszedł z torbą na ramieniu. Sidor kazał mu zaprzęgać. Ten zabrał się do tego z widoczną wprawą i wnet robotę zrobił. Sidor zauważył: – Konie go się słuchają – i posadził go na koźle. Sam siadł z Bronisławem z tyłu i pojechali do domu, z trzecim koniem uwiązany za tarantasem. Bronisław wciąż miał przed oczyma otwartą, uczciwą twarz tego skopca, bez śladu zarostu, także i głos jego trochę babi, patrzył na szerokie plecy i korciło go zapytać Sidora: jak on to zrobił?

Czy wyciął sobie tylko jądra, czy też i członek? Nie spytał trochę z obrzydzenia, a po trosze z litości. Czegóż to ludzie nie robią dla zbawienia duszy, dla czystości, żeby nawet w myśli nie pożądać kobiety,.. I nie dość tego, że sam siebie okaleczył w imię Boże – to jeszcze rząd karze go zesłaniem na Sybir!

Nazajutrz cały dzień czytał prasę otrzymaną od księdza Leonarda.

W jednym ze starych numerów „Dziennika Petersburskiego” przeczytał oświadczenie centralnego organu partii eserów:

„Inżynier Eugeniusz Filipowicz Azef, liczący lat 38 (pseudonimy partyjne: «Tołstyj», «Iwan Nikołajewicz», «Walentin Kuźmicz»), członek partii socjalistów rewolucjonistów od chwili jej utworzenia, wielokrotnie wybierany do centralnych instancji partyjnych, był członkiem Organizacji Bojowej i Komitetu Centralnego, został zdemaskowany jako agent mający powiązania z rosyjską policją polityczną i prowokator”.

Wrażenie po przeczytaniu tego oświadczenia było takie, jakby go kto zdzielił pałką w łeb.

Ochłonawszy, przeczytał kilka razy historię wykrycia tej afery, zastanowił się i wyciągnął pewne wnioski osobiste.

Jeśli Bąkaj, zbiegły z Warszawy współpracownik ochrony, dostarczył Burcewowi pełną listę prowokatorów policji warszawskiej, to musiał umieścić na tej liście także i jego. Bez względu na to, czy przedsięwzięcie ich było

poważne czy lekkomyślne, bohaterskie czy inspirowane, miało ono najwyższą rangę przestępstwa – zamach na życie osoby panującej. Nie mógł przeoczyć. Tymczasem jego nazwiska nie ma. A musiało być, jeśli jest prowokatorem, bo lista obejmuje wszystkich jako tako znaczących agentów policji do roku 1908. Natomiast figuruje na niej niejaka „Olena Kazimirowicz, lat 26, działająca w środowisku socjalistycznym Warszawy i Paryża...” Czy nie jest to Julia Potomska, w tym samym wieku? Ta Potomska, co to ich w Paryżu natchnęła myślą zamachu, uzbroiła i poprowadziła? Dałby pół życia, aby tylko spojrzeć na tę osobkę...

Natomiast w oświadczenie, że Stanisław Brzozowski to prowokator – nie wierzył. Czytał „Płomienie”. Tak pisze człowiek, cały swoją rozterką, swoim bólem i marzeniem oddany rewolucji, w ten sposób prowokator pisać nie może.

Miał wrażenie, że „Dziennik Petersburski” korzysta z większej swobody wypowiedzi. Widocznie petersburska cenzura jest łagodniejsza od warszawskiej. Wymiarkował to po sposobie omówienia zeszłorocznej wizytacji ośrodków polskich na Syberii Wschodniej przez księdza biskupa Jana Cieplaka w towarzystwie kilku księży. Trasa przemierzona salonką wiodła przez Wołogdę, Jekaterynburg, Omsk, Nowonikołajewsk, Krasnojarsk, Irkuck, Nerczyńsk, Błagowieszczeńsk, Sachalin, Władywostok. Wizytacją tą biskup naraził się rządowi, który zabronił mu dalszych wyjazdów i pozbawił biskupa pensji.

A w kilkunastu numerach „Kurier Warszawskiego” z

pierwszego półrocza przegląda się dobrze znane szarawe życie podbitego kraju. W karnawale jak zwykle urządzano bale. Bal Młodej Sztuki w Filharmonii, na budowę gmachu Sztuk Pięknych. Bal zwany Redutą Prasy, zorganizowany przez Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy na rzecz wdów i sierot po pracownikach pióra. Bal „Pod biegunem” z okazji wyprawy Cooka i Peary’ego do bieguna północnego w Salach Redutowych. Scenografia – lodowe jaskinie, publiczność w strojach Eskimosów, itp.

Chętniej tej zimy chodzono do „Momusa” w sali „Oaza”. Na uroczystość rocznicy kabaretu dyrekcja sprowadziła do Krakowa Boya-Żeleńskiego, który przywiózł swój najnowszy utwór o pannie Stefanii.

„Pozornie jesteśmy w dobie szczerzej wesołości, ale swoboda i wesołość są sztuczne i wymuszone... Prawdziwie rdzenna Warszawa, ta, co pracuje, myśli i tworzy, żyje poza obrębem atmosfery karnawałowej, coraz mniej podatna do wybuchów wesołości i dobrego humoru”.

Arnold Szyfman stworzył Towarzystwo Akcyjne, którego celem jest założenie nowego teatru prywatnego. Akcjonariusze: ordynat Maurycy Zamojski, Stanisław książę Lubomirski i bankier Leon Goldszand. Odbyło się ostatnio w pałacu ordynacji Zamojskich zebranie, na którym Szyfman przedstawił plany i kosztorysy budowlane.

Na scenie Teatru Letniego debiutował młody aktor Juliusz Osterwa w komedii Xanrofa „Królątka” i zrobił furorę wśród krytyków i widzów.

8 maja w południe dodatki nadzwyczajne prasy warszawskiej obwieściły wiadomość o śmierci Elizy Orzeszkowej w Grodnie w wieku 68 lat. Pogrzeb pisarki w Grodnie przeistoczył się w wielką uroczystość narodową. Z Warszawy przyjechało 900 delegacji, wielu literatów, dziennikarzy. Piętnaście tysięcy ludzi szło za konduktem żałobnym. Sklepy w całym mieście były zamknięte. Latarnie spowite kirem. Nad grobem przemawiało trzydziestu mówców.

Dowiedział się, że nowy Kościół Katolików Mariawitów, ekskomunikowany bullą papieską w 1907 roku, liczy dwieście tysięcy wyznawców, posiada 60 parafii w Polsce, dwieście kościołów i kaplic. Wyznawcy, rzecz znamienna, w olbrzymiej części pochodzą ze środowiska robotniczego i chłopskiego.

Żona Azefa, z domu Niwkin, znana swego czasu rewolucjonistka rosyjska, nie miała żadnego pojęcia o podwójnej roli, odgrywanej przez jej męża. Po zdemaskowaniu Azefa popadła w chorobę nerwową i w tych dniach otruła się w swoim mieszkaniu w Dzielnicy Łacińskiej w Paryżu.

Sąd wojenny rozważał sprawę napaści chłopów w roku 1907 na majątek obywatelki Szymańskiej i skazał siedmiu podsądnych na karę śmierci.

W Warszawie odbyły się liczne aresztowania w obrębie cyrkułu zamkowego na Krakowskim Przedmieściu. Zaaresztowano kilkadziesiąt osób ze środowiska

rzemieślniczego, robotniczego i uczniów.

W prasie rosyjskiej szeroko dyskutuje się na temat granic i odmian nacjonalizmu rosyjskiego. W Petersburgu otwarto Klub Nacjonalistów Rosyjskich, grupujących ludzi ze sfer wpływowych. Za głównego kierownika ruchu uchodzi P. A. Stołypin. Hasłem klubu jest patriotyzm urzędowy. Przeciwnikami tej odmiany nacjonalizmu są profesor Milukow, profesor Manuiłow i P. Ustinow.

Sporo miejsca zajmuje awiacja, to nowość. 19 czerwca – wzloty słynnego awiatora Utoczkin na Polu Mokotowskim. Rosyjski lotnik wykonał już dwieście lotów i otrzymał pięć nagród. Dodatkową sensacją było „puszczenie się” wraz z Utoczkinem aeroplanem „jedynaczki Momusowej”, Miry Mrozińskiej... Codzienne konkursy awiacyjne na Polu Mokotowskim z udziałem zagranicznych lotników: de Cathersa, Fishera, Tycka, Utoczkin... Artykuły w prasie na temat słownictwa związanego z aeronautyką, w „Kurierze Warszawskim”: jak mówić? Lotniarstwo czy lotnictwo, lotniarz – lotnik, jednopłaszczynowiec – jednopłatowiec, latawiec – lotnia – samolot. Krytyka barbarzyństw: amitoptery, helikoptery. Znalaziono nowy wyraz – szybowiec.

Zbrodnia Damazego Macocha. Latem 1910 roku znaleziono w Warcie koło Częstochowy sofę, w której zamknięty był trup mężczyzny. Po paru tygodniach okazało się, że denatem jest Waław Macoch, a jego zabójcą paulin z Jasnej Góry, ojciec Damazy, stryjeczny brat zamordowanego.

Ojciec Damazy miał kochankę Helenę Krzyżanowską, telefonistkę z Łodzi. Po pewnym czasie ta zażądała, aby jej znalazł męża, który będzie maskował ich romans. Ojciec Damazy wydał kochankę za Wacława Macocha. Wkrótce jednak zaczęły się między trójką swary, które zakończyły się zabójstwem Wacława. Zbytorny tryb życia Heleny i jej stroje wymagały nie byle jakich funduszków, toteż ojciec Damazy kradł z ofiar składanych w zakrystii, przywłaszczył sobie 5000 rubli zostawionych klasztorowi przez zmarłego księdza Bonawenturę i okradł z kosztowności obraz Matki Boskiej Jasnogórskiej. Aresztowano jego przyjaciół i współników, ojca Bazylego i ojca Izydora, jak również jego służącego w celi klasztornej. Nowy przeor zarządził żałobę klasztoru. Warszawa niecierpliwie czeka na proces.

15 lipca wszechpolskim świętem: pięćsetlecie bitwy pod Grunwaldem. Główne uroczystości w Krakowie, gdzie odbyło się odsłonięcie pomnika, przemówienie fundatora pomnika Ignacego Paderewskiego i innych osobistości, później defilada, przyjęcie delegacji francuskiej z Paulem Casin, itp. W Warszawie od 10 do 12 wszystkie sklepy zamknięte. W sali Towarzystwa Zachęty tłumy oglądały „Bitwę pod Grunwaldem” Matejki. Wieczorem w iluminowanej Dolinie Szwajcarskiej odbył się koncert Filharmonii i inne imprezy.

Zatarg pomiędzy dyrekcją a pracownikami Przedsiębiorstwa Tramwajów Warszawskich na tle warunków pracy. Na ulice miasta wyjechało dwadzieścia wagonów,

obsługiwanych przez kontrolerów i ekspedytorów, w każdym wagonie znajdowało się dwóch uzbrojonych żandarmów. Aresztowano 299 strajkujących konduktorów i motorowych, osadzono ich w więzieniu na ulicy Spokojnej. Następnego dnia aresztowanym nakazano obsługiwać 200 wagonów pod strażą. Po pracy tramwajarze byli odprowadzani do więzienia. Liczba aresztowanych doszła do pięciuset osób. Właściciel spółki akcyjnej tramwajów, Włodzimierz Czetwertyński, zwrócił się do władz o zwolnienie pracowników. Otrzymał odmowną odpowiedź. Na znak solidarności ze swymi kolegami zastrajkowała obsługa tramwajów konnych. Warszawiacy postanowili nie jeździć tramwajami solidaryzując się z robotnikami... Sprawę wreszcie załatwiono i wypuszczono tramwajarzy z więzienia...

Co to mnie właściwie obchodzi, myślał Bronisław, że „jedynaczka Momusowa” Mira Mrozińska puściła się z Utoczkinem aeroplanem... A ómi jak wspomnienie tego wspaniałego 1905 roku. Cóż, był tylko flirt, młodziutki bojowiec i obiecująca adeptka teatralna, tyle lat temu, ona jest teraz gwiazdą, a na niego dziewczyny wiejskie na Syberii wołają *warnak*.

Przy obiedzie Sidor oznajmił, że w czasie ich nieobecności niedźwiedź w owsie buszował, co szkody narobił, to strach! Może by Bronisław wziął strzelbę i postraszył, strzelił w jego kierunku.

Przed zachodem słońca Bronisław załadował kule wielkości dużej wiśni, przybił, by się nieco spłaszczyły, i z oporem wyszły z luf, włożył włosiankę na *gnus*, rękawice, zamknął Bryśka i poszedł.

Słońce jeszcze nie zaszło, więc mógł obejrzeć owe szkody – pole zdeptane, jakby zwierz tutaj tańcował. Nie tyle zeżarł, ile podeptał. Bronisław wybrał miejsce pod krzakiem i usiadł. Był cichy wieczór. Jeszcze świstały nad rzeką kuliki. Kaczki zaczęły przelatywać nad głową na jakieś nocne żerowiska. Dziesięć minut po zachodzie wzdłuż ściany lasu rozległo się ciche pochrapywanie – polatywały słonki. Zając przykucnął i stanął tuż przy nim – nie dowierzał oczom, ciemnawo, wąchał. Bronisław się nie ruszał, więc spokojnie pokuczał w owies. Jakieś ptaszysko bezszelestnym lotem przecięło gwiazdne niebo i dopiero z oddali doszło puhu-uhu sowy, a może puchacza.

A komary i meszka kłębiły się chmarami, wciskały się pod włosiankę na twarzy, włożyły w rękawice i za nogawki spodni, kąśliwe owady piły jego krew, kark i ręce paliły ogniem, a tu ani się odegnąć, ani poruszyć się nie wolno – jest wydany na ich pastwę.

Nagle zając wyskoczył z owsa i o mało z impetu nie wpadł na niego, z odgłosem przerażenia kulnął się w bok...

Bronisław cały zamienił się w słuch. Coś przestraszyło zająca, wypędziło z owsa, ale co? I jakby w odpowiedzi na to, tuż blisko, w odległości piętnastu kroków, doszło go smakowite pomlaskiwanie. Żarł... Ale jak! Bronisław, zdawało się, widział, jak owiany mlecz po pysku mu cieknie... Serce skoczyło mu do gardła – jeszcze kilka kroków i zwierz wyjdzie na niego! Uniósł strzelbę. A tam cisza. Jakby wstrzymał oddech i wsłuchiwał się... Wyczuł. Jak wyczuł, skoro wiatru nie ma? Oblizał palec wskazujący i podniósł do góry. Po pewnej chwili uczył, że palec schnie od paznokcia. A więc był jednak jakiś powiew z tyłu na owies i las, na niedźwiedzia...

Bronisław poszedł wzdłuż owsa, na wprost miejsca nowego żerowania przystanął. Dzieliła ich odległość 50-60 kroków. Niedźwiedź dalej mlaskał, czasem fuknął, zaszeleścił odganiając *gnus*. Długo to trwało. Nagle wszystko ustało – nasłuchuje, domyślił się Bronisław, może poczuł? Poczul i zaczął oddalać się na skos od Bronisława.

Teraz słaba była nadzieja ubicia zwierzka, ale może... Głupi traf, jakiś kaprys niedźwiedzi skieruje go w stronę Bronisława. I Bronisław czekał aż do świtu, gdy w pierwszym brzasku dnia wydało mu się, że widzi, jak coś szarego wychodzi z owsa i znika w lesie.

Napił się z rzeki, odsapnął i poszedł z powrotem odczytać ślady i szkody niedźwiedzia w owsie.

Na podwórku Sidor z nowym robotnikiem naprawiali sprzęt do żniw.

– Był niedźwiedź w owsie? – zapytał Sidor.

– Był.

– To czemużeś nie strzelał?

– Bałem się spłoszyć. Ja chcę go ubić.

Na schodach, idąc do siebie na górę, słyszał, jak Sidor mówi do skopca:

– Słyszysz, Pantielejmonie, on chce ubić niedźwiedzia? A nie wie nawet, jak niedźwiedź wygląda...

Tym razem ubrał się staranniej. Włożył buty z cholewami, rękawy marynarki ściągnął sznurkami, aby szczelnie opinały rękawice, na włosiankę włożył marynarkę i kaszkiet na głowę. Krwiopijcy dostaną się, wszystko jedno, ale będzie ich mniej.

Na prawo nie pójdzie, myślał, bo się owies tam kończy. Pójdzie w lewo, tu trzeba się zacząć po stronie nawietrznej, nieco w lesie i z dala, żeby nie poczuł, gdy będzie węszył przed wyjściem z lasu w owies. Jak zacznie żerować, skradać się w cieniu drzew, a potem...

Zobaczy się, co potem...

Tak zrobił. Usiadł pod cedrem i czekał, aż przestaną świstać kuliki, przelecą kaczki, przechrapią słonki i w zupełnych ciemnościach ruszy na łowy puchacz. Do tego czasu pozwalał myślom płynąć swobodnie, jak chcą. Ale po puchaczu myślał tylko o jednym – gdzie on wyjdzie? A może wyjść znienacka, tak że nawet strzelić nie zdąży. Sprawdził, czy nóż wychodzi łatwo z pochwy, i znów czekał. *Gnus* mniej dokuczał, ale dokuczał. Zdawało mu się, że

słyszysz szelest przed sobą, jakieś skradające się kroki, rozplynęły się w nic. I znów cisza, aż w uchu dzwoni.

Tak minęła godzina i druga, było przed świtem, stracił już nadzieję, kiedy usłyszał odgłosy buszowania, tak jak przypuszczał, z prawej strony od niego, sto kroków z czymś... Przemknął się między drzewami i bezszelestnie posunął wzdłuż owsa w kierunku niedźwiedzia. A ten szedł spokojnie i pewnie w jego stronę, zmiatając paszczą napotkane kłosa. Już był na odległość kilkudziesięciu kroków, w dzień można by strzelić, wtem rozległo się tam ujadanie psa, tak wściekle, jakby pies się zbiesił, i szurnięcie zwierza. Zabije mi Bryśka! – pomyślał Bronisław, nie zastanawiając się nad tym, skąd tu się wziął, i rzucił się naprzód z okrzykiem: Brysie! Na ten krzyk bestia stanęła na tylne łapy i ryknęła, a Brysie już się wczepił w jej szynki.

Bronisław skoczył naprzód i z odległości trzech kroków strzelił raz po raz w pierś zwierza, kosmata bryła wybiła strzelbę z jego ręki, zbiła z nóg, runął na wznak. Koniec – pomyślał czując pazury za uchem, próbował sięgnąć po nóż, ale przygnięciony ciężarem nie mógł wyswobodzić ręki. Tymczasem pazur znieruchomiał, a cała masa zwierza leżała na nim martwym ciężarem.

Brysie ze skowytami kopał pod nim, starał się dokopać do pana. – Jeszcze trochę, Brysie, zachęcał go, zrobię dołek pode mną... Ale Brysie szczęśliwy, że dokopał się do Bronisława, tylko lizał go po twarzy.

– Hej, strzelał tu kto? – rozległ się okrzyk w pobliżu.

– Tak, ja strzelałem...

– To gdzie jesteś?

– Tu jestem, pod niedźwiedziem...

Mikołaj Czutkich podszedł i odwalił niedźwiedzia.

– Nic ci nie jest?

Bronisław siadł, potem wstał.

– Zdaje się, że nic... Po prostu przewrócił mnie zdychając.

– Zdarzało mi się wyciągać ludzi spod *mudmiedzia*... Ale żeby w takim stanie, bez draśnięcia, to pierwsze widzę!

– No, drasnąć to on mnie drasnął... Za uchem boli. W niepewnym brzasku dnia Czutkich obejrzał ranę.

– To nic, zagoi się... Chciał obedrzeć cię ze skóry do gołego czerepu, ale dostał dwie kule, obie śmiertelne... Ajda, Bronisławie Edwardowiczu! Taka sztuka, nie spodziewałem się... *Małodiec!*

Uścisnął dłoń Bronisława, Brysiek podskoczył i szczechnął proszalnie.

– A ty czego? Ty też dzielnie spisałeś się. Niedopies, a rzucił się na *mudmiedzia!*

Nie mówił miedwiedź, tylko *mudmiedź*.

– Nie wiem, jak się tu dostał – zastanawiał się Bronisław. – Chyba ja okna na haczyk nie zamknąłem, wymknął się przez okno i pognał po moich śladach.

– To mi się podoba, taki węż... On tu leżał w owsie, patrz, jakie wyleżyny. Bał się podejść do ciebie, czuł się winny, że uciekł z domu. Ale jak *mudmiedź* podszedł do tego

miejsca, to on myślał, że idzie na ciebie, i rzucił się... Capnął go z tyłu, patrz, kawał dupy mu wyrwał, aj-da, Brysieku, wilko-łajka! – poklepał go. – Słuchaj, jakbyś sprzedawał, to ja kupuję. Dwadzieścia pięć rubli dam za niego!

– Co ty, Mikołaju Sawieliczu, ja go za żadne pieniądze nie oddam...

– Ja wiem, tylko tak mówię, na wszelki wypadek... Rośnie *sobaka* rozumem w łajkę, a chwytem w wilka, niebywałe!

Obejrzeni raz jeszcze niedźwiedzia i poszli do domu po konia. Po drodze Czutkich opowiedział:

– Ja także wziąłem dubeltówkę i poszedłem w owies, bo mi szkodę robił. Pół nocy przesiedziałem, nic. Wtem słyszę piekielne ujadanie psa i zaraz bach-bach, dwa strzały i potem jakby pies skomlał... No, to ja w te pędy, wyrywam, bo może stało się nieszczęście.

W domu Jemielianowych wszystkich zastali przy śmietanie, cała rodzina siedziała i robotnik Pantielejmon. Pokłonili się ikonom, przeżegnali się, po czym Czutkich powiedział:

– My do ciebie, Sidorze Karpowiczu, po prośbie. *Dajka* nam konia – nieboszczyka przywieźć.

Wszyscy w izbie ze strachem patrzyli na Bronisława, całego we krwi niedźwiedziej i swojej, bo z nie zawiązanej rany wciąż kapało.

– *Hospodi*, kogóż to niedźwiedź zabił?!

– Chwała Bogu, jego ubili.

– Niedźwiedzia? Tyś ubił?

– Nie ja, tylko tu obecny Bronisław Edwardowicz! Sam jeden poszedł i ubił.

Wszyscy och i ach, Mikołaj musiał od początku wszystko opowiadać, kiedy Łukieria przemywała i bandażowała ranę Bronisława, potem nakarmili ich obu, w końcu wsiedli na wóz i pojechali.

Tymczasem nowina obiegła wieś, tak że przy niedźwiedziu stały już dzieci, baby i trochę chłopów.

– No, trzeba go sprawić i rozebrać – powiedział Czutkich.

– Kiedy ja nie umiem, nigdy tego nie robiłem.

– To ja wiem i pierwszy raz zrobię to za ciebie, a ty się przyglądaj i ucz.

Sięgnął po nóż, ale Bronisław podał mu swój, kupiony w Nerczyńsku. Mikołaj obejrzał go z uznaniem, tajgowy nóż, powiedział i zabrał się do patroszenia. Wywalił wnętrzności, trawą otarł, po czym we czterech dźwignęli tuszę niedźwiedzia na wóz i pojechali.

Na podwórzu u Jemielianowych Czutkich zdjął skórę z niedźwiedzia i rozebrał go na części, dwie szynki, dwie przednie, tył i przodek krzyżowy z combrem – Bronisław cały czas uważnie patrzył mu na ręce.

– Teraz, Sidorze Karpowiczu, możesz spraszać na łapę...

To było w piątek. W niedzielę odbyła się „łapa”. Byli gospodarze i robotnik Pantielejmon, dziesięciu czy dwunastu

zaproszonych sąsiadów z żonami, Czutkich i Bronisław, Jewka nie przyszła. Bronisław postawił cztery smirnówki, duże butle, każda po litrze, ostatnią zostawił sobie na jakąś okazję. Wypili jego zdrowie, myśliwego, zagryzając na zimno plasterkami jęzora z gruzdziami, potem podano zupełną niedźwiedzią, wreszcie dwie pieczone w piecu chlebowym przednie łapy z grochem i comber z kapustą... Pod szum i gwar tej uczty przechylił się Mikołaj Czutkich ku Bronisławowi:

– Podobasz mi się, Bronisławie Edwardowiczu! Wziąłbym cię z sobą na całą zimę, gdy pójdę za *miagkoj ruchladiu*, co ty na to?

– Zgoda, Mikołaju Sawieliczu, postaram się okazać dobrym uczniem.

– W takim razie... – Czutkich napełnił kielichy i zastukał w stół, uciszyło się, wtedy usłyszano jego poważny głos: – Piję zdrowie mojego kompaniona, Bronisława Edwardowicza Najdarowskiego, z którym idę w tajgę na zimę!

– Jakże tak, idziesz w tajgę, a dzieci? – zapytał Sidor.

– Takie pojętne dzieciaki, już cały alfabet umieją i teraz naukę przerwą – zabiadoliła Łukieria.

Zapanowało zmieszanie.

– Tak, racja, dzieci uczę, zapomniałem... Mikołaju Sawieliczu, wybaczcie, chciałbym całą duszą, ale już podjąłem się uczenia dzieci, a nikt mnie tu nie zastąpi.

Wówczas odezwał się babi głos Pantielejmona:

– Pozwólcie, gospodarzu, jeśli nikogo nie ma lepszego, to może bym ja...

– Co ty?

– Może bym uczył dzieci, kiedy on tak chce polować.

– A czy ty uczyłeś?

– Uczyłem. Bardzo lubię dzieci. Ukończyłem siedmioklasową szkołę w Pienzie.

Znalazło się szczęśliwe rozwiązanie – Pantielejmon będzie uczył dzieci Sidora, pracując u niego, a Bronisław pójdzie w tajgę za futrami z Mikołajem. Na tym na razie stanęło, na więcej nie było czasu: żniwa. Dojrzewały jęczmień, owies, żyto i pszenica. Trzeba było spieszyć się, w upały zboża schły szybko, obsypywały się. Cała wieś ruszyła w pole i Bronisław także. Po tygodniu robił kosą i szedł w jednym szeregu z Sidorem i Pantielejmonem. Komary bardzo dokuczały, a siatek nie można było używać, bo bardzo przeszkadzały zarówno w patrzeniu, jak i w oddychaniu. To były ciężkie dni. Spało się zaledwie kilka godzin, robiło się w upale od świtu do nocy, a jadło się byle co, bo nie było czasu na gotowanie.

Po trzech tygodniach, gdy praca na polu zelżała i żniwa szły ku końcowi, w niedzielę pod wieczór wybrał się Bronisław do Mikołaja Czutkich.

Znajda zaczęła szczekać, a w głębi podwórza dał się słyszeć pobrząk łańcucha. Bronisław wiedział, że Czutkich ma niedźwiedzia, wychował od małego i teraz na łańcuchu pilnuje *ambaru*, spichlerza. Całość zabudowań gospodarskich

tworzyła obwód zamknięty: dom, drewnitnia, pracownia Mikołaja, *ambar*, łaźnia, stodoła, stajnia i wozownia, obora, chlew i kurnik zamykały dość długie podwórze, którego część była kryta dachem, tak że z domu do drewnitni, pracowni Mikołaja, *ambaru* i łaźni można było w śnieg czy deszcz przejść suchą nogą.

Bronisław skierował się ku świątecznemu gankowi. Ten ganek był głuchy, czyli kryty, wzdłuż ścian widziało się malowane ławy, ozdobione rzeźbą, i tu wyszedł na spotkanie Mikołaj, zapraszając do środka. Przeszli do pierwszego pokoju, gdzie na długiej belce, zwanej matka, ułożono deski na szpunt, i takimże sposobem, na szpunt, oszalowano ściany pokoju. Dwie rzeźbione ławy schodziły się w świętym kątku, gdzie wisiały złote ikony, z palącą się wieczną lampką. Na pierwszej ścianie rozwieszono fotografie rodzinne, wśród nich w czarnej ramce fotografia młodego człowieka, trochę cygańskiej urody, jak u Jewki, pewnie Łukasza, jej brata, co zginął... Stół przykryto haftowanym obrusem. Dalej przez otwarte drzwi widziało się drugi pokój z łóżkiem zasłoniętym perkalikową kotarą w wielkie kwiaty – to pewnie pokój Jewki, pomyślał Bronisław.

Jewka przywitała się z nim, jak gdyby nigdy nic, Bronisław również udawał, że między nimi nic nie zaszło.

Usiedli i tu rozmowa naturalnie zeszła na ich zimową wyprawę.

– Co ty masz na zimę? – spytał Mikołaj.

– Małachaj, unty i burkę – odpowiedział Bronisław.

– To samo, co nic... Słuchaj, ty musisz mieć *brodnie*, buty wysokie, miękkie, wiązane pod kolanem. Musisz mieć *kuklankę*, bluzę ze skórek zajęczych, spadającą do kolan, z kapturem. Ciepła i lekka, możesz w niej biegać po lesie. Jakies ciepłe portki... *Kaczeńce*, skarpetki zajęcze, skórkami na wewnątrz, to ci Jewka uszyje, powiem jej. Konieczna jest *docha*, tułup obszerny, żebyś nie marzył, wtedy jak przyjdą *sorokowiki*, mrozy czterdziestostopniowe... A jeszcze przydałaby się kołdra z trzydziestu grzbiecików zajęczych, tam jest futro najcieplejsze i najtrwalsze. W taką kołdrę jak się wtulisz, to żaden mróz nie jest straszny. Na tę kołdrę sam musisz nastrzelać zajęcy, a do tego czasu ja tobie pożyczę starą kołdrę... No i potrzebne będą narty. Umiesz jeździć na nartach?

– Nie.

– Nauczysz się. Nasze narty są inne, zagięte z obu końców, obciążone skórą z nóg młodych renów, włosom do tyłu. Poza tym musimy zaopatrzyć się w proch, śrut i kapiszony dla ciebie... Wszystko to dostaniemy w Udińskim... Jewka, dasz sobie radę z Mitraszą?

Mitrasza był to niemy dwudziestolatek, który pracował u stryja.

Jewka z sąsiedniego pokoju odpowiedziała twierdząco.

– Więc nie ma co odkładać, jedziemy jutro. W gminie załatwimy formalności, żeby nie czepiali się później, że wybył nie wiadomo dokąd, i w Udińskim porobimy wszystkie zakupy.

Nazajutrz, był 10 września, chwyciły przymrozki przygruntowe i *gnus* mniej dokuczał. Zajechali do Siergieja, z którym kiedyś Mikołaj chodził *za popielicęj*, pogadali, pobredzili, trochę wypili i nic nie zapowiadało wielkiego wydarzenia.

Za to z rana, idąc do gminy, naliczyli pięciu stójkowych! A był zawsze jeden. To się równało trzęsieniu ziemi – pięciu policjantów! Popędzali gospodarzy do zasypywania wybojów na drodze, do reperacji płotów, do malowania numerów domów... Przed gminą trzech cieśli budowało wielki maszt do wciągnięcia flagi państwowej. W tłumie słyszało się: „Jedzie!” „Isprawnik jedzie!” – „Nie, sam gubernator!”

W gminie mordasty *pristaw** krzyczał na struchlałego wójta, że to skandal czort wie, co takiego – na urzędowym trakcie leży zdechły pies i nikt nie raczy palcem ruszyć, żeby go uprzątać! A obok na krześle siedział młody, elegancki pan i obgryzał paznokcie. W miękkim, filcowym kapeluszu, z sygnetem na palcu, założywszy nogę na nogę, skrupulatnie obgryzał swoje kończyny, myślał i wypluwał. A pisarz, który całą gminą kręci, stracił głowę do tego stopnia, że długo nie mógł zrozumieć, z czym do niego przyszli.

– Chce iść z wami do tajgi? – zrozumiał wreszcie. – Nu i sława Bogu! Niech idzie.

– Nie, kochany, tak nie można. Ty to napisz tutaj za pieczętką! – upierał się Czutkich.

* *Pristaw* – naczelnik policji w niewielkim mieście, miasteczku lub dzielnicy dużego miasta.

Ten przyłożył pieczęć, zrobiłby to samo, gdyby to było zaświadczenie o jego własnej śmierci.

– Teraz ja za ciebie odpowiadam – powiedział Czutkich do Bronisława, chowając papier.

Wyszli na ulicę. Posłuchali, popatrzyli na cały ten rozgardiasz i poszli za swoimi sprawami. „A co to nas obchodzi, isprawnik czy gubernator jedzie... Niech jedzie!”

W sklepie jednak, gdy robili zakupy, mówiło się tylko o tym niezwykłym wydarzeniu, tak że sporo czasu zmitrężyli, nim kupili proch, śrut i kapiszony oraz *brodnie* i *kuklankę*, a *dochy* na Bronisława nie było, kupiec przyrzekł, że będzie miał takich rozmiarów za dwa tygodnie i przyśle z okazji do Starych Czumów.

– Ja bym chciał jeszcze kupić jakiś prezent dla Pantielejmona – przypomniał sobie Bronisław. – Jednak wyręczył mnie... Nie wiem tylko, co.

– Kup mu słodycze – poradził Mikołaj. – Oni jak się wytrzebią, to strasznie lubią słodycze.

– Dziwna rekompensata – zauważył Bronisław, ale kupił torbę cukierków dla dzieci na pożegnanie i drugą, dwa razy większą, dla Pantielejmona.

Idąc do Sergieja, bo obiad mieli u niego, przechodzili obok domu teściów Wasiliewa. Bronisław powiedział, że wstąpi do niego na chwilę, niech Mikołaj idzie, on wnet nadejdzie.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, wbiegł na paradny ganek, wtem za drzwiami rozległy się głosy:

– Więc wszystko powiedziane. Za trzy dni, trzynastego września.

– Tak, trzynastego... Ja wykonam swoją powinność – odpowiedział głos Wasiliewa.

Bronisław skoczył za róg... Ja wykonam swoją powinność, to brzmi jak ślubowanie... Tajemnica?

Drzwi się otworzyły. Wyszedł młody, elegancki pan, którego Bronisław widział w gminie, rumianolicy, z blond wąsikiem, pomachując laseczką o rączce z kości słoniowej, pospacerował sobie z powrotem w stronę gminy.

Bronisław ujął klamkę, drzwi były nie zamknięte, wszedł, zapukał. Żadnej odpowiedzi. Zajrzał do pokoju.

Wasiliew stał przy oknie i patrzył na ulicę.

– Iwanie Aleksandrowiczu...

Ten drgnął, odwrócił się. Był tak zmieniony na twarzy, że Bronisław zawołał: „Ależ pan jest chory, Iwanie Aleksandrowiczu!”

Ten jakby się ocknął i poznał Bronisława.

– Tak, ja jestem chory – potwierdził drętym głosem. – To przejdzie... Spokój mi potrzebny, pan wybaczy.

– Ależ ja chcę panu pomóc!

– Pan wybaczy – tym samym tonem – nikt nie pomoże, tylko czas... Tylko czas, rozumie pan? Do widzenia!

Bronisław patrzył na niego w osłupieniu.

– Niech pan już idzie. Konie macie wypoczęte?

– Wypoczęte.

– To siadaj pan i zmywaj czym prędzej do Starych

Czumów, nie oglądając się na Udińskie, bo tu możesz napytać sobie biedy... No, do widzenia. Mam pana wyrzucić?

Bronisław odwrócił się i poszedł, ale u drzwi Wasiliew dopadł go, chwycił za rękaw:

– Nie, tak nie można... Porządny z ciebie chłop, Bronku, ale nic mi nie pomożesz.

– Przysięgam ci, że...

– Csss, nie przysięgaj! Jesteś bojowiec, rozumiesz, że nic ci nie powiem. To nie twoja sprawa... Ja chciałem tylko ciebie ucałować.

Objął go i solennie, trzykrotnie ucałował, po czym otworzył drzwi.

– A teraz idź!

Niemalże wypchnął go na ulicę i za odchodzącym zawołał:

– A konie popędzaj! Dziś jeszcze, zaraz odjeżdżaj!

Bronisław był wstrząśnięty – Wasiliewowi grozi śmierć, Wasiliew zobowiązał się wykonać zamach na isprawnika czy gubernatora, to jasne, a on mu rzeczywiście w niczym pomóc nie może.

Przy obiedzie był małomówny, chmurny, aż gospodarz zapytał, co się stało.

– Jaszka, syn Jemielianowa, mój uczeń, ciężko zachorował. Od felczera Tietiuchina dostałem dla niego lekarstwo – powiedział, trąciwszy pod stołem Mikołaja. – Może byśmy, Mikołaju Sawieliczu, mogli zaraz ruszyć do

domu?

Kiedy przeprawiali się promem na drugi brzeg, rzecz całą tak wyjaśnił:

– Mikołaju Sawieliczu, w Udińskim śmierdzi manifestacją, przyjaciele kazali mi zaraz wyjeżdżać i siedzieć cicho w Starych Czumach. Bo jak się coś stanie, zawsze nas politycznych biorą. Dlatego wiejmy póki czas.

Mikołaj pochwalił:

– Roztropnyś... Ty teraz myśliwy i do polityki się nie wtrącasz. Ja za ciebie odpowiadam.

Nazajutrz, kiedy Pantielejmon znalazł dwie godziny wolne od zajęć gospodarczych, odbyła się pierwsza jego lekcja na dole w *gornicy*. Bronisław przyszedł w środku lekcji z torbami.

– Uczyliście się u mnie dobrze, Maszo i Jaszo, macie ode mnie w upominku... I tobie, Patielejmonie, dziękuję za to, żeś mnie wyręczył.

Dzieci oczywiście nie wytrzymały, żeby nie skosztować cukierków, z nie mniejszą skwapliwością uczynił to i Pantielejmon, włożył cukierek do ust z tak lubieżnym błyskiem w oczach, jakby obejmował kobietę.

Minął trzynasty, czternasty i piętnasty września. Z Udińskiego nie nadchodziły żadne niepokojące wieści. Szesnastego wybrał się tam Jerofiej, syn Micheja, tego byłego katorżnika, napiętnowanego zielonym znakiem KAT na twarzy. Bronisław poprosił, aby zwrócił księdzu otrzymane numery „Dziennika Petersburskiego” i „Kuriera

Warszawskiego”. Jerofiej wrócił, przywożąc od księdza pozdrowienia i kobiałkę pomidorów, które wszyscy kosztowali z dłonią pod podbródkiem, aby nic z tej rozkoszy nie uрониć, jak ananas niebywały... A w Udińskim, mówił, wszystko po staremu, nikt nie przyjechał, to pomyłka jakaś, tylko przy gminie został maszt z flagą państwową, sama wzlatuje na szczyt masztu i sama opada... Omyłka, odetchnął Bronisław, i wielki ciężar spadł mu z serca.

Ze swego okna widział teraz równe kopki snopków, dziewięć snopków pochyło ku sobie ziarnem w górę, a dziesiąty rozwinięty ziarnem ku ziemi przykrywa tamte jak czapka. Pozostała tylko zwózka i młócka. Mikołaj Czutkich już wszystkie snopki zwiózł, zostawił Jewce z Mitraszą samo młócenie.

Wziął z sobą Bronisława na polowanie z wabikiem. Siedział ukryty w krzakach i raz po raz pogwizdywał, jarzabki odpowiadały, podlatywały bliżej, wtedy strzelał. Zrobił Bronisławowi taki sam wabik i nauczył wabić. Po powrocie wstąpili do niego na herbatę. Kiedy się Bronisław żegnał, wyszła do niego Jewka, trzymając w ręku *kaczeńce*, parę pończoch ze skórek zajęczych włosem do wewnątrz.

– Proszę przyjąć, Bronisławie Edwardowiczu – powiedziała, śmiało patrząc mu w oczy, i nisko się skłoniła – i wybaczenie mi nieprzystojne słowo.

Dziewka klasa, pomyślał, godnie umie przeprosić, nie wstydząc się przy ojcu...

– Słowo wypnęło się i uleciało, nie pamiętam już, a za

ten upominek dziękuję, tego mi brakowało – wsadził rękę do środka, czując całą ciepłą puszystość pończochy. – Nieraz w tęgie mrozy będę wam dziękował, Jewdokio Mikołajewna!

„2 X 1910 roku. – Bardzo ważne. Zapisuję dokładnie cały przebieg dnia. Polowałem w Żółtym Jarze, dziesięć wiorst od nas. Dobrze mi poszło z wabieniem. Wracając wieczorem wstąpiłem do Czutkich. Dwa razy mnie poprawił, ale na ogół był zadowolony z wabienia. Mówił, że był na zebraniu we wsi, gdzie przyjechał kierownik szkoły z Udińskiego, Kosoj, z jednym jeszcze jakimś, namawiali chłopów do popierania spółdzielczości mleczarskiej, bo w spółdzielczości jest przyszłość Syberii, dla niego było to nudne – wyszedł w połowie zebrania.

W domu u nas jeszcze się nie położyli, kiedy wróciłem i przyniosłem osiem jarząbków. Powiedzieli, że mam gościa u siebie w pokoju, zrobili mu posłanie, bo tam chciał na mnie poczekać, i że zanocuje. Jak się nazywa? Wasiliew... Poprosiłem Łukierię o imbryk z wrzątkiem i jakąś kolację, i z tym poszedłem na górę.

Wasiliew leżał, odwrócony twarzą do ściany na przyniesionym materacu. Na odgłos kroków odwrócił się – nie poznałem go. To znaczy wiedziałem, że to on, ale to był inny człowiek.

Zamiast pogodnego brodacza o żywym i bystrym

spojrzeniu ujrzałem wychudłą, gładko wygoloną twarz, zapadłe, mroczne oczy, jakiś gorzki grymas ust i siwe skronie.

Milcząc postawiłem imbryk i tacę z jedzeniem na stole. Wasiliew przyglądał mi się spokojnie z grymasem dziwnego półuśmiechu.

– Tak cię mój wygląd przeraża?

– Nie przeraża, ale wstrząsa... Nie przywitałem się, wybacz... Pewnie jesteś głodny?

– Nawet bardzo. Nie jadłem od rana.

– To przede wszystkim zjemy. Ja też jeszcze bez kolacji.

Zakrzątnąłem się przy stole, ustawiając imbryk, talerze, kubki. Wyjąłem z walizki ostatnią butelkę smirnowki. Odkorkowując, pomyślałem, doczekałem się okazji!

– Napijmy się. To podobno dobrze robi na nerwy.

– Nerwy w porządku, tylko widzenie świata inne. Ale wypiję.

Wziął do ręki kubek kupiony w Nerczyńsku, z kobietą. Oglądał obracając w rękę.

– A ty wciąż sam? Bez kobiety?

– Bez. Nie trafia mi się nawet w przybliżeniu. Teraz idę do tajgi na całą zimę... No, to za nasze spotkanie, prost!

Wypiliśmy. Zaczęliśmy jeść. Był bardzo głodny. Częstowałem i sam jadłem, zastanawiając się, co się stało, na miłość boską, co mogło się zdarzyć, przecież nikt do Udińskiego nie przyjechał?

Posililiśmy się wreszcie, odstawił talerz.

– Poproszę jeszcze smirnowki. Będę mówił.

Nalałem mu do kubka. Odpił trochę.

– Spodziewasz się wyjaśnienia mojego zagadkowego postępowania, no więc... Nabij fajkę, to potrwa.

Kiedy spełniałem to życzenie, on wyciągnął gazetę.

– Przywiozłem ci numer «Gołosa Sibiri», z tego numeru wytniesz artykuł pod tytułem: «Premier Stołypin na Syberii».

– Co? Stołypin na Syberii?!

– To, co słyszysz. Stołypin był u nas od 19 sierpnia do 20 września w towarzystwie Kriwoszeina. W rezultacie tej podróży inspekcyjnej, jak pisze «Golos Sibiri» (on czytał, a ja teraz przepisuję z tego wycinka), «ma się ukazać bardzo obszerne, 168 stron druku, lecz przejrzyste i bardzo sumienne sprawozdanie. Pierwsze i zasadnicze stwierdzenie tego dokumentu brzmi: najistotniejszą formą działalności państwowej na Syberii jest kolonizacja... W ciągu trzystu lat osiedlono na Syberii zaledwie cztery i pół miliona ludzi; gdy tymczasem tylko w przeciągu ostatniego piętnastolecia trzy miliony, z tego połowa w latach 1907-1909. Dalsza akcja ma przebiegać planowo z wyeliminowaniem wszelkiego chaosu, w ramach wszechstronnej pomocy ze strony państwa... Stołypin i Kriwoszein zwiedzili sześć powiatów, oddalając się konno o osiemset wiorst od linii kolejowej i drogi wodnej. W ten sposób zbadali strefę leśno-stepową, przylegającą do magistrali kolejowej, oraz tak zwaną tajgę mariińską w Środkowej Syberii. Najwyższą ocenę w oczach dostojnych podróżników uzyskała północna strefa stepów kirgiskich

wraz ze stepową częścią Ałtaju – ‚ziemia obiecana’ dla przesiedleńców. W dalszej części tekstu mowa jest o wielu innych jeszcze problemach, jak na przykład warunki komunikacyjne w akcjach przesiedleńczych, prace melioracyjne na terenach stepowych, magazyny i składy, pomoc agronomiczna i lekarska, specyfika sybirskich wspólnot gminnych, zbyt zboża, masła i innych produktów...» Tyle «Gołos Sibiri» o całej sprawie.

– Ale co to ma wspólnego z tobą?

– Ma, jeśli dowiesz się, że marszruta Stołypina wiodła przez Udińskie.

– Skąd wiesz?

– O marszrucie Stołypina wiedziało tylko kilka osób spośród jego najbliższego otoczenia. Mimo to dwudziestego sierpnia otrzymałem szyfrowaną depeszę od centralnego komitetu naszej partii. Przyszła do biura Zotowa, doręczył mi ją telegrafista, którego poznałem, Luboczkin. Po rozszyfrowaniu przeczytałem: «Trzynastego września Stołypin będzie w Udińskim. Proponujemy wykonanie zamachu». Oddepeszowałem: «Wasza propozycja jest dla mnie rozkazem». Cały dzień myślałem, gdzie ten zamach urządzić i jak. Późnym wieczorem nadałem drugą depeszę, szyfrowaną naturalnie: «Wyślijcie ośmiu towarzyszy z bronią automatyczną i dynamitem jako poszukiwaczy złota. Drugiego września mają wysiąść na stacji Toporki i stamtąd ruszyć wozami do wsi Biełoje. Siódmego września ja tam będę i dalej poprowadzę sam». Właściwie to ja nie liczyłem

na Moskwę, w ogóle na Rosję, żeby zdążyli. Sama droga do stacji Toporki trwa siedem dni, a gdzie czas na znalezienie odpowiednich towarzyszy i broni, i dynamitu... Liczyłem na Sybir, zwłaszcza na organizację irkucką i krasnojarską, oni mogli zdążyć...

– Jak chciałeś go zlikwidować?

– Widzisz, jeśli Stołypin będzie w Udińskim, myślałem, to dalszy jego szlak ja znam: na północ. Istnieje stąd tylko jedna droga, którą można zaproponować premierowi, stary szlak handlowy. I na tej drodze, sześćdziesiąt wiorst stąd, jest miejsce wymarzone dla zbójców z ubiegłego wieku, przypadłe miejsce: przez siedem wiorst jest mokro, ciasno, ani w prawo, ani w lewo, bo las podmokły, ciemno, korony drzew schodzą się nad głową. Tunel. Jedziesz tak samym dnem doliny, aż droga pójdzie w górę, wyżej i wyżej, na sto sążni wzwyż i wreszcie masz wielki gład narzutowy z trzema cedrami, skąd widzisz całą kotlinę na dole, a przed sobą mostek nad głębokim jarem, na dnie którego płynie rzeczka. Oto moje miejsce zasadzki, myślałem. Jednego człowieka zostawię parę wiorst w tyle, żeby dymem zasygnalizował, w którym powozie siedzi Stołypin, w pierwszym, w drugim czy w trzecim, więc jeden, dwa czy trzy, choćby dwadzieścia dymów, oni za sobą nic nie zauważą, a ja natomiast, siedząc na tym głazie, doskonale zobaczę, co się dzieje nad poziomem zielonego morza. Dwóch wyślę na podminowanie mostka i pilnowanie patrolu, a z pięcioma rozpocznę akcję. Dlatego prosiłem o broń

szybkostrzelną, chodziło mi o siłę ognia, dziewięć winchesterów znaczy tyle co dwadzieścia karabinów. Więc kiedy zwiadowczy patrol kozacki przekroczy mostek i pojedzie dalej, podpuścimy powóz premiera na pięćdziesiąt kroków i ostrzelamy. Kozacy na odgłos strzałów zawrócą galopem, ale mostek wyleci w powietrze. Muszą złązić z koni, pieszo zejść w tę przepaść i drapać się po niemalże pionowej ścianie pod ogniem naszych towarzyszy, co jest zajęciem beznadziejnym. Na sygnał raketnicy schodzimy potem wszyscy do trzech cedrów i ruszamy ścieżyną spirytonosów. Zakopujemy broń i wszystko, co nas skompromitowałyby, i rozchodzimy się dwójkami w różne strony. Tylko ja zostanę w tajdze, znam takie miejsce, gdzie mogę zostać. Po roku wyjdę z dobrym paszportem.

– A o Nastii pomyślałeś?

– Przede wszystkim o Nastii pomyślałem. Wysłałem ją w odwiedziny do krewnych w Niżnieudińsku. Piątego września wyjechała. Cokolwiek się stanie, ona nie może odpowiadać, bo była daleko i jest w odmiennym stanie.

– W takim razie nie rozumiem, co się stało. Stołypin nie przyjechał, zamach został odwołany, prawda?

– Tak, chociaż nie otrzymałem żadnej wiadomości od komitetu centralnego. Siódmego września pojechałem do wsi Biełoje, to niedaleko Udińskiego, czy nie przybyła tam partia poszukiwaczy złota. Nie, nie przybyła.

– No, to czym się tak przejąłeś, że aż posiwiałeś?

– Bo ja przeżyłem swoją śmierć. I nie wiem, czy to się

skończyło.

– Wybacz, nie rozumiem.

– Zaraz zrozumiesz...

Odpił duży łyk wódki z kubka. Oczy mu świeciły gorączkowym blaskiem i na policzkach wystąpiły czerwone plamy.

– Zjawił się Gulajew. Chwileczkę, już wyjaśniam. Gulajewa poznałem w 1907 roku, kiedy przywieziono mnie do Krasnojarska na osiedlenie według dyspozycji gubernatora. Pracował w kancelarii gubernatora, urzędnik najniższego stopnia, przepisywacz. Może dlatego był liberalny. Dużo czytał, interesował się wszystkim, parę razy porozmawialiśmy i on chyba podsunął gubernatorowi papier o moim osiedleniu tu, w Udińskim. Miał protektora, ale o nim później. Więc teraz, kiedy on przyjechał dziesiątego września, był już urzędnikiem do specjalnych zleceń przy gubernatorze. Z biuralisty awansował na biurokratę.

Wypił znowu, palce splótł i rozplótł.

– Nie, głupio powiedziałem. On z szatańską precyzją grał o moją głowę i wygrał, to nie robota biurokraty. Ale do rzeczy. Więc przeprosiłem go, że jestem bez żony, żona wyjechała, ale proszę, zrobię herbatę i skromną kolacyjkę... On na to, nie szkodzi, i wypytuje, jak mi się powodzi w Udińskim, o stosunki, warunki, itp. Potem, czy jesteśmy zupełnie sami? Czy nikt nam nie przeszkodzi? Naturalnie, nie, odpowiadam, bo o co chodzi? «Ja mam z panem poważną rozmowę...» I od tej chwili jakby maska spadła.

Zapytał, czy byłem w Białym i czy towarzysze przyjechali? A więc wie o zamachu, czy wie wszystko? A on odpowiedział za mnie: «Nie przyjechali i nie przyjadą. Z takim człowiekiem jak pan, z człowiekiem szóstego lipca – aż drgnąłem od tej aluzji do sprawy, z której wywinąłem się szczęśliwie, bo inaczej bym wisiał – można trzeźwo oceniać sytuację, bez złudzeń. Rewolucja zmiażdżona, wszystkie partie rewolucyjne rozbite, członkowie, którzy cokolwiek znaczą, siedzą po więzieniach, na zesłaniach albo na emigracji – to dzieło Stołypina. Natomiast kiedy w odwecie nadarza się okazja ciosu, w starej rewolucyjnej partii nie ma chętnych...»

Co on wie? – myślałem gorączkowo, kiedy on mówił. Czy wie z depeesz rozszyfrowanych, czy z tego, że ktoś sypnął, czy ktoś wpadł? A może wszystkie depeesze on pisał albo jaki drugi Azef? Ale to, co on wie o mnie, o sprawie planowanego zamachu i o sprawie szóstego lipca – to aż nadto wystarczy, żeby posłać mnie na szubienicę.

– O co panu właściwie chodzi? – spytałem.

– Ja chcę pomóc panu zlikwidować Stołypina.

– Dziwne zajęcie dla policji...

– Pan się myli: nie jestem z policji. Działam na własną rękę.

I opowiedział mi wzruszającą historię. Pewna wpływowa pani, którą on adoruje, nienawidzi Stołypina bezgranicznie, na miarę obsesji, na jaką może zdobyć się jedynie kobieta oszukana. To uczucie i jemu się udzieliło.

Zatem śmierć Stołypina zwiastowałaby jemu ślub z ukochaną, majątek, stanowisko, na początek wicegubernatora.

Podziwiałem czelność Gulajewa – ja mam uwierzyć w podobne romansidło!

– Nie partia, ale ja mogę zagwarantować powodzenie pańskiego zamachu!

– A jak? – spytałem raczej przez ciekawość.

Trzynastego września Stołypin będzie w Udińskim, tu przyjmuje delegację ludu i je obiad z miejscowymi władzami. Wtem wpada siwawy telegrafista: «Depesza! Pilna depesza! Do rąk własnych jego ekscelencji!» I kiedy Stołypin odczytuje z depeszy wyrok na siebie komitetu centralnego partii socjalistów-rewolucjonistów, padają strzały.

– Tylko czapka i uniform telegrafisty umożliwi panu przy mojej pomocy zbliżyć się do premiera.

– A potem?

– A potem naturalnie ucieczka pana. Moja pani ofiaruje na przekupienie straży więziennej 25 000 rubli.

– A jeśli ja odmówię?

– Pan tego nie zrobi! Nie zniesie pan ciężaru setek ludzi powieszonych przez Stołypina i wyrzutów milionów zwykłego ludu: pan mógł go zabić i nie zabił! A gdyby nawet pan to zniósł... To ja pana zniszczę!

Rzeczywiście powodzenie zamachu w ten sposób było prawie pewne. Tylko koniec byłby inny: ludzie w Udińskim rozdarliby mnie na kawałki, znam ja moich Sybiraków,

zacofany lud! A nawet gdyby udało mi się wyjść cało z rąk tłumu, to czeka mnie sąd wojenny w przyspieszonym trybie, wieczorem wyrok śmierci, o świcie wykonanie, żeby, broń Boże, oskarżony nie krzyknął prawdy.

Spytał, jaka jest moja odpowiedź.

– Odpowiedź dam panu jutro. O drugiej.

Przy grupowym zamachu istnieje więcej szans ocalenia i mniej ryzyka. Przy indywidualnym prawie nie ma szans ocalenia. A tu zupełnie. Byłem w matni.

Dla mnie nie ma ratunku, myślałem. Tak czy owak, koniec jednaki. Ale czy z moralnego punktu widzenia wolno mi przyjąć pomoc Gulajewa, inaczej mówiąc, pomoc policji czy pewnego odłamu administracji państwowej? Kiedyś przecież może wyjść na jaw cała prawda. Prawda o tym, jak Iwan Aleksandrowicz Wasiliew zabił Piotra Arkadiewicza Stołypina. Wtedy ludzi z dalekiej przyszłości będzie interesować z moralnego punktu widzenia tylko to, czy Wasiliew miał prawo zabić Stołypina, czy nie, tylko to! A to, kto mu przy tym pomógł, to sprawa koniunkturalna czy sytuacyjna, nieważna, jak to, że nagan, z którego zabił Stołypina, pochodził z arsenału policji.

Zabijam cię, Piotrze Arkadiewiczu Stołypin, za to, że ty zabiłeś setki ludzi, że tysiące skazałeś na cierpienia katorgi, więzienia, zesłania! Za to, że zdławileś rewolucję, że rozpasaleś reakcję, żeś podtrzymał upadającą monarchię, za gwałt zadany mojemu narodowi – zabijam! I proszę was, ludzi z dalekiej przyszłości, abyście chwilę pomyśleli

sprawiedliwie nad moim biednym życiem, oddanym zabitemu...

Tak mniej więcej myślałem i pisałem do Nastii. To było najcięższe, domyślasz się, najtrudniejsze, co miałem jeszcze do zrobienia: wytłumaczyć kochanej i kochającej kobiecie, spodziewającej się pierwszego dziecka, że właśnie teraz muszę odejść, by zabić... Włożyłem do koperty, zaadresowałem: «Do mojej żony po mojej śmierci». Długo zastanawiałem się, gdzie to włożyć. Bo przecież przyjdą, w domu będzie rewizja po zamachu... W końcu wpadła mi w oko wyprawka, którą Nastia pieczołowicie szykowała dla swego dziecka. Włożyłem do czepeczka.

Kiedy przyszedł Gulajew, wyraziłem zgodę, omówiliśmy szczegóły techniczne i otrzymałem oficcerski nagan z naładowanym bębenkiem, siedem kul. Tego dnia miałem przenieść się do rezydencji Zotowa, trzydzieści wiorst od wsi Udińskie. Żegnając się, Gulajew powiedział: «Więc wszystko powiedziane, trzynastego...» «Trzynastego, odpowiedziałem, wykonam moją powinność... » Wtedy ty przyszedłeś. Chciałem pozbyć się ciebie, żebyś czym prędzej wyjechał do Starych Czumów i tam siedział, ale w chwili pożegnania pomyślałem, że to ostatnia uczciwa twarz, jaką widzę – i ucałowałem cię.

Trzynastego września z rezydencji Zotowa wyjechał konno łysy telegrafista, ogolony, z siwawym wąsem i naganem za pazuchą, z którego miał oddać trzy strzały do Stołypina i czwarty sobie w usta. Ale wracający z Udińskiego

policjant powiadomił go, że w ostatniej chwili premier zmienił trasę...

– Musiałem do nocy przesiedzieć w lesie, żeby potem po kryjomu, jak złodziej, dostać się do swego domu, przebrać się i położyć do łóżka jako chory. Spodziewałem się przyjacią Gulajewa, który odbierze nagan i prawdopodobnie z niego zastrzeli... Ale nie przyszedł.

– Jak wytłumaczyłeś żonie te wszystkie zmiany w tobie, kiedy żona wróciła?

– Wcale nie tłumaczyłem. Powiedziałem, że zaszła rzecz okropna na tle politycznym, ale prawdy powiedzieć teraz nie mogę, a kłamać nie chcę. Poprosiłem, by była cierpliwa. Za dziesięć lat, trzynastego września 1920 roku, wszystko jej powiem.

– Dziwne to wszystko i nieprawdopodobne. Zamach na premiera w zapadłej wsi syberyjskiej wskutek intryg jakiejś wpływowej damy!

– No, co do tego, Gulajew nie zełgał. Ja długo nad tym myślałem dochodząc do kłębka. Wpływowa dama istnieje. Zdradził mi ją jego protektor. Wiesz, mówiłem już, Gulajew ma protektora. Gulajew pochodzi z Tobolska. Wyświadczył kiedyś przysługę jednemu koniokradowi ze swego miasta. Ten pamiętliwy w złym i dobrym, nazywa się Rasputin.

– Ten rozpustny szarlatan?!

– No, teraz już nie szarlatan... Faworyt dworu!

– Ach, tak się rzeczy mają... To jakież jest stosunek Stołypina do niego?

– A jakież może mieć stosunek bogaty ziemianin, szlachcic z aksamitnej księgi, którego ojciec, dziad i pradziad służyli w wojsku i kończyli służbę w randze generałów, do tego chłopca ze wsi syberyjskiej, brodatego, w koszuli z paskiem i w butach z cholewami jak butle? On może czuć do niego tylko pogardę. «To hańba dla całego imperium, że taki koniokrad i cham – faworyt dworu!» To zdanie Stołypina obiegło cały dwór i zostało zapamiętane zarówno przez Rasputina, jak i przez carową.

– To ty myślisz, że carowa?

– Nie, nie myślę. To nie Katarzyna Wielka, wielka w zwycięstwach swoich i zbrodniach. Ta mała Niemka nikomu nie każe: zabij! Jej kurzy mózdzek, w oparach mistycyzmu, wszystkie sprawy zdaje na Boga, z którym jest w dobrej komitywie. Ona może tylko Boga prosić, aby ukarał wstrętnego Stołypina. On znieważa świętego starca i upokarza *Nikoleńku*, który cierpi, że musi żyć w cieniu sławy premiera.

– Przecież on ich uratował przed rewolucją!

– Właśnie, ale to już było dawno. Murzyn zrobił swoje. Wydaje się im i całej *zwiozdnaj palatie*^{*}, że teraz poradzą sobie i bez niego. Płodna Niemeczka, w małżeństwie z niedojdą, miewa swe megalomańskie marzenia: Boże, natchnij rozumem Nikoleńkę, aby był wielki i rządził mądrze

* „*Zwiozdnaja palata*” – tak nazywano klikę pałacową Mikołaja II przez analogię z angielską

na chwałę Twoją, a jak on nie potrafi, to ja pomogę!

– Iwanie, ty czytasz w myślach monarchów!

– To nieszkodliwe zajęcie dla mnie, co innego, gdy robią to dworacy. To ich powołanie. Od bystrości i sprytu podstępnych dworzan cara zależy odczytanie w porę ukrytych zamiarów panującego, nie wydanych rozkazów. Z całego dworu Rasputin jest najbliższej carowej. Z nim ona współmodli się do Boga. I jeśli nagle ktoś zabije Stołypina, to znaczy, że święty starzec zaniósł jej prośbę do Boga i Bóg uczynił cud!

– A więc to taki łańcuszek: carowa – Rasputin – Gulajew– ty z naganem niewiadomego pochodzenia...

– Tak, i dlatego jestem niespokojny. Tajemnica absolutna to tajemnica śmierci. Tymczasem Gulajew zniknął i nigdzie o nim nie słyhać. Może przyjsć, może przysłać czy nasłać kogoś. Może mnie spotkać zwykłe nieszczęście, drzewo spadnie na mnie, koń zabije, zaginę w tajdze... Nie mam nikogo prócz ciebie, komu mógłbym powierzyć moje domysły i prawdę o sobie...

Już świta. Wasiliew śpi. Kończę spisywanie naszej rozmowy, właściwie jego spowiedzi. Trzeba dobrze schować na wypadek rewizji. Znam jedno takie miejsce..."

KIEDY SKOWRONEK OSZALAŁ

Wczesnym rankiem w początkach października wyruszyli we troje na zimowisko Mikołaja, on, Jewka i Bronisław. W parę koni zaprzężono długi, drabiniasty wóz, na dnie którego położono beczki na żurawinę, trzy z nich tymczasem wypełniono owsem, poza tym odzież zimową, kołdry, poduszki, bieliznę oraz żywność i akcesoria myśliwskie, a na wierzch siano, dla koni. Na wozie jechała, powożąc, Jewka. Obok szli Mikołaj i Bronisław, a psy, Znajda i Brysiek, biegły przodem.

Zaimka Mikołaja leżała dzień drogi od Starych Czumów. Ścieżynę tę Mikołaj z grubsza przetarł trzydzieści lat temu, łącząc z zapomnianym szlakiem poszukiwaczy złota, potem poszerzał, rokrocznie przechodząc nią kilkanaście razy tam i z powrotem, ciągle coś ścinając lub zasypując, w ten sposób powstał wcale dobry szlak dla pieszych, ale nie dla wozu. Tą drogą zapuszczali się później w tajgę ludzie za budulcem, za orzeszkami cedrowymi, za grzybami i jagodami, nie głębiej jednak niż na parę wiorst, dalej była ona nikomu niepotrzebna. Dzika droga. Wiła się według własnego widzimisień, jednak nigdzie nie zabrnęła w bagno ani nie uwięzła w skałach.

Dzień był pogodny i cichy, po nocnych przymrozkach.

Pod nogami ścięte lodem kałuże łamały się z brzękiem tłuczonego szkła. *Gnusu* nie było. Oddychało się pełną piersią czystym, leśnym powietrzem, konie i psy wyrwały naprzód, zdawało się, że podróż do zaimki potrwa dzień i będzie jak majówka. Ale za którąś z tych ostatnich wyjeżdżonych wiorst, zaraz za krzyżem ku czci Łukasza Czutkich, natknęli się na zator, dalej nie było przejazdu na szerokość wozu. Jewka zeszła z wozu i też wyjęła swoją siekierę z za pasa, robiła nią nie gorzej od chłopca, ciach, ciach, ciach, jakby drzewo chłostała za to, że stało, aż bryzgi szczapek leciały. Ścięli trzy drzewa nisko przy samej ziemi, odwalili na bok i zrobił się przejazd. Pojechali, ale niedaleko, niecałą wiorstę, i znów zator.,.

Jechali tak cztery dni. Ścięli setki drzew, z porzniętych okrągłaków ułożyli pomost nad zapadliną i zasypali trzy doły. Ostatniego dnia byli u kresu wyczerpania.

– Zachciało się ojcu żurawiny! – powiedziała przez zęby Jewka wbijając siekierę w pień.

– Zobaczysz! – odrzekł Mikołaj z jeszcze większą pasją odcinając się siekierą.

Tegoż dnia przed wieczorem dotarli do zaimki Mikołaja na brzegu niewielkiego jeziora. Była to mała chatka ze stajenką czy innym pomieszczeniem gospodarczym.

Jewka zabrała się do omiatania chatki i wyrzucania śmieci, Mikołaj z Bronisławem wyprzęgli konie i umieścili w stajni, potem poprzenosili siano i beczki z owsem.

Dzień następny zeszedł im na urządzaniu się. Jewka

napaliła w piecu, myła podłogi, szorowała wszystko i porządkowała, mężczyźni tymczasem wymieniali co bardziej zbutwiałe deski okapu, słup w stajni, i łatali dziury w dachu, zalewając smołą.

Nazajutrz Mikołaj kazał zaprzęgnąć i wrzucić do wozu jedną pustą beczkę. Pojechali w tajgę. W brzeźniaku kazał przystanąć, bo dalej jechać nie można było. Wzięli każdy po kobiałce i poszli, zostawiając wóz, przez brzozowy las, kroków trzysta, na polankę.

– To wszystko żurawina! – powiedział Mikołaj zataczając szeroki gest władcy. – Nasza żurawina!

Pośrodku poźółkłej polanki na mszarach pod srebrzystym szronem polśniewały rubiny. Jak okiem sięgnąć, rubinowym blaskiem mieniły się krzewy dorodnej żurawiny, była tego niesamowita ilość, cała polana zdawała się krwawić żurawiną!

Rzucili się na nią ze swoimi kobiałkami, zaczęli zrywać. Jewka pierwsza pobiegła do wozu, by wysypać zawartość swojej kobiałki do beczki i wrócić, za nią poszedł Mikołaj, ostatni wypróżnił swoją kobiałkę Bronisław. W parę godzin napełnili beczkę, pojechali po drugą i zbierali, póki się nie ściemniło.

W niespełna pięć dni mieli sześć beczek pełnych żurawiny. Zaprzęgli konie, załadowali, Jewka wsiadła.

– Teraz do domu w dzień dojedziesz – powiedział Mikołaj. – Trzy beczki zostawisz dla siebie, a trzy sprzedasz kupcom na południe. A na przyszły rok przyjedziesz tu z

Mitraszą i obrócisz cztery razy po sześć beczek! Cztery zostawisz sobie, a dwadzieścia sprzedasz kupcom po pięć rubli za beczkę, razem rubli sto! Rozumiesz, dlaczego zachciało się ojcu żurawiny, co?

– Tak, ojcze.

– To jedź z Bogiem... W razie czego, to wiesz, jak?

– Wiem, ojcze.

I odjechała dzielna dziewczka, z siekierą za pasem i pięciostrzałowym pistoletem bębnowym w kieszeni. Cóż, kiedy jednak dziewczka, nie syn, syna mu *bradiagi* w tajdze zabili, gdy wracał do domu...

Jewka odjechała w samą porę... Nazajutrz syznął śnieg z deszczem. Kurzawa kotłowała się pół dnia i ścichła. Niesamowicie cicho zrobiło się na dworze – żadnego ruchu, żadnego odgłosu. Bezszelestnie, miękkimi krokami, na lisich łapach zbliżała się zima.

W nocy spadła ponowa. Jak na zawołanie, dwudziestego października!

– Bronisław, zima! – zawołał Mikołaj otwierając drzwi.

– Zimowe wkładaj!

Olśniewająca biel śniegu na ziemi, śnieżna czapa na drzewach, bezwietrzna cisza i lekki mrozek!

Spiesznie wciągał ciepłe spodnie, na nogi włożył *kaczeńce*, skarpetki zajęcze, i wsunął je w *brodnie*, wysokie, miękkie buty, zawiązał rzemykami pod kolanami, włożył *kuklankę*, bluzę ze skórek zajęczych, spadającą po kolana, z kapturem.

– Małachaj brać?

– Nie, jest dopiero kilka stopni, zgrzejesz się...

Woda ugotowała się w imbryku. W pośpiechu, parząc się, pili herbatę i, zając chleb z boczkiem, szykowali się w drogę.

– Ten małokalibrowy sześciostrzałowy winczester przywiózł mi kupiec z Irkucka cztery lata temu. Dorobisz się, to kup sobie taki. Bije do celu na dwieście kroków. Zasadniczo używam go na wiewiórki i inną drobną zwierzynę, bo robi małą dziureczkę, ale raz strzeliłem jelenia. Na ptactwo, zające, lisy, rysie mam dwunastkę śrut, na dziki, niedźwiedzie, łosie – kule-breneki.

Idąc rozmawiali jeszcze o broni, że z dubeltówki można strzelać śrutem tylko na odległość do pięćdziesięciu kroków, a kulą do sześćdziesięciu. W tym roku, mówił Mikołaj, kupiec, który skupuje puszninę, prawił, że w Anglii podobno zrobiono dubeltówkę z gwintowaną lufą. Bije ona śrutem bardzo dobrze na sześćdziesiąt kroków, a kulą na dwieście, i to jest cud, ale Mikołaj w cuda nie wierzy.

Potem już nie mówili, posuwając się w milczeniu za psami. Przeszło godzinę szli tak popatrując na drzewa. Wtem usłyszeli w oddali wysokie ujadanie Znajdy, po chwili przyłączył się do niej i basowy głos Brysia.

Przyspieszyli kroku.

Z gałęzi, wysokiego cedru wiewiórka przyglądała się, jak ujadają, miotając się ze złości, psy na ziemi, i to zdawało się ją bawić.

Mikołaj strzelił. Wiewiórka spadła. Znajda rzuciła się do niej, Brysiek także, ale na ostrzegawcze warknięcie suki dał spokój i Znajda sama podała swemu panu zdobycz.

– *Wot i rublik* – powiedział Mikołaj oglądając wiewiórkę, czy całkiem wyliniała, spojrzął i na łapki, czy nie starte, bo to by znaczyło, że z daleka przywędrowała.

Bronisław spojrzął na śliczne popielate zwierzątko i poczuł przykrość, że wyceniono tak tanio i brutalnie to życie: rubel.

A Mikołaj opowiadał o popielicach i ich najmniejszych pasiastych krewnych, *burunduczkach*, przy ziemi żyjących, i tych latających z przeponą, polatuchach, a za najwartościowsze uważał teleuszki. Sezon na wiewiórki, mówił, zaczyna się od 20 października i najlepszy czas to pierwsze dwa miesiące... Potem w silne mrozy trudniej upolować wiewiórki, śpią lub zbijają się do kupy, po trzy-cztery w jednej dziupli, grzejąc się wzajemnie, nie widać ich na drzewach...

Po jakimś czasie znaleźli jeszcze jedną i ubili, jak poprzednią, bez emocji i ryzyka. Znajda tak samo warknięciem odpędziła Bryśka, kiedy rzucił się do podawania.

Potem długo szukali bez skutku, chodzili godzinę i drugą, aż przywołały ich głosy psów, a przybiegłszy, zobaczyli, z jaką pasją Bryś obszczekuje wiewiórkę na drzewie.

– Strzelaj. Chcę zobaczyć, jak się zachowa...

Bronisław wolno, specjalnie wolnym ruchem, zdjął kapiszonówkę z ramienia, zmierzył się... Brysiek znieruchomiał, tylko oczy mu chodziły od lufy do wiewiórki, tam i nazad, i wszystkie mięśnie grały od napięcia... Wtedy pułdo byłoby nie do darowania, równałoby się zbrodni.

Strzelił. Brysiek skoczył jak błyskawica, po drodze do miejsca upadku wiewiórki ugryzł Znajdę w ucho – nie przeszkadzaj, suko! – i już miał zwierzynę w pysku. Bronisław zaczął go chwalić pogłaskując:

– Ach, jaki to mądry pies, jaki dobry! Nie było takiego psa, nie ma drugiego takiego psa i nie potrzeba.

Mikołaj odezwał się podając mu boczek z chlebem:

– To mało. Daj mu kawałek tego, cośmy dla siebie zabrali.

I kiedy Bronisław to uczynił, Mikołaj rzekł poważnie:

– Trafił się tobie, Bronisławie Edwardowiczu, pies na wagę złota. Od każdego z rodziców wziął, co było najlepszego – prawdziwa wilko-łajka! Jak żyję, nie widziałem jeszcze, żeby pies, właściwie szczeniak w jedenastym miesiącu, na pierwszym polowaniu wszystko zrozumiał...

Bronisław ruszył dalej z wiewiórką w rękę i Bryśkiem u nogi, a Mikołaj mu tłumaczył, że za każdym razem, kiedy będzie czegoś żądać od niego, musi dobrze się zastanowić, czy on rozumie, czego chce od niego, i czy on potrafi to wykonać? Każdy normalny pies rozumie niezależnie od intonacji głosu, z samego dźwięku, kilkadziesiąt słów. Z tym

psem będzie mógł rozmawiać jak z przyjacielem. Ale najpierw musi go nauczyć polowania nie tylko na wiewiórkę, ale i na lisa, dzika, kozła, na każdą zwierzyńcę, którą on ma gonić czy tropić, wystawiać czy tylko płoszyć... Jak szczekać i kiedy, ale także kiedy szczekać nie wolno, bo nie wolno nam zdradzić swojej obecności...

Chodzili jeszcze po lesie do zmroku, ale nic więcej nie ubili, i wrócili do domu.

W chacie przede wszystkim napalili w piecu. Ogromny piec zajmował trzecią część izby, z piekarnikiem, gdzie wstawiało się garnki i zakrywało otwór blaszaną zasłoną, z blachą i fajerkami do gotowania i wielką wnęką na dole, w której można wyhodować pięćdziesiąt kurcząt i wysuszyć cztery pary *brodni*, z *policą* wreszcie, to znaczy z szeroką półką do spania na górze.

Postawili w piecu do podgrzania kapuśniak, co im został, jeszcze z obiadu ugotowanego przez Jewkę, i zajęli się *kamusami*, Mikołaj bowiem wręczył Bronisławowi te narty, jakie dla niego zrobił z bardzo cienkich, ale szerokich desek, z lekkiego, mocnego drzewa. Oba końce nart, przedni i tylny, były lekko wygięte i obszyte starannie skórkami z nóg rena, tak zwanymi *kamusami*. Od spodu włos skórki tak ułożony do tyłu, by nie zatrzymać ślizgu, natomiast przy wchodzeniu jeżył się i hamował nartę.

– Jakżeś to zrobił, Mikołaju Saweliczu?

– A to się wystruguje specjalnym nożem... No, kapuśniak gotowy!

Przy kapuśniaku, gdy Bronisław przepił do Mikołaja, raz jeszcze dziękując za piękne narty, Mikołaj się rozgadał, że w tym roku cedr słabo obrodził, za to udały się grzyby i jagody, a to ma znaczenie dla wszystkich. Dla wiewiórki w pierwszym rzędzie, ale i dla człowieka także, dla sobola i kiedrówki, i niedźwiedzia (wymawiał *mudmiedzia*). Bo kiedy cedr obrodzi, to popielice ściągają w te strony tysiącami i można przez jeden sezon ubić 600 sztuk, a co orzeszków cedrowych nazbierać! Wystarczy z koniem, jucznymi workami, rozwidlonym kłocem i długą tyką pojechać do lasu, to można natrzeć a natrzeć tych orzeszków, ile koń udźwignie! Znowuż soból, gdy jest urodzaj, wygrywa podwójnie: je orzeszki i wiewiórki. Kiedrówka też się żywi orzeszkami, ale w razie nieurodzaju może przynajmniej odlecieć do dalekich krajów, nie zimować u nas, *Burunduk*, mały gryzoń, w tym wypadku nie będzie miał w swoich spiżarniach żadnych orzeszków cedrowych i nie będzie rozpaczał, że niedźwiedź je rozkopuje. Niedźwiedź zaś, gdy jest głodny, nie śpi, jest rozdrażniony i napastuje człowieka.

Rozmowa zeszła na niedźwiedzie.

– Dwadzieścia lat temu – opowiadał Mikołaj – zdarzyło się najście *mudmiedzi* na Stare Czumy. Wielki pożar tajgi je wypłoszył. Były wtenczas żniwa i na pustą naszą wioskę zważyło się ich z tuzin. Powłaziły do domów, do *ambarów*, wyżerały, co znalazły. A Micheicz, spirytonos, zawitał akurat po drodze do domu ze świeżym transportem wódki. Żona go prosi: „Bądźże ty raz człowiekiem, pomóż rodzinie uprzątnąć

zboże!” Ten chciał być człowiekiem, pojechał w pole, a butle zostawił w domu, gdzie siedziały małe dzieci z babcią. Jak zobaczyły w drzwiach *mudmiedzie* mordy, to uciekły na strych, a one jak swój do swego po swoje! Znalezione potem w izbie wszystko poprzewracane, jedną bańkę pustą, a obu *mudmiedzi* spitych w trupa. Tak ich zarąbano. A ja znalazłem na podwórzu *mudmiedzicę* z małą, starą zastrzeliłem, a mała to była matka Małanii.

– Przepraszam, czyja?

– Małanii. *Mudmiedzicę* na łańcuchu przy *ambarze* widziałeś, Bronisławie Edwardowiczu? To była właśnie jej matka. Wykarmiliśmy ją, Jewka miała wtedy cztery latka, bawiła się z nią jak z pieskiem. Można powiedzieć, chowana wśród *mudmiedzi*! Tak, latka szły, Małania rosła i kiedy raz przez nieostrożność zabiła krowę, to trudno, trzeba było wziąć na łańcuch. Była u nas lat szesnaście. Ale zanocował u nas jeden taki, co chodzi po jarmarkach, po odpustach z *mudmiedziami*, a była to pora, kiedy one się kochają, no i nie upilnował. Stało się. Po siedmiu miesiącach Małania urodziła małą i zmarła, zbyt późno przytrafiło się jej przecież dziecko... Jewka tamtą odpłakała, pochowała jak krewną jaką i zaczęła chować małą Małanię.

Pogadali jeszcze o tym i o tamtym i poszli spać na *police*, na deski nad piecem, gdzie była pościel. Spali smacznie, a śnieg sypał i sypał dużymi płatami na niedźwiedzia, który spał w swoim barłogu, na kedrówkę, która nie odleciała, na sobola, i na *burunduczka*, i człowieka,

na każdego jednakowo w jego kryjówce.

Nazajutrz zobaczyli wszystko zasypane śniegiem i jakby zaspane, ni to odwilż, ni to mróz.

– W taki zgniły dzień wiewiórka nie wychodzi z dziupli – rzekł Mikołaj. – Ale trzeba się przejść, może się coś trafi. Ja pójdę w lewo, a ty w prawo. Czas jakiś będziemy polować osobno, żeby Brysiek przyzwyczaił się, że ty jesteś jego bogiem i carem wszystkiego. Żeby, jak coś zobaczy, przede wszystkim spojrzał na ciebie, co każesz – gonić, skradać się czy stać? A już w żaden sposób nie pozwalaj, żeby pędził za głupim zającem czy lisem, od tego trzeba raz na zawsze oduczyć.

Włożyli narty. Wczoraj było śniegu po kostkę, a dziś po kolana. Mikołaj udzielał niezbędnych wskazówek.

– Idź brzegiem strumienia, co wypływa z jeziora. Będzie tam głęboki parów, prawdziwe uroczyisko, nie schodź w dół, ale idź wzdłuż niego. Pamiętaj, parów masz po lewej ręce, a z powrotem – po prawej, to nie zbłądzisz.

Popatrzył, uśmiechnąwszy się pod wąsem, jak odchodzi, niczym dziecko na nie swoich nogach podpierając się kijkiem, i poszedł w swoją stronę krokiem lekkim i zwiewnym, jakby płynął po śniegu.

Wrócili o zmroku, najpierw Mikołaj, potem kiedy się zupełnie ściemniło, Bronisław. Mikołaj miał dwie wiewiórki, Bronisław jedną i jednego zająca.

– No, masz początek koldry, pierwszy grzbiecik do tych trzydziestu. Zdejmij skórki, naciągnij, ja tymczasem

przygotuję obiad.

Przy obiedzie Bronisław opowiadał, co widział, że ten parów ciągnie się wiorstami całymi, a głęboki, mroczny i zarośnięty, że strach – rzeczywiście uroczyisko.

– Ostoja szczurów wodnych – zauważył Mikołaj. – A gdzie są szczury, tam i lisy.

– Widziałem mnóstwo śladów, ale nie mogłem rozpoznać i odczytać.

– Później nauczę cię tego, jak zaczniemy razem polować. Co jeszcze widziałeś?

– Nic specjalnego, uważałem na narty, żeby się nie wyrwać. Omijałem wykroty i leżące drzewa, szedłem i szedłem, aż zaszedłem w brzozowy las. Mikołaju Saweliczu, ja takich brzóz nie widziałem, nie myślałem nawet, że mogą być aż takie! Wysokie, do wysokości cedra, a pień tak gruby, że nie obejmiesz! I ta olśniewająca jak blacha niebieskawa biel kory!

– Ano właśnie, one lubią gnieździć się w takich lasach, te popielice, w brzozowych dziuplach. A na dole mają grzybki.

– Toteż strzeliłem tam tę jedną jedyną i wyszedłem nad dużą rzekę.

– To aż do rzeki zawędrowałeś? Dziesięć, a może i dwanaście wiorst w jedną stronę, kto je tam liczył...

– Ja też nie liczyłem, bo wszystko tu dla mnie jest nowe. Zobaczyłem szeroką rzekę i goły brzeg.

– Latem piaszczysty...

– Właśnie. I tam ujrzałem coś, czego nie rozumiem. Może mi wytłumaczysz, Mikołaju Saweliczu. Zobaczyłem ślady, które odczytałem. Podobne były do jarząbkowych, tylko o wiele większe. Domyśliłem się – głuszce. Ale czego one, te leśne ptaki, tam szukały? Po co one tak tłumnie przylatują na ten piaszczysty, teraz śniegiem zasypany brzeg?

– Żwirku chcą, drobnego żwirku.

– Głuszce?

– Tak, głuszce po igłach sosny, po smolistej choinie szukają żwirku, żeby przetrzeć żołądek. To jest widocznie ich stałe miejsce żwirkowania. Przyleciały jeszcze raz z przyzwyczajenia i nie znalazły żwirku. Ja miałem w związku z tym jedną ciekawą przygodę. Otóż, dziesięć lat temu Siergiej, u którego żeśmy nocowali w Udińskim, zaprosił mnie na głuszce w jego stronach, trzydzieści wiorst od niego. Pojechaliśmy. Jednego ranka ubiłem dwie sztuki, drugiego jedną. Zacząłem patroszyć i w żołądku jednego znalazłem samorodek, tak, ni mniej, ni więcej, tylko samorodek czystego złota wielkości bobu. Z tej okazji po powrocie poszliśmy w *kabak*, opowiadałem, jak to się stało, i wszystkim pokazywałem to złoto. A był przy tym Zotow, wówczas młody, trzydziestoletni kupiec, syn średnio zamożnego kupca, wykształcony człowiek i rzutki. Jak zobaczył mój złoty bób, zaraz mnie na stronę: „Gdzie polowałeś?” E, myślę sobie, trafiła błyszczka na szczupaka. „To tajemnica, *wasze stiepieństwo*”. A on: „Kupuję tajemnicę polowania”. I kładzie mi sto rubli: „Tylko nikomu

o tym ani słowa”. I co myślisz, Bronisławie Edwardowiczu? Następnego lata trafił on na ten żwirek, z którego głuszce brały. Odkrył jedną z najbogatszych kopalń złota. Teraz potęga, zatrudnia 3000 robotników i ma 50 000 dziesięcin tajgi.

W listopadzie ustaliła się zima na dobre. Sypnął śnieg i mróz ściał ziemię. Wypełnił zapadliny i doły, przykrył upadłe drzewa, krzaki, wszelki susz i zgniliznę, zrobiło się jaśniej, równo i przestronnie, a okiść na drzewach miała kształt obły i dostojny. Suchość powietrza i brak wiatru łagodziły klimat, *sorokowiki* jeszcze nie nadeszły, toteż była to pora najprzyjemniejsza i najzdrowsza na Syberii. Przy dziesięciostopniowym mrozie Bronisław cały dzień brodził na nartach w lekkiej futrzanej *kuklance* i ciepłych zajęczych pończochach wsuniętych w wysokie *brodnie*, i czuł się doskonale, ciepło w nogach i rozkosznie na duszy... Uczył psa karności, nieujadania bez potrzeby, nieganiania za napotkaną zwierzyną, miał na rozkładzie jedną, dwie wiewiórki dziennie, rzadko trzy, ubił też kilka zajęcy i jednego lisa. Doszedł do wniosku, że polowanie na wiewiórki nie sprawia mu żadnej przyjemności. Ile razy strzelał, zawsze trafiał, ani jedna nie uszła. Były całkowicie bezbronne, a przy tym piękne, z jakąś gracją i wdziękiem przyglądały mu się, trzymając w łapkach orzeszek. Trudno, jest w terminie u Mikołaja, musi się nauczyć polowania, ale w ogóle nie będzie się trudnił tą rzezią niewiniątek. Trzeba wypytać Mikołaja, myślał, na jakich właściwie warunkach polują do spółki. Jeśli

wszystko, co ubiją, idzie na wspólny rachunek do równego podziału, to nie wypada wycofywać się z uboju wiewiórek teraz, dopiero później, gdy będzie samodzielny.

Raz wieczorem, gdy czyścił strzelbę, Mikołaj zapytał go, ile ma lat.

– Dwadzieścia siedem.

– Łukaszka miałby teraz dwadzieścia osiem.

– No, prawie to samo. Ja będę miał dwadzieścia osiem w styczniu.

– Zabili go, gdy wracał do domu, wiesz?

– Wiem.

– Przed tym pierwszym zatorem, gdzieśmy ścięli trzy drzewa, niedaleko od tego miejsca stoi wysoki drewniany krzyż. Tam to się stało. W zimie to było. Nic nie wiedzieliśmy. Ode mnie wyszedł, a do domu nie wrócił. Dopiero latem, gdy śniegi stopniały, to Znajda znalazła. W bagnie przy drodze leżał. Głowę miał rozbitą, bez *kuklanki*, a *kuklankę* on sobie sprawił tunguską, z młodych renów roczniaków, *neplujew*, koloru kasztanowego, tej kurtki na nim nie było ani strzelby, ani psa... Co ja się nie namodliłem, święty Boże, Boże wszechmogący a sprawiedliwy, spraw, żeby te łotry wpadły w moje ręce! Myślałem, że grasują oni w okolicy Starych Czumów. Chodziłem po nocy niby pijany, rozpiłem się z rozpacz, tak udawałem, i że niby pieniądze przepijam, z pieniędzmi chodziłem, wszystko na wabia – nic, nie napadli mnie, nie widziałem człowieka w kasztanowej kurtce tunguskiej z *neplujew*, haftowanej czerwoną i zieloną

nicia. Tylko strzelbę odnalazłem. Tę strzelbę podarowałem mu na Boże Narodzenie. Trafiła mi się dwulufka cacuszko, jedna lufa dubeltówki kaliber szesnaście i pod nią małokalibrowa lufa kulowa sześć milimetrów, w sam raz na wiewiórkę, a jak czubek kuli naciąć na krzyż, to będzie dobra kula rozpryskowa, półpłaszcz, na grubszego zwierza. Wypytywałem ludzi, czy nie widział kto takiej strzelby. Bo trzeba tobie wiedzieć, Bronisławie Edwardowiczu, że broń kombinowana jest u nas rzadkością, a już żeby do dubeltówki dodano lufę kulową nienormalnego kalibru siedem czy osiem, ale sześć milimetrów – to już rzecz osobliwa na amatora! No i powiedziano mi w zeszłym roku, że taką broń ma *objezczyk* nadleśnictwa Szeroki Bór...

– Suchowiej!

– Tak, Suchowiej. A skądże go znasz?

– Jak jechaliśmy do Starych Czumów, to u niego jedliśmy obiad. Przedtem był żandarmem, kolega Bojarszynowa.

– Zgadza się, był żandarmem... No, więc Suchowiej tę broń mego syna pokazał i powiedział, że kupił okazyjnie, ale uczciwie od wdowy po *mirowom sudi*^{*}, co go *mudmiedź* rozszarpał, a skąd ten wziął, nie wie. Prosiłem Suchowieja, żeby sprzedał, dawałem mu podwójną cenę – nie chciał, ale prawnie odebrać nie mogłem. Pojechałem do powiatu do owej wdowy, może przypomni ona sobie, od kogo nabył tę

* *Mirowoj sudia* – sędzia pokoju.

broń jej mąż. Dokładnie powiedzieć nie może, coś jakby sędzia w karty grał i wygrał u kogoś, ale u kogo – nie pamięta... No i przypadło. A może i nie przypadło. Mnie się ciągle zdaje, że jeszcze będę miał w tych oto rękach – zacisnął swe ogromne pięści – będę miał człowieka w kasztanowej *kuklance* i zajrzę głęboko mu w oczy: wieszli, za co umierasz, morderco syna mego?!

Po niejakiem czasie zateśknął Mikołaj za łaźnią, bez której nie mógł się obejść dłużej, uczciwą parową łaźnią na rozżarzonych kamieniach, jaka była w każdym syberyjskim obejściu. Trzy tygodnie się nie mył, powiedział, pójdzie do domu. Te czterdzieści wiorst zrobi na nartach w cztery godziny i przed zmrokiem zajdzie. Sobotę wieczór i niedzielę spędzi w domu, a w poniedziałek wróci.

Poszedł. Bronisław został sam w zaimce i postanowił przejść się jeszcze raz wzdłuż parowu w kierunku rzeki, spenetrować dokładnie to uroczysko.

Do prawej lufy wsypał pół ładunku cienkiego śrutu na wiewiórkę, a do lewej cały ładunek grubego śrutu na wszelką inną zwierzynę. Idąc, w myśli jeszcze kilka razy powtórzył, prawka – wiewiórka, lewka – lis, ryś, głuszec, i szurnął na nartach w stronę strumienia, pod górkę zwolnił, ostrożnie posuwając się przez zagęszczony las. Starał się jechać po równym, z lewej ręki mając opadający brzeg wąwozu, pełen wywróconych lub padłych od starości drzew, rosnących w wielkim pomieszaniu świerków, brzoź, olch, osik, im niżej, tym gęściej i dziwnie powykęcane w ciasnocie gałęzie

podlejszych gatunków, bujnie rosnących na stokach ze źródłami podskórnymi. Na samym dnie było ciemno mimo odbłasku śniegu i nawet w listopadzie dał się wyczuć zapach tlenu, stęchły zapach piwniczny.

Po dwóch godzinach przekradania się i prześlizgiwania usiadł w dołku, trzydzieści kroków przed schyloną, na wpół powaloną sosną, z Bryśkiem u nogi. Było cicho, tylko z prawej strony dochodziło stukanie dzięcioła, dźwięki głucho, tłumione w śniegu. Siedział tak nieruchomo może kwadrans, kiedy kątem oka dostrzegł z dołu jakiś ruch, jakby coś szło w górę. Nieznacznie ustawił się półbokiem i wparł stopy w ziemię dla pewności strzału. Ale nic nie było. Chciał już rozluźnić mięśnie, ale napotkał utkwiony w sobie wzrok Bryśka, czy mogę? Pies wyraźnie czuł obecność kogoś, kogo poznał, i dygotał z podniecenia. Zwolnionym ruchem ręki Bronisław położył palec na ustach, umowny znak: siedź cicho. I ledwo opuścił dłoń dotykając spustu, jak zza pochylonej sosny strzeliła w górę ciemną błyskawicą sylweta lisa i zwinęła się w ogniu. Bronisław był szybszy.

Bryśiek po strzale rzucił się naprzód i tryumfalnie podniósł wysoko czarnego lisa.

Bronisław oglądał wspaniałe trofeum, nie zdając sobie sprawy z jego ceny, wiedział tylko, że drogie, o wiele droższe niż rudy lis, i pierś rozpierała mu duma – ja byłem szybszy! To nie głupi strzał do przyglądającej się tobie wiewiórki, to strzał z przyrzutu, gdzie decyduje ułamek sekundy, w tym ułamku sekundy jest moja sprawność i biegłość myśliwska, i

tryumf!

Mikołaj wrócił w porze obiadowej, przyniósł faskę pomidorów marynowanych i papryki od księdza Sierpińskiego i list Wasiliewa. Bronisław urąbał kawałek zamrożonego na kość rosółu i *pielmieni*, ugotowanych przez Jewkę, wrzucił do saganka i zabrał się do czytania listu.

Wasiliew donosił, że trzeciego listopada urodził się im szczęśliwie synek wagi 8 funtów*. Na ojca chrzestnego chcieli oni prosić jego, Bronisława, ale pop Platon Ksenofontow oburzył się, że katolik będzie chrzczył prawosławne dziecko, więc dali spokój i zwrócili się z tym do Luboczkina, młodego urzędnika u Zotowa, chodzili do szkoły razem z Nastią. W wiadomej sprawie nic nie słyhać, pewne światło rzuca załączony wycinek z „Gołosa Sibiri”. Kiedy cię zobaczymy, jak się czujesz w myśliwskiej zaimce, pozdrowienia od Nasti itd.

A „Gołos Sibiri” w komunikacie pt. „5000 rubli nagrody” podawał, że 13 września br. powracający do Udińskiego podróżni znaleźli na 22 wiorście od tejże wsi tarantas, a w nim śmiertelnie ranionego woźnicę Iwana Lewaszowa. Doprowadzony do przytomności Lewaszow zeznał, że wiózł z Udińskiego urzędnika do specjalnych zleceń przy gubernatorze jenijskim, Dymitra Aleksiejewicza Gulajewa. Zauważywszy leżące w poprzek drogi drzewo, Lewaszow zatrzymał konie i w tejże chwili

* *Funt* – dawna miara wagi w Rosji = 0,4095 kilograma.

nastąpił napad. Napastników było dwóch, jeden uderzył go z tyłu nożem w plecy i zarzucił worek na głowę, więcej nic nie pamięta. Tej samej nocy zmarł. D. A. Gulajewa w pobliżu powozu nie było ani w okolicy po dokładnym jej przeszukaniu. Policja wyznaczyła 5000 rubli nagrody temu, kto pomoże wykryć tajemnicę tej zbrodni – miejsce ukrycia zwłok Gulajewa.

To rzeczywiście rzuca pewne światło na sprawę, jak pisał Wasiliew. Bo jeśli Gulajew nie zdążył nikomu powiedzieć o tym, co kroilo się w Udińskim, i nikomu nie wydał żadnych poleceń względem Wasiliewa – to sprawy nie ma.

Przy obiedzie rozmawiali o tym, co dzieje się we wsi, że myśl robienia serów i masła dla spółdzielni wszystkich poruszyła, oczywiście Jemielianow przy tym pierwszy, jak zawsze przy każdej nowince, że Micheicz-spirytonos spłacił współnika i sam prowadzi interes, że Akulinie najstarszy nadzwyczaj się udał, ludzie nie mogą się nadziwić, osiemnaście lat, a sam zorał, zasiał i zebrał nie gorzej od starego...

Po obiedzie Bronisław pokazał swego lisa, a że leżał w stajni na desce, gdzie suszyły się skóry, wyglądał jak żywy z łapkami podkurczonymi w skoku, gdy go strzelił Bronisław – to jeszcze bardziej uwydatniło jego królewską urodę.

Mikołaj gwizdnął – takie buty – wziął pod włos, chuchnął, podniósł do góry...

– Bez skazy! Jakżeś go podszedł?

Bronisław opowiedział.

– Ile on wart? – Mogę ci za niego zaraz dać trzysta pięćdziesiąt rubli i jeszcze zarobię w Niznieudińsku.

– To aż tyle?

– A coś myślał? Czarny lis to rzadka perła teraz... Ale ty masz szczęście, Bronisławie! Szczęście i wielką *smiekalkę** myśliwską, za parę lat będziesz sławnym łowcą! – mówił, potrząsając go za oba ramiona, tak się szczerze cieszył, jakby to nie Bronisław, ale on, Mikołaj, ubił czarnego lisa, poczciwa dusza, pomyślał Bronisław, człowiek jak kryształ.

– Wybaczcie, Mikołaju Sawieliczu, ale chciałbym wiedzieć, co ja będę wam winien za naukę? Na jakich warunkach my właściwie polujemy?

– Jak to, na jakich? Jesteś moim kompaniem! Kompania znaczy towarzystwo.

– Więc jeśli ja przestanę polować na wiewiórki, a zajmę się inną zwierzyną, na przykład lisami czy sobolami, to wam to nie sprawi różnicy?

– Żadnej. Poluj, na co chcesz, twoja sprawa, a co ubiełeś, twoja zdobycz... Ile masz na rozkładzie?

– Czterdzieści siedem wiewiórek, jednaście zajęcy, trzy rude lisy i jeden czarny.

– Wcale ładnie jak na pierwszy miesiąc. Na rok życia starczy... A wiewiórki nie?

– Nie. Mikołaju Sawieliczu, nie mam serca do tej

* *Smiekalka* — bystrość, spryt

zabawy. Żal mi ich.

– Drugi raz to słyszę – powiedział cicho. – On to samo mówił...

– Kto?

– No, Luka... Strzelał, bo mu kazałem, bo taki jest nasz interes, żeby dużo ubić. On to wiedział, przyznawał rację, z tego my żyjemy, ale w duszy się zżymał i myślał jak ty. W końcu machnąłem ręką, a poluj, na co chcesz, na lisy, sobole, wydry, byle dużo. Nieźle na tym wychodził... Więc ty także. Ano niech tak będzie. Odniesiesz do domu swoją zdobyczą, kiedy w sobotę tam pójdziesz...

– Ja też do łaźni?

– Co to ja będę czysty leżał obok brudnego? Raz na miesiąc mamy łaźnię.

„22 listopada 1910 roku. – Wydostałem z mojego schowka brulion w ceratowej oprawie pod zielonkawą marmurką, by dołączyć wycinek z «Gołosa Sibiri» i zanotować, co mi się przytrafiło.

Kiedy wyruszyłem z zaimki, mój niezawodny zegarek wskazywał godzinę ósmą. Na plecach miałem spory toból z całomiesięczną zdobyczą futerkową. Po miesiącu chodzenia w lesie za zwierzyną czuję się na nartach pewnie, oczywiście nie tak swobodnie jak Mikołaj, który zda się bosą nogą wyczuwać teren, do takiej perfekcji i znawstwa może dojść

po paru latach polowania na nartach, tymczasem, powiadam, nie miałem żadnych wątpliwości, że dojdę do Starych Czumów.

A mogłem nie dojść. W połowie drogi zorientowałem się, że zanosi się na zawieję śnieżną, więc zacząłem gnać co tchu. Było to ściganie się z białą śmiercią. Wiatr się wzmagał i gwizdał, kurzawa zrobiła się taka, że na dwa kroki nie było widać. Ja z pewnością zgubiłbym drogę i zginął w śnieżnej pustyni, gdyby nie Brysiek. On biegł przede mną wskazując drogę, a ostatnie kilometry, kiedy kompletnie nic nie widziałem, czekał i powracał po mnie. Już czuł dymy ze wsi i nieomylnie prowadził do niej. Jak źle było, wystarczy powiedzieć, że kiedy w pewnej chwili oparłem się o jakiś słup i uniosłem głowę, ujrzałem przed sobą rzeźbioną bramę obojścia Mikołaja Czutkich. Do domu miałem jeszcze wiorstę. To było ponad moje siły.

Wszedłem na podwórze. Małanii na łańcuchu przy stodole nie było. Spała. Pchnąłem drzwi czarnego ganku od kuchni. Jewka, krzątająca się przy piecu, rzuciła się do mnie, zdjęła toból i *kuklankę*, bo cały skostniałem, rozzuła z *brodni* i pończoch zajęczych, włożyła nogi do wody...

Leżałem w błogim półomdleniu na ławie, przytrzymywany z tyłu pod pachami przez Jewkę, z głową u niej na piersi.

– Dobrze ci?

– Dobrze...

– Czujesz nogi?

- Czuję...
- Porusz palcami.

Poruszyłem.

- To będziesz tańczył na moim weselu.
- Na pewno.
- Powiedz, jakżeś znalazł drogę w taką zawieję?
- Pies mnie prowadził.
- Uratował cię, dzielny Brysieku.

Brysieku, słysząc swe imię, podskoczył i liznął nasze twarze, moją i jej.

- Uważaj się za pocałowaną.
- Uważam się. A teraz się nie ruszaj, zaparzę herbatę.

Podniosła się.

- Już mi przeszło. Mogę iść do domu.
- To się zobaczy. Popatrz, jak miecie na dworze...

Wciąż mieszkasz u Jemielianowów?

– Tak, pokój na strychu zatrzymałem, płacę dwa ruble, kiedy nie mieszkam.

Chciała zabrać ze stołu toból, który zdjęła ze mnie.

- Jeszcze to musiałeś nieść... Co tu masz?
- Urobek całego miesiąca i czarny lis.
- O, to muszę zobaczyć!

Rozpakowała.

– Tatuś przed dwoma laty ubił takiego samego... Jaki on ładny!

- Podoba ci się?
- Bardzo!

– To weź go sobie, proszę.

– A coś ty! Czy wiesz, że za pieniądze otrzymane za tego lisa możesz sobie dom wybudować?!

– To nie ma znaczenia, grunt, że tobie się podoba. Włóż, proszę cię, na ramiona... Jak ci w nim do twarzy!

– Toś ty taki – powiedziała w zamyśleniu i zdecydowanym ruchem zdjęła z szyi lisa. – Nie. Według zwyczajów łowieckich pierwszej zdobyczy nikomu się nie oddaje, bo to przynosi nieszczęście, i ja tego nie chcę. A jak sprzedasz lisa, to możesz mi ładną chusteczkę podarować. Przyjmę i nosić będę... No, oto herbata. Napij się, to ci dobrze zrobi.

Pilem dmuchając na gorącą mocną herbatę, a ona powiedziała, że zaraz wróci. Narzuciła na głowę chustę i wybiegła.

Nieobecność jej trwała dość długo. Zdażyłem wypić herbatę, wyjąć nogi z balii i włożyć zajęcze *kaczeńce*, kiedy wróciła.

– Napaliłam w *bani* – powiedziała wesoło, z jakąś nutą podniecenia. – Umyjesz się z drogi, a ja tymczasem przygotowuję obiad.

– Kiedy ja mam *banię* w domu.

– E, nie taką. Jemielianowowie mają *banią czarną* bez komina, a my *białą**, czystą, bez dymu, z półkami aż pod sufit. Chodź.

* Bania czarna i biała – łaźnia bez pieca, gdy dym wychodzi drzwiami, i łaźnia z piecem.

Włożyłem *kuklankę*, przebiegłem za nią przez zamieć kilkadziesiąt kroków na drugą stronę podwórza i wpadłem w gorącą parę łaźni.

– Mitraszę odpuściłam do rodziców na dwa tygodnie, bo w domu ma niewiele roboty. Na szczęście przed odejściem wody nanosił trzy beczki, dlatego krótko trwało, tylko w piecu rozpalić.

Wytłumaczyła, gdzie co leży, i wyszła.

Rozebrałem się, nalałem wody do balii, namydliłem twarz i włosy i nachylony, z zamkniętymi oczami, oddałem się myciu. Wtem uczułem z tyłu jakiś ruch i nagle szczotka zaczęła jeździć mi po plecach. – «Grunt to plecy... Tego nie da się wyszorować bez pomocy kobiety!»

Zadrzałem, Jewka! Pośladkami wyczułem jej nagi brzuch.

Plusnąłem z obu dłoni w twarz i odwróciłem się.

Jak Wenus z Milo, stała naga, nagusieńka kobieta moich snów z podniesioną szczotką, usiłowała uśmiechnąć się drwiąco, ale była zbyt zdenerwowana, uśmiech wykrzywił się żałośnie.

– Ty mnie czarnego lisa, a ja tobie sama siebie daję... Przyjmujesz?

– Przyjmuję...

– *Po rukam da i w baniu**! – uderzyła dłonie w moją

* *Po rukam da i w baniu!* – powiedzenie przy dobieciu targu, często zakończone podaniem rąk:

dłoń jak na targu i cicho poprosiła: – Chodźmy na górną półkę...

Na półce, wśród gorącej pary, nasze ciała rozparzyły się od uścisków i pieścizot, moje usta spragnione były jej piersi, a sutki Jewki, głodne pieścizot, prężyły się nienasycenie, jeszcze i jeszcze, aż dreszcz ją przebiegł, ciało, napięte jak struna do ostateczności, chwyciły spazmy i z ust wyrwał się ochryply, dziki krzyk.

Nigdy mi się nie zdarzyło, żeby przy mnie przeżywano tak intensywnie rozkosz oddania się, nie miałem zbyt wielkiego doświadczenia pod tym względem – przeląknęłam się.

6– Jewciu, kochanie, co ci się stało? – przepraszałem pocałunkami – niedobrze ci?

Otworzyła oczy, jakby wracała do przytomności z omdlenia.

– Za dobrze... Nie myślałam, że to aż takie...

– To ty nigdy przedtem?

– No, widzisz przecie... Dziewica, dwadzieścia cztery lata, wstyd powiedzieć...

Pocałowała mnie, znów przymknęła oczy. Leżała cicho, pokorna, u mnie na ramieniu przytulona, mocna Jewka. Ostrożnie zebrałem jej włosy i narzuciłem sobie na twarz, potem na nią, zasnuliśmy się jej włosami i patrzyliśmy przez nie jak przez baldachim listowia.

– Marzyłem, że kiedy będę miał kobietę, to koniecznie z grubymi warkoczami, będziemy leżeli tak nago okryci tylko

jej włosami... Dziwne, prawda? Ja mam bez mała dwadzieścia osiem lat, a przez pięć lat kobietę przeżywałem tylko w snach i marzeniach. Ty, Jewko, wyzwalasz mnie z tego kalectwa.

– Ładnie mówisz, Bronisławie... Twoje imię twarde, wojownicze, Bronisław, Bronisławy, nie nadaje się do spieszczenia... A jak matka na ciebie wołała?

– Zwyczajnie, Bronek.

– To już lepiej, Bronek, Bronuś, Broneczek...

– Powiedz, Jewciu, dlaczego nie wyszłaś za mąż?

– A czy ja z głodu umieram, żeby sobie ręce urabiać na męża, dzieci, teściów i jeszcze być bitą? Wszyscy u nas biją swoje żony. Nawet słabowity szewc Perfenek, jak się upije. Raz spytałam go, dlaczego bijesz, przecież masz dobrą żonę, powinienes ją szanować? Wiesz, co powiedział? Każdy człowiek musi czasem czuć, powiedział, że ma kogoś, kto się jego boi...

– No, a ojciec? Ojciec przecież nie bije?

– Nie, toteż ludzie powiadają, dlatego od niego odeszła.

– Twoja matka odeszła?

– Tak, z przygodnym myśliwym, powiedziała, że go kocha. To było bardzo dawno, miałam wtedy kilka latek.

– I nic o niej nie wiesz?

– Wyjechała daleko, do Gruzji. Podobno była Cyganką.

– To dlatego jesteś taka śniada i brwi masz czarne... A ojciec nie ożenił się?

– Nie chciał nam, mnie i Łukaszowi, dawać macochy.

Różnie sobie radził. Teraz ma wdowę Akulinę.

– Tę staruchę?!

– A ty widziałeś tę staruchę? Ma 36 lat, cerę krew z mlekiem, a w robocie zawsze pierwsza. Jest dobrą matką. Za parę lat, kiedy odchowa dzieci, będzie wolna. Wtedy może przyjdzie do ojca.

– A ile ojciec ma?

– Sześćdziesiąt lat. Ale nie każdy z młodych może się z nim równać... Wiesz, ojciec chce mi oddać dom z gospodarstwem i żyć tylko z myślistwa. Upatrzył sobie takie miejsce w tajdze, daleko od ludzi, a bliżej Boga, piękne miejsce, zamierza postawić tam sobie dom...

– Nie czujesz, że robi się zimno?

– *Hospodi*, zupełnie zapomniałam o piecu! Piec wygaś!

Skoczyła w dół, ja za nią. Palenisko dogasało, więc dorzuciliśmy drzewa i dmuchaliśmy, aż się zajęło, potem staliśmy przy ogniu, nagrzewając się to tą, to tamtą częścią ciała.

– Nie myślisz o piekle? Tam smażą się tacy sami grzesznicy jak my.

– Za to, że się kochamy? My nikomu nie robimy krzywdy!

Piec huczał. W odblasku buzującego ognia rozpuszczone włosy Jewki ściekały krwawą kaskadą na dumne piersi i bezwstydnym brzuch, na wyzywający urok grzechu, jak na sabacie czarownic.

Jewka chlusnęła szaflik wody na rozżarzone kamienie,

woda syknęła parą i oddała nam swój gorąc.

– Ach, jak dobrze... Wychłostaj mnie, Bronku!

Wziąłem, bannik, wienik łąziebny i trzepnąłem nim parę razy.

– Nie tak... Mocniej, żebym poczuła! Trzepnąłem mocniej i pręgi zaczęły występować na różowych plecach.

– Dosyć... Teraz ja ciebie!

Kropiła z taką wprawą po grzbiecie i pośladkach, aż miło, i tak żeśmy się tym rozbestwili, że szurnęliśmy czym prędzej znowu na górną półkę, na pieszczoty, na kochanie aż do ponownego spazmu i krzyku konania.

Głaskałem ją, pocieszając, jak dziecko, które bez winy zawiniło.

– Czy wszystkie kobiety przy tym krzyczą, nie wiedząc, że krzyczą?

– Czy wszystkie, tego nie wiem, niewielkie mam doświadczenie. Te, z którymi ja miałem do czynienia, zachowywały się cicho.

– To pewnie dlatego, że jestem spóźniona, dwadzieścia cztery lata... U nas dziewczęta zaczynają żyć, ślubnie czy bez ślubu, w siedemnastym, osiemnastym roku.

– Możliwe, że zatrzymana natura wyładowuje się w krzyku... Wiesz, Jewko, jeść mi się piekielnie chce. A tobie?

– I mnie też. Nic dziwnego, toć to zrobił się wieczór!

Spiesznie zeszliśmy z półki, umyliśmy się, Jewka wodą zgasiła piec.

– A gdzieżeś ty zostawiła ubranie?

– W domu. Nie chciałam, żeby przeszło parą i wisiało na mnie jak szmata.

Więc Jewka pierwsza, ja za nią goły, z ubraniem pod pachą, daliśmy nura w śnieg po kolana i zawieję na drugą stronę podwórza, wynurzyliśmy się w sieni, Strzepnęliśmy śnieg i odzialiśmy się w ciepłe izby.

Obiad już był gotowy, i to jaki obiad! Trzeba było tylko podgrzać, i to nasunęło mi przypuszczenie, czy taki obiad Jewka gotowała dla samej siebie? Może od ojca dowiedziała się, że przyjdę? Może z ojcem była w zмовie? Czułem niebezpieczeństwo, ale nie miałem sił, by zawrócić i ująć pułapki jej ramion.

Więc był obiad. Śledź syberyjski, *czeremsza*, gruździe i ogórki solone na przystawkę. Kapuśniak tłusty na wołowinie, pierogi z mięsem i grzybami, kisiel z żurawin, herbata z konfiturami, do nich ciasto i *franzola*, bułka z najlepszej pszennej mąki. A do obiadu podała karafkę cierpko-słodkiej nalewki domowej, z której wypiliśmy trzy kolejki – miłość szła nam w żołądki – i poszliśmy do Jewki łóżka z poduszkami wzbitymi jak krem pod sam sufit.

W łóżku, jak to w łóżku, zaczęliśmy baraszkować i znów skończyło się na krzyku. Coś nas nieprzeparcie ciągnęło do siebie i rzucało w ramiona. Ciągłe spragnieni piliśmy wodę życia, głodnymi oczami spoglądając na następne strugi, o, ta smaczniejsza, a tamta chłodniejsza...

– Miłość... Dawniej mi się zdawało, że miłość bywa w bajkach albo w książęcych domach.

– Jak to w książęcych?

– A choćby i księżę i księżna z Akatuja. Kiedy panowie szlachta buntowali się, zesłano go na katorgę do Akatuja i przykuto do taczki, a ona poszła za nim z dobrej woli. Musiał zdjąć swój złotem szyty mundur i włożyć bury chałat, a ona zamiast jedwabi i aksamitów włożyła nasz prosty *sarafan*, i mimo to kochali się. Codzienne w porze obiadowej przychodziła do niego z dwojaczkami i kiedy go karmiła, wszyscy stali, szanując jej dostojność, i nie było żadnych tam «taka twoja mać»...

– Istotnie, któryś z dekabrystów miał żonę, która poszła za nim, nie pamiętam kto, księżę Trubiecki czy Wołkoński.

– A kiedy moja matka poszła za ukochanym, zostawiając dobrego męża i dwoje małych dzieci, wywędrowała w daleką gubernię, gdzie na stokach górskich rosną winogrona i cytryny, to ja zrozumiałam, że wielka miłość każdemu może się zdarzyć.

– Po co mi to mówisz, Jewko?

– Pokochaj mnie ładnie, Bronku, pokochaj czule, jak potrafisz, daj mi dzieciątko, małego Broneczka, Będę miała co wspominać i tulić.

– A ja?

– Wolna wola, chcesz zostać, zostań, chcesz odejść, odchodź.

– A twój ojciec?

– Zostaw mego ojca mnie, ja lepiej go znam...

Tak żeśmy się kochali, poszeptując w przerwach i

zbliżając się do siebie coraz bardziej. Co było dalej, nie będę opisywał – było podobnie. Świtało, kiedy zasnęliśmy.

Kiedy się przebudziłem, Jewka spała. Była cudna, strzelista i zarazem rozłożysta. Nagość obnażała harmonię i piękno ciała dojrzałej kariatydy. Będąc w Paryżu, w okresie bezrobocia, jakiś czas służyłem rzeźbiarzowi za model do posągu Antinousa. Gdyby ów rzeźbiarz widział Jewkę, jestem przekonany, uwieczniłby ją w marmurze pod pseudonimem Amazonki albo Demeter, albo innej jakiejś silnej kobiety z epoki kultu ciała.

Spojrzałem na zegar. Było pół do jedenastej. O jedenastej jadało się zwykle obiad u Jemielianowów. Postanowiłem pójść. Ubrałem się, chciałem zostawić wiadomość, kiedy przyjdę. Wiedziałem, że Jewka od ojca nauczyła się czytać i pisać, ale w domu nie było czym pisać. Rozrzuciłem po stole kaszę gryczaną i na niej palcem napisałem: *zawtra**.

Zawieja wciąż sypała w oczy śniegiem, kurzyła i zawodziła swoją panichidą nad zamarzną ziemią. Do Jemielianowów przyszedłem pod koniec obiadu. Opowiedziałem zmyśloną po drodze historię, że wczoraj zbłądziłem w śnieżycy i noc spędziłem u pastucha w *poskotinie*. Zjadłem obiad i poszedłem do siebie na górę. Jak zwałem się na tapczan, tak spałem do dziś, do godziny siódmej rano. Nie budzili mnie, wiedząc, człowiek podróżą

* *Zawtra* – jutro.

utrudzony.

Teraz jest godzina dziesiąta. Spisuję dokładnie, jak było. To nie byle jaki rozdział w moim rejestrze momentów psychicznych.

Przede wszystkim trzeba wyraźnie zdać sobie sprawę z sytuacji i zamierzeń dwojga partnerów.

Jewka tak długo tłukła chłopaków we wsi, że nabawiła ich poważnego strachu, że każdy, kto weźmie ją za żonę, zostanie śmiesznym Pantalonym. Czy może być coś śmieszniejszego niż mąż bity przez żonę? Sama możliwość podobnej sytuacji odstręczała konkurentów, odpadali jeden po drugim i tak mimo zamożności i urody została starą panną. Tak jest, panna bowiem w wieku dwudziestu czterech lat jest na wsi syberyjskiej starą panną. Sprowokowane przez chłopców nasze mocowanie się, kto silniejszy, miało wynik remisowy, ale zwanie się, ściski, oploty rozogniły nas oboje, u niej wywarły wstrząs, cisnęła mi przez zęby obelżywe słowo *warnak*. Wprawdzie przeprosiła niebawem, ale ja już poznałem i polubiłem jej ojca, trzymałem się więc od niej z daleka. Wtedy postanowiła zaatakować i w okamgnieniu podbiła mnie.

Ja nie kocham Jewki, ale lubię ją i cenię jej szczerość. Ojciec chce odejść, zostanie sama na gospodarstwie. Zmożona zmysłami swej wybuchającej natury postanowiła przeżyć miłość, która podobno istnieje, pokochaj mnie ładnie, Bronku, rzekła, i daj mi dzieciątko, będzie co wspominać i tulić... To jej program na teraz. Wzruszający

program, zakładając, że nie samookłamuje siebie. Więc jeśli zajdzie w ciążę, to się ożenię. Ożenię się z nią bez rozpaczy i przekleństw na swój los, który przypisał mnie do Starych Czumów. I tak przecież chciałem skończyć życie na Syberii. Mógł Wasiliew ożenić się z Nastią, mogę i ja zostać *primakiem*, ?eni?c si? z Jewk?. Dobra, m?dra, pracowita, a r?wno?ci intelektualnej nie potrzeba do szcz??cia rodzinnego, wystarczy serce i dobre ch?ci. A jednak na my?l o tym ?al mi czego?, ?al utraconej swobody i szansy spotkania tej jedynej, tej wymarzonej kobiety, kt?ra istnieje dla mnie? Ale je?li wczoraj, po tych sze?ciu krzykach agonalnych, nie zasz?a w ci???, to ju? nie zajdzie, ja dopilnuj?. Dzi?ki po stokro? m?dro?ci nerczy?skiego prowizora, kt?ry da? mi przez lito?? naboje na mi?o??. Czuj? si? bezpieczny. B?d? bra? ci? w ramiona, Jewko, bez strachu o nast?pstwa, b?d? kocha? rado?nie, z uczuciem wdzi?czno?ci, ?e mnie wyzwalasz, przywracasz ?yciu. Id? do ciebie!

Zweryfikowa? po sze?ciu miesi?cach, 22 maja 1911 roku?.

żeniąc się z Jewką. Dobra, mądra, pracowita, a równości intelektualnej nie potrzeba do szczęścia rodzinnego, wystarczy serce i dobre chęci. A jednak na myśl o tym żal mi czegoś, żal utraconej swobody i szansy spotkania tej jedynej, tej wymarzonej kobiety, która istnieje dla mnie... Ale jeśli wczoraj, po tych sześciu krzykach agonalnych, nie zaszła w ciążę, to już nie zajdzie, ja dopilnuję. Dzięki po stokroć mądrości nerczyńskiego prowizora, który dał mi przez litość

naboje na miłość. Czuję się bezpieczny. Będę brał cię w ramiona, Jewko, bez strachu o następstwa, będę kochał radośnie, z uczuciem wdzięczności, że mnie wyzwalasz, przywracasz życiu. Idę do ciebie!

Zweryfikować po sześciu miesiącach, 22 maja 1911 roku”.

Jest!

Przyśpieszył kroku.

Żeby tylko kabłąk potrząsku nie trafił go w grzbiet, wtedy skórka może być nadpsuta. Nie, już widać – trafiony w głowę między oczy i od razu zabity.

Pochylił się, odciągnął kabłąk i wyjął sobola.

Ciemnobrunatne, kotkowate z wyglądu i wielkości zwierzątko leżało bezwładnie. Poprowadził ręką po miękkiej puszystości futerka, odwrócił jasną plamą na piersi do góry, pogładził brzuch pod włos – kilka włosów zostało na ręku.

Zaczyna linieć, koniec sezonu, pomyślał Bronisław.

Czy założyć na przynętę nową tuszę wiewiórki i odejść, zamiatając miotełką swój ślad przed nogami na śniegu? Ale na linienie nie ma rady, koniec sezonu...

Zabrał potrząsk, odrzucił miotełkę – nie będzie już potrzebna – i poszedł w stronę powrotną do zaimki.

Był początek marca, kilkanaście stopni mrozu, jasne popołudnie i dzień bezwietrzny. Minęły *sorokowiki*, te

straszne mrozy czterdziestokilkustopniowe oni przesiedzieli w zaimce. Mikołaj strugał zabawki dla dzieci Akuliny albo rzeźbił mniejsze statki kuchenne, jak talerze, łyżki, chochle, i opowiadał, Bronisław słuchał albo leżał pół śniąc, pół marząc. Jewka to zrobiła zwracając mu młodość, zdawało się, tak dawno przeżyta, umęczona na katordze, zasuszoną w samotności. Swą kobiecością starła tę śniedź – zabłysło młode życie, znów mógł marzyć i śnić. Ilekroć rozpamiętywał comiesięczne *banie*, jak nazywał ich spotkania, gdy oni dorwawszy się do siebie zaczynali się kochać w łaźni, a kończyli w łóżku Jewki, te pauzy między aktami wypełnione wynurzeniami, szczerością takich zwierzeń i słów, że sam się przyłapywał, czy ja kocham, czy gram? – to zalewała go fala ciepłego uczucia, w tym ciepłe była dziękczynna tkliwość i jakby wyrzut – miła ty moja, dobra dziewczyno, dlaczego nie mogę cię pokochać?

Mikołaj zdawał się niczego nie dostrzegać. Co miesiąc szedł do łaźni i wróciwszy, posyłał go tam, żeby czysty nie leżał obok brudnego. Czy tylko ze względów higienicznych? Poza tym był nadal życzliwym starszym kolegą, dzielił się szczerze swym myśliwskim doświadczeniem nie żałując rad, uczył rozpoznawać ślady, czyje są, uczył czytać ślady, jaka zwierzyna przeszła czy przebiegła i po co? – uczył czytać księgę tajgi.

Tak, po jakimś czasie Bronisław spostrzegł, że ktoś mu zwierzynę podkrada z potrzasków. Potem zauważył, że ten ktoś wyśledził jego obchód pułapek i ze wszystkich po

kolei podbierał, a tak sprytnie, że nigdzie się nie złapał. Pokazał Mikołajowi jedną taką pułapkę, która zatrzasnęła się nad założoną wiewiórką i tak została na czysto objedzona, że tylko dwie kosteczki zatrzymał kabłak.

– Rosomak – orzekł Mikołaj po obejrzeniu śladów. – Najgorszy z leśnych złodziei. Nawet żywność myśliwemu potrafi ukraść... Na niego trzeba podwójną pułapkę.

Powiedział, jak to się robi, i Bronisław założył wiewiórkę, że niby się złapała, a z boku stał napięty potrząsk. Dwa razy zjadł, za trzecim razem się złapał, potrząsk chwycił go za nogę, rosomak wyrwał żelaza z ziemi i poszedł, parę wiorst włókł za sobą żelaza, nim Bronisław go dopadł. To było w lutym, przed *sorokowikami*, a dziś koniec sezonu...

I jakby na przekór tej myśli, że koniec i basta, Brysieł skoczył w bok i pognał. Bronisław stał i czekał. Po chwili z oddalenia doszedł go basowy stanowczy głos Bryśka, wołający go, żeby szedł, zwierzyna jest, on czuwa...

Bronisław pobiegł. Brysieł stał nad powalonym drzewem i patrzył w dziuplę. Na śniegu widniały ślady sobola w biegu.

Zdjął z pleców spory rulon siatki o drobnych oczkach i narzucił na drzewo, podetknął, sznurkami przymocował do krzaków pod śniegiem, do sąsiednich drzew.

– Chodź, Brysieł. On będzie nasz, jak wyjdzie i zapłącze się w tym wszystkim.

Poszli. Musieli przejść przez zamrożone bagno, przez spalony las i w końcu jelenią ścieżką prosto do jeziora, skąd

widać zaimkę.

Gwiazdy rozbłysły na ciemnym niebie, gdy oni przyszli. Mikołaj już się posilał.

– No jak? – zapytał.

– Jeden soból jest, drugi będzie, osiatkowany – odpowiedział Bronisław.

– Piękny koniec sezonu, lepszego nie można sobie życzyć.

– A wy skąd wiecie, że koniec? Ja właśnie miałem powiedzieć, że soból linieje.

– Popielice też... Poza tym potrzask masz w ręku. Póki soból nie linieje, żelaza nie zdejmuje się... Siadaj, bo wystygnie.

– Ech, *szczy da kasza piszcza nasza** – westchnął Bronisław biorąc łyżkę. – Czwarty dzień już to jemy, przydałoby się zmienić jadłospis.

– Nie nowe, ale zdrowe... Ja to mogę jeść dzień w dzień, nie przykrzy się. Co mi się sprzykrzyło, to okolica. Patrzyć na nią nie mogę.

– Ciągłe odgrzaliście się, że gdzieś pójdziecie.

– A pójdę! Co to ja matkę-ojca zabiłem, żeby tu pokutować? Wydeptałem wszystkie ścieżki przez trzydzieści lat, dosyć! Dawniej stawiałem domy, robiłem w gospodarstwie dla żony, dla dzieci, a dla siebie w tajgę szedłem. Teraz nie mam żony, nie mam syna, Jewka dorosła,

* *Szczy da kasza piszcza nasza* – kapuśniak i kasza to nasze jedzenie.

sama sobie radzi. Czas pomyśleć o sobie, przecież niestary ja, sześćdziesiąt lat, starość zaczyna się od osiemdziesiątki – można jeszcze pożyć do woli.

Powiedział *požit' w słast'*, pożyć ze smakiem, smacznie.

– To co zamierzacie zrobić, Mikołaju Sawieliczu?

– Znam ja jedno takie miejsce, dwa dni drogi stąd. Idziesz pod górę, wyżej i wyżej, aż staniesz na płaskiej równinie, jakby na dachu, wysoko nad tajgą, ponad zielonym morzem w dole. Jakże tam pięknie, Boże ty mój, jak cudownie! *Tisz da gład' da božia blagodat**, tylko potoczek ciurcze po kamieniach, woda lodowata, zdrowa, smaczna, nie trzeba studni... Tam ja dom postawię, nie zaimkę, ale dom duży, przestronny, ze wszystkimi oknami na przestrzał na cztery strony świata, z kuchnią, z ogrodem, z wędzarnią i komorą, bo zwierzyny tam i ptactwa, i ryby pełno, tylko wędzić, solić, suszyć...

– W tym roku chcecie przenieść się?

– Jak coś postanowię, to nie mogę już myśleć o czymś innym... A ty byś ze mną poszedł, Bronisławie Edwardowiczu?

– Pójdę, Mikołaju Sawieliczu.

– Dobrze zrobisz. Bo teraz ty masz pojęcie o myślistwie, a jak popolujesz ze mną jeszcze rok, to będziesz miał wszystko i będziesz *nastojaszczim ochotnikom** ... Więc wybierz jutro z siatki tego sobola i wracaj do Starych

* *Tisz da gład' da božia blagodat* – cisza i spokój, i boska błogość.

Czumów. Ja przyjdę za parę dni.

– Wy, zdaje się, śledzicie coś, podglądacie, Mikołaju Sawieliczu? Może ja bym pomógł?

– Nie, dziękuję, ja muszę sam, ty mi nie pomożesz...
Idź, tak będzie lepiej.

Był wieczór, już po łaźni, po kolacji.

Jewka w swoim pokoju czesała rozpuszczone włosy przed lusterkiem, zawieszonym poniżej świętych obrazów. Bronisław czekał na nią w łóżku spoglądając, jak stoi w nocnej koszuli, rozkwitła i bardziej ponętna, miłość jej także służy, na szczęście nie robię jej krzywdy...

– Coś tu nie w porządku – powiedziała dotknąwszy piersi. – Cztery miesiące żyję z tobą i nie zachodzę...

– To znaczy, w porządku. Gdyby było odwrotnie, mielibyśmy zmartwienie...

– Tak, ale... Co u licha, jestem jałowa?

Bronisław uśmiechnął się – naiwna, ale zaczął mówić, nieraz bywa i tak, że kobieta rok i drugi nie zachodzi – gdy w okiennicę zastukano. Była zamknięta, ale od ulicy przez szpary widziało się światło. Zastukano raz i drugi, spieszenie.

– Kto tam? – z irytacją spytała Jewka.

– Wasiliew, szukam Najdarowskiego w pilnej sprawie!

* *Nastojaszczij ochotnik* – prawdziwy myśliwy.

Bronisław kiedyś powiadomił Wasiliewa, że można znaleźć go przez Jewkę Czutkich, więc odezwał się do Jewki: „To mój przyjaciel, puść” – i zaczął się ubierać. Jewka krzyknęła: „Zaraz!” – i też chwyciła ubranie.

Mitraszę jak zwykle w taką sobotę odpuściła do rodziców, więc Bronisław zapiął się i wyszedł otworzyć bramę. Wasiliew wjechał, przywitani się serdecznie, po czym wprowadził go do kuchni i przedstawił Jewce: „Iwan Aleksandrowicz Wasiliew”, a Wasiliewowi: „Jewdokia Mikołajewna Czutkich”. Wasiliew w mig pojął sytuację i zachował się swobodnie:

– Wybaczcie, moi drodzy, że zjawiam się późnym wieczorem, ale przygnała mnie nagła sprawa...

– Wejź do pokoju, tam opowiesz, a Jewka tymczasem przygotowuje herbatę.

W *gornicy* Wasiliew z miejsca rzekł:

– Nie traćmy czasu, każda minuta droga. Przyjechałem do ciebie, Bronku, po radę, nie z prośbą...

– Co się stało?

– Dziś w nocy telegrafista w Niżnieudińskom otrzymał depeszę do krasnojarskiej komendy żandarmów: dostarczyć pod konwojem zesłankę Barwienkową w *głodno je uprawlenie*. Telegrafista nadał depeszę dalej, ale treść przekazał telefonicznie Luboczkinowi, który pracuje w biurze Zotowa, ten zaraz na koń i do mnie. Barwienkowa zbladła, wykryli, powiedziała. Co wykryli, tego dokładnie nie wytłumaczyła, podała tylko sedno rzeczy. Otóż w 1907 roku

pracowała ona z Leninem w Szwajcarii i od niego przybyła z ważnym poleceniem partyjnym do Rosji. Wzięli ją przypadkowo w innej, głupiej sprawie, ale tej ważnej nie wykryli. Teraz to się wydało, grozi jej katorga... Musi uciekać, tak czy nie?

– Musi.

– Uciec jest łatwo. Od nas rzeką Udą po lodzie w cztery dni dojedzie do Niżnieudińska, tam na kolej i jazda. Dziś sobota. Wątpię, żeby zdążyli wysłać po nią w sobotę. Najwcześniej mogą wysłać w poniedziałek. Z Krasnojarska żandarmi będą jechać do nas siedem dni. Barwienkowa zdąży przez ten czas dojechać do kolei i przypadnie bez śladu, tym bardziej że nim żandarmeria w Krasnojarsku dowie się o ucieczce i roześle listy gończe, minie drugie siedem dni. Wtedy Barwienkowej w ogóle już nie będzie na kolei – zgadza się?

– A kto ją zawiezie do Niżnieudińska?

– Otóż to! Nas, socjalistów, oprócz niej jest w Udińskiem dwóch, Frumkin i ja. Frumkin, wiesz jaki, marksista wielki, ale konia się boi. Ja jestem na oczach całej wsi. Żandarmi, nie zastawszy Barwienkowej, przede wszystkim rzucą się do mnie. Pozostajesz ty.

– Ja?! Czemuż to wplątujesz mnie w tę kabałę?

– Bo ty chodzisz za *popieliczej* gdzieś daleko w tajdze i na ciebie nie padnie cień podejrzenia. Poza tym dla twojej sprawy będzie lepiej. Wybacz, ja twoją sprawę znam, napisali mi. Zdania są podzielone, jedni o tobie mówią *swołocz*,

drudzy bohater. Ale jeśli ty, Broniek, uratujesz towarzyszkę z rosyjskiej socjaldemokracji, to nikt nie uwierzy, że zrobił to prowok.

– Tak, tylko jeśli ja z nią wpadnę, to powiedzą: no, właśnie, wpadła, bo prowok!

Zamyślił się.

– Bronku, w imię solidarności socjalistycznej! Przecież kobieta pójdzie na katorgę!

– Nie strasz katorgą! Ja ją znam i drugi raz nie przetrzymam... Dobrze. Ale bez broni nie pojedę!

– Będziesz miał, dostarczę.

– To na wszelki wypadek. Wszystko może się zdarzyć, wilki napadną albo zbóje, no i w razie wypadku... Chcę być zrehabilitowany bodaj pośmiertnie.

Z tyłu rozległ się Jewkin głos:

– Mam pomysł, żeby wszystko poszło gładko.

Obejrżeli się.

W drzwiach stała Jewka z samowarem na tacy. Bronisław spiesznie powiedział:

– To swój człowiek...

Jewka, blada, postawiła samowar na stole.

– Sezon skończony. Myśliwy jedzie do miasta sprzedać skórki...

Podeszła do tryptyku świętych obrazów i zza niego wyjęła pożółkłe papiery:

– To Łukaszki, brata mojego papiery. Metryka urodzenia i zaświadczenie z gminy, że jest myśliwym...

Bronisław wyszeptał całując ją w czoło:

– Moja ty, dobra dziewczyno...

A ona:

– Przecież o życie ludzkie chodzi, no nie? Pojedziesz, Bronku, uratujesz kobietę, Matka Boska Kazańska ci pomoże... Proszę na herbatę, panowie, posilicie się i w drogę. Tylko pańskie konie, Iwanie Aleksandrowiczu, bardzo są zdrożone. Zostawcie je u mnie, a weźcie moje, świeże...

Rankiem następnego dnia przybyli do pustej zaimki Szestakowa, pięć wiorst od Udińskiego, w lesie nad Udą. Wyprzęgli konie, poprzenosili rzeczy do małej chatynki, napalili w piecu.

– Teraz możesz spać do wieczora – powiedział Wasiliew. – A ja tymczasem poszukam bratniej duszy. Wiesz, trzeba upozorować wyjazd Barwienkowej z domu, powiedzmy, na siedem, osiem dni. Ona przyjaźni się z Chomiakowymi, którzy mieszkają w chutorze, dwadzieścia wiorst od Udińskiego, wybiera się niekiedy do nich na tydzień lub dwa. Więc teraz będzie całkiem naturalnie, że Chomiakowie przysłali po nią, zapraszając na urodziny starszej córki. Chodzi tylko o to, żeby woźnica i konie byli nie z naszej wsi, nie znani Stiepanichie, u której mieszka Barwienkowa, bo to wścibska baba.

Bronisław został sam. Przygotował sobie śniadanie,

podjadł, tymczasem konie ostygły, napoił, dał owsa i siana, niech odpoczywają, i wrócił do zaimki. Rozścielił na piecu kołdrę, nie z 30 grzbiecików zajęczych, ale z 36, dużą kołdrę, którą Jewka zdążyła mu uszyć przed tygodniem, zdjął buty, owinał się nią i zasnął z nabitą strzelbą obok, z Bryśkiem warującym u progu.

Obudził się, gdy było ciemno. Wykrzesał ognia, rozpalił w piecu. Przyszedł Wasiliew z nie znanym młodym chłopem.

– To właśnie bratnia dusza, ale koni nie ma. Dawaj swoje.

Wyprowadzili parę gniadych, zaprzęgl. Odjechali.

Posilił się obficie, napił się herbaty z imbryka, wypalił fajkę, wszystko popakował, przygotował do załadowania, aż wrócił Wasiliew z Barwienkową, ale bez chłopca.

– A gdzie ten?

– Wsiadł za wsią, ja wsiadłem. No, dawaj swoje toboły.

Poprzenosili na *rozwalnie** wiązki skórek, które Bronisław miał sprzedać w Niżnieudińsku, kołdrę, burkę, zapasy żywności i strzelbę.

– Weź i to – powiedział cicho Wasiliew, wsuwając mu w dłoń rękojeść nagana. – Szanuj go. Stołypini.

To znaczy, z niego miał strzelać do Stołypina.

Barwienkowa wzięła z sobą „tylko stary skórzany sakwojaż i ubrana była w ciężki *tuhup* do kostek, z futrzaną czapeczką i chustą zawiązaną u podbródka, zupełnie wiejska

* *Rozwalnie* – wiejskie sanie.

kobieta. Przykryli ją jeszcze burką i pojechali, Wasiliew wskazywał drogę, aż kazał przystanąć.

Byli na rzeczonym szlaku.

– Teraz prosto w dół, nigdzie nie skręcając, aż do kolei w Niżnieudińsku.

Ucałowali się solennie po trzykroć. Barwienkowa miała łzy w oczach. Wasiliew był poważny, ukrywając wzruszenie pod powagą chwili, a Bronisław czuł pustkę – nie miał dreszczu przygody, z którym zwykle szedł na akcję, ale i nie miał tego przecucia niebezpieczeństwa, które nieraz go ostrzegało.

Była pełnia. Światło księżycy odbite od śniegu dawało widoczność niemalże dzienną. Jechali środkiem rzeki po przetartym szlaku. Konie dobre, Czutkich dbał o konie, wypoczęte, szły wyciągniętym kłusem, mroźny pęd powietrza byłby zerwał czapkę, gdyby Bronisław ją miał, a nie *malachaj*, poza tym mrozu nie czuł opatulony w *dochę* aż po czubki futrzanych butów myśliwskich i lejce trzymał mocno w futerkowych rękawicach, mając bat u lewej nogi, a nabitą strzelbę u prawej, zawieszoną na haku sań. Brysiek nie dawał się wyprzedzić, biegł przodem, ogromne psisko, wielkości wilka, a pstrokate i ogon do góry zwinięty w obwarzanek.

Było pół do dziesiątej. Bronisław schował zegarek i odwrócił się do tyłu, spojrzął na Barwienkową, na to miejsce, gdzie domyślał się, że ona jest, pod burką, owinięta w *tulup*, w sianie, obłożona jego zdobyczą futerkową. Ciepło jej

pewnie tam jak w gniazdku, może nawet za ciepło.

– Jak się czujecie, towarzyszeko?

Żadnej odpowiedzi.

Huknął na cały głos:

– Hej, czy mnie słyszycie?!

Pod burką coś się poruszyło, wysunął się nosek.

– Wy do mnie mówicie?

– Do was, towarzyszeko, do was... Nie za zimno?

– Ach, co wy, żartujecie, tu jak w łaźni!

– To zróbcie sobie jakiś lufcik, żeby oddychać. Inaczej, kiedy z tej łaźni wyjdziecie na mróz, to zapalenie płuc murowane.

– Już robię lufcik.

– A swoją drogą, jak na was teraz patrzę, to was nie widzę, tylko burkę, toboły i siano. Dobrze wiedzieć. To się może przydać.

Po dwóch godzinach ostrej jazdy, kiedy z koni buchała już para, zwolnił i sam wyskoczył, idąc obok sań szybkim krokiem. Może godzinę tak szli, potem siadł i puścił konie truchtem. Jechali teraz z umiarkowaną szybkością, lekko podzwaniając janczarkami, do rytmu biegu na długi, bardzo długi dystans. Wiorstę za wiorstą zostawiali za sobą, coraz bardziej wjeżdżając w niepewne, gdzie masz uratować kobietę, Bronku, Matka Boska Kazańska ci pomoże... Modlisz się dziś do Kazańskiej za twego katolika, Jewko, niedoszłego carobójcę, i jeśli ona usłyszy, jeśli pomoże, to przez wzgląd na ciebie, moja ty dobra dziewczyno. Inna by

siupnęła kusiciela, a fora ze dwora, co mnie obchodzi, że tamta pójdzie na katorgę? A ty nie, zbladłaś tylko z samowarem na tacy, słysząc, jak ja się zgadzam, bo nie można się nie zgodzić, i powiedziałaś, mam pomysł, żeby wszystko poszło gładko. I dałaś pomysł – jadę sprzedać skórki po skończonym sezonie! – dałaś też i dokumenty brata, moja ty dzielna dziewczyno...

Wzbierało w nim poczucie podziwu i dumy, zmieszane z goryczą, dlaczego nie może pokochać takiej dziewczyny, są zgodni w kochaniu i sprawach życiowych, jest mądra, pracowita, stateczna, żeń się, człowieku, będzie ci rodziła zdrowych osiłków i przyniesie zamożność, czego jeszcze może żądać na Syberii *gosudarstwiennyj priestupnik*?! A że nie Polka? Nie łudź się, że ujrzysz Polskę. Nie licz na to przedsięwzięcie. Czynisz tak, bo trzeba, bo inaczej byś siebie nie szanował. Ale nikomu o tym nie wolno powiedzieć, w każdym razie nie głośno. Więc co zyskujesz? Za dwadzieścia pięć lat, być może, ze względu na nienaganne zachowanie się, doczekasz amnestii. Wtedy można będzie zrehabilitować się. W pięćdziesiątym trzecim roku życia. Za późno. Ta Polka, ta jedyna, dla ciebie przeznaczona, już będzie staruszką...

Pomyślał o siostrze, że kto jak kto, ale Halinka na pewno odczuła jego nieobecność. Była bardzo do niego przywiązana, dumna z niego, jak to młodsza siostra, a on starszy, taki zaradny, narwany, niczego się nie boi i wszystko bierze do ręki, żabę czy mysz. Sprawiała wrażenie zawsze

zależnionej z poczucia swojej małej wartości i wiecznie zatroskanej o dom, o brata, o matkę. Kiedy on poszedł w rewolucję i mama została na suchym chlebie, ona wyszła za tego Galarczyka, kasjera kolei warszawsko-wiedeńskiej, gnidę kolejową, zapiętą na wszystkie guziki, wazelinowato usłużną na służbie, a w domu skarbnica wszelkich mądrości, nadęta dumą purchawka umundurowana, wszechwładna, z książeczką oszczędnościową... Raz do niej napisał z Nerczyńska, a raz z Udińskiego, za mało... Jeśli zdarzy się znów ubić czarnego lisa, to pośle Halince...

Niebo na wschodzie robiło się szarawe, jasnopopielate, jasne... Dniało.

Ponownie zwolnił i wysiadłszy z sań poszedł z lejcami w rękę. Brysiek zaczynał robić bokami i ział, nic dziwnego, taki szmat drogi biegł ciągle przed końmi. Bronisław przywołał go do nogi i tak szedł razem z nim, aż się zupełnie rozwidniło, wtedy posadził go z tyłu sań, sam siadł i znów ruszył truchtem.

Zając chciał przebiec rzekę, ale zatrzymał się i stanął słupka przyglądając się podróżnym bez bojaźni, że mogą go strącić kulą z rozpędzonych sań. Ale czy można strzelać z nagana na taką odległość, sto kroków? Nawet go jeszcze nie obejrzał... Wyjął zza pazuchy, z kieszeni *dochy*, ciężki, oksydowany na czarno pistolet o poręcznej rękojeści z płytkami drzewa orzechowego w drobną rzeźbę, żeby się nie ślizgał w dłoni, gdy spoci się... Piękna, pewna broń. Nigdzie żadnej skazy, śladu użycia, prosto, widać, z magazynu, nawet

czuć oliwą. Na dole, w obwódce, co to? Przyjrzał się: Nr 14635.

W pierwszym odruchu chciał go wyrzucić daleko za siebie. Bo jak jest numer, to ten numer istnieje w ewidencji magazynu czy składnicy policyjnej, skąd wydano go Gulajewowi, Gulajew znikł zamordowany, a jego pistolet – nie ma wątpliwości, że to jego, numer czternaście tysięcy sześćset trzydzieści pięć! – w rękę zesłańca politycznego Najdarowskiego.

Wyrzucić? Pozbyć się szansy obrony, to broń niezawodna, szybkostrzelna, nie zaś jakaś tam kapiszonówka, wszystko zdarzyć się może po drodze na tym pustkowiu przez tyle dni i nocy... Nonsens! Chodzi o to tylko, żeby nie wpaść w ręce policji. A postanowiłeś nie wpaść, postanowiłeś dostarczyć towarzyszkę na kolej, jeśli się nie uda, to nie dasz się żywcem wziąć – lepsza śmierć niż powtórna katorga. Więc teraz tym bardziej z tym znaczącym pistoletem!

Wsunął z powrotem za pazuchę, do kieszeni na piersi *dochy*, ten feralny pistolet – to już drugi z kolei jego posiadacz chowa ostatni nabój dla siebie.

– Dobry ranek, towarzyszu!

– Dobry ranek... Jak się spało?

– Z początku długo nie mogłam zasnąć, potem jednak ukołysało... Nie myślicie o odpoczynku?

– Tak, myślę o koniach... Trzeba się rozglądać.

Tak jechali jednak czas jakiś, godzinę czy dwie, w tym jednostajnym ruchu stracili czas, aż daleko przed nimi w

oddali na brzegu zamajaczyły jakieś zabudowania. Duży dom, jak zobaczyli podjeżdżając, spora obora, chlew, spichrz, dostatnia, widać, rybaczkówka, sądząc po długim rzędzie wysokich, wbitych w ziemię pali na suszenie sieci. Skręcił do niej. Droga była wyjeżdżona, ślady sań zajeżdżających i wyjeżdżających, ale to były stare ślady, świeżych nie było. Widocznie ta rybaczkówka na samym brzegu służyła w zimie podróżnym za zajazd.

– Pójdę, rozejrzę się. Jeśli wszystko w porządku, zabiorę was, macie leżeć bezwładnie i z rzadka pojękiwać. Będziecie chora, bardzo chora na jakąś dolegliwość kobiecą. Wiozę was do szpitala w Niznieudińsku.

Zajechał pod ganek, wszedł. Oboje gospodarstwo w starszym wieku, syn, synowa w ciąży i wnuczek, wszyscy siedzieli przy stole. Pokłonił się ikonom, przeżegnał się, zapytał, czy mogliby u nich odpocząć, jedzie z chorą żoną do szpitala. A prosimy bardzo, odpowiedzieli, izba dla przyjezdnych wolna, jest czysta, zamieciona. Więc poszedł do swojej kobiety, dźwignął i poniósł, chora leciutko jęknęła, gospodarz doskoczył, żeby pomóc. Nie, ja muszę sam, powiedział, wiem, jak nieść, żeby nie bolało...

Zaniósł chorą na łóżko, poprzenosili rzeczy do izby. Potem poszedł do koni, wyprzągł, w stajni wytarł, po pewnym czasie napoił i dał jeść – widać, stateczny gospodarz albo niebogaty kupiec.

Gospodyni, która rozmawiała z chorą, zapytała, co sobie życzą do jedzenia. Dziękujemy, odpowiedzieli, wszystko

mamy swoje z domu, tylko wodę do herbaty, zgodzili się jednak na jajecznicę po sybirsku, usmażoną z mąką i mlekiem. Ona tylko ździebko dziabnęła i odstawiła, on wziął i westchnął: – To tak już cały miesiąc. Nic nie je, a jak zje, to wymiotuje. I ciągle te boleści...

Był małomówny, zamyślony, przybity swoim nieszczęściem. Po śniadaniu chcieli odpocząć, odespać nie przespaną noc, tylko psa prosili wpuścić do ich izby, od szczeniaka przez nich chowany, wyłby na obcym podwórzu z niepokojem. Oczywiście wpuścili.

Spali do dziewiątej. Wieczorem podgrzali zupę mrożoną od Jewki i *pielmeni* od Wasiliewa, popili herbatą z *szaniegami* i odjechali, była, jak spojrzął na zegarek, godzina jedenasta. Gospodarzowi dał półtora rubla – kłaniał się i życzył szczęśliwej drogi, tytułując jego *wasze stiepienstwo*, miał go za kupca.

– Rozminęliście się z powołaniem, byłby z was znakomity aktor – powiedziała Barwienkowa, gdy już mknęli. – Tak weszliście w swoją rolę, że i mnie się to udzieliło, czułam się chorą żoną kupca na dorobku.

Noc minęła im spokojnie w jednostajnym pędzie z odsapkami, kiedy on zeskakiwał, żeby konie odpoczęły, idąc obok sań, to i ona z drugiej strony szła. Rozmawiali wtedy, bo gdy siedział odwrócony do niej plecami, a ona w saniach leżała, to mówić niepodobna, najwyżej jedno zdanie. A kiedy noc minęła, ona znów siadała do sań i jechała, dopóki w oddali nie ukazywała się jakaś wioska czy jadące sanie, to się

kładła, nakrywała się burką, tak że miało się wrażenie, że Bronisław sam jedzie.

Było ciepło, odwilż, jak przystało na *prima aprilis*, słońce przygrzewało. Zmożona nieprzespaną nocą Nadieżda zasnęła w nagrzanym *tulupie*, a tak mocno, że nie poczuła, jak i kiedy się wywaliła z sań w puchową zaspę. Ucieszna przygoda, która skończyłaby się fatalnie, gdyby Brysiek nie zaczął ujadać. Bronisław z początku myślał, że pies figluje, zabiegając koniom drogę, potem ocknąwszy się z odrętwienia, zobaczył, że pies szczeka i biegnie w tył. Spojrzał za siebie i nie zobaczył burki ani Nadieжды w *tulupie*. Wtedy przystanął, rozejrzał się. Burka leżała dwieście kroków dalej na drodze, ale Nadieжды ani widu. Zawrócił, podniósł burkę i ponieważ Brysiek pomknął przed siebie, jechał za nim, dopóki nie zobaczył w poprzek drogi leżącego *tulupa*, a w nim śpiącej Barwienkowej. Nie zbudziła się nawet, gdy ją podnosił i kładł do sań przeciągając na wszelki wypadek linkę nad *tulupem* w okolicy paska.

Po południu, gdzieś koło czwartej, konie szły już noga za nogą zwiesiwszy głowy. To był najdłuższy etap, przeszło sześćdziesiąt wiorst. Bronisław skręcił pod prawy brzeg, na brzegu zajechał za wydnię, która go kryła od rzeki.

– Tu zaobozujemy i koniom damy gruntowny odpoczynek. Przede wszystkim musimy dokopać się do szczerzej ziemi.

Wyciągnął z sań drewnianą łopatę do śniegu i zaczął kopać głęboki kwadrat, sześć kroków na sześć. Kiedy wykop

był gotów, wjechał tam i wyprzągł konie, uwiązując je do tylnej poprzeczki sań. Następnie spod siana w saniach wyjął parę suchych polan, rozniecił ognisko i nad nim zawiesił wiaderko na żelaznym trójnogu, w którym topił śnieg i przelewał do brezentowego wiadra. Kiedy się napełniło, dał napić się jednemu koniowi, potem w ten sam sposób napoił drugiego. Wytał je, nakrył derkami.

Teraz mogli się zająć sobą. Jedzenia zabrali ze sobą na dziesięć dni, więc nie żalowali sobie, podjedli i napili się herbaty, przetopiwszy śnieg na wodę.

Noc zapowiadała się widna i łagodna, parę stopni mrozu, jak zwykle na początku przedwiośnia.

– Na Syberii nocują pod gołym niebem w siarczyste mrozy. Tylko trzeba pozostać w jednej koszuli.

– Słyszałam. Ale ja położę się jak zwykle na tych saniach i nakryję się *tulupem*.

– A ja spróbuję. Mikołaj Czutkich mówił, że nieprzyjemny jest tylko moment rozbierania się na mrozie. Trzeba nie marudzić, zrzucić z siebie ubranie raz-dwa i dać nura w futra.

Rozesłał na ziemi swoją *dochę* i wyjął z sań siedzenie, worek z sianem, sobie zamiast poduszki. Przygotował kołdrę z grzbietów zajęczych, potem szybko zrzucił z siebie buty i ubranie, starając się wszystko kłaść porządnie na krawędzi sań – poczuł przejmujące zimno – i czym prędzej okręcił się kilka razy kołdrą, podwinąwszy wystający jej koniec pod nogi. Chwilę dygotał szcękając zębami, aż po całym ciele

zaczęło się rozchodzić rozkoszne ciepło zajęczego futra.

– Cudownie! Będę spał jak na przypiecku.

– To dobrej nocy. Niech wam się śni Warszawa.

– A wam Szwajcaria.

Spał smacznie w miękkim, puszystym ciepłe, oddychając mroźnym, suchym powietrzem. Wstał rześki i wypoczęty, z ochotą zabrał się do porannych czynności przy koniach i przy ognisku. Nadzieja także wstała wypoczęta, zaczynając wierzyć, że wszystko im się uda i w dziesięć dni pryśnie za granicę. Słowem, dzień zapowiadał się dobrze zarówno przy śniadaniu, jak i potem podczas jazdy. Bronisław śpiewał polskie piosenki, ona górali szwajcarskich, byli w świetnych humorach, jechali przecież bezpiecznie trzeci już dzień i żadnych chmurek na niebie nie było, że nastaną inne dni.

Zanocowali tak samo jak wczoraj przed zmrokiem na prawym brzegu Udy, w miejscu otwartym – Bronisław instynktownie unikał zadrzewienia i bliskości lasu, wołał szerokie pole obstrzału. Tak samo zrobił wykop w śniegu i umieścił w nim sanie, obrządział konie i karmił, ognisko rozpałał, wszystko robił jak wczoraj, tylko lepiej, na powtórkę, z uczuciem niemalże zadomowienia.

Pogoda się psuła. Noc nastąpiła ciemna, bez gwiazd i księżyca. Ale po kolacji, gdy leżeli, ona w saniach, a on w zajęczej kołdrze na ziemi, izolowanej *docha*, tak samo pogodnie życzyli sobie dobrej nocy w snach warszawskich i szwajcarskich.

Zbudził go przeraźliwy, świdrujący w mózgu krzyk:

– Wilki!

Zerwał się ze swego posłania w nocnej koszuli i z naganem w prawej ręce, a strzelbą w lewej skoczył na sanie. Konie były w nie kopytami i szarpały uździenice. Brysiek uszy stulił i dygotał. Bronisław wychylił się z wykopu. Wszędzie mrok upstrzony gdzieniegdzie podwójnymi ognikami, istna iluminacja. Ale to nie ogień! To wilcze oczy, może jedenaście, czternaście sztuk... Zachodzą ze wszystkich stron, suną wolno, niepowstrzymanie jak powódź. Z przerażeniem zobaczył, że dwa najbliższe z lewa są tuż-tuż, dziesięć kroków, zaraz skoczą – wypalił raz, zgasił, wypalił drugi raz, te oczy też zgasły, trzeci trafiony zawył, tarzając się w śniegu. Zostały w naganie cztery naboje, na tę odległość można i ze strzelby. Wygarnął loftkami z obu luf, i wtedy gdy wilki się cofały, jeden koń urwał się i oszalały pognął przed siebie na drugi brzeg Udy, wilki za nim. Koniowi kopyta grzęzną w głębokim śniegu, nie może ująć daleko... Rzeczywiście dopadły go jeszcze na rzece, trzysta kroków od nich. Doszło ich przejmujące, ostatnie rzenie konia, któremu przegryzają gardło.

– Skończone. Żrą gniadego – powiedział nasłuchując odgłosów walki uczujących na zagryzionym koniu.

– Zejdzże – szarpała go z tyłu za koszulę Nadieżda. – Zejdz, na miłość boską!

Przypomniała sobie Boga, pomyślał, przeocząc, kiedy oni przeszli na ty. Narodziło się w tym wilczym kwadransie.

Tylko kwadrans był na mrozie, ale na mrozie niemalże nago, w samej koszuli, jak zerwał się ze snu w zajęczej kołderce.

Skostniały, z trudem zszedł z sań. Wciągnął spodnie, ale guzików zapiąć nie mógł zgrabiałymi palcami. Nadzieja pozapinała, ubrała go i obuła. Rzuciła się do rozpalania ogniska.

– Teraz przydałby ci się kubek gorącej herbaty. Mamy wódkę. Gdzie ja widziałam wódkę?

– W koszyku z jedzeniem, za przegródką, owiniętą w serwetę – podpowiedział tupiąc w miejscu nogami i wymachując rękami po plecach. Wasiliew o wszystkim pamiętał i o wódce na rozgrzewkę także.

Do nóg i rąk napływała krew. Jeszcze parę chwil podobnej gimnastyki, a poczuł, że żyje.

Podszedł do ocalałego konia. Już nie wyrywał się za tamtym, stał cicho, ale drżał cały – wciąż był półprzytomny ze strachu.

– No już, kasztanku, już po strachu. Zostałeś bez kumpla, trudno, sam sobie winien, po co wyrywał się... Ty ocalałeś, dowiesz nas do miasta, tam kupimy tobie towarzysza...

Pod wpływem słów i pieszczot Bronisława koń powoli uspokajał się i przychodził do siebie.

Bronisław, stanąwszy w saniach, znów wyjrzał z wykopu. Świtało i w brzasku dnia widział niewyraźne cienie wilków dogryzających konia na tamtym brzegu. Popatrując, wyjął z kieszeni *kuklanki* odmierzony i zawinięty w papier

ładunek kulek, dziesięć loftek, przybił, to samo zrobił z drugą lufą, nałożył kapiszony... Strzelba w podróży zawsze ma być nabita.

– Chodź, Bronku, na herbatę i śniadanie.

– Zaczekajmy trochę, aż one skończą... Już niedługo. Istotnie wilki po swoim śniadaniu zaczęły się rozchodzić i znikać w lesie. Wtedy i oni mogli zasiąść do ogniska z herbatą.

– Wiesz, Nadiu, byłaś wspaniała. Inna kobieta na twoim miejscu toby rzuciła mi się na szyję albo zemdlała, tak czy owak wilki by z tego skorzystały, A ty nie. Byłaś niewzruszona.

– A co miałam robić? Raz kozie śmierć.

– Zależy jaka śmierć.

– Bronku, bez komplementów, to nie mnie należy podziwiać, ale ciebie. Gdyby nie twoja przytomność i odwaga, toby wilki miały ucztę nie tam, ale tu. Zachowałeś się jak prawdziwy mężczyzna, więcej, jak...

– Dosyć. Chcesz powiedzieć, że zachowałem się jak trzeba. Pomówmy lepiej o jednym dużym psie, który nas zdradził...

Bronisław był zły na Bryśka, tak zły, iż zapomniał, że to nie człowiek. Przyzwyczał się do myśli, że Brysiek wszystko rozumie, ma uczucia i reakcje ludzkie, spał ufny w to, że Brysiek czuwa i pilnuje, a tu taka kompromitacja, gorzej, zdrada! Powinien był wyczuć wilki z odległości trzystu kroków, to jego rodzina, kuzynowie, których człowiek

rozdzielił i posiał nienawiść – wyczuć powinien i zaalarmować pana. A on podpuścił je na dziesięć kroków! Tylko uszy stulił i drżał. Jeszcze chwila, a cała wataha rzuciłaby się na nich, całe szczęście, że krzyk Nadi zdążył zbudzić Bronisława... To ma być obrońca, ich czujka, ich nos, oczy i uszy? Do diabła z takim psem, zasłużył na kulę!

To wszystko, jedząc, krótkimi zdaniami wyrzucał z siebie i nie dał nic Bryskowi, ani kawałka. Brysiek leżał u sań rozplaszczony na ziemi, bez życia, jak szmata. Nadieżda chciała mu coś rzucić, ale Bronisław zabronił:

– Nie potrzebuję takiego psa.

A pogoda się psuła, śnieg sypał coraz mocniej i wiatr się zrywał, więc prędko załadowali się i w jednego konia opuścili śnieżny wykop. Minęli dwa trupy wilcze, krwawy ślad trzeciego na śniegu do lasu, potem z daleka zobaczyli czerwoną plamę na skotłowanym śniegu ze sterczącym szkieletem konia i wyjechali na rzeczny szlak. Za saniami biegł jak z łaski, z mordą opuszczoną i ogonem między nogami, głodny, winowaty Bryś.

– To ostatni dzień naszej podróży – powiedziała Nadieżda. – Jesteśmy gdzieś niedaleko Niżnieudińska.

– Tak wygląda. Jeśli pogoda dopisze, na wieczór powinniśmy być na miejscu.

Jechali w milczeniu. Trzeba było uważać, by nie zboczyć ze szlaku. W pewnej chwili o mało nie wpadła na nich rozpędzona trojka, mknąca w górę rzeki. Komuś, widać, spieszo było uciec przed niepogodą, pędził jak wariat –

Bronisław w porę go wyminął.

Wiatr wzmagął się i bił w twarz, śnieg wirował coraz mocniej, tak że Bronisław postanowił skręcić pod lewy brzeg i poszukać tam jakiejś osłony. Ale posuwając się wzdłuż brzegu, wjechał w rzeczułkę, która wpadała do Udy. Domyślił się tego dopiero wtedy, gdy zobaczył, że szeroka dotąd rzeka zrobiła się bardzo wąska i że brzegi jej stopniowo się podnoszą, osłaniając go, a wiatr idzie górą. Chciał się zatrzymać, ale koń, przyśpieszając kroku, ciągnął naprzód, jakby czuł bliską oborę, i Brysieki, wlokący się z tyłu, wysunął się przed koniem, z mordą zadartą, chwytając powietrze, coś zniuchał. Bronisław zdał się na instynkt zwierząt. Coś go jednak odrzucało od tamtego kierunku, poczuł znajomy zawrót głowy i całym nim wstrząsnęło olśnienie: nie jedź! Za późno. Na prawym brzegu wystawał zza pagórka dymiący się kominek, pies i koń tamtędy pociągnęły do stojącej samotnie w polu chatynki bez bramy i płotu.

Pies nie szczeknął, ale drzwi otworzyły się i wypadł łachmaniarz z siekierą i wyższy kudłacz bosonogi, obaj brodaci, jeden ryży, drugi czarny, i ten ryży z siekierą chwycił konia za uzdę.

Brysio warknął i byłby się rzucił, gdyby nie Bronisław:

– Brysieki, do nogi! A ty tam odrzuć siekierę!

– Do mnie mówisz?

– Odrzuć siekierę, bo...

Zobaczył wycelowaną w siebie lufę i mordę psa.

Odrzucił.

– Ja chciałem tylko konia zawrócić, bo tu nie można...

– To mógłbyś powiedzieć i bez siekiery... Dlaczego do was zajeżdżać nie można?

– Bo nie... Bo zaraza!

– Cholera?

– Może cholera, może tyfus... Zjeżdżaj, pókiś zdrowy!

W oknie zamajaczyła jeszcze trzecia skudłona twarz i znikła.

– A do wsi daleko?

– Nie ma tu żadnej wsi.

– To ja zostaję. Wiozę chorą żonę i muszę gdzieś przeczekać zamieć... Hej ty, czarny, otwieraj wierzeje!

Czarny kudłacz, co uskoczył był pod starą szopę, utworzył.

Bronisław wjechał; Zaciszenie tu było i pusto, jak gdyby nikt tu nie zaglądał. Obejrzał całą rudere i wyszedł na dwór. Ci dwaj wciąż stali na swoich miejscach.

– Więc tak. Zostaniemy tu i do waszej chaty, gdzie jest zaraza, zaglądać nie będziemy. Niczego od was nie potrzebujemy, wszystko mamy. A na odjeździe zostawimy rubla.

– Pokorne dzięki, *wasze stiepienstwo*, radzi służyć... Może wody potrzebujecie?

– Wody tak, przydałoby się herbaty ugotować.

– Loszka, słyszysz? – krzyknął na czarnego. – Ale migiem!

Bronisław został przed szopą, czekając na niego, rozglądał się uważnie, twarz miał skupioną, napiętą.

– Proszę bardzo – powiedział czarny stawiając przed nim kubek wody. Był bardzo zmieszany, chciał, zdawało się, coś powiedzieć, ale tylko pocierał bosą stopą o stopę.

– Dziękuję – odrzekł Bronisław i uściśnął mu dłoń, tę dłoń o charakterystycznym metalowo-szarym połysku, jaki daje ołów. Spojrzał w te duże umęczone oczy, musiał im wierzyć, cała twarz tonęła w nie golonej od miesięcy brodzie. – Ja za każdą przysługę umiem podziękować.

Ten chciał odpowiedzieć, ale z głębi podwórka rozległo się wołanie: „Loszka!” Popatrzał za znikającym brodaczem i wrócił do szopy przynosząc wodę.

– Słuchaj, czy myśmy dobrze postąpili zostając tutaj? – zapytała Nadieżda, wyraźnie zdenerwowana. – Bo wiesz, ta chata na zupełnym bezludziu, te dzikie twarze podejrzanie wyglądają...

– Nie, moja droga, tak się zdaje, ale naprawdę to po prostu bardzo biedni ludzie – powiedział specjalnie głośno, dając znak, że ściany mogą mieć uszy. – Powiedz lepiej, co by teraz moja żoneczka zjadła?

Tak zaczęli rozmawiać ze sobą na dwa zakresy – głośno dla podsłuchu i najcichszym szeptem do siebie: masz rację, to fałszerze – co fałszują? – ruble – skąd wiesz? – widziałem na podwórzu pękniętą foremkę i ręce tego czarnego – jak się zachować? – normalnie, jak gdyby nigdy nic, tylko trzeba bardzo uważać...

W ten sposób rozmawiając ugotowali, właściwie odgrzali obiad, napili się herbaty, a że w imbryku zostało trochę gorącej wody, Bronisław postanowił dla zabicia czasu ogolić się, czas najwyższy, zarost był czterotygodniowy. Wyjął pędzel, mydło, brzytwę i ogolił się. Obmył twarz i wtedy zjawił się czarny.

– Proszę wybaczyć, nie śmiem prosić, ale czy nie mógłby pan pożyczyć brzytwy? – poprosił głośno i spiesznie potem dodał: – Błagam pana, niech pan mnie ogoli, będę mówił...

Bronisław odpowiedział:

– Wiesz, żony i brzytwy nie pożyczają się... Ale dobrze, ja cię, biedaku, ogolę. Siadaj na tym pieńku. Może i włosy podstrzyżę? Nadiu, pożycz nożyczki...

Czarny na to:

– Nie, ja się wprost wstydzę, że takiego brudasa szlachetny pan dotyka... – A szeptem: – Zabierz pan mnie od nich, uratuj!

W ten sposób, strzygąc i goląc, dowiedział się Bronisław, że ten jest u nich pod przymusem, zabrali mu buty i paszport, żeby nie uciekł, dobry paszport człowieka nigdy nie karanego, to majątek dla takich jak oni – fałszują monetę, z ołowiu robią srebrne ruble, a jego teraz podesłali do nich, żeby się wywiedział, czy państwo czego nie podejrzewają...

Bronisław właśnie kończył strzyżenie i golenie, chociaż chciwie łowił szeptane wyznania, to jednak tak oszołomiony był jego przemianą, że zawołał:

– Nadiu, popatrz, co za piękny chłopak! Nadia wstała: – Rzeczywiście...

Na pieńku siedział przed nimi młody Chrystus z ikon bizantyjskich, o cerze oliwkowej i włosach kruczoczarnych, lekko falujących, z niewielką pierwszą bródką, o ustach delikatnych i małych, zgrabnym, trochę orlim nosku i powłóczystym spojrzeniu migdałowych oczu.

– Pod chajrem, ja nie taki jak oni. Ja z dalekich stron, z Warszawy...

Wtedy Bronisław zrozumiał i ten jego akcent, i urodę. W przypiływie nagłego natchnienia, przypomniawszy sobie z lat wczesnej młodości zabawy na podwórku z chłopcami żydowskimi, zawołał jedno jedyne zdanie, jakie pamiętał:

– Myt wejn szpilst di? Szpilst di myt mir, cy myt zaj?

Czarny złapał się za głowę: – Aj-waj, to pan znasz jidisz? Pan jesteś z Warszawy, pan jesteś nasz?!

Z okna rozległo się wołanie: – Loszka!

Loszka chwycił ręce Nadi i całując: – Ja wasz, ja z wami, przysięgam! – wybiegł z szopy.

– Co ty mu powiedziałeś? – spytała Nadieżda, – Z kim ty grasz, czy ty ze mną grasz, czy z nimi... To jedno umiem. W Warszawie to ja rosłem na żydowskiej ulicy i pamiętam, jak się pytało chłopców, kto z kim gra.

– A co ty o nim sądzisz?

– Nie wiem, jakimi drogami, co mu się przydarzyło, że warszawski Żydek trafił tu, zaplątał się wśród tej hołoty, ale myślę, uczciwy...

W zamyśleniu przeszedł się po szopie i rzuciwszy okiem na sanie, zauważył brak strzelby. A była tu. Wisiała na haku przy siedzeniu z prawej strony. Może zawieruszyła się?

– Czego tam szukasz? – spytała Nadieżda.

– A strzelby. Nie brałaś strzelby?

– A po cóż mi ona... Pewnie leży na swoim miejscu.

– Właśnie, że nie ma jej na swoim miejscu. Przeszukali sanie i całą szopę. Nie było, – Przecież nikt do szopy nie przychodził. Sama ulotnić się nie mogła, więc kto wziął, duchy?

– Spokojnie, Nadiu, nie denerwuj się. Strzelba nie eter – nie wyparuje. Dojdziemy.

Obejrzał ściany, opukał deski, poruszył i tu się przekonał, jak licha i stara była ta szopa. Jedna deska, ta, przy której stały sanie, wprost wisiała, można było podnieść ją do góry i z zewnątrz wsadzić rękę po strzelbę, stała przy samej ścianie.

– Widziałaś? – zademonstrował jej wsadzenie ręki i wyjęcie strzelby. – Ten duch miał ryżą brodę.

– Rozbroili nas – szepnęła Nadieżda.

– Tak im się zdaje – odszepnął Bronisław, przysiadając się do niej. – I dobrze, że tak myślą. Postanowili nas rozbroić i zamordować. Do głowy im nie przychodzi, że ten myśliwy oprócz strzelby może mieć jeszcze pistolet.

– Ale dlaczego?

– Może sądzą, że my domyślamy się, kim są, posłyszeli coś z naszej rozmowy z Loszką, a może nasze bogactwo ich

nęci.

– Bogactwo?

– A co ty myślisz. Ja mam sto rubli, a ty?

– Ja mam dwieście.

– Razem trzysta. Dalej wartość skórek, dwóch *tuhupów*, twego kożuszka, burki, konia itp. Wszystko półtora albo dwa tysiące rubli. Majątek dla takich głódohrańców, jest co przepijać. Jasne, że spróbują zamordować.

– A my?

– A my musimy tu siedzieć do świtu. Jeżeli mimo zamieci zaryzykuję wyjechać, to kiedy będę wyprowadzał konia, oni mnie zastrzelą albo zarąbią. Nie zapominaj, że jest ich dwóch, strzelba i siekiera. A ja będę miał zajęte ręce koniem... Ale jestem przekonany, że jako tchórze będą czekać, aż zaśniemy, i wtedy, niczym nie ryzykując... Jasny gwint, już im sprawię powitanie!

– Co chcesz zrobić?

– Przede wszystkim nie będziemy spali tam, gdzie oni myślą, że śpimy przy ścianie z tą szparą. Przez tę szparę nie tylko można strzelić, ale i zarąbać. Dlatego musisz się przenieść po cichu gdzie indziej.

Wszystko w szopie posprząтали i spakowali. Kiedy się ściemniło, bezszelestnie poprzenosili wszystkie rzeczy z sań i ułożyli w kącie po przeciwnej stronie. Potem, gdy zrobiło się zupełnie ciemno, Bronisław wetknął drąg między futrynę a uchylone drzwi, żeby nie mogli ich zamknąć. Położyli się na dwóch *tuhupach*, mając przed oczyma otwór drzwiowy.

Bronisław sprawdzili czy bębenek pistoletu podał nabój na lufy, i wsunął broń za pazuchę.

Przygarnął ramieniem Nadieżdę, przylgnęła do niego.

– Jak ten czas się dłuży... Są cierpliwi.

– A są. Tchórzliwi, ale cierpliwi. Miałem z nimi do czynienia i w więzieniu, i na katordze. Czasami całą noc potrafią trzymać monetę za szczęką w ustach.

– Dlaczego?

– Ażeby ślina oddzieliła niedokwas, żeby rtęć trzymała się lepiej łożowiu i błyszczała jak prawdziwy birs, czyli rubel.

– Dużo wiesz, dużo przeżyłeś, Bronku. Dlatego od razu poznałeś, że to fałszerze.

– Możliwe. Ale głównie dlatego, że mam fenomenalną spostrzegawczość. Wszystko widzę i kojarzę. To mnie nieraz ratowało...

Opowiadał wydarzenia, z których wyszedł cało dzięki swej spostrzegawczości i przeczuciu niebezpieczeństwa. To przeczucie, mówił, zdawało mu się, że utracił, bo przecież zasnął bezpiecznie i nic nie przeczynał, a w nocy o mało ich wilki nie zjadły. Ale nie, kiedy wjechali w tę rzeczkę, to coś jakby go odrzucało i wprost wołało: nie jedź! I o Loszce mówili, zgadując, co się z nim stało. Po ogoleniu już się nie pokazał.

Potem milczeli, odzywając się do siebie jakąś szeptaną uwagą. Czekanie stawało się męką, trudno było im mówić.

Gdzieś dobrze już po północy cicho otworzyły się drzwi szopy.

Nadziezda ścisnęła rękę Bronisława, Bronisław odpowiedział jej również uściskiem i uwolnił ramię. Poczował się w stronę sań. Po chwili rozległo się tam niegłośnie pochrapywanie.

U wejścia śnieg zaskrzypiał pod nogami kilku ludzi. Przystanęli. Wciąż słyszało się lekki chrap. Wtedy weszli. Było ich trzech – Loszka z nożem w ręku, tuż za nim ten ze strzelbą w pogotowiu i trzeci z siekierą, stanął w drzwiach.

Ten ze strzelbą pchnął Loszkę do przodu, ale Loszka z dzikim krzykiem „*Karaul! Karaul!*”^{*} schował się za saniami. Ten podniósł strzelbę do ramienia i rozległ się strzał. Brysiek rzucił się na niego, spadając na ziemię razem z trupem.

– Ręce do góry!

Na ten rozkaz Bronisława człowiek z siekierą przysł, Bronisław strzelił, ale już go nie było. Skoczył za nim na dwór – czarna sylweta śmigła w stronę lasu.

– Czy oni mają tu jakiś wspólników? – zawołał do szopy, gdzie Loszka z nożem w zębach klęczał nad zabitym.

– Nie, wokoło nikogo nie ma na dwadzieścia wiorst.

Bronisław wrócił do szopy.

– Ja bym go dostał, ale trzeba by Bryśka. Boję się o psa, jeszcze rąbnie siekierą...

– A niech zdycha w lesie – odpowiedział Loszka wciąż grzebiąc w rozchełstanej koszuli na piersi zabitego. – O, mam! Mam mój paszport! Teraz buty moje zdejmę...

* *Karaul!* – Ratunku!

Ściągał buty i klął: – Zniszczył mi, ścierwo, nowe kamaszki.

Bronisław na to: – A ja zniszczyłem jeszcze dwa naboje... Zostały mi ostatnie dwa.

– Miejmy nadzieję, że nie będą potrzebne – powiedziała Nadieżda, wychodząc z ciemnego kąta szopy na świeże bezpieczne powietrze.

– Nu, patrz pan – pokazywał obute nogi Loszka – tu duży palec wyłazi, a w tamtym bucie widać małe palce... A były całkiem nowe... Jaż im zaraz!...

I pobiegł na ganek.

– Po co ty tam lecisz?

– A spalić! Rozleję naftę i wszystko w trymiga pójdzie z dymem!

– Wróć! Chcesz, wariacie, łuną pożaru zawiadomić wszystkich, co się tutaj stało?!

– Kiedy nikogo nie ma...

– Jeśli chcesz z nami jechać, to wracaj. Odjeżdżamy. Weź tylko swoje rzeczy.

– Nie mam swoich rzeczy.

– Tym lepiej... Pomóż mi trupa odrzucić.

Weszli we dwóch do szopy i wzięli go za nogi, odciągając w kąt, żeby można było wyjechać, wtem trup lekkuchno jęknął.

– On żyje! – zawołał Loszka. – Trzeba go dobić.

– Po co? Sam dojdzie, jak go zostawimy na mrozie...

Świt różowił niebo, gdy wjeżdżali na drogę rzeczulki:

Bronisław okryty *dochą* na koźle ze strzelbą z prawej strony, obok Loszka opatulony czarną burką i Nadieżda jak zwykle z tyłu. Brysiek biegł znów z przodu z ogonem w kabląk.

– Jak wielmożny pan mnie golił, to ten ryży był za szopą – opowiadał Loszka. – Ściągnął strzelbę i słyszał, jak ja zawołałem „ja wasz, ja z wami”... Nu i bili oni mnie potem, och, jak bili! Żem ja ich zdradził, że powiedział wam, co oni robią. To ja kręciłem, jak mogłem, że tak, chciałem uciec z wami do domu, ale ich nie zdradziłem! W końcu tak powiedzieli: ty ich zarzniesz, to wtedy uwierzymy ci i zostaniesz z nami... Bo ja, proszę wielmożnego pana, ja nigdy nie byłem karany, paszport mam czysty, oni zawsze się obawiali, że im ucieknę... Dobrze, zgodziłem się, tylko powiedzcie mi, jak to się robi? To ten ryży wyjął swój zbójcki nóż i pokazał jak to się robi. Będę szedł za tobą, mówił, jak spróbujesz mi mignąć, strzelę w plecy. Gównu trafisz po ciemku, pomyślałem. Ja wiedziałem, że to niemożliwe, żeby pan, taki bystry, taki oficerski, spał i nie rzucił się na niego. Wtedy i ja go kolnę w bok...

Bronisław zapytał:

– Jak się nazywasz?

– Nazywam się Eliasz Szulim, urodzony w 1885 roku w Warszawie w domu numer sześć na Nowolipiu obok Pałacu Mostowskich i Nalewek...

– I Ogrodu Krasińskich – dodał Bronisław.

– Tak, obok Ogrodu Krasińskich ze stawem, gdzie pływają łabędzie...

Wjechali w Udę i skręcili, w lewo do Nieźnieudińska. Ranek zapowiadał piękny, słoneczny dzień, zwały śniegu, nagrzewane za dnia, matowiały, topniały, podmrażane nocą, droga była gładka i wypoczęty koń szparko ciągnął sanie.

Szulim ukończył szkołę podstawową, chodził na kursy wieczorowe i terminował u znajomego jubilera. Mając 18 lat, poznał młodą żonę kupca z Mińska, został subiektem u niego w sklepie bławatnym, romansując z żoną. Po dwóch latach odmierzania towarów łokciowych kupiec nakrył go na gorącym uczynku podkradania jego należności małżeńskich i wypędził go niemiłosiernie bez odszkodowania. Szulim znalazł zajęcie u wuja w Saratowie, który był kupcem drzewnym i prowadził karawany tratw na Wołdze, był jego zaufanym na tratwach... Tu Szulim zaczynał płatać się, życiorys jego zakreślał dziwne parabole, opadał raz do Tomska, raz do Omska. Bronisław zrozumiał, że ukrywa jakąś rzecz wstydlivą, i sprowadził rozmowę znów na Warszawę, gdzie obaj czuli się dobrze i swobodnie. A Nadziejda, umęczona przeżyciami ubiegłej nocy, zasnęła.

Po dwunastej przybyli do Niźnieudińska i stanęli przy dworcu. Szulim został w saniach, a Bronisław z Nadziejdą poszli na dworzec.

Zrzuciwszy ciężką zimową odzież, ona *tulup*, on *dochę*, szli przez tłum podróżnych nie zwracając na siebie uwagi, tubylczy i powszechni – młoda kobieta ze wsi w zgrabnym kożuszku, z podniszczonym sakwojazem i w futrzanej czapeczce na wełnianej chuście oraz myśliwy w *małachaju*,

kuklance i untach. Nadieżda została w poczekalni, a on poszedł do kasy.

– Proszę jeden bilet trzeciej klasy do Aczyńska.

– Na ten za dziesięć minut czy za pięć godzin?

– A będzie zaraz?

– Mówię, że właśnie nadjeżdża... To na który?

– Na ten, co nadjeżdża.

Podbiegł do niej.

– Prędszej! Oto bilet, nie mamy czasu, już masz pociąg...

Ledwo wydostali się na peron, wtoczył się buchający parą smok z żeliwa.

– Uwaga! Pociąg w Niżnieudińsku stoi piętnaście minut

– obwieścił dyżurny przy dzwonie.

Poczuł opłot jej ramion na szyi, jej usta.

– Dwa razy uratowałaś mi życie, Bronku... Żegnaj!

– Do widzenia, Nadiu... Szczęśliwej drogi!

Skoczyła do wagonu, a on zawrócił do bufetu. Zamówił herbatę i dwie kanapki z kawiozem. Nie miał smaku, tak samo kawior, jak trociny. W głowie czuł pustkę, a w całym ciele zimne dreszcze. Uderzył pierwszy dzwon na peronie. Spiesznie zapłacił i wyszedł na peron. Dał się słyszeć drugi dzwon i gwizd dyżurnego, lokomotywa odgwizdnęła, sapnęła i wolno ruszyła. Wagony, prześpieszając, przesuwały się przed Bronisławem, w jednym stała Barwienkowa. Taka wdzięczność i szczęśliwość biła z jej twarzy, kiedy pomachiwała mu ręką, że poczuł się wzruszony, chociaż na to się przydał, dał jej to szczęście – jedzie na Zachód! Spazm

tęsknoty targnął nim – jedzie do Czelabińska, Moskwy, Petersburga, Finlandii, aż ujrzy brzegi Francji i Alpy, wreszcie Szwajcaria, wolny kraj!

Podszedł do swoich sań.

– Odjechała? – spytał Szulim.

– Tak, do rodziców... No, Loszka, ja słowa dotrzymałem, wywoziłem cię do miasta, możemy się pożegnać.

– Wielmożny panie, ja chcę zostać!

– Jak to zostać?

– Tak, przy panu... Chwileczkę! Ja nie zawsze byłem taki, to przez te baby stoczyłem się, jak piszą w gazetach, tak, stoczyłem się na dno. Ale ja chcę być uczciwy!

– Chcesz, to będziesz.

– Łatwo panu powiedzieć, pan jest pewny siebie i ja przy panu nabieram pewności. Ja będę służył panu, będę wszystko robił, mam zdolności, wiele umiem, wielmożny pan przekona się...

– A coś ty ciągle z tą wielmożnością! Ani ja wielmożny, ani pan! Mów mi ty... Czego ty chcesz, Loszka?

– Chcę, żeby wielm... żebyś zabrał mnie ze sobą!

– Zabrać? Cóż, to mogę. Dobrze. Tam Czutkich poradzi, co robić z tobą... Siadaj.

Pojechali.

– Musimy znaleźć tu jakiś zajazd i przenocować.

– W zajazdzie każdy właściciel, jak tylko spojrzy na mnie, to zawoła stójkowego. Ja muszę przebrać się od głów

do stóp, tfu, odwrotnie od stóp do głów.

– To co proponujesz?

– Jak my jechaliśmy w tę stronę, zauważyłem szyld Samuela Rappaporta...

– To są tu Rappaporty?

– Wszędzie... Ten Rappaport, odzież i obuwie, w sam raz dla mnie. O, widzisz ten sklep? Ja za małe pół godzinki będę z powrotem...

I pobiegł tam w czarnej burce dagestańskiej z gołą głową, także czarną. Dobrze, niech się przede wszystkim ubierze, pomyślał Bronisław i przypomniał sobie: a za jakie pieniądze? Co się ze mną dzisiaj dzieje? Przecież on nic nie ma...

Zebrał rozpierzchłe myśli, co robić? On musiał o tym wiedzieć, zdecydował wreszcie, nie będzie miał czym zapłacić, to przybiegnie pożyczyć. Poczekam. Najlepiej się położę, taki jestem zmęczony, to potrwa dłużej niż pół godziny...

Wyciągnął się w saniach na słomie. – Brysie! – zawołał. Pies wskoczył do sań, szczęśliwy, że pan odezwał się do niego po dwóch dniach milczenia. Pogłaskał go... – Przebaczam... Każdemu zdarza się stchórzyć, ale pamiętaj, tylko raz... Co się ze mną dzieje? Na dworcu miałem zimne dreszcze, a teraz płonę cały, gorąco mi jak w łaźni. Poleżę...

Leżał półprzytomny dłużej czasu umówionego, aż zjawił się Szulim całkiem odmieniony i stanął wyprostowany, do podziwiania. „Nu, jak?”

W ciemnozielonej bekieszy z dobrego sukna i wydrzej czapie, w wysokich butach z cholewami wyglądał dostatnio, jego uroda nabrała właściwej oprawy.

– Pięknie. Zaufany kupca średniej fortuny... Miałeś pieniądze?

– W woreczku z paszportem były. Jeszcze dwadzieścia rubli zostało.

– Ładne rzeczy. Ja zabiłem, ty obrabowałeś... Siadaj, pojedziemy szukać tego zajazdu.

– Już wiem. Zareczenskaja sześć, trzecia przecznica na lewo, właściciel umarł, wdowa prowadzi...

W zajeździe starzejąca się wdowa obejrzała paszport Loszki i metrykę Bronisława i dała im maleńki pokój o dwóch łózkach.

– A łaźnia jest? – zapytał Loszka.

– W podwórzu na lewo.

Bronisław zaprowadził konia do stajni i zajął się nim, a Szulim zaniósł rzeczy do pokoju i pobiegł do łaźni. Umówili się na obiad w jadalni zajazdu.

Bronisław zdążył oporządzić konia i zamówił obiad, gdy wrócił Szulim czerwony od pary, jeszcze bardziej piękny i uduchowiony. Jadł z apetytem, był w dobrym humorze, który gasł w miarę tego, jak popatrywał z niepokojem na Bronisława. Ten jadł mało i źle wyglądał.

– Słuchaj, musimy wyjechać stąd jutro, choćby nie wiem co... Musimy, rozumiesz? A tyle rzeczy jest do załatwienia. Skórki trzeba sprzedać i konia dokupić, zamiast

tego, co wilki zjadły...

– Zrobi się. Obyśmy tylko zdrowi byli. Połóż się, prześpij się trochę.

Jak się położył, to spał piętnaście godzin.

Obudziło go klucie w prawym boku. Wstał z głową rozbełtaną, spuścił nogi z łóżka, dziwnie miękkie jakieś nogi...

– Który dzisiaj?

– Czwarty kwietnia – odpowiedział uważnie przyglądający się jemu Loszka.

– To musimy zaraz jechać. Ale przedtem sprzedajmy skórki.

– Sprzedane.

– Tyś sprzedał? *Mołodiec*... No, to bierzmy się za konia. Kupimy konia i odjazd.

– Kupiony.

– Koń kupiony? Nie, to ja muszę zobaczyć!

W pośpiechu ubrał się i zszedł na dół, do stajni. Obok starego kasztanka chrupał owies nowo nabyty siwek, nie tej maści, za to młodszy i silniejszy.

– Loszka, zaczynam wierzyć, że ty naprawdę wiele umiesz i potrafisz... Jemy śniadanie i w drogę.

Zjedli śniadanie, właściwie Loszka jadł, Bronisław ledwo dziabnął, za to dużo pił herbaty, zaraz potem wstał, uregulował rachunek i ruszył trochę chwiejnym krokiem.

– Bronku, jesteś chory. Trzeba zaraz do lekarza.

– Nigdy w życiu nie chorowałem. To przemęczenie, tak,

zwykle przemęczenie...

Zaprzęgli konie. Loszka poznosił *tulupy* i rzeczy, dokupili jedzenia, wzięli zapas wody i kwasu chlebowego i pojechali.

Był młody ranek, droga podmarzła po wczorajszej odwilży i sanie mknęły jak po lodowisku. Na Udzie Bronisław powiedział:

– Będziemy jechali cztery dni do wsi Udińskie...
Umiesz powozić końmi?

– Byłem wozakiem.

– To dobrze. Będziesz mnie luzował.

Po jakiś dwóch godzinach oddał lejce:

– Wiesz, nie mam sił, w boku kłuje i tak mi się w głowie mąci... Położę się trochę.

Położył się i już nie wstał. Brysiek wskoczył momentalnie do sań, położył się w nogach i pilnował swego pana.

Leżał na dwóch *tulupach*, przykryty burką, w gorączce, na granicy jawy i bredzenia bez sensu. Najczęściej słyszał szum, który narastał, narastał w sztormowy huk. Zdawało mu się, że płynie wątlą łodzią przez wzburzone morze, walczy wiosłując co sił, spienione bałwany biją o burtę, unoszą w górę i w dół, w górę i w dół, i z trzaskiem rzucają o skałę... Wtedy widzi, że mknie saniami, Brysiek waruje u nóg, Szulim powozi, Szulim wszystko robi, karmi go, zanoszą, wynosi, otula, ten Szulim, co wiele umie, umie kochać kobiety, z ołowiu robić ruble, skórki sprzedąć, powozić, być

oddanym też potrafi...

Czwartego dnia w poszumie fal odezwał się nikły głos skowronka. Z początku pisnął gdzieś u burty i zamilkł przerażony groźnym żywiołem, później siadł na burcie, zatrzepotał skrzydełkami podrywając się w górę, szarpany wiatrem, zaświergolił jasnym głosem...

– Bronku, jestem przy Udińskim! – tarnosił Szulim. – Ja nie wiem, dokąd jechać, jaką dróżką. Gdzie dróżka do zaimki?

Bronisław otworzył oczy, głos skowronka nikał w oddali.

Siadł w saniach, podtrzymywany przez Szulima. – Powiedz, ty wiesz, gdzie ta dróżka! – tak, on zna, on musi powiedzieć, inaczej wszystko się wyda...

Patrzył w natężeniu na mijany brzeg.

– Nie tu... Jeszcze dalej... Nie tu... O, za tym cedrem, prosto nigdzie nie skręcając...

W zaimce Szulim napalił w piecu i położył go na *tuhupach*. Słuchał:

– Konie zostaw na targowisku, gdzie słupy... Gmina, wielki ma maszt na flagę, bo Stołypin miał przyjechać... Ulicą w lewo, siódmy dom od rogu, dom Szestakowa, każdy powie... Z sieni na prawo jego zięć, Wasiliew... Iwan i Nadia Wasiliew. Im powiesz, że wykonałem, ale jestem chory. I Tietiuchina, ale oni sami będą wiedzieli...

Szulim odjechał i wtedy skowronek dał nura w morze. Jak kamień chlustnął w wodę, zwariowany. Czas jakiś nie

było go widać, aż wypłynął i płynął na grzbiecie fal, ruszając ogonkiem ni to kaczka, ni to nur, a potem zaczął się wzbijać jak po sznurku trzepocząc skrzydełkami coraz wyżej i wyżej w jasny błękit nieba i tu dopiero się rozswawolił, rozswiergolił. Niebo i ziemia, morze i wiatr, i wszystko, co czyha na niego, jastrzębie, psy i koty – na wszystko bimbał i śpiewał, boży śpiewak, bimbał i dzwonnym śpiewem błogosławił, szczęśliwy, szalony...

Szulim przywiózł Wasiliewa i Tietiuchina. Felczer stwierdził zapalenie prawego płuca, być może z ropniem. Żandarmi byli, nie znalazłszy Barwienkowej w domu, pojechali na chutor Chomiakowych, u których jej oczywiście nie widziano, spisali protokół i wczoraj odjechali. Trzymać Bronisława w zaimce Szestakowa było niebezpiecznie, ktoś ze wsi mógł tu zajrzeć. Tietiuchin postawił bańki i następnej nocy Wasiliew z Szulimem wywieźli Bronisława do Starych Czumów. Przybyli przed świtem przez nikogo nie zauważeni do zagrody Mikołaja Czutkich.

Położyli Bronisława na łóżko Mikołaja, ten przeniósł się na police kuchennego pieca, opiekę nad Bronisławem przejęła Jewka. Z chorym było coraz gorzej, gorączka trwała, wzmogły się klucia w boku i zjawił się kaszel, z początku suchy, potem z flegmą, coraz obfitszą i cuchnącą.

Po tygodniu przyjechał Tietiuchin, zbadał i orzekł, że

teraz nie ma już wątpliwości – to ropień. Zrobił Bronkowi dziurę w boku, wstawił rurkę i wyciągnął ropę. Od tego dnia zaczęła się poprawa.

Dwudziestego piątego kwietnia chory nie gorączkował, był pogodny i za parę dni miał się przenieść z Szulimem do siebie na górkę w domu Jemielianowych. Roił z Mikołajem plany budowy domu gdzieś w tajdze i Szulim uznał, że może pomówić o rachunkach.

Podał Bronkowi zawinięty w chustę nagan.

– Znalazłem to w kieszeni twojej *dochy* – powiedział.

– A ja myślałem, że zgubiłem w gorączce – ucieszył się Bronisław i zwrócił się do Mikołaja. – Popatrz... Dwa razy się przydał, bez niego nie byłoby nas. I jeszcze się przyda, jak pójdziemy w tajgę. Tylko numer trzeba będzie usunąć. Jest gdzieś zanotowany.

– Ładna sztuka – powiedział Czutkich oglądając pistolet. – A numer głupstwo, ja go wytrawię, wyszmergluję, znaku nie będzie.

– I wiesz, Bronku, ja bym chciał zdać rachunki ze sprzedaży skórek.

– A to zdawaj... Ile żeś za nie wziął?

– Tak nie można. Trzeba szczegółowo.

– Mów szczegółowo.

– Ciekawe, ile? – ożywił się Czutkich.

Szulim wyjął karteczkę i zerkając na nią zaczął mówić:

– Za 47 popielic po rublu za sztukę. Za 23 sobole po 40 rubli sztuka, 920 rubli. 17 lisów rudych po 6 rubli każdy –

116 rubli, i jeden lis czarny – 500 rubli, razem 1583 rubli.

– Niemożliwe! – wykrzyknął Bronisław.

– No-no, ja takich cen nigdy nie uzyskałem – powiedział z uznaniem Mikołaj.

– Należy się tobie uczciwy procent. Dziesięć procent od tej sumy, masz 158 rubli – odliczył pieniądze.

– Trzydzieści pięć rubli dałem za konia.

– Dobry koń, nie można taniej – pochwalił Mikołaj.

Bronisław chciał zaproponować, żeby coś zrobili dla Szulima, lecz Mikołaj sam to uczynił:

– Wiesz, Losza, my z Bronisławem idziemy w tajgę, dom zbudujemy i będziemy żyli z myślistwa. Przyłączyłbyś się do nas, dla ciebie też znajdzie się robota.

– Dziękuję, nie zawiodę – bąkał oszołomiony Szulim.

– Nie myśl, że ja biorę ciebie na służbę. Jesteś naszym kompanionem. A kompania znaczy towarzystwo.

Kiedy Szulim uszczęśliwiony spoglądał na Bronisława i Mikołaja jako trzeci kompan na tych dwóch starych, cicho otworzyły się drzwi i w progu z obiadem na tacy stanęła Jewka. Nie zauważyli, że Jewka wpatrywała się w piękną i uduchowioną twarz Szulima jak w jakąś cudowną zjawę, jak w obraz święty.

NARCYZ WOJCIECHOWSKI

Trzy dni szli gęsiego, Mikołaj Czutkich na czele, za nim Bronisław, Losza Szulim, trzy juczne konie z prowiantem i narzędziami, na końcu trzech cieśli najętych przez Mikołaja na pół roku aż do ukończenia robót przy budowie domu. Czwartego dnia po paru godzinach drogi wciąż pod górę stanęli wreszcie u celu.

– To tutaj, chłopcy – powiedział Czutkich, siadając na brzegu strumienia. – No jak, podoba się wam?

Co mieli powiedzieć... Nic nie widzieli prócz drzew, na dwadzieścia, trzydzieści kroków przed sobą. Taka sama tajga jak na dole, tylko że są na wyżynie, bo był przewiew, miejsce dobre, *gnus* będzie mniej dokuczał.

– Jak wytniemy tu las i otworzy się widok na okolicę...
Jolki-palki, co za widok!

Wierzyli mu na słowo.

– Odpocznijmy tu ździebko, posilimy się i do roboty. Do wieczora każdy z was musi postawić sobie *bałagan*.

Zdjęli juki z koni, wydobyli prowiant, podjedli, popili herbaty, po czym Mikołaj powiedział, żeby oni robili to samo, co i on.

Wyciął cztery długie draگی o rozwidlonych końcach, wkopał pierwszą parę w kształcie rozwartych nożyc,

związawszy końce, i w odstępnie trzech kroków drugą parę tak samo, a na wierzchu, w rozwidlenie rogólek, włożył gruby sążnisty drąg. Powstał trójkątny kształt namiotu. Następnie na wysokości swojej głowy naciął korę dookoła i taką samą obwódkę zrobił na drzewie przy ziemi, potem przeciął nożem pionowo od góry do dołu i zaczął siekierą, podważwszy, zdejmować korę. Takich płatów kory, wysokości człowieka, a szerszych od stołu, porobił kilkanaście i obłożył nimi szkielet *bałaganu*.

Zabrał się teraz do urządzenia posłania.

– Na posłanie nie żałujcie pracy, chłopcy. Będziecie na nim spali pół roku. Ma być trwałe, izolacja, można powiedzieć, i miękkie, lekko sprężynujące.

W głowach i w nogach powbijał rzędy widlastych kołków, całą tę przestrzeń usłał miękkimi gałązeczkami modrzewia, na nie położył drągi jak ruszt, tak by każdy trafił w rozwidlenie kołków w nogach i u wezglowia, a na tę siatkę nanosił mchu i narzucił derkę od konia.

– Właściwie pod spód powinno się dawać skórę dzika czy iziubra. Ale jak nie ma, to i derka dobra.

Pobujał się na swoim posłaniu.

– Łóżko jak w irkuckiej „Arkadii”! Róbcie, chłopcy, róbcie żywo, żebym na wieczór miał wianuszek z sześciu takich arkadii.

Bronisław, gdy skończył swój *bałagan*, rzucił na posłanie złożoną burkę, rozpałił ognisko z trzech przemyślnie ułożonych kawałków drewna u wejścia i zasnął twardym

snem.

Nazajutrz, ledwo słońce wstało, zaraz po śniadaniu rozpoczęła się robota. Na upatrzonym miejscu, gdzie miał stanąć dom, Mikołaj wbił w ziemię kołek z uwiązany sznurkiem, odmierzył siedem kroków i wbił drugi kołek, naciągając sznurek, w ten sposób idąc dalej wyznaczył długość domu na siedemnaście, a szerokość na siedem kroków. Bronisław z Loszą zaczęli robić dość głęboki dół i wybierać ziemię pod jedną trzecią powierzchni domu na piwnicę pod kuchnię, dwa metry poniżej wykopu na fundamenty. A sam Mikołaj z cieślami zabrał się do wyznaczania modrzewia na budowę domu, nie za grube, ale i nie za cienkie, proste jak strzała, co najmniej na dwadzieścia kroków. Zaraz po zaciosie drzewa skazanego na zagładę Bronisław z Loszą słyszeli metaliczny dźwięk piły, niezbyt długi, bo to podpiłowywano drzewo z tej strony, w którą miało upaść, potem zaczynało się piłowanie długie z przeciwnej strony, aż dwuręczna piła schowa się cała w drzewie, wtedy wbijano brzozy klin i kończono piłowanie trzaskliwym jękiem drzewa, po czym rozlegał się już tylko okropny łomot upadku.

Tak im zeszedł cały dzień – Bronisław i Losza Szulim kopali, a Mikołaj Czutkich z cieślami na dwie piły rżnęli. Wieczorem przy ognisku Mikołaj tłumaczył, że dom ma być duży i wygodny, z głównym gankiem jak weranda i sionką, z której będą wiodły schody na górkę, a pod schodami będzie spiżarnia. Sionka przedzieli dom na dwie połowy, na pokój i

na pokój z kuchnią, która będzie miała swój ganek i sionkę. A piece będą dwa – wielki piec kuchenny, który będzie ogrzewał również pokój sąsiedni, i piec kaflowy w pokoju, w drugiej połowie domu. Zresztą i piec kuchenny w tej części, która będzie w pokoju sąsiednim, zostanie też wyłożony kaflami. Zotow odstąpił mu ze swoich zapasów szkło i kafle, przepiękne kafle. Pamięta o samorodku, co to on, Czutkich, znalazł w żołądku ubitego głuszca i potem sprzedał Zotowowi wraz z tajemnicą miejsca polowania. Dlatego Zotow, gdy znalazł tam bogate złoża złota, nazwał kopalnię i swą rezydencję „Samorodkiem”, pamięta... Pójdziemy po te kafle i szkło z Bronisławem, gdy skończy kopać fundamenty i piwnicę...

Drugiego dnia Bronisław zrobił odkrycie. Kamienie, które w czasie roboty wykopywał, wydały mu się jakies nazbyt foremne, spod ludzkiej ręki, aż trafił na murek i wtedy już nie miał wątpliwości. Zawołał Mikołaja. Ten obejrzał fundamenty muru, które wybiegały poza obręb domu, w stronę wielkiego głazu, stojącego samotnie nie opodal. Po zrzuceniu warstwy ziemi okazało się, że wierzch głazu jest równo ścięty i wypolerowany jak stół. Wtedy zwrócili uwagę i na gąszcz krzaków porastających wzgórze za głazem, zaczęli przedzierać się przez nie i kopać, i czego się dokopali? To były ruiny jakiejś kamiennej budowli. A więc żyli tu kiedyś ludzie, którzy umieli stawiać budynki z kamienia, ludzie z odległej przeszłości, skoro na tym miejscu zdążył wyrosnąć kilkusetletni las.

Brali do ręki te kamienie o kubicznym kształcie, z grubsza ciosane, wielkości mniej więcej kilku cegieł, oglądali, wyglądało na granit:

– Mamy, chłopcy, budulec na miejscu! Zbudujemy z tego dom na wysokich fundamentach, starczy na piwnicę i piece.

I wszyscy powrócili znów do swoich zajęć, do kopania i spiłowywania drzew.

Po tygodniu, kiedy na ziemi leżało przeszło sto drzew, dwóch cieśli zaczęło je ociosywać i korować, a Mikołaj i trzeci cieśla kopali rów wąski i głęboki, głębszy niż wzrost człowieka i długi na dziesięć kroków. Wtedy ci pierwsi dwaj cieśle, co korowali, przyciągnęli końmi przyciętą pod wymiar, na siedemnaście kroków, dłużycę i na okrągłakach przetoczyli nad wykopem. Wówczas Mikołaj podczerniony węglem sznurek, naciągnięty jak struna, odciągnął palcem i puścił – na drzewie została równa jak linia czarna krecha. Podług niej zaczęli przecierać: Mikołaj ciągnął piłę w górę, a jego towarzysz, stojący pod drzewem w okopie, w dół. Z miękkim odgłosem rżnięcia, plując trocinami, szła piła miarowo za kreską, pozerając ją, tracze z wolna posuwali się za nią, a kiedy się okop skończył, przesunęli na okrągłakach drzewo do końca i dalej piłowali, aż się rozpadło, na dwie połowy rozplątane.

Pracowali tak dzień w dzień, dopóki Bronisław z Szulimem nie skończyli kopać fundamentów i piwnicy. Wtedy Mikołaj przeszedł do nich, a tam zostało trzech cieśli,

dwóch przecierało, jeden korował i końmi podawał. Mikołaj zaś kładł kamień za kamieniem na fundamenty, potem na mury i ścianę działową piwnicy tak szybko, że Bronisław z Szulimem ledwo dążył podawać na taczkach kamienie i glinę.

Po miesiącu, pod koniec czerwca, gdy piwnica i fundamenty były gotowe, Mikołaj postawił zamiast siebie Daniłę, starego cieślę, z którym niejednym dom zbudował, nakazując im, by dalej przecierali dłużyce, a do pomocy i gotowania dał im Szulima, który najlepiej gotował z nich wszystkich i w końcu został kucharzem. Sam z Bronisławem wybrał się do rezydencji Zotowa po obiecane kafle i szkło. Zostawił Danile swoją dubeltówkę na wszelki wypadek, zabierając z sobą ulubiony karabinek, należało jeszcze zostawić psa. Którego? Na Brysia nie można było w żaden sposób założyć obroży, tak gruby miał kark, że każdą obrożę ściągnął przez łeb, a trzeba było trzymać go z obrożą na uwięzi co najmniej cztery dni, żeby nie pobiegł za swoim panem po świeżych śladach. Zostawił więc Znajdę, której rozkazał zostać, i jednego konia, żeby ciągnął dłużyce na miejsce tarcia.

Jechali konno, z Brysiem w straży przedniej, który biegł sto kroków przed nimi, badając wzrokiem okolice i węchem odnajdując ich ślady sprzed miesiąca – Mikołaj nie mógł się nadziwić, drogi nie ma żadnej, a on ich prowadzi nieomylnie własnymi tropami, którymi szli miesiąc temu!

Bronisław zagadnął o kafle – czy koniecznie potrzebne

im do szczęścia kafle?

– Co człowiekowi potrzebne do szczęścia, to on tylko wie, różnie bywa... W młodości stawiałem kupcowi jednemu piec kaflowy, a kafle były holenderskie, za drogie pieniądze sprowadził, na jednym kaflu widziałeś wiatrak na wzgórzu, na drugim kanał i śluzę, na trzecim morze i okręt żaglowy, a takie to było śliczne, że kiedy postawiłem, cały dzień podziwiałem z lubością, zamiast iść po zapłatę. Trzydzieści lat temu widziałem te kafle, a do dziś pamiętam. Kiedy więc przyszedłem do Zotowa po szkło na dom i zobaczyłem w jego rezydencji piec z tych samych kaflów, to mi serce zadrżało, panie, proszę, sprzedaj mi trochę choć na jeden piec... Obraził się. A co to, ja handluję kaflami, mówi, weź sobie z magazynu, ile potrzebujesz, nie dziękuj, pamiętam twój samorodek, przyniósł mi szczęście...

W trzy dni przebyli całą drogę i przed wieczorem byli przy moście na swojej rzece. Po trudach podróży, w spiekocie, ze skórą poparzoną przez *gnus*, na widok wody ogarnęło Bronisława pragnienie przede wszystkim wykąpać się, popluskać, ochłodzić – to sobie pływaj, powiedział Mikołaj, ja wolę uczciwą łaźnię. Ale przyjdź na kolację, Jewka się ucieszy.

Pojechał wzdłuż skraju lasu, który dochodził do samej rzeki, powyżej zakola i tu puścił konia na trawę, a sam zaczął się rozbierać. Na przeciwnym brzegu widział w oddali pierwsze chaty Starych Czumów i nawet zupełnie wyraźnie opłotki zagrody Mikołaja Czutkich, ale żywej duszy wokoło,

jakby o tej godzinie zachodu, gdy opadające słońce dotknęło krawędzi widnokregu, wszyscy z tej wsi pomarli albo gdzieś wywędrowali.

Prędko zrzucił ubranie i z rozkoszą plusnął do wody. Brysiek za nim. Bronisław dał nura, Brysiek, nie widząc go, zaczął szczebrać, ale nie umiał nurkować, nie poszedł za jego przykładem, tylko kręcił się po rzece rozglądając się za nim. Kiedy wreszcie wypłynął, powitał go radosnym ujadaniem i podążył za nim. Płynęli obok siebie, głowa w głowę, aż do mostu, przepłynęli pod nim, między oślizgłymi, żółtawoczarnymi palami i zawrócili. Z powrotem poszło im trudniej, nurt był wartki, ale dali sobie z nim radę i razem wyskoczyli na brzegi. Na brzegu nie zobaczyli konia ani ubrania.

W pierwszej chwili wziął to za psikus pastuszków.

– Do licha – huknął – oddajcie, bo będzie lanie!

Żadnej odpowiedzi.

– Szukaj, Brysiek, szukaj zguby!

Brysiek pokręcił się w kółko i pognął w las. Po chwili stamtąd rozległ się jego basowy, triumfujący głos – był na tropie, wzywał do siebie. Bronisław rzucił się naprzód, kalecząc się o kolczaste krzaki, biegł nagi przez leśny gąszcz, smagany gałęziami świerczyny, cierniami tarniny, aż wyrznął bosą stopą o kamień i stanął. Pies wzywał go, pewny siebie. Bronisław zawołał „do nogi” i zawrócił, kuśtykając do rzeki.

Obejrzał raz jeszcze miejsce kradzieży. Ukradli wszystko – konia, strzelbę, ubranie, buty, pas i skórzany woreczek z pieniędzmi, całoroczny jego zarobek. Tylko w

trawie znalazł, obmacując, zostawiony nagan i zegarek. Tego nie zauważyli.

Tymczasem Brysiek, pokręciwszy się w miejscu, nagle dziawknął i pobiegł brzegiem, z mordą przy ziemi. Bronisław za nim. Zobaczył ślady kopyt końskich. Wkrótce jednak Brysiek stracił trop: złodziej wjechał w rzekę i pocwałował w wodzie przy brzegu, by w końcu gdzieś tam w górze rzeki wyjść na tą czy na tamtą stronę. A więc złodziei było dwóch: jeden, ten pierwszy, zgarnął rzeczy i uciekł do lasu, a drugi, żeby zmylić ślady, wjechał w rzekę.

Słońce zaszło. Bronisław wziął zegarek i pistolet i w gęstniejącym zmroku poszedł brzegiem na most, by potem opłotkami przekraść się do domu Jemielianowa, gdzie na górze w walizie leżał jego świąteczny garnitur.

Okradzenie Bronisława poruszyło wszystkich. Jemielianowowie z Pantielejmonem i Mikołaj z Jewką, i Akulina, która akurat tego wieczora przyszła do nich, i sąsiedzi, wszyscy bez wyjątku współczuli mu, żałując zwłaszcza utraty całorocznego zarobku z futerek i strzelby. Zgadywali, w jaki sposób to się stało, że złodzieje tam się znaleźli? Przypadek? A może śledzili Mikołaja i Bronisława? Czy też po prostu byli niedaleko i szczekanie psa oznajmiło im, że ktoś się kąpie w rzece? W każdym razie stała się rzecz niesłychana – przyszli nie kurołapy, nie koniokrady, ale złodzieje z katorgi, zabrali człowiekowi ubranie i buty, i zarobek z ubiegłego roku, ze strzelbą w dodatku, to znaczy bez możliwości zarobku w przyszłości, zostawiając go całkiem nagiego...

Mikołaj i Jewka zaproponowali pożyczkę – Bronisław przyjął od Mikołaja 10 rubli na tytoń i drobne wydatki, mówiąc, że ukradzionego konia odrobi miesiącem bezpłatnej pracy u niego, co ten z miejsca uciął:

– Nie mam zwyczaju zarabiać na nieszczęściu... A teraz, bracie, spać, to już druga dochodzi, skoro świt...

Pożyczyli konia od Jemielianowa (miał ich teraz sześć) i pojechali w parę koni, długim drabiniastym wozem. Przybyli do wsi Udińskie wieczorem, zanołowali jak zwykle u Siergieja, a z rana poszli po konia, chodzili, oglądali, wreszcie po długich poszukiwaniach kupili młodą, żrebną kobyłkę i udali się do gminy. Mikołaj wszedł, Bronisław został i czekał, aż ten wrócił.

– A więc ja wciąż za ciebie odpowiadam – pokazał i schował pozwolenie na jego nowe miejsce pobytu, Chwilę milczał, jak szli, w końcu odezwał się:

– Teraz zwracaj się do mnie z szacunkiem, ja jestem panem na stu dziesięcinach tajgi.

– Co, kupiłeś tajgę?

– Wszystko dookoła domu! Taką sprawę warto oblać, nie uważasz?

– Bezwarunkowo! Wiesz co, chodźmy do Wasiliewa, akurat blisko, ucieszy się.

Wasiliew uściskał ich w sieni, wprowadził do mieszkania, gdzie przywitani się z Nastią, która przedstawiła im niepozornego człowieka z łysiną i bródką w klin, kupca Wiereskowa, jak się okazało, przyjechał do ojca, Szostakowa, a że nie zastał, więc...

– Trzeba było zaprosić i ugościć, no nie? – rąbnął bezceremonialnie gość, na pół zalany, na stole stała prawie pusta karafka wódki i widziało się resztki jedzenia na talerzach, przyszli w połowie obiadu.

– A tak, zaprosić i ugościć, jak obyczaj nakazuje – skwapliwie zagadywał jego bezceremonialność Wasiliew. – Siadajcie, moi drodzy.

Dopełnił prezentacji. Na dźwięk imienia i nazwiska Bronisława Wiereskow podniósł głowę i pociągnął nosem, jakby poczuł coś nieczystego.

– Polak?

– Owszem, Polak.

– *Politiczeskij priestupnik?*

– I to także, jeśli nie można grzeczniej.

– A czy z wami, Polaczkami, można grzeczniej? Ot, nasz *gosudar'* w manifeście wam przebaczył, a wy mu za to w odpowiedzi zrobiliście powstanie w Zabajkalu. Tak, tak, zbrojne powstanie! Czy tak robią poważni ludzie? Jaki to ma sens?

– Ja z panem o tym nie będę dyskutował.

– Nie będziesz dyskutował... Ze mną nie można dyskutować, ja wszystko wiem. Mój ojciec był wówczas podoficerem i brał udział w bitwie z Szaramowiczem. Bitwa! Koń by się uśmieł... Jedna salwa wystarczyła, a wszyscy powstańcy-zasrańcy uciekli do lasu...

Bronisław wstał, ale Wasiliew był szybszy:

– Won! – krzyknął, wskazując drzwi. – Pan obraził mojego przyjaciela!

Wiereskow zerwał się od stołu, ale w tejże chwili Mikołaj Czutkich powiedział:

– Spokojnie, wasza wielmożność! – i odwrócił go twarzą od siebie, wziął pod boki i podniósł jak dziecko wierzgające nogami do drzwi przez sionkę i potem na ganek.

– To ty myślisz, że jak jesteś kupcem drugiej gildii*, to wolno ci obrażać jego majestat?! – krzyczał Mikołaj stawiając go na ziemi przed gankiem. – Że co? Że manifesty

* Gildia – kupiecki cech, w Rosji carskiej kupy podzieleni byli na trzy gildie, do drugiej należeli posiadacze kapitału od 1000 do 5000 rubli.

są niedobre, tak zasańce piszą? Wszyscyśmy słyszeli, a czterech nas było! W tej chwili wołaj za mną, niech żyje nasz *batiuszka* car!

– Kiedy to nieprawda...

– Co nieprawda? Że car jest naszym ojczulkiem? Ach, ty moczymordo, farmazonie i obrazo boska! Jeśli nie zawołasz, to wszystkim rozpowiem, a czterech nas było, cośmy słyszeli! *Nu, da zdrowstwujet...*

Kiedy wreszcie wykrztusił z siebie zdrowaśkę carską, Mikołaj go puścił i zmykającemu palcem pogroził: – Żebyś ty mi nigdy po pijanemu nie pyskował!

Po czym wrócił do pokoju.

– No, mielibyście się z pyszna...

– Chciałem tylko wyrzucić chama z domu.

– A ja bym dał mu w mordę.

– Zapomnieliście tylko o tym, że wy – spojrzal na Wasiliewa – *gosudarstwiennyj priestupnik* a ty – spojrzal na Bronisława – *politiczeskij priestupnik**. Wiereskow zaraz by w policji narobił rabanu, dałby w łapę, komu trzeba, i was obu wysłano by tam, gdzie pieprz nie rośnie, do kołymskiej tundry albo do jakuckiej... Tak by się skończyło nasze oblewanie!

– Nie rozumiem – bąknął Wasiliew.

– A bo myśmy do was wstąpili, żeby w gronie przyjaciół

* W niektórych regionach Syberii nazywano zesłańców: jeśli to Rosjanin, to *gosudarstwiennym priestupnikom*, a jeśli Polak to *politiczeskim priestupnikom*.

uczcić kupno tajgi przez Mikołaja Sawielicza – wyjaśnił Bronisław.

– Tajgę kupiliście? – wykrzyknął Wasiliew. – Kto kupuje tajgę?!

– Sto dziesięcin po dziesięć rubli, razem tysiąc rubli.

– Ale z was zdarli! Tysiąc rubli! Za dziki las, którego nikt nie sadił, nie siał... Nastieńka, słyszałaś? – zawołał do kuchni.

– Nie, zaraz usłyszę – odrzyknęła szurając statkami, po chwili wyszła niosąc talerze. – Czego nie słyszałam?

– A że Mikołaj Sawielicz kupił gdzieś tajgę, cztery dni drogi od nas, na zupełnym bezludziu, i dał za to tysiąc rubli.

– Po co? – zawołała Nastia.

– A żeby było moje i moich potomków choćby nawet i za pięćset lat.

– Ale dlaczego zaraz płacić za tajgę, kiedy można korzystać z niej za darmo?

– Nigdy nic nie wiadomo. Może tam są skarby w ziemi. Może strumień, który tamtędy przepływa, niesie wodę życia... Wystarczy, że posiadanie tego skrawka tajgi czyni mnie szczęśliwym.

– A, to wszystko tłumaczy – powiedział Wasiliew i wzniosł kieliszek. – Za kochanego fantastę, niech mu szczęście w nowym domu sprzyja!

– I ogrzewa kafelkami – dorzucił Bronisław, opowiadając historię holenderskich kafli.

To było przy rosole z kluseczkami, a przy pieczystym

rozmowa zeszła na sklep spółdzielni mleczarskiej, który prowadził Wasiliew, tak dobrze im idzie, że w tym roku zamierzają przystąpić do budowy własnego dużego domu o czterech pokojach, gdzie sprzedawano by produkty żywnościowe, rzeczy potrzebne w gospodarstwie, ubrania i towary łokciowe, a w ostatnim pokoju wszystko, czego potrzebują myśliwi i rybacy, i zarazem prowadzono by skup futer.

– A w spółdzielni powstało kółko socjalistów bezpaństwowych – mówił Wasiliew. – Nie wiecie? No, to wam opowiem. Kosoj, prezes spółdzielni, napisał list do Abramowskiego i w odpowiedzi otrzymał paczkę książek z bardzo serdecznym listem. Zawiązała się między nimi korespondencja, teraz Kosoj jest gorącym orędownikiem idei Abramowskiego... A w pierwszym liście, od tego właściwie trzeba by zacząć, bo ty dałeś mu adres Abramowskiego w Warszawie, w pierwszym liście Abramowski wspomniał o tobie.

– Co napisał? – zapytał zamierając Bronisław.

– Krótko. Tylko tyle, że – dosłownie – Najdarowskiemu proszę przekazać moje serdeczne pozdrowienia i wyrazy najwyższego szacunku.

– To ty teraz o tym mówisz?! Między innymi?

Aż przybladł pod wrażeniem słów, że ktoś w Polsce darzy go najwyższym szacunkiem. Druga, obok Sempołowskiej, bratnia dusza...

– Wybacz. Wiedziałem, że to ciebie ucieszy, ale po tej

awanturze z Wiereskowem wyleciało mi z pamięci.

W tym momencie Nastia wniosła synka i on skupił na sobie uwagę obecnych. Padały okrzyki i pytania. Ile ma miesięcy? Osiem. Jak się nazywa? Borys. Do kogo jest podobny? Trochę do mamy, trochę do taty, od każdego z nich wziął najlepsze cechy. Po ojcu ma odwagę i dociekliwość, wszystkiego chciałby dotknąć, osiąść, przekształcić, i dobrą łagodność matki, tego dziecka w ogóle nie słysząc. Sam już siada, raczkuje, wyciąga rękę do psa, wcale się nie boi... Mały słuchał, patrzył na skupione wokół twarze i tulił się do matki.

Kiedy Nastia z dzieckiem wyszła, powrócili do swoich spraw. Mikołaj między innymi nadmienił, że są w Udińskim przejeździe, w drodze do rezydencji Zotowa. Na to Wasiliew: – A od Zotowa wczoraj wrócił Wojciechowski, był u niego w interesach. Może słyszeliście o nim, Wojciechowski, powstaniec 63 roku, milioner, legenda Minusińska obok Martiamowa. Jest gościem księdza Sierpińskiego.

– Jak długo będzie u niego? – zapytał Bronisław.

– Do jutra, jutro z rana wraca do Minusińska.

– To ja już pójdę, bo to godzina czwarta, a chciałbym zobaczyć się z rodakami, wybaczenie zatem...

Wszyscy zrozumieli, nie zatrzymywali, tylko Mikołaj został, tak dobrze czuł się u Wasiliewów, że chciał jeszcze posiedzieć. Bronisław, odchodząc, zdążył mu szepnąć: – A o tym, że mnie okradli, nie mów, po co niepotrzebnie martwić...

Wyszedł unosząc wspomnienie o szczęśliwym małżeństwie. Po niedoszłym zamachu na Stołypina, przeżywszy swoją śmierć, Wasiliew jeszcze bardziej pokochał Nastię, jak gdyby stracił ją i na nowo odzyskał. Można mieć różne pragnienia i pasje, szukać celu w życiu i zadowolenia w rozmaitych dziedzinach pracy i twórczości, ale najbardziej osobistym, intymnym i bogatym uczuciem pozostaje miłość, kochać i być kochanym, mieć kogoś najbliższego. Iwan i Nastia, zdawałoby się, mezalians z obu stron pod każdym względem. Agronom z wyższym wykształceniem, nie byle jaki działacz partii socjalistów-rewolucjonistów, trzydzieści pięć lat, i dziewiętnastoletnia jedynaczka, córka gospodarza na 150 dziesięcinach ziemi z młynem. Mimo to wyszła za tego zesłańca, pozbawionego majątku i praw. Teraz ta nierówność w wykształceniu już nie rzuca się w oczy. Od czterech lat uczy ją i rozwija. Już może zrozumieć, nadażyć za jego myślą – dużo wysiłku i cierpliwości wymaga miłość tych dwojga niedobrych. 13 września ubiegłego roku, dzień niedoszęłego zamachu na Stołypina, był sprawdzianem ich uczuć i stosunków. Odtąd wiele zrozumieli i wiele sobie pomogli. „Ciekawe, od czasu swej nocnej spowiedzi u mnie ani razu potem nie wspomniał o tym. Unika wspomnień i przedmiotów związanych z tym dniem. Temu zawdzięczam, że mam jego nagan. Kiedy chciałem mu oddać pistolet, już bezpieczny dla posiadacza, bo bez śladu numeru, to aż się zachnął na jego widok: – Zabierz to czym prędzej sprzed moich oczu! – To co mam z

nim zrobić? – Wrzuć go do rzeki, zakop, rób, co chcesz, ja nie chcę go oglądać. Ani ja, ani Nastia!... – Że też wszystko kojarzy mu się z Nastią”....

W domu księdza Sierpińskiego powitała go Serafima radosną nowiną:

– A my mamy gościa!

– Któż to taki?

– Pan Wojciechowski z Minusińska przyjechał.

– To ja może nie w porę...

– *Ale upasi hospodi!* W porę, pan zawsze w porę!

Z głębi mieszkania jakiś bas zaciągnął, tenorek księdza Sierpińskiego podchwycił śpiew:

Czy znasz ty kraj ten, gdzie brzegiem strumienia

niezapominajki i kaliny rosną?

Gdzie wiosną sady cudnie się zielenią,

a bory ćmią się jedliną i sosną?*

– Słyszysz pan, jak śpiewają?

Na jego widok ksiądz Leonard wzniosł ręce do góry:

– Wszyscy święci Pana Boga chwalą! Nasz kochany myśliwy wrócił zdrowy i cały, choć wilki mu konia zjadły!

Bronisław przywitał się z księdzem i starszym potężnym panem, wymieniwszy swoje nazwisko, w odpowiedzi na co ten odrzekł:

– Narcyz Wojciechowski.

* Wiersz Konstantego Gaszyńskiego (1809-66).

Widziało się stół świątecznie zastawiony, biesiadnicy byli po sutym obiedzie, przy deserze i nalewce z porzeczeki syberyjskiej.

– Śpiewamy sobie rzewnie z księdzem... Pan jaki ma głos?

– Baryton.

– To może byśmy wspólnie? Bas, baryton, tenor to trio.

– Chętnie, proszę pana.

– Słowa pan zna?

– A jakże...

– No, to zaczynamy. Raz, dwa... – trzepnął w powietrzu rozsypanymi palcami wielkości marchwi. – Trzy!

Popłynęła stara, tęskna pieśń.

Och, za tym krajem

Jakby za rajem

co dzień tęsknię i płacę,

nie będę szczęśliwy,

aż ten kraj, te niwy

jeszcze raz, ach, jeszcze raz,

jeszcze raz zobaczę.

Zapadło milczenie.

– To już jedenaście lat... – szepnął ksiądz.

– Dla mnie sześć – odezwał się Bronisław.

– Odwiedziłem Polskę pierwszy raz po zwolnieniu i przywróceniu praw w 1888 roku, a drugi raz w ubiegłym

roku.

- Co nowego zobaczył pan w Warszawie?
- Katedrę prawosławną budują na placu Saskim.
- Niewiele budującego, jak po czterdziestu latach na Syberii.

Ksiądz rozlał do kielichów.

- Za Polskę, która jest i będzie! Spełnili toast.
- A co nowego teraz u nas?
- W życiu politycznym? Społeczeństwo wciąż rozbite na trzy obozy: Polską Partię Socjalistyczną, Socjal-Demokrację Polski i Litwy i Narodową Demokrację. Ostatnio coraz częściej słyszy się o Piłsudskim, ale on działa głównie w Galicji, w Krakowie, nawołuje do ruchu strzeleckiego, co jest przygrywką do tworzenia legionów.

– Jak Dąbrowski, jak Garibaldi...

– Właśnie. Wiecie, panowie, gdy miałem szesnaście lat, tak się rozczytałem w heroicznych czynach Garibaldiiego, wyzwoliciela Włoch, omal nie modliłem się do niego, że na pierwszą wieść o powstaniu styczniowym zwiąłem z domu do oddziału.

– Za to pana ukarał nie ojciec, ale rząd rosyjski.

– Nie, wtedy to mi uszło na sucho, nie złapali mnie. Złapali dwa lata później w 1866 roku i zesłali za pomoc emisariuszom polskim.

– Panie Narcyzie, jest pan u mnie trzeci raz, ja nic a nic nie wiem o pańskich przypadkach. Zlituj się pan, opowiedz, bodaj ze względu na młodych, bo młody także pragnie

posłuchać, co, panie Bronisławie?

– Święta prawda, księżę Leonardzie, bardzo pragnę, tylko nie wypada mi prosić, za krótko się znamy z panem Narcyzem.

– Mnie nie trzeba prosić, ja nie primadonna i chętnie udzielam się w miłym gronie, z rodakami. Tylko zważcie, że moje przygody nie mają w sobie nic z wielkich czynów, ot, takie sobie przejścia pospolitego młodzieńca, mniej niż szeregowca. Poza tym muszę uprzedzić...

– Oj, zaczynam podejrzewać, że pan daje się prosić jak primadonna!

– Bynajmniej. Tylko muszę uprzedzić księdza, że nie potrafię streścić rzeczy w dwóch słowach, lubię robić wszystko dokładnie, a dokładność w opowiadaniu nudna. No, jeśli was to nie przeraża...

– Prosimy, prosimy!

– Więc dobrze. Zacznę od tego, że powiem, iż jestem wnukiem oficera powstania listopadowego. Mój ojciec był gorzelnikiem w majątku Powielin u państwa Dorantów. Roman Dorant, były pułkownik wojsk polskich, walcząc z Moskalami w 1831 roku, miał pod swoją komendą kapitana Zaborowskiego, którego lubił i szanował jako prawego i walecznego oficera. W bitwie pod Grochowem Zaborowski został ciężko ranny i wkrótce zmarł, zdążył jednak powiedzieć Dorantowi, gdzie mianowicie mieszka jego żona z dwojgiem małych dzieci, pięcioletnią córką i dwuletnim synkiem. Prosił, żeby się nimi zaopiekował.

Po nieszczęśliwym tym powstaniu, właściwie wojnie, pułkownik Dorant odnalazł wdowę swego towarzysza broni i powiedział, że będąc żonatym, a nie mając dzieci, chce sieroty wychować. Wdowa zgodziła się oddać tylko córkę Walerię, syna zostawiła sobie i wyjechała do Francji do brata, bo była Francuzką i przed zamążpójściem pracowała jako guwernantka. Po wyjeździe ani razu nie napisała i poszukiwania Dorantów, starających się dowiedzieć czegokolwiek o losie małego Zaborowskiego, nie dały żadnego rezultatu. A ta właśnie wychowanica Dorantów, Waleria Zaborowska, kiedy miała niespełna siedemnaście lat, wyszła za mąż za Józefa Wojciechowskiego i urodziła syna Stanisława, który ranny w styczniu, wzięty był do wojska rosyjskiego w 1867 i wkrótce zmarł w Przasnyszu, a mnie urodziła w 1846 roku.

Ojciec mój otrzymał dość przyzwoite jak na owe czasy wykształcenie, uczył się w Łowiczu w klasztorze ojców jezuitów czy pijarów. Czy ukończył tę szkołę, nie wiem. Oddano go na naukę do znakomitego gorzelnika i piwowara Suchackiego, kiedy miał piętnaście lat, naukę gorzelnictwa i piwowarstwa opanował w ciągu czterech lat, tak że mając lat dziewiętnaście był gorzelnikiem i zabrał do siebie babunię z trojgiem małych dzieci. Był człowiekiem zdolnym i niespokojnym. W pierwszych latach pracy, w miesiącach letnich, terminował w fabryce wyrobów kotlarskich i aparatów gorzelnicznych, żeby samemu dawać sobie radę w razie potrzeby. Poza tym pracował z architektem przy

budowach, wykonywał budowę według planów, a nawet sam robił plany i kosztorysy. Widziałem jego prace: dwie piękne dwupiętrowe gorzelnie-palace, ślicznie murowane, w Powielinie i w Następowie. Z biegiem lat nauczył się ogrodnictwa i pszczelarstwa, a oprócz tego był znakomitym strzelcem i zawołanym myśliwym. Pracował z pasją, ale nie miał szczęścia, jakby los z moim przyjściem na świat przestał mu sprzyjać.

Zarobiwszy kilka tysięcy rubli, kupił trzydziestomorgowy folwark w Lipce koło Warszawy, żeby pracować zimą w gorzelnii, a latem na roli. Ale przypadkowo zabił chłopca, przyłapawszy go na kradzieży kamieni na naszej ziemi, które ten sprzedawał budującej się wówczas kolei warszawsko-petersburskiej. Chociaż ojciec uderzył kijem onego złodzieja tylko raz, i to wówczas, gdy ten rzucił się na niego, więc w obronie własnej, to jednak świadków nie było, został aresztowany i uwięziony. Sprawa długo się ciągnęła, gospodarka upadała, adwokaci wyciągali pieniądze, ziemię obciążono długami i po półtora roku, kiedy ojca zwolniono za wstawiennictwem mieszkańców kilku wsi, którzy znali ojca i wystawili mu jak najlepszą opinię, to rodzice musieli folwark sprzedać.

Po spłaceniu długów ojciec kupił drewniany dom w Serocku. Latem sam pracował nad założeniem sadu owocowego, a w zimie zajmował się gorzelnictwem. Cóż, niedługo to trwało. Pożar spalił część Serocka, w tym też dom moich rodziców.

Wiem od matki, że pan Dorant niejednokrotnie nastawał na to, żeby ojciec na podstawie papierów, jakie miał po swoim ojcu, wylegitymował się i odzyskał szlachectwo. Lecz ojciec stale odmawiał, twierdząc, że jeśli jego ojciec tego nie uczynił, to widocznie nie chciał, żeby jego synowie korzystali z innych praw i przywilejów, niż te, jakie daje szlacheckie postępowanie. Nie życzył sobie, żeby synowie, jego ubiegali się o urzędy i zaszczyty u władz rosyjskich, a o powrocie rządów polskich zwątpił ostatecznie. Panowie szlachta, mówił, rozpróżniaczyli się ponad wszelką miarę, zgnuśniali, za małymi wyjątkami, wstydzą się pracy, prześcigając się jeden przez drugiego w używaniu i zbytkach. Pogardzają ludem, który pracą rąk stworzył całe bogactwo kraju i do którego, przepowiadał, owo bogactwo powróci. Oni szczepną z powierzchni ziemi, utrzymują się tylko ci, którzy nauką i wiedzą służyć będą ludowi, a szlachetnością i kulturą będą przodować w narodzie.

Matka moja była bardzo nabożna, ojciec mniej, w każdym razie jej pragnieniem było, abym został księdzem. Ale pogarszające się warunki naszego życia nie wróżyły czasów, kiedy się znajdą środki na to, by kształcić mnie na księdza. W końcu zawieziono mnie do Warszawy, gdzie przyjaciel ojca, pan Tyrka, adwokat, umieścił mnie na naukę u znajomego kupca win i korzeni Cichockiego, razem ze starszym bratem Stanisławem. Lecz niedługo tam byłem. Przede wszystkim dlatego, że matka nie mogła nastarczyć na przyzwoite i zawsze czyste ubranie dla nas obu. Po drugie,

przyjechał do matki z ostrołęckiego stryj i wysłuchawszy jej skarg, że księdzka w rodzinie nie będzie, znalazł sposób, żeby temu zaradzić.

W Wapowie, gdzie stryj zarządzał dużym majątkiem, był słynny na całą gubernię organista Rosiński, a że lubiłem muzykę, uczyłem się trochę na skrzypcach, miałem ładny głos, więc poradził matce oddać mnie na naukę do Rosińskiego, przy czym będę mieszkał u stryja pod opieką jego i babuni. Propozycję tę matka przyjęła, gdyż był to kompromis z Kościołem.

Kochałem matkę, rad byłem ulżyć jej cierpieniom i kłopotom, byłem nabożny, więc nie potrzeba było mnie namawiać. Miałem może na widoku i to, że u babuni i stryja-kawalera będę *persona grata*. Zabrał więc mnie stryj do Warszawy i, mając trzynaście lat, zacząłem się uczyć kościelnej muzyki i śpiewu. Zdolnym okazałem się uczniem, więc na wiosnę 1862 roku ukończyłem ową naukę i zostałem przyjęty do początkowej szkoły w Jelonkach w charakterze nauczyciela, z tym że na wiosnę, w marcu, będę pełnił także obowiązki organisty.

A w połowie stycznia wybuchło powstanie. Wzywano młodzież do obrony ojczyzny, a że w owym czasie, jak powiedziałem, rozkochany byłem w Garibaldi, czytałem jego wyprawę „tysiąca czerwonych koszul” i dzieje wyzwolenia Włoch, więc na pierwsze wezwanie zmówiliśmy się we trzech – ja, Władysław Morączewski i Adam Popielarczyk – i poszliśmy szukać partii. Błogosławiła nas na

tę świętą sprawę siostra Władysława a moja kuma, panna Aniela Moraczewska.

Odszukać oddział partyzancki było nietrudno. Późnym wieczorem przybyliśmy do obozu Mystkowskiego. Rano, stawieni przed niego na egzamin, byliśmy przyjęci i rozmieszczeni po sekcjach. Partia formowała się w niewielkiej wiosce wśród dużych lasów rządowych. Nazwy wioski nie pamiętam, było to gdzieś na wschód od Długosiodła i Przetyczy, a na północ od Wyszkowa.

Zebranych 180-200 ludzi, ciasno rozmieszczonych po włościańskich chałupach, całe dnie uczono *postrojeniom* frontowym, marszu kolumnami, a nie umiejących strzelać – celowania z kilkudziesięciu sztuk broni myśliwskiej. Część miała kosy obsadzone prosto na drzewcach, a reszta drażki do kos, na które dwóch kowali dzień i noc obsadzało kosy i okuwało je prętami żelaznymi. Było i kawalerii coś ze 30-40 koni. Sztab mieścił się w domu nad- czy podleśnego Wilkonewskiego, w pobliżu wioski.

Z początku przydzielono mnie do kawalerii i dano konia zdobytego na kozakach, poczciwe bydlę, ale już niemłode. Ponieważ dobrze siedziałem na nim, więc wachmistrz Wojno często brał mnie z innymi na rekonesans lub do rekwizycji po pobliskich wioskach, a w nocy stawiał na dalsze pikiety na drogach i ścieżkach prowadzących do naszego obozu. Było to bardzo uciążliwe, takie stanie i czuwanie na najlżejszy szelest, noc w noc, po kilku dniach byłem tak zmęczony, że wachmistrz to zauważył – za młody jesteś na taką służbę,

powiedział, i przeniósł do piechoty. Przydzielono mnie do pierwszej sekcji pierwszego pułku.

Ludzi przybywało w dzień i w nocy po kilku i kilkunastu. Wszyscy prawie bez broni. Ja miałem dubeltówkę stryja Jana. Niektórzy przynosili dawne pistolety pojedynkowe lub starą zardzewiałą szablę, kindżał w ładnej oprawie, rzadko bojowy pistolet lub strzelbę myśliwską. Ale za to młodego zapału i chęci poświęcenia się dla sprawy wyzwolenia ojczyzny było raczej za dużo.

Największa bieda była z ładunkami, bo chociaż dostarczano ich w wystarczającej ilości i różnych kalibrów to jednak trudno było do wszystkich strzelb dopasować. Małe kazano owijać w papier, a duże kule rąbać siekierami, zmniejszać. Ale ciągle pocieszano nas obietnicą nadejścia karabinów i ładunków z zagranicy.

Na pierwszą bitwę wyprowadzeni byliśmy w nocy ma się rozumieć, tylko ci, co mieli jakąś broń. O świcie zajęliśmy pozycję na brzegu lasu po obu stronach. Usłyszeliśmy strzelaninę za wsią. Moskale zaczęli strzelać do naszej kawalerii, co wyjechała na lewym skrzydle w pole, ale rychło przestali i skryli się między chałupami. Wyprowadzono i nas na pole. Widziałem, jak żołnierz, przelażąc na skraju wsi przez płot, upadł trafiony naszą kulą, a karabin jego spadł na naszą stronę płotu. Pobiegłem więc i przyniosłem karabin do szeregu. Podoficer nasz, Artur Tuszewski (literat, poeta z Warszawy), wyłajał mnie za to, ale oficer Piotr Lilling mitygował go, a mnie nazwał zuchem.

Później wyjaśniło się, że to była wieś Przetycz, że niewielki oddział wojsk rosyjskich, przechodząc od Wyszkowa, natrafił na partię Zameczka i poniósł duże straty, ale całkowite zniszczenie jego nie udało się, gdyż naczelnik nasz za późno był powiadomiony, spóźniliśmy się. Moskale dowiedzieli się, że idziemy im na spotkanie, i cofnęli się w stronę Wyszkowa. A my razem z partią Zameczka wróciliśmy do obozu. Tu widziałem pierwszy raz rannych.

Po jakimś czasie wyruszyliśmy z lasów i już całą siłą około tysiąca ludzi poszliśmy jawnie przez wsie do Konina. Tam przyjechał Zygmunt Padlewski i objął dowództwo, jako naczelnik województwa płockiego. Mystkowski pozostał dowódcą naszego batalionu strzelców. Pamiętam, żeśmy nocnymi marszami dążyli do kolei gdzieś między Brokiem a Czyżewem, że nocą przekraczaliśmy szosę z Ostrowi do Ostrołęki i że mnóstwo ludzi pogubiliśmy po drodze, padających we śnie ze zmęczenia. I ja spałem, padałem, budziłem się i szedłem dalej.

Nareszcie przybyliśmy na linię kolei żelaznej. Zajęliśmy pozycję, długo czekaliśmy, lecz oczekiwany pociąg nie przybywał. Okazało się, że wojsko rosyjskie jest powiadomione i w Czyżewie oczekuje naszego ataku. Poszliśmy więc w stronę Ostrołęka-Łomża. Tam promami przeprawiliśmy się przez Narew i poszli do Myszyńca, tam gdzieś mieli nam dostarczyć przez pruską granicę broń i amunicję z Belgii.

Nazw wsi, przez które przechodziliśmy, nie pamiętam,

tylko pamiętam, że w jednej z takich wsi dostałem awans na lewoskrzydłowego podoficera z obowiązkiem prowadzenia gospodarki żywnościowej.

Po jednodniowym postoju w Myszyńcu i małej potyczce w Dąbrowie ze strażą graniczną na trzeci dzień mieliśmy bitwę z większymi od nas siłami rosyjskimi. Wycofaliśmy się do wsi Surowe i odtąd byliśmy ciągle ścigani przez przeważające siły nieprzyjaciela. Co raz musieliśmy przyjmować potyczki i choć oddział nasz stale się powiększał, to oczekiwanej broni nie mogliśmy dostać. Co czwarty z nas miał kij, bo choć były kosy, to nie było czasu na ich obsadzanie. Dostaliśmy nawet od kogoś dwie armatki wiwatówki, mieliśmy nawet dwustu kawalerzystów, ale czuliśmy, że pierścień wroga zaciska się wokół nas. Z rozpaczą słuchałem nad Działdówką, jak całą noc klepią, osadzając kosy.

W ostatnich dniach marca czy pierwszych kwietnia po jedenastu potyczkach bez powodzenia koło dużej wsi Kosomina zostaliśmy osaczeni przez wojska rosyjskie.

W pierwszym zaraz lesie, nam, uformowanym w czworobok z 800-1000 ludzi, naczelnik sztabu Frycze oznajmił, że bitwy przyjąć nie możemy, bo zginiemy wszyscy, jak nie w boju, to w niewoli. Postanowiono rozpuścić oddział, broń i kotły zakopać, rozsypać się na wszystkie strony i małymi grupkami ratować się przy pomocy miejscowych mieszkańców. Wszyscy zwolnieni są od przysięgi. Mogą wstępować do innych oddziałów, jakie się

trafią, a kto się przedostanie przez Narew i usłyszy o formującej się partii Mystkowskiego, może do niej podążyć. Kawaleria zaś spróbuje marsz-marszem przebić się przez osaczające nas wojska nieprzyjaciela.

Kapelan ksiądz Jastrzębski, były wikariusz w Ostrowi, parafii, gdzie mieszkała babunia i stryj, został ze sztabem i kawalerią. Żegnając się ze mną, zamienił swój kapelusz na moją konfederatkę strzelecką i wskazał kierunek, w którym najbezpieczniej iść. Wielu płakało z rozrzewnienia, płakali i dowódcy, ale Padlewski rozkazał natychmiast rozstać się.

W kierunku, który wskazał ksiądz Jastrzębski, poszło wielu, a w grupie przedniej było nas czterech: Władysław Moraczewski, Adam Popielarczyk, Jakub Suchodolski i ja. Wychyliwszy się z lasu w stronę gościńca, wyrzeliśmy spomiędzy krzaków jałowcowych na pole, co się tam dzieje – widoczność była na kilka kilometrów – a tam ujrzelśmy masę wojska, kozaków, dragonów, piechotę d artylerię, wszystko waliło na nasz las!

Na skraju tych pól zobaczyliśmy rów odwadniający dolinę i przymykający do naszych krzaków. To nas ocaliło od niewoli, a może i od śmierci. Rzuciliśmy się do tego rowu i w błocie, a miejscami i w wodzie posuwaliśmy się na czworakach między oddziałami rosyjskimi, byle dalej od nich. Gdzie rów był płytszy, leżeliśmy w miejscu, dopóki nie ucichł tupot nóg i brzęk broni wroga.

Późnym wieczorem podkradliśmy się bliżej jednego dworu. Poszedłem do dziedziczki, ale ta przerażona

oświadczeniem, kto jestem i że nie sam, z furią kazała nam się wynosić, inaczej zawoła ludzi i każe nas powiązać.

Wyszliśmy w pole na chybił-trafił, byle dalej od tej wsi, nasłuchując, czy nie ma za nami pogoni. Po jakimś czasie usłyszeliśmy beczenie owiec i rzeczywiście doszliśmy do dużego budynku owczarni. Na szczekanie psów wyszedł owczarz, zaufał nam, uspokoił swoje psy i poradził zanocować w owczarni, gdzie złożono siano i słomę.

Nazajutrz owczarz przyniósł nam dwa bochenki chleba, ser i gotowane mleko, zaczekaliśmy u niego do wieczora, a kiedy się zmierzchno, zaprowadził nas do swojego kuma, leśnika, który lepiej znał okolicę. Nakarmił nas i udzielił wiadomości i rad. On już wiedział, co się stało z naszą partią, że oddział kawalerii przebił się szczęśliwie, a piechota uszła rozproszona. Ale Moskale o tym nie wiedzieli i ścigali nas, z całej okolicy wojska są ściągnięte w pogoni za naszym oddziałem, toteż możemy iść śmiało. Powiedział, jak i którądy mamy się przedzierać.

Idąc za jego radą, doszliśmy następnego dnia do jednej wsi, gdzieśmy się rozstali: moi towarzysze zdążyli za Narew do Różan, a ja chciałem do moich rodziców, którzy mieszkali u państwa Dorantów, i febra mnie trzęsła. Nie pamiętam nazwiska poczciwego obywatela, który umieścił mnie w pokoju przy ogrodzie, dał mi bieliznę, bo moja była zawszona, dał lekarstwo, nakarmił i radził wypocząć. Zasnąłem i spałem do wieczora. Wtedy obudzono mnie, nakarmiono znów i przy herbacie uradzono, jak jechać – ten

obywatel ułożył najkrótszą, najbezpieczniejszą marszrutę.

Nie wiem, ile jechałem, ale przed wieczorem miałem przeciąć szosę Pułtusk-Nasielsk. Kiedy wjechaliśmy na plant szosowy, furman drgnął i powiada: „Kozacy!”. Spojrzawszy na lewo rzeczywiście zobaczyłem w oddali całą szosę zajęta przez kozaków, jadących w naszą stronę. Furman popędził konie galopem, w parę minut byłem na wprost parku i dworu, na moment konie zwolniły.

– Zeskakuj pan i chowaj się u pana Górskiego, a ja pojedę dalej, inaczej obaj zginiemy.

Zeskakując, słyszałem cwałowanie koni na szosie, zawadziłem spodniami o jakiś gwóźdź i coś zatrzeszczało. Pobieglem co sił ku dworowi, wpadłem do sieni, tu jakaś panienska chwyciła mnie za rękaw: „Prędeż za mną do ogrodu, kozacy cwałują! Na lewo chyłkiem przez szparagarnię! Co prędeż przez płot do gumien, tam się pan schowa”.

Byłem posłuszny jak jagnię, jak nigdy! Zającem śmigłem między krzakami i grzędami nawozu szparagarni, prześlizgnąłem się przez płot i wpadłszy do jakiejś szopy zastawionej maszynami rolniczymi, zaszyłem się w kąt tak, że zdawało mi się, nikt mnie nie znajdzie. Ocalałem!

Długo siedziałem w ciemnościach, wreszcie usłyszałem, że ktoś wchodzi i rozmawia jakby sam z sobą: „Niebezpieczeństwo minęło, można wracać do domu”. Wyszedłem z ukrycia i cicho świsnąłem, wtedy nieznajomy podszedł do mnie, „dziedzic prosi pana”, i poprowadził mnie

do dworu. Zostałem uprzejmie powitany przez pana w średnim wieku, blondyna, dobrej tuszy, przy nim była starsza dziewczynka i chłopczyk, lat 7-8, a w drzwiach stała młoda jeszcze kobieta, widocznie pani domu.

– Widziałem przez okno pańskie przybycie – powiedział gospodarz. – Poznałem konie i furmana sąsiada, a z raptownego pańskiego susa z wózka i jelenich skoków ku domowi domyśliłem się reszty. Dlatego poleciłem panie Szymańskiej uprzątnąć pana. Ona zawsze jest dowcipna w podobnych okolicznościach. Moglibyśmy wszyscy mieć wielki ambaras.

Ten furman, Wojciech, okazał się wielkim spryciarzem. Jak tylko pozbył się mnie, to położył na przednie siedzenie worek, sam siadł na moje, tylne siedzenie i jakby nie widząc ścigających go kozaków wyjechał z dworu dalej na gościniec. Część kozaków rzuciła się za nim, a pozostali z oficerem wpadli do dworu. Przyprowadzili Wojtka. Wszelkie nastawania, że on wiózł kogoś, widzieli dwóch na wózku na przejeździe przez szosę, nie potrafiły zbić twierdzenia upartego Wojciecha, że jechał za interesem swego dziedzica, że to może worek z obrokiem położony na przednim siedzeniu wydał się im podobny do kogoś siedzącego tam. Nawet parę batów przez plecy nic nie wskórało. A ci, co wpadli do dworu i otoczyli go, niczego się nie dowiedzieli. Służba mówiła, że nikt nie przyjeżdżał, nikogo nie było. Oficer, który był w pokojach, rozmyślając widocznie nad tym, czy robić rewizję, zapytał starszego *uradnika*, ten

zaraportował, że służba nikogo obcego nie widziała. Pani domu zaproponowała obejrzenie całego dworu, wtedy oficer pokręcił głową na nie i dał rozkaz odjazdu.

Po tym właśnie zostałem wezwany. Położenie moje było opłakane, gdyż siedząc w ciemnościach w ukryciu, po omacku stwierdziłem, że przy tym raptownym wyskoczeniu z wózka porwałem sobie w strzepy całe podniebienie moich strzeleckich spodni, przeto na wszystkie namowy gospodarzy, żeby zdjąć palto i siąść do stołu, odpowiadałem wykrętnie, że nie jestem głodny, że brudny jestem, że obawiam się powrotu kozaków, w końcu gospodarz powiedział stanowczo, żebym zdjął palto. Powiedziałem, że nie mogę tego uczynić. Wtedy gospodarz poczerwieniał, pociągnął mnie za rękę przez korytarz do swego gabinetu, zamknął drzwi na klucz i tu musiałem mu wszystko wyjawić. Śmiał się do rozpuku, wyjął z szafy swoje kortowe do konnej jazdy spodnie, ja się przebrałem, wtedy poprowadził mnie na kolację, przedtem zdążyłem wrzucić moje strzepy do pieca.

Po tej przygodzie już bezpiecznie dostałem się do domu. Matka właśnie klęczała, modląc się przed snem. Zalała się łzami radości i strachu. Wyznałem jej prawdę, musiałem wyznać, bo pod paltem był na mnie mundur strzelecki, a poza tym, opowiadając, bezwiednie musiałem podrapać się tu i tam, gdyż dokuczały mi stale partyjne towarzyski partyzanckie, co już na dobre zadomowiły się w zmienionej bieliźnie. Po czułych powitaniach zrzuciłem wszystko z siebie, matka wymyła mnie w balii z gorącą prawie wodą, a

wszystkie moje łachy włożyliśmy do gorącego jeszcze po chlebie pieca, „dla dezynfekcji”.

Do rana prawie przegadaliśmy o moich przejściach. Zdecydowaliśmy się nie mówić na razie ojcu prawdy, gdyż był ogromnie zagniewany na brata Stanisława, który od trzech miesięcy był w kawalerii, w maleńkiej partii „Sołowia”, i który ciągle niepokoił Moskali podjazdami w okolicy Pułtuska, Makowa, Radzymina i Modlina. Martwi ojca, mówiła matka, cała sprawa powstania, bo przewiduje dla nas tylko klęskę, rozpacza nad mnóstwem ofiar niepotrzebnie straconych, nie wierzy w żadną pomoc zagranicy, nazywa nasze wystąpienie głupotą i boleje strasznie nad tym, że nawet mądrzy ludzie dali się obalamucić...

– Niestety, poglądy pańskiego ojca, panie Narcyzie, niewiele odbiegają od prawdy – zauważył ksiądz Sierpiński.
– Ale najpierw musimy podziękować panu, panie Narcyzie, za jego opowiadanie. Mówił pan tak prosto i obrazowo, że ja wprost widziałem te wydarzenia. Widziałem i zdumiewałem się, co za pamięć! Po czterdziestu z górą latami tak swobodnie sypać jak z rękawa nazwiskami przypadkowo napotkanych ludzi, nazwami miasteczek, wsi i rzek... Pan ma fenomenalną pamięć!

– Toć to działało się w młodości, panowie, pamięć wtedy chłonie wszystko jak gąbka.

– Wszystko jedno. Żeby ta gąbka trzymała, co wchłonęła czterdzieści lat temu – to niebywałe!

– Nigdy nie przypuszczałem, że opowiadając historię jednego oddziału partyzanckiego, można streścić całą klęskę narodową – powiedział Bronisław. – Co czwarty u was, mówił pan, panie Narcyzie, przychodził tylko z drążkiem na kosę, bo kosy można dostać w każdej wsi, pan miał dubeltówkę stryja Jana, jak większość ochotników, i nieliczni broń kulową, więc batalion Mystkowskiego w najlepszym razie pod koniec, po obsadzeniu wszystkich kos na drążki, mógł mieć 200 kosynierów, 400 dubeltówek i, powiedzmy, 200 sztuk broni kulowej. To znaczy, że wasz batalion był czterokrotnie słabszy od batalionu rosyjskiego o tej samej liczbie. Bo z dubeltówki można strzelać kulą na 70-80 kroków, a z broni kulowej na 300. Armia pruska, uzbrojona w iglicowe karabiny Draysego, rozgromiła Austriaków pod Sadową... A te potworne nocne marsze spod Konina do Myszyńca, kiedy dużo was padło ze zmęczenia, pochód pod granicę po spodziewaną broń z Belgii! Tu was osaczyli. Ale gdybyście dostali broń na cały batalion, 800 karabinów, tobyście, wierzę, pobili czterokrotnie liczniejszego przeciwnika i odwlekli swój koniec na miesiąc lub dwa. Bo karabin z Belgii ma to do siebie, że może strzelać nabojami tylko z Belgii! A ile naboji do jednego karabinu mogli wam dać? Sto, z górą dwieście – zapas na miesiąc walk, na dwa. Poza tym wieści o wielkich dostawach broni z Belgii czy Francji należy włożyć między bajki. Małą ilość broni można przeszwarcować, ale dużą... Przecież Austrii i Niemcom zależało na zdławieniu powstania przez Rosjan, aby broń

Boże nie ogarnęło ich ziem... Jedno powstanie mogliśmy rzeczywiście wygrać – w listopadzie 1831 roku. Była liczna, dobrze wyszkolona armia, arsenały pełne broni, fabryki, warsztaty naprawcze, zapał narodu, nieudolność wroga, no, aleśmy przegrali z kretesem i na to pracowała nie tylko głupota, ale i druga część narodu, z tych dobrze urodzonych.

– Tak, potem już nie miało sensu – zgodził się pan Narcyz. – Jak z tym powstaniem nad Bajkałem.

– Proszę pana, dziś o mało nie wyrzniętem w pysk jednego kupca za to, że nazwał tych powstańców zasrańcami, na szczęście wyręczył mnie mój kompanion Czutkich. To sprawa między nami, obcym nic do tego. Ale my trzej między sobą, siedząc tutaj na Syberii, możemy sobie powiedzieć, że to było szaleństwo. Po części tylko usprawiedliwione rozpaczą, nostalgią, chęcią ucieczki. Bo nawet gdyby ta garstka ludzi zdobyła broń i przebiła się przez wojska carskie, które zagroziły im drogę ku granicy, to i tak Chińczycy na mocy układu o wydawaniu zbiegłych przestępców wydaliby ich z powrotem rządowi rosyjskiemu. Wiem na pewno, żandarm, który mnie wiozł na osiedlenie, mówił, że niedawno zdarzyła się ucieczka grupy katorżników, ścigali ich i tylko ośmiu doszło do granicy. Wydali ich Chińczycy i wszyscy zostali powieszani.

– Myślę, że lepsza jest droga czeska – rzekł ksiądz Leonard. – Przecież Czesi wcześniej stracili niepodległość. Po przegranej bitwie pod Białą Górą w 1620 roku Czechy stały się prowincją Habsburgów. Szlachta czeska wyginęła

lub zniemczyła się zupełnie, odrodzenie narodowe poszło od dołu, od mas ludowych. Popatrzcie, moi drodzy, co się zrobiło z tym ujarzmionym krajem! Handel i rzemiosło kwitną, konkurując z powodzeniem z wyrobami niemieckimi, wieś jest oświecona, gospodarna i czeska. Powstały wielkie organizacje ogarniające cały naród, jak ruch sportowy „Sokoła”, będący wzorem dla wielu narodów. Ruch muzyczny i śpiewaczy, zrzeszający tysiące kół, rozśpiewał naród po czesku i dał mu narodową muzykę czeską. Pod względem pracowitości i organizacji oni nie ustępują Niemcom i Czech Czechowi dobrze życzy, toteż czekają spokojnie na sposobność odzyskania niepodległości.

– Tak, oni wierzą w pracę. Jak mrówki pracują wytrwale i z rzeczy niemożliwych robią możliwe, ale my...

– A pan, panie Narcyzie, jak doszedł do swego bogactwa?

– Tylko pracą.

– To niech nam pan opowie o tym cudzie, jak z nędzarza stał się pan milionerem.

– Chętnie, tylko w gardle mi zaschło. Niechże ksiądz nie żałuje mi jeszcze kieliszka tej wyśmienitej nalewki, ja to wam z nawiązką odgadam.

– Och, przepraszam, zupełnie zapomniałem o obowiązkach gospodarza – zreflektował się ksiądz, nalewając do kieliszków. – Proszę, bardzo proszę!

– Dziękuję. Zdrowie gospodarza!

Wypili, zakąsili kawałkiem pieroga, po czym ksiądz i

Bronisław przygotowali się na dłuższe słuchanie.

– Po jakimś czasie kłamstwo moje wydało się, ale ojciec przebaczył mi – rozpoczął pan Narcyz swe opowiadanie. – Nastawał tylko na to, żebym się wyniósł z tej okolicy, bo władze wiedzą, że Staś poszedł do powstania, mogą się dostać i do mnie. Wyjechałem do województwa warszawskiego, do Klembowa, gdzie tamtejszy proboszcz ksiądz Stypułkowski, wielki przyjaciel ojca, zaofiarował mi posadę organisty i nauczyciela w szkole.

Nie ciągnęło mnie do partii nie tylko dla danego ojcu słowa, ale i dlatego, że wszystko, com widział, dowodziło, że ojciec i wielu innych miało rację, chodziło tylko o to, żeby zaoszczędzić ofiar, paraliżować zemstę rządu rosyjskiego i uprzedzać swoich o niebezpieczeństwach.

Na taką działalność trafiłem od razu, a po miesiącu zdobyłem zaufanie środowiska, w którym żyłem. Po paru miesiącach byłem znany w całej okolicy, czułem się wyśmienicie, gdyż widziałem dodatnie skutki mojej pracy i odczuwałem zadowolenie, że przynoszę narodowi posilną pomoc. Kontynuowałem tę moją robotę do końca 1865 roku. Ratowałem zagrożone życie Wójcickiego, Goślickiego i Sokulskiego. Goślicki przedostał się za granicę, ale Wójcicki i Sokulski wpadli. Zabrane ich papiery skompromitowały mnie i po dziewięciu miesiącach więzienia w Cytadeli wysłano mnie i Mateusza Przepiórkowskiego na wieczne osiedlenie w Kraju Krasnojarskim z pozbawieniem wszystkich praw, co zostało nam ogłoszone w

Aleksandrowskim Odwachu Cytadeli w dniu wysłania nas, 11 października 1866 roku.

Z Warszawy wysłano nas w kajdanach na rękach do Moskwy, z Moskwy do Niżniego Nowgorodu, stamtąd w ładowni barki do Kazania, dalej trójkami na wozach chłopskich do Permi, tak dojechaliśmy do Tomska, otrzymując po 15 kopiejek dziennie na utrzymanie, i z Tomska poszliśmy pieszo od etapu do etapu robiąc 22 do 35 wiorst w ciągu dnia, i z jedenastu wysłanych z Warszawy tylko dwóch dotarło do Krasnojarska. Po miesięcznej przerwie przybyłem przez Minusińsk do wielkiej wsi Sagajska.

Pierwszym zajęciem moim tu było przerobienie szarego arezntanckiego chałatu z czerwonym asem na plecach na marynarkę. Zrobiwszy to, poszedłem do miasteczka kozackiego na targ, by poszukać dla siebie jakiegoś zajęcia. Przyjął mnie Mitrofanow, księgowy kopalni złota, który właśnie budował sobie dom. Otrzymałem pięć rubli miesięcznie z gotowym utrzymaniem i spaniem w chacie dla służby. Tu zaprzęgałem konie, woziłem kamienie i budulec, wykładałem ściany w wykopanych piwnicach, rąbałem drzewo, a później kosiłem siano na ogromnych łąkach za rzeką Amył. Niedzielę i święta mieliśmy wolne.

W końcu lipca otrzymałem z domu pierwszy list i zapomogę 30 rubli. Podziękowałem gospodarzowi za ludzkie obchodzenie się z nami i wróciłem do Sagajska, gdzie zamieszkałem z Przepiórkowskim, płacąc za duży pokój i za

pełne obfite wyżywienie po pięć rubli od osoby.

Polowanie na zające, cietrzewie, kaczki, kuropatwy, a także łapanie ryb dawało dużo przyjemności i wiele ruchu po kilkugodzinnym siedzeniu nad robieniem papierosów z chińskiego tytoniu, czym wówczas trudniłem się i co dawało oprócz palenia 50-60 kopiejek dziennie. Ale w końcu akcyza zabroniła nam tego zarobku. Urządziliśmy wtedy z Franciszkiem Kińskim na zimę ręczną olejarnię. Było to wprawdzie ciężkie zajęcie, ale dawało po rublu od każdego puda nasienia konopi.

Na wiosnę zasiałem na wynajętej ziemi dziesięcinę żyta jarego. Prócz tego we trzech do spółki kupowaliśmy konopie, a zesłaniec Frydrych kręcił z nami znakomite postronki, które sprzedawaliśmy na targu w Karatuzie przemysłowcom złota. Wreszcie kosiliśmy na wskazanych przez chłopów gminnych łąkach siano dla siebie, gdyż mieliśmy już konia.

Poznałem miejscowego kupca, Polaka, Popławskiego, nawiasem mówiąc byłego zesłańca kryminalnego. Ten wróciwszy pewnego razu z miasta powiedział, że znajomy jego, właściciel młyna parowego i fabryki, potrzebuje ekonomy i jeśli ja chcę, to może mnie polecić.

Zaraz na drugi dzień byłem z listem polecającym u pana Gusiewa. Dobrze widocznie zrobiłem wrażenie, a może on ufał rekomendacji, dość że przyjął mnie z miejsca i od razu kazał ekonomowi zdać jutro wszystkie magazyny i spichrze ze zbożem oraz książki rachunkowe i objaśnić mi co do moich obowiązków. Dano mi pokój z obsługą i pełnym

utrzymaniem oraz wyznaczono 25 rubli miesięcznie. Poczulem się bogaczem.

Ciężka to była praca. O godzinie czwartej trzeba było wstać, cały dzień spędzałem w fabryce lub przy budowie nowej huty szkła, a wieczorem siedziałem nad księgami rachunkowymi i rozkładem zajęć dla robotników, ale pracowałem chętnie, bo widziałem, że ze mnie jest zadowolony nie tylko właściciel, ale i załoga. Po zakończeniu każdego roku dostawałem gratyfikację 100–150 rubli, niekiedy przez kilka miesięcy zastępowałem zarządzającego.

Tak pracowałem z górą cztery lata. Jednak w końcu 1874 roku, nie pamiętam z powodu jakiej plotki, mechanik krupczatnik, niezły nawet człowiek, będąc pijanym rzucił się na mnie. Byłem bardzo silny, powaliłem go na ziemię i gdyby ludzie nas nie rozłączyli, tobym go udusił, chociaż był to prawdziwy atleta. No, rozumiecie panowie, po takiej awanturze musiałem odejść, gdyż zmienić mechanika w owych czasach na Syberii nie było łatwo.

Wyjechałem do Minusińska. Miałem zaoszczędzonych 500 rubli, oprócz kwoty wysłanej rodzicom po spaleniu domu. Pomagałem w handlu „Warszawskiego Magazynu” Jana Prędowskiego, potem Prędowski wyjechał do kraju, sklep sprzedał Władysławowi Korzeniowskiemu. Kiedy ożeniwszy się w Tomsku, wrócił Korzeniowski do Minusińska, to zaprosił mnie do spółki w tym interesie. Obznajomiony nieco z handlem, prowadziłem prawie wyłącznie sam ten magazyn. Po rocznym obrachunku

mieliśmy 3000 rubli. Nie byłem z tego zadowolony, chciałem więcej. Bo do Korzeniowskich przyjechała siostra żony, panna Emma, i bardzo mi się spodobała, a i ja jej również, jak mi się zdawało, ale milczałem, bo ja nic nie miałem i Emma też nic, a rozmnażać biedy nie miałem zamiaru.

W maju, pierwszego czy drugiego maja, zjawił się u mnie w sklepie Gusiew Iwan Gawryłowicz, czego nigdy dawniej nie robił. Kupił coś, pogawędził o tym i tamtym i zaproponował powrót do niego, ale już nie w charakterze ekonoma, lecz zarządzającego całym interesem. Daje mi pełne utrzymanie z obsługą i roczną gażę 900 rubli. Nie namyślałem się długo i 5 maja wyjechałem razem z Gusiewem na nowe stanowisko. Przyjemne mi było takie wywyższenie. Przyjemnie było usłyszeć serdeczne ze łzami w oczach przeprosiny mechanika Samarina, a najbardziej – wzruszające, owacyjne przyjęcie przez robotników i majstrów: „*Nu wot, prijechał nasz otiec*”, aczkolwiek ten ojciec miał dopiero trzydzieści lat.

Pracę tę znałem, wkrótce zorientowałem się, że jej podołam, a może i ulepszę coś, słowem poczynałem oględnie, pracowicie i energicznie. Po kilku miesiącach postanowiłem, że czas już pomyśleć i o sobie. Wziąłem urlop dwutygodniowy, pojechałem do Tomsku i ożeniłem się z Emmą Scherzingerówną, pochodzenia niemieckiego, Sybiraczką od trzech pokoleń, katoliczką, po niemiecku umiała mówić tylko *pater noster*.

Zakres mojej działalności rozszerzał się, gdyż Gusiew

zbudował jeszcze dużą gorzelnię i fabrykę sody. Ale i warunki wynagrodzenia zmieniły się – miałem 1500 rubli rocznej pensji oprócz pełnego utrzymania z obsługą. Po dziesięciu latach zesłania zarządzałem największym w guberni jensejskiej obiektem przemysłowo-handlowym i cieszyłem się dużym uznaniem mieszkańców całego powiatu.

W 1880 roku z powodu łajdactwa jednego z oficjalistów, krewnego gospodarza, zgłosiłem dymisję, mimo przeprosin ze strony Gusiewa.

Zacząłem szukać złota na granicy Mongolii, w Sajanach, nad rzeką Us. Nie będę wam, panowie, opowiadał wszystkich perypetii, tej mieszaniny przygody, hazardu i morderczej pracy, na jaką składa się poszukiwanie złota. Dość że straciłem wszystkie moje oszczędności i miałem 4000 rubli długu. Został mi w kieszeni tylko jeden rubel, szczęśliwy rubel z pierwszego zarobku w Sagajsku, mój talizman. W styczniu dopiero w jednym szurfiu trafiliśmy na dobre złoto. To już ja się domyśliłem, gdzie leżą główne jego pokłady. Namówiłem dwunastu robotników, by na razie prowadzili poszukiwania bezpłatnie, a sam wyjechałem do Minusińska w poszukiwaniu pieniędzy. Wszyscy zwątpili w moje złoto, dużo zaznałem upokorzeń, jeden tylko Teofil Chmielewski uwierzył mi i pożyczył 2000 rubli. Następny 1885 rok przyniósł sukces, bo napłukanego złota było na 52 000 rubli. Jak się mówi, pieniądź przyciąga pieniądź. Obok kopalni złota prowadziłem jeszcze jeden dobry interes – salinę. Dawała duży dochód, ale z początku były kłopoty z

robotnikami. Nie znali mnie, człowiek dla nich bez autorytetu. Raz, pamiętam, przychodzą do mnie w środku dnia i powiadają:

– Dziś będzie *kriuczok!* Wiecie, co to *kriuczok?* To kubek na długim metalowym drążku, żeby łatwiej było zaczerpnąć nim z wiadra czy beczki. Raz w tygodniu, w sobotę, w kopalniach złota robotnikom wydawało się wódkę tym właśnie *kriuczkom*.

– Nie – mówię – nie będzie. Dziś jest środa.

– To nic, że środa, a ty dasz!

– Nie dam. W sobotę dostaniecie.

– To my ciebie zabijemy!

E, myślę sobie, to nie przelewki. Przede mną tłum niesforny, bujny napiera. Co robić? A obok stał żelazny drążek do zamykania okiennic od wewnątrz. Chwyciłem go, zgiąłem w rękę przez pół, następnie skręciłem w korkociąg i rzuciłem im w tłum.

– Widzieliście? No, to chodźcie! Kto pierwszy? Tłum zakołysał się i powoli zaczął się wycofywać ku wyjściu...

Tak po ćwierćwieczu wyszedłem na bogacza. Mam kopalnię złota, salinę, sklep i dom w Minusińsku. W życiu rodzinnym poszczęściło mi się także – kochana, dobra żona i siedmioro zdrowych udanych dzieci, pięciu synów i dwie córki, wszyscy po szkołach. Rodziców sprowadziłem do siebie, żyli z nami w spokoju i dostatku dwadzieścia lat, ojciec zmarł w wieku 91 lat. Jestem radnym miejskim, prezesem oświaty ludowej, opiekunem gimnazjum żeńskiego,

członkiem komitetu Muzeum w Minusińsku, największego muzeum, dumny jestem, że byłem przyjacielem Martianowa, który stworzył ten „cud Syberii”... To wszystko.

– Ładny bilans życia, daj Boże każdemu – rzekł ksiądz Leonard.

– A co to za „cud Syberii”, proszę pana? – spytał Bronisław.

– To Martianow. Krystalicznie czysta dusza oddana nauce. Przybysz z Wileńszczyzny, prowizor apteki w Minusińsku, zaczyna zbierać rośliny, kamienie, przedmioty starożytnej kultury itd., przyciąga do tego nauczycieli, mieszczan, chłopów, zaczynają mu znosić różne przedmioty znalezione na powierzchni ziemi lub w głębi. Martianow odbywa wyprawy naukowe, w ciągu całego swego życia penetruje olbrzymie połacie kraju. Jednocześnie pomaga rolnictwu, pokazując nowe, ulepszone gatunki pszenicy – kubankę, białoturkę, usankę amerykańską czy arnautkę. W końcu zwraca się do rady miejskiej z prośbą o zbudowanie muzeum. Zbudowano piękny gmach i w nim umieszczono jego 65 000 eksponatów. Posyła część zbiorów na wszechrosyjską wystawę w Niżnim Nowgorodzie w 1896 roku i na światową wystawę w Paryżu w 1900 roku, budzą one powszechne zainteresowanie, otrzymują nagrody. Jego działalność pomogła w rozwoju muzealnictwa w całej Syberii. Obecnie nie ma w Rosji, a może i w Europie, uczonego naturalisty, który nie znałby nazwiska Martianowa i jego muzeum na Syberii, w małym miasteczku powiatowym

Minusińsku.

– Może to przyjaźń z Martianowem i z ludźmi jego pokroju zatrzymują pana w Minusińsku? – zastanowił się ksiądz.

– Nie. Wrócić do kraju mogłem dopiero w 1888 roku, po amnestii i zrównaniu w prawach. A wtedy właśnie był rozkwit u mnie w złotym interesie i w salinie. Poczekam z tym, pomyślałem, za dziesięć lat zdobędę duży majątek i wrócę z nim do kraju. I tak się odwlekało z roku na rok, to jeden interes trzymał, to drugi. Po drugie, nie będę ukrywał – ja kocham Syberię. Pokochałem jej przyrodę, bezmierne przestrzenie i rzeki, majestat dziewiczej tajgi i Gór Sajańskich, i klimat, surowy, lecz zdrowy, i Sybiraków, ludzi twardych, ale szczerych... Za dwa, trzy lata wrócę na pewno do kraju. Wrócę z duszą rozdwojoną. Wiem, w Polsce tęsknić będę za Syberią.

– No, tęsknić to ja nie będę, za mocno powiedziane – zauważył ksiądz Sierpiński. – Ale zawsze będę wspominał tutejszą ludność dobrym słowem. Nie odczuwałem wokół siebie wrogości, przeciwnie, mimo różnic wiary. A u nich wiara, to jak u Żydów, jest rzeczą zasadniczą.

– Zważcie, panowie, tę tolerancję narodu rosyjskiego, która daje mu niesłychaną siłę przyciągania, siłę asymilacji. Nie dziwię się, że, powiedzmy, Hakas Sajłotow ciągnie ku kulturze rosyjskiej jak ćma do lampy. Albo weźmy Scherzingerów. Oni już dawno zapomnieli, że pochodzą z Wielkiego Księstwa Badeńskiego, z prowincji Schwarzwald.

Żona moja słowa po niemiecku nie umie, tylko *pater noster*, jest Sybiraczką wyznania katolickiego. Niemcy już w drugim, pokoleniu stają się Rosjanami, jakkolwiek mają wielką kulturę i literaturę, przodują w przemyśle i handlu. Tak samo Szwedzi, Francuzi i inne narody. A nas od Rosjan dzieli rząd carski! On wmawia swoim, że Żydzi, Polacy i cykliści to najwięksi jego wrogowie, a nas trzyma w niewoli i sieje nienawiść, dławiąc każdy odruch swobody... Czy nie tak, młody człowieku?

– Tak, to prawda. Ale jeśli chodzi o mnie, to ja przestałem nienawidzić Rosjan po katordze. Na katordze spotkałem pięknych Rosjan, którzy siedzieli przede mną. To nas zrównało. A przedtem to mi oczy bieleły z nienawiści na widok każdego Rosjanina.

– Jak pan pozbył się tego?

– To długa historia, musiałbym opowiedzieć całe moje życie.

– A wie pan, ja bym chętnie posłuchał, jak rośnie teraz i czym nasiąka młode pokolenie.

– Mówiłem już księdzu...

– E, tym się nie wykręcaj, mój kochany. Mówiłeś mi ogólnie, piąte przez dziesiąte, a nie żebym zrozumiał. Żeby zrozumieć cudze życie, musimy niejako wejść w nie od środka. Więc zrób to teraz, jeśli łaska.

– Wielce byłbym szanownemu panu wdzięczny za takie wprowadzenie mnie w życie i pragnienia współczesnego Polaka.

– Od początku, jakie miałem dzieciństwo?

– Tak, tam dopiero, jak rzeka w górach, nabiera życie rozpędu i kierunku.

– Dzieciństwo moje, proszę panów, jak wspomniałem, upłynęło w klimacie antyrosyjskim. W naszym środowisku żyła pamięć powstania 1863 roku. Ludzie, którzy wrócili z Syberii, opowiadali straszne rzeczy. Po cichutku śpiewano:

Pojedziemy na Sybir etapem, etapem,

z brodatym kozakiem, z kozakiem...

na melodię „*Miała baba koguta...*” Wszystko, co rosyjskie, było z gruntu złe. We wszystkich anegdotach, kawałach, historyjkach, jakie sobie opowiadano, Moskal wychodził jak ostatni idiota. Naród zwyciężony i poniżany, instynktownie szukając jakiejś samoobrony psychicznej, znajdował w tym pewną rekompensatę.

Przychodził do nas pan Stanisław, były powstaniec, który po przegranej bitwie schronił się w stogu siana. Kozacy, macając siano pikami, przebili mu nogę na wylot, ale pan Stanisław ani się poruszył, ani jęknął – był przyjmowany u nas jako relikwia narodowa.

Do tego klimatu dołożyła swoje trzy grosze szkoła. Ojciec oddał mnie z początku, kiedy miałem siedem lat, do szkoły miejskiej. Przyjęcie, jak mówiono w domu, nie obeszło się bez łapy. Nauka polegała na tym, że nauczyciel, zruszczony Niemiec, zadawał stąd dotąd z podręcznika, niczego nie tłumacząc. Zabroniono uczniom w szkole rozmawiać między sobą po polsku, za to było bicie po

łapach, a nawet po pysku. Zwykła niechęć do nauki przybrała formę patriotyzmu. Pierwszym aktem tego patriotyzmu było obujac nauczyciela.

Mój ojciec pochodził ze zubożalej szlachty zagrodowej. Prowadził zakład tapicerski z majstrem i kilkoma robotnikami. Żyło się nam wtedy, na Złotej, skromnie, ale bez biedy. Starczało na kształcenie, oprócz mnie, młodszej o dwa lata siostry, Halinki. Uczyłem się dobrze, nie przysparzając ojcu żadnych kłopotów.

Kochałem matkę, lubiłem i szanowałem ojca, bo w wolnych chwilach ze mną rozmawiał, pobawił się, dał zabawkę. Największą radość, jaką mi ojciec sprawił na Gwiazdkę w siódmym roku życia, było to, że kupił cztery tomy bajek Glińskiego, potem Grimma. Wcześniej nauczyłem się czytać i brałem książki z wypożyczalni. A z ojcem, jak podrosłem, to w każdą niedzielę i święta, jeżeli pogoda dopisała, chodziliśmy na wycieczki. Ojciec kupował w sklepiku kielbasę albo serdelki, chleb, ser i włączyliśmy się po okolicach Warszawy. Bywaliśmy i na Saskiej Kępie. Z Bednarskiej ulicy łódką zą parę kopiejek przewozili nas na drugi brzeg. Saska Kępa była wtenczas słabo zaludniona, stały tam pojedynczo domy z ogrodami owocowymi. Właściciele tych domków brali za wpuszczenie do ogrodu 3-5 kopiejek, można było najeść się owoców, ile dusza pragnie, byle nie wynosić. Wybieraliśmy się niekiedy i na ryby, które najlepiej brały z galer zakotwiczonych przy brzegu.

Mieszkaliśmy najpierw na Złotej pod ósmym, a pod

czwartym mieszkał hrabia Dąbski. Pewnego dnia, pamiętam, wyszedł na balkon i zaczął strzelać ze sztucera do przechodniów. Doskonale strzelał – na dwie strony, na Marszałkowską i na Zgodę. Kto się pokazywał w przelocie tych ulic – padał. Zamknięto te ulice. Jak się policja dobijała do niego, to strzelał przez drzwi. Próbowali go rozbroić w różny sposób. Straż pożarna z sąsiedniego dachu oblewała silnym strumieniem wody. Na próżno. To trwało kilka dni. W końcu musieli go postrzelić, drzwi wylamali i w kaftanie bezpieczeństwa powieźli do domu wariatów w Tworkach.

W roku 1893 zdałem celująco do pierwszej klasy gimnazjum.

Kiedy miałem dziesięć lat, w 1894 roku, zobaczyłem cara. Już od godziny ósmej wyprowadzono nasze gimnazjum w Aleje Ujazdowskie róg Pięknej, dano nam rosyjskie chorągiewki trójkolorowe i ustawiono szpalerem po obu stronach Alej Ujazdowskich, jak wszystkie szkoły Warszawy. Trzymano nas tak bez jedzenia do godziny piątej. Mikołaj przeleciał trójką koni pełnym galopem z Dworca Petersburskiego (Wileńskiego) na Pradze i mknął Alejami prosto do Belwederu. Krążyły pogłoski, że na placu Aleksandra (plac Trzech Krzyży) na terenie browaru Habermuscha zrobiono podkop na maszynę piekielną. Miała wybuchnąć, kiedy car będzie przejeżdżał. Faktem jest, że żandarmeria zrobiła mnóstwo rewizji w tej okolicy. Potem car był w teatrze. Teatr i gmachy rządowe były iluminowane, a na chodnikach paliły się, jak zwykle w dni carskie, łożówki

w doniczkach, tak zwane „carówki”. Wtedy pierwszy raz, na zmęczonych dziewięciogodzinnym oczekiwaniem nogach, z kieszeniami wypchanymi piaskiem, wyszedłem na nielegalną robotę – gasiłem „carówki”. Obejrzałem się, czy nie ma gdzie stróża albo umundurowanego Moskala – przechodniów się nie bałem, swoi ludzie, oni się tylko śmiali – i piachem szust w doniczkę, zgasła, szust w drugą, zgasła, i tak dalej, póki piachu wystarczyło w kieszeniach.

W styczniu 1898 roku zbudził mnie w nocy brzęk ostróg. Przyszli żandarmi, zabrali ojca nie zważając na rozpaczliwe prośby matki. Oficer uspokajał: „Niech się pani nie niepokoi, mąż wkrótce wróci do domu”... Rzeczywiście po trzech miesiącach ojca wypuścili, ale wypuścili chorego. Podczas aresztowania, gdy go lekko ubranego wieźli do Cytadeli, ojciec przeziębził się i dostał zapalenia płuc. Wrócił z Cytadeli umierający. Zmarł mając 34 lata. Za co ojca aresztowano, nie wiedzieliśmy, i to wcale nas nie dziwiło, że nie wiadomo, za co zniszczono nam ojca – wydawało się to normalne. Snuliśmy różne domysły. Ojciec znał Stamirowskiego, który robił harmonie, miał warsztat i grupował wokół siebie ludzi. Może był łącznikiem jakiejś organizacji? Może chcieli od ojca czegoś się więcej dowiedzieć o Stamirowskim – nie wiem. Bolesnie odczułem śmierć ojca. Straciłem starszego przyjaciela i opiekuna.

Zaopiekował się nami brat matki, który był prokurentem banku, dobrze prosperujący kawaler. Zobowiązał się płacić gimnazjum za mnie i za Halinkę. Zakład matka

wydzierżawiła majstrowi i przeniosła się do tańszego mieszkania na ulicy Dzikiej. Było to zupełnie inne środowisko, drobnych kupców i rzemieślników żydowskich. Okazało się jednak, że z Żydami można żyć, a ja się przekonałem, że można grać i kolegować się z chłopcami żydowskimi.

Dla charakterystyki mojej w tym okresie przytoczę jeden drobny wypadek. Na sąsiedniej ulicy królował jeden stawiak, chojrak, jak nazywaliśmy go, w moim wieku, czternaście lat – każdego chłopca, który mu się nie podporządkował, bił. Pewnego popołudnia wybrałem się tam. Przeszedłem się niespiesznie spacerkiem przez ulicę, raz i drugi. On podszedł:

– Kto ci pozwolił spacerować po mojej ulicy?

Ja go z miejsca uderzyłem. Zwalił się. Kopnąłem dwa razy i odszedłem w stronę ulicy Dzikiej. Chłopcy z tamtej ulicy okrzyknęli mnie królem, ale ja nie chciałem. Zrobiłem to jedynie w tym celu, żeby sprawdzić siebie.

Z tych lat na zawsze została mi w pamięci Bitwa pod Patelnią. Patelnią nazywano werandę kawiarni „Sans-Souci” w Alejach Ujazdowskich. Na godzinę szóstą 29 kwietnia PPS wyznaczyła pochód pierwszomajowy pod pomnik Mickiewicza. W Alejach Ujazdowskich zgromadziło się ponad dwadzieścia tysięcy uczestników pochodu. Śpiewano „Warszawiankę”. Przy rogu Pięknej zastąpili drogę kozacy. Wpadli z impetem na Patelnię. Z Patelni posypały się na nich kubki, talerze, filiżanki, szklanki... Kozacy dobyli nahajów i

zaczęli chłostać publiczność, która wyłamała sztachety do ogrodu Doliny Szwajcarskiej i przez drugie ogrodzenie wydostała się na ulicę. Tego dnia było 2600 aresztowanych i oberpolicmajster został ranny przy próbie odebrania czerwonego sztandaru... Byłem w tłumie przy tych zajściach, uciekałem ze wszystkimi gryząc palce z wściekłości. Poprzysiągłem sobie, że nauczę się bić, będę silny, dorosnę, to ja im pokażę!

Pojedykowałem się z chłopcami drewnianymi szablami. Sztuka krzyżowa! Potem chodziłem do szkoły gimnastycznej na Nowym Świecie i do szkoły Majewskiego, gdzie za 15 kopiejek uczyli fechtunku. Coś z tego zostało do dziś – nikt mnie kijem nie uderzy.

W 1901, roku zdałem maturę. W trzy miesiące później zmarł nasz wuj opiekun, prokurent. Majster nie wydzierżawił zakładu na rok następny, postanowił prowadzić go na własne nazwisko. Zostałem jedynym żywicielem matki i siostry.

Po długich staraniach udało mi się dostać do Cedergrena na pomocnika montera. Cedergren to była firma szwedzka, która zakładała wówczas telefony w Warszawie. Zarabiałem wtedy pięć rubli tygodniowo. Dla porównania powiem, że inżynier u Cedergrena zarabiał 60 rubli, a telefonistka 15, potem 18 rubli.

– To nam jeszcze nic nie mówi – powiedział ksiądz. – Porównanie będzie, kiedy dowiemy się, co za to można kupić.

– Właśnie, jakie były ceny – podchwycił pan Narcyz. –

Ile płaciło się za mieszkanie, za obiad, za buty?

– Za pokój przy rodzinie płaciło się 8-10 rubli miesięcznie, za mieszkanie dwupokojowe 15 rubli. Obiad domowy kosztował 20 kopiejek, a w restauracji u Wróbla na Mazowieckiej 50 kopiejek. Kolacja, kotlet schabowy, 15 kopiejek, i piwo 7 kopiejek, to 22 kopiejki, i chłopakowi 3 kopiejki, razem 25 kopiejek. Mięso wołowe – 15 kopiejek funt, funt szynki 25-30 kopiejek. Kamaszki 2-3-5 rubli. Garnitur 20-40 rubli. Gazeta 1 kopiejka. Serdelki 3 kopiejki, czyli 6 groszy.

Z początku robiłem ze starym majstrem, który wszystko wykonywał sam i nie dopuszczał do fachu. To samo z napiwkami, brał wszystko sobie. Majster dostawał ekstra od klienta za szybkie założenie telefonu, ale ze mną się nie dzielił. Wszystko się zmieniło, kiedy stary zachorował i na jego miejsce przyszedł młody, Weiss. Ten wszystko pokazywał i objaśniał, ja mu mogłem pomóc, robota szła prędzej na cztery ręce, tak że robotę dzienną kończyliśmy w pół dnia i szliśmy na odpoczynek do Ogrodu Saskiego, gdzie on odpalał mi coś z tego, co dostał. Napiwki należały do rzeczy ogólnie przyjętych. Kiedy przychodziliśmy z rana po skierowania, to monterzy z pomocnikami chwalili się, kto gdzie ile dostał. Przede mną otwierała się możliwość awansu na montera, ale wszystko rzuciłem i poszedłem w rewolucję.

U Cedergrena pracowała telefonistka Franka Wardyńska. Pewnego dnia odprowadziłem ją do domu, ona zaprosiła do siebie i zapoznała z bratem Lucem Wardyńskim.

Był studentem wyższej szkoły handlowej, bardzo przystojny, lat 22, ale miał już wąsy. Poważny. Przejęty sprawą wyzwolenia klasy robotniczej. Od razu przypadliśmy sobie do gustu. Chodziłem z nim na spacerunki po Warszawie, uświadamiał mnie. Dawał lektury. Przeczytałem Bebla „Kobieta i socjalizm”, Młota „Kto z czego żyje”, Mazowieckiego „Historię ruchu rewolucyjnego w zaborze rosyjskim”, Kautskiego „Program erfurcki”... Luc Wardyński nie był ortodoksem partyjnym, sam należał do „Proletariatu”, ale nie zamykał nam drogi do innych partii. Starał się przede wszystkim rozwinąć naszą świadomość i umocnić naszą postawę rewolucyjną. Rzadko spotykana tolerancja i szerokość cechowała całe nasze kółko Wardyńskiego, bo należałem już do niego razem z Waławem Jeziorowskim, Rudnickim, Grabowskim, Tockim, Połamańcem, Jurgielewiczem i innymi: jesteśmy jednym z nurtów ludu polskiego, idziemy różnymi drogami, ważne, że należysz do nas, kiedy walczymy o socjalizm... Rewolucja była jeszcze marzeniem, w marzeniu widzieliśmy się wszyscy jednakowo równi i potrzebni.

W tym czasie zetknęliśmy się z innym ruchem, któremu przewodził Edward Abramowski, zakładając w środowisku młodzieży robotniczej i studenckiej tak zwane Koła Etyków. Zwolennicy Abramowskiego odrzucali istnienie w socjalizmie państwa, gdyż państwo, mówili, z natury swej było, jest i będzie tworem złym. Nie uznawali walki politycznej, natomiast drogę przemian socjalistycznych

widzeli w kooperatyźmie, w niezliczonych między sobą powiązanych spółdzielniach spożywczych, spółdzielniach pracy, rolnych, kredytowych itp., co stwarzało istnienie swoistej rzeczypospolitej kooperatywnej. Twierdzili, że ponieważ socjalizm duchowo i moralnie będzie formacją wyższą od kapitalizmu, to tworzyć go będą mogli ludzie moralnie lepsi, toteż kładli szczególny nacisk na przygotowywanie siebie, by być lepszym i duchowo bogatszym. My nazywaliśmy ich „pięknoduchami” i zwalczyliśmy jako osłabienie ruchu rewolucyjnego. Zwykle chodziliśmy w trójkę na zebrania Koła Etyków, Wardyński, Jurgielewicz i ja. Czytaliśmy Abramowskiego i przygotowywaliśmy kontrargumenty. Wybiegając naprzód, powiem, że te koła, rozpadły się nie tyle na skutek naszych ataków, ile pod uderzeniem fali rewolucji – „pięknoduchom” wydało się niemoralne i tchórzliwe pozostanie na uboczu, toteż większość z nich przyłączyła się do nas.

Tak trwało około roku. Tak, to znaczy czytaliśmy i dyskutowaliśmy tylko w swoim kręgu i w Kołach Etyków, sposobiąc się do działalności rewolucyjnej. Aż rozległy się strzały Kasprzaka na Dworskiej. 27 kwietnia to się stało. Marcin Kasprzak należał do socjaldemokracji, która nie stosowała terroru, jednak kiedy przyszli żandarmi po niego do nielegalnej drukarni partyjnej, to stawiał im opór, kilku z nich zabił i sam został ciężko ranny. Może by tego nie zrobił, gdyby w PPS-ie nie pomawiano go o prowokację – chciał krwią żandarmów i swoją własną zmyć tę hańbę.

Strzały Kasprzaka odbiły się głośnym echem po całej Warszawie. U nas na stacji telefonicznej i w kantorze głośno o tym rozmawiano, kto strzelał i dlaczego. Zaznaczyła się większa aktywność partii rewolucyjnych. Pomagałem odbijać na hektografie proklamacje pierwszomajowe. Rozlepialiśmy je w rejonie między Marszałkowską i Towarową, między Alejami Jerozolimskimi i Chłodną, wśród drobnych fabryczek i sklepów kolonialnych. Część rozdawaliśmy raniutko robotnikom fabryk Normana, Wolanowskiego, Cedergrena i warsztatów kolejowych, wreszcie wrzucaliśmy do skrzynek przy drzwiach. Po raz pierwszy pojechałem kolejką markowską, tak zwaną ciuchcią, na majówkę partyjną. W Markach wysiedliśmy, ktoś skierował nas do lasu, w lesie zebrało się kilkadziesiąt osób. Rozwinęliśmy czerwony sztandar, jeden z mówców wygłosił przemówienie okolicznościowe, potem były deklamacje, pamiętam, ktoś pięknie deklamował „Tkaczy” Heinego, i ja mówiłem „Czegóż chcą”. Śpiewano „Czerwony Sztandar”, „Warszawiankę”, „Na barykady” i „Zazieleniał maj uroczy, zazieleniał bór i gaj...” Pierwszego maja 1904 roku chodziłem z czerwoną kokardką po Krakowskim Przedmieściu.

Na Wszystkich Świętych PPS urządziła demonstrację przeciwko wojnie rosyjsko-japońskiej. Wezwano kozaków, rozległa się strzelanina, było 49 zabitych i rannych. Mnie przy tym nie było. Akurat Oldek Jurgielewicz poprosił, żebym pomógł mu przewieźć drukarnię z Powiśla na Żurawia

– fatalne mieszkanie na tej Żurawiej, ale o tym później.

Nowy rok 1905 zaczął się złowieszczo dla cara. Szóstego stycznia, na Jordana, w czasie prawosławnego obrzędu poświęcenia wody, nad Newą oddano salut artyleryjski i jeden pocisk okazał się ostry. Pocisk przeleciał nad głową cesarza, nad głowami świty carskiej, uderzając w Pałac Zimowy. Kto strzelał – nie wiadomo.

A w niedzielę dziewiątego stycznia przyszedł pod pałac carski pochód ludu z popem Haponem na czele, prosząc pokornie o wysłuchanie ich prośb i żalów. Wojsko zaczęło strzelać. Padło około tysiąca zabitych i dwóch tysięcy rannych. W odpowiedzi na to ogłoszono strajk generalny, zastrajkowała kolej w całej Rosji i w Polsce. Proklamowanie strajku dotarło do Warszawy w końcu stycznia. 27 stycznia zastrajkowało całe miasto, tramwaje nie chodziły, wszystkie sklepy pozamykano. Na Nowym Świecie, gdzie mieściła się rosyjska kooperatywa oficerska, męty rozbiły okno i wdarły się do środka, ale organizacje robotnicze z miejsca ukróciły próbę rabunku, wrzucając z powrotem przez okno część zrabowanych towarów. Warszawa robiła niesamowite wrażenie. W nocy panowały ciemności. Tylko słyhać było strzały patroli wojskowych. Ogłoszono stan wojenny. Piekarnie nie pracowały. Było krucho z chlebem. Poszedłem aż do Włoch i chleb przyniosłem z narażeniem życia, bo patrol na Żelaznej mnie ostrzelał. W Warszawie było około stu zabitych. „Proletariat” zorganizował piekarnie na Mokotowie. Chleb rozdawaliśmy robotnikom bez względu na

przynależność partyjną, ale wyłącznie robotnikom. Pamiętam, dziewczyny rozdawały talony, między innymi Marysia Mrozińska, wówczas uczennica szkoły teatralnej, osiemnaście lat, bardzo ładna, dzielna, gustownie ubrana, teraz gwiazda „Momusa”... Ja, Marysia i jej koleżanka, Janka Cholewińska, chodziliśmy po mieszkaniach, sprawdzali i wydawali talony. Gdzieś na Rakowieckiej, gdzie stały domki półwiejskie, wchodzimy do jednego mieszkania – na łóżku leży młody mężczyzna w rozchełstanej koszuli, a na stole stoi butelka wódki. Chcieliśmy się wycofać, wtedy on zerwał się z łóżka, złapał nóż i do nas, żebyśmy mu dali talony na chleb. Ja mu wtedy przystawiłem brauning do nosa, od razu zmiękł. Wszyscy czuli szacunek do organizacji bojowych... Nieraz wykorzystywałem Mrozińską jako „dromadera”, do przenoszenia ładunków partyjnych, jak proklamacje i broń, a pistoletu wtedy użyłem pierwszy raz.

Pistolet otrzymałem od Oldka Jurgielewicza. Poszedłem z nim na daleką wycieczkę podmiejską w okolice Natolina, gdzie jego wuj administrował zapuszczonym majątkiem. W starym domu znajdowały się wielkie piwnice i tam myśmy urządzili sobie strzelnicę. Właśnie Oldek odkrył mój talent strzelecki. Za pierwszym razem trafiłem i później rzadko kiedy chybiałem celu, w ogóle obchodziłem się z pistoletem, jak ze starym znajomym. Olgierd nie chciał wierzyć, że nigdy broni w ręku nie miałem. Do tego dworku wybieraliśmy się jeszcze nieraz na ćwiczenia strzeleckie.

Czwartego lutego Kalajew zabija bombą w Moskwie

wielkiego księcia Sergiusza. Wiadomość o tym zrobiła wielkie wrażenie w Warszawie. Między innymi krążyła gadka, jakoby jakaś starowinka podeszła do żandarma w miejscu zamachu:

– Powiedz, gołąbku, co się stało. Zdaje się, że kogoś zabili?

– Przechodź, babciu, przechodź. Kogo trzeba, tego i zabili.

A u Cedergrena, po dwutygodniowym przeszkoleniu, awansowałem na montera. Dobrałem sobie do pomocy bystrego chłopaka, z którym dzieliłem się napiwkami; od nas zależało, kiedy kończymy dzień pracy. Zarabiałem teraz 35 rubli, i Halinkę, która miała tylko sześć klas gimnazjum, urządziłem na posadzie telefonistki. Matce oddawałem całą pensję, na swoje wydatki zostawiając same tylko napiwki, a Halinka zostawiała sobie trzy ruble, tak że matka, dostając od nas 50 rubli na utrzymanie, odetchnęła z ulgą: – „Wydostaliśmy się z biedy, dzieci moje...” Byłem najmłodszym i jedynym monterem z maturą. Opinię miałem znakomitą. Pewnego razu zakładaliśmy telefony w mieszkaniu prezesa spółek akcyjnych, gruba ryba, raczył zajrzeć, porozmawiać ze mną, potem telefonicznie podziękował szefowi, że przysłał tak inteligentnego i zręcznego pracownika, jeśli wszyscy są na takim poziomie, to gratuluje... Szef, przekazując mi to, nadmienił: – „Pańska inteligencja i bystrość windować pana mogą do inspektoratu sieci, proszę o tym pamiętać...” Może coś wiedział o moich

powiązaniach z ruchem rewolucyjnym i w ten sposób chciał ostrzec, bo inspektorat sieci to dwaj zastępcy po 60 rubli każdy i sam inspektor 100 rubli miesięcznie.

W kwietniu Oldek przyszedł jak zwykle do tego mieszkania, na Żurawiej, dokąd przenieśliśmy drukarnię. Otworzył z klucza drzwi, a tam już czekali na niego żandarmi. Oldek strzelił, żandarm odpowiedział i ranił go śmiertelnie. Przywieźli Oldka do Szpitala Dzieciątka Jezus, gdzie zmarł. Ojciec był urzędnikiem magistrackim, pozwolili więc pochować pod warunkiem, że żadnych demonstracji nie będzie, i partia to przyrzekła. Ciało wydano ze szpitala około godziny piątej rano, wtedy też kondukt pogrzebowy wyruszył pustymi ulicami Warszawy pod eskortą policji, nieliczni niby przechodnie zdejmują czapki i przyłączają się do niewielkiego grona odprowadzających. Pochód idzie dalej milczący, bez muzyki, bez śpiewu, niemy, po bokach policjanci – to robi niesamowite wrażenie, przyłączają się coraz to nowe i nowe grupki ludzi, tak że kiedy kondukt przybył do cmentarza Powązkowskiego, było już kilkaset osób. W całkowitej niemocie postawiono trumnę nad otwartą mogiłą i wtedy ja w grobowej ciszy narzuciłem na trumnę czerwony sztandar. Szpicle rzucili się do mnie, bo ja się tym zdradziłem, że należę do partii. Chcieli mnie aresztować, ale ja się cofnąłem, towarzysze wzięli mnie między siebie – policja zachowała się dziwnie biernie, bo, jak się okazało, postanowiła wziąć mnie w domu.

Pochód pierwszomajowy organizowany był wspólnie

przez PPS, SDKPiL i „Proletariat”. Zebraliśmy się na placu Witkowskiego, bo wszystko odbywało się przeważnie w rejonie ulic Srebrnej i Żelaznej. Do naszego pochodu, który szedł ulicą Żelazną w stronę Alej Jerozolimskich, przyłączali się różni ludzie i bratnie organizacje. Na transparentach widniały hasła: „Niech żyje Pierwszy Maj!” i „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!” Pochód liczył kilka tysięcy osób. Ja, należący do „Proletariatu”, szedłem obok moich sztandarów, transparentów, i towarzyszy. Przed nami na czoło pochodu wysunęła się PPS. Widziało się dużo dzieci i kobiet, bo dzień był ładny. Kiedy pochód doszedł do Alej Jerozolimskich i skręcił w Marszałkowską, przeciął nam drogę oddział wojska. Kawaleria... W pochodzie powstało zamieszanie, jedni uciekali, drudzy powstrzymywali, „stać, nie bójcie się”, „nic nam nie będzie”... Zagrały trąbki. Mając przy sobie broń, starałem się z kilkoma towarzyszami przepchać do przodu. A tłum popycha, ucieka, śpiew się rwie, jeszcze jedni śpiewają, drudzy już krzyczą. Wtem rozlegają się salwy. Jedna, druga, trzecia... Dużo ludzi pada. Biegną w stronę rogatek. Ja uciekam w stronę placu. Czuję, że noga mi drętwieje. Patrzę, krew. Krwawe ślady zostawiam na chodniku. Skręcam w bramę. Siadam na schodach – cała skarpetka we krwi. Bólu nie czuję. Stróżka zauważyła mnie, przyniosła ręcznik. Okazało się, że dostałem postrzał w nogę. Ciekawy postrzał: wejściowy ślad kuli na kość, kość jednak nie ruszona, wyjściowa rana dość duża na łydce z tyłu. Zabandażowałem nogę, dokuśtykałem się do dorożki i

pojechałem do ciotki, która mieszkała w pałacu arcybiskupim na Miodowej, gdzie wynajmowała pokój u jego lokaja. Po dziesięciu dniach czułem się dość dobrze i zacząłem wychodzić.

W odpowiedzi na salwy do tłumu pierwszego maja PPS odpowiedziała aktem terroru i rzuciła bombę na Marszałkowskiej między Chmielną a Alejami na wyjeżdżający patrol kozaków. Wybuch był straszny. Części ciał ludzkich i koni wisały na drutach.

Działalność partii niepomierne wzrosła. Wszystkich ogarnął jakiś stan podniecenia, stan gorączkowy. Nie było dnia bez burzliwych wydarzeń. Robotnicy domagali się ośmiogodzinnego dnia pracy, podwyższenia płac, lepszych warunków pracy... Partia starała się kierować tym ruchem, ale strajki wybuchały spontanicznie, dziko. Często wywoziło się majstrów na taczkach, nie zawsze sprawiedliwie. Obie strony odwoływały się do partii. Partia posyłała tam swoich ludzi i ci załatwiali zatarg.

Posyłali ludzi z obstawą, ja byłem w takiej obstawie. Na przykład w fabryce Konrada Jarnuszkiewicza część robotników chciała strajkować, część nie chciała. Kiedy myśmy tam przyszli, fabrykant chciał dzwonić po policję – ja zerwałem telefon. W jednej garbarni występowała Róża Luksemburg, myśmy ją osłaniali. Na Szulcowiźnie czy na Pelcowiźnie były wielkie składy naftowe Nobla. Robotnicy zwrócili się do partii z prośbą o pomoc w zorganizowaniu strajku. Partia posłała Gutka i dwóch dla ochrony, mnie i

Jerzego Kiłaczyckiego. W czasie wiecu, kiedy Gutek z beczki przemawiał, ktoś krzyknął: „policja!” Robotnicy powiedzieli, żebyśmy wyszli boczną furtką, i poprowadzili nas. Wtedy administracja, żeby nas złapać, spuściła ze smyczy ogromne duńskie dogi. Wszyscy puciekali przed nimi, kto mógł, drapał się wyżej, a te psy poszły za nami. Posesja była duża, do parkanu jeszcze daleko, a psy tuż-tuż... Kiłaczycki krzyknął: „Stać!” Kiedy się psy zbliżyły, tośmy je zastrzelili. Robotnicy potem opowiadali, jak administrator, Szwed czy Niemiec, żałował, wołałby spełnić wszystkie żądania załogi niż stracić te psy... Nawiasem mówiąc, Kiłaczycki „udzielał mi początków” w robocie terrorysty, razem wysadzaliśmy stację Cedergrena na Królewskiej, potem zabił Iwanowa, dyrektora kolei warszawsko-wiedeńskiej, siedział w więzieniu i, słyszałem, był jednym z Dziesięciu z Pawiaka, wykradzionych na rozkaz PPS przez Jura Gorzechowskiego w przebraniu rotmistrza żandarmerii.

Na świętego Jana Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie urządziło wianki, byłem na wiankach z matką i siostrą, wracaliśmy dorożką. Na rogu Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej wyskoczyłem nagle z dorożki, jakby mnie co wyrzuciło. Matka była zdumiona: „Bronku, co się stało?” Pomachałem im ręką, że nic się nie stało, jedźcie sobie dalej, i poszedłem do Wardyńskiego. Tej samej nocy policja przyszła do mnie do domu, szukała mnie od czasu pogrzebu Oldka Jurgielewicza, jak się nazywam i gdzie mieszkam... Od tego czasu przeszedłem na nielegalne życie.

A co do samego przeczucia, muszę wyznać, że potem nieraz ostrzegało o niebezpieczeństwie. Powiedzmy, tego samego lata, u znajomych w mieszkaniu rozmawialiśmy, nagle mówię „do widzenia” i wstaję. Zatrzymują, ja nie i nie, nie mogę. Wyszedłem. A w kwadrans potem przyszła policja. To się sprawdziło wiele razy. Niedawno, na przykład, kiedy podczas zamieci śnieżnej, zabłądziwszy, podjechałem do nieznanej zagrody, tknięty tym samym impulsem, wiedziałem – tu grozi nam śmierć. Istotnie, trafiliśmy do gniazda zbójców. Chcieli nas zamordować, ale ja czuwałem i dzięki temu uratowaliśmy się. Wiem na pewno, że ten instynkt czy też wycucie niebezpieczeństwa istnieje we mnie, nie wiem jednak, jak on działa i dlaczego niekiedy nie działa. Tej zimy, na przykład, gdy rozebrałem się na mrozie i zaszyłem w futra, nic mnie nie ostrzegło, spałem w najlepsze, a w nocy wilki na nas napadły, cała wataha, konia zagryzły, cudem ocaleliśmy...

A więc przechodząc na nielegalną stopę życia, musiałem wszystko stare zmienić i mieć nowe – nazwisko, mieszkanie, posiłki... Znikł Bronisław Najdarowski, powstał Janusz Muszkiet, mieszkał z robotnikami przy szynku na Srebrnej albo u przygodnych znajomych, najczęściej u pewnej rodziny żydowskiej na Walicowie, spotykał się z Wacławem Jeziorowskim, przedstawicielem komitetu centralnego, w barze Waldschleksena na Jasnej, i od niego otrzymywał polecenia. Był zawsze do dyspozycji. Ludzie w Warszawie wtedy żyli dzielnicowo, przywiązani do swych szynków,

gdzie mieli kredyt, spotykali się ze swoimi i żyli życiem swojej dzielnicy.

Przede wszystkim skierowano mnie do akcji rozbijania mętów i nożowników, tak zwanych knajaków, którzy udawali bojowców różnych odłamów, grabili kasy pocztowe, gminne, banki i zamożniejszych obywateli.

Potem skierowano mnie na wesele żydowskie, gdzie spodziewano się większej rozróby. Z PPS był Felek i Lichta Abratczyk, *obrotno* znaczy z powrotem, nazad, czyli dezerterski z wojska. Pan młody był partyjny. Wśród zabawy zbierano według zwyczaju na wiano, a brat młodej panny, zakała rodziny, przyszedł z alfonsami i chciał z tacy podwędzić, ale ich przyłapali na tym i zaczęli bić. Wyrzucili na ulicę, pobici alfonsi odczekali i kiedy tamci wyszli, to napadli na nich z nożami, wtedy myśmy zaczęli strzelać, alfonsi rozbiegli się z krzykiem: „Socjaliści naszych biją!” Wtedy wszyscy złodzieje, ilu ich było – doliniarze, szopenfeldziaki, klawiszniki – ruszyli na socjalistów przy pomocy policji, policja dawała im pięćdziesiąt rubli za każdego socjalistę zabitego lub pojmanego. Tego było już za dużo. Garbarze z Woli zeszli się i w skórzanych fartuchach, jak przy pracy, z kijami, z nożami zaczęli garbować skóry tych mętów społecznych na Woli i na Starym Mieście. Było tam dużo domów publicznych, w Warszawie wówczas panowała niebywała prostytutka. Odbywał się istny pogrom lupanarów, leciały na ulice lustra i pierzyny, ale żadnej mamzeli nie skrzywdzono i nie rabowano dla siebie, znalezione pieniądze

darli na oczach wszystkich. Trwało to około tygodnia. Policja nie przeszkadzała, myśląc, że wszystko skończy się żydowskim pogromem. A nie skończyło się. Domy publiczne wyniosły się z Warszawy do Otwocka, Miłosnej i dalej, a granda się poddała.

Następnie komitet strajkowy Związku Pracowników Poczty i Telegrafu prosił partię o podtrzymanie strajku jakimś aktem terroru. Postanowiono wysadzić dynamitem stację rozdzielczą, łączącą kablem imperium rosyjskie z Zachodem. Skierowano mnie do tej akcji w charakterze jednego z pięciu uczestników. Dwie tumby ustawione na Królewskiej na wprost Ogrodu Saskiego wyleciały w powietrze.

Następnie – i to był już mój ostatni wyczyn – z koszar pułku piechoty stacjonującego na Mokotowie wykradłem przy pomocy Franki i Janka Kasarka trzydzieści karabinów z amunicją. W nocy, gdy na warcie stał akurat znajomy Franki, ona przez płot zajmowała go obietnicą randki, a ja z tyłu kordegardy wynosiłem przez okno kafrabiny ze stojaków i podawałem Kasarkowi przez dziurę w płocie. Cała operacja trwała nie dłużej niż pięć minut. Potem Franka pożegnała się ze swoim żołnierzem i poszła ulicą za róg, gdzie razem z Kasarkiem pociągnęła wózek domowy przykryty plandeką. Ja tymczasem dopasowałem w płocie wyjętą deskę, podążyłem za nimi. Gdy odeszli kroków trzysta, zatrzymał ich stójkowy: „A wy po co się włóczycie po nocy? Co wiecie?” Uniósł plandekę i na widok karabinów zbaraniał. „A to taka kontrabanda!”, i podniósł do ust gwizdek, który

każdy z nich nosi na szyi na czerwonym sznurku. Świsnąć nie zdążył, bo ja, nadbiegłszy, uderzyłem go w tył głowy rękojeścią brauninga. On się zwałił. Odciągnęliśmy go do rowu, gdzie było zupełnie ciemno, i podążyliśmy ze swoim ładunkiem w stronę rzadkich zabudowań Czerniakowskiej, która to ulica swoimi ogrodami przymykała do Wisły.

Nazajutrz w kawiarni Waldschleksena oznajmiłem Jeziorowskiemu, że ma do odebrania na Czerniakowskiej trzydzieści karabinów z podwójnymi ładownicami, po sto nabojów do każdego karabinu. Z radości wywrócił filiżankę kawy. Potem, jak wyszliśmy na ulicę i ja mu wszystko dokładnie opowiedziałem, spoważniał. „Czy ten stójkowy żyje?” „Nie wiem”. „To źle. Sprawa gardłowa, zabójstwo policjanta przy rabunku karabinów wojskowych to szubienicą. Musisz pryskać za granicę”. Frankę i Kasarka wysłał na prowincję, a mnie z dobrym paszportem i pieniędzmi do bosmana Szirbaszidze w Odessie. Szirbaszidze wtrzyił mnie na statek „Taurydę” jako pomocnika palacza.

Podróż przez Morze Czarne, Egejskie i Adriatyk pominę. Tkwiałem na samym dnie okrętu, w maszynowni, i świata bożego nie widziałem, pracując ciężko szuflą w piekielnej spiekocie od Odessy do Rzymu.

W Rzymie mi się powiodło, dostałem posadę pomocnika bibliotekarza w bibliotece polskiej. Ale Rzym mi się nie podobał. Byłem niemy, nie znałem języka włoskiego, cały urok rzeczy dla mnie przepadał, jak rozmowy z napotkanymi ludźmi, dowiedzenie się czegoś od nich,

czytanie, dzięki temu całe Włochy wydały mi się jedną wielką spółką handlową do wyprzedaży swej przeszłości. W bibliotece poznałem malarza Seweryna Wróblewskiego. Mnie się Włochy nie podobały, bo ich nie znałem, a Wróblewskiemu, bo znał je za dobrze, opatrzyły się już. Marzył nam się Paryż, centrum sztuki i kultury, pępek świata. Po dwóch tygodniach podziękowałem w bibliotece za pracę i poszliśmy z Wróblewskim do tego pępka.

– Do Paryża? Pieszo? – wykrzyknęli naraz ksiądz Leonard z panem Narcyzem.

– Ściśle mówiąc, nawet boso... Mieliliśmy tylko po parze porządnych półbucików, więc wyszedłszy z Wiecznego Miasta, zdjęliśmy je, niosąc na kijkach, i wkładaliśmy wkraczając do jakiegoś miasteczka czy miasta. Po dziesięciu dniach skóra na stopach nam zgrubiła, tak że mogliśmy chodzić po żwirze i po kamieniach. Ale nie cały czas szliśmy. Ludzie nas podwozili. Wyobraźcie sobie, idą szosą dwaj młodzi bosonodzy z malbretem, paletą i puzdrem na farby, jasne – malarze, a na malarzy lud osiadły spogląda bez zawiści, z tą pobłażliwą ironią, jak na Cyganów, komediantów i inne wędrowne bractwo. Często ten i ów zakrzyknął: „A dokąd panowie zmierzają?” Dowiedziawszy się, że w te same strony, co i on, brał na wóz, do landa czy samochodu, bo trzeba wam wiedzieć, panowie, że samochody, które u nas widzi się bardzo rzadko, na Zachodzie robią zawrotną karierę i zaczynają wypierać inne pojazdy. Wróblewski swobodnie mówił po włosku i po

francusku, łatwo nawiązywał kontakt. Raz jechaliśmy nawet karetą z jednym sympatycznym starszym hrabią. W ogóle malbret na plecach, jak się przekonałem, to najlepsza wizytówka w podróży. Otworzyła nam nawet granicę. Sierżant włoski za portret zrobiony w ciągu dwóch godzin wskazał nam miejsce, gdzie najlepiej przejść przez granicę, i rzeczywiście szliśmy po francuskiej stronie trzydzieści kilometrów, to bez mała tyle co wiorst, po prawie bezludnych ścieżkach, uczęszczanych tylko przez przemytników.

Do pewnego miasteczka francuskiego dotarliśmy w jakieś święto, kiedy cała ludność bawiła się na wolnym powietrzu na karuzelach i kolejkach powietrznych, na popisach komediantów i sztukmistrzów, były walki zapaśnicze, była i strzelnica. „Daj mi franka, Sewku” – mówię do Wróblewskiego. „Kiedy zostało nam tylko pięć franków”. „To daj jednego, ja ci zwrócę”. Podszedłem do strzelnicy i stanąłem do najprostszej konkurencji – dziesięć razy trafić do tekturowych jajeczek. Wygrałem. Dali mi pluszowego misia. Następna konkurencja – zgasić pięć świeczek. Zgasilem jedną po drugiej wszystkie. Dostałem w nagrodę brązowego Napoleona. Potem polowanie na królika, którego po nakręceniu puszczano po krętych szynach. Tu już zbiera się przy mnie tłum gapiów, wyczuli sensację. Dostałem za królika myśliwską torbę. Wreszcie strzelanie kulą do rzutków, zbijam wszystkie i biorę królewski kapelusz z pióropuszem... Właściciel strzelnicy mało nie płacze. „On mnie zrujnuje – skarży się Wróblewskiemu – zgarnął już ode

mnie nagród na trzydzieści franków!” A Wróblewski mu na to: „Zabierz pan swoje nagrody z powrotem i daj nam za to piętnaście franków”. Wtem z tłumu gapiów wychodzi elegancki pan, przedstawia się, właściciel miejscowej restauracji. Sewek odpowiada, jestem malarz Wróblewski, a to mój przyjaciel Muszkiet, terrorysta polski z Rosji. Wtedy ten pan poprosił nas z ukłonem zrobić mu ten zaszczyt i zjeść z nim obiad w jego restauracji. Obiad był obfity i bardzo ludny, gdyż mnóstwo ludzi chciało zjeść obiad z terrorystą. Wróblewskiemu usta nie zamykały się, odpowiadał na pytania i opisywał moje przygody, ja z moją szkolną francuszczyzną rozumiałem zaledwie jedną dziesiątą, ale to były heroiczne czyny, bo to, z czego zwierzyłem się mu w Rzymie, teraz urastało do gigantycznych rozmiarów, tumby na Królewskiej, nim wyleciały w powietrze, budziły podziw swą wielkością i architekturą, z trzydziestu karabinów zrobił sto, a ze stójkowego kapitana, który jakoby tej nocy pełnił dyżur pułku, itd. Dreszcz zgrozy zaostrzył apetyty, toteż na sali jedli i pili jak nigdy. Właściciel restauracji po skończonym obiedzie, wzruszony z całym dostojeństwem francuskiego burzua, złożył hołd bohaterskim Polakom w ich walce z despotyczną Rosją i do tegoż 50 franków. Za jego przykładem posypały się datki, doszły do 70 franków, tak że nazajutrz, przespawszy się gratis w hoteliku przy restauracji, wyruszyliśmy z kapitałem 135 franków, które starczyły nam do Paryża.

Dał się nam we znaki ten Paryż, niech mu pępek

trzaśnie! Wypiliśmy całą gorzką czarę życia emigranckiego. Z trudem dostaliśmy pozwolenie na pobyt czasowy. Potem chodzenie po komitetach za jakąś zapomogą, chodzenie za pracą... Miasta, do którego dąży cały świat, nie znasz, nie widzisz, myślisz tylko o tym, jak by gdzie zachapać parę franków. Utrzymywał mnie Wróblewski, który zarabiał trochę na portretach. Ale jak długo można być na utrzymaniu biedaka? W końcu przyjąłem zajęcie modela u modnego rzeźbiarza. Cóż to za poniżenie, stać w pozie, jakbyś chciał rzucić się do wody, bo tak ponoć uczynił Antinous, którego rzeźbił ten artysta, utopił się w Nilu dla pomyślności cesarza Hadriana. Stać, nie ruszać się, w pracowni zimno, do tegoż jeszcze przychodzą panie z wielkiego świata, młode i stare, ładne i brzydkie, ale wszystkie wytwornie ubrane, woniejące drogimi perfumami, oglądają cię nagiego, szacując wzrokiem bezwstydnie po wstydliwych miejscach, jakbyś był wypchanym modelem człowieka...

– A rzuciłbyś pan do diabła takie zajęcie! – zirytował się pan Narcyz.

– Wreszcie rzuciłem, bo Wróblewski malował portret właściciela domu handlowego, który bogato ożenił się, były sierżant armii francuskiej. Malując, Sewek opowiedział raz o moim popisie strzeleckim w tamtym miasteczku. To go zainteresowało, umówił się ze mną w klubie strzeleckim. Kazał mi strzelać na różne sposoby, w końcu rzekł: „Pan jest zawodnikiem dobrej klasy. Stawaj do zawodów w karnawale. Przez ten czas poćwiczysz”. „Tak, ale naboje...” „Naboje

każę panu wydawać bez ograniczenia na mój rachunek. I przez miesiąc, kiedy będzie pan trenował, funduję panu obiady w tej restauracji, w której ja też jadam. Nie dziękuj pan. Jestem kupcem i do interesów nie dokładam. Ma pan szansę wygrać z Gaszardem, tylko on panu zagraża. Po pierwszej eliminacji zostanie tylko Gaszard i pan. Będzie totalizator, będą obstawiali pana i Gaszarda, Jeśli pan wygra, dostanie 10 000 franków, jeśli przegra – tylko 1000. Więc niczym pan nie ryzykuje”. Przyjąłem te warunki i przez miesiąc codziennie uczciwie trenowałem, nie żałując nabożów. Wygrałem. To była sensacja. Gaszard był znanym zawodnikiem, na niego najwięcej stawiali, więc mniejszość, która była za mną, otrzymała dziesięć franków za jeden, najwięcej wygrał mój menadżer, bo postawił na mnie 5000 franków, wygrał 50 000. Teraz – powiedział – świat przed panem otwarty, wspaniała kariera zawodnika sportowego...”

Ale w tym czasie przyjechała do Paryża Julia Potomska, łączniczka z Polski. Szukała trzech do zamachu. Na kogo? To powiem temu, kto się zdecyduje. Zdecydował się Lech Perepećko, czterdziestoletni kawaler, gruzlik, miał już dość wszystkiego, nędzy, choroby i emigracji przez dwadzieścia lat, wolał ten sposób honorowego samobójstwa. I zgłosił się Robert Zawistowski, młodzian wypieszczony przez rodzinę, romantyk i marzyciel, śniło mu się, że zabija ministra albo co najmniej policmajstra, potem sala sądowa wypełniona po brzegi publicznością, jego ostatnie słowo, którym wstrząsa i oskarża, kobiety płaczą, wyrok śmierci... Nie zostaje

wykonany, bo w ostatniej chwili brawurowo ucieka.

Brakowało trzeciego i Potomska zagięła parol na mnie. Że ja mam być przywódcą. Przede wszystkim zapytałem, na kogo ten zamach? Przez kogo planowany, jak i gdzie? Jakie szanse ocalenia? A to tajemnica na razie, odpowiedziała, teraz chodzi o ludzi gotowych do wykonania tego zadania, wtedy im wszystko wyjawię...– To ja za tajemnicę dziękuję, w ciemno nie gram.

Potomska jednak uwzięła się na mnie i omotała do końca. Była ładna, fascynująca, ja się w niej zakochałem i wdałem w romans. Pewnej nocy wśród pieszczot i rozmów intymnych, zdradziła niby niechcący, że to zamach na cara. „Ach, co ja zrobiłam! Ty teraz wiesz... Ale ty mnie nie zdradzisz? Ty będziesz z nami?” Przyrzekłem jej, że jutro dam odpowiedź.

Nazajutrz jadłem kolację w polskim kabarecie studenckim. Były występy, jakiś student śpiewał:

Wyszły z lasu trzy partyje,

jedna drugiej buty szyje,

która z nas piękniejsza jest...

Kpił sobie ze wszystkich naszych trzech partii rewolucyjnych. Przed oczyma stanęły mi nasze trudy i walki, twarze Jurgielewicza, Okrzei, Montwiłł-Mireckiego, cały heroizm tych ludzi, który zdał się na plugawą piosenkę ku uciesze kawiarnianej publiczności. Gardziłem nią, tęskniłem jak nałogowiec za życiem w konspiracji, z jego bujnością

przygód, ryzyka, poczuciem własnej wartości, i kochałem Julię. Postanowiłem – nie będę strzelał do rzutków na poklask tłumów, będę strzelał do żywego celu...

Oddałem nie wydane jeszcze z nagrody 9000 franków Wróblewskiemu, niech maluje w sytości, i wyjechałem z Julią do Polski. Następnego dnia podążyli za nami Perepećko i Zawistowski. Pieniądze i paszporty otrzymaliśmy na czas, organizacja działała.

Zatrzymaliśmy się w Otwocku. Tam w pensjonacie odwiedził nas Feliński jako przedstawiciel komitetu centralnego „Proletariatu” i wyłożył cały plan. Car wybiera się na wiosenne toki głuszców do Białowieży. Tor kolejowy od Hajnówki do Białowieży długości dwudziestu wiorst jest w czasie polowań carskich tak strzeżony, że mysz nie przebiegnie. To samo w lesie. Aleksander III, zdenerwowany obecnością mnóstwa ochrony, zawołał: „Smirno!” I zza krzaków wyskoczyły wańki-wstańki w pozycji na baczność, według regulaminu, pierś wypięta, ręce po *szwam*, morda w górę, oczy rozkaz żrą... „Kto tu z was najstarszy?” Przywołał i rozkazał wszystkim przepędzić, tylko dwóm pozwolił czuwać z daleka i tak, żeby ich nie było widać – „bo postrzelę!” Ale to był Aleksander III, atleta i wcale nie tchórz. Mikołaj II cienia swego się boi, więc nie ma mowy o zamachu w Białowieży. Tor jest wolny dopiero od Hajnówki. Ostatnią stacją przed Hajnówką jest Czeremcha. Trzy wiorsty od niej znajduje się folwark sympatyków „Proletariatu”. Na tydzień przed zamachem przez folwark przejedzie kareta

hrabiego Korwin-Zakomielskiego ze stangretem i kamerdynerem. Poproszą o gościnę na parę dni, bo młody hrabia zachorował, ma piekielne bóle i wymioty przy najlżejszym wstrząsie. Oczywiście gościna zostanie im udzielona. Zawezwą lekarza rodziny z Warszawy. Tym lekarzem będzie Feliński. Kilka dni będzie trwała kuracja, akurat tyle, by rozejrzeć się po okolicy – zalesionej i bezludnej – i założyć minę pod szynami. Potem wszyscy wsiądą do karety i znikną w siennej dali. A nazajutrz rano pociąg carski z trzech wagonów wyleci w powietrze na wiadukcie nad traktem białostockim. Z najbliższego otoczenia cara otrzymają informację, kiedy pociąg wyruszy do Białowieży, a tor jest jeden, muszą przejechać przez Czeremchę.

Zapytałem, kto wykona zamach. Co z kareta i ludźmi?

– Minę odpali jeden człowiek – odparł Feliński. – A jak rozplynie się w powietrzu kareta, konie i ludzie, o tym powiem na miejscu w folwarku.

Ja miałem być hrabią. Pojechałem do Warszawy, u Zaręby i Hiszpańskiego zamówiłem ubranie i buty. Stangreta Perepeckę i kamerdynera Zawistowskiego ubierali inni krawcy.

Spacerowaliśmy po Otwocku, czekając na zamówione ubrania, potem na sygnał. Było dziwnie ciężko na sercu. Tłumaczyłem to tym, że Julii przy mnie nie ma, wyjechała do Warszawy i nie wróciła.

Wreszcie nadszedł umówiony sygnał. Doręczono

walizki. Przebrałem się i pojechałem do Warszawy, stamtąd dorożką z dwiema walizkami, z którymi wysiadłem przed hotelem „Bristol” – hrabia Maurycy Korwin-Zakomielski, w stalowoszarym garniturze i w tegoż koloru półbucikach, w płaszczu *demi-saison* z najlepszego łódzkiego szewiotu, w kolorze perłowym, po krawiecku mówiąc, rybiej skórki, z aksamitnym kołnierzykiem w nieco ciemniejszym odcieniu, i na głowie oryginalny włoski borsalino – tak mnie wzięli i takim mnie wypuścili z katorgi w Akatuju, nic więc dziwnego, że stałem się sensacją Nerczyńska, gdzie robiłem zakupy przed wyjazdem do tajgi na wieczne osiedlenie.

W recepcji powiedziałem:

– Przyjdzie mój kamerdyner, proszę go wpuścić.

Tak było umówione. Zawistowski przyjedzie do mnie do hotelu, a Perepećko zajedzie jutro herbową karetą. Ale wiedziałem już, że wpadłem. To ciężkie samopoczucie, gnębiące mnie w Otwocku, przeistoczyło się w przeczucie katastrofy, jak tylko wszedłem do hallu. W pokoju u siebie na pierwszym piętrze siedziałem czas jakiś otępiały. W końcu otrząsnąłem się, może mi się zdaje? Postanowiłem przejść się po mieście, sprawdzić, czy jestem śledzony. Ale w hallu zagrodzili mi wyjście dwaj cywile i poprosili do szefa recepcji. Zostałem aresztowany. Sprawdzono zawartość walizek. Znalaziono bombę i broń dla trzech ludzi. Wyprowadzono mnie z walizkami, co uratowało Zawistowskiego, bo idąc do mnie, zobaczył scenę wyprowadzania mnie z hotelu, zawrócił do Perepećki i obaj

dali drapaka.

W Cytadeli dopiero sobie uświadomiłem, kto mnie wydał. Sędziemu śledczemu oświadczyłem, że przyznaję się do tego, iż rzeczywiście miałem zamiar zabić cara, ale nic więcej nie powiem. Sędzia powiedział: „wystarczy”, i dał mi do podpisu. Podpisałem, zdając sobie sprawę z tego, że to jest wyrok na mnie. Było mi to obojętne. Świadomość faktu, że mogłem pokochać istotę tak nikczemną jak Julia i że dałem się omotać jak szczeniak, była nie do zniesienia.

Przeniesiono mnie z pojedynki do celi, gdzie siedział jeden ciekawy gość. Na Nowolipiu nakryto esdecką drukarnię i w tej grupie aresztowano bardzo wykształconego Żyda, znał języki wschodnie, między innymi arabski, asyryjski i perski, i miał bogatych rodziców. Za dobrą poradą lekarzy udał wariata i dostał się do Tworek. Jego sprawę wydzielono, a, pozostałą grupę sądzono. Wtedy nie było jeszcze stanu wojennego, sądziła ich izba sądowa, nie sąd wojenny, więc dostali nieduże wyroki, jedni twierdzą, inni zesłanie. Wówczas zorientował się, że jemu nie opłaci się udawać wariata, więc oświadczył lekarzom, że jest zdrow, żeby go przesłali do więzienia. Komisja lekarska przekonuje go, że jest wariatem, ale skoro ten się upiera przy swoim, posyła go do więzienia. Wtedy odbywa się rozprawa w trybie postępowania stanu wojennego i dają mu dwanaście lat katorgi. Siedziałem z nim razem. Zakuty w kajdany, cały czas chodził po celi z kąta w kąt, niekiedy stanie i jak nie huknie głową o mur, aż echo się rozlega. W końcu naprawdę

zwariował.

A moja sprawa toczyła się wartko i wkrótce wyznaczono dzień rozprawy.

Przegrałem, pozostało mi tylko umrzeć z godnością. Włożyłem białą koszulę, sfotografowałem się, wypowiadałem i miałem widzenie z siostrą, która w międzyczasie wyszła za mąż za małego człowieczka o wielkich aspiracjach, kasjera kolei warszawsko-wiedeńskiej, wyżywał się w domu tyranizując Halinkę.

Wreszcie poprowadzono mnie na sąd. Sądził mnie sąd wojenny w składzie: generał od artylerii Smirnow, przewodniczący, i członkowie, dwóch pułkowników, od kawalerii i od piechoty, kapitan i porucznik. Odczytano akt oskarżenia. Przewodniczący zapytał, czy oskarżony przyznaje się do winy. Tak, powiedziałem, przyznaję się, że miałem zamiar zabić cara. Sędziowie spoważnieli, prokurator triumfował. Podano dowody, rzeczy, broń, bombę: „Czy tą purchawką chciał pan wysadzić pociąg jego wysokości?” „Tak, mówię, a czy to purchawka, nie wiem, ja się na bombach nie znam, taką otrzymałem”. „Od kogo?” „Od Potomskiej”. „Kto to taki?” Prokurator spiesznie wyjaśnia, że to wybitna działaczka „Proletariatu”, na razie nieuchwytna. W ciągu procesu wyjaśniło się, że car wcale nie wybierał się do Białowieży, nie miał zamiaru polowania na głuszce, bo trzeba być zawołanym myśliwym, żeby w błocie skakać z kępki na kępkę, a car wcale nie myśliwy, raz do roku robi oficjalne polowanie, bo musi, i wtedy za nim stoi strzelec

wyborowy. Jacy ludzie mieszkają w folwarku pod Czeremchą, jeśli on w ogóle istnieje, prokurator nie mógł wyjaśnić. I tak dalej, Smirnow roztrząsał każdy szczegół i wychodziło, że cały ten zamach sfingowany przez policję, szyty był grubą nicią – potrzebowali zamachu na cara. Ale oskarżony przyznał się do winy, dowodził prokurator, a w tego rodzaju sprawach, gdy chodzi o życie cesarza, czyn zamierzony należy traktować jako czyn dokonany, dlatego domagał się dla mnie najwyższego wymiaru sprawiedliwości, kary śmierci. Sąd nie mógł nie stwierdzić u mnie złych myśli, toteż dał mi za nie cztery lata katorgi oraz wieczne osiedlenie na Syberii. Po skończonej rozprawie Smirnow zszedł z podwyższenia i podszedł do mnie.

– Nu jak, młody człowieku, zadowoleni jesteście z wyroku?

Ja zmieszany, nie wiem, co powiedzieć, bo właściwie powinienem mu twardo naciukać jako socjalista i jako Polak, ale czuję, że nie wypada, to starszy człowiek i ostatecznie zrobił, co mógł.

– Odbędziecie katorgę – ciągnął dalej Smirnow – katorgę można przetrzymać, a kiedy żandarm wywiezie Was na miejsce osiedlenia, to wy uciekajcie. Ale nie uciekajcie do guberni nadwiślańskich, bo my was tu złapiemy, ale do Chin!

Pewnie nie znał umowy rosyjsko-chińskiej o wydawaniu zbiegłych przestępców.

Ale to nie wszystko. Najgorsze, co miało mnie spotkać, nastąpiło dwa miesiące po wyroku. Gdy mnie zakutego w

kajdany gnano z etapu na etap do katorgi w Akatuju, złapano Perepeckę z Zawistowskim przy próbie przekroczenia granicy. Stawiali opór, jeden żołnierz został ranny, więc sąd wojenny tym bardziej surowo potraktował tę sprawę udziału w zamachu i obu skazał na śmierć. Skojarzono to z tym, że ja żyję, puszczono w obieg pogłoskę, jakobym ja obciążył swoimi zeznaniami w śledztwie obu powieszonych, czy też że jestem prowokatorem, a wyrok jest fikcyjny. Ugodzono mnie w najczulsze – w moją dumę, w moje czyste imię.

– Ależ, panie Bronisławie, nikt, kto pana zna, nie uwierzy w te bzdury.

– Tak się księdzu zdaje. Ja znam tylko dwoje ludzi w Polsce, którzy nie wierzą w to i mają mnie za uczciwego człowieka. To jest pani Stefania Sempołowska, matka miłosierna więźniów politycznych, i Edward Abramowski, filozof, ekonomista i bezpaństwowy socjalista, którego ja zwalczałem. Oboje są szlachetni, choć się nawzajem nie lubią i nie znoszą.

– Zaiste, mało żyłeś, dużo przeżyłeś – westchnął pan Narcyz. – Ciężko los cię doświadczył... Ale czy teraz pan urządził się? Masz pan jakąś pracę?

– Dziękuję. Poszczęściło mi się. Zająłem się myślistwem i trafiłem na człowieka, od którego wiele mogę się nauczyć. Bardzo go lubię i szanuję. To Mikołaj Czutkich.

– Dobry rzemieślnik i prawy człowiek – potwierdził ksiądz.

– Spędziłem z nim w tajdze zimę i zarobiłem na futrach

półtora tysiąca rubli.

– Półtora tysiąca! – wykrzyknął pan Narcyz. – No-no, ja pięć lat musiałem ciężko pracować, nim doszedłem do takiej gaży.

– Ale wszystko straciłem.

– Jak to?

– Po trudach całego dnia zachciało mi się wykąpać. Zdjąłem z siebie wszystko i rzuciłem się do wody. Pobaraszkowałem z psem, popłynąłem z nurtem i pod nurt, a kiedy wyszedłem na brzeg, to nie znalazłem ani ubrania, ani pieniędzy, ani strzelby, ani konia – kompletnie nic. Wszystko zabrali.

– I goły pan został? Boże ty mój, Boże!

– I nic nie odzyskano?

– Szukaj wiatru w polu... Został mi tylko ten zegarek, kupiony w Paryżu, bo leżał w trawie, i pistolet z dwoma nabojami, prawie już niepotrzebny, bo gdzie ja kupię naboje, nie mając pozwolenia na nagan.

– I jakże pan teraz?

– Budujemy dom w tajdze, zarabiam trzydzieści rubli miesięcznie... Najwięcej szkoda mi strzelby. Jaka była, taka była, kapiszonówka, ale żywiła mnie.

– Czyli chciałby pan mieć strzelbę? Dobrą strzelbę?

– Byle jaką, żeby tylko strzelała.

– Zna pan „Paradoks”?

– Nie. Co to takiego?

– A firmę angielską broni myśliwskiej Richardsona pan

zna?

– Słyszałem.

– No to w 1906 roku Richardson wypuścił rewelację – dubeltówkę o lufach gładkich, na końcu tylko w miejscu zwięzienia luf, w czoku, gwintowanych. Skutkiem tego „Paradoks” śrutem bije jak każda dobra strzelba do 60 kroków, a kulą do celu na 200. Będąc w Warszawie kupiłem sobie w sklepie myśliwskim na Królewskiej. Dałem 800 rubli.

– Ho-ho, za te pieniądze można na Syberii przeżyć cały rok.

– Cóż, kiedy zobaczywszy takie cacuszko, nie mogłem powstrzymać się. A niech tam, choć parę lat postrzelam sobie z „Paradoksu”.

– Dlaczego parę lat? Z pańską kondycją, z takim zdrowiem...

– Nie, drogi panie, i moja kondycja, i zdrowie kończą się. Trudno. Siedemdziesiąty pierwszy rok, trzeba rozstać się ze strzelbą. W Europie, gdzie stoisz na stanowisku, a na ciebie naganiają zwierzynę, to jeszcze bym postrzelał, ale na Syberii samemu szukać zwierzyny, brnąć przez śniegi, wertepy... Nie, to już nie dla mnie. Próbowałem. Za ciężko. Pozostaje pan, panie Bronisławie.

– Ja?! Co też pan mówi, panie Narcyzie!

– Tak, w godne ręce... I niech pan czasem, biorąc do ręki „Paradoks”, dorzuci w myśli do tych dwojga w Polsce jeszcze trzeciego, tu na Syberii, co pana szanuje i podziwia,

Narcyza Wojciechowskiego!

STRZAŁY Z „PARADOKSU”

W pierwszych dniach września stanął dom pod dachem. Przestronny, budowany starą sztuką ciesielską na zrąb, czyli na węgiel, podzielony sionką paradną na pokój i pokój z kuchnią przy sionce czarnej, z tym że na poddaszu w razie potrzeby można urządzić jeszcze dwa pokoiki. Wał ziemny szerokości kroku i prawie tyleż wzwyż, powyżej fundamentów, usypany wokół domu i obramowany ścianką z desek, stanowił przyzbę, która trzymała ciepło od spodu. Pieców miało być dwa: kuchenny z policą, czyli dużym zapieckiem do spania, ogrzewający kuchnię i sąsiedni pokój ozdobnym prostokątem, wyłożonym kaflami holenderskimi, i drugi piec za sionką z takimiż kaflami. To nie było jeszcze wykonane, tak samo jak osiem okien i dwoje drzwi. Ale podłogi podwójne, modrzewiowa i cedrowa, już były położone, tak samo jak sufity, także podwójne. Spojenia na dłużycach ścian od zewnątrz uszczelniono mchem i gliną, a od wewnątrz kładziono podkład gliny.

Właśnie Bronisław z Szulimem to robił, kładli na glinę nie heblowaną stroną deskę modrzewiową ze szpuntek, wchodzącą w drugą deskę i tak dalej, oszalowując w ten sposób modrzewiem cały pokój – kiedy go Mikołaj z góry zawołał do siebie.

– Chodź, Bronek, popatrz, co za widoczek!

Mikołaj siedział okrakiem na grzbiecie krytego deskami dachu i przy pomocy Daniły obijał go płatami kory na tymczasem – zimową porą porobi gonty, a jak przyjdzie wiosna, to zrzuci się korę i pokryje dach gontami w karpia łuskę.

Bronisław otarł ręce z gliny, wszedł po schodach sionki paradnej na podstrysze i wyrztał z trójkąta belek poddasza. Przed nim szeroka przesieka uchodziła w dal opadając z wolna w dół pod jesiennym zmatowiałym błękitem nieba. Dotąd pracowali w lesie niewiele widząc wśród drzew, a teraz z wysokości dachu ta przesieka naraz otworzyła perspektywę na całą tajgową dolinę. Znieruchomiał z wrażenia. To było coś bajecznego. Zdawało mu się, że z ciemnego szybu wylazł na sam czubek góry zalanej słońcem i morzem. Pod jego nogami, jak sięgał wzrok, het, na dwadzieścia wiorst, po horyzont, falowała tajga wznosząc się na wzgórzach i opadając, cała w rozpryskach zieleni, od ciemnego szmaragdu do jasnego seledynu, a u podnóża grzbietu górskiego, na którym stał ich dom, płynęła rzeka, przecinając zmierzwioną powierzchnię kniei żywą, rtęciową wstęgą, łagodnym łukiem skręcająca na północ w biegu ku Angarze, zgubiwszy po drodze jedno jeziorko, połyskujące jak lustro w trawie.

– Ładne wybrałaś miejsce na dom... Nie myślałem, że coś podobnego istnieje na Syberii.

– Nie myślałeś... Ja czterdzieści lat chodzę po tajdze, a

nie znalazłem piękniejszego miejsca.

W parę dni potem Bronisław z Szulimem, pracując wewnątrz domu, usłyszeli ciszę – ustał chrobot piły, która ciągle od rana do wieczora chrupała drzewo, a nie rozległ się zgrzyt pilnika ostrzącego zęby. Podeszli do okna. Ujrzeni ludzi przy koniach. Mitrasza, niemy bratanek Mikołaja, z Fiedotem, najstarszym synem Akuliny, przyprowadzili transport czterech jucznych koni z prowiantem, gwoździami i paczką dla Bronisława.

Paczka była duża, związana mocno sznurem i obszyta lnianym płótnem. Rozcięli po szwach, żeby nie uszkodzić, tu na bezludziu wszystko się przydaje, rozpakowali i przede wszystkim zobaczyli sztywny futerał z brązowej skóry. Bronisław otworzył. Na zielonym suknie wyściółki jak klejnoty leżały kolba i lufy. Obok był list.

„Drogi i Szanowny Panie Bronisławie!

Dopiero teraz, po dwóch miesiącach mogę dotrzymać słowa i przez mojego zaufanego, który jedzie do Zotowa i po drodze wstąpi do księdza Sierpińskiego, przysłać Panu z prawdziwą przyjemnością obiecany «Paradoks». Mocno obliguję, bierz Pan bez ceregieli, daję ze szczerego serca, w głębokim przekonaniu, że w najbardziej godne ręce.

Przy sposobności pozwolę sobie dołączyć akcesoria; dwieście sztuk amunicji śrutowej i dwadzieścia pięć kulowej, poza tym maszynkę do zakręcania, czterdzieści sztuk łusek miedzianych, żeby Pan mógł sam robić naboje, oraz foremkę do odlewania kul. Pas na dwadzieścia pięć naboji prawie nie używany przeze mnie. Z prawej strony pasa zrobiłem kieszonkę na kompas, który także na pewno przyda się Panu. A naboje kulowe, żeby się nie pomieszały ze śrutowymi, zawsze nosiłem na piersi w przypiętych gniazdkach skórzanych jak Czerkies. I wreszcie, ponieważ wspomniał Pan, że ma tylko dwa naboje do nagana, kupiłem pięćdziesiąt sztuk, nie sprawiło mi to żadnych kłopotów, mam pozwolenie na pistolet. Starczy tego na wiele lat.

Darzbór! Narcyz Wojciechowski.

PS. A gdyby w maju napatoczył się na «Paradoks» iziubr, to ubij Pan, proszę, i przyślij panty. Chorobę mam w domu”.

Ze wzruszenia chwilę trzymał list w ręku – po królewsku obdarzył go Wojciechowski!

– No, na co czekasz? – zniecierpliwił się Mikołaj. – Składaj strzelbę, zobaczymy, jak bije.

Z tym poszło Bronisławowi nieszczególnie, wyręczył go:

– To tak, się robi... Co ty, nigdy nie składałeś dubeltówki?

– Miałem ją w ręku tylko w Paryżu przeszło sześć lat temu. A i to na strzelnicy zawsze dawano mi złożoną.

– To ci heca... Strzela bez pudła, a przy składaniu marudzi.

Obejrzał kaliber.

– Dwudziestka: dla mnie za mały... No, najważniejsze jest krycie.

Wzięli próbną tarczę strzelniczą. Przyjrzeni się. Rozrzut niewielki i śrut zmasowany w środku strzelniczego koja.

– Wiesz, tak wąskiego strumienia śrutu jeszcze nie widziałem... Z twego „Paradoksa” trafi do celu więcej śrucin niż z mojej dwunastki, ale trzeba strzelać jak ty... No, teraz wypróbujemy kule.

Dał Mitraszy papier z paczki, korę i gwóźdź.

– Przybij to tam do drzewa, mniej więcej dwieście kroków.

Mitrasza pobiegł i przybił. Na białym tle papieru czerniła się wyraźnie kora. Bronisław złożył się i strzelił. Mitrasza doskoczył, ołówkiem, który zawsze nosił przy sobie, coś napisał na papierze i pomknął ku nim.

– Sto dziewięćdziesiąt kroków – rzekł Mikołaj, rzuciwszy okiem na papier. – W sam środek... Nu, bratku, masz strzelbę, o jakiej każdy marzy, a mało kto posiada, w każdym razie u nas na Syberii na palcach można policzyć... I wy to rozumiecie, chłopcy – zwrócił się do milczących współtowarzyszy. – Bronisław ma swój wielki dzień i tego dnia, kiedy dostał taką strzelbę i stał się myśliwym, nigdy nie

zapomni. Więc zgarnij manatki do swego bałaganu, Bronku, ruszaj do tajgi i przynieś nam piecyste, żebyśmy mieli uczciwą kolację i mogli wypić twoje zdrowie, twoje szczęście... Teraz południe. Do roboty, chłopcy, o szóstej *szabaszka**!

Bronisław w swoim *bałaganie* powyjmował z gniazd szerokiego pasa myśliwskiego dwadzieścia naboji, żeby było lżej, zostawił tylko trzy naboje grubszego śrutu i dwa drobnego, zapiął, na piersi z lewej strony przypiął, za radą pana Narcyza, skórzane gniazda na dziesięć kul, zawiesił nóż tajgowy, do naganu załadował pięć brakujących kul i włożył pistolet do kieszeni, pomyślawszy, że trzeba będzie uszyć głęboką skórzaną kieszeń albo nosić go w kaburze na szelkach pod pachą, wreszcie nabił prawą lufę „Paradoksa” grubym śrutem, a lewą – kulą i nasunął głębiej na oczy swój granatowy kaszkiet – wszystko robił prędko, dokładnie, z pozornym spokojem, choć w duszy śpiewało podniecająco szczęście człowieka uzbrojonego.

Gdy Bronisław wyszedł z *bałaganu*, Brysieł mało nie oszalał na widok strzelby na ramieniu. Przez trzy miesiące jej nie widział, życie straciło dlań wszystkie powaby rozpoznawania zapachów i radość chwytania zdobyczy, czuł się zwykłym kundlem do stróżowania, bez godności i szacunku psa myśliwskiego. Skoczył z rozpędu na pierś Bronisława i liznął mu twarz, zatoczył kółko i znów skoczył,

* *Szabasz* – koniec, fajrant.

zachłystując się radosnym skowytem, potem pognał do lasu oglądając się, czy pan idzie za nim. Bronisław szedł z odzyskaną pewnością siebie między drzewa, tknięte już wczesnym bezruchem soków i ciszy jesieni, podążył prosto przed siebie jeszcze bez planu, ale z niezachwianym mocnym przeczuciem sukcesu, do końca płaskowyżu, a kiedy on się skończył, zaczął schodzić łagodnym zboczem coraz niżej aż na samo dno leśnego morza.

Wrócił po piątej bez koszuli, niosąc na gołych plecach rogacza, koszulę zdjął, by nie pobrudzić.

– Gdzieś ty podszedł tego kozła? – zapytał Mikołaj.

– Nad rzeką, za ujściem naszego potoku, wiorsty trzy czy cztery. Stałem za drzewem i widziałem z daleka, jak przepływał rzekę. Nim przepłynął, ja się posunąłem w tym kierunku. Stąpił na brzeg, otrząsnął się i chwilę słuchał, wahał, potem poszedł żerować na małej polance wśród modrzewi. Było za daleko na strzał. Skradałem się. Kiedy się podkradłem na sto pięćdziesiąt kroków, byłem go pewny.

– Owszem, strzał na szyję, padł w ogień.

– Okropnie nie lubię ranić; wprost skręcam się ze wstrętu, kiedy postrzałek ujdzie, by zdychać w tajdze. Wziąłem specjalnie na muchę szyję. Wtenczas, wiesz, albo padnie w ogień, albo jeśli kula ominie tętnicę lub kręgi szyjne, to zwierz pomknie i z tego się wyliże.

Było już dobrze po słońcu, gdy przed domem rozpalono ognisko i Mikołaj rozlał z bańki wódki pierwszy *kriuczok*, kubeczek na długim drążku, wszystkim swoim pomocnikom i

wzniósł okrzyk: „Niech żyje Bronisław, niech mu się szczęści na łowach i w życiu!” Szulim ugotował *uchę* z ryby złowionej w potoku, z przyprawami od Jewki, tak że wszyscy chwalili, potem na rozgrzaną i dobrze omaszczoną patelnię rzucił osiem plastrów wątroby kozła, a Mikołaj rozlał po drugim *kriuczku*. Wtenczas Szulim podał każdemu gruby drut, na który ponadziewał kawałki surowego mięsa przemieszane ze słoniną i *czeremszą* i ten szaszłyk każdy sam piekł na węglach, zapijając trzecim *kriuczkom*. A na koniec rozdano wszystkim rarytas, jakim był w tych stronach pomidor, ogórek i cebula z koszyka księdza Leonarda.

Godnie, trzykrotnie oblewano piękną broń Bronisława wśród ogólnej wesołości, dowcipuszek, opowieści i śpiewu... Na zakończenie Mikołaj zwrócił się do Mitraszy i Fiedota.

– Zostawiliście, jak kazałem, blaszane rury z kolankami i daszkami na Cyplu i na Przeprawie. Otóż teraz zbudujecie tam chatki noclegowe, żeby idąc do nas lub od nas można było wygodnie odpocząć po całym dniu wędrówki. Chatki nieduże, trzy kroki na cztery, z piecykami i kominami z tych właśnie rur. Proste domki, przednia ścianka dwa i pół sążnia wysokości, tylna dwa, dach jednospadowy, bez okien... Tyle lat patrzyliście pomagając mnie, jak stawiałem domy i piece, że chyba potraficie to wykonać?

Mitrasza skinął głową, Fiedot powiedział: „Zrobimy, wujku Mikołaju”.

– Byłem tego pewien. Dłużej jak tydzień taki domek, a właściwie budę, nie będziecie robić. Więc wracając w dwa

tygodnie postawicie.

Nazajutrz przed ich odjazdem Bronisław napisał na pieńku dziękczynny list do Narcyza Wojciechowskiego, opisując pokrótce swe życie w tajdze i przyrzekając, że uczyni wszystko, by zdobyć majowe panty.

Korciło go, by znów iść do lasu, ale wszyscy pracowali przy budowie, więc zmusił się do kładzenia gliny na ściany i szalowania ich deskami. Mikołaj skończył dach i zabrał się do pieców, Daniło urządził sobie na kobyłkach ławę stolarską i robił futryny, okna, drzwi, a dwaj pozostali cieśle od rana do wieczora tarli drzewo na deski i kantówki. Polana wokół domu wyglądała jak plac tartaczny zawałony budulcem, który zaczęto już układać na przekładzinkach w sągi.

Tak zeszedł im wrzesień i październik, z jednym tylko dniem przerwy, kiedy Bronisław namówił Mikołaja na jabłonie. Mikołaj poszedł w tajgę i gdzieś nad rzeką znalazł dzikie jabłonie syberyjskie o tak małych owocach, że wyglądały jak wiśnie. Wykopał kilkuletnie drzewka i przed domem na południowej stronie posadził, za przykładem księdza Leonarda, rzędem „dwanaście apostołów”. „Szczepić będziemy za dwa lata” – powiedział, a Bronisław pomyślał: „kiedy w domu już będzie Akulina z trojgiem młodszych dzieci”.

Pierwszego listopada dom był gotów z łaźnią nad potokiem. Zostały do zrobienia gonty, paradny ganek, właściwie weranda przed wejściem, budynek gospodarczy i płot dwumetrowej wysokości dookoła trzech dziesięcin

ogrodu i pastwiska. Przed tygodniem ustaliła się zima. Przyjechali Mitrasza z Fiedotem, przywożąc na trzech jucznych koniach prowiant dla nich, narty, skórę ubitego przez Bronisława niedźwiedzia i list od Wasiliewa. Wieczorem w kuchni przy dobrze napalonym piecu odbył się wieczór pożegnalny. Mikołaj podziękował wszystkim za pracę, wypłacił należność, wypili zdrowie gospodarza, na pomyślność domowników, pogawędzili i poszli spać. Nazajutrz Mitrasza i Fiedot odjechali z trzema cieślami na wolnych od juków koniach.

Wasiliew pisał:

„Udińskie, 25 października 1911 roku.

Drogi Bronku!

Zaszyłeś się gdzieś w bezimiennym miejscu tajgi i nie dajesz znaku życia. Napisz, jak się miewasz i co porabiasz. Czy uporaliście się już ze swoją budową domu i rozpoczęliście sezon łowiecki, i jaki to teren pod tym względem?

Nasze spokojne wiejskie życie doznało nagle ożywienia, jak gdyby przez zamarły staw zaczęto kanałem przetaczać świeżą wodę. Rozwój spółdzielni mleczarskiej przeszedł wszelkie, najśmielsze oczekiwania. Na członków zapisała się niemal cała wieś, licząca przeszło tysiąc mieszkańców. Zaczęto od razu działalność na dwie ręce – skup mleka oraz sprzedaż towarów spożywczych i gospodarstwa domowego. Za ciasno zrobiło się w naszym sklepiku. Postanowiono zbudować duży dom towarowy. Mnie, zesłańca politycznego, pozbawionego praw, zarząd spółdzielni mógł zatrudnić jako urzędnika na stanowisku kierownika sklepu, powierzając obecnie i nadzór nad budową. Pierwszego lipca otwarto nam kredyt budowlany w banku spółdzielczym. Zabraliśmy się do roboty z wielkim zapałem, który od nas spółdzielców, pracujących ochotniczo, udzielił się zatrudnionym fachowcom. Wyobraź sobie, że w ciągu tych trzech miesięcy do piętnastego października wykonano fundamenty pod budynek długości 52 kroki i szerokości – 10 kroków oraz całkowicie wymurowano piwnice na magazyny. Do maja zgromadzimy materiał i rozpoczniemy budowę domu o czterech pokojach (działach targowych) i dwóch wejściach, z biurem spółdzielni i pokojem hotelowym na górze. Teraz zaczynamy próbną produkcję serów syberyjskich «Uda». Okazało się bowiem, że nasze

mleko udińskie ma najwyższą zawartość tłuszczów i swoisty smak. Znaleźliśmy dobrego serownika, który tym się zajął.

Serdeczne pozdrowienia od Nasti, Tietiuchina, księdza Sierpińskiego i nawet od Frumkina.

Twój Iwan W.

PS. Mamy nowego premiera Kokowcewa, zamiast zabitego Stołypina. Załączam trzy wycinki z gazet do Twego archiwum”.

Wycinek pierwszy:

„Zamach na P. A. Stołypina.

15 września. – Podczas przedstawienia galowego opery Rimskiego-Korsakowa «Baśń o carze Sałtanie» w kijowskim teatrze miejskim, w drugim antrakcie po godzinie dziesiątej, kiedy Najjaśniejszy Pan opuścił łożę i publiczność wychodziła z sali, Prezes Rady Ministrów Stołypin, stojąc w krzesłach, rozmawiał z generałem Suchomlinowem. Wówczas osobnik nienagannie ubrany, we fraku, opuścił swe miejsce w osiemnastym rzędzie i trzymając prawą rękę w kieszeni, zbliżył się o krok od Prezesa Rady Ministrów, wystrzelił dwa razy prawie *à baut portant* z rewolweru i skierował się ku wyjściu. Stołypin upadł na krzesło. Korzystając z oszołomienia publiczności, zamachowiec doszedł do drzwi na korytarz, tam go jednak schwytano i zaczęto bić. Na odgłos strzałów powrócili na salę widzowie i zjawili się w łoży Najjaśniejszy Pan z Wielkimi Księżniczkami, Tatianą i Olgą. Przekonawszy się, że Cesarzowi nic się nie stało, publiczność przepelniona wiernopoddańczymi uczuciami zgotowała mu patriotyczną manifestację i zażądała wykonania hymnu narodowego. Tymczasem ciężko ранego Prezesa Rady Ministrów Stołypina odwieziono do najbliższej lecznicy lekarza-Polaka Makowskiego. Zamachowcem okazał się Dymitr Bogrow, aplikant adwokacki i syn milionera, adwokata kijowskiego, pochodzenia żydowskiego, ale wyznania

chrześcijańskiego”.

Wycinek drugi:

„Pogrzeb Stołypina i sąd nad Bogrowem.

22 września. – W uroczystym pochodzie przeniesiono zwłoki Stołypina z lecznicy Makowskiego do cerkwi w Ławrze Pieczerskiej. Powszechną uwagę zwróciły idące w pochodzie organizacje monarchiczne z chorągwiami, tudzież setki wieńców, zajmujących trzy platformy żałobne, w tym dwa wieńce szczególne, ogromny wieniec Związku Ogólnorosyjskiego z napisem: «Nie zastraszyście!» oraz wieniec «Od przygnębionego społeczeństwa żydowskiego »...

Dziś w tutejszym sądzie okręgowym wojskowym odbyła się rozprawa przeciwko pomocnikowi adwokata przysięgłego Dymitrowi Bogrowowi, oskarżonemu o zabójstwo Prezesa Rady Ministrów P. A. Stołypina. Sprawa toczyła się przy drzwiach zamkniętych. Przewodniczył kompletowi sędzącemu generał Rengarten, oskarżał pułkownik Kostienko. Przy rozprawie obecni byli minister sprawiedliwości Szczegłowitow i generał-gubernator kijowski Trepów.

Z dwunastu wezwanych świadków stawilo się siedmiu. Badano tylko naczelnika »ochrony« kijowskiej podpułkownika żandarmerii Kulabkę. Obrońcy Bogrowa oraz on sam zrzekli się obrony. Dymitra Bogrowa sąd wojenny skazał na śmierć przez powieszenie”.

Wycinek trzeci:

„Po egzekucji głosy prasy i domysły.

25 września. – Bogrow wysłuchał wyroku, skazującego go na śmierć, spokojnie, następnie zażądał jeść. Zadośćuczyniono temu życzeniu. Potem skazaniec prosił o przysłanie mu do więzienia rabina.

Dzisiaj w nocy wykonano w Kijowie wyrok na sprawcy zamachu na Prezesa Rady Ministrów, Bogrowie. Bogrow został powieszony. Przy egzekucji asystował korespondent «Nowego Wriemia», Sawienko.

«Humanité» wydrukowała oświadczenie zagranicznej delegacji partii socjalistów-rewolucjonistów, że komitet centralny partii i podległe mu organizacje nie brały udziału w zabójstwie Stołypina przez Bogrowa.

«Riecz» donosi, że Bogrow uchodził za osobę, która mogła udzielić departamentowi policji cennych wskazówek. W śledztwie zachowywał się on spokojnie, a nawet wyzywająco. Oznajmił, że bilet na przedstawienie otrzymał od «ochrony». Oświadczenie to okazało się zgodne z prawdą. Prezydent miasta dał «ochronie» sześć kart wejścia *in blanco* i właśnie Bogrow otrzymał jedną z nich. Bogrow zeznał, że dawniej brał udział w organizacji rewolucyjnej, lecz w ostatnich latach oddał się na usługi «ochrony». Jak się okazuje, Bogrow był graczem nałogowym, tak samo jak jego ojciec, grał hazardowo w karty i mimo majątku ojca zawsze miał kłopoty finansowe.

Podpułkownik Kulabko oświadczył, że kijowska «ochrona» niejednokrotnie korzystała z usług Bogrowa, który pobierał stałą pensję, czego dowodem są jego pokwitowania. Ponieważ Bogrow zasłużył na zaufanie, sprowadzono go z Petersburga specjalnie do osłony Prezesa Rady Ministrów, obiecał on bowiem zdemaskować domniemanego sprawcę, knującego zamach, i wtedy zaopatrzone go w bilet wejścia i garnitur frakowy.

«Nowoje Wriemia» zwraca uwagę, że żadna z organizacji rewolucyjnych nie przyznała się do zamachu, co niewątpliwie uczyniłyby ze względów propagandowych, a sam Bogrow osobiście nie miał żadnego powodu do popełnienia tej zbrodni.

Większość prasy zdziwiona jest gorączkowym pośpiechem, z jakim dokonano rozprawy sądowej i egzekucji. Nie jest wykluczone, że Bogrow działał z polecenia wybitnych osobistości dworskich i liczył, jak podpułkownik Kulabko, że oni go obronią.

Znamienne, że w tym czasie w Kijowie przebywał Rasputin i na tydzień przed śmiercią Stołypina ten jasnowiedz oznajmił, że nowym premierem zostanie wkrótce Kokowcew”.

Na marginesie trzeciego wycinka Wasiliew napisał: *„Jak widzisz, zabójstwa Stołypina dokonano według planów z ubiegłego roku. Ten sam łańcuszek, współdziałł «ochrony», Kulabko zamiast Gulajewa, i jasnowiedz zgadujący tajemne życzenia wpływowej damy”.*

– Pomyślcie, chłopcy, jak to jest, ja śpię na niedźwiedziej skórze za piecem, jak lubię, bo to dla mnie najlepsze spanie – powiedział wieczorem Mikołaj po odjeździe Mitraszy i Fiedota. – Ale Szulim śpi na ławie w kuchni, a Bronisław na podłodze, podścieliwszy burkę. W domu nie ma łóżek ani stołu, tylko te dwie deski na kobyłkach... Jak długo będziemy żyli w takim bałaganie?

– Póki nie urządzimy się.

– A kiedy urządzimy się, jak ja zacznę polować? Nie, kochani, ja mam jeszcze tysiąc rubli, żeby robić, co mi się

chce. Najpierw zajmę się stolarką i urządzę dom. Sza, chłopcy, nie przerywajcie. To żadne poświęcenie z mojej strony. O niczym innym myśleć nie mogę, tylko o tym, jak wewnątrz urządzić dom. Więc zrobię łóżka, stół do kuchni, okna podwójne, żebyśmy nie pomarзли, szafę, półki... Ty, Szulim, będziesz mi pomagał i gotował, Bronisław na razie niech poluje sam.

W ten sposób Bronisław zaczął samodzielnie chodzić za zwierzyną.

Wiorst pięć od ich domu w stronę Gór Przybajkalskich rozpościerał się obszerny płaskowyż porośnięty krzakami cedrowymi i jarzębiną ze sterczącymi gdzieniegdzie wiekowymi cedrami – jak się okazało, królestwo soboli. Pod śniegiem zachowało się dużo orzeszków i jagód jarzębiny, na które zlatywały się ptaki, przede wszystkim głuszce i jarząbki. Raz spłoszył jednego. Zerwał się z gniewnym łopotem skrzydeł i siadł na drzewie. Za daleko na strzał śrutowy, ale Bronisław go widział, więc strącił kulą. Nieraz potem głuszcem urozmaicał jadłospis Jewki, która zaopatrywała ich przeważnie w mrożone *pielmienie*.

Ale nie głuszce, nie jarząbki stanowiły cel jego wędrowek w tamte strony. Były nimi sobole. Sobole nie rude, lecz czarne z jasną plamką na piersi, czasem nawet z tą pomarańczową plamką, za którą kupcy płacą ponad zwykłą cenę. Z doświadczenia wiedział, że soból błyskawicznie znika i bardzo trudny jest do strzału. Można nawet usłyszeć jego rozdrażnione jach-jach, wuch-chuch? i nic nie znaleźć w

tym miejscu. Tylko pies potrafi zapędzić go w taką dziuplę czy kryjówkę podziemną, którą można otoczyć siecią. Więc nosił sieć. A jeszcze pewniejszy był potrzask z tuszką wiewiórczą czy innym kawałkiem mięsa, w wyczeskach lnianych nasyconych miodem. Na tę przynętę łowiły się sobole dzień w dzień, po jednym, po dwa... Czasem złapał się lis, raz lis odgryzł sobie pół łapy i zostawił w potrzasku. Na pamiątkę ludzkiej nikczemności.

Pewnego dnia Bronisław poszedł na sobole nie górą, ale tajgowym dołem. Tajga wschodniosyberyjska tym różni się od zachodniej, że jest jaśniejsza, nie ma takiego ścisku i mroku, drzewa rosną swobodnie, niejako parkowo i wzrok dalej sięga. Ujrzał sarnę, jak mignęła w prześwicie drzew. Strzelił. Dziwna to była sarna, kiedy jej się przyjrzał. Wielkość ta sama; tylko tylne nogi dłuższe od przednich, jak gdyby kangurowate. Futro ciemnobrązowe; upstrzone mnóstwem jasnych plam. Rogów brakowało, chociaż był to samiec, za to na krótkiej tępej mordzie były kły: dwa szablówato wygięte kły, dłuższe od palca, zwisające w dół z górnej szczęki... Zrozumiał, to *kabarga*, relikw z zaginionej fauny, z rodziny jeleniowatych. Patroszył uważnie, żeby czasem nie uszkodzić gruczołu piżmowego, o którym Mikołaj mówił, że bardzo cenny, kupcy biorą dla perfumerii i medycyny.

Zapuszczał się Bronisław i na zachód od domu dla poznania terenu. Raz poszedł z biegiem potoku w białą ciszę tajgi, zakłócaną niekiedy skrzekiem orzechówki lub

postukiwaniem dzięcioła. Dzień był wyjątkowo piękny i ciepły, jak na początek grudnia, zaledwie kilka stopni mrozu, aż się Bronisław zgrzał w swej zajęczej *kuklance*. Mijał już to miejsce u kresu potoku, gdzie wysokim wodospadem kończył on swój bieg zlewając się z rzeką, wtem usłyszał ptasi śpiew tak beztroski i radosny, że zaczął się skradać, żeby przyjrzeć się bliżej, co to za ptaszek zimą śpiewa jak w maju. Na kamieniu nad spienioną wodą siedział pluszcz, zwany tu wodnym drozdem, o ciemnobraunatnym grzbiecie i białej piersi, zadarłszy dziób trelował i ciurlikał w uniesieniu, a drugi pluszcz śmigłym kosym lotem dawał nura pod wodospad, raz i drugi, aż mu się udało wyłowić *barmasza*, małego białego raczka, który wyjada padlinę oczyszczając rzeki, a jego znów zjada omul i tłusty słodkowodny śledź. Z *barmaszem* w dziobie przysiadł się do śpiewającego pluszcza, ten urwał trele i obaj zgodnie zaczęli na kamieniu spożywać raczka...

Naraz ciszę leśną rozdarł wybuch wściekłego szczeku. Tam gdzie idący przodem Brysień stanął, czekając na pana, w odległości dwustu kroków. Bronisław rzucił się w tę stronę, a tam już wrzała walka. Brysień napadł czy też na Bryśka napadła rodzina rysiów, samiec z samicą i dwoje młodych. Jedno z młodych wyleciało w powietrze z przegryzionym gardłem, ale na grzbiet Bryśka skoczył stary ryś wżerając mu się w kark, a drugi gotował się do skoku, wszystko to kłębiło się i kotłowało, trudno uchwycić, gdzie pies, a gdzie ryś. Nie wolno strzelać, przemknęło Bronisławowi, tylko nożem...

Wyrwał z pochwy nóż i z rozmachu wbił rysiodzi, siedzącemu na grzbiecie Bryśka, wbił w kręgosłup u nasady szyi, gdzie się nerwy schodzą. Ryś zwałił się jak worek piasku, a pozostałe dwa, rysica z jednym młodym, odskoczyły i nim Bronisław zdjął „Paradoks” z ramienia, skryły się w ośnieżonej gęstwinie.

Rozjuszony Brysieki ciężko dyszał, krew się lała z rozoranego karku. Bronisław zrzucił *kuklankę* wełnianą, domowej roboty kamizelę, zdjął koszulę i pociął na pasy, obandażował całą szyję i kark Bryśka. Ubrał się, pogłaskał psa:

– No, jak, Brysieki, dojdiesz do domu?

Brysieki liznął jego rękę, znak, że nie jest z nim tak źle.

Zagryzionego przez Bryśka młodego rysia Bronisław zostawił lisom na pożarcie, ale ubity przez niego stary ryś okazał się wspaniałym, brązowoszarým, cętkowanym samcem wagi ponad pud i Bronisław go zabrał niosąc na plecach w nadziei, że ślady krwi da się później zmyć z *kuklanki*.

W kącie kuchni urządzono Bryśkowi posłanie i Mikołaj posmarował okropnie poszarpany kark maścią ze swej apteczki, mówiąc, że maść z cedrowej żywicy zmieszana z niedźwiedzim sadłem i zmiążdżonym igliwem leczy wszelkie rany człowieka, a tym bardziej psa.

Odtąd chodził Bronisław do ostoi soboli ze Znajdą, która miała szczeniaki po Bryśku. Mądra suka, znakomicie ułożona, znała swoje obowiązki i na próżno nie szczekała,

toteż dawał jej pełną swobodę. Co rano szli w tamtą stronę wierzchem płaskowzgórza, sprawdzali potrzaski, wybierając z nich złowione sobole i zmieniając przynętę, po czym Bronisław wycofywał się zmiatając miotełką swój ślad. Wracali dołem z północnej albo z południowej strony, idąc niespiesznie myśliwskim czujnym krokiem. Zwierzyny było dużo, strzelało się w powrotnej drodze to kunę, to lisa. Parokrotnie słyszało się iziubra, jego ostrzegawcze kijuuuu-kijuuuu... Raz miało się go na strzał, ale Bronisław nie skorzystał z okazji. Bo i po co? Mięsa mieli pod dostatkiem, a rogi jelenia są cenne tylko w maju.

A Mikołaj tymczasem strugał i piłował w kuchni przy pomocy Szulima i zrobił osiem okien wewnętrznych, trzy łóżka, duży stół kuchenny, dwa zydle i półkę na rzeczy w sąsiednim pokoju, wszystko z mokrego drzewa na tymczasem. Kiedy zawieszał półkę, przyjechała Jewka, to było dwudziestego drugiego grudnia – Bryśka pierwszy raz wypuszczono na dwór, oznajmił jej przybycie radosnym szczeniem.

Jewka przyjechała psim zaprzęgiem w sześć łajek, na wąskich, długich saneczkach przywiozła żywność, ikony, sienniki, poduszki, kołdry, dzieżę na ciasto i inne statki kuchenne. A Mitrasza, który kierował takim samym zaprzęgiem, wioził same wyroby bednarskie, beczki kapusty, żurawiny, gruździ i odgradzoną od nich deskami, odrutowaną, niedostępną niczym skarb – beczkę nafty. Na ramieniu Mitraszy widziało się nową dubeltówkę, którą kupił

nareszcie spełniając zadawnione marzenie.

Kobieta w dom – to rewolucja. Kobieta wśród mężczyzn – to ogłada. Mężczyzna widzi siebie w oczach kobiety i łapie się za podbródek od tygodnia nie golony, nawet ojciec Jewki przypomniał sobie, że nie strzygł się od trzech miesięcy. Weszła do kuchni, strużek i trocin powyżej kostek, deski na kobyłkach do rżnięcia. „Święta idą, ojcze, *szabasz*, trzeba posprzątać”. I poszło wynoszenie, sprzątanie, zamiatanie, potem zaczynianie ciasta na bułki, jutro na ciasto słodkie. Szulim był jej oddany do pomocy, Szulima uczyła wypieku chleba – tego dnia ani chwili nie była sama i Bronisław słowa nie mógł z nią zamienić na osobności.

A nazajutrz psy – dwanaście psów pociągowych i dwa myśliwskie z trzema szczeniakami Znajdy, razem siedemnaście głodnych psów, nakarmić to nie w kij dmuchał. Zgrzytając zębami wziął Mitraszę z Bryśkiem i Znajdą i poszedł do tajgi na strzelanie, co pod lufę podleci, byle mięso. Wracali wieczorem, zmordowani, niosąc na plecach dwa worki pełne mięsa pierzastego i w skórach, dla psów, zostawiając dla Jewki tylko młodego głuszca do upieczenia. Z daleka zobaczyli swój dom po raz pierwszy oświetlony. Przysianęli ze zdumienia – zdawał się żyć i ożywiać światłami mrok tajgi wokoło.

W kuchni okrągła lampa, zawieszona pod sufitem, oświetlała zarumienione twarze Jewki i Szulima, wyjmujących bułki z pieca.

– A zna pani, Jewdokio Mikołajewna, żydowski sposób

na to, by ciasto nie czerstwiało?

– Nie. Jaki to sposób?

– Trzeba wlać trochę oleju słonecznikowego.

– Coś podobnego!

– A tak! Ja, jak będę rozczyniał ciasto na chleb w sobotę, to zrobię tak i będę miał świeży chleb do następnej soboty.

Tak byli przejęci, że nie od razu zauważyli ich przybycie. W sąsiednim pokoju paliła się druga stojąca lampa, ale tam było pusto.

– A gdzie Mikołaj Sawielicz?

– Ojciec z latarnią szykuje łaźnię. Oczekuje was tam.

Umyli się, wyparzyli w łaźni, porozmawiali przy smacznej, obfitej kolacji i poszli do łóżek z siennikami, w których zamiast siana leżały futra, a na siennikach były lniane prześcieradła, poduszki i kołdry. Rozbierali się, wkładali nocne koszule z niedowierzaniem, czy to potrzebne. Z zachwyceniem czuli chłodną czystość lnu i kołdry i przeżywali dojmujące wspomnienie rodzinnego domu, jednakowo obcy pod tym dachem pośród tajgi. I gdy z sąsiedniego łóżka doszło tłumione łkanie Szulima, Bronisław pomyślał: „mój ty biedny Żydku”, szanując jak własne jego łzy nad dalekim utraconym dzieciństwem.

Nazajutrz psy zaabsorbowały go prawie do wieczora. Trzeba było zaopatrzyć je w mięso na całe święta. Poszedł znowu z Mitraszą, Bryśkiem i Znajdą do lasu, długo chodzili, ustrzeliwszy trochę drobnicy, dopiero przed zmrokiem trafiła

im się stara bezpłodna łania, wielka jak koń prawie. Mitrasza musiał iść po psi zaprzęg. Nim ją przywieźli na sankach, skórę zdjęli, rozebrali na części, zapadł wieczór, ledwo zdążyli się umyć i doprowadzić siebie do porządku.

Pod maleńką choinką w kuchni na świątecznym stole leżały prezenty. O wszystkich pomyślała Jewka. Ojciec dostał nowy portfel, Mitrasza nóż myśliwski, Bronisław i Szulim po haftowanej koszuli. Przyjmowali, dziękując, z zażenowaniem, że sami nic jej nie dali. Po pierwsze, nie wiedzieli, że przyjedzie na święta i urządzi je, a po drugie, to co jej mogli z lasu dać?

Jedli *kutię*, Bronisław drugi raz w życiu, bo w zeszłym roku spędził Wigilię z Jewką i Mikołajem, więc wiedział, że to tradycyjna potrawa u prawosławnych, gotuje się ziarna pszenicy w wodzie zaprawionej miodem, makiem i rodzynkami. Potem był barszcz i różne mączne potrawy, przy których gadało się do późna.

Tej nocy długo nie mógł zasnąć. Kłębily się myśli pochmurne, ciężkie, że ani chwili nie był z Jewką sam na sam, że Jewka się zmieniła, nie próbowała po kryjomu jakimś słówkiem, uśmiechem, uściskiem przypomnieć dawnej intymności... Coś przeszło między nimi, ale co? Rozpamiętywał cały przebieg ich stosunku, od początku, jak chłopcy sprowokowali ich siłowanie się, jak oni zwarli się i poczuli siebie, odepchnęła go wtedy paskudnym słowem *warnak*... Owszem, przeprosiła, godnie przeprosiła wręczając *kaczeńce*... Ostatkiem sił w zawieję śnieżną dowłókł się do

jej domu, ogrzała, nogi jego trzymała w balii, a głowę na piersi i wtedy to się stało, w łaźni, kiedy on się mył, a ona przyszła tak zwyczajnie, jak gdyby przyzwyczaiła się co tydzień kąpać się z nim. Odtąd, kiedy Mikołaj raz na miesiąc posyłał go do łaźni, co miesiąc przeżywali owe wybuchy namiętności, długie tkliwe chwile między nimi i tajone zwierzenia, myśli nie wypowiedziane... Aż trzeba było ratować Barwienkową, pojechał z nią do Niżnieudińska, zachorował... Wrócił nieprzytomny, pielęgnowała go jak matka, jak najlepsza siostra miłosierna. Dwa razy potem zdarzyło im się przeżyć miłość. Od tego czasu minęło pół roku, poszedł z Mikołajem do tajgi na budowę, został ograbiony do goła, pracował, w końcu dostał piękną broń i może polować... Co się stało, na miłość boską, co się przez ten czas stało z Jewką, że zrobiła się taka powściągliwa i chłodna? Pragnienie kobiety i swojego domu chwyciło go jak spazm bólu... Jewka śpi tak blisko, w pokoju za sionką, Mikołaj wstawił tam łóżko i napalił w piecu wyłożonym holenderskimi kafelkami... Tak dłużej trwać nie może, trzeba rozmówić się, wszystko wyjaśnić...

Pierwszego dnia świąt nie nadarzyła się po temu okazja, wszyscy byli w domu. Dopiero drugiego dnia przychwycił Jewkę w kuchni samą, jak zmywała talerze.

– Nareszcie możemy pomówić – powiedział Bronisław.

– Kiedy cały czas rozmawiamy, usta nam się nie zamykają.

– Jewko, chcę wiedzieć, czemu jesteś taka?

– Jaka?

– No, wobec mnie zachowujesz się tak, jakby między nami nic nie było. A w ogóle jesteś jakby nieobecna, gdzieś daleko myślami... Co ci jest, kochanie?

Popatrzyła na niego smutnie swoimi czarnymi oczami.

– Bronku, jest mi bardzo ciężko.

– Czy dlatego, że żyliśmy bez ślubu? To może byś wyszła za mnie? – wyrwało mu się.

– Dawniej bym wyszła, ale teraz...

Drzwi trzasnęły, wszedł Mikołaj otrzepując śnieg i Bronisław nie dowiedział się, co teraz przeszkadza, czemu teraz nie może wyjść za niego. Po kolacji powiedziała, że czas wracać, bydło zostało i niedźwiedzica Małania bez jej opieki, już tydzień prawie, jak obrządza i dogląda je sąsiadka...

Następnego ranka odjechała. Mikołaj umówił się z Mitraszą, że ten w marcu przyjedzie i zabierze futra.

Przed Nowym Rokiem Mikołaj zdążył sklecić dużą szafę bez drzwiczek, żeby deski schły równomiernie z obu stron i wewnątrz nie było pleśni, każdy z nich otrzymał w tej szafie swoją półkę.

Daty kalendarzowe są w tajdze bez znaczenia, toteż w noc sylwestrową wszyscy jak zwykle mocno spali, a z rana pierwszego stycznia 1912 roku Mikołaj rozpoczął z opóźnieniem swój sezon łowiecki.

Spenetrował tereny na zachód od domu, znalazł tam ostoję soboli nie gorszą od tej, z której korzystał Bronisław, i

zaczął tam polować stawiając zapadnie i potrzaski. Bronisław nadal chodził na zachód i wracał drogą okrężną, przez tajgę w dolinie. Schodzili się wieczorem w domu, gdzie kucharzył, gospodarzył, prał i piekł chleb Szulim, piekł swoim sposobem, z dodaniem oleju słonecznikowego, dzięki czemu zawsze mieli od soboty do soboty świeży chleb.

Szulim zdawał się pogodzić z takim monotonnym życiem, w miarę pracowitym, równym, bez radości i bez trosk, w nadziei na co? Bronisław, który zdążył być polubić go, nieraz mu się przyglądał, jak sprząta lub miesi w dzieży ciasto na chleb podśpiewując sobie z cicha, patrzył i milczał, na co on liczy? My, myśliwi, musimy znosić trudy polowania, mrozy, niewygody, pustkę bezludzia, bo nas trzyma tu pasja myśliwska, mocniejsza od niewoli, ale jego co trzyma? Pokuta? Być może wstyd, że on z porządnej mieszczańskiej rodziny, obiecujący subiekt dobrej firmy kupieckiej, został przypadkiem pacholkiem tych zbójów, podrabiaczy rubli... Jak się do nich dostał, nie mówi, musi to być niezwykła przygoda i bardzo żenująca, jeśli nie mówi... Postanowił widocznie niezłomnie powrócić do uczciwego życia. Wkrótce minie rok, jak jest ze mną. Ode mnie dostał prowizji 150 rubli, u Mikołaja zarobił 300 rubli; na ubranie, buty i odzież zimową wydał sto, zostało mu trzysta pięćdziesiąt rubli. Pewnie jeszcze rok pobędzie z nami, zarobi na czysto drugie dwieście, i mając przeszło pięćset rubli zacznie się piąć po drabinie statecznego życia, jako kupiec wędrowny z początku albo sklepikarz, później się

dorobi. Ma głowę...

Straszne *sorokowiki* lutowe, mrozy czterdziestostopniowe, spędzili w domu przy pracy nad gontami. Mikołaj zrobił przyrząd gontowy i strugał, co parę minut wylatywała skośna deseczka ze żłobiną wpustową na grzbiecie, a Bronisław z Szulimem piłowali jedlinę pod wymiar. Cały pokój, gdzie spała Jewka, zawałony był gontami.

W marcu, kiedy zwierzyna zaczęła linieć, poszli we trójkę na strych, gdzie przechowywali swą zdobycz, posegregowali, policzyli, po czym Mikołaj rzekł do Szulima:

– Masz głowę do interesów. Futra Bronisława sprzedałeś w Niżnieudińsku po cenach, jakich ja nigdy nie dostawałem... Policz, ile wedle ciebie ja tu mam?

Szulim zaczął liczyć:

– Dwa lisy czarne po 500 rubli to tysiąc. Trzyście lisów rudych – siedemdziesiąt rubli. Dwadzieścia soboli rudych i czarnych od 25 do 90 rubli, średnio po 50, czyli tysiąc. Gronostaj i wiewiórki około 380 rubli. Razem około 2450 rubli.

– A moją zdobycz na ile wyceniasz? – zapytał Bronisław.

– Lis srebrzysty 250 rubli... Lisy rude, 16 sztuk 80 rubli. Soboli czarnych masz 25, to 1250 rubli. Soboli czarnych z pomarańczową plamką – cztery po 90 rubli i jeszcze sześć kun... Wypada około 2000 rubli.

– Jeśli sprzedasz za taką cenę, ile chcesz prowizji?

– To duże sumy. Wystarczy mi pięć procent.

– Będziesz je miał... A w ogóle, chłopcy, to nam się trafiło łowisko jak złoto. Można żyć, dobrze żyć i Pana Boga chwalić... Zrób no, Szulim, lepszą kolację, trzeba dziś oblać takie zakończenie sezonu.

Podczas kolacji zwierzył się Bronisław Mikołajowi, że już myśli o majowych pantach i przygląda się iziubrom, ich tropom, które są przypadkowe, a które stałe. Te stałe można teraz na śniegu odczytać. Zwłaszcza jeden trop mocnego byka, który przychodzi nocą wąwozem na wodopój do rzeki i potem o brzasku wychodzi z wąwozu na zachód zawsze tą samą drogą... Może by Mikołaj zechciał sprawdzić? To niedaleko stąd, parę wiorst zaledwie, poszliby z rana i na obiad wrócili. Mikołaj się zgodził.

Następnego ranka Szulim został sam. Zgarnął ze stołu, co zostało po śniadaniu, dał psom jeść, Znajdzie i trzem półrocznym jej szczeniakom, bo Brysiek poszedł z Mikołajem i Bronisławem o głodnym pysku, jak zawsze najadał się wieczorem po powrocie, głód wysubtelnia węch. Godzinę, może dwie rąbał drzewo na opał. Rozczynił ciasto na chleb, bo była sobota. Potem siadł i patrzył w okno, twarz miał beznadziejnie smutną z gorzkim grymasem... Dźwignął się w końcu z zydła i zaczął gotować obiad, który należało tylko odgrzać.

Wtem psy zaszczekały – nie radośnie na przybycie swojego – zaszczekały wściekle i jazgotliwie... Zbliżał się obcy.

Szulim otworzył drzwi. Dwóch ich było. Na nartach szli. Jeden ogromny, zwalisty, w kasztanowatej *kuklance*, za pasem siekiera na długim trzonku, drugi o głowę niższy, przysadzisty z dubeltówką... Spojrzał na twarze i zamknął drzwi na zasuwę... Boże, co za mordy! Dziesięć lat kryminału na każdej mordzie! Nie otworzę!

A oni już się dobijali:

– Te, strachliwy, przyjmij gości... Gość w dom, Bóg w dom!

– Gospodarz zabronił! – krzyknął przez drzwi Szulim. – Wróci, to was przyjmie!....

– To my tu tak stać będziem? Otwierać! I wałnął nogą w drzwi.

Na ten ruch Znajda, szczekająca bez przerwy, rzuciła się ze szczeniakami na niego i widocznie gdzieś zębami się wpiła, bo usłyszał przekleństwo, potem głucho uderzenie i jęk, przejmujący, urwany nagle jęk psa, któremu przetrącono krzyż. Zabił Znajdę, przemknęło Szulimowi. A tam słyhać ciosy raz za razem, jednego po drugim gasił szczeniaki, ostatni odskoczył i zza łaźni zanosił się samotnym pomstowaniem.

Szulim wbiegł do pokoju, chwycił wiszącą na ścianie dubeltówkę Mikołaja i otworzywszy lufcik, strzelił raz za razem z obu luf. Mikołaj z Bronkiem muszą być niedaleko, niechże usłyszą i pośpieszą. Chciał nabić ponownie, lecz mocne ręce z boku chwyciły strzelbę za lufy i wyrwały mu z rąk.

Wysoki drab w *kuklance* z rozmachu rąbnął siekierą w okno. Szkło przysło i rama pękła. A on dalej, jeszcze i jeszcze – zaraz wedrze się do pokoju.

Szulim skoczył do kuchni, porwał sagan z zupą i wbiegł do pokoju. Ten do połowy był już w oknie, Szulim chlusnął mu zupą w twarz. Nie poparzył, bo zupa nie zdążyła zagotować się, napastnik tylko się otrząsnął jak po prysznicu, sięgnął do cholewy i cisnął w Szulima nożem. Deski sufitu wykrzywiły się, rozpląnęły się na boki i Szulim padł.

Zbój wlaźł do pokoju, wyciągnął nóż z piersi Szulima, otarł i schował za cholewę. Rozejrzał się. Zdjął z gwoźdźca torbę z nabojami.

– Kupa naboji i kaliber jak twój, Siomka. Podzielimy się.

– Idą! – krzyknął tamten. – Dwóch z bronią!

Wtedy pierwszy z niezwykłą jak na taką tuszę lekkością wyskoczył przez okno, wsunął nogi w narty i znikł za drugim.

Brysiek znalazłszy trupy pomordowanych psów, szczeknął, jakby mu tchu w piersi zabrakło, i pognał świeżym tropem do lasu, ocalały szczeniak Znajdy w te pędy za nim.

Bronisław ujrzał przez wywalone okno leżącego na podłodze Szulima, wlaźł, pochylił się nad nim.

– Serce bije, ale ledwo, ledwo... Krwi z niego dużo uszło.

– Zajmij się nim! – odkrzyknął zza okna Mikołaj. – Ja gonię za nimi!

Bronisław, rozdawszy, zdjął ostrożnie koszulę z

Szulima, pociął na pasy czyste lniane prześcieradło i obandażował jego pierś, żeby zatamować krew. Potem dźwignął rannego z podłogi i przeniósł na łóżko. Zbadał puls – słabiutki, ale bił. Na podłodze zastał wywrócony sagan i dużą kałużę krwi. Uprzątnął. Przez wybite okno wiało mrozem. Zabił deskami. Przechodząc, stanął nad trupem Znajdy z wyszczerzonymi zębami i przełamanym grzbietem, przed jej szczeniakami, jeden miał zmiażdżoną głowę, drugi przepołowiony był siekierą... Dorzucił drzewa w piecu kuchennym i napalił w piecu, gdzie schły gotowe gonty, poukładane w przewiewne stosy aż pod sufit... W końcu znów siadł przy Szulimie. Nadal nie dawał znaku życia, jednak żył, serce w tej przebitej piersi trzepotało. Bezczynność ciążyła, myślał, jak by Szulimowi pomóc, ale nic nie przychodziło mu do głowy – nie znał się na medycynie.

O szarej godzinie wrócił Mikołaj. Obie strzelby swoje przyniósł i torbę. Odwiesił na miejsce. Podszedł do łóżka.

– No jak?

– Bez zmian. Wciąż nieprzytomny.

– Na taką ranę ja maści nie mam... Będzie, co Pan Bóg da.

– Brysiek cały?

– Tak. Nie dał się zabić, choć dwa razy do niego strzelali. I ten szczeniak ocalał tylko dzięki temu, że naśladował jego... Daj im jeść.

– A wy, Mikołaju Sawieliczu?

– Nie chce mi się. Posiedzę tu przy Szulimie.

Bronisław nakarmił psy. Gdy wrócił, Mikołaj siedział w tej samej pozycji z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Wstał i wyszedł na ganek. Długo go nie było. Co on tam robi, pomyślał Bronisław i też wyszedł. Księżyc świecił, zalewając ich polanę seledynowym światłem. Tym ciemniejszy wydawał się mrok za poszarpaną linią drzew wokół. Z daleka doszło ich przeciągłe wycie, z drugiej strony też i jeszcze dalej znowu wycie.

– Wilcze wesele słycać.

– Raczej wilczą śmierć – odrzekł Mikołaj i wrócił do pokoju.

Tego milczenia Bronisław nie mógł zrozumieć. Skoro wrócił ze strzelbą i torbą, to znaczy zabił złodzieja albo obydwóch razem, albo oni uciekając porzucili, w każdym razie powinien opowiedzieć o tym, co zaszło. Tymczasem on milczy, jakby popełnił coś haniebnego albo przeżył rzeczy niesamowite.

Szulim otworzył oczy. Nie bardzo widać rozumiał, gdzie jest i co się z nim dzieje. Prosił pić. Dali mu się napić. Spytali, czy go boli? Zaprzeczył ruchem głowy. To dobrze, znaczy, że słyszy. Bronisław zdjął z niego buty i więcej nie rozbierał go, bojąc się ruszyć. Tak słabe tliło się w nim życie, że zdawało się przy lada poruszeniu zgaśnie.

Mikołaj bez kolacji poszedł na zapiecek spać, ale czy spał, to wątpliwe. Bronisław przekąsił i siedział drzemiąc całą noc przy rannym.

Nazajutrz Szulim poczuł się lepiej. Dali mu rosółu, rozebrali i włożyli nocną koszulę. Zmienili opatrunek, było widać głęboką ranę, ale krew się nie lała.

Na trzeci dzień widać było znaczną poprawę. Poczul apetyt, nie miał gorączki, opowiedział dokładnie, co się stało podczas ich nieobecności, kiedy przybyli ci dwaj zbroje.

Wtedy i Mikołaj zaczął opowiadać:

– A ze mną, chłopcy, tak było. Pogałem za nimi świeżym tropem na śniegu i na szczekanie psów. Brysiek to pies na milion, wie, że z lufy bije ogień, który zabija. Jak tylko oni przystawali, żeby strzelić, i brali go na muchę, to on się chował za drzewo, to samo robił szczeniak Znajdy, który mu towarzyszył, dlatego ocalał. Więc po pewnym czasie dogoniłem i pędziłem tuż za psami, ale tak, żeby oni czuli pościg, to stuknę o drzewo, to krzyknę, żeby wycisnąć z nich ostatni dech. Parę wiorst gnaliśmy jak wariaci. Ten wysoki był szybszy i wytrzymałszy – oddalił się. Niższy, w kożuszku, wyraźnie robił bokami, co i raz to się oglądał, jak się zbliżam do niego. Ja się posunąłem naprzód i przypadłem na jedno kolano, niby poprawiam wiązanie nart. On spojrzął i zaraz skorzystał, bach-bach do mnie z dwururki. Na to tylko czekałem, bo co mi on zrobi śrutem na przeszło pięćdziesiąt kroków. Osypał się jego śrut po mojej skulonej postaci, ładuje dwa naboje, ja do niego wtedy z mojego winczesterka... Kiedy podszedłem, leżał jak wiewiórka trafiony w oko. Obejrzałem jego broń – licha strzelbina, strzaskalem ją o drzewo i jazda naprzód, nadrabiam

zmarnowany czas, straciłem przecież tego wysokiego z oczu. Po niejakiem czasie widzę coraz wyraźniej, jak miga między drzewami jego *kuklanka*. Kasztanowata *kuklanka* z młodych renów, neplujew, jak to robią Tunguzi, u nich kupiliśmy taką samą dla mojego Łukaszy. Tylko z przodu była ona wyszywana nicią w trzech kolorach, w czerwonym, zielonym i czarnym, i ten wzór ja bym poznał wśród wszystkich *kuklanek*. Trzeba mi było koniecznie spojrzeć na nią z przodu. Więc przyśpieszam i kiedy byłem od niego na strzał z dubeltówki, wołam – z winczesterem w pogotowiu – dwa razy wołam: „Stój! Powiem coś!” On się odwrócił i ja ujrzałem ten wzór, tylko zaszargany i poplamiony na pięknej niegdyś *kuklance!* „Łukasza Czutkich pamiętasz? – zawołałem do niego. – Musisz pamiętać, chodzisz przecież w jego *kuklance!*” On zaraz za drzewo i zaczyna strzelać, raz po raz, widocznie stracił głowę. Ja się odwróciłem tyłem, żeby jakaś śrucina nie wpadła do oka, a jak on wypalił dwa razy, to ja do niego tylko raz – potem okazało się, kula weszła w prawą rękę u nadgarstka, a utkwiała w stawie łokciowym. Wtedy rzuca się do ucieczki, ja mu pakuję kulkę w nogę w okolicy stawu biodrowego. Pada, ale czołgając się, próbuje nabić broń. Przebijam mu lewe ramię. Teraz leży gad bezbronny, nie może unieść broni. Wyjmuję mu z ręki moją strzelbę, wyjmuję mu zza pasa zbójcecką siekierę na długim trzonku i mówię: „Morderco mego syna! Cztery lata co dzień modliłem się, Święty Boże, Boże wszechmogący i sprawiedliwy, spraw, żeby ten łotr wpadł w moje ręce... I

Bóg usłuchał moich modłów”. Wziąłem go między kolana, obnażyłem szyję i zacisnąłem na niej ręce. Ale kiedy pomyślałem, że zaraz ona chrupnie i on nic nie poczuje, to powiedziałem sobie, ten wyrodek musi czuć, że umiera, musi skręcać się ze strachu przed swoją potworną śmiercią... Wstałem z kolan, zarzuciłem na ramię dubeltówkę, wziąłem siekiere do ręki i powiedziałem: „Zostawiam cię tutaj, pożyj jeszcze trochę...” Z początku nie rozumiał, ale ja mu wyjaśniłem: „Za trzy godziny wilki zaczną zwoływać się na żer. Za Łukasza Czutkich, za Szulima (bo ja cię miałem za nieboszczyka), za Znajdę, za wszystkich ludzi pomordowanych przez ciebie – niech cię wilki pożrą!” Odwróciłem się i poszedłem. Szedłem długo ścigany jego wołaniem: „Zabij! Litości... Zabij mnie!” Uczyniłem sprawiedliwie, ale nie czuję ulgi.

Nareszcie drugiego kwietnia przybył Mitrasza. Brat mu zmarł, dlatego się spóźnił. Postanowili załadować futra Mikołaja na jedno sanie, na drugich ułożyć Szulima, ciepło ubrawszy i opatuliwszy go zajęczą kołdrą Bronisława, i wieźć do Starych Czumów, by tam sprowadzić doń felczera Tietiuchina. Bronisław zostawał, chciał do końca na topniejącym śniegu odczytać szlaki wędrownie iziubrów i w początkach maja ubić.

Wieczorem Mitrasza podał mu kartkę:

„Pozwólcie razem z wami zapolować. Chcę być myśliwym. Będę robił wszystko, co każecie”.

Dał do przeczytania Mikołajowi, ten rzekł:

– Cóż, chce być myśliwym, nasza krew... Weź go. Niech się uczy. Tobie będzie różniej we dwójkę, a strzelać on umie.

Mitrasza wszystko zrozumiał, tylko mówić nie mógł, więc Bronisław powiedział:

– Dobrze, wracaj do mnie z solą. Przywieź dla nas żywności na miesiąc i dwa pudy soli w worku ceratowym albo skórzanym, żeby nie zamokła i nie rozpuściła się.

Na iziubra poluje się z solą. Jak ubijesz iziubra, zapłacę ci za panty 250 rubli.

Odjechali zostawiając Bronisławowi szczeniaka Znajdy, Mikołaj obawiał się, że go psy pociągowe zagryzą albo pokaleczą, w ciągu trzech dni podróży trudno upilnować. Miał pół roku i był bardzo podobny do Bryśka, te same czarno-białe plamy i ogon w obwarzanek, Bronisław wołał na niego Żywy, bo był żywy jak iskierka i jeden pozostał po Znajdzie i jej szczeniakach. Głaskał sierotę częściej niż Bryśka, ten z początku był o to zazdrosny, ale później zrozumiał, że nic mu z miłości pana nie ubyło. Gdy Bronisław szedł do lasu, zabierał oba psy. Polowania się skończyły, zwierzyna liniała, a żeby nastrzelać jarząbków na obiad, to mały nie przeszkadzał, szedł milczkiem za Bryśkiem i robił wszystko jak on – Brysiek był dlań ideałem wszystkich psich umiejętności, ogromny pies wielkości

wilka, mądry, odważny i ostrożny po spotkaniu z rodziną rysiów i złymi ludźmi, którzy zabili Znajdę.

Wtargnięcie tych ludzi w ich życie zostawiło trwały ślad, przypominając, że tajga nie jest bezludna i nie każdy przybysz może być pożądanym gościem. Wzmogło to czujną spostrzegawczość Bronisława. Jeszcze bardziej uważał na wszystkie szczegóły, penetrując teren nigdy nie chodził teraz tym samym szlakiem i wracał zawsze z innej strony, przed wyjściem na polanę upewniwszy się w cieniu drzew, że nie ma żadnych znaków czyjejś obecności.

Mitrasza wrócił na reniferze, przyprowadzając drugiego, objuczonego prowiantem i solą. Tymczasem przypuszczenia co do miejsc stałych wędrowek iziubrów stały się dla Bronisława bezsporne, toteż zrobił z Mitrasza dwie skrzynki i zmieszał glinę z solą. Następnie przygotowali z wieczora deski, piłę, siekierę, łopatę i gwoździe. Z tym wszystkim wyruszyli o brzasku z biegiem potoku do tajgi, potem kawałek wzdłuż rzeki aż do parowu. Tu niedaleko rzeki spiłowali równo średniej grubości drzewo na wysokości pasa, przybili skrzynkę, napełnili ją solanką i jeszcze z wierzchu posypali solą z worka. Stała na krawędzi niewielkiego parowu. Po przeciwnej stronie rósł gruby modrzew.

– Tu zrobimy gniazdo, na tym drzewie – powiedział Bronisław. – Księżyc będzie świecił z tyłu prosto na solankę.

Odeszli z tego miejsca na trzysta kroków, żeby nie zostawiać tu śladów swojej roboty w postaci stróżek i trocin. Ścięli dwa młode świerki, odmierzyli dziesięć kroków, ucięli

czubki, zrobili trzy poprzeczne belerzki, nacięli szczebelków i z tym wrócili do wybranego modrzewia. Wykopali dwa głębokie doły, wpuścili w nie świerki, zasypali, ubili i zaczęli narzynać zaciosy na modrzewiu, przybijając w nie szczebelki. Wspinając się po nich coraz wyżej, dostali się do końców świerków i połączyli je poprzecznymi beleczkami, a na nie położyli deski. Powstał trójkątny pomost, rozwartym na solankę, wygodnym do siedzenia, nawet do spania. Pozostało tylko zamaskować gniazdo gałązkami modrzewia.

– Na tej wysokości iziubr mnie nie poczuje – orzekł Bronisław, oglądając z dołu swoją robotę. – Nawet jeśli będzie stał pod tym drzewem, bo wszystkie zapachy idą w górę.

Dobrze musieli zwijać się z robotą, by skończyć przed południem. Trzeba najmniej dwunastu godzin, żeby wywietrzał zapach człowieka.

Tak samo zrobili drugą solankę nazajutrz w odległości mniej więcej dwóch wiorst i czekali na pierwszą w maju pełnię księżyca.

Tymczasem szła wiosna, śnieg topniał, na rzece lód pęczniał i trzaskał. Ukazały się gęsi, za nimi łabędzie, żurawie, bociany i kaczki wszelkich rodzajów, krzyżówki, krakwy, podgorzałki, gągoły, gagi i najmniejsze cyranki, cyraneczki... Wieczorami stali na ganku i patrzyli w ciemne niebo na tę nawałę. Leciały kluczem, stadami i po kilka sztuk, siekły gwiazdne wysokości jak mżawka nieprzepartym dążeniem na północ, całe powietrze wokół zdawało się żyć ich głosami, szumem ich skrzydeł... Jak pomyśleć, że od czwartorzędu, kiedy północ była ich ojczyzną, minęło lat bez mała milion, że w wyniku kolejnych zlodowaceń i ociepleń zmieniło się oblicze ziemi, zamiast lasów powstawały tundry i odwrotnie, podnosił się lub opadał poziom oceanów, zalewając lądy albo obniżając dno, tak że znikła Cieśnina Beringa i z Azji do Ameryki można było przejść suchą nogą, a one powróciły na północ... Skąd dowiedziały się, że już można, że warto lecieć kilka tysięcy kilometrów do Jakucji i kraju krasnojarskiego na niezliczone rozlewiska i rzeki jak morza? I co im wskazuje drogę, że nie błądzą, że lecą jak po sznurku? Czymkolwiek to tłumaczyć – instynkt, osobliwa podnieta i urok dalekich podróży, sekrecja specjalnego gruczołu czy jakieś fale kosmiczne – wszystko jedno, jak człowiek stoi tak na ganku z głową zadartą do góry i patrzy na ten pęd z dalekich krajów na północ, i myśli dlaczego i jakim sposobem? – to dreszcz go przenika mistyczny nad tą zagadką bytu. Mitrasza okazał się chłopcem pracowitym i uczynnym, wiele umiał i jeszcze więcej chciał. Porozumieć

się z nim można było jednostronnie – mówiło się do niego, a on, gdy nie mógł odpowiedzieć gestami, pisał na karteczce. Bronisław odkrył, dlaczego on pisze poprawnie: Mitrasza lubił czytać. Wziął ze sobą parę książek i na czytaniu jednej z nich go przyłapano. Cały poczerwieniał.

– Nie wstydz się – powiedział Bronisław. – Czytanie to dobre zajęcie. Co czytasz?

Mitrasza pokazał: „*Tropiciel śladów*” Coopera. Bronisław skinął głową z aprobatą, on to czytał mając dwanaście lat. Żał mu się zrobiło tego rozumnego chłopca w wieku przeszło poborowym, który czyta z dziesięcioletnim opóźnieniem. A Mitrasza, ośmielony pochwałą, czym prędzej napisał: „On pięknie pisze o zwierzętach i dobrych ludziach”.

Szczęśliwy autor, który budzi pierwsze porywy serca, pomyślał z goryczą Bronisław, uświadamiając sobie, że sam od sześciu lat nie czytał żadnej książki. Nie było książek ani czasu, a teraz głód książki nie dokucza. Zanikła potrzeba czytania. Z katorgi przy piecach płomienistych wyniósł ręce i duszę w ranach i wżerach. Pierwsze zagoiły się bez śladu, a druga zaskorupiała pesymizmem. Swoje życie uważał za spisane na straty i świat mu zubożał. Nie wierzył w dobro, które zawsze bywa opanowane przez drapieżców i egoistów. Sam nie robił złego, bo nie sprawiało mu to przyjemności, poza tym nie miał ambicji. Ale lubił i cenił ludzi dobrych, czuł się wśród nich swobodnie i nie obawiał się niczego. Dlatego całym sercem oddany był Mikołajowi i gotów byłby poślubić Jewkę, gdyby chciała...

W pierwszych dniach maja poszli sprawdzić solanki. Obie były zlizane i ziemia wokół nich była zdeptana. Uzupełnili ubytek świeżą gliną z solą i czekali na pełnię księżyca.

Noc zapowiadała się dobrze, gdy Bronisław zasiadł w gnieździe. Oparł się plecami o pień modrzewia, położył „Paradoks” na kolanach, potarł lufę i muszkę białą klejową kredą i przygotował się na długie czekanie. Zachód jeszcze płonął zorzą, ale dołem pod drzewami wstawał już mrok, solankę jednak na przeciwnym brzegu parowu, dwadzieścia kroków od niego, widział wyraźnie. W miarę zapadania ciemności zrywał się wiatr, jak gdyby wypierał jasność i wypełniał pustkę. Gonił chmury zwałami ciężkimi, zasłaniając księżyc i gwiazdy, tak że tylko chwilami w prześwicie między nimi światło poświaty zalewało wszystko, co było przed gniazdem, wąski parów, solankę i przestrzeń wokół niej. Wiatr szedł koronami drzew, gwałcił je i wichrzył, zmierzwiony las szumiał odgłosami wzburzonego morza. Niedobrze, pomyślał Bronisław, w taką noc niewiele zobaczysz, a i zwierzyna nie lubi wędrować, gdy w uszach szumi, musi orientować się tylko węchem. Tym bardziej iziubr, gdy rosną mu rogi, bolesny to okres dla niego, wszystkiego się boi...

Robiło się chłodno, dobrze być przezornym i na noc w maju wkładać kurtkę zimową... Czas dłużył się bez zajęcia, trzeba by pomyśleć. O przyszłości nie myślał, nie marzył. Życie skończyło się w Starych Czumach, jak sądził dawniej,

a teraz tu. W przeszłości były momenty, które lubił rozpamiętywać. Na przykład, Seweryn Wróblewski, człowiek bezinteresowny i światłolubny. „Idioto! – krzyczał, wzbraniając się przyjąć owe dziewięć tysięcy franków, które zostały z wygranej w zawodach strzeleckich. – Nawet nie wiesz, jaki to zamach i na kogo! Powieszają cię albo ześlą na Sybir! Nie zniszczenie, nie bomby i pistolety, ale praca! Idź i twórz, jak woła teraz Brzozowski!” W końcu zgodził się przyjąć pieniądze pod warunkiem, że tylko na przechowanie, ja się zgodziłem też pod warunkiem, że jeśli po roku nie wrócę i nie dam znać o sobie, to może je wydać na farby i życie... Siostra przy ostatnim spotkaniu, na które musiałem uzyskać specjalne pozwolenie od prokuratora – znak, że powieszają. „Nie będę okłamywał ciebie, Halu – wyrok pewnie będzie skazujący, a mnie o łaskę prosić nie wypada. Bądź dzielna, siostrzyczko, i do widzenia na tamtym świecie...” Musiałem przytrzymać ją, by nie upadła, zalana łzami, to była naprawdę rozpaczliwa scena, nawet strażnik się odwrócił, a i ja bym się rozplakał, gdyby nie świadomość, że jak w legendzie muszę być do końca nieustraszony, nieugięty dla potomnych, po to fotografia, spowiedź, spotkanie – ile w gruncie rzeczy pozycję tkwi w człowieku nawet w obliczu zagłady! – żeby siostra po wielokroć przekazywała dzieciom, przyjaciołom, sąsiadom ostatni mój gest, z jakim szedłem na szubienicę, ja, jej brat, bojownik o Polskę...

A potem Alosza Milioner i Panienka z Dobrego Domu...
Gdzieś pod Moskwą. Jechaliśmy na katorgę nowym

specjalnym, tak zwanym stołypinowskim wagonem. Staliśmy na stacji, gdy nadjechał pociąg pasażerski i stanął obok nas wagonem pierwszej klasy. Opuściła się szyba i z okna wyjrzała panienka wczesnej wiosny, najwyżej siedemnaście lat, podniosła głowę ku słońcu letniego poranka, i mrużąc oczy przed jego blaskiem, witała dzień i świat. Była prześliczna z kaskadą kasztanowych włosów i bladą twarzą, lekko zarumienioną podnieceniem, co da jej nowy dzień podróży. Cieszyła się czymś czy po prostu cieszyła się, może zdała maturę? Cała była radością i ufała życiu, jakie ją czekało, pełnemu interesujących ludzi i zachwycających wrażeń, wszyscy ją kochali, byli tacy dobrzy dla niej... Spuściła wzrok i ujrzała na wprost siebie ten dziwny wagon z ludźmi tam za kratami. Wzdrygnęła się – co to? Starszy pan w bonzurze z siwiejącą bródką, widocznie ojciec, podszedł do niej, zaczął tłumaczyć poważnie, niewesołe to widać były rzeczy, twarz jej nagle jakby zgasła, powlekła się smutkiem.

– Panienska z dobrego domu – zauważył Alosza. – Ożeniłbym się z taką i mknął teraz z nią własnym statkiem po Wołdze ku wybrzeżom Persji...

To trwało minutę, dwie, a jednak zapamiętał na całe życie jak ostatni obraz wolności. Pamiętał rysy jej twarzy, zgrabny nosek, dołeczki na policzkajch, ciemne brwi i maleńką czarną muszkę nad lewą brewką...

Poruszył się zmieniając pozycję, deski skrzypnęły i z dołu odezwało się chrapliwe, ostrzegawcze kijuuu-kijuuu... Zamarł. Iziubr był pod nim.

Zaparło dech w piersi, nie ruszył nawet palcem, nasłuchiwał. Byk, zdawało się, też. Jeśli go teraz spłoszyć, pójdzie i nie wróci... Cienie chmur, gonione wiatrem, przebiegały na dole po ziemi i drzewach, w przerwach błyskało światło poświaty.

Po niejakim czasie zdało mu się, że czochra się o drzewo, że chodzi wokoło. Jeszcze trochę, a ujrzał w przebłysku poświaty tego byka – stał w gąszczu, tyłem do niego, trzydzieści kroków, ale widziało się tylko zad. Strzelić, to pokaleczysz, niech pokaże łeb, niech wysunie bodaj do połowy... Czekał, trzymając go na muszce, ale on chrupiąc coś, zaczął się oddalać i w końcu znikł.

Księżyc zaszedł. Zrobiło się zupełnie ciemno. Po jakiejś godzinie skraj nieba na wschodzie zaczął jaśnieć, zaróżowił się, zapłonął zorzą, aż trysnął pierwszy promień słońca i wtedy gruchnął daleko strzał Mitraszy. „Ubił młodego byka, tylko młody może teraz być tak nieostrożny...”

Zlął z gniazda, sprawdził lizawkę – solanka była świeżo ruszona, a więc był tu, polizał po ciemku i odszedł.

Postanowił iść do Mitraszy, ale w połowie drogi spotkał go wracającego z wyrazem przygnębienia.

– Był byk?

Mitrasza skinął głową.

– No i jak?

Ten ręką pokazał, że strzelał, ale byk poszedł.

– A jak on zachował się po strzale? Czy zaznaczył?

Mitrasza zgiał się wpół, skulił, potem pobiegł.

– To postrzał brzuszny. Chodźmy sprawdzić.

Przy solance były głębokie ślady racic, jakby wbite w ziemię, i ślady krwi, dalej widziało się krew zmieszana z kałem.

– Twój byk poszedł daleko, z taką raną może iść, ale zdechnie. Trzy dni będzie zdychał, masz ty sumienie? Biegnij do domu po Bryśka, a i Żywego weź, niech się za młodu uczy... Tylko reniferów nie zapomnij zamknąć. A ja tymczasem tu się prześpię.

Odchodząc, zamknęli renifery w sionce kuchennej, bo inaczej by je, żerujące w lesie na nie ogrodzonym terenie, wilki pożarły.

W gnieździe Mitraszy spał, dopóki nie zbudziło go szczekanie Bryśka. Zszedł, pogłaskał psa i pokazał mu ślad, Brysiek w mig zrozumiał, o co chodzi. Mordą przypadł do tropu, którym biegł, posocząc, ranny iziubr, i już nie puszczał. Żywy też obwąchiwał każdą kroplę zakrzepłej na ziemi czy krzakach krwi i szukał nowej. Nieraz Brysiek gubił trop, kręcił się w kółko, dopóki nie znalazł, i prowadził dalej. Tak biegli za nim przeszło wiorstę, aż usłyszeli krótkie szczeknięcie. Podbiegli. Brysiek stał pod świerkiem nad wyleżałym miejscem, gdzie było sporo juchy.

– Tu on pierwszy raz położył się. Dobrze, Bryśku, szukaj dalej.

Znów biegli za Bryśkiem nie wiadomo jak długo. Znaleźli drugie wyleżyny i tak samo juchę.

– Mocno krwawi. To chyba dojdzie.

Dopiero po godzinie znaleźli go i dobili. Bronisław czuł obrzydzenie do całej tej roboty, ale nic nie mówił, Mitrasza jednak rozumiał, że sfuszerował. Był to istotnie trzy- czy czteroletni byk szóstak już w letniej sukni. Rogi jeszcze w mechatej scypule odcięli, serce i płuca dali psom, wątrobę i ozór wzięli sobie na obiad.

Z powrotem trafili tylko dzięki Bryskowi i kompasowi.

Ściemniło się, gdy podchodzili do gniazda Bronisława. Dał znak ręką Mitraszy, by szedł dalej do domu, Mitrasza podał mu pajdę chleba ze słoniną, którą zabrał ze sobą, a nie miał czasu na jedzenie. Bronisław ruchem głowy podziękował i skręcił do gniazda. Słońce już zaszło, z trudem znalazł to miejsce, wlaźł i siadł. Potarł znów klejową kredą lufę i muszkę, wreszcie mógł po całym dniu na nogach zjeść tę pajdę chleba ze słoniną.

Noc była cicha, tak cicha, że słyszało się chrobotanie *burunduczka* pod drzewem. Plejady gwiazd na czystym niebie i księżyc zalewały las odblaskiem innych światów. W fantastycznym krajobrazie wszystko zdawało się żyć inaczej, prawdziwym swoim życiem. Znikły różne modrzewie, sosny, cedry, stały drzewa w jednolitej spójni soków i wzrostu z księżycową rosą na sobie. Działy się rzeczy niewidzialne, utajone za dnia. Na sąsiednim drzewie kłóciły się kuny i długo prychały na siebie... Bezszelestnym lotem puchacz osiadł na krawędzi solanki, dziobnął parę razy, odwrócił się i czujnie obserwował coś, ruszając uszată głową, w końcu odfrunął... Borsuk z czarno-białą mordą wylazł z parowu i

fukając szukał czegoś... Sarna z grubym brzuchem wysunęła się na otwartą przestrzeń, nasłuchiwała, węszyła, gotowa uciec, z kopytkiem trzymanym w powietrzu, wreszcie zdecydowała się na specjał, polizała solankę, być może ostatni raz przed porodem... I po jakimś czasie tak jakoś naturalnie, w dalszym ciągu tej rewii, rozsunęły się krzaki i ukazała się głowa iziubra. Słuchał, węszył, spoglądając to w prawo, to w lewo, i podszedł do solanki. Stał przodem, a profilem do Bronisława, trzeba było czekać, aż się odwróci bokiem. Parsknął, zmienił pozycję na boczną, wtedy Bronisław strzelił. Byk stanął dęba, z głową do góry i rogami na grzbiecie, jakby chciał skoczyć na księżyc, potem spadł na przednie racice, pomknął jak strzała przed siebie i runął. Bronisław słyszał tylko odgłos upadku, ale był pewien, że byk jest martwy. Tak zaznaczyć po strzale mógł tylko byk z rozbitym sercem.

Nabił fajkę i wypalił. Teraz można się przespać. I ledwo o tym pomyślał, jak zasnął. Śniło mu się, że strzelił sarnę i szukał jej po całym lesie, chodził, chodził, aż znalazł w strasznym gąszczu pokrwawioną Panienkę z Dobrego Domu. „Jak się tu dostałaś?” – pyta. „Wypadłam z pociągu i wszystko mnie boli. Nie ruszaj, bo zupełnie połamiesz”. – „Co mówisz! Nie jesteś lalką, zobaczysz, to przejdzie, jak tylko zaniosę cię na górę...” Wziął na ręce, to był ogromnie lekki ciężar, to znaczy lekko mu było, że niesie, że ma kogo nieść nareszcie na górę całą w słońcu...

Kiedy słońce padło na powieki Bronisława, stało już

wysoko nad lasem, była godzina dziewiąta, jak wskazywał zegarek, który wciąż chodził, chociaż go Bronisław wczoraj z wieczora nie nakręcił.

Zlął z gniazda i bez trudu znalazł swojego iziubra. Było to ogromne byczysko z rogami dziesiątaka, już starzejące się, dwanaście, czternaście lat. Należało zrobić z nim to wszystko, co wczoraj z bykiem Mitraszy.

W domu nie mógł rogów zblanszować, jak radził Mikołaj, bo nie mieli tak wielkiego naczynia, by je zanurzyć, a w środku była jeszcze miękka krwista masa, która mogła zepsuć się i cuchnąć. Więc tylko sparzyli wrzątkiem i lekko podwędzili. Po czym Bronisław wypłacił Mitraszy rynkową cenę za panty, 250 rubli. Mitrasza promieniał, nigdy w życiu nie miał w ręku takiej sumy, którą w dodatku zarobił w sposób wymarzony, jako myśliwy!

Wczesnym rankiem załadowali wszystkie futra Bronisława na reny, tak samo jak i cztery panty, każdy owinięty parokrotnie w lniane płótno, które zostało z paczki Wojciechowskiego. Poszli piechotą do Starych Czumów, prowadząc za sobą objuczone zwierzęta. Nocowali raz w chatce na Cyplu, a drugi raz na Przeprawie i wieczorem trzeciego dnia podróży przybyli bez przygód do zagrody Mikołaja.

Jewki nie było, pojechała z Szulimem po sprawunki do Udińskiego. Mikołaj ucieszył się z przybycia kompanów, z ich sukcesów, o które wypytywał długo i rzeczowo, potem opowiadał, jak Szulim wyzdrowiał, i nowinki ze wsi, że

Akulina na jesieni żeni syna i wydaje za mąż córkę, że Jemielianowym urodziło się piąte dziecko, dziewczynka, i mają drugiego parobka, że po zeszłorocznym nieurodzaju zbóż i traw pastewnych przednówek będzie ciężki – długo po kolacji gadali o wszystkim i poszli spać o północy.

Nazajutrz Mitrasza poszedł do rodziny, a Bronisław pisał długi list do Narcyza Wojciechowskiego. Potem robił skrzynkę na panty, umieścił je tam i obłożył dobrze sianem, następnie zabił i zaadresował, by wysłać wodą po Udzie, do Niznieudińska, a stamtąd koleją do Minusińska. Po obiedzie odwiedził Jemielianowych, wróciwszy chciał pobawić się z Małanią, ale źle trafił, był maj, miesiąc godowy niedźwiedzi, i Małania była smutna, roztargniona, więc dał spokój i poszedł do Mikołaja, rozmawiał z nim aż do powrotu Jewki.

Weszli razem. Szulim ujrzawszy Bronisława zmieszał się, Jewka przybladła, ale zaraz się opanowała, nie uszło to uwagi Bronisława. Co u licha, pomyślał, zachowują się, jakby coś przeszkrobali...

– Załatwiłaś sprawunki? – zapytał Mikołaj.

– Wszystko załatwiłam – odpowiedziała Jewka, zdejmując chustę z głowy. – Batuszka Ksenofontow to ludzki człowiek, poszedł nam na rękę.

– O czym ty mówisz? Przy czym tu pop?

– Chcę powiedzieć, ojczy, że wychodzę za mąż.

– Ooo! – zdziwił się Mikołaj. – A za kogo?

– Za niego! – położyła dłoń na ramieniu Szulima.

– Nie wygłupiaj się. Ja pytam poważnie. Mam prawo

wiedzieć, za kogo wychodzi moja córka!

– A ja odpowiadam poważnie – za Szulima! Chwilę patrzył na nią osłupiałym wzrokiem, potem zwrócił się do równie oszołomionego Bronisława. – Ty to słyszałeś? Ona wychodzi za Szulima!

I nagle poczerwieniał na twarzy od przyływu krwi, tak że zdawało się, szlag go trafi, jak nie trzaśnie pięścią w stół: – Ona chce wyjść za Żyda! Moja córka... Za tego obrzezańca!

– Gospodarzu – wystąpił Szulim – bijcie mnie, ja bronić się nie będę, ale obrażać się nie pozwolę!

– Ojczy, ja nie ustąpię! Nie zgodzisz się, to weźmiemy manatki i pójdziemy do miasta... Zgódź się, tatko. Szulim nie będzie Żydem.

– Jak to nie będzie, kiedy jest!

– On przyjmie chrzest.

– Przejdzie na prawosławie?

– No cóż! Prawosławie – Jewki wiara, ja dla Jewki gotów się ukrzyżować!

– W całej naszej gminie udińskiej nikt na oczy nie widział Żyda, a ty mi chcesz go dać na zięcia? Co ja ludziom powiem?

– Że córka jest szczęśliwa.

– Myślałem, że wyjdiesz za Bronisława...

– I ja tak myślałam. Ale jak zobaczyłam Szulima, poznałam, co to prawdziwa miłość... Wybacz, Bronku, serce nie sługa. Może by do tego nie doszło, zdusiłabym w sobie

być może, ale gdy ojciec przywiózł rannego Szulima, jak dziecko, żebym ja za nim chodziła, to drzwi się otworzyły na moje szczęście... I Szulim nie jest winien. To ja go uwiodłam. Nie gniewaj się na niego, Bronku.

– Życzę wam obojgu długiej i dobrej miłości.

– Niech Jehowa i Chrystus, niech Bóg cię wynagrodzi za te słowa! Zdjąłeś ciężar z mej piersi!

– I coś ty w nim увидziała? – zastanowił się Mikołaj. – Nu, urodziwy, nie przeczę, ale poza tym? Z czego będziecie żyli? Jak zostanieie we wsi, to przecież ty będziesz musiała gospodarzyć, bo on pod tym względem do niczego.

– Gospodarzu, sam pan mówił, że moja głowa do interesów. Mam ja kapkę grosza, dajcie no mi się rozejrzeć, a znajdę cosik, z czego będzie trzosik... Moja żona przy mnie nie będzie biedowała!

– Mówisz, jakbyś już miał miliony.

– Może i mam.

– A gdzie ty je masz, gdzie?

– Ot, gdzie... Proszę.

Podał kartkę papieru.

– Co to jest? – spytał Mikołaj.

– Plan terenów złotodajnych.

– Gdzie to jest?

– Nie wiem.

– To skąd to masz?

– Wziąłem z woreczka od ryżego, którego zabił w zeszłym roku Bronisław. Miało się zmarnować, no nie?

– A do nich trafiło to w jaki sposób?

– Szedł do Irkucka jeden poszukiwacz złota, który znalazł bajecznie bogate tereny. W karczmie przechwalał się, że w Irkucku zamelduje, otrzyma koncesję i będzie miał miliony. Oni go zabili w dalszej drodze do Irkucka, złoto z próbkami po karczmach przepili, pewni, że mają te miliony. Ale potem w żaden sposób nie mogli się domyślić, gdzie one leżą. Wieczorami, pamiętam, nieraz oglądali tę mapkę, kłócili się, gdzie to może być, a poradzić się kogoś, pokazać komuś tę mapkę obawiali się.

– No, to wiesz, co ci powiem – powiedział Mikołaj obracając w palcach tę mapkę – masz ty miliony na dnie morza. Idź, poszukaj.

Ale zerknął. Coś, widać, na tej mapie wydało mu się znajome. Przyjrzał się, pochylił, z przejęciem wodząc palcem, mamrotał: Sinica... tu las, zgadza się... tu skała... jezioro na lewo... potem potok i krzyżyk... Wyprostował się.

– A ja wiem, gdzie to jest!

– Gdzie?

– Dziesięć dni drogi stąd. W Górach Przybajkalskich. Kiedyś tam byłem.

– To chodźmy tam, jak tu jesteśmy, wszyscy troje.

– Podział po równu?

– Naturalnie po równu.

– Ale najpierw będzie chrzest, potem ślub, wtedy dopiero możecie iść po te miliony – oświadczyła Jewka.

Na chrzcie Bronisław nie był, uważał, że nie musi, a znowuż zmiana wyznania nie wydawała mu się tak atrakcyjna, żeby ją oglądać. Cały przebieg tej ceremonii opowiedział mu Mikołaj, który był ojcem chrzestnym.

– Imię sobie wybrał nasz Szulim piękne, rdzennie rosyjskie – Ilia.

– Przecież na imię mu Eliasz, więc jak przetłumaczyć, to będzie Ilia.

– Wszystko jedno, piękne... Cerkiew wyglądała, jakby sam archimandryta czy inny władca przyjechał, mówię ci, wszystkie świece zapalone i pełno narodu. O ten rozgłos postarał się ojciec Płaton Ksenofontow. Całe życie marzył o takich uroczystościach, że jednego po drugim nawraca niewiernych i chwała Boża idzie przez tajgę i tundrę! A tu nie ma nikogo, wszyscy są ochrzczeni. Więc dla niego Szulim był zbawieniem duszy, zbawiał od nudy i pospolitości. Uczepił się Szulima jak rzep psiego ogona. Pouczał go i uświadamiał, i przysposabiał na chrześcijanina, aż Szulimowi głowa puchła od tych nauk. W końcu po nabożeństwie ogłosił, że dziś wieczorem odbędzie się chrzest święty Żyda, który przejrzał i nawrócił się na prawdziwą wiarę prawosławną... No, jak to huknęło na całą parafię – Żyd? jak on wygląda? jak się chrzci dorosłego człowieka? – to, powiadam ci, tłok był w cerkwi taki jak w cyrku.

Pośrodku cerkwi postawiono wielką beczkę. Za nią stał nasz Ilia Szulim nagi, tylko z przepaską na biodrach, a dwóch chłopów z naszej wsi trzymało białe prześcieradło. Najpierw

ojciec Płaton poświęcił wodę w beczce, a Szulim stanął tyłem do niego, za nim ja i Akulina, czyli ojciec i matka chrzestną – wstał, odrzekał się szatana i pluł, aby go odpędzić. Potem zrobił wyznanie wiary, zrzucił z bioder przepaskę i wszedł do beczki, wody z niej trochę wyciekło. Wtedy ojciec Ksenofontow zagrział: – Oto chrzci się sługa Boży, Ilia, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen. – I mówiąc „w imię Ojca” zanurzył go całego w beczce pod wodą raz, „w imię Syna” – drugi raz, i „Ducha Świętego” – trzeci. Wyszedł nasz Szulim z beczki chrześcijaninem, wytarł się prześcieradłem i przywdział białą czystą koszulę niby nową szatę.

Wtedy ojciec Płaton odczytał lekcję z listu do Rzymian: „Bracia, którzy z Chrystusa jesteście ochrzczeni...” – i odbyło się bierzmowanie, a przedtem – zapomniałem tobie powiedzieć – przedtem były przygotowania do tego, czyli postrzyżyny. Ojciec Płaton namaścił olejem powieki, nozdrza, usta, uszy, piersi, ręce, stopy, wszystko ze słowami: „Pieczęć daru Ducha Świętego”. I po bierzmowaniu czytał Ewangelię: „Idźcie i nawracajcie wszystkie narody...” Wiesz, Bronku, możesz wierzyć lub nie wierzyć, ale to wszystko wyglądało bardzo uroczyście i podnosiło na duchu.

A zaręczyny – jak poinformował Mikołaj – odbyły się w cerkwi zaraz po liturgii. Po ojca Ksenofontowa podszedł i stanął po prawej jego stronie Ilia, a po lewej Jewka. Na prezbiterium leżały dwa złote pierścionki. Ksiądz im je wręczył, młodzi dostali świece i wysłuchali kazania, jak

trzeba żyć, oraz życzenia, w końcu odśpiewano litanie.

Bronisław przeniósł się z powrotem do Jemielianowów na stryszek. Wyznanie Jewki nie zdruzgotało go, zdawał sobie bowiem sprawę, że nie jest zakochany, owszem, podoba mu się i związek ich zapewniał mu spokojne, stateczne, uregulowane pożycie. I kiedy wreszcie na to się zdecydował, doprowadzony samotnością do ostateczności, to Jewka zakochała się w Szulimie, czego on w żaden sposób zrozumieć nie mógł i co wywracało wszystkie jego plany przyszłości. Było mu nad wyraz ciężko i beznadziejnie smutno, znów czuł się jak przedtem byłym katorżnikiem, przybyszem, jakim miał pozostać na zawsze. Mikołaj przeżył wstrząs nie mniejszy od Bronisława. Przyzwyczał się, że Bronisław zostanie jego zięciem, a tu taka niespodzianka. Ale sprzeciwić się znaczyło zerwać z córką. Zbyt kochał ją i znał jej charakter, że nie ustąpi.

Na ślub Jewki Bronisław włożył swój świąteczny garnitur, kupiony w Nerczyńsku, i pięknie haftowaną koszulę z jedwabnego seledynu, ofiarowaną mu tamże przez wzruszoną panienkę ze sklepu konfekcji... Jechali do Udińskiego z janczarami udekorowaną trojką, on, Szulim, Mikołaj i Akulina, za nimi drugi powóz z Jewką i družbami, Fiedotem, synem Akuliny, i przyjaciółką Jewki, a następne powozy wiozły rodzinę i kumotrów ze Starych Czumów... Bronisław, patrząc w rozpromienioną twarz Szulima, nie czuł do niego urazy – trudno, wola Jewki, chciała jego, a on rozkochany zrobił dla niej wszystko, czego chciała, nawet

wiarę zmienił, całkowicie pod jej wpływem, cóż, drapieżna w miłości, być może uczyni go szczęśliwym, ale będzie trzymała krótko.

W udińskiej cerkwi tłumek, żądny widowiska, już czekał. Będąc pierwszy raz na prawosławnym ślubie, Bronisław na wszystko patrzył świeżym okiem i każdy szczegół notował w pamięci. Nie dziwiło go, że Szulim w nowym garniturze stoi na ganku cerkwi i czeka na narzeczoną, ale że wywołuje taką sensację. „Gdzie ten Żyd? – słyszało się. – Posuń się, daj popatrzeć, jak on wygląda... O, jaki przystojny!” Kobietom się podobał, brunet z bladą cerą, z oczami dzikiej sarny, a jaki rzęsowy! Na całą długość ma rzęsy! Usta małe, delikatne, jeszcze bardziej pełne na tle małej czarnej bródki... Zdecydowanie podobał się wszystkim ten chrystusowaty Żyd. Nadszedł batuszka Ksenofontow, Młodzi stanęli obok siebie, jednego wzrostu, piękna para, zrobili kilka kroków i ledwo przestąpili próg cerkwi, jak powitał ich śpiew „O przyjdź, moja dobra...”

Na środku cerkwi stał stoliczek z ikoną. Młodzi zatrzymali się przed nim i tu ojciec Platon złożył im życzenia, pytał się, czy mają wolę pobrać się. Czy nie obiecywali tego komu innemu.

Słuchając modlitw ślubnych, Bronisław rozglądał się po tłumie. Wszystkie twarze były zafascynowane obrzędem. W napięciu śledziły każdy ruch ojca Ksenofontowa, jak wziął dwie złote korony bizantyjskie i uniósł wysoko, podając drużbom, a ci przyjęli, by trzymać je do końca nad głowami

młodych. Podając korony ojciec Ksenofontow powiedział: – Poślubia sługa Boży Ilia służebnicę Bożą Jewdokię – i pobłogosławił ich:

– Panie Boże nasz, sławą i czią uwieńcz ich!

I z chóru nad wejściem popłynął piękny śpiew trygłosowy, wypełnił całą cerkiew: „Położyłeś na głowy ich korony z drogocennych kamieni...” Szkiełka w nich migotały blaskiem diamentów, korony wydawały się prawdziwe i lśniły dukatowym złotem, młodzi stali nieruchomo jak posągi, z wyrazem władczyim i nieodgadnionym dla przyszłych pokoleń.

Batiuszka zaczął pouczenie cytatem z Ewangelii. Nie znając języka starocerkiewno-słowiańskiego, Bronisław nie wszystko zrozumiał, tym bardziej że i później rozmaite *ize*, *pacze*, *głagoły*, którymi z wielkim upodobaniem, wymową i natchnieniem zdobił swoje kazanie, wpadały mu w ucho jak pusty dźwięk. Ale sens rozumiał – takie mniej więcej kazanie mógł wygłosić każdy ksiądz na ślubie.

Potem dał młodym do picia z jednego kubka wino, połączył ich ręce stułą i tak złączonych prowadził dookoła cerkwi, za nimi kumowie nieśli ikony, a chór śpiewał: „O święci męczennicy, którzyście dobrze cierpieli i zostaliście uwieńczeni...”

Po ślubie wszyscy podchodzili do młodych, składali życzenia, ściskali, całowali. Był ścisk i tłok. Bronisław czekał, przyglądając się, jak Szulim szeroko, z rosyjska, obejmuje i solennie całuje – wchodził w swoją rolę, w nowe

wyznanie i narodowość... Przypomniało mu się zdanie, jakim zawarł z nim bliższą znajomość, jedyne zdanie po żydowsku, znał je i pytał chłopców na podwórku – z kim ty grasz? ze mną grasz czy z nimi? i chciał żartem powiedzieć: „*myt wejn szpilst di? szpilst di myt mir, cy myt zaj?*” – ale słowa zamarły mu na ustach. Do niego szedł z rozpostartymi ramionami i szczęśliwą jasną twarzą ktoś obcy, który zdawał się nie rozumieć po żydowsku – Ilia Iwanowicz Szulimow.

ZŁOTO I MIŁOŚĆ

„Właściwie nic się nie stało, wszędzie spokój, wszystko takie pogodne – góry, tajga i niebo – niebo czysty błękit, lazuryt, powiedziałyby Wróblewski, albo jeszcze piękniej lapis-lazuli, żadnej chmurki, żar leje się z nieba, przypieka, lapisuje, gdyby nie ta spiekota i plaga *gnusu*, nasze szukanie złota byłoby miłą przygodą... Więc skąd ten niepokój? Oczekiwanie czegoś złego, co lada moment musi nastąpić? Zaczęło się od wczoraj, kiedy przy ognisku Mikołaj powiedział: «Oj, chłopcy, za lekko nam idzie, za dobrze... Pewnie spotka nas wielkie nieszczęście...» W samej rzeczy od samego początku, jak wyruszyliśmy z domu, szczęście sprzyjało nam diabelnie. W drodze ani razu nie zbłądziliśmy i prosto jak po sznurku trafiliśmy na złotodajne tereny ściśle według planu: tu potok Sinica zakręca do Błękitnego Jeziora, okrążając trzy gołe skały, tam z obu stron tajga, przy środkowej skale znaczek na planiku, a na ziemi stary szurf* i ślady dawnej roboty. Trafiliśmy w dziesiątkę. W potoku, w każdym szurfie, jaki kopaliśmy, wszędzie było złoto – oszaleć można... Zapamiętaliśmy się w kopaniu od świtu do zachodu, w rzucaniu do koryta ziemi warstwa za warstwą, w

* Szurf – wykop, wyrobisko odkrywkowe.

płukaniu jej na waszgerdzie*, żeby na dnie jego oddzielić od «szarego szlichu»* drobinki złota, łuski złota, samородki złota! Jedenaście dni! I w miarę tego nieprawdopodobnego, diabelnego fartu w duszy mojej rósł lęk, że nie zawsze tak będzie, to niebывałe, nienormalne, miliony za nic? Teraz czuję pewność tej zapłaty, ciężką jak owe miliony, i truchlejąc: wielkie nieszczęście... Na Boga, nie jestem tchórzem! Ale chcę widzieć, wiedzieć, co to jest! Wróg? Choroba? Wypadek? Bo tak żyć w ciągłym, straszliwym napięciu, że coś się stanie, stać się musi, nie wiadomo, kiedy, nie wiadomo, jak i co, to rzecz nie do wytrzymania...”

Bronisław odsunął waszgerd od strumienia wody i drewnianym skrobakiem zaczął rozgarniać „szary szlich”, osiadły wzdłuż poprzeczek, wybierając z niego błyszczki złota. Zgarnął to wszystko do blaszanego pudełka, gdzie było już nieco urobku z dnia, i schował do kieszeni, by oddać Szulimowi, który w skórzanym woreczku przechowywał cały ich majątek.

Wziął „Paradoks” i poszedł w stronę Mikołaja, który zaczął kopać nowy szurf. Minął pierwszy „golec”, gołą skałą na prawym brzegu, gdzie potok w biegu do Jeziora Błękitnego skręcał na zachód. Poprzez włosiankę widział już w oddali drugi „golec” z potokiem u jego podnóża i

* Waszgerd – ręczna płuczkarnia.

* Szary szlich – pierwszy odsiew ziemi z koryta do waszgerdu.

naprzeciwko, na tym samym brzegu, którym szedł, ślady roboty Mikołaja – osobno odłożone „torfy”, osobno „piaski”. Zdziwiło go, że nie widzi wytrysków ziemi z dołu, może Mikołaj zrobił odsapkę i odpoczywa na dnie dołu... Obok czarnej grudy „torfu” coś się czerwieniło, co to mogło być? Nie mieli nic czerwonego, żadnej farby czerwonej. Zdjął z twarzy włosiankę, przeszkadzała. Teraz zobaczył, czerwień była na kilofie. Odruchowo kciukiem odbezpieczył „Paradoks”. Jeśli na kilofie krew, to znaczy zabili, ot, jakie wielkie nieszczęście wy wróżył sobie Mikołaj, rąbnęli go z góry kilofem...

Nie przyśpieszył kroku ani zwolnił. Zabijają pojedynczo jednego po drugim, Mikołaja, być może przedtem Szulima, kiedy pławił konie w jeziorze, widocznie jest ich mało... Szedł tym samym równym krokiem, oczami penetrując okolicę, gdzie oni mogą być? Jeśli zabili, to się zaczaili i czekają na następną ofiarę, ale gdzie? Na lewo tajga, ale do niej daleko, z pół wiorsty będzie... Wtem, nie dochodząc jeszcze paru kroków do szurf u Mikołaja, zauważył na piasku ślady dwóch par nóg, biegły do potoku i dalej... Rzucił nieznacznie okiem. Goła skała nawisła nad potokiem, tylko na samym wierzchołku rosły mizerne krzaki cedrowiny. Krzaki lekko się poruszyły, choć wiatru nie było. Jeśli są, to tylko tam, pomyślał i zrobił krok naprzód, wiedząc już, co zobaczy – Mikołaj leżał bokiem na dnie szurf u z rozłupaną czaszką... I ledwo tam zajrzał, rozległ się strzał. Poczuł uderzenie z tyłu w okolicę pasa, jakby go z procy kamieniem

trafiono w nagie ciało.

Podrzucił „Paradoks” do góry ku krzaczkowi, za którym widział teraz dwie sylwety, jedna zmierzyła się, by strzelić na poprawkę... Dwa strzały zagrzmiały prawie jednocześnie, ale Bronisław był odrobinę szybszy, strzelba wypadła tamtemu z rąk.

W susach, skacząc po kamieniach, póki się dało, potem w bród po kolana, przebył potok i pobiegł wzdłuż skały, bo od czoła wdrapać się na nią było niepodobna, zwisała prawie prostopadle. Ale z boku, kroków dwieście, znalazł łagodniejszy spad, pokryty wielkimi głazami. Zaczął się wspinać, myśląc, to była dubeltówka Mikołaja, dwa strzały oddano, więcej naboji nie mają...

Na szczycie nikogo nie znalazł, niewielki wierzch skały był pusty. Obejrzał głązy, za jakimi mogli się ukryć, i pobiegł po pochyłości grzbietu w stronę podnóża, gdy stamtąd zerwał się tętent kopyt końskich i dwóch jeźdźców przemknęło wściekłym galopem, uciekając, daleko na strzał, ale posłał im kulę jak wyplute w bezradności przekleństwo.

Przy krzakach znalazł obfite czerwone ślady. Trafił widocznie w ramię na wylot, krew chlusnęła z obu ran na kolbkę dubeltówki Mikołaja, rzuconej na ziemi. Była beзуżyteczna, nie mieli naboji, do tegoż jeszcze ten drugi musiał w biegu podtrzymać rannego...

Z dołu doszło go wołanie. To Szulim stał tam z końmi i z psami przy szurfi Mikołaja. Usłyszał strzały i przyjechał znad jeziora z winczesterem, który mu Mikołaj dał na

wszelki wypadek dla obrony, umiał już strzelać.

Zaczął schodzić po stoku, dopiero teraz czując ból postrzału gdzieś z tyłu w okolicy pasa.

Blady Szulim biegł mu na spotkanie chcąc oznajmić... Zamknął mu usta pytaniem:

– Masz spirytus?

– Chcesz się napić?!

– Nie, wyjmiesz mi kulę, niegłęboko tkwi, ja czuję... Jedź po spirytus. I zabierz nasze manatki z obozowiska. Tu będziemy nocować.

Został sam. Twarz piekła, chmury *gnusu* unosiły się nad nią. Podniósł czapkę, włosianka opadła, zrobiło się ciemniej, jakby patrzył przez żaluzje. Stanął na krawędzi szurfu i spojrzął w dół. Mikołaj leżał na boku, ściskając w ręku łopatę. Nie poczuł śmierci. Trzasnęła jak piorun. Została nie wyrzucona ziemia na łopacie i nie zniszczone jakieś myśli o szczęściu, teraz, obojętnie jakie – nie żyjesz, dobry, mądry Mikołaju, co chciałeś mieć mnie za syna... Zwilgotniały oczy i dwie duże łzy wymknęły się spod włosianki, spadły na trupa.

Szulim przywiózł namioty i rzeczy, zrobił dwa *dymokury*, jeden dla koni, drugi dla nich, i przygotował się do wyjęcia kuli. Dobre naboje robił Mikołaj, jeśli na taką odległość kula z dubeltówki dosięgła celu i opadając, przebiła gruby skórzany pas na Bronisławie i weszła w ciało... Nożem zanurzonym w spirytusie podważył kulę typu breneki i bez trudu wyjął, po czym zabandażował niegłęboką ranę.

Fotem obaj weszli do szurii i wynieśli ciało. Położyli na ziemi i parę razy okęcili płótnem namiotowym. Tak musi pozostać do rana. Dziesięć dni podróży w strasznym skwarze, zwłok w żaden sposób nie da się wieźć. Postanowili, że tymczasem tu je pochowają. A zimą przyjdą, wyrąbią z ziemi i w stanie zamrożonym przewiozą na renach i wąskich saneczkach do Starych Czumów, aby był wśród swoich na wiejskim cmentarzu.

Całą noc przesiedział Bronisław przy ognisku, o północy Szulim chciał go zluzować, daremnie... „Pusta noc”, tak się ponoć mówi w Polsce, kiedy się nie śpi czuwając przy zmarłym. Myślał o Mikołaju, jakim w gruncie rzeczy sprawiedliwym człowiekiem był, jak mądrze sobie życie ułożył, żeby mieć wszystkiego pod dostatkiem, a robić, co się lubi, i żyć zgodnie ze swą naturą. Przypomniało mu się zdanie Mikołaja: „starość zaczyna się po osiemdziesiątce, a zgrzybiałość po dziewięćdziesiątce...” Wierzył, że ma przed sobą jeszcze dwadzieścia lat pełni sił męskich, i na koniec życia odłożył najsmaczniejszy, deserowy kawałek, pożycie z Akuliną. Swoją drogą, to coś mówi o człowieku, że mając sześćdziesiąt lat, zakochuje się nie w młodej dziewczynie, ale w trzydziestoosmioletniej wdowie po moczymordzie i nierobie, który tylko by bałuchał po karczmach i ostatecznie w karczemnej awanturze zginął, zostawiając ją z pięciorgiem małych dzieci. Dźwigała sama ciężar całej babskiej i chłopskiej roboty, nikogo o nic nie prosząc, kiedy kto z własnej woli pomógł, przyjmowała z podzięką. Mikołaj

pomagał jej pole zorać, łąkę skosić – przyjrzał się. Ujęła go dzielność młodej kobiety, bo to się zaczęło dziesięć lat temu, była młoda, współczuła, warta miłości, a dostała się nicponiowi... I tak przyłgnęli do siebie oboje tej samej bliźniaczej natury. W tym roku, po ożenku syna i wydaniu za mąż córki, mieli się wreszcie pobrać i zamieszkać w nowym domu w tajdze, on i Akulina z trojgiem młodszych dzieci. „Masz pojęcie, mówił, jaki ten dom stanie się ludny, jaki wesoły! Dzieci będą, no i wy dwaj, ty z Mitraszą. Musicie sobie uszykować pokoje na górcie...” Ostatnio, w związku z chrztem Szulima, wysunął ją jako matkę chrzestną, przyjmował do rodziny wraz z Szulimem. Na ślubie stała obok niego, na weselu tańczył tylko z nią z taką radością życia, werwą i krzepą, że mimo woli myślało się: jeszcze urodzi mu dzieciaka albo i więcej... I jakże teraz powiedzieć jej, że Mikołaj nie żyje, zabity? Jak znieść jej dziki krzyk lub straszne, ciche łkania?

O świcie pochowali Mikołaja w tym samym szurfiu na złotonośnych piaskach z waszgerdem pod głową. Szulim zmówił modlitwę prawosławną, a Bronisław katolicką „Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie”... Postawili krzyż drewniany, na którym wyryli: Mikołaj Czutkich, 22 VI 1912 r.

Następnie zaczęli stawiać słupy rejestracyjne, od pierwszego „golca” do jeziora, bo wczoraj pławiąc konie Szulim znalazł w potoku przy ujściu samorodek wielkości orzecha, razem wypadło dwanaście słupów, którymi

„osłupili” duży teren.

I na zakończenie sporządzili dokładną mapę koncesji, o którą mają się ubiegać w Irkucku Ilia i Jewdokia Szulimowie, bo Mikołaj został zabity, a Bronisława w ogóle nie było – tak się umówili ze względu na konsekwencje, jeśli się wyda, że porzucił stałe miejsce osiedlenia w gminie Stare Czumy i znalazł się bez zezwolenia w okręgu przybajkalskim.

– Trzymamy się tych samych zasięków i znaków, które zostawił Mikołaj – mówił Bronisław. – Będę ci towarzyszył do budy noclegowej na Przeprawie, skąd nie pobłądzisz, i wieczorem będziesz w Starych Czumach. Ja wracam do domu. We wsi opowiesz, żeście z Mikołajem szukali i znaleźli złoto, ale Mikołaja zabito, tyś strzelał i jednego z napastników ranił, jednakże obaj uciekli. O mnie ani słowa. Taki sam meldunek złożysz *uriadnikowi** w Udińskim o zabójstwie Mikołaja i pojedziesz do Irkucka po koncesję. Czternastego lipca powinieneś wrócić. Piętnastego lipca przyjdę do Starych Czumów.

* *Uriadnik* – policjant niższej rangi w gminie wiejskiej, odpowiednik naszego komendanta posterunku.

– W Irkucku zatrzymałem się w Hotelu Warszawskim – zaczął swe sprawozdanie Szulim. – Nie masz pojęcia, ilu jest tam Polaków. Hotele, restauracje, ciastkarnie, domy mody, magazyny, krawcy, stolarze i kto tam jeszcze, no mówię ci, na każdym kroku spotykałem Polaka. Przyjechałem późnym wieczorem, przespałem się i raniutko udałem się w *Gornoje Uprawlenie*^{*}, które zajmuje pół parteru kamienicy na brzegu Angary, a w pozostałej części domu mieści się kancelaria generał-gubernatora Wschodniej Syberii. Rozejrzałem się po pokoju, podchodzę do urzędnika, który wydał mi się ostatnim w tej hierarchii, rzeczywiście, okazało się, że jest to registrator, czyli przepisywacz, trzydzieści rubli pensji, głodne oczy i czerwony nos. „Czy nie mógłby pan pomóc mi napisać podanie?” „Proszę bardzo...” Wypytał, jak i co, obejrzał naszą mapkę i zabrał się do pisania. „Teraz do tego pana...” Ten pan obejrzał mnie: „Czy nie jest pan czasem Żydem?” „Nie, byłem, teraz prawosławny”. Pokazałem paszport, nowy, z nazwiskiem jak dzwon cerkiewny Ilia Iwanowicz Szulimow. „W porządku. Niech pan przyjdzie o drugiej”. Wyszedłem i udałem się do pokoju, gdzie przyjmowano złoto. Wyjąłem nasz skórzany woreczek. Zważyli, wypisali pokwitowanie, zapłacili 14 325 rubli. Jewce dałem część ojca. Teraz twoja trzecia część, 4775 rubli, proszę – odliczył i podał banknoty. – Pochodziłem po mieście, interesowałem się cenami futer, byłem u

* *Gornoje Uprawlenie* – zarząd przemysłu wydobywczego

hurtowników, przecież przywiozłem z sobą wszystkie Mikołaja i twoje skórki, słowem, punkt druga byłem z powrotem. Otrzymałem koncesję za niewielką opłatą i zaprosiłem tego registratora, Siomgin się nazywał, na obiad do Hotelu Warszawskiego, godzina czwarta. Tamżeśmy podjedli, popili i pogadali, dowiedziałem się wszystkich miejskich nowości. Nazajutrz wszedłem w branżę futrzaną, chodziłem po kupcach, wychodziłem, targowałem się, w końcu sprzedałem, jak wyliczyłem. Mam dla ciebie dwa tysiące.

– Minus sto rubli prowizji, wedle umowy – powiedział Bronisław podsuwając należność.

– Dziękuję. Wróciłem na obiad, potem zdrzemnąłem się, zbudziło mnie pukanie. Kto to może być? Otwieram drzwi, stoi Siomgin. „Przepraszam, że bez uprzedzenia, ale mam dla pana pilne i bardzo ważne wiadomości”. „Proszę, niech pan wejdzie”. „Dziś wpadł do nas *isprawnik** Dołgoszejn, czy nie wydawaliśmy koncesji na teren okolic Sinicy i Jeziora Błękitnego... Pan naczelnik, że i owszem, wczoraj wydane... Panie, czy ja coś dostanę? To mnie samego trochę kosztowało”. Dałem mu sto rubli i nie żałuję, bo mi powiedział, że *isprawnik* pienieł się i żądał unieważnienia koncesji – tam na bezbronnych napadnięto, jeden zabity, drugi bez ręki w szpitalu, on, Dołgoszejn, zaraz tam jedzie z policją. Naczelnik, który jest formalista i ponoć nie lubi

* *Isprawnik* – naczelnik powiatowej policji

Dołgoszeina, odrzekł, zaczekamy na wynik pańskiego badania, ale bez takiego dowodu państwowej koncesji unieważniać nie możemy... „Pan słucha?” „A jakże, słucham, niech pan mówi, co było dalej?” „Po pracy pobiegłem do szpitala miejskiego, znam tam intendenta, i co się okazało? Oto trzy dni temu przywieziono skądś dwóch chorych, jeden miał gangrenę ręki ze strzaskaną kością, a drugi ropne zapalenie oczu. Rękę amputowano na czysto, wyluskując ze stawu barkowego, drugi, który zaniewidział, wołał ciągle *isprawnika*, dajcie mi *isprawnika* Dołgoszeina, ja na jego rozkaz tam poszedłem... Myślano, bredzi, ale na trzeci dzień, jak on tak uparcie wołał – Dołgoszein! – to powiadomili Dołgoszeina i ten go na osobności wysłuchał. Wyszedł od niego ogromnie wzburzony, lekarzowi i dyrektorowi szpitala zrobił awanturę o sabotowanie pracy policji, że chorzy leżą bez dozoru i opieki należytej, trzy dni proszą *isprawnika* i tak dalej. O co tu chodzi, pytam ja intendenta, skąd u Dołgoszeina taka troska o chore *bradiagi*? Na to ten intendent odpowiada – Dołgoszein jest w spółce z Akimem Gorazdowem, przemysłowcem złota. Posyła do tajni kryminalistów, na których ma haczyk, jak nie poszukasz dla mnie złota, to wytoczę ci taką sprawę... W ten sposób trzy lata temu zdobył kopalnię jedną dla Gorazdowa i siebie, teraz też zarzucił haczyk, ale się urwało. Zaraz by pojechał do Sinicy, ale ma wezwanie sądowe na siedemnastego lipca w głośnej sprawie spadkobierców Iwana Wodowozowa, więc dopiero po siedemnastym lipca. A tymczasem próbuje tu

złapać pana, panie Szulimow. Sprawdza wszystkie hotele i zajazdy, w Moskowskiej Gostinicy stójkowy już się pytał, czy mieszka tam Szulimow. Przyjdzie i tutaj”. Dałem mu drugie sto rubli, zapłaciłem rachunek w hotelu i poszedłem na dworzec... Co ty na to?

– Chcą nas zrobić w sprawę zabójstwa Mikołaja. To chyba się nie uda, prawda wyjdzie na jaw, ale po roku. Mogą też przyłapać mnie na samowolnym wywędrowaniu z gminy Stare Czумы do Przybajkała. Tak czy owak koncesję zabiorą.

– To co robić?

– Nie wiem. Mamy przeciw sobie dwie zjednoczone potęgi – policję i kapitał.

Nabił fajkę, zapalił.

– A może pójść na ugodę? – pomyślała głośno Jewka. – Połowa terenu dla nas, połowa dla nich.

– Po co mieliby godzić się na połowę, kiedy mogą zabrać wszystko.

Zaległo milczenie.

Bronisław pykał z fajki, Szulim nerwowo splatał i rozplatał dłonie na stole, a Jewka patrzyła ponuro w okno.

Wtem Bronisław, puściwszy kłębuszek dymu, powiedział krótko:

– Zotow.

– Sądysz, że poradzi? – spytał żywo Szulim.

– Na pewno. Jeśli będzie właścicielem koncesji. *Isprawnik* z Gorazdowem to szczupaki, a Zotow to rekin.

– Ale on zapłaci nam najwyżej kilkanaście tysięcy... A

tam leżą miliony!

– Żeby je podnieść, potrzebne nam niebagatelne pieniądze na maszyny, sprzęt techniczny, na robotników, i trzeba się na tych sprawach znać. Ja się tego nie podejmuję, Jewka chyba też, a ty musiałbyś się uczyć. Taki kłopot mielibyśmy z tymi milionami bez *isprawnika*. A jak on się wtrącił, to jedyne wyjście – z miejsca sprzedać koncesję Zotowowi i kłopot z głowy.

– Broniek ma rację – rzekła Jewka. – Niech Zotow użera się z nimi.

– Musimy się pośpieszyć. Jutro jedziemy do Zotowa.

Skończył się las i ujrzeli „Samorodek”, zalaną słońcem wielką kotlinę rdzawego piasku, całą porożytą wykopami, między którymi widziało się tu i tam oczka wody w gliniankach. Droga, opadając, prowadziła przez środek tej kotliny, od strony lasu zabudowanej chaotycznie przez domki i baraki robotników, z góry wyglądało, jakby chłopcy bawili się budownictwem, pokłócili się i rozeszli, zostawiając rozrzucone zabawki. Dalej były tereny eksploatowane, widziało się duże płuczkarnie amerykańskie, do których robotnicy mrówczo podwozili piasek na taczkach, maszyny, fontanny wody i podkopy w głąb do złóż złota. Pośrodku stał duży drewniany budynek zarządu „Samorodka”. Minawszy go, zaczęli łagodny wjazd pod górę znów do lasu, tym razem był to las cywilizowany, droga dobrze ubita, wysypana żwirem, obsadzona na przemian młodymi brzoźkami i jarzębiną. Okrążając w półkole gazon, kończyła się na podejździe przed pięknym dwupiętrowym pałacem z modrzewia.

Chociaż każdą siedzibę dużej kopalni złota nazywano tu rezydencją, ale dopiero spojrzawszy na dom Zotowa, Bronisław powiedział do Szulima – to się nazywa rezydencja! Może dlatego, że wyizolowana od czarnej roboty wydobywczej była na wpół prywatnym mieszkaniem właściciela. Tylko na parterze mieściło się biuro i gabinet Zotowa, resztę domu zamieszkiwano, pierwsze piętro zajmował Zotow z rodziną, kiedy tutaj była z nim, na drugim piętrze mieszkali goście, rezydenci i służba. Prosty, bez

przepychu dom był jednak pałacem. Zbudowany na zrąb, jak wszystkie chaty wiejskie, ale z dłużyc idealnie równych, dopasowanych, zapokostowanych, tworzył konstrukcję ze ścian dwupiętrowych niezwykle dla oka i przyjemną karbowanym wzorem. Od naturalnego tła drewna odcinały się na biało malowane okna, okiennice żaluzjowe i drzwi, i dopiero pyszny wystrój z ludowej rzeźby w drzewie kładł się tu iście pałacowym akcentem.

Zostawiwszy nieco na uboczu swój tarantas z psami, weszli do środka.

– Panowie do kogo? – zapytał odźwierny.

– Do pana Luboczki – odpowiedział Bronisław.

– Jest u siebie, pierwszy pokój na prawo z poczekalni.

Luboczkin, mówiono, awansował, jest adiutantem czy też urzędnikiem do specjalnych zleceń przy Zotowie.

Kremowa koszula rosyjska, zapięta wysoko pod szyję, z haftem krzyżykowym, przepasana granatowym paseczkiem sznurowym z kutasikami, nie dodawała mu lat, wciąż wyglądał młodzieńczo, złocistorzęsy, z dziewczęcym rumieńcem, tylko spojrzenie i ruchy nabrały powagi piastowanego urzędu.

– A Mikołaj Sawielicz, wieczne odpoczywanie daj mu, Panie... – westchnął po przywitaniu i w pół zdania zwiesił głowę w żalu nad przemijaniem losów ludzkich, czyli z pokoju *uriadnika*, z domu Wasiliewów wieść o śmierci Mikołaja poszła w świat i dotarła do „Samorodka”.

– Tak, on już ma spokój wieczysty, tylko my... –

potwierdził Szulim. – Sam w gabinecie?

– W gabinecie.

– To zamelduj, z łaski swojej, nasze przybycie.

Luboczkin poszedł do drzwi, w drzwiach przystanął:

– W sprawie?

– W sprawie sprzedaży nowo odkrytych terenów złotodajnych.

Parę minut go nie było, po czym otworzył szeroko drzwi i oznajmił:

– Wadim Pietrowicz Zotow proszą!

W ogromnym gabinecie, pełnym brązu, skóry i gabletek z minerałami pod szkłem, powstał zza biurka i poszedł im na spotkanie człowiek lat czterdziestu, w białym czesuczkowym garniturze, barczysty, wzrostu powyżej średniego, z miękką rudą bródką i twardym spojrzeniem. Podobny do marynarza, pomyślał Bronisław... Przywitał się z każdym za rękę i mówił, jakby sprawdzał:

– Szulimow, zięć Mikołaja Sawielicza... Bronisław Najdarowski, przyjaciel... Proszę przyjąć wyrazy głębokiego współczucia. Nieboszyk był człowiekiem rzadkiej czystości duszy... Proszę siadać, panowie.

Usiedli na swoich miejscach, Zotow za biurkiem, oni naprzeciwko.

– Mikołaj nieraz wspominał pana – zagaił Szulim – toteż kiedy wpadliśmy w kłopoty, przede wszystkim pomyśleliśmy o panu.

– W jakie kłopoty, panowie?

– Za duże mamy bogactwo, za małe środki.

– Mówicie o znalezionym przez was terenie?

– Właśnie. Znaleziliśmy we trójkę, Mikołaj, Bronisław i ja, teren bajecznie bogaty w złoto.

– Dlaczego zaraz „bajecznie”? Mówmy rzeczowo. Ile złota wydobyliście?

– Kopaliśmy jedenaście dni. Złota napłukaliśmy na 14 775 rubli. Oto kwit z *Górnego Uprawlenia*.

Podał kwit. Zotow spoważniał. Wziął kwit. Oczy mu się zwężyły.

– Bez maszyn, urządzeń, prymitywnymi środkami?

– Tak, tylko waszgerd. I mnie nie można liczyć za jednego robotnika, bo musiałem konie trzy razy dziennie pławić w jeziorze, bo oszalałyby od *gnusu*... Ile pan może nam zaproponować?

– Musiałbym obejrzeć teren.

– Kiedy, widzi pan, nam się śpieszy.

– W takich sprawach nie wolno się śpieszyć.

– Proszę pana, gramy w otwarte karty – wtrącił Bronisław. – Chcemy sprzedać bardzo bogatą koncesję i musimy ją sprzedać czym prędzej, drogi jest nam każdy dzień. Bo jest ktoś, kto chce odebrać nam ten teren za wszelką cenę...

Opowiedział historię zabójstwa Mikołaja i czego się dowiedział Szulim o *isprawniku* Dołgoszeinie z Gorazdowem.

– Najlepszy dowód na to, jak bardzo atrakcyjna jest

nasza koncesja, jeśli Dołgoszejn chce ją unieważnić kosztem zbrodni, robiąc z nas zabójców Mikołaja.

– Jak daleko to od nas?

– Dziesięć dni drogi.

– Drogę znacie?

– Znamy, to znaczy ja znam, lepiej orientuję się w terenie.

– To pan poprowadzi.

– Kiedy ja nie mogę.

– Dlaczego?

– Jestem zesłańcem, przypisanym do gminy Stare Czumy, a to nie leży w Przybajkalu.

– Ale pan mógł tam pójść na poszukiwanie złota, a czemu teraz nie?

– Widzi pan, zrobiłem to dla Mikołaja, złoto mnie nie interesuje. Ale złoto w Sinicy było domniemanym posagiem Szulima, a Mikołaj bardzo chciał córkę zabezpieczyć przed swoim ożenkiem i ostatecznym zamieszkaniem w tajdze. Poszedłem, bo lepiej nadawałem się do takiej przygody i ostatecznie ryzyko było niewielkie, że kogoś spotkamy w tych odludnych okolicach. Teraz jest inaczej. Spotkamy się tam z *isprawnikiem*. Dziś siedemnasty lipca, dzień rozprawy sądowej spadkobierców Wodowozowa, na którą on jest wezwany. Jutro, pojutrze może wyruszyć, jeśli ponownie sądowi nie będzie potrzebny.

– Proszę pana, co do policyjnych konsekwencji pańskiego pobytu w Sinicy...

– Liczę na pańską dyskrecję!

– Naturalnie. Otóż co do tego może pan być zupełnie spokojny. Nie był tam pan, jedzie ze mną pierwszy raz na moje żądanie. Jest pan u mnie zatrudniony.

– W jakim charakterze?

– Nie wiem. Pomyślmy... Jestem w dobrych, powiedziałbym, przyjaznych stosunkach z generał-gubernatorem. On może pozwolić zesłańcowi na towarzyszenie mi w dalekich wyprawach, na moje słowo honoru, oczywiście.

– Pojadę na pańskie słowo honoru, że pan mnie obroni.

– Wiedzieliśmy, że mamy do czynienia z człowiekiem, któremu możemy powiedzieć nie obawiając się, że on wykorzysta naszą trudną sytuację – powiedział z zapalem Szulim.

– No, co do tego, pan się grubo myli. Siebie bym nie szanował, gdybym nie wykorzystywał podobnych sytuacji. Ale z poczuciem miary.

Zadzwoił.

Zjawił się Luboczkin.

– Notuj. Inżynier, Wielaminow ma przygotować wszystko do wyprawy rozpoznawczej w okolicę Sinicy. Zabierze ze sobą dziesiętnika Mielgunowa i pięciu robotników spośród *staratieliej**... Droga potrwa w tamtą stronę dziesięć dni. W sprawach podróży porozmawia z

* *Staratieli* albo *złotoczni* – poszukiwacze złota na własny rachunek.

panem Najdarowskim. Odjazd jutro o godzinie siódmej rano.

– Wadimie Pietrowiczu, na jutro w żaden sposób...

– Powiedziałem, jutro godzina siódma, choćby miał nie spać całą noc. To wszystko.

Luboczkin wyszedł.

– Panowie zostaną u mnie.

Napisał w bloczku parę zdań, wyrwał.

– Proszę, to do zarządcy domu na pokój i utrzymanie. Panowie wybaczą, że nie będę im towarzyszył przy kolacji. Mam przed wyjazdem pozalać wszystkie sprawy... A więc do jutra!

Wyszli.

– To rozumiem, amerykańskie tempo – podsumował ich wrażenia Szulim, obracając w rękę kartkę do zarządcy domu.

Dostali natychmiast pokój i obiad. Po obiedzie przyszedł Wieliaminow, wysoki, suchy, małomówny, totumfacki Zotowa, który płacił inżynierom lepiej niż państwo, ale kraść nie dawał.

Zbadawszy mapę, przyszedł do wniosku, że trzeba ominąć Stare Czumy, wziąć na przełaj tropem wydeptanym przez myśliwych i spirytonosów i przez pięć dni wyjść powyżej ich domu, zostanie wtedy jeszcze tylko trzy dni nie znanej drogi.

– Pan trafi? – zapytał Wieliaminow.

– Tak, jeśli wyjdziemy na nasz szlak. Tam są zaciosy, którymi Mikołaj znać drogę.

– Bo to jednak duża oszczędność, osiem dni zamiast

dziesięciu.

Potem poszli do stajni i wybierali konie. Szulim zdecydował się na dziesięcioletnią spokojną klacz, a Bronisławowi wpadł w oko czteroletni ogier maści jabłkowitej, białonóżka, co ponoć przynosi szczęście. Przypomnił mu się romans, czytany w latach gimnazjalnych, o młodym szlachcicu z rycerskiego rodu, jak wyjechał ze zbiedniałego dworu w szeroki świat na białonóżce samo wtór, z jednym tylko pacholikiem, i jak dzięki temu rumakowi zdobył pannę, majątek i sławę.

– To rzadki koń, inochodziec – powiedział Wieliaminow. – Bieg ma naprzemianstronny, stawia obie prawe nogi naraz, potem obie nogi lewe, dzięki temu jazda na nim jest równa, przyjemniejsza.

Potem postawili w stajni swoją parę koni i umieścili w wozowni tarantas, zostawiając w nim na noc Bryśka z Żywym, żeby pies przez noc był spokojny, bo gdzie burka pana, tam pan wcześniej czy później przychodzi.

Pozostało jeszcze powiadomić Jewkę o przebiegu dzisiejszej rozmowy z Zotowem i że jadą do Sinicy; wrócą nie wcześniej jak za dwadzieścia parę dni – to robi Szulim. I napisać do Halinki. Bo kiedy Szulim poprosił Luboczkiną o list z kopertą, to i Bronisław przypomniał sobie, że ma napisać do kogoś, i także poprosił.

Rzadko pisywał do siostry, ale zawsze pogodnie. Wiedział, to jedyny człowiek na świecie, który naprawdę go kocha. Kocha i uwielbia, no bo jakże, starszy brat, opiekun

jej i matki, tak krótko, niestety. Mówi o nim przyciszonym głosem, jakby spoglądała na portret bohatera narodowego – mądry i dzielny, walczy o sprawiedliwość społeczną, o Polskę niepodległą... Biedna Halinka, taki ołtarzyk wznieść w sercu i być uległą żoną, przynoszącą w dodatku 25 rubli miesięcznej pensji telegrafistki, bezosobową kuchtą tego płaza z natury, a samodzierzcy w domu z upodobania, Galarczyka, tej gnidy kolejowej... Wiedział, że zirytuje się. Zawsze musiał się zirytować, ilekroć pisał do siostry, pokonać wewnętrzne opory, opanować nienawiść i pogardę, jaką czuł do Galarczyka, synonima owych rzesz wiernopoddańczych, gotowych na każdy kompromis z sumieniem, na każde usprawiedliwione egoizmem łajdactwo, byle żyć spokojnie swoimi sprawami i oszczędzać aż do starości w domku, na rencie albo w glorii posiadacza konta bankowego. Dotąd listy jego, pisane na pokrzepienie Halinki, były wierutną fantazją, obliczone na jej naiwność, że jemu, leśniczemu w Starych Czumach, powodzi się wyśmienicie. Teraz długo siedział, nie mogąc skreślić zdania w stylu owego trzeźwego optymizmu, na jaki zdobywał się poprzednio i jaki powinien cechować syberyjskiego urzędnika na dorobku. W końcu napisał:

„Droga Halinko, list mój będzie niewesoły, bo jest mi niewymownie ciężko na duszy – zabili mojego najbliższego przyjaciela, Mikołaja Czutkich. Stało się to w Górach Przybajkalskich, dokąd poszliśmy na poszukiwanie złota...”

Pierwszy raz pisał siostrze prawdę i w miarę jak ją

rozpamiętywał, czuł ulgę, kojącą bliskość obecności Halinki, jak gdyby w milczeniu położyła swą ciepłą, oddaną dłoń na jego ramieniu.

Posuwali się gęsiego, jeden po drugim, wąską ścieżyną tajgową, wydeptaną przez wieki nogami niezliczonych pokoleń tunguskich, potem myśliwych i spirytonosów. Wyprawa rozciągała się długim węzem. Na przodzie jechał Bronisław, przed nim biegły psy, potem Szulim, za nim Wieliaminow i Zotow, wreszcie Mielgunow i pięciu *staratieliej* na przemian prowadzących dziesięć jucznych koni z prowiantem, namiotami i narzędziami.

Z początku niemałą wesołość wzbudzał Szulim, pierwszy raz jechał konno. Nim siadł w siodło, jedną sobie konia cukrem i pieszczotami. Wkrótce jednak oswoił się ze swoją kobyłką i trzymał się pewnie. Bronisław co prawda odbył już na koniu parę przejażdżek, ale to było dawno, w Natolinie, dokąd wybierał się z Oldkiem Jurgielewiczem na ćwiczenia strzeleckie do majątku, którym administrował wuj. W ciągu dnia rozmawiali niewiele, bo nie sposób mówić do kogoś, kto jedzie przed tobą lub z tyłu. Za to na postojach obiadowych lub noclegowych mogli sobie powetować to milczenie wzmożonym gwarem i wesołością. Raz na takim postoju Szulim opowiedział, jak Bronisław zdobył we Francji wielką nagrodę strzelecką, i co rzucić mu w powietrze, to przedziurawi. Nie uwierzyli. Jeden *staratiel* rzucił czapkę – Bronisław przedziurawił. Drugi cisnął kawałek kory – trafiona! Trzeci puścił blaszkę – szła prosto w górę

pobłyskując w powietrzu, wtem strzał w nią uderzył i porwał za sobą. Wtedy dali za wygraną. Zotow powiedział: „Strzela pan cyrkowo, majątek ma pan w lufie...” Był równym kompanem, dobrze znosił trudy podróży, nie wymagał dla siebie specjalnych wygód i rozmawiał ze wszystkimi, jak gdyby nie istniały jego miliony.

Tak robiąc przeciętnie czterdzieści wiorst dziennie, z włosiankami na twarzach i nocując w szczelnie zamkniętych namiotach przy *dymokurach*, ósmego dnia stanęli u mogiły Mikołaja.

W wielkim namiocie Zotowa, który nareszcie postawiono i w którym znalazły się składane krzesła i stół, odbyła się narada, jak badać teren koncesji. Postanowiono założyć trzy szurfy w dolinie, zbadać denny piasek potoku i jego ujście do jeziora.

W pierwszym dniu robót zdejmowano i odkładano na bok warstwy „torfów”, w których, to było do przewidzenia, nic nie znaleziono, natomiast płucząc piasek potoku odsiano szczyptę złota.

Drugiego dnia dokopano się do piasków złotonośnych we wszystkich szurfach, najwięcej w szurfie obok mogiły Mikołaja.

Trzeci dzień był dniem tryumfu – złoto było wszędzie, w szurfach i w potoku.

Czwartego dnia to samo, tylko doszło jeszcze odkrycie, że najwięcej złota jest przy ujściu, na skalnych progach, przegradzających w poprzek koryto potoku. Tu jak na

waszgerdzie osiada złoto. Szulim powiedział, że gdy w dniu zabójstwa Mikołaja pławili konie w jeziorze, to tam właśnie znalazł samorodek wielkości orzecha. Wielaminow był zdania, że złoto przez wieki całe spływało do jeziora. Należy przekopać kanał odpływowy i potok skierować do tajgi. Wtedy łożysko potoku można eksploatować i obnażone dno wyda nagromadzone skarby.

Kiedy o tym rozmawiali w namiocie Zotowa, a było to już pod wieczór, przybiegł *staratiel*, który pracował w szurfie przy pierwszym „golcu”. Oznajmił, że bardzo daleko widział dym, jakby ktoś tam zaobozował.

– Dołgoszejn nadciąga – orzekł Szulim.

– To kończmy, panowie. Dla mnie sytuacja jest jasna. Musicie się zdecydować przed jego przybyciem.

– My gotowi, wszystko zależy od pańskiej oferty.

– Ja wam daję – zaczął wolno Zotow, spoglądając na skórzany woreczek, gdzie było więcej złota, aniżeli w tym, który Szulim zdał *Gornomu Uprawlieniu* – ja wam daję siedemdziesiąt pięć tysięcy i ani kopiejki więcej.

– Ależ tu miliony, panie! Miliony! – wykrzyknął Szulim.

– Nie przeczę. Tylko pół miliona trzeba włożyć w kanał, w maszyny, w robocizną dla tysiąca robotników.

– Zgadzam się – powiedział Bronisław. Szulim spojrział na niego z wyrzutem.

– Trudno, w takim razie i ja się zgadzam.

– Nie pożałujecie, panowie. Bo przyrzekam wam moją opiekę, a to też coś znaczy... Aliksiej Daniłyczu – zwrócił

się do Wielaminowa – trzeba sporządzić akt odsprzedaży koncesji, antydatowany, powiedzmy, cztery dni temu.

Wielaminow sporządził akt, Zotow napisał zobowiązanie, że po powrocie do „Samorodka” natychmiast wypłaci panu I. I. Szulimowowi należność za odsprzedaną koncesję w wysokości siedemdziesięciu pięciu tysięcy.

Podpisali się, wymienili dokumenty i zaczęli układać scenę jutrzejszego spotkania, kto gdzie będzie stał i jak się zachowa, zrobili cały scenopis.

Kiedy zostali sami, Szulim dał upust swemu rozgoryczeniu na Bronisława, że przez niego dostali dwa razy mniej, niż się należało, śmiesznie małe odstępne za miliony!

– Chciwość w tobie rośnie – zauważył Bronisław w odpowiedzi. – Jeszcze niedawno nie miałeś nic, potem myślałeś, że dostaniemy kilkanaście tysięcy, a teraz, gdy na twoją dolę z Jewką przypada pięćdziesiąt tysięcy, podnosisz lament, ajaj, jak mało, powinno być sto! Prawdę mówią Francuzi, apetyt przychodzi z jedzeniem.

Nazajutrz rano ukazała się kawalkada i zaczęła się zbliżać ku namiotowi. Bronisław z „Paradoksem” na ramieniu stał u wejścia. Na czele kawalkady jechał gruby urzędnik w policyjnym mundurze, obok niego ktoś cywilny, oboje we włosiankach na twarzach, bo w lipcu jest najgorszy *gnus*, komary, meszka, ślepnie i *żygalki*, owady tnące podczas największego żaru. Za nimi dwaj policjanci także w ochronnych włosiankach. Wyglądali jak rycerze z opuszczonymi przyłbicami albo jak zamaskowani bandyci. W

tyłe widziało się tłumek z kilku kozaków i tuzina robotników.

– Kto tu jest gospodarzem? – zawołał tubalnym głosem gruby. – Chcę widzieć gospodarza!

Bronisław wsunął głowę do namiotu.

– Wadimie Pietrowiczu, proszą was.

Wyszedł Zotow, także z włosianką na twarzy.

– Pan jest właścicielem koncesji?

– Ja.

Gruby odsłonił twarz, niewygodnie było rozmawiać z włosianką na twarzy. Ukazały się ryże bokobrody na krwistej, nalanej, nieokiełznanej fizjonomii, z portretów *samodurów* powiatowych epoki Mikołaja I.

– Mam przeprowadzić dochodzenie w sprawie zabójstwa Mikołaja Czutkich oraz okaleczenia Stiepana Burlaka na pańskiej koncesji.

– Nic nie mogę powiedzieć w tej sprawie. Nie było mnie wówczas na koncesji.

– Jak to nie było? Pan jest oskarżony o to i ja unieważniam koncesję, panie Szulimow! – wrzasnął *isprawnik*.

– Powoli, powoli... *Isprawnika* za przekroczenie kompetencji też można unieważnić.

Podniósł włosiankę.

– Zotow jestem. Moją koncesję pan unieważnia?

Isprawnik odstąpił, jakby zobaczył przed sobą minę, która grozi wybuchem. Znał Zotowa, jego potęgę i koneksje.

– Pan wybaczy, nieporozumienie... przez tę włosiankę,

oczywiście.

– Panie, ja tę koncesję nabyłem zgodnie z prawem od prawowitych właścicieli i rozpocząłem, jak pan widzi, roboty na tym terenie. A co było przedtem, to mnie nie obchodzi. Choćby pan szukał dziesięciu zabójców, teren jest mój i moim pozostanie!

– Oczywiście, skoro pan nabył... – potwierdzał zmieszany *isprawnik*.

– To co pana interesuje: teren czy zabójca?

– Naturalnie, zabójca.

– W takim razie niech pan mówi. Jest tu pan Szulimow, którego ta sprawa bezpośrednio obchodzi.

Szulim wysunął się z namiotu.

Isprawnik stracił już tupet i zapał do sprawy, jak się dowiedział, że ziemi tak czy owak nie dostanie. Ale musiał zachować pozory.

– Wpłynęło doniesienie od Stiepana Burląka, który leży w szpitalu miejskim w Irkucku z amputowaną ręką. Ten Burlak zeznał, że z drugim *złotnicznikiem*, Nieczujem, był przypadkowym świadkiem kłótni młodego *staratiela* ze starym i ten młody zabił starego.

– Jak zabił?

– Zastrzelił. Potem spostrzegł, że jest obserwowany zza drzew...

– W tajdze to się działo?

– Tak, w tajdze. Chciał zlikwidować świadków swej zbrodni i dwa razy strzelał, zranił Burląka w rękę, ale ten

przy pomocy Nieczuja dotarł do koni i uciekł. Kość miał strzaskaną, blakali się długo w tajdze, wywiązała się gangrena i rękę odjęto.

– Ciekawa historia, ale czy prawdziwa – powiedział rozważając Zotow i zwrócił się wprost do Szulima. – A pan co powie, panie Szulimow? Wszak to pan był owym młodym?

– Tak. To kłamstwo. Działo się to nie w tajdze, ale tu, na gołym terenie. Proszę spojrzeć – ten kopczyk z krzyżem widzicie? To mogła Mikołaja. Tu był jego szurf, w którym go zabito. Mnie przy tym nie było, bo akurat pławiłem konie w jeziorze. Po powrocie zastałem go na dnie szurfu, z rozłupaną czaszką. Wcale do niego nie strzelano, bo ja bym słyszał! Domagam się sekcji zwłok! Sekcja wykaże, że Mikołaja zabito uderzeniem kilofa w tył głowy...

Skoczył do namiotu i po chwili wrócił z kilofem w rękę.

– Tym oto kilofem! Widzicie na nim ślady zakrzepłej krwi?

Isprawnik popatrzył: – To może być również rdza...

– Sekcja wykaże! – wykrzyknął Szulim.

– Kiedy pan zarządzi sekcję zwłok? – zapytał Zotow.

– Nu, jakaż tam sekcja, w taki upał... Nawet lekarza nie mam.

– Jak to? Jedzie pan na śledztwo w sprawie zabójstwa, gdzie jest trup, i nie bierze z sobą lekarza?

– Tak się fatalnie złożyło, że nasz lekarz był w powiecie.

– Dziwne... Co było dalej, panie Szulimow?

– Pochyliłem się nad szurfem Mikołaja i wtedy do mnie z tyłu strzelono, z tego „golca”, zza krzaków, widzicie? Ale odległość była duża, zabójca źle obliczył dystans czy nie wiedział, na jaką odległość można strzelać z dubeltówki, bo to była dubeltówka Mikołaja, którą on zostawił przy szurfie, dość że kula nie miała już siły przebicia, przebiła tylko ten pas.

Zdjął szeroki, gruby pas, wyjął z kieszeni kulę, swego czasu wydłubaną z ciała Bronisława, i przymierzył do dziurki w pasie, – To ta kula... Siedzi jak ulał.

Isprawnik wziął pas i kulę, sprawdził. Pasowała. Wytarł chustką spocone czoło.

– No, tak... Ale tego nikt nie widział. Do pasa zawsze można strzelić.

– W jakim celu?

– A żeby powiedzieć, że dubeltówkę miał kto inny.

– To mi nie potrzeba. To i tak widać – wszedł do namiotu i przyniósł dubeltówkę Mikołaja. – Proszę spojrzeć na łożę, całe w plamach krwi. Bo kiedy ja w odpowiedzi na jego kulę strzeliłem z winczestera i trafiłem go w rękę, to on porzucił strzelbę i zaczął uciekać ze swoim kumplem, dosiadł koni i uciekł. Przy krzakach znalazłem dubeltówkę całą we krwi.

– Ale czy to aby na pewno dubeltówka Mikołaja Czutkich? – powątpiewał *isprawnik*.

– Na pewno jego, mogę poświadczyć – powiedział Bronisław. – Wiem, przez dwa lata polowałem z nim na

futerkową zwierzynę.

– A pan kto taki? – w rozdrażnieniu spytał *isprawnik*.

– Pracownik mój – odpowiedział Zotow. – Zawsze towarzyszy mi w dalekich wyprawach.

– W jakim charakterze?

– W charakterze ochrony osobistej.

Wyjął portfel, zapiął, powiedział Bronisławowi: – Jeśli trafisz, wszystko twoje! – i rzucił w powietrze.

Bronisław strzelił. Portfel zaznaczył trafienie skokiem w górę i opadł łukiem nie opodał kozaków i robotników *isprawnika*.

Jeden z robotników pobiegł i przyniósł Zotowowi. Ten pokazał portfel *isprawnikowi*.

– Widzi pan? Trafił, gdy leciał od niego grzbietem, nie płaszczyzną! W sam grzbiecik grubości palca!

I oddał Bronisławowi: – Masz. Powiedziałem, jeśli trafisz, to twoje.

– Dziękuję waszej miłości – powiedział Bronisław kłaniając się, jak przystało słudze.

– No, na mnie czas. Ja do Buriatów jadę, tam poważna sprawa, a tu zajrzałem, bo po drodze. Prawdę mówiąc, słowom Burlaka nie bardzo wierzę.

– A może jednak zrobilibyśmy sekcję? – zaproponował Zotow. – Niedużo zajmie czasu, a po to, żeby ustalić, czy człowiekowi rozłupano czaszkę, czy go zastrzelono, do tego nie trzeba być lekarzem.

– Nie, przepisy sanitarne nie pozwalają – odparł

isprawnik, znów ocierając chustką pot z czoła. – Ale zabójców Mikołaja znajdziemy, spokojna głowa.

– Mniejsza o zabójcę – rzekł Zotow. – Wyjaśniliśmy, że to Stiepan Burlak. Chodzi o współników.

– Co pan ma na myśli? – zaniepokoił się *isprawnik*.

– Mówię o cichych współnikach zabójcy. O tych, którzy go tutaj posłali.

– Czyżby tacy byli?

– Z całą pewnością.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Bo gdyby Burlak był sam, to po zabójstwie Mikołaja, straciwszy rękę, dałby spokój i milczałby. Ale on się poskarżył. Nałgał, i to w sposób byle jaki, nie zważając na to, czy to łgarstwo ma ręce i nogi. Ufał, że mimo wszystko obronią.

– Tak? A to ciekawe... No, do widzenia!

– Szczęśliwej drogi do Buriatów!

Patrzyli, jak odchodzi i przyłącza się do oczekującej go gromadki.

– Nawet nie zapytał o nazwisko pana – powiedział Zotow do Bronisława.

– A gdzie się podział jego towarzysz?

– Jak zobaczył Zotowa, zaraz czmychnął.

– Czy to nie Gorazdow? Kto zna Gorazdowa?

Nikt nie znał. Kawalkada zaczęła oddalać się od namiotu, gdzie dzielono się uwagami:

– No, nie zazdrozczę *isprawnikowi*. Wracać taki szmat

drogi do Irkucka ze wstydem, z pustą ręką!

– Jak go dzisiaj szlag nie trafi, to upije się w trupa!

Weszli do namiotu. Bronisław wyjął z kieszeni portfel i podał Zotowowi, ten zaprotestował:

– Ależ ja go panu podarowałem!

– Na niby, gdy byłem na służbie u pana.

– Bronisławie Edwardowiczu, proszę przyjąć na pamiątkę naszego tryumfu nad Dołgoszeinem.

– Pod żadnym pozorem.

– No dobrze, ja się zrewanżuję – wziął portfel. – Prawdę mówiąc, to ja się cieszę, że go mam. Będę mógł opowiadać, jak go pan przestrzelił, i pokazywać tę dziurkę, bo bez tego nikt by nie uwierzył.

Schował portfel do bocznej kieszeni letniego kitla.

– Proszę panów, odnieśliśmy walne zwycięstwo nad Dołgoszeinem. Jak upał spadnie, zrobimy mały bankiet na cześć nowej kopalni złota „Sinica”. Robotnicy pracują dziś tylko do obiadu, a na obiad Mielgunow ma dać trzykrotnie *kriuczok*... Jutro stają do pracy, a my wracamy do „Samorodka” po maszyny i robotników.

Zotow schował do teczki zeznanie Szulima. Do gabinetu wdarło się terkotanie dynama w rozruchu po remoncie. Cienie młodych brzózek, posadzonych przed oknami, chwiały się z lekka rozmytym azurem na biurku i twarzach Szulima i Bronisława.

– Dołgoszejn był beczelnie pewien, że w tym kraju policja wszystko może. Nie zadał sobie nawet trudu logicznego uzasadnienia kłamliwych oskarżeń... Będzie miał się z pyszna. Świętej pamięci Mikołaj Sawielicz był człowiekiem, którego bardzo szanowałem.

Odłożył tekę i wziął książeczkę czekową. – Mam wypisać dwa чеки?

– Tak, dla mnie i żony na pięćdziesiąt tysięcy na moje nazwisko, i drugi czek na dwadzieścia pięć tysięcy na okaziciela.

Zotow pisał. Luboczkin uchylił drzwi, zajrzał i cicho zamknął. – Proszę – Zotow podał чеки. – Jeśli wolno zapytać, panie Szulimow, co wy z tymi pieniędzmi zrobicie? Macie już jakiś plan?

– Nie. Wyjedziemy do miasta i tam się rozejrzemy.

– W takim razie zastanówcie się nad tym, co powiem. Przyjrzałem się panu. Człowiek taki jak pan, rzutki, pracowity, z praktyką handlową, z rasy kupców i z kapitałem, może zrobić na Syberii karierę. Brak panu tylko znajomości mechanizmów wielkiego handlu. A ja organizuję rosyjskie towarzystwo handlu z Chinami, połowa udziałów moja, dwadzieścia procent Klementiewa, reszta drobnych

udziałowców. Centrala w Charbinie. Wie pan, Charbin, licha wioska przed czternastoma laty, teraz wielkie miasto, z dzielnicą chińską, rosyjską, japońską i amerykańską, jest siedzibą dyrekcji kolei wschodniosyberyjskiej, ma połączenie kolejowe z Mugdenem i Pekinem. Prezesem będzie Klemientiew, doskonały kupiec i znawca Chin, sześćdziesiąt dwa lata, ale zgodził się jeszcze trzy, cztery lata stać na czele tego przedsięwzięcia. Otóż ja bym widział pana gdzieś koło niego.

– To dla mnie wielki zaszczyt.

– Byłby pan członkiem zarządu, udziałowcem i urzędnikiem, zgodnie z zasadą osobistego materialnego zainteresowania pracowników, urzędnikiem do dyspozycji Klemientiewa z pensją dwieście rubli miesięcznie plus wypłata na kupon dywidendowy. W drugim roku zostałyby pan sekretarzem Klemientiewa z pensją pięćset rubli miesięcznie plus dywidenda, rzecz jasna. W trzecim roku mógłby pan awansować na zastępcę Klemientiewa, ale to zależałoby już od pana, czy chciałby pan być zastępcą i czy miałby do tego kwalifikacje. W każdym razie, gdyby pan wolał własny interes, mógłby pan wycofać swoje pięćdziesiąt tysięcy z czystym zyskiem, po dobrej szkole wielkiego handlu.

– Bardzo panu dziękuję. To mi najbardziej odpowiada.

– W takim razie musi się pan pośpieszyć. Dziś dziewiąty sierpnia. Jutro wyjeżdżam do Irkucka. Przed końcem miesiąca zarząd musi być uformowany.

– Tylko zajrzę do Starych Czumów, uprzedzę żonę, żeby się pakowała, i jadę do Irkucka.

– Doskonale... A, byłbym zapomniał, jeszcze jeden brak. Brakuje panu towarzyskiego szlifu.

– Szlifu?

– Właśnie. Jak się ubrać i kiedy, jak się zachować w różnym towarzystwie, wśród ludzi interesu, na przyjęciu, wobec dam, nie podawać pierwszy ręki, no, wie pan, ogląda. To nie byle jaka rzecz... U mnie w biurze pokutuje Kurdiumow, też pojedzie do Charbina. Zgrał się do nitki. Były bogacz i niegłupi, przemiły pan, cóż, kiedy nałogowiec... Niech się pan z nim zaprzyjaźni. On wie wszystko o formach towarzyskich i ma gust. Słuchając jego rad, będzie pan ubrany zawsze stosownie do okoliczności, zachowa się pan, jak należy, i uniknie wielu kłopotliwych konfuzji... A teraz pan, panie Najdarowski. Czy mógłby pan zostać w „Samorodku” jeszcze dwa tygodnie, aż ja wrócę?

– Jeśli panu na tym zależy, to oczywiście mogę.

– Widzi pan, mam pięćdziesiąt tysięcy dziesięcin tajgi, to mniej więcej pięć nadleśnictw. Nie miałem nigdy czasu zająć się porządnie tymi lasami. Zrobiłem trzy leśnictwa i dałem dwunastu *objezczyków*, tniemy te lasy, ile trzeba dla „Samorodka”, i zostawiamy do samozalesienia. O łowiectwie w ogóle nie myśleliśmy. Otóż chcę pana prosić, aby pan przez te dwa-trzy tygodnie pojeździł, popatrzył i powiedział mi swe zdanie. Zdanie w dwóch wariantach. Pierwszy – co trzeba tutaj zrobić dla nowoczesnej gospodarki łowieckiej,

nastawionej na dochodowość? Drugi wariant – bimbam na dochodowość, stać mnie na przyjemność, na kaprys, ale ile ten kaprys będzie mnie kosztował i co ja z tego będę miał? Tak czy owak, muszę wyraźnie na coś się zdecydować, wiedząc wszystkie za i przeciw... Zrobi pan to?

– Postaram się.

– Będę panu bardzo zobowiązany... Tak zatem wszystko obgadaliśmy. A więc do widzenia, panie Szulimow, w Irkucku za dziewięć dni... Do widzenia, panie Najdarowski, tutaj 31 sierpnia.

Kiedy wyszli, Szulim kazał zaprzęgać, bo była godzina jedenasta, chciał dzisiaj nocować w Udińskim, by jutro przybyć do Starych Czumów. A Bronisław poprosił Luboczkinę, który w swoim biurku trzymał wszystko potrzebne do poczty, by dał mu przekaz telegraficzny i papier listowy z kopertą. Wypełnił przekaz, napisał list do Halinki, że właśnie wrócił z nowo odkrytej kopalni złota; którą on ze współnikiem sprzedali jednemu z tutejszych magnatów, toteż otrzymaną sumą pragnie podzielić się z nią w ten sposób, że pięć tysięcy rubli ona otrzymuje teraz, a resztę za dwa lata, bo nadarza się okazja włożyć pieniądze w dobrze prosperujące przedsięwzięcie.

Szulim stał już, czekając, aż skończy.

– Masz przekaz dla mojej siostry. Zanotuj jej adres. A tu masz czek na 25 000 rubli. Dwadzieścia tysięcy dołączysz do twego udziału. Za dwa lata zyski wyrównają ten przekaz?

– Albo i przekroczą...

– Wtedy wyślesz. Pamiętaj, Halina Galarczyk, tobie, powierzam jak testament.

– Bądź spokojny. Zaraz napiszę pokwitowanie.

– Po co? Dla nas ważne jest słowo.

– Pod chajrem, będę dbał o interesy twojej siostry.

Brzmiało to jak ślubowanie.

– W porządku. Pozdrów ode mnie Jewkę, z całego serca życzę jej powodzenia na nowej drodze życia... A co zrobicie z gospodarstwem?

– Wszystko sprzedamy.

– I dom Mikołaja, sto dziesięcin tajgi?

– Chyba też.

– Mikołaja to wszystko kosztowało około dwóch tysięcy. To ja bym tyle dał.

– Powiem. No, bywaj, Bronku. Pomogłeś mi wyjść na porządnego człowieka. Unoszę cię w sercu jak skarb najdroższy!

– Nie możesz jednak bez patosu... Daj pyska!

Ucałowali się.

Konie już stały na podjeździe. Szulim dał stajennemu oduzdne, napiwek ten słusznie się mu należał, gdyż opiekował się w stajni Zotowa cudzymi końmi przez trzy tygodnie. Ostatnie machnięcie ręką na pożegnanie i tarantas ruszył.

Nazajutrz rano Bronisław wyjechał na swoim inochodźcu z psami do najbliższego leśnictwa Zotowa w odległości dziesięciu wiorst od „Samorodka”. To miejsce

wybrał sobie na pierwszą bazę wypadową, skąd co dzień robił wyprawy rozpoznawcze w towarzystwie *objezczyka*, ponurego Sybiraka starszego wiekiem. Wypytywał o stan zwierzyny, ile czego tu jest w przybliżeniu, o miejsca ostoi, kierunki wędrówek, jakieś ciekawsze, osobliwe miejsca szkicował i wszystko starał się notować.

Piątego dnia pod wieczór wrócił do „Samorodka” i w swoim pokoju zastał Szulima z Mitraszą. Czekali na niego.

Od Szulima dowiedział się, że Jewka ogromnie się ucieszyła wspianą karierą Szulima i że jadą do wielkiego miasta, ale z czym? Jak włożą wszystkie pieniądze w udziały, to nie będą mieli na podróż, na hotele, nim znajdą sobie mieszkanie w Charbinie. Potrzebne duże pieniądze na to wszystko i żeby się ubrać i żyć przyzwoicie. Przecież samych półbucików musi mieć Szulim cztery pary i garniturów pięć, do tegoż jeszcze jesionka, kapelusz i rękawiczki, nawet dwie pary rękawiczek. Na zimę futro podbite lisami z wydrą na kołnierzu... A jak zaczęła wyliczać, czego ona potrzebuje, to zamierzone wydatki zaczęły piąć się setkami, przekroczyły pięćsetkę i zgroza ich zdjęła... Ano, trzeba wyprzedać się ze wszystkiego i z jedną walizką wyruszyć do Irkucka, tam się wszystko kupi. Ale w Starych Czumach, jak się ludzie dowiedzieli, że oni muszą sprzedać, i to prędko sprzedać, to chcieliby za pół ceny, więc grali na zwłokę, na przewlekanie, szczęście, aż onegdaj Wiera Lwowna dom z całym gospodarstwem kupiła za dwa tysiące rubli.

– Kto to Wiera Lwowna?

– A zapomniałem ci powiedzieć. Do Starych Czumów przywieźli nowych zesłańców, Polaka jednego, politycznego, i kobietę, właśnie Wierę Lwowna, kryminalną. Zamieszkała u Jewki i Jewka ogromnie ją polubiła.

– To ta kryminalna miała dwa tysiące?

– Ona ma, ile zechce. Jej ojciec przysyła. Więc pożyczyla u Jemielianowa, że jak ojciec przyśle jej na urządzenie się, to ona mu odda dwa tysiące sto... No, a teraz twoje drugie dwa tysiące. Masz papier, Jewka ci dziękuje, w samą porę wyręczyłeś i rada jest, że ten dom, który ojciec budował z taką pasją, i te sto dziesięcin tajgi dostaną się tobie.

Podał akt kupna, poświadczony przez gminę. Bronisław wyjął i odliczył pieniądze.

Służba przyniosła do pokoju kolację na trzy osoby. Zabrali się do jedzenia.

– No, teraz wystarczy – powiedział Bronisław. – Cztery tysiące to jednak suma.

– Ale wydatki to też suma... Wiesz, ja najbardziej obawiam się garniturów i krawatów. Bo wielki handel to dla mnie fiume, opanuję! Ale co włożyć, jaki krawat, jak zawiązać, żeby nie wystawić się na durnia, to ciężka sprawa.

– Zotow dał ci dobrą radę. Trzymaj się Kurdiumowa, słuchaj, co on mówi. I Jewce powiedz, żeby poradził jej dobrą modystkę. Daj mu prezent albo pożyczkę, opłaci się... A na początku trzymaj język za zębami, nie zdradzaj swej niewiedzy czy nieobycia. Małomówny, czyli myślący, taka

opinia o tobie będzie najlepsza. Nie bądź frantowski, nie syp piaskiem w oczy, modne spodenki, jaskrawa kamizelka, laseczka ze złotą gałką – będziesz ośmieszony, spalony... Dobrze ci będzie w czarnym, marengo lub ciemnogramatowym garniturze z teczką pod pachą, taki skupiony milczek, pracowity, usłużny, przystojny, zyska sobie ogólną sympatię.

Mitrasza podał Bronisławowi kartę wydartą z notesu. Prosił pokornie zabrać go z sobą, przyrzekał posłuszeństwo, pracę i wierność, żeby tylko polować.

– Chcesz jechać ze mną? – spytał Bronisław. – Zgodą, Mitrasza, lubię cię i myślę, że dobrze nam będzie we dwóch. Przyjeżdżaj po mnie 31 sierpnia wieczorem, ale nie tarantasem, lecz wozem. Musimy w Udińskim zakupić prowiant... Tylko czym go przewieziemy do siebie w tajgę?

Mitrasza pokazał rękami rogi nad głową.

– Reny? Cóż, niezły pomysł. Nie potrzebują siana ni owsa i wszędzie bez drogi przejdą, same się żywią, jagieł wszędzie mają... Cztery juczne reny i dwa dla nas.

Mitrasza oszedł. W pokoju były tylko dwa łóżka, nie chcieli fatygować prosząc o przenocowanie jeszcze jednego. Poradził sobie w tarantasie, wyjął przednie siedzenie i ułożył się na spodzie.

Zaczęli się rozbierać.

– Jewka jest w błogosławnym stanie – oznajmił Szulim.

Mógł się tego spodziewać, jednak kolnęło go – będzie

miała dziecko, nie jego dziecko...

– To jej było potrzebne, macierzyństwo... Oby urodziło się szczęśliwe i zdrowo się chowało.

– Jeśli urodzi się chłopak, powiedziała, to nazwie go Bronisławem.

– Nie ma takiego imienia w prawosławnym kalendarzu.

– Już ona znajdzie na to sposób.

Leżeli w łóżkach i nie spali, każdy myślał o swoim.

– Bronku – spytał Szulim łamiącym się głosem – ty mną teraz pogardzasz?

– Co ci przyszło do głowy? Dlaczego miałbym tobą gardzić?

– Ano, po tej beczce, jak się ochrzciłem...

– Wybij to sobie z głowy. Dla mnie ty jesteś taki sam. A że przyjąłeś prawosławie, to zrobiłeś dla Jewki, najwyższy dowód miłości... Judaizm w tobie stał się czy też rozchlebotął. Sam jeden z dala od współwyznawców dziesięć czy dwanaście lat płątałeś się wśród obcych. Trudno było stawić opór szczęściu. Ale prawosławnym czy mojżeszowym, bądź ty człowiekiem, porządnym człowiekiem, rozumiesz?

– Dziękuję, ty jeden tak sądzisz. Ale wszyscy myślą – wychrzta. I dlatego stara się być porządnym, że wychrzta.

– A niech sobie myślą, potem przyzwyczają się i przestaną, kiedy będziesz prezesem rosyjskiego towarzystwa handlu z Chinami.

– Wiesz, wydaje mi się, że wyznanie to nawyk od

urodzenia, dlatego zmienić go całkiem niepodobna... Ot, urodzi mi się syn...

– Osilek, jak każdy z Czutkich.

– Powiedzmy... Na Boże Narodzenie będę mu urządzał choinkę, będę zapalał świeczki i kiedy mnie coś ściśnie za gardło, to nikt, nawet Jewka, nie dowie się, że myślę o Chanuce, o świeczkach chanukowych. A kiedy będę umierał, wyspowiadany i namaszczony przez popa, w gasnącym wzroku syn nie odczyta błagania – zmów za mnie kadysz! – kadysz zmów za mnie! – jak ja za duszę mego ojca, jak ojciec za duszę dziadka!

Nazajutrz Szulim odjechał, wręczywszy Bronisławowi ulubioną broń Mikołaja, sześciostrzałowy winczester. Bronisław wzbraniał się, ale Szulim powiedział: – „To Jewki zlecenie: oddaj sztucer Bronkowi, ojciec bardzo Bronka kochał”.

31 sierpnia o godzinie piątej, jak było umówione, spotkali się w gabinecie Zotowa.

Zotow zmęczony po podróży i nieco zaaferowany przedstawiał sprawę zabójstwa Mikołaja w Irkucku. Więc natychmiast po przyjeździe złożył u prokuratora zeznanie Szulima i dowody rzeczowe, jak kilof, dubeltówka, pas i kulę. Prokurator przekazał to sędziemu śledczemu z nakazem wszczęcia dochodzenia. Sędzia śledczy wezwał Burlaka i

Nieczuja do stawienia się u niego. Wezwanie doręczono im na adres, jaki podali wypisując się ze szpitala, u jakiejś kobiety na przedmieściu Irkucka. W oznaczonym dniu nie stawili się u sędziego, zjawiała się natomiast kobieta, u której zamieszkali, oświadczając, że wczoraj wieczorem zajrzała do ich izdebki i znalazła obydwóch martwych przy pustej butelce wódki. Pytanie: samobójstwo czy zabójstwo? Śledztwo ustaliło, że tego dnia, po otrzymaniu wezwania, Burlak i Nieczuj byli u *isprawnika*. *Isprawnik* twierdzi, że ich przegnał przykazując stawienie się u sędziego. Resztki wódki, pozostawionej w butelce, oddano do badania celem ustalenia, jaką truciznę domieszano do wódki. Ale już wokół *isprawnika* powstała niedobra aura. Kozacy zeznali, że w podróży do Sinicy towarzyszył mu jego wspólnik w złotym interesie, Gorazdow, i że razem z nim poszła gromadka *złotniczników*, a więc nie była to wyprawa służbowa, jakoby w sprawie zabójstwa Mikołaja Czutkich.

– Nie znam wyników ekspertyzy, musiałem wyjechać z Irkucka przed jej otrzymaniem. Ale mniejsza o to, czym ich otruto – dla mnie jest oczywiste, że Dołgoszejn kazał zlikwidować zabójców świętej pamięci Mikołaja Sawielicza, gdy stali się dla niego niebezpieczni. Nie wiem, czy znajdują się na to dowody. Ale że posługiwał się dla własnych celów elementem kryminalnym i stanowisko służbowe wykorzystywał dla wyciągania osobistych zysków materialnych, za to będzie odpowiadał przed sądem, ekscelencja generał-gubernator nie będzie go bronił.

Podszedł do barku, wyjął butelkę koniaku Szustowa i dwa kieliszki.

– Zmęczony jestem... Napije się pan? No, za duszę Mikołaja Sawielicza, wieczna mu pamięć!

– Mam prośbę do pana.

– Proszę, jakaż to prośba?

– Kiedy mrozy chwycą, gdzieś w początkach listopada, niech robotnicy odkopią, raczej oskardami wyrąbią z ziemi zwłoki i dostarczą na cmentarz w Starych Czumach.

– Już to kazałem zrobić. Leży przecież na złotodajnych piaskach, roboty podeszły pod sam grób... Wtedy też zrobi się oględziny zwłok, jak żądał Ilia Iwanowicz.

Ilia Iwanowicz, jak prędko się spoufalili, pomyślał Bronisław.

– A jak panu poszło? Zwiedził pan moje lasy?

– Zjeździłem wzdłuż i wszerz. Byłem we wszystkich trzech leśnictwach.

– No i jakie pan ma propozycje?

– Przede wszystkim rozważyłem możliwość prowadzenia tutaj łowiska dochodowego. Przechodząc przez Francję, widziałem tam takie przedsiębiorstwo, przeważnie na drobną zwierzynę, mnóstwo bażantów i królików, poza tym daniela i zające. Klient-myśliwy płaci za każdą sztukę ubitej zwierzyny i ma prawo zabrać dla swego stołu ileś tam sztuk, reszta stanowi własność przedsiębiorstwa, w ten sposób otrzymuje ono gotówkę i mięso do sprzedania... W Ameryce i Kanadzie, słyszałem, można polować za opłatą na

grubą zwierzynę, jak niedźwiedzie, łosie, jelenie... Nie wydaje mi się, aby było to możliwe na Syberii.

– Dlaczego? Czy mamy gorszą zwierzynę? Mniej niedźwiedzi, łosi i jeleni?

– Nie, raczej więcej. Za dużo na Syberii lasów i zwierzyny. W każdej miejscowości można pójść na polowanie nic nie płacąc. Poza tym opory natury obyczajowej. Zaprosić gości na polowanie w swoim lesie to ładny gest i swoista rozrywka, ale sprzedawać obcym zwierzynę na sztuki jak skarpetki czy bydło nie wypada, tego się nie robi, powiedzą sąsiedzi, gotówki potrzebował za wszelką cenę, groziło mu bankructwo... Pan, Wadimie Pietrowiczu, chciałby przeskoczyć sto lat ewolucji poglądów w wyniku wyniszczenia przyrody.

– Coś w tym jest... Niech pan mówi dalej, słucham.

– Co innego racjonalne gospodarstwo łowieckie. U nas już zaczynają rozumieć – chcesz mieć zwierzynę, musisz o nią dbać. W wielkich majątkach ziemiańskich to się już robi. Przykładem takiego gospodarowania jest Białowieża, prywatny majątek cara, bez mała półtora tysiąca wiorst kwadratowych kniei nieprzerwanej, nie tkniętej siekierą, gdzie żadnego wyrębu lasu nie prowadzi się, drzewa rosną jak chcą i umierają naturalnie, waląc się ze starości... Swego czasu, w związku z pewną sprawą, interesowałem się Białowieżą, czytałem i wypytywałem ludzi, jak tam jest. Otóż cała Puszcza Białowieska podzielona jest na sześć obwodów łowieckich. W każdym obwodzie jest dziesięciu

jegrów, czyli strażników w randze podoficerskiej, z oberjegrem, czyli łowczym, w randze kapitana, a nad tymi sześcioma oberjegrami i sześćdziesięcioma jegrami jest ekscelencja wielki łowczy Białowieży. Całą puszcę pocięto na ogromne prostokąty oddziałów drogami podjazdowymi, prostymi jak strzelił. W każdym oddziale znajduje się karmik, zimą napełniany sianem, koniczyną i owsem, w co drugim czy trzecim oddziale lizawka solonej gliny, a na drogach rozsypuje się pastewne buraki i kartofle. Dzięki intensywnemu dokarmianiu, w puszczy bytuje siedemset żubrów, siedem tysięcy jeleni, dziesięć tysięcy danieli i saren, łosie, rysie, żbiki, dziki, lisy, z ptactwa głuszce, jarząbki, słonki i co pan tylko chce.

– To przy takiej ilości zwierzyny polowania zbiorowe odbywać się muszą co drugi dzień, inaczej zwierzyna podusi się w puszczy, czy nie tak?

– Polowanie galowe ma car na jesieni, wtedy ściągają z okolicznych wiosek kilkaset chłopów nagonki. W ciągu roku car daje odstrzały książętom krwi, członkom domów panujących w Europie i komuś z arystokracji. Poza tym do obowiązków oberjegrów należy wykonywanie w zimie odstrzałów selekcyjnych jeleni, danieli i saren, więc usuwają słabsze sztuki, zostawiając mocniejsze, reproduktory, i całe wagony zwierzyny wysyłają z Białowieży do restauracji warszawskich.

– Tak, a ja kolei nie mam... Ale swoją drogą ta Białowieża to beczka bez dna. Tylko car rosyjski może sobie

pozwoić na takie wydatki!

– Właśnie. Powiadają, że któregoś roku wielki łowczy Białowieży przedstawił kolejny budżet ministrowi dworu, hrabiemu Frederyksowi, to ten złapał się za głowę: „Szalone sumy!” Wtedy łowczy Białowieży: „Może nic nie kosztować”. „A w jaki sposób?” – pyta minister. „W taki, że otrzymam Puszcę Białowieską w dzierżawę. Zobowiązuję się urządzić, jak zawsze, raz do roku polowania galowe, i będę zapraszał za drogie pieniądze na łowy wszystkich z domów panujących, finansjerę i arystokrację całego świata”. Hrabia Frederyks przekazał tę ofertę carowi, a ten: „Nie przystoi nam tego robić... Drugiej takiej puszczy nie ma w Europie. Stać mnie na tę perłę mojej korony”.

– Podejrzewam, Bronisławie Edwardowiczu, że to wszystko opowiada mi pan po to, żeby namówić mnie na Białowieżę?

– Nie. Na ile zdołałem pana poznać, pan, Wadimie Pietrowiczu, nie przepada za polowaniami galowymi. Woli pan samotnie podchodzić zwierzynę, ewentualnie zapolować w dobranym towarzystwie. Namawiam pana na coś większego niż Białowieża – na rezerwat przyrody.

– Rezerwat? Konkretnie, co pan ma na myśli?

– Całkowite zaprzestanie wyrębu lasu. Na potrzeby „Samorodka” kupi pan inny las. Tu na przestrzeni pięćdziesięciu tysięcy dziesięcin zostanie nie tknięta siekierą, prawie pierwotna tajga syberyjska. Zamiast leśnictw będą trzy obwody rezerwatu i leśniczych, jeśli się zgodzą, mianuje

pan łowczymi. Strażników będzie piętnastu, po pięciu w każdym obwodzie. Tylko pan ma prawo polować w miarę potrzeby, wszyscy inni, kłusownicy, będą ścigani i prawnie karani. Łowczowie i strażnicy mają strzec rezerwatu przed kłusownikami i złodziejami leśnymi, ochraniać i dokarmiać zwierzynę. Na zimę, jak w Białowieży, założy się wszędzie karmiki i lizawki, wykładane będą buraki pastewne. Nie opodal domów strażników będą śródleśne łąki i poletka. Widziałem we Francji bulwiastą, wieloletnią roślinę pastewną, topinambur się nazywa, karmi się nim trzodę chlewną i bydło, a zwierzyna przepada za topinamburem. Więc na poletkach zasadzi się go i jeszcze inne rośliny pastewne, może żarnowiec, ja się na tym nie znam, mówię dla przykładu, ale takie rośliny na pewno są, trzeba tylko zapytać agronomów.

– Dziwne... Brzmi to wszystko jak topinambur, coś z dalekich obcych krajów.

– Na pewno. Dziś, kiedy się dowiedzą o pańskim rezerwacie, nazwą pana marnotrawcą i fantastą. Ale trzeba patrzeć w przyszłość. W niedalekiej przyszłości Rosja będzie krajem uprzemysłowionym. Słyszałem, że w ostatnich latach rozwój industrializacji w Rosji przekroczył tempo Ameryki. Za pięćdziesiąt lat, kiedy niebo nad europejską Rosją będzie zakopcone dymem fabrycznym, Wołga będzie zatruta, jak zatruty jest dziś Ren, zwierzyna wyginie, myśliwi, jak we Włoszech, polować będą w niedzielę na skowronki, i ta ponura, bezleśna, chorobotwórcza rzeczywistość stanie się

aktualną przyszłością Syberii, ludzie przypomną sobie pana: Zotow... I zaczną ratować resztki tajgi.

– To zaczyna być zajmujące... Co się stanie tymczasem z moim rezerwatem?

– Tajga będzie taka sama jak dziś, tylko z lekka cywilizowana, więc jeszcze piękniejsza. Zwierzyny będzie pełno, na skutek przyrostu naturalnego, jak i migracji z sąsiednich terenów do tego dzikiego raj. Ocali pan od całkowitej zagłady niektóre gatunki, już obecnie coraz rzadziej spotykane, jak kabarga, relikw dawno minionych epok. Zaaklimatyzuje pan niektóre gatunki, których nigdy nie było na Syberii, na przykład żubry. Żubry doskonale aklimatyzują się, wymagają tylko dużej przestrzeni leśnej i spokoju. Odłowione w Białowieży żubry w lasach Gruzji i Dagestanu schudły i doskonale czują się na Kaukazie. Tym bardziej na Syberii, to przecież zwierzę północne. Poprosi pan cara o dziesięć sztuk, przedtem ofiarowawszy odpowiednią sumę na jakiś cel patriotyczny. Po trzydziestu latach w rezerwacie będzie bytowało dwieście żubrów i pan zapojuje na żubra jak monarcha.

– Będę miał wtedy siedemdziesiąt lat, cóż, niewykluczone... A co ja w ogóle będę mógł odstrzelić?

– Według stanu na dzień dzisiejszy, bez uszczerbku dla zwierzyny, można odstrzelić trzy niedźwiedzie rocznie, piętnaście łosi, dwadzieścia iziubrów, siedemdziesiąt saren i tyleż dzików, nie licząc drapieżników, wilków, rysiów, rosomaków, jak również *miagkoj ruchladi*, lisów, wiewiórek,

soboli i gronostajów.

– To ja bym musiał założyć klub myśliwski, żeby to wykonać.

– Niech pan założy. Odstrzał hodowlany jest konieczny.

– Ile ta impreza kosztowałaby?

– Piętnastu strażników po trzydzieści rubli miesięcznie, trzech łowczych po sto pięćdziesiąt rubli i jeden kierownik rezerwatu trzysta rubli... – zaczął odczytywać Bronisław kosztorys swojego projektu. – Słowem, jednorazowo budowa rezerwatu i muzeum wyniesie 166 650 rubli, i utrzymanie 50 600 rubli rocznie.

– Dobrze pan obliczył wszystkie koszty, tylko nie ich pokrycie.

– I o pokryciu pomyślałem. Budowa i utrzymanie rezerwatu z muzeum może pana nic nie kosztować.

– Jak to nic?

– Jeśli pan uruchomi dziesięć albo dwadzieścia faktorii skupu futer wśród Tunguzów, Buriatów i innych narodowości tubylczych Syberii. Do tej pory handel futrami odbywa się w dużej mierze drogą oszustwa, za fałszywe ruble, za rozwodniony spirytus na czerwonym pieprzu dla dodania mocy, za stare długi, na które narosły lichwiarskie procenty, itp. Pańskie faktorie będą solidne, zaprowadzą handel uczciwy, a czysty zysk z niego przekaże pan na rezerwat z muzeum.

– Niedopracowane, ale myśl dobra...

Zotow wstał. Ruchy miał szybkie i zdecydowane, jak

wtedy w namiocie – daję siedemdziesiąt pięć tysięcy i ani kopiejki więcej! – znikło zmęczenie, w oczach była gorączka gracza, zawziętość nowego przedsięwzięcia...

– Utrafiłeś pan w samo sedno! Robię miliony i będę je robić, ale nie chcę, by nazwisko moje dźwięczało samym złotem i niczym więcej. Chcę zostawić po sobie sprawę bliską wszystkim ludziom, żeby zawołanie Zotow było przykładem! Więc stworzymy rezerwat przyrody i muzeum fauny syberyjskiej, panie kierowniku!

– Niestety, ja się nie nadaję.

– Ile pan przeznaczył dla kierownika?

– Trzysta rubli.

– Daję pięćset. Mając deputat, trzysta rubli miesięcznie pan sobie odłoży, nie zdoła pan więcej wydać. Po dwudziestu latach będzie pan miał najuczciwiej zarobiony kapitał przeszło siedemdziesięciu tysięcy.

– Pan zapomina, że kierownika rezerwatu trzeba przede wszystkim wysłać na półroczną praktykę do Białowieży, a potem za granicę, a ja jestem zesłańcem politycznym.

– Furda! Martianow w Minusińsku był aptekarzem, a stworzył w powiatowym miasteczku muzeum, którym szczyli się cała Rosja. Samorodne talenty nie potrzebują utartych schematów. Wystarczy panu literatura fachowa, dostarczę panu wszystko, co w tej dziedzinie napisano. A po dwudziestu latach w uznaniu pańskich zasług otrzyma pan amnestię, ja to panu gwarantuję, plus oszczędności w sumie siedemdziesięciu tysięcy – takiej oferty pan nie może

odrzucić!

– Władimie Pietrowiczu, będę z panem szczerzy. Nie pieniądze ani status mój jest tu przeszkodą, ale ja sam, mój stan psychiczny. Z katorgi wyszedłem odludkiem, nienawidzącym świata i ludzi. Jeśli nie skończyłem ze sobą, to tylko dlatego, że muszę żyć i życiem dowieść, że nie jestem prowokatorem. Strzelałem dobrze, ale nie miałem zielonego pojęcia o myślistwie. Mikołaj Sawielicz zrobił ze mnie myśliwego. Przywiązałem się do niego. Jak bardzo stał mi się bliski, odczułem to dopiero po jego śmierci. Jestem pusty w środku i wszystko jest mi obojętne. Chcę wrócić do tajgi z bratankiem Mikołajem, dwudziestodwuletnim chłopakiem, niemym od urodzenia, i zamieszkać w domu, który Mikołaj zbudował. Lubię to miejsce...

– No, wie pan... Ja panu proponuję ciekawą pracę, generalską gażę i w końcu amnestię, a pan przebiera jak panienka: lubię – nie lubię!

– Cóż, już taki jestem nastrojowy, nie robię tego, do czego nie czuję ochoty... A to, co pan uważa za rzecz bezcenną, jest raczej przeszkodą w najważniejszej dla mnie sprawie całkowitej rehabilitacji. Ładny mi zesłaniec, który na Syberii żył z generalskiej gaży, zarządzał ogromnym majątkiem i za to uzyskał amnestię, tak to będzie komentowane.

Zotow słuchał tego, nie wierząc własnym uszom, jak nedorzeczności, niemożliwe, żeby normalny człowiek odrzucał taką pensję, pracę, widoki łaski carskiej...

Bronisław to wyczuł.

– Kiedy indziej ja bym może robił to z pasją, ale teraz... I zdając sobie sprawę z tego, że trudno byłoby mi znaleźć lepszego szefa niż pan, Wadimie Piotrowiczu.

– Tak, w tym stanie rzeczywiście pan jest w niedyspozycji. Liczę, że czas zrobi swoje – wstał, sięgnął po koniak, napelnił kieliszki. – Za pański powrót w dobrej formie! A teraz pan przyjmie mój rewanż.

Otworzył biurko i wyjął piękny portfel w ciemnobrązowym kolorze ze złotym monogramem.

– Obyczaj nakazuje coś włożyć do niego, żeby się pieniądze trzymały – z pliku banknotów sturublowych prędko odliczył, raz, dwa, trzy... do trzydziestu naliczył, wtedy zamknął i podał Bronisławowi. – Trzy tysiące. Proszę... Ani mi się waż pan ze zwrotem! Kupuję pański pomysł, za tani grosz kupuję, pan nie zna ceny za pomysł... W tej teczce są wszystkie pańskie obliczenia, uwagi i propozycje? Dobrze... Rozpoczynam prace wstępne nad utworzeniem rezerwatu. Czekam na pana. Mogę czekać rok. Do tego czasu, mam nadzieję, wyleczy się pan ze swej depresji.

Wyjechali wczesnym rankiem. Mitrasza powoził parą koni, dobrze znaną parą Jewki, teraz sprzedanych wraz z całym gospodarstwem nowej właścicielce. Dzień był chłodny. Bronisław owinął się w burkę i położył z tyłu na sianie. Przymknął oczy udając, że drzemie.

Czuł w sobie spokój, jakby z odkrytą głową przechodził przez cmentarz albo jechał tym wozem drabiniastym ku ostatecznemu przeznaczeniu, co na jedno wychodzi. Zostawił za sobą dwa lata, nie, więcej, bo dwadzieścia siedem miesięcy, okres aklimatyzacji i osvajania się z odmiennym krajem, nabywanie nowych nawyków i umiejętności, został zawodowym myśliwym, miał kilku przyjaciół, jedną mogiłę, złoto i miłość. Niby-miłość. Z tęsknoty za prawdziwą byłby się ożenił z namiastką. Szczęściem obeszło się bez jej krzywdy, pokochała uduchowione piękno w postaci człowieka do wielkich interesów. „Boże, zmiłuj się, ten lump z zarośniętą gębą, w podartej odzieży, pocierający bosą stopą o stopę na śniegu, jak go pamiętam z pierwszego spotkania w podejrzanym zaimce, gdyby mi powiedziano wtedy, oto twój przyjaciel, który zaopiekuje się tobą w chorobie, będzie dbał o ciebie, otulał, karmił i wiozł po nie znanych drogach do obcego domu, twój rywal, który odbije ci dziewczynę, dostanie pięćdziesiąt tysięcy rubli odstępnego za znalezione złoto i będzie kreowany przez Zotowa na zastępcę prezesa kompanii rosyjskiej do handlu z Chinami, tobym pomyślał, że to nieudany żart, raca, która nie strzeliła... Ano, strzeliła, i to gwiazdzistym, magnezjowym blaskiem. Są teraz pewnie w

Irkucku przy śniadaniu w restauracji z Kurdiumowem, tym magikiem od mody, i radzą się, czy żółte rękawiczki pasują do zielonej parasolki, czy kłapy marynarki nie są za duże, bo teraz modne małe... Żegnaj, Jewko! Zapamiętam cię taką, jaką byłeś dla mnie, szczerą dziewczyną, oddaną, szukającą miłości, w chwili gdy nisko pokłoniłaś mi się, starym obyczajem, i godnie przeprosiłaś. «Wybaczcie, Bronisławie Edwardowiczu, wymknęło mi się nieprzystojne słowo», a chodziła wtedy o słowo «warnak», którym mnie chlasnęła, i potem w łaźni, gdy poczułem, że stoisz za mną, naga, szorując mi plecy, jak gdybyśmy od dawna kochali się tam, i tej decydującej nocy, gdy Wasiliew mnie poprosił, żebym poratował Barwienkową, podtrzymałaś mnie: «Pojedziesz, Bronku, uratujesz kobietę, Matka Boska Kazańska ci pomoże, modlić się będę za ciebie...» Będziesz dobrą żoną i matką, urodzisz zdrowe silne dzieci, mieszańce słowiańsko-żydowskie są podobno udane, a czy w mieście, w dobrobycie zostaniesz sobą, nie popsujesz się, nie przeobrazisz w swoją karykaturę? Chcę wierzyć, że nie... Szulim jest zdolny, zrobi fortunę z tak zwana karierą i odeśle pieniądze Halince. Powiedział, że za dwa lata udział z dywidendą urośnie co najmniej do dwudziestu pięciu tysięcy. Pierwszy raz myślę o Halince bez niepokoju. Jeżeli coś mi się stanie, ma zabezpieczony byt... A te trzy tysiące, które Zotow włożył mi do portfela, ja rzeczywiście byłbym jemu zwrócił bo niby z jakiej racji? Tylko że, zgadując, powiedział to nie prezent, to kupno, on płaci za pomysł! Z początku przemknęło mi przez

myśl, że to wybieg, ale potem pomyślałem, w samej rzeczy, ja mu daję sposób na szlachetną postać w historii, za pięćdziesiąt lat będą mówić tylko o tym, że pierwszy na Syberii ratował przyrodę a to warte więcej niż trzy tysiące. Dla człowieka, który ma sześć milionów, jak obliczają, a za dwadzieścia lat z Sinicą, będzie miał dwanaście, jakże ponętna staje się myśl zostawić po sobie swój konterfekt dobroczyńcy ludzkości za 166 650 rubli jednorazowo i 50 600 rocznie. Faktorie pokryją to z handlu futrami, a jeśli nie, to i tak opłaci się... No, żubry. Za te dziesięć żubrów, żeby je dostać, trzeba będzie drogo zapłacić, pół miliona albo i więcej będzie musiał Zotow ofiarować na jakiś cel dobroczynny cesarzowej, żeby potem car chciał wysłuchać jego prośby... Dla ludzi interesu, żyjących nim i gnanych co sił w płucach, w mięśniach, w komórkach mózgowych, pieniądz nabiera jakiejś urzekającej, hipnotyzującej mocy, władzy niemalże sakralnej. Nie mogą zrozumieć prostych słów, «nie chce mi się» albo «nie mam ochoty» w odpowiedzi na ich ofertę pięciuset rubli miesięcznie, to jest dla nich czymś nienormalnym. Zotow w pierwszej chwili pomyślał, że mam kuku na muniu, dopiero później zmienił swoje rozpoznanie na depresję, «mogę czekać rok, do tego czasu, mam nadzieję, pan zdąży wyleczyć się ze swej depresji...» Niech czeka. Może kiedyś będę musiał pracować u niego, ale zdaje mi się, że nie wcześniej, jak za sześć lat. Wczoraj wieczorem przeliczałem wszystkie pieniądze. Po zapłaceniu Jewce dwóch tysięcy zostało mi przeszło 9500

rubli, na sześć lat życia. Nie zmieściły się w portfelu, musiałem schować w pasie na brzuchu. Mam dom i sto dziesięcin tajgi, bez wartości obecnie, bo po co kupować coś, z czego każdy może korzystać za darmo, Mikołaj zrobił to głupstwo czy dalekowzroczość, że kiedyś tam dzieciom Akuliny lub jego dzieciom od Akuliny ta tajga na własność przyda się... Słowem, mam dom, jak marzyłem bezdomny w Nerczyńsku, wprawdzie nie w polskim stylu, ale dobrze zbudowany, duży, wygodny, zamieszkać w nim z Mitraszą, będziemy żyli z polowania, z czasem rozejrzę się, co dalej robić, na razie jestem sobie panem, niezależny, coś, co nie każdemu dane, czego dorabiają się niektórzy w starszym wieku... Dziwne, to wszystko przyszło naraz i tak gwałtownie, jak gdyby los starał się mnie przeprosić, masz tu, Bronku, dom i tajgę, i pieniądze, dużo pieniędzy w schowku na brzuchu, i chłopca w twej pustelni, żebyś nie był sam, dobrego towarzysza tobie daję, niemego, nie będzie się tobie naprzykrzał swoim gadulstwem, widzisz, o wszystkim pomyślałem, tylko miłości dać tobie nie mogę...”

Gdzieś przed drugą przyjechali do Udińskiego i stanęli przed spółdzielnią w budowie, w ostatnim stadium budowy. Dom czterosalowy na parterze i trzypokojowy na pierwszym piętrze, największy dom w Udińskim, był gotów, otwarto dział żywnościowy, w pozostałych działach wstawiano okna i drzwi, urządzano wnętrza, do piwnic zwożono towary – za sześć tygodni, piętnastego października, nastąpi poświęcenie domu przez ojca Ksenofontowa i uroczyste otwarcie.

Uprzejmy i bystry subiekt, chłopak dwudziestoparoletni, były uczeń szkoły Kosoja, w białej koszuli rosyjskiej do kolan, zapiętej pod szyją, z haftem na piersi i rękawach, sprawnie podawał wszystko, o co prosił Bronisław, a Mitrasza znosił te zapasy na zimę do wozu, dwie beczułki masła solonego, dwa półcie słoniny, olej, worki mąki, kaszę gryczaną, ryż, fasolę, groch, herbatę, cukier i cebulę, dużo cebuli, cały worek.

– Chciałbym widzieć się z kierownikiem. Czy jest obecny?

– Kierownik jest w Niżnieudińsku. Wyjechał na dwa tygodnie w sprawie zakupu towarów.

– Sam?

– Nie, z żoną. Ona ma ciotkę w Niżnieudińsku.

A więc Wasiliew ma pełne ręce roboty i wyjechał, za zezwoleniem *uriadnika*, by zapełnić towarami owe piwniczne magazyny, o których opowiadał z taką lubością...

Pojechali do Siergieja, u którego zawsze zatrzymywał się Mikołaj. Stary rozplakał się na widok Bronisława,

przyzwyczał się ich widzieć razem. Bronisław zaczął opowiadać wszystko od początku, tylko dla ostrożności powiedział, że on został w nowym domu Mikołaja w tajdze, a ten z Szulimem poszli szukać złota według znalezionej mapki...

W międzyczasie podano obiad, więc przy stole mówił dalej o tym, jak zabito Mikołaja i jak *isprawnik* Dołgoszejn chciał zawładnąć koncesją...

Rozmowy o koncesji i Jewce z Szulimem, którzy, otrzymawszy grube pieniądze od Zotowa, wyjechali do Chin, przeciągnęły się do szóstej, kiedy Bronisław przeprosił gospodarza, mówiąc, że chciałby odwiedzić księdza Sierpińskiego, Było jeszcze widno, kiedy Bronisław znalazł się w pokoju pachnącym ziołami, ze śladami pracy ogrodnika, i musiał opowiadać swe przejścia od nowa, tym razem nie ukrywając, jak poszli we trzech do Sinicy w Górach Przybajkalskich i co się tam wydarzyło... Ksiądz Leonard słuchał siedząc przy stole, a Serafima przy ścianie na krześle dla zaznaczenia dystansu i szacunku dla księdza.

– A jaki on jest, ten Zotow? – spytał ksiądz Sierpiński.

– Przyzwoity człowiek interesu. Wykorzysta każdą trudną sytuację, ale, jak sam mówi, z wyczuciem miary. Dołgoszejn z Gorazdowem byliby nas ograbili i wsadzili jeszcze do kryminału, kto inny dałby może odstępnę kilkanaście tysięcy, a Zotow dał siedemdziesiąt pięć tysięcy rubli, po dwadzieścia pięć dla każdego z nas, po to, by otrzymać Sinicę, drugi „Samorodek”, który przyniesie mu co

najmniej drugie tyle, co ma. Poza tym jest to przemysłowiec ze średnim wykształceniem, po maturze, ogładzony w towarzystwie, nieobce mu są ciągoty mecenasa jakiegoś czy szeroki gest, sędzę po tym, jak przyjął mój projekt...

Opowiedział swój projekt założenia rezerwatu i muzeum fauny syberyjskiej i propozycję Zotowa.

– No, nie wiem, synu, czy odrzucając postąpiłeś słusznie... Powstałby rezerwat przyrody i pożyteczna placówka naukowa, byłby początek ruchu ochrony przyrody, wszystko dzięki Polakowi, wzmógłby się szacunek dla Polaków, zesłańców politycznych...

– Ale wszystko moim kosztem! Cwaniak, zbił majątek i generalską gażą wyjednał sobie darowanie win, tak w najlepszym razie mówiliby się o mnie po amnestii.

– Zawiści ludzkiej nie poskromisz, zwłaszcza u Polaków, a ty rób, co ci rozum i serce nakazują... No, jeszcze nic straconego. Powiedział, że będzie czekał rok? Zobaczmy, może przez rok ci się odmieni.

Serafima poprosiła na kolację, przeszli do drugiego pokoju i zasiedli do stołu, jak zawsze u niej apetycznie zastawionego, z prostotą i smakiem domowej roboty, bez zbytku i frykasów.

– A do Starych Czumów przywieziono nowych zesłańców – powiedział ksiądz.

– Słyszałem. Polak i kryminalna.

– O tej kobiecie Serafima niech powie. Ona wszystko wie.

– Nazywa się Izwolska, była żoną rotmistrza, którego zabiła – wolno mówiła Serafima, mocując się z polskim słowem. – Z bogatej i nawet *dworiańskiej** rodziny, jej ojciec jest profesorem, ma duży majątek.

Dama pułkowa, jakiś romans w kolorach, pomyślał Bronisław i przeszedł do tego, co bardziej go interesowało. – A ten Polak?

– Ten Polak to Bogdan Gozdawa, jest z PPS, z akcji pod Bezdunami.

– Pod Bezdunami?

– Synu, chyba wiesz o największej akcji bojowej?

– Nie wiem.

– To gdzieżeś ty był, na miłość boską, jeśli o tym nie słyszałeś?

– W Akatuju.

– Przepraszam, zapomniałem. Tam rzeczywiście nie wszystkie wiadomości docierają. Więc posłuchaj... – Gazety swego czasu podały – mówił ksiądz Leonard – że 26 września 1908 roku na małej stacji pod Wilnem, w Bezdanych, dokonano zbrojnego napadu na pociąg, w składzie którego był wagon rządowy, wywożący podatki zebrane w Polsce do Rosji. Tor kolejowy pod Bezdunami przekroczył cały oddział w liczbie siedemnastu osób z Józefem Piłsudskim, szefem Organizacji Bojowej PPS na czele. Kiedy wagon pocztowy z eskortą wjechał na peron,

* *Dworigińska* – szlachecka.

wybito w nim kijem szybę i wrzucono bombę. Rozlega się wybuch i padają pierwsze strzały, ranny jest żandarm Borysow. W parę sekund po wybuchu wrzuca się drugą bombę. W wagonie wyleciały wszystkie szyby i zgasło światło. Arciszewski wpada do wagonu eskorty, w którym świszczą kule. Z eskorty zostali trzej żołnierze, jeden zabity, reszta uciekła. Arciszewski wyprowadza tych trzech na peron, za chwilę żołnierze uciekają. Młynarski i Gorgol, którzy pilnowali budynku stacyjnego, zatrzymali zastępcę naczelnika stacji, zniszczyli przewody telegraficzne i zamknęli semafor. Grupa Sławka i Prystora pilnowała całości. Gdy dym od petard się rozwiął i strzelanina ucichła, Piłsudski i Helman podeszli do wagonu pocztowego. Pod groźbą rzucenia bomby zażądano otwarcia drzwi wejściowych. Po jakimś czasie drzwi otwarto, stało dwóch urzędników z podniesionymi rękami. Od trzeciego urzędnika, Józefa Młynarskiego, zażądano wiadomości, gdzie są pieniądze. W przedziale wskazanym przez niego pracowali Arciszewski, Gibalski i Prystor. W przedziale środkowym przesyłki przeglądali i selekcjonowali Piłsudski, Helman i Momentowicz, potem Świrski, Lutze-Birk i Balaga przeglądali wagon pakunkowy (brandkard), w którym były pieniądze z kas kolejowych i z urzędów celnych, pozostali uczestnicy akcji pilnowali tego pociągu pasażerskiego i pociągu towarowego z Dyneburga, który w kilka minut po rozpoczęciu akcji przybył do Bezdán. Piłsudski, kierując się terminem nadejścia następnych pociągów, uważał na czas

akcji – 45 minut. O godzinie jedenastej minut czterdzieści pięć dał rozkaz przerwania roboty. Wręczając Helmanowi otrzymaną trąbkę dróżnika polecił mu trąbić na odwrót. Część ludzi odpłynęła do Wilna łodziami rzeką Wilią, część rozproszyła się do pobliskich miejscowości, grupa z pieniędzmi jechała bryczką pod eskortą do bazy pieniężnej. Suma zdobyta w akcji pod Bezdunami wyniosła, według stanu oskarżenia, 447 408 rubli.

Kiedy ksiądz skończył, zapanowała cisza, w której zamierały odgłosy strzelaniny, wybuchy bomb i turkot odjeżdżającej bryczki.

– Czysta robota, chciałbym mieć taką – powiedział Bronisław. – Skąd ksiądz wie to wszystko tak dokładnie? Kto co zrobił i jak się nazywał?

– Z gazet. Prasa w sprawozdaniach szczegółowo opisywała przebieg akcji. Oskarżeni nic nie ukrywali, chcieli, żeby cała Polska i Rosja wiedziały o akcji bezdańskiej.

– Jeśli wszyscy z niej cało wyszli, to skądże oskarżeni?

– Potem przypadkowo został aresztowany Jan Fijałkowski w Landwarowie, następnie Czesław Świrski w Warszawie, Ignacy Grabowski w Wilnie i Cezaryna Kozakiewiczówna, aresztowana w trzy miesiące później w Warszawie. Wyrokiem sądu wojennego w Wilnie Świrski, Fijałkowski i Zakrzewski skazani zostali w 1909 roku na śmierć przez powieszenie, a Kozakiewiczównę, która w akcji bezdańskiej występowała jako fikcyjna żona Lutze-Birka w konspiracyjnym mieszkaniu w Wilnie, i Grabowskiego na

ciężkie roboty. Sprawa poszła do sądu kasacyjnego, który wyroki śmierci w ubiegłym roku zamienił na dożywotnią katorgę... Akcją bezdańską zakończył Piłsudski okres walki terrorystycznej. Swoją rolę w niej tak motywował w liście do towarzyszy przed wyprawą: „Tylum ludzi na to posyłał, tylum przez to posłał na szubienicę, że w razie jeśli zginę, to będzie naturalną dla nich, dla tych cichych bohaterów, satysfakcją moralną, że i ich wódz nie gardził ich robotą...”

– To też wyczytał ksiądz w gazetach? – zapytał ze zdziwieniem Bronisław.

– Nie, to zdanie wiem skądinąd – zmieszał się ksiądz Leonard. – Jeden to czytał i powtórzył drugiemu, który mnie odwiedził. Różni ludzie do mnie zachodzą.

Rzeczywiście różni, pomyślał Bronisław i pierwszy raz przyszło mu do głowy, że ksiądz Leonard może odgrywać inną, poważniejszą rolę w naszym syberyjskim spektaklu, za dużo wie, jak na księdza-ogrodnika.

– Jakże ten Gozdawa tu trafił?

– Gozdawa nie brał bezpośrednio udziału w akcji, tylko pomagał w pracach wywiadowczych, które trwały od października 1907 roku do września 1908, jedenaście miesięcy. Napad wykonano by wcześniej, gdyby nie ujawniono prowokacji Edmunda Tarantowicza, którego zabito jesienią. Gozdawa razem z Aleksandrą Szczerbińską spenetrował dokładnie okolice Bezdan, z jednej strony toru las, z drugiej miasteczko, przylegające do stacji kolejowej, drogi do Wilna i do rzeki za miasteczkiem, las bagnisty,

poprzecinany rojstami. Na nieszczęście wygadał się przed Tarantowiczem. Policja dowiedziała się o tym z notatek Tarantowicza, odnalezionych już po procesie. Gozdawę aresztowano w listopadzie 1909 roku i w styczniu 1910 skazano na piętnaście lat zesłania na Syberię. W Jakucji, gdzie przebywał bez mała dwa lata w bardzo podłej miejscowości, nabawił się gruźlicy. Na prośby żony, która mu towarzyszy, przeniesiono go do zdrowszej miejscowości, do Starych Czumów. Widziałem się z nim, gdy nocował przejazdem w Udińskim. Źle z nim, gorączka, niedożywienie i samotność. Jest rozżalony na wszystkich, że o nim zapomnieli. Nowy adres jego prawdopodobnie zaginął albo zawieruszył się gdzieś, znikąd żadnej pomocy. Dałem mu na urządzenie się w Starych Czumach, ale tych pieniędzy już chyba nie ma.

– Dziękuję, że książdz mi o tym powiedział. Zajmę się nim – przyrzekł Bronisław i w przyływie nagłego współczucia postanowił, że się z nim podzieli tym, co ma – da mu dwa tysiące.

Wracał na nocleg do Siergieja podniecony jutrzejszym spotkaniem z Gozdawą. Nareszcie rodak bliski temperamentem i poglądami, nareszcie można z kimś myślącym tak samo wypowiadać dręczące pytania, splatać wzajemne myśli, dociekania, dążenia we wspólnej nadziei, że kiedyś będziemy normalnym narodem z własnym rządem, własnymi sądami i opinią swobodną, uwolnioną od wszelkich uprzedzeń, zacofania, nietolerancji, bez obawy, że ktoś

syknie, ciszej, nie tak ostro, to godzi w polskość...

Nazajutrz wieczorem przybyli do Starych Czumów. Za późno było na odwiedzenie Gozdawy. Umówili się, że w dalszą drogę tajgowym szlakiem wyruszą pojutrze rano. Przed domem Jemielianowa Mitrasza przystanął, Bronisław wysiadł i poszedł, psy za nim, a Mitrasza pojechał do starszego brata, by wyładować prowiant i potem odstawić konie nowej właścicielce zagrody Czutkich.

Wśród radosnego hałasu, który powstał u Jemielianowów przy kolacji, Bronisław uściskał Sidora i Łukierię, przywitał się z dziećmi i Pantielejmonem, wręczając im torebki cukierków i pierniki, zdjął burkę i zaczęły się bezładne z początku wypytywania, później opowiadania o tym, co u niego, co u nich zaszło przez te trzy miesiące, kiedy się nie widzieli. Że Zotow dał Szulimowi i Jewce pięćdziesiąt tysięcy za odstąpienie Sinicy, to wiedzieli, o swoim udziale w tym interesie przemilczał, tylko powiedział, że Zotow go wynagrodził za prace leśne i za projekt rezerwatu.

– Odkupiłem od Jewki dom Mikołaja w tajdze.

– I tajgi sto dziesięcin? – spytał Sidor.

– Też.

– To ty teraz dziedzic, można powiedzieć.

Po tym, jak uniósł prawą brew, jak spojrzął z ukosa na

niego ze zdziwieniem, toś ty taki? – Bronisław wyczuł, jak bardzo urósł w oczach Sidora, dotąd przybłęda, właściciel tylko burki i psa.

A u niego, chwalić Boga, też nie najgorzej, ma pięćdziesiąt dziesięcin, trzy pary koni, dziesięć krów, dwóch ludzi do pomocy najmuje, a teraz przemyśliwa nad tym, czy sklepu nie otworzyć. Toć przez te dwanaście lat, jak oni tu przyszli, w Starych Czumach pięć nowych domów postawiono, a w tym roku jeszcze dwa wykańczają, będzie trzydzieści dwa, razem 167 dusz – może się przy nich utrzymać sklep czy nie?

– Teraz bo ja wiem... Ale za parę lat na pewno.

– Otóż to! Za parę lat będzie dwieście dusz, obcy przyjdzie albo Micheicz otworzy, nie, trzeba załapać... Maszka dobrze rachuje, po jakimś czasie może za ladą stać.

– Słyszałem, że nowych zesłańców przywieziono – powiedział Bronisław, żeby zmienić temat.

– A tak. Gozdawa, Polak polityczny, i Izwolska, kryminalna. Izwolska kupiła zagrodę Czutkich, ma bogatego ojca, u mnie pożyczyła na kupno dwa tysiące, w tym miesiącu ma oddać...

Dwa tysiące sto, pomyślał Bronisław i zapytał: – A ten Gozdawa, jaki on?

– Nieużytek. Hardy i milczkowy... Niedługo pociągnie, suchoty go trawią, reszta życia w nim kołacze. Żona koło niego chodzi.

– Za to z Izwolskiej mamy pociechę – wtrąciła Łukieria.

– Przyjechała z maszyną, zaczęła szyć, to dziewczki i baby poszalały, takie to barwiste, a zgrabne, w sam raz do każdej jak ulał pasuje... Obszywa całą wieś.

Pantielejmon mieszkał na stryszku; gdzie w swoim czasie mieszkał Bronisław, i uczył trzy godziny dziennie, pracując u Sidora. Miał teraz dwanaścioro dzieci, płacono mu za to dwadzieścia kopiejek od dziecka miesięcznie. Było tam jeszcze jedno łóżko, więc Bronisław mógł zanoćować u Pantielejmona.

W łóżku myślał o Gozdawie. Trzeba będzie sprowadzić do niego Tietiuchina, felczer, ale wie i umie więcej niż niejeden lekarz. Wiadomo, co powie – dobre odżywianie, zdrowe powietrze, czystość, spokój... Sidor mówi, że mieszkają u Micheicza na górcie. Zamożny dom, powinno być czysto, Micheicz-spirytonos w lecie nieźle zarabia, a gospodarstwo prowadzi żona z dziećmi, jednego syna już ożenili i ziemię mu dali... Podobno kumys dobry jest na suchoty. Buriaci mają kumys, kilka rodzin buriackich mieszka niedaleko, trzeba popytać... Nie załatwi się tego wszystkiego w jeden dzień, no to co? Wyruszy do tajgi nieco później, a człowieka trzeba ratować...

Zbudził się późno, o ósmej, Pantielejmon już wyszedł. Była niedziela. Ogolił się, umył, włożył czystą koszulę. Potem ze schowka w pasie na brzuchu wyjął pieniądze, odliczył dwadzieścia stówek, włożył do portfela, zapiął pas i spodnie i zeszedł na śniadanie.

W jakąś godzinę później, bo śniadanie nieco się

przeciągnęło, położył burkę na trawę z boku przy ganku i powiedział: „Waruj!” Oba psy, Brysiek i Żywy, siadły przy burce, a on poszedł wiedząc, że tak będą siedziały aż do jego powrotu.

Dom Micheicza znajdował się na końcu wsi, ostatni dom, podobny do Mikołajowego, tylko bez takiego wystroju rzeźbiarskiego. Idąc tam, Bronisław pomyślał, że właściwie trzeba by było wstąpić do Mitraszy i uprzedzić, żeby jutro nie objuczał renów i nie przychodził z nimi gotowy do podróży. Ale potem zmienił zdanie, nie, wstąpi do niego po odwiedzinach Gozdawy, bo może jutro trzeba będzie wieźć go do Tietiuchina albo odwrotnie, jechać po Tietiuchina, zależnie od stanu zdrowia...

Ot i dom Micheicza, patrzący z pięterka na ulicę jednym oknem. Wydało się, że ktoś tam stał i jak się on zbliżył, to odszedł w głąb pokoju.

Otworzył furtkę i wszedł na podwórze. Psy zaszczeakały. Z kuchni wyjrzała Micheiczowa. Przywitał się, zapytując, czy tu mieszka Bogdan Gozdawa. Potwierdziła.

– Tam na górze, po tych schodkach.

Wtem nad nimi otworzyły się drzwi i stanął w nich ktoś wysoki i chudy, opierając się ręką o futrynę, jakby chciał zasłonić wejście.

– Witajcie, towarzyszu! – zawołał Bronisław i nogę postawił na pierwszym schodku.

– Chwileczkę, kim pan jest i w jakiej sprawie?

Takim chłodem tchnęły te słowa, że Bronisław

zatrzymał się, spojrzął w górę. Spotkał się z ostrym, nieprzyjemnym wejrzeniem wielkich, rozjarzonych oczu na wymizerowanej twarzy o ceglastych rumieńcach, twarzy spłaszczonej przez chorobę, z bujnym, jakby przyklejonym, płowym wąsem.

– Jestem Bronisławem Najdarowskim, zesłanym tu przed dwoma laty po odbyciu katorgi w sprawie...

– Nazwisko jest znane i sprawa znana.

– Więc przychodzę przywitać rodaka, porozmawiać, może czegoś potrzebujecie...

– Niczego nie potrzebujemy od takich jak pan!

I zatrasnął drzwi za sobą.

Bronisław potarł bezwiednie policzek – tak znieważyc z miejsca, bez zastanowienia, bez wysłuchania, przy ludziach...

Micheiczowa wciąż stała w drzwiach kuchni, zza niej wyglądały głowy dwóch synów i córki.

– On jest pomyłony, taki hyś – powiedziała. Bronisław skinął głową ze zrozumieniem i pożegnał się.

Odchodząc, starannie zamknął furtkę na drewniany skobel – był Gozdawa, nie ma Gozdawy...

Przecież to było do przewidzenia, idioto, wyrzucał sobie, jeszcze na wolności wiedział o Najdarowskim-prowokatorze, tak wszyscy – mówili, potem siedział w Jakucji, głodował, marzył, gorączkował, on, spod Bezdan, czysty, nieprzejednany... Przewieźli z powodu choroby i tu on słyszy o Najdarowskim – przecież wszyscy mnie tutaj

znają – jak się dobrze powodzi Najdarowskiemu, chodzi sobie po tajdze, strzela sobole, gronostaje, lisy czarne, forse zbija, kupuje dom i sto dziesięcin lasu... Jasne, że prowokator! Wiedział, że przyjdę. Czekał na te odwiedziny przy oknie, żeby pokazać, co o mnie sądzi – patrz, jak umierają pepesowcy, wypluwam resztki płuc i pluję ci w twarz, precz, niczego od ciebie nie potrzebujemy!

Sam nie wiedząc kiedy, znalazł się na polnej drodze i wszedł w las. Tu się zatrzymał i opanował. Trudno, tak będzie zawsze, widmo prowokacji będzie szło za nim krok w krok, gdziekolwiek będą Polacy, gdzie istnieje środowisko polskie, do którego dochodzą wieści z kraju... I jak spazm chwyciło go pragnienie samotności – odejść na zawsze, zniknąć w tajdze! Ale to dopiero jutro. Dziś ma jeszcze jeden obowiązek – odwiedzić Akulinę, podwójną wdowę. Po mężu nie płakała, niczego prócz krzywdy przy nim nie zaznała, ale po Mikołaju... Wzdrygnął się na myśl, że musi spojrzeć w jej suche, wyplakane oczy, ale musi... Nie może odejść bez pożegnania.

Przeszedł most nad rzeczką, minął dom Czutkich i wszedł na podwórze Akuliny.

Zastał ich wszystkich przy obiedzie. Akulinę, Fiedota, Lubę, Wasię, Wanię i Manię. Naturalnie, posadzili przy stole, musiał jeść. Z początku rozmowa rwała się i nie kleiła, nie wiedzieli, o czym mówić, bo wszystko, co powiesz, wydawało się głupie. Śmierć Mikołaja ich przygniotła. Akulina w czerni, blada, wymizerowana, postarzała,

wyglądała jak portret z dawnych lat, nie do uwierzenia, że ta kobieta ma dopiero trzydzieści osiem lat, że trzy miesiące temu, na weselu Szulima, tańczyła do upadłego, tryskając zdrowiem, radością, urodą, najpiękniejsza ze wsi. Trzasnęło w sam środek, w rdzeń jej szczęścia, zwęgliło się życie Akuliny. I opaliło całą rodzinę, bo Mikołaj był dla jej dzieci jak ojciec, dbał o nie i we wszystkim pomagał.

Bronisław, jak mógł, podtrzymywał rozmowę, to uważa, że Zotow jest dla Szulima bardzo łaskawy i ciągnie go w górę, to zmyśleniem, że Jewka zrobiła wielkie wrażenie na wszystkich w Irkucku, aż Fiedot powiedział:

– A czy wiecie, Bronisławie Edwardowiczu, że nasza Luba ma posag?

– Nie, skądże... Kto jej dał?

– Wczoraj przyszła Wiera Lwowna...

– To ta zesłanka Izwolska?

– Tak. Przyszła i powiedziała, że kupiła od Jewki całą zagrodę, jak jest, a tam dwadzieścia dziesięcin ziemi, za dużo dla niej, wystarczy jej pięć, słyszała, że Luba nie ma posagu, więc daje jej piętnaście dziesięcin.

– Tak zupełnie bezpłatnie? Może tylko wydzierżawiła?

– Ależ nie! Sam słyszałem. Wyposażę cię, Luboczka, tak powiedziała!

– No-no, taki gest...

Kaprys czy zachcianka bogatej pani, mniejsza z tym, rozwiązywało to wszystkie kłopoty. Luba wychodziła za mąż za średniego z Czutkich – najstarszy brat objął po ojcu

gospodarstwo pod warunkiem nieuszcuplania stanu posiadania, młodszy, niemy od urodzenia Mitrasza, który był parobkiem u stryja, teraz zdecydował się trudnić myślistwem, a średni, Jaków, nie miał ziemi. Więc Fiodot, który żenił się z młodszą córką Micheicza i brał za nią tylko pięć dziesięcin posagu, chciał je oddać siostrze, Luba z Jakowem mieli zamieszkać w nowo zbudowanej chacie i pomału powiększać swoją działkę, karczując las. Teraz wszystkie te kombinacje odpadły.

Starym Czumom przybywały dwa średniozamożne gospodarstwa – Fiedot miał dwadzieścia dziesięcin, a Jaków z Lubą piętnaście.

– Chwalić Boga, ziemię macie – rzekła Akulina. – Myślcie tylko o tym, skąd wziąć na zagospodarowanie.

Tu Bronisław zełgał tak swobodnie i naturalnie, jakby na to tylko czekał i tylko po to tutaj przyszedł.

– Mam dług u Mikołaja Sawielicza. Pożyczył mi dwa tysiące, kiedy mnie okradli. Teraz mogę oddać, bo Zotow kupił moje plany urządzenie jego lasów. Ale Jewka jest już w drodze do Chin, więc oddaję w twoje ręce, Akulino Iwanowna.

Wyjął z portfela plik odliczonych pieniędzy i położył na stole przed Akuliną.

– Nie chcę trzymać pieniędzy nieboszczyka, to przynosi nieszczęście.

Akulina jednak wzbraniała się przyjąć. Wtedy powiedział z wyrzutem:

– Czy Mikołaj Sawielicz nie dbał o twoje dzieci? Czy nie byłaś mu tak samo bliska jak Jewka? Weź, Akulino Iwanowna, i podziel sprawiedliwie, jakby on to sam uczynił.

Wówczas dopiero Akulina łamiącym się głosem rzekła:

– Daję Lubię tysiąc, bo ma tylko gołą ziemię i pustą chatę. Daję tobie, Fiedia, pięćset rubli na dokupienie, czego potrzebujesz. I dla Wasi, Wani i Maszy, którzy uczą się u Pantielejmona, biorę resztę.

Porozmawiali jeszcze o tym i owym, po czym Bronisław zaczął się żegnać.

– W pierwszej połowie listopada – powiedział na odchodnym – robotnicy Zotowa przyniosą tu Mikołaja Sawielicza na wasz cmentarz. Przygotujcie mogiłę w ładnym miejscu i poślijcie po ojca Ksenofontowa. Niech Stare Czumy i okolica pożegnają dobrego człowieka.

Wyszedł uspokojony. Już się w nim nie kotłowało. Zniewaga została, ale jakby złagodzona sprawami Akuliny i jej dzieci, pomyślniejszą ich przyszłością. Mijając dom Czutkich pomyślał: czemu jestem tak uprzedzony do tej rotmistrzowej? Słyszę przecież o niej same dobre rzeczy... Zabiła męża. Może to nie było zabójstwo, ale akt rozpaczony albo wykonanie wyroku sprawiedliwości? W każdym razie nie należy jej demonstracyjnie omijać. Wstąpię do niej, zapytam, czy mogę jej być w czymś pomocny. Taki zwykły gest przyzwoitości, gest szacunku, jak uchylenie kapelusza...

Zawrócił. Na podwórzu przy ambarze Małania jak dawniej, podzwaniając łańcuchem, wstała na króciutkie, tylne

łapy i poszła ku niemu z mrużeniem powitania.

– A, poznałaś mnie, Małanio, pamiętliwa miśka, dobra miśka – głaskał ją po szyi i za uszami. – Zebrało się nam na pieśczołki, na karesy... Dawno nie widzieliśmy się, co?

Popieścił niedźwiedzicę i poszedł do drzwi czarnego ganku, nie zdążył jednak ująć klamki, jak drzwi się otworzyły.

– Bronisław Edwardowicz? Od razu poznałam, jak Małania do pana przymila się, że to ktoś swój, no i Jewka tyle mi o panu naopowiadała...

Patrzył na piękną, dwudziestoparoletnią kobietę, starając się przypomnieć sobie, skąd ją zna. Bo zna na pewno. Ten zgrabny nosek, dołeczki na policzkach, ciemne brwi i maleńką czarną muszkę nad lewą brewką... I nagle ten tumanny chaos rozjaśniło jak błyskawica wspomnienie – ona!

– Czemu pan mi się przygląda? – zapytała z uśmiechem napotkawszy jego wytężony wzrok.

– A bo w pierwszej chwili nie poznałem pani.

– No, teraz już myśmy się poznali, Izwolska, Wiera Lwowna... Proszę wejść.

Wprowadziła go do kuchni, a potem do pokoju, w którym były trzy dziewczyny ze wsi, maszyny i manekin. Przywitał się, oszołomiony, a ona poprosiła go do drugiego pokoju i przysunęła krzesło.

– Może pan trochę poczekać? Ja panu bardzo rada, ale widzi pan, mam klientki. To niedługo potrwa...

Poszła do nich, a on przysiadł i patrzył, jak pokazuje im

kolorowe magazyny, tak się ubierają w Rosji, a tak we Francji, w Niemczech, Anglii... Ubiory także są kulturą. Człowiek musiał przejść długą drogę od skór, w które się odziewał, żeby nie marznąć, do takiej ślicznej pelisy na popielicach i czapeczki z tumaka. To sztuka ubierać się wygodnie i ładnie, i do twarzy, do tego nie potrzeba gronostajów, jedwabiów i koronek, wystarczy zwykły perkal i trochę gustu... Dziewuchy z otwartymi ustami słuchały tej pani wysoko urodzonej, widać, że wysoko, która mówiła do nich nic nie ujmując sobie, nie zniżając się, raczej podciągając wzwyż, a taka była życzliwa i dobra w swej uczoności, prawdziwa pani, choć ręce ma spracowane i palce pokłute igłami...

Bronisław patrzył na nią, słuchał rażony miłością. Taką właśnie kochał, z jej łagodną, ukojną urodą, gracją i kulturą, z dobrocią i mądrością! Od pierwszego spojrzenia pokochał tę cudną dziewczynę, jak tylko wychyliła się z okna, i potem całe życie, nie wiedząc o tym, czekał na nią, marzył, spowiadał się, była w nim, w którejś komorze serca, uśpiona... Każdy nosi w sobie taki czy inny ideał kobiety. Biada, jeśli jej nie znajdzie. Bo gdy znajdzie, ale ona go nie pokocha, to przynajmniej będzie śnił o niej i tęsknił, będzie żyć uczuciem, nie zostanie z pustą duszą, rozmienną na drobne przygody. A jeśli tak się ułoży, że i ona go pokocha, to spotka go szczęście największe, jakie może być dane człowiekowi na ziemi. Daj mi, Boże, takie szczęście, już ja go nie przegapię, nie wypuszczę z rąk!

– No, teraz możemy porozmawiać – powiedziała siadając naprzeciwko przy stole, kiedy dziewczyny poszły, przyrzekając, że dobrze się zastanowią nad tym, jakie chcą bluzeczki. – Pan tak po prostu wstąpił, to bardzo dziękuję, a może pan ma do mnie jakąś sprawę?

– Tak... Czy można mieć nadzieję – powiedział czując, że zaraz palnie głupstwo, horrendalne głupstwo, ale to było silniejsze od niego i, już samo się wysnęło – czy można mieć nadzieję, że pani zostanie moją żoną?

Drgnęła. Odchyliła głowę, by lepiej mu się przyjrzeć.

– Co to? Żart czy oświadczyzny? Ja pierwszy raz pana widzę.

– A ja widzę panią drugi raz.

– Drugi? Nie przypominam sobie... Kiedy myśmy się spotkali?

– W lipcu 1906 roku. Na stacji, nie wymienię jakiej, na stacji pod Moskwą. Jechała pani sypialnym wagonem i był z panią starszy pan w granatowej bonzurce szamerowanej srebrnym sznurkiem.

– To był papa. Zdałam maturę i jechałam do Niżniego, by wsiąść tam na statek i podążyć Wołgą w dół do samego Morza Kaspijskiego... To było moje najpiękniejsze lato.

– Tak myślałam. Kiedy opuściła pani okno i wyjrzała w ten ranek lipcowy na świat zalany słońcem, to w pani oczach i twarzy było tyle ufności i szczęścia, ile można mieć w siedemnaście lat.

– W osiemnaście... Miałam maturę opóźnioną z powodu

choroby i śmierci mamy w Szwajcarii... Ale ja sobie pana nie przypominam, powtarzam, pierwszy raz pana widzę.

– Byłem w wagonie naprzeciwko. Za kratami, w tłumie więźniów, którzy cisnęli się do szyby.

– Ach, tam... Pamiętam, to był straszny widok. Papa powiedział, że to są nieszczęśnicy albo męczennicy... Potem i ja tym wagonem jechałam na zesłanie.

– Alosza, mój przyjaciel niedoli, ustąpił mi miejsca przy oknie. Powiedział: „Patrz, panienska z dobrego domu...”

– To prawda, z dobrego domu.

– W minutę, bo wasz pociąg ruszył, miał pierwszeństwo, był kurierski, w tę minutę wchłonąłem obraz pani i pokochałem. Nieraz potem w Akatuju w kopalni srebra, gdy praca katorżnicza zżerała siły, a brud, smród, przekleństwa i kradzieże, wszelkie nieczystości świata, rozkładały moralnie, modliłem się do obrazu pani, jasnego obrazka, ostatniego z wolności... Byłbym nigdy nie wiedział, kogo Kocham, żeby nie dzisiejsze spotkanie!

– Ach, to dlatego... Bo z początku wydała mi się dziwna pańska odpowiedź, że w pierwszej chwili pan mnie nie poznał.

– Czy pani jest wolna?

– To znaczy, czy Kocham innego mężczyznę? Nie, nie Kocham...

– Więc mogę mieć nadzieję, że potem kiedyś tam zdobędę pani wzajemność?

– Nie. Żadnych nadziei tego rodzaju.

– Nie rozumiem.

– Wiem, że pan nie rozumie...

Siedziała tak chwilę z nagle zmatowiałą, martwą twarzą, zdejmując i wkładając napałstek na palec, w końcu powiedziała z bladym uśmiechem:

– Biedny Bronisławie Edwardowiczu, pokochał pan kalekę... Będę z panem równie szczerą, choć przychodzi to mi z wielkim trudem. Z nikim jeszcze na ten temat nie rozmawiałam... Więc tak, jestem kaleką. Nigdy nie będę miała dziecka. Moje małżeństwo było pomyłone i krótkie, trwało pół roku i skończyło się tragedią. Pochodzę z rodziny ziemiańskiej, jestem jedyną córką profesora propedeutyki prawa uniwersytetu kijowskiego i w dwudziestym pierwszym roku życia wyszłam za mąż za rotmistrza jelizawietgradskiego pułku huzarów. Do jego nazwiska czuję wstręt, pominię je, noszę moje panieńskie nazwisko, Izwolska. Kiedy od razu zaszłam w ciążę, mąż przyjął to jako nieszczęście, chciał używać życia, a tu żona gruba jak beczka, dziecko, płacz, niańka, pieluchy... Kazał usunąć. Już wtedy wiedziałam, że moje małżeństwo to pomyłka, ale nie chciałam martwić papy prawdą, wolałam zachować pozory dobranej pary, za jaką uchodziliśmy. Nie wiem, czy zabieg zrobiono nieudolnie, czy też zaszły jakieś komplikacje, dość że mnie okaleczono.

– To straszne, co panią spotkało, Wiero Lwowno... Ale ludzie mówią, że...

– Ludzie różnie mówią, a ja jestem normalną kobietą i

kocham dzieci. Tego macierzyństwa mnie pozbawiono, zostałam niepełną kobietą, a potem w ogóle... Powiem krótko, mój mąż okazał się erotomanem i zbrojcem. Sądziłam, że miłość to uczucie i dar boski. A on mówił, że to tylko akt fizyczny na różne sposoby i z coraz większą kulturą, że powinnam się wstydić swej naiwności, uczyć się, brać korepetycje. Zatykałam uszy i wychodziłam. Ale kiedy on sprowadził do domu osobę, o której myślałam, że znajoma, a która miała być tą korepetytorką, kiedy po kolacji z wódką i likierami znalazłam się półprzytomna w łóżku razem z nim i z nią i on wyszeptał sposób, w jaki obie będziemy go kochały, to chwyciłam pistolet, wiszący nad łóżkiem na dywanie, i zabiłam moją zbrukaną miłość. Strzeliłam do niego trzy razy i raz do siebie. Ostatnia myśl była o papie, którego ogromnie kochałam, papo, wybac mi moją śmierć... Ale mnie wyratowano i postawiono przed sądem. Powiedziałam: „Przyznaję się do winy, proszę mnie ukarać”, i potem nic już nie mówiłam. Ale ta osoba zeznawała, przy drzwiach zamkniętych powiedziała wszystko, jak było. Werdykt był jednomyślny: „Winna, ale działała w afekcie i ma okoliczności łagodzące...” Dostałam wyrok, dwa lata więzienia i dwa lata zesłania na Syberię. Sprawa stała się prawdziwym skandalem towarzyskim, była żywo omawiana w prasie i komentowana. Opinia była podzielona. Większość głosów wyrażała pogląd, że za mocno go ukarałam, należało dać w gębę i rozejść się, mniejszość uważała, że słusznie postąpiłam i wyrok jest niesprawiedliwy,

a byli i tacy, którzy twierdzili, że zbeszcześciłam ich sławny pułk z wiekopomną szarżą na tureckie reduty pod Warną... Karę odbywałam w Moskwie. Papa zrobił wszystko, by uczynić więzienie znośnym. Siedziałam w celi z miłą, starszą panią, skazaną za krzywoprzysięstwo. Pracowałam w szwalni. Zawsze lubiłam robótki, teraz zaczęłam kształcić się w tym zawodzie, przychodziła do mnie do więzienia nauczycielka kroju i mody. Na Syberii gubernator chciał mnie zostawić w Irkucku. Błagałam go by wysłał mnie do głuchej wsi, przekonałam, że to mi jest psychicznie potrzebne. Tu dopiero czuję się dobrze, obszywając Stare Czумы... A po małżeństwie pozostał we mnie uraz czy nienormalność – przestałam być kobietą. W więzieniu, pamiętam, głodne mężczyźni kobiety opowiadały o nocach spędzonych z nimi, tęskniły za kochankami – słuchałam jak ślepy o kolorach. O jakich rozkoszach one mówią? Ja tego nie przeżyłam, był ból, wstyd, upokorzenie. Mężczyźni mnie nie obchodzą, dopóki mnie nie dotykają, nie starają mi się przypodobać, wtedy czuję dreszcz obrzydzenia, jakby miała na mnie skoczyć ropucha... Jest pan dosyć sympatyczny, Bronisławie Edwardowiczu, rozmawiamy, opowiadam o sobie jak nigdy nikomu. Ale czy mógłby pan zostać mężem kobiety wiedząc, że nie wolno panu jej tknąć?

– Z panią tak!

– Ale ja bym nie mogła widząc, jak pan się męczy, i z odrazą, zacisnąwszy zęby, zgodziłabym się pocierpieć, ulżyłabym z litości. Czy o takiej żonie pan marzy?

– Nie, o takiej nie marzę... – odrzekł Bronisław obejmując jej śliczną, delikatną, pastelową twarz swym nieposkromionym, chłonnym wzrokiem. – Ale kochać pani nigdy nie przestanę, teraz czcić i wielbić będę jak męczennicę! To ostatnie moje słowo. Więcej o miłości pani ode mnie nie usłyszysz.

W porywie tej czci chciał ucałować jej dłonie, ale przypomniała mu się ropucha i w pół ruchu cofnął się – po co zostawiać po sobie dreszcz obrzydzenia?

– Tak, bądźmy przyjaciółmi, Bronisławie Edwardowiczu. Ilekroć pan będzie w Starych Czumach, proszę nie omijać mego domu.

„W DUSZY MEJ SPOCZYWA SKARB I KLUCZ ODDANO TYLKO MNIE...”

Bronisław kładł gonty na lewej stronie dachu, z którego zrzucano już płyty kory, a z prawej strony, zza grzbietu, skąd dochodził śpiew drozda, Mitrasza robił to samo. Już drugi dzień pracowali w ten sposób, posuwając się z obu stron coraz wyżej. Kiedy spotkają się na grzbiecie i złączą swoje rzędy gontów dwiema listwami na styk, dach będzie pokryty.

Z tej wysokości rozpościerał się ten sam krajobraz, co o tej porze na jesieni ubiegłego roku, kiedy go Mikołaj zawołał do siebie – chodź, Bronku, popatrz na ten widoczek... Z dojmującym uczuciem przemijania, jakby przez ramię Mikołaja, który został tam, w złotodajnych piaskach Sinicy, patrzył na wspaniałą panoramę tajgowego morza, bezkresnie sfalowaną na wzgórzach zieleń, gdzieniegdzie tkniętą żółtą i czerwoną barwą września, na rzekę wygiętą w kształcie litery W, jak Wiera Lwowna – że też wszystko teraz mu się kojarzy z Wierą Lwowną...

Widział całe swe obejście – nad potokiem, nieco z prawa, kępa starych cedrów, z ruinami nie rozpoznanej budowli i czarnym polerowanym głazem, łaźnia, nie wykończony budynek gospodarczy, w nim pięć sztapli desek odziomkowych, kantówki i bali, schnących już od roku, a do

roboty stolarskiej muszą schnąć jeszcze dwa lata, jeśli to drzewo iglaste, i sześć lat, jeśli liściaste. Dalej widać rząd dwunastu dzikich jabłoni, które Mikołaj przesadził, co dziesięć kroków jabłoni; za nimi pasą się reny, wyskubując jagieł spod gałęzi na polanie, zawalonej nimi, po wyciętych i okrzęsanych drzewach, sterczą po nich tylko pnie oraz sterty posztaplowanych na przekładzinkach desek-obladrów do płotu, całe obejście trzeba opłócić...

A Mitrasza po tamtej stronie dachu rozdzwonił się drozdem, takie trele, poświsty, kłaskania, że drozdy w lesie umilkły zasłuchane, zdziwione, czy człowiek potrafi tak gwizdać? Potrafi, tylko musi to być człowiek niemy, jedyne dźwięki, jakie wydaje, jakimi cieszyć się może, to gwizdy. Do tego nie trzeba języka, wystarczy usta ociupinkę rozchylić i dmuchać...

Psy zaszczekały. Zaszczekały od razu zajadle, jak na obcego, i pomknęły pędem w ten koniec polany, gdzie pasły się reny. Z coraz cichszym ujadaniem, przypadając do ziemi, łapa za łapą, zbliżały się do czegoś, co leżało na ziemi. Obwąchały, po czym Brysiek wyskoczył w stronę domu i szczeknął dwa razy – nie rozumiał.

– Zejdźmy, Mitrasza, psy znalazły coś dziwnego.

Zeszli po drabinie i poszli. Na skraju lasu leżał twarzą do ziemi bradiaga w strzępach brudnej odzieży więziennej, bosi, ze śladami kajdan na nogach. Zbiegły katorżnik. Do najbliższej katorgi, w Irkucku, jest sześćset albo osiemset wiorst, szedł na ślepo po bezdrożach tajgi z nożem tylko,

gnus go zżerał... Czym się żywił?

Odwrócili. Padł, gdy dobrnął do ludzi, na widok ich domu i pracujących na dachu... Bronisław położył dłoń na czole. Było ciepłe. Przyłożył do serca – biło. Po wyjęciu dłoni spod czegoś, co było kiedyś koszulą, zobaczył na niej dwie wszy. Był okropnie zawszony.

– Wezmę go pod pachy, a ty za nogi. Zaniesiemy go do magazynu.

Był lekki, wyschnięty na wiór.

Magazynem nazywali budynek niewiadomego przeznaczenia, na razie schły tam deski stolarskie i były złożone narzędzia Mikołaja, zapasowe szkło, skrzynki gwoździ, beczka smoły, sanie i uprząż renów.

Położyli na ziemi skórę iziubra, na niej wojłok i u wezglowia powłoczkę od poduszki wypchaną mchem. Ułożyli go, przykrywając kocem. Ruszył głową, oblizując spieczone wargi.

– Damy mu teraz kubek rosołu, co nam został z obiadu. A wieczorem dwa kubki z rozmięczonym w rosole chlebem. On ma teraz kiszki jak bibuła, zabilibyśmy go, gdybyśmy dali więcej.

Wieczorem otworzył oczy, powiódł półprzytomnym wzrokiem i zasnął. Nazajutrz czuł się lepiej, ale nic nie mówił. Dali znów rosołu z kawałkami chleba i mięsa, i tak stopniowo zwiększali racje, aż do normalnego obiadu w piątym dniu kuracji.

Poprzedniego dnia skończyli z gontowym pokryciem i

od rana gotowali smołę, impregnowali cały dach – błyszczał w zachodzącym słońcu gontami w karpia łuskę.

– No, dwadzieścia albo dwadzieścia pięć lat ten dach wytrzyma – rzekł Bronisław.

Mitrasza na to tylko gwizdnął – fiu, kto by tam troszczył się o to, co będzie za dwadzieścia lat! – i poszedł do łaźni napalić w piecu, byli brudni po tej robocie.

A Bronisław, zajrzał do magazynu: ich pacjent stał, opierając się o stolarską ławę, i patrzył na narzędzia Mikołaja.

– No, z tobą, widzę, jest całkiem dobrze.

– Dobrze.

– Jak się nazywasz?

– Paweł... Wydacie mnie?

W skurzonej postaci, w rozbieganych oczach czał się strach.

– Nie obrażałbyś nas takim pytaniem... Wydobrzejesz, okrzepniesz i pójdziesz swoją drogą.

– Bóg zapłać, panie...

– Jak długo byłeś garbusem?* Ten wybałuszył oczy.

– No, co się gapisz? Pytam się, kiedy usłyszałeś kukulkę*?

– Dwa miesiące temu.

* Z gwary więziennej: być garbusem – być zbiegiem

* Usłyszeć kukulkę – zbiec z więzienia.

Dwa miesiące, sześćdziesiąt dni i nocy błąkał się po tajdze sam jeden, bezbronny...

– W jakiej byłeś ochronce*?

– W Irkuckim Centrale.

– A ja z Akatuja, Najdarowski Bronisław, zesłaniec polityczny. Widzisz, niepotrzebnie obawiałeś się wydania... A teraz ja ciebie, Pawle, ostrzygę i ogolę, inaczej co ci krwi przybędzie, wszystko robactwo z ciebie wypije. Potem pójdziesz do łaźni i na police nad piecem.

Przyniósł nożyce i brzytwę, najpierw ostrzygł, potem namydlił i ogolił wszędzie, gdzie tylko były włosy – wynurzył się szkielet człowieka średniego wzrostu, szeroki w ramionach, z główką jak jajko. Wziąwszy go potem pod rękę, zaprowadził do łaźni, a Mitrasza tymczasem wszystko uprzętnął, skórę iziubra wyrzucił do lasu, a łachy, kocyk i włosy spalił. Leżał potem Paweł na policy z uczuciem czystej błogości, można powiedzieć, niebiańskiej, w śnieżnobiałej koszuli Bronisława, i jadł suto okraszony skwarkami krupnik na mięsie.

A Bronisław przeprowadził się do uwolnionego od stosów gontów pokoju za sionką paradną. Napalił w piecu, chociaż nie było tak zimno, porozwieszał na gwoździach nieco znoszony garnitur świąteczny, *kuklankę*, *dochę* i inne rzeczy zimowe, kubek z nerczyńską kobietą postawił na półeczce w kącie jak obrazek święty, walizkę z bielizną i

* Z gwary więziennej: ochronka – katorga.

innymi drobiazgami umieścił w rogu, na niej położył przybory do golenia, przystawił do pieca zydel (w pokoju z mebli były tylko łóżko i zydel), siadł i patrząc w ogień, odpoczywał po trudach dnia, odprężał się w poczuciu ulgi i spokoju – nareszcie był sam z Wierą Lwowną...

Przez kilka dni Paweł leżał, chciał wstawać, ale kazali mu leżeć na piecu i ubrania nie dawali, musiał usłuchać, a sami kopali doły na słupy ogrodzeniowe po linii zakreślonej dookoła obejścia, co dwanaście kroków słup. Jeśli akurat w tym miejscu na linii rosło drzewo, to nie kopali, miało zastąpić słup, w ten sposób sporo zaoszczędzili pracy, bo ich obejście było polaną w lesie.

Pewnego wieczora, kiedy wszystkie doły były wykopane, naradzali się w kuchni przy kolacji, jak zabrać się do płotu. Cały materiał, słupy i obładry, były gotowe od zeszłego roku, tylko wymagały trochę ciesielskiej roboty: obładry trzeba było sfugować, a w słupach ponarzynąć i wydłutować wpusty na żerdzie. A Mitrasza nie bardzo umiał robić rabankiem, piłą i dłutem, Bronisław zaś wcale.

– Dajcie mi tylko jakieś ubranie, a wnet wam to zrobię – odezwał się z policy przysłuchujący się rozmowie Paweł. – Umieć nie tylko ciesielską, ale wszelką stolarską robotę.

– Gdzieżeś się tego nauczył?

– W wojsku. W *niestrojewoj komandzie**. Byli u nas

* *Niestrojewaia komanda* – kompania w pułku rzemieślników do wszelkich napraw, po części robót saperskich.

rusznikarze, kowale, cieśle, stolarze, kołodzieje, rymarze i Bóg wie jeszcze kto. Z początku robiłem jako cieśla, potem jako stolarz meble dla oficerów. Sześć lat przestrugałem.

Bronisław dał mu swoje stare *unty* i granatowe świąteczne ubranie, bo innego nie było, z myślą, że sprawi sobie nowe, Paweł ubrał się i stanął do roboty. Już z tego, jak brał do ręki narzędzia i oglądał, jak je ostrzył, widziało się majstra. Zaczął rysować na słupach wypusty, Bronisław z Mitraszą wyrzynali, a on dłutował. W dwa dni uporali się z tą robotą, pozostało dwustu żerdziom końce przyciąć pod wymiar wpustów.

W niedzielę po obiedzie siedzieli przy herbacie obliczając, ile czasu im to zajmie, a ile fugowanie obladrów, wtedy dopiero można stawiać płot...

Psy zaszczekały. Wyjrzeli przez okno. Trzej przybysze szli do nich i zatrzymali się, obszczekani z obu stron przez Bryśka i Żywego. Buriaci. Bronisław poznał ich po spiczastych czapkach z lisich łapek, po chałatach, których lewa poła zachodziła na prawą i zapinała się z boku. Z paska, którym byli opasani, z prawej strony zwisał kapciuch na tytoń, nóż w pochwie i skórzana torebka na krzesiwo, ozdobiona metalowymi płytkami. Buty z juchtowej skóry o krótkich cholewach, za które zatknięta była fajka, na grubej podeszwie z wojłoku, bez obcasów, o lekko wygiętych do góry noskach... Wyglądali nędznie. Ich odzież była tak brudna, wypłowiała i połatana, że niepodobna było ustalić, jakiego koloru i z jakiego materiału zrobiona. Tylko srebrne

klamry u pasków, ozdoby torebek skórzanych i ślady aplikacji na cholewach, noskach i zapiętkach butów świadczyły o świetnej przeszłości.

Bronisław odwołał psy. Przybyli zdjęli czapki, pokłonili się. Ujrzał dwie czarne głowy i jedną siwą do połowy wygoloną, z cieniutkim warkoczykiem na sposób chiński. Z czapek, które trzymali w rękach, zwisały z tyłu strzępy kolorowych kiedyś wstążek.

Stary przemówił swą ubogą ruszczyzną. Bronisław zrozumiał, że przychodzą z daleka i że mają do niego prośbę...

– W takim razie proszę do izby...

Otworzył drzwi. Weszli ostrożnie, nieśmiało i długo wycierając nogi. Zobaczyli obraz w rogu, który wisiał po Mikołaju, pokłonili się, przeżegnali solennie i niewprawnie, jak gdyby przypominając sobie, jak złożyć palce i w którą stronę się żegnać, na prawo czy na lewo. Widocznie byli to Buriaci prawosławni, którzy przypomnieli sobie to prawosławie i chcieli w ten sposób przypodobać się gospodarzom. Skłonili się przed Pawłem i Mitraszą, po czym stary rzekł, uderzając się w pierś:

– Ja jest Iwan *jasu* Chongodor, to mój syn Wasyl i syn Piotr.

Synowie spojrzeli na niego w popłochu, może imiona ich poplątał, a może zabrzmiały tu dla nich tak obco, dość że stary się stropił i skonfundowany zatrzepotał powiekami, ale w tej chwili Bronisław przystawił ławę do stołu z drugiej

strony.

– Siadajcie, czcigodny Chongodorze, bądźcie gośćmi...
A co znaczy jasu?

– *Jasu* znaczy kość. Być wielki, wielki wojownik Chongodor, *tajsza** chana być, wojować, chodzić daleko, gdzie słońce zachodzić, gdzie ciepło i bogate duże miasta... Jego kość to dzieci i wnuki, mnóstwo wnuki, teraz ja ostatni Chongodor.

– Rozumiem, *jasu* to ród.

– Tak, tak... My wasza wiara, u nas wisieć wasze burchany.

– Ikony?

– Tak, ikony, burchany.

– Kiedy was ochrzcili?

– O, dawno, dawno... Każdy dostał koszula i krzyżyk.

– A potem nikt was nie odwiedzał?

– Nikt. Koszula nosić, nosić i koniec. A krzyżyk został.

– Rozpiął swój chałat i pokazał zawieszony na szyi miedziany krzyżyk, jego synowie także pokazali.

Byli żalosi, ostatni z rodu księcia Chongodora, z tymi krzyżykami w ręku i swoim przypochebaniem się prawosławiem, zastrachani, niepewni, czy to wszystko na coś się zda. Może gospodarze przepędzą ich nahajami... W stężytych twarzach, w zaciśniętych szczękach, spuszczonej oczach krył się strach.

* *Tajsza* – zaufany dostojnik chana, tytuł ten, jak książę, był w rodzinie dziedziczny.

– Proszę, mili goście, czym chata bogata, tu boczek, a tu *szaniegi* z jagodami, proszę bardzo – częstował ich Bronisław.

– Dziękować, my niegłodni.

– Niegłodni, to wiadomo, ale obyczaj nakazuje uszanować gospodarza... Oto herbata, dobra herbata, chińska, paczkowana...

Po pewnych ceregielach, ulegając namowom Bronisława, zjedli każdy kromkę pszennego chleba z boczkiem i dwie *szaniegi*, wypili trzy kubki herbaty, zagryzając cukrem, wtedy dopiero stary wyłożył swą prośbę.

Jak wynikało z jego słów, *tajsza* Chongodor z ostatniego pochodzenia na zachód przywiózł mnóstwo łupów i wielu niewolników, którzy umieli robić nieznane rzeczy, między innymi postawili mu tu na wzgórzu dom z kamienia, jakiego nie widziano u Mongołów, a wokół stały jurty jego niewolników. Stąd Chongodor rządził w imieniu chana sąsiednimi plemionami i tu przy wielkim czarnym kamieniu modlił się do bóstwa tajgi Bajan Changaj, składając mu ofiary.

– Jak się nazywało wtedy to miejsce?

– Nazywało się Wzgórze Snu... jak niebo.

– Błękitne?

– Tak, błękitne!

– Wzgórze Błękitnego Snu... Niebrzydko. Co dalej? *Tajsza* Chongodor lubił to miejsce i dzieciom swoim nakazywał, żeby żyli z łowów i tajgi nie opuszczali, inaczej

spotka ich wielkie nieszczęście. Ale dzieci i ich dzieci, jak się rozmnożyły, nie usłuchały i wyszły w stepy, zaczęły konie hodować i bydło, tabuny i stada mieli w tysiące sztuk. To ich bogactwo ściągnęło na nich zawiść sąsiadów, zaczęły się krwawe podboje, i tak coraz bardziej Chongodorowie podupadali, kurczyli się, aż ostatnio źli ludzie napadli na jego rodzinę, nałożyli *jasak*, daninę, która całkiem go, zrujnowała, i zabrali mu starszą córkę, z którą jeden z nich żył, a był zarażony straszną chorobą, nos od niej gnije i robi się dziura. W zeszłym roku córka zobaczyła, że ma takie wrzody, i z rozpaczy utopiła się. Powiedzieli mu o tym, śmiejąc się z głupiej, zabrali ostatnie konie i krowy, zabraliby i Erche, młodszą córkę, której idzie na siedemnasty rok, ale nie mogli, szli na wielki rozbój, chcieli napaść na cały *ulus**... Jak oni odjechali, to on zebrał, co mu zostało, trochę renów, trochę owiec, i powędrował z całą rodziną tym szlakiem, który mu ojciec pokazał, skąd oni się wywodzą, do Wzgórza Błękitnego Snu, by oddać się pod opiekę ducha wielkiego Chongodora. Teraz błaga Bronisława, nie odtrącaj nas, dobry panie, pozwól zostać na dole u stóp wzgórza, gdzieśmy przykucnęli...

– To ilu was razem? – spytał Bronisław.

Stary zaczął liczyć na palcach: trzech mężczyźni i dwie kobiety, synowie, jedna córka, dwóch wnuków piętnastoletnich i pięcioro małych dzieci...

* *Ulus* – wieś.

– Trzynaście osób – podsumował Bronisław. – Czyli trzy jurty?

– Jedna – odrzekł stary.

– Jakże możecie zmieścić się w jednej?

– Jeden mało-mało, drugi mało-mało – stary zrobił rękami ruch ściskania się, ścieśnienia.

– A strzelby macie?

Okazało się, że nie, ich wiekowe skałkówki dawno się rozsypały, a na nowe nie stać.

Zaległo milczenie. Buriaci pospuszczali głowy jak winowajcy.

– A ja potrzebuję robotników do płotu. Ogrodzić muszę całe obejście przed zimą – powiedział Bronisław, szperając w kieszeni. – Widzicie? Srebrnego rubelka dam wam za dzień roboty.

Buriaci błysnęli oczami na srebrną monetę.

– Dać nam rubel?!?

– Dam rubel każdemu z was dziennie, razem trzy ruble.

Stary zerwał się na równe nogi, za nim synowie.

– Ojej, gdzie ten płot? Dać nam deska, dać nam młot, to zobaczycie buriacka robota!

Synowie też wykrzykiwali, uderzając pięściami w dłonie, hałas ten uciszył Bronisław przypomnieniem, że dziś niedziela, dopiero jutro będzie robota, od siódmej rano do zmroku, z półgodzinnym podobiadkiem, bo szkoda czasu, wcześniej robi się ciemno.

Kiedy goście wyszli, Bronisław odprowadzając ich

spytał starego na dworze:

– Powiedz szczerze, czcigodny Chongodorze, jak ty w jurcie mówisz do synów? Wasyl i Piotr czy po swojemu, po buriacku?

Stary zatrzęsł się ze śmiechu, aż mu chiński warkoczyk podrygiwał na plecach.

– Starszy Cagan i młodszy Dandor, nie wiedzieć, kto Wasyl, kto Piotr!

– Dziękuję, teraz znam ich imiona... Do zobaczenia jutro!

Kiedy wrócił do górniczy, milczący dotąd Paweł odezwał się:

– Przepląciliście, gospodarzu. Oni gotowi byli robić we trzech za rubla, a wy daliście im trzy ruble.

– Wszędzie na wsi dniówka wynosi rubel. Nie godzi się nam płacić im trzydzieści kopiejek dlatego, że są Buriatami, że nie wiedzą.

– Drogo ten płot będzie kosztował. Sami moglibyśmy go postawić, bez nich.

– W żaden sposób. Dziś piętnasty września, a my jeszcze nie zaczęliśmy dopasowywać żerdzi do wpustów.

A dwudziestego października zaczyna się sezon łowiecki. Cedr w tym roku obrodził, wiewiórek zeszło się co niemiara, a dla myśliwego najlepsze są pierwsze dwa miesiące, czyli Mitraszę trzeba z płotu zwolnić, dla niego każdy dzień to wielka strata... Tak to wygląda. Nie zdążymy ogrodzić się przed zimą. A na nie ogrodzone przyjdą wilki i

zeżrą nam reny, a może nawet i psy.

Paweł nic nie odpowiedział, widocznie te relacje przemówiły do niego. A nazajutrz przemówiła robota. Bronisław i Mitrasza pasowali żerdzie do wpustów, Buriaci przybijali, a Paweł fugował oblady, deski, których jedna strona była płaska, a druga wypukła, boczna kłoca. Trzeba było brzegi długim strugiem, rabankiem, wyrównać do styku z sąsiednią deską, wtedy dopiero, po dwóch latach, kiedy drzewo zupełnie wyschnie, powstanie tylko niewielka szczelina.

Tak pracowali dzień w dzień do zmroku, z niewielką przerwą na suty podobiadek w południe. W sobotę całe obejście było ożerdzione.

– W poniedziałek Buriaci złączą deski przybijać – powiedział Paweł, który przejął kierownictwo robotą, bo się na niej znał najlepiej. – Bronisław będzie końce obladrów, com nafugował, obrzynał pod szpic dla Buriatów, Mitrasza zaś złącznie dalej fugować i nabierze wprawy, a ja będę robił furtkę i bramę. Zrobię wam samarską bramę.

W niedzielę rozeszli się na zwiady po łowiskach swoich, Mitrasza z Żywym na lewą stronę wzgórza, a Bronisław z Bryśkiem na prawą. Dzień wypadł chłodny, ale wyjątkowo piękny jak na dwudziesty drugi wrześnie, krajobraz cały w słońcu, tylko na widnokregu ścieliła się sinawa mgła, jak zanikające majaki błękitnego snu wzgórza. Ziemia po przymrozkach była twarda, szło się lekko w zamarły, jesienny las, którego drzemotną ciszę naruszały tylko wiewiórki. Ta

gryzie orzeszki, bryzgając łupinami, tamta ciągnie do dziupli z zapasami, te dwie na gałęzi kłóca się czy plotkują – jest ich mnóstwo, z całej Syberii, zdawało się, zeszyły się tu wiewiórki na swoje święto, na urodzaj orzeszków cedrowych. Nie do pojęcia, skąd one wiedzą, że w tej miejscowości Łędzie w tym roku urodzaj? Trzeba będzie natrząść parę worków na zimę dla Wiery Lwowny...

Obszedł ostoję soboli, badając ślady ich bytowania i pomiot, tu ptasie pióra i kosteczki, tam skórkę wiewiórczą, wszystko w normie życia drapieżników, i zaczął schodzić niżej, by dołem podążyć w stronę wzniesienia nad rzeką, na którym stała jurta Buriatów. Usłyszał niedaleki tupot i trzask łamanych gałęzi, jak gdyby ktoś wykonywał szalone płąsy rytualne ku czci bóstwa tajgi Bajan Changaj. Pobiegł w tamtą stronę. Między drzewami ujrzał łosia, jak tańczył wkoło, to stawał dęba, to stukał głową o drzewo, aż echo dudniło. Bieg w kręćka trwał, lecz coraz wolniejszy, coraz bardziej chwiejny, aż łos padł na przednie kolana, z gardła wydobył się głuchy, przejmujący jęk, i łos przewalił się na bok.

Bronisław podszedł bliżej z „Paradoksem” w pogotowiu. Ogromne zwierzę konało, przebijając w konwulsjach nogami. Nad uchem jego widziało się dużą białą kulę z czarnym ogonkiem, ogonek podrygiwał z zadowolenia... Pojął – gronostaj wżarł się w łosia! Mikołaj mówił, że tak gronostaj poluje. Najbardziej krwiożerczy ze wszystkich łasicowatych, czatuje na łosia i z gałęzi skacze mu na kark, wżerając się w ucho. Łos miota się po lesie,

skacze, usiłując strząchnąć piekielne paskudztwo, ale ono wgryza się coraz głębiej, z ucha robi sobie norkę do mózgu i w końcu zawsze dostanie swój galaretowaty rarytas.

Bronisław gwizdnął. Z ucha wyskoczył zdziwiony gronostaj z krwawym pyszczkiem. Wtedy strzałem go zdmuchnął.

Łoś już skołał. W uchu jego ziała mała jamka. Obok leżał gronostaj uwalany we krwi i mózgu, z brzuchem jak opita wielka pluskwa.

– Brysiek, waruj! Nie dopuszczaj lisów, żeby mi łosia nie napoczęły.

Jurtę Buriatów znalazł niebawem na wysokim brzegu. Szedł wzdłuż rzeki i z daleka zobaczył. Była okrągła, stożkowata i duża. Bardzo dawno ją zrobiono, wojłok sparszywiał, cera na cerze.

Pierwsze zauważyły go psy, potem dzieci, wreszcie wszyscy wyszli mu na spotkanie.

Po wzajemnych pokłonach i przywitaniach Bronisław spytał starego:

– Czy chcesz łosia?

– Ubić ty łoś?

– Nie, ja ubiłem tylko gronostaja, który zagryzł łosia.

Łoś, największe zwierzę tajgi, większe od niedźwiedzia, zagryzione bywa przez malutkiego gronostaja, o tym wszyscy wiedzieli, nieraz opowiadano, ale nikt nie widział. Znajdywano tylko szkielety. Teraz wszyscy chcieli zobaczyć. Ale stary szybko uciszył hałas i wziął z sobą tylko dwóch

synów, Cagana i Dandora, najstarszego wnuka, Szyracha, córkę Erche i reny.

Kto nie widział, jak ludy pierwotne, Tunguzi, Chakasi czy Buriaci, zdejmują skórę z ubitej zwierzyny i rozbierają na części z kapłańską rytualnością obrzędu i precyzją chirurga, żeby nic nie zostało na skórze i nic nie zmarnowało się mięsa, ten nigdy nie zrozumie, że to nie tylko podział tuszy, ale i hołd składany przeciwnikowi na tym świecie, szacunek i prośba, by im przebaczył, bo musieli.

Wracali rozradowani, nieco wstawieni zapachem krwi i widokiem takiej masy świeżego mięsa. Brysiek biegł w zgodzie z młodą, dwukrotnie mniejszą od niego suczką Buriatów, podjadły sobie ochłapów i teraz obwąchiwały się z wzajemną adoracją. Ale przed jurta Buriatów rzuciły się na Bryśka dwa psy, w okamgnieniu zawirował kłęb trzech szczepionych wściekłych psów, a kiedy Erche chlusnęła z wiadra wodą, na ziemi konał jeden, drugi pies kulejąc umknął w bok i na placu boju pozostał warcząc zziąjany Brysiek z poszarpanym karkiem.

Stary przeproszał Bronisława, zagadując przykre zajście, gestami i w uniżonych słowach prosił zrobić mu ten zaszczyt, wejść do jego jurty. Bronisław z odrazą nachylił się i wszedł.

Uderzył go zaduch i odór brudu z amoniakiem. W półmroku tlił się ogień na kamieniach pod żelaznym trójnogiem, dym wychodził górą przez otwór w dachu. Poblask ognia pełgał po miedzianych obrazach bóstw buddyjskich i po ikonie prawosławnej, zgodnie ustawionych

na drewnianej podstawce-bożnicy. Bronisław siadł, jak go prosił stary, na dwóch wojłokowych materacykach, obszytych materiałem, którego gatunek i pierwotny kolor czas dawno zniszczył. Jurta była zbudowana na gołej ziemi w ten sposób, że ustawiono w koło szereg drewnianych krat, na których oparto przywiązane rzemykami końce żerdzi, a drugi ich koniec wpuszczono w grubą obręcz, przez którą właśnie wychodził dym, tak że dach miał kształt ściętego stożka, a cały ten szkielet jurty z zewnątrz obciążnięto wojłokiem. U wejścia po lewej stronie było męskie miejsce do siedzenia i spania na wojłoku, dla starego i dwóch jego synów, na ścianie wisiały łuki, kołczany, oszczepy, ościenie, siekiery, uprzęż i inne przedmioty ich zajęć – na prawo, wśród rzeczy domowego użytku, było miejsce kobiet... Nie do pojęcia, jak w tej ciasnocie mogli siedzieć, jeść i spać trzynaście osób.

Uchyliła się zasłona, odsłaniając niewielki otwór z lewej strony wejścia. Wsunęła się ręka podając gronostaja i głos Cagana coś powiedział.

– On powiedziec gość przyjsć – przetłumaczył stary.

Otwór, jak mu się Bronisław przyjrzał, był specjalnie zrobiony do podawania takiej zdobyczy, gronostajów, soboli i wyder, a słowa Cagana „gość przyszedł” pobrzmiwały tradycją tysiącleci, kiedy istota ludzka czuła swą spójnię ze światem zwierzęcym i zabijając, usprawiedliwiała się przed zabitą sztuką, że musiała to zrobić, starała się przebłagać, uhonorować nieboszczyka, bo kto wie, co może być z człowiekiem po śmierci, może wcielić się w gronostaja czy

sobola?

Cagan i Dandor, skończywszy na dworze robotę przy mięsie, zaczęli wnosić zwierzynę do jurty i rozwieszać na drągach przy ścianie z dala od ognia: szynki, nogi przednie, comber, żebra, krzyżową, kark... Należało posolić, ale nie mieli soli. – Dam wam jutro, posolicie, nie martwcie się – powiedział im Bronisław. Czworo najmłodszych dzieci, straszliwie wychudzonych, w strzępach skórzanej odzieży, weszło za nimi i stanęło z boku, pożerając głodnymi oczami soczyste, ociekające krwią półcie mięsa na drągach. Kobiety też nie mogły opanować podniecenia, widocznie dawno nie jadły mięsa, ruchy miały nerwowe, gdy napełniały wodą brzozowe wiaderko, mieszały drewnianą łyżką w saganie na trójnogu czy brały coś z naczyń na półce, wykonanych z drzewa, korzeni modrzewiowych lub narośli brzozowych. Chciały poczęstować czymś gościa, ale w jurcie nie było garści mąki ani szczypty herbaty, nic, prócz tego ogromu świeżego mięsa.

W jurcie powstał tłok i gwar, czuło się przedsmak uczyty i odór amoniaku, odór moczu. Bił w nos od kołyski, stojącej tuż przed Bronisławem. Miała dno pochyłe, w nim dziurkę i naczynie pod nią. Dziecko leżało zawsze mokre, nie przewijane, przykryte miękką skórką zajęczą. Ssaną piąstkę swą trzymało przy ustach i już nie płakało z głodu, umierało...

– Zaraz będziemy jeść, dużo jeść! – oznajmił radośnie Bronisławowi stary.

Jeść łośia, którego mózg wyżarł gronostaj, jeść na świeżo, bez soli, w zaduchu, w smrodzie od kołyski, wśród tych zamorzonych głodem ludzi, na oczach umierającego dziecka... Bronisław wstał z materacyków, zwanych *ołbokami*.

– Ja nie mogę, czcigodny Chongodorze.

– Co nie mogieć? Co obrażać Chongodora!

– Post. Dziś mamy postny dzień. Dopiero jutro...

Do domu było niedaleko, zaledwie wiorsta jakaś. Przy obiedzie opowiedział historię z łośiem.

– Jutro daj im, Mitrasza, beczułkę masła, połącz słoniny, worek mąki, kaszy i grochu w torebkach, herbaty, cukru i soli... Mieliliśmy jechać po prowiant na Boże Narodzenie, no to pojedziemy na początku zimy. A dzieci nie można karmić samym łośiem.

Cały czas czuł na sobie przenikliwy, badawczy wzrok Pawła.

Wieczorem napalił u siebie w pokoju, zdjął buty i wyciągnąwszy bosc stopy do ciepła, rozmyślał, patrząc na buzujący w piecu ogień.

– Widzi pani, Wiero Lwowna, może to i głupie, co robię, ale jak się powiedziało a, to się mówi dalej... Nie mogę patrzeć, jak dziecko umiera. Kiedy to widzę, że takie maleństwo, co niczym nie zgrzeszyło, nie zawiniło, kona, to mnie cholera bierze i przestaję wierzyć w Boga, w jakąkolwiek sprawiedliwość na ziemi... Tych Buriatów podetknął mi los. Zaczęli pracować u mnie przy stawianiu

plotu, korzyść obustronna, ja zdążę ogrodzić przed zimą, a oni zarobią trochę grosza... Ani mi przez myśl nie przeszło, że ten podobiadek, który jedzą z nami, trzyma ich przy życiu, a co jedzą ich kobiety i dzieci? Takiej biedy z nędzą, jak w tej jurcie, jeszcze w życiu nie widziałem. Jurta stara, złachana, na gołej ziemi, trzynaście osób na kupie, ani szczypty soli, ani odrobiny mąki, kaszy jakiegś... Idzie zima. Co Cagan z Dandorem ubiją z łuków? Grozi im śmierć głodowa, a ja mam pieniędzy na pięć lat. Nie mogę nie pomóc im, muszę zapewnić im żywność na zimę, broń, w ogóle zrobić normalną rodzinę, najtrudniej będzie nauczyć ich myć się... A czy czasem nie robisz tego wszystkiego po to, żeby spotkać się ze mną, Bronisławie Edwardowiczu, wcześniej spotkać się ze mną? Niewykluczone, Wiero Lwowna, ten motyw przewija się w moich myślach, tęskno mi za panią... Nie możesz być kobietą – sama to wyznałaś w swej spowiedzi, na którą zdobyłaś się z litości nade mną. Ale mnie to nie wyleczyło, przeciwnie. Nigdy bym nie uwierzył, że można kochać samą duszę, zjawę, czyste uduchowanie kobiecości. Wypełniasz mnie całego po czubki włosów i dzięki ci za to, że istniejesz...

Nazajutrz Buriaci przynieśli skórkę gronostaja na prawidełkach, wątrobę łosia i największy przysmak, chrapy z językiem. Zabrali się do roboty z takim zapalem, że Mitrasza z fugowaniem i Bronisław z zaostreniem desek nie mogli nadażyć, co i raz to rozlegało się wołanie „deska, dawać deska!”... Na dwunastą Mitrasza ugotował chrapy i jęzor

łosia, z solą, pieprzem i listkiem bobkowym, a wątrobę usmażył na patelni – mieli prawdziwą ucztę. Potem znów robili do wieczora, a o zmroku, gdy Buriaci mieli odejść, Mitrasza dał im trzy worki żywności. Bronisław powiedział:

– Daję wam przede wszystkim dla waszych kobiet i dzieci. Zwracać nie potrzebujecie – to dar. A jak skończymy płot, to pojedziemy do sklepu do wsi po zakupy na całą zimę.

Znów cały czas czuł na sobie wnikliwe spojrzenie Pawła.

Pewnej niedzieli poszli do lasu z długim drągiem oraz kłosem i przy pomocy tego prymitywnego urządzenia natręśli sześć worków orzeszków cedrowych.

Osiemnastego października spadł śnieg, a dwudziestego Mitrasza rozpoczął swój sezon łowiecki. Poszedł z Żywym, bo Brysiek z nikim prócz Bronisława nie chciał polować. Wrócił wieczorem, po odejściu Buriatów, przynosząc pięć wiewiórek i radosną nowinę, przekazywaną gestami, że wiewiórek jest mnóstwo. „No, to ty, bratku, teraz nie ziewaj, korzystaj z sezonu, póki czas, jesteś przecież myśliwym na dorobku” – mówił mu Bronisław. Paweł nie rozumiał, tu płot nie dokończony, a on Mitraszę zwalnia na polowanie, jakby z tego miał jakąś korzyść... Sam Paweł robił zapamiętale, pracując nawet wieczorami w magazynie przy świetle lampy naftowej.

Wreszcie trzydziestego października przed południem wszystko zostało zakończone: i płot, i brama. Całe obejście obwiedzione litym ostrokołem sążeń wysokości, czyli grubo ponad wzrost człowieka, a brama tryumfalna, spięta koszową arkadą. Zabrakło przy końcu obladrów, musieli zużyć dwa sztapy całowych desek stolarskich, schnących w magazynie, dali je na bramę i na obie strony płotu od niej, od czego całość od frontu zyskała na szykowności.

Zjedli smaczny i obfity obiad, po czym Bronisław wypłacił Buriatom po czterdzieści rubli na głowę i powiedział, żeby Cagan i Dandor stawili się jutro raniutko u niego, każdy z podwójnym zaprzęgiem renów. Gdy Buriaci dziękując za wszystko wyszli, wypłacił też takąż sumę Pawłowi. Ten przyjął w zmieszaniu.

– Muszę wziąć, gospodarzu, nie mam ani grosza...

– A jakże inaczej, weź, co twoje... Zarobiłeś.

Paweł milczał, miętosząc w palcach skraj obrusa, wtem podniósł głowę.

– Zwątpiłem już w ludzi, ale pan to sprawiedliwy człowiek... Pozwólcie zostać. Nigdzie nie ma miejsca dla mnie i nikt na mnie nie czeka. Umiem robotę ciesielską i stolarską, znam się na gospodarstwie, na roli, umiem kucharyć... Przydam się.

– Świetnie, Pawle. Na razie będziesz kucharzył, a potem pomyślimy.

– Bardzo panu dziękuję.

Patrząc w rozradowaną, zdrową twarz tego mężczyzny

lat trzydziestu pięciu, o jasnym spojrzeniu szaroniebieskich oczu, twarzy przyjemnej i nawet ładnej, Bronisław przypomniał sobie tamten złachany, zawszony strzęp ludzki niespełna dwa miesiące temu i pomyślał: „Nie, to nie łajdus ani złodziej... Fajny będzie z niego kumpel”.

– Chciałem prosić, żeby pan za te pieniądze kupił mi coś z przyodziewku i buty, bo te, co mam, już ziewają...

Pokazał stare buty, których podeszwy rzeczywiście rozwarły się na noskach. Bronisław odsunął podane pieniądze.

– Schowaj to, Pawle Fadeiczu. Pomyślałem już o tym. Daj mi na karteczce, jaki masz wzrost, ile w ramionach, ile w nogawce od krocza do kostki, i obrysuj na papierze stopę. Rozliczać się będziemy na wiosnę.

Mówili potem, jak tu będzie wyglądało, podczas jego nieobecności. Mitrasza z Żywym pójdzie na polowanie, on zamknie za nim furtkę i zajmie się w kuchni swoją robotą stolarską, jak postanowił, gotując w międzyczasie coś na obiad. Ale musi uważać, już raz mieliśmy napad...

Wyszedł do swego pokoju i przyniósł winczester Mikołaja z nabojami.

– Weź to na wszelki wypadek i trzymaj pod ręką. A ty, Mitrasza, zbytnio nie oddalaj się od domu, nie ma potrzeby, wiewiórek jest teraz pełno naokoło.

Następnie przeszli do magazynu, sprawdzili i podreperowali uprząż, obejrzelili sanie, czy są w porządku. Bronisław jechał w trzy pary długich, wąskich sań, których

używają myśliwi na północy. Do każdej pary sań będą dwa reny, jeden za drugim, gęsiego. Na pierwszym renie przednich sań będzie siodło ze strzemionami, na którym on wróci, teraz – ponieważ nie ma bagażu – pojedzie kierując z sań, do których w pewnej odległości uwiązany będzie pierwszy ren z pary ciągnącej drugie sanie, i tak samo trzecie sanie.

Po raz pierwszy nazajutrz rozwarły się wierzeje bramy, przepuszczając do obejścia Buriatów. Cagan wziął z sobą suczkę, tę samą, która tak adorowała Brysia. Łajka była lekka, zwinna i miała zmyślne oczka. Bronisław zapytał, czy szczekałaby po dwóch dniach, pilnując tego podwórza. Tak, odrzekł Cagan, szczekałaby, gdyby ją karmili i byli dobrzy dla niej. Wtedy poprosił Cagana, żeby zostawić ją Pawłowi, bo przecież mają Brysia.

Trzeciego dnia podróży, bez przygód, wjechali pod wieczór w obręb Starych Czumów. Psy roszczękały się, bo taki łańcuch sań, czternaście renów. Wiera Lwowna podeszła do okna i właśnie zobaczyła jadącego na przedzie Bronisława. Zapukała w okno, by zaczekał. Narzuciła kożuszek i wybiegła przed bramę.

– Dzień dobry... Dokąd to pan jedzie?

– Do Udińskiego po zakupy, a teraz do Jemielianowów na nocleg.

– To przecież u mnie przestronniej, jestem sama, a was cały tabor, tyle jeleni... Proszę do mnie.

– Wiero Lwowna, taki kłopot...

– Żaden kłopot, pogadamy przy kolacji – i już otwierała bramę. – Wjeżdżajcie. Widzicie, całe podwórze wolne, a połowa jego jest pod dachem... Rozgośćcie się. Małania śpi w drewnutni.

– Moi podopieczni, Cagan i Dandor – przedstawił jej Buriatów.

Obaj zdjawszy swe lisie czapki ukłonili się.

– Bardzo mi przyjemnie – odpowiedziała i podała im rękę.

– A to gdzie mam zanieść? – spytał Bronisław ujmując pierwszy z czterech worków, leżących u niego w saniach.

– Co to?

– Cedrowe orzeszki, gościniec z tajgi przywiozłem w nadziei, że pani nie zbierała i nie pogniewa się...

– A wie pan, że nie pogniewam się! Tyle czasu wybierałam się na orzeszki, bo w tym roku podobno urodzaj, i tak zostałam bez orzeszków, a bardzo lubię je łuskać... Dziękuję za pamięć... Dunia, napal, dziecko, w łaźni! – rzuciła komuś w mrok. – Po podróży przyjemnie jest odświeżyć się. A ja, póki będziecie w łaźni, przygotuję kolację.

W łaźni wszyscy trzej wymyli się, cztery razy namydłano i zmywano głowy i plecy Buriatów, zanim zaczęła spływać jako tako czysta woda, ale kiedy przyszli po swoje rzeczy, zostawione w sionce, to znaleźli obok nich czyste koszule i gacie... Skąd dostała koszule? I gacie? I kto im je podrzucił?

Bronisław zapytał ją o to, gdy czerwoni, buchający świeżą parą weszli do jadalnego pokoju.

– To moja tajemnica i krasnoludka – odrzekła.

– Ten krasnoludek zwie się Dunia?

– W każdym razie nie Jewka, od Jewdokii pochodzi tylko Jewka Czutkich.

– Czy nie miała pani listu od niej?

– Owszem, miałam, z Charbina. Jest oszołomiona i zachwycona Charbinem, urządza się w pięciopokojowym mieszkaniu, pełna dumy z sukcesów męża, i oczekuje szczęśliwego rozwiązania, to znaczy chłopczyka... Proszę siadać, panowie. Musicie być głodni po całodziennej podróży, a słyszałam, że jedziecie trzy dni.

Buriaci sztywni, wyprostowani, milczący, siedli jak dwa manekiny. Nie wiedzieli, jak się zachować i jeść – z talerza, jeśli talerz postawiono przed tobą? Nie ręką, ale widelcem i nożem... Naśladowali każdy ruch Bronisława. Wiera Lwowna zdawała się nie dostrzegać ich onieśmienia.

– Lubię kucharyć, a jeszcze bardziej lubię wesołe twarze przy jedzeniu. Proszę, skosztujcie polędwicy czy pasztetu... A przede wszystkim wypijmy za pomyślność waszej wyprawy do Udińskiego! Bronisławie, może pan otworzyć tę butelkę?

Bronisław otworzył i nalał do kieliszków czerwone wino burgundzkie, którego skrzynkę, domyślił się, ojciec przysłał jej na nowosiedliny.

– Smakuje? – spytała Buriatów. Kiwnęli głowami.

– Wyborne – potwierdził Bronisław Zaczęła wypytywać go, jak mu się żyje w tym domu gdzieś w tajdze, w miejscu bez nazwy.

– Już jest nazwa. Buriaci powiedzieli, że dawno temu to miejsce nazywało się Wzgórze Błękitnego Snu.

– Wzgórze Błękitnego Snu... Dziwna nazwa.

– Na dobrą sprawę, powinienem zawiadomić o tym archeologów, ale jest mi tak dobrze w tym ustroniu z ruinami, iż ciarki mnie przechodzą na myśl, że przekopią moje obejście jak krety i zrobią modną sensację naukową.

Zafascynowana, słuchała jego relacji jak bajki. Buriaci wstali, dziękując, od stołu i zapytali, czy mogą się położyć.

– Ach, oczywiście, tam już posłano na piecu w kuchni.

Zaprowadziła ich, wróciwszy powiedziała do Duni, dziewczyny piętnasto- szesnastoletniej, zalęknionej, z sińcem na policzku:

– A ty, dziecko, też już się możesz położyć w moim pokoju.

Kiedy Dunia wyszła, Bronisław spytał ściszym głosem:

– Czemu ona taka nerwowa czy wystraszona?

– Bo się boi. To sierota, nieślubne dziecko zmarłej siostry Kolcowych. Od miesiąca jest u mnie. Przywiązała się, a i ja ją polubiłam. Ale Kolcowychowie zwęszyli interes. Bogata dziedziczka, do tego jeszcze dobra. Można doić. Zaczęli więcej bić. Za każdym razem, jak pójdzie do domu, obrywa. Dziś Kolcowych uderzył ją w policzek. Wszystko po

to, żebym zmiękla z żalości i zgodziła się na wykupne.

– Przepraszam, na co?

– Na zaświadczenie, że zrzekają się swoich praw opieki nad nią na moją korzyść. Chcą sto rubli.

– No i co pani na to?

– Ja bym dała i dwieście, ale za podobny szantaż nie dam więcej jak pięćdziesiąt. Jak się nie zgodzą, to ją wykradnę i wyślę do Irkucka, a nie pozwolę podłym chamom znęcać się nad Dunią i nade mną!

Wykrzyknęła to prawie z pasją i oprzytomniawszy, zmieniła ton:

– A jak z pańskim polowaniem? Zwierzyny podobno w tamtych stronach jest więcej.

– Tak, zwłaszcza wiewiórek. Ale ja do wiewiórek w ogóle nie strzelam, mordowanie tych miłych zwierzątek nie sprawia mi przyjemności, a pieniędzy na razie nie potrzebuję. We wrześniu i w październiku nie polowałem. Grodziłem się. Raz wybrałem się do tajgi i ubiłem gronostaja. Zaraz przyniosę.

Wyszedł na krytą dachem część podwórza, gdzie stały jego sanie, i wrócił ze skórką gronostaja.

Wiera Lwowna była zachwycona – głaskała i chuchała na srebrzysty włos, podziwiała futerko, takie cudne futerko...

– Jakże pan go ubił?

– Strzeliłem łosiowi w ucho.

– Łosiowi? Ja pytam o gronostaja.

– Toteż mówię, gronostaj zagryzł łosia.

– Takie maleństwo skoczyło na łosia?!

Musiał opowiedzieć całe zdarzenie. Kiedy doszedł do tego miejsca, że gwizdnął i z ucha łosia wyskoczył zdziwiony gronostaj z mordą we krwi i mózgu łosia – Wiera Lwowna odsunęła od siebie futerko.

– Co za obrzydliwa krwiożerczość...

– A ja pani chciałem podarować, tylko...

– Nie, dziękuję. Nie mogłabym tego nosić. Ciągle stałby mi przed oczyma biedny łos i miotał się z głową, w którą wświdrowało się to paskudztwo... Niech pan sprzeda tego gronostaja, weźmie pan za niego dobrą cenę.

– Można ofiarować komuś, kto nie zna historii jego zdobycia. Na przykład Nasti, żonie mojego przyjaciela, Wasiliewa... Co nie jest znane – nie istnieje.

– Właśnie... A dlaczego mnie pan musiał to opowiedzieć?

Spojrzał na nią z wyrzutem – jakże mogłem skłamać, oszukać, kiedy cię kocham? Zrozumiała to, oblała się rumieńcem.

– Przepraszam pana, zapomniałam... To o której chce pan jutro wstać?

– O szóstej.

– No, to dobranoc... Niech panu przyśni się coś błękitnego ze snów starego wzgórza.

Nazajutrz wraz z biciem ściennego zegara usłyszał jej głos nad sobą:

– Już czas, Bronku, pora wstawać.

Była ubrana, jakby się wcale nie kładła. Szybko ubrali się, umyli i zjedli śniadanie. Wiera Lwowna powiedziała na pożegnanie, że oczekuje ich powrotu pod wieczór następnego dnia.

O trzeciej byli w Udińskim. Wieś wyglądała zimowo, huczac pijanym ludem. Z załogi pobliskiego „Samorodka”, liczącego trzy tysiące ludzi, Zotow zwalniał na zimę dwa tysiące. Rozchodzili się przeważnie po okolicznych wsiach i przepijali zarobione pieniądze oraz podkradane złoto w karczmach, a więc i w trzech karczmach udińskich.

Zajechali przed niedawno otwarty sklep spółdzielni i weszli do środka. Bronisław uściskał Wasiliewa, przedstawił swych podopiecznych, Cagana i Dandora, im zaś powiedział, żeby w przyszłości nigdzie nie kupowali, tylko tutaj, bo tu nikt ich nie oszuka, i rozpoczął swój największy w życiu zakup.

W dziale żywnościowym Wasiliew dał mu do spróbowania kawałek sera „Uda”, mówiąc, że zamierzają tym serem podbić zachodnie rynki Europy. Był znakomity w smaku, trochę pikantny, Bronisław wziął dziesięć głów tego sera w czerwonej polewie woskowej. Następnie zaczął wybierać produkty dla siebie i dla Buriatów – subiekt ważył, Wasiliew liczył, Buriaci roznosili do sań.

Potem kupił dla Pawła wszystko, co potrzebne, a dla siebie parę drobiazgów i garnitur.

W dziale przemysłowym nabył brzytwę, pędzel, nożyce i mydła dla Pawła, różne igły i nici, zegarek dla Mitraszy i

kazał napełnić naftą pustą beczkę, stojącą w obudowie z desek w ostatnich saniach. Wziął mydła do prania i do mycia, płótno lniane, koce i poduszki.

W dziale broni i sprzętu rybackiego ze zdziwieniem zobaczył dziwne, nigdzie nie oglądane strzelby o zamkach karabinowych, ale lufach gładkich, kaliber młodzieżowy 28, a kolba polakierowana na zielono.

– W Zakładach Iżewskich – wyjaśnił Wasiliew – po wprowadzeniu do uzbrojenia armii karabinów z magazynkiem pięcioprzętołowym została ogromna ilość poprzednio produkowanych bierdanek jednostrzałowych. Postanowiono upłynnić te buble. Rozwiercono gwintowane lufy na najmniejszy kaliber śrutowy, sprzedając myśliwym tylko po dwadzieścia rubli za sztukę. Ta broń ma powodzenie, w ciągu dwóch tygodni sprzedaliśmy siedemnaście sztuk! Bo kulą bije znakomicie na osiemdziesiąt kroków, śrutem bardzo dobrze na pięćdziesiąt kroków, a że ma wąski strumień śrutu, trudno, trzeba dobrze strzelać... Patrz, zostało nam już tylko siedem tych bierdanek.

– Wezmę trzy – powiedział Bronisław i dobrał do nich pasy z gniazdami na dwadzieścia pięć naboń, łuski miedziane, spłonki, przybitki, proch, śrut i inne akcesoria, jeden komplet kazał zanieść do swoich sań, dla Pawła, a dwa dał Caganowi i Dandorowi. – Macie broń...

Teraz kupujcie na własny rachunek, co wam kobiety kazały.

Zaczęli przebierać w kumaczach, perkalach, barwistych taśmach i różnokolorowych kordonkach jedwabnych, tymczasem Wasiliew liczył, ile się od Bronisława należy, naliczył 475 rubli, Bronisław zapłacił i odszedł, obiecawszy wieczorem wstąpić.

Pojechali do zajazdu, przedtem odebrali na poczcie dwa listy, od Halinki i od Szulimowów. Przebiegł oczyma. Halina najserdeczniej, jak tylko potrafi, dziękuje za przysłane pięć tysięcy rubli po otrzymaniu których rzuciła pracę w telefonach, bo pracować i dom utrzymywać bez służącej było ponad jej siły, nigdy z domowych zajęć nie mogła wyrobić się przed północą, a o szóstej trzeba było wstawać... Anula wujka całuje, zna już cały alfabet, bardzo zdolne, ale wątłe dziecko, w tym roku idzie do szkoły... mąż nadal pracuje w kasie na kolei, pozdrawia cię... Coś podobnego, mnie, bandytę z „Proletariatu”, pozdrawia! Przekonał się do mnie, pięć tysięcy wystarczyło... A Szulimowowie donoszą z Charbina trochę chaotycznie, ale w gruncie rzeczy to samo, co pisali do Wiery Lwowny... Pod pełnymi żaglami wypływają w swój rejs powodzenia.

W zajeździe wzięli duży pokój i poznosili wszystkie rzeczy z sań. Buriaci byli wciąż w transie, oszołomieni swoim bogactwem, poruszali się jak w hipnozie, Bronisław zamówił dla nich obiad bezalkoholowy i wyszedł do Wasiliewów.

W pogodnej i przyjaznej atmosferze ich domu odprężył się, poczuł zwolnione tempo dnia. Nastia zaokrągliła się,

stawiała się dorodną kobietą, była znów w lekko dostrzegalnej ciąży. Gronostaja przyjęła z niekłamanym zachwytem, przymierzała go, już widząc piękną czapeczkę na sobie... Pobawił się z Borysem, dziecko było rozgarnięte i docieklive.

Przy kolacji Wasiliew wciągnął go w swoje kooperatywne sprawy. Budową sklepu i produkcją serów „Uda” zwrócił na siebie uwagę, kooperatyści z Niżnieudińska starają się o przeniesienie go do siebie, tam bowiem powstaje fabryka serów...

– Wyjedziesz pewnie, Wania?

– Chyba tak.

– No, to za rozmach twojej roboty, za sery „Uda”... Na podbój Niderlandów!

Nastia przyglądała mu się uważnie.

– Co panu jest, Bronisławie?

– A bo co?

– Jest pan taki jakiś porywczo roztargniony... Może zakochany?

Bronisław nie od razu odpowiedział.

– Kocham – oświadczył poważnie. – Kocham Wierę Izwolską. Nie zgodziła się zostać moją żoną i nigdy się nie zgodzi. Wiem o tym, mimo to nie czuję się nieszczęśliwy, póki darzy mnie swoją przyjaźnią. To dziwne uczucie, taka miłość...

W oczach Nasti czytał współczucie – biedny Bronisław... U przyjaciela wyczuł raczej zaniepokojenie, o,

do licha, to poważna sprawa...

Do zajazdu wszedł, minawszy pijany gwar na dole, i u siebie na pięterku zobaczył Buriatów z zielonymi bierdankami na straży spiętrzonych worków i tobołów. Nie mogli spać, pilnowali swego bogactwa, a Brysiek warował na podwórzu przy jeleniach. Uspokoił się, kiedy im powiedział, że nikt nie wejdzie do pokoju, w którym jest trzech uzbrojonych, i dla większej pewności zamknął drzwi na klucz.

Nazajutrz padał śnieg, jechali w lekkiej zadymce i o zmroku przybyli na podwórze Wiery Lwowny. Reny wyprzęgli, sanie zostawili pod dachem i weszli do kuchni otrzepując się ze śniegu, każdy z czerwoną głową sera „Uda” w rękach.

– Przywieźliśmy pani gościniec z Udińskiego... Proszę skosztować.

Spróbowała.

– Rzeczywiście, wyśmienity, jadłam takie tylko w Szwajcarii... Ale trzy główki? Nie, ja w przyszłym tygodniu jadę na pocztę, wstąpię do spółdzielni i zrobię sobie zapas, a wy te główki zabierzcie z powrotem.

Przy kolacji było jak wczoraj, Wiera Lwowna z Bronisławem rozmawiali, Buriaci milczeli. Strach ich dręczył, że zrobią coś nie tak albo nie znajdą odpowiedniego słowa po rosyjsku, gdy będą chcieli coś odpowiedzieć. Nie podnosili wzroku znad swoich talerzy, odpowiadali krótko, tak lub nie... W końcu wstali od stołu i poszli spać jak

grzeczne dzieci. Dunia posprzątała i położyła się w pokoju Wiery Lwowny. Znów zostali sami.

– Jak się pan czuje? – zapytała Wiera Lwowna.

– Jak człowiek po dobrym uczynku. Nie wiedziałem, że to czysta przyjemność. Trzynastu Buriatom, starym, dorosłym i dzieciom, stłoczonym w jednej jurcie u mojego boku, dałem żywność na całą zimę i broń. I jednego zbiega, którego przygarnąłem, dziś ubrałem od stóp do głów.

– Nie mówił pan wczoraj o tym.

– Nie wszystko można wszystkim opowiadać. Pani opowiem.

Kiedy skończył historię Pawła, spytała:

– Za co on był na katordze?

– Nie wiem. Wierzę, że nie za morderstwo ani za złodziejstwo. Mógł zabić, ale w afekcie.

Zapadło milczenie.

– Pani zna, może nawet przyjaźni się z żoną Gozdawy?

– Tak. O co chodzi?

– Mam prośbę do pani. Czy nie mogłaby pani pomóc jej od czasu do czasu dyskretnie pod pozorem, że pracuje u pani? Powiedzmy, trzydzieści rubli miesięcznie, to by ich urządziło.

Wyjął portfel, położył na stole.

– Przecież Gozdawa pana obraził.

– A pani skąd wie?

– Cała wieś o tym gadała.

– To nie ma znaczenia. Ważne, że trzeba im pomóc.

– Pan się spóźnił ze swoją prośbą. Już jej pomagam w ten sposób. Wszyscy myślą, że ona pracuje u mnie. A ona przychodzi porozmawiać, odpocząć, odetchnąć. To ciężki człowiek, ten Gozdawa. Ona nie ma już sił wiecznie pracować, ubierać go i znosić wszystkie jego wybuchy nerwowości. Gruźlica jak gdyby przycichła pod wpływem suchego klimatu syberyjskiego, ale wzmogła się jego neurastenia. Drobiazgowo uczciwy, pryncypialny w każdym calu, żyje tylko ideą odzyskania niepodległości Polski, jest zapatrzony w swego wodza Piłsudskiego jak w Boga, wszyscy, których nie widzi w tym nurcie, to zdrajcy i ugodowcy. Jego nietolerancja przygniała, podejrzliwość poniża... Wygarnęłam mu całą prawdę o panu!

– Jaką prawdę?

– Ma pan ciężki grzech na sumieniu, powiedziałam mu, obraził pan człowieka bez skazy, który z uczucia solidarności uratował inną socjalistkę, nie ze swojej partii – wiozł ją nocami, raz mało go wilki nie zjadły, innym razem trafił na zbójów i cudem się uratował, dowiózł ją do stacji, ułatwił ucieczkę za granicę, ale sam nabawił się zapalenia płuc.

– Skąd pani to wie?

– Jewka mi opowiedziała.

Jeśli tak one gadały, to co jeszcze mogła powiedzieć... Ciarki go przeszły na myśl o łaźni.

A piękny portfel ciągle leżał między nimi na stole pobłyskując złotym monogramem.

– Ma pan gust. Lubię ładne rzeczy.

– To Zotow jest gustowny. Dał mi ten portfel jako rewanż za jeden strzał, a może i za jeden dobry pomysł...

Opowiedział, co się zdarzyło w Sinicy i co w „Samorodku” przy omawianiu projektu rezerwatu.

– Ładny – powiedziała zwracając oglądany portfel. – Schowajcie go. I bądźcie spokojni o Gozdawę. Pani Eliza przyzwyczaiła się do mnie... A co do pieniędzy ojciec zgodził się już, że będzie mi przysyłać miesięcznie tylko sto rubli, nie dwieście... A co pan zamierza?

– A wszystko jak dotychczas, w tym samym kierunku. Będziemy żyli razem, polowali, pomagali sobie nawzajem i tak nam będą schodzić dni powszednie i święta, buriackie Cam i prawosławne Рождество...

– A polskie?

– A, jakież to świętowanie w samotności. O polskich świętach staram się nie myśleć, nie pamiętać.

– Ile lat?

– Siedem... Tak, ostatnią Wigilię w domu spędziłem w 1905 roku.

Wiera Lwowna zamyśliła się.

– My razem nie obchodzimy... Między kalendarzem juliańskim a prawosławnym jest różnica.

– Tak, trzynaście dni.

– A więc zapraszam pana na polską Wigilię. Będzie wszystko jak w Warszawie. Pamiętajcie, czekam na pana z wigilijną kolacją!

Nazajutrz po przyjeździe do pokoju Bronisława wieczorem zapukał Paweł, wzruszony wczoraj tak, że całe swoje wyposażenie, ubranie, buty, broń i nawet brzytwę, przyjął jak winowajca.

– Pan nic o mnie nie wie. Muszę wam opowiedzieć.

– Nie musisz, Pawle, wcale nie musisz. Bez tego ci ufam.

– Ale ja chcę, to leży mi na sercu.

– A, to inna sprawa. Mów.

Paweł opowiedział mu swoją historię. Pochodzi z guberni samarskiej. Urodził się w dużej wsi Nowodiewicze na prawym brzegu Wołgi. Wychowywał się w zamożnym gospodarstwie chłopskim, ukończył szkołę wiejską, miał trzech braci i dwie siostry. W dwudziestym pierwszym roku życia zabrano go w żołdacy, dostał się do *niestrojowej komandy*, gdzie opanował ciesielkę i stolarkę. Posłano go do szkoły podoficerskiej, którą ukończył w stopniu młodszego *untieroficera*. Na wojnie rosyjsko-japońskiej dobrze się spisywał przy budowie przepraw w Mandżurii, kapitan obiecał mu, że za trzy lata, gdy odejdzie stary feldfel, awansuje go na jego miejsce. Ale odurzony wiosną 1905 roku nie poszedł na zawodowego, wybrał wolność. Postawił sobie chatę, gospodarzył na swoim zagonie, a na zimę przenosił się do Samary, gdzie dorabiał sobie stolarką. Tu poznał Aksinię, pokojówkę u państwa, ożenił się i dalej żył tym samym trybem, wiosną i latem w gospodarstwie na roli, a od jesieni i zimą w Samarze. Pewnego razu na przedwiośniu, gdy wracał

do wsi i wstąpił po drodze do kuma, ten poinformował go, że żona jego zeszła się z synem kupca wiejskiego, właściciela sklepu. W ataku furii zamordował go, gdy ten chciał wyskoczyć przez okno, a na żonę, która pokornie podała mu swoją głowę pod siekiere, tylko zamachnął się i zawołał: „Wołaj świadków, niech wiążą!” Związali Pawła, sądzeni, dostał piętnaście lat katorgi i osiedlenie na Syberii. Dwa lata wytrzymał w Irkuckim Centrale, a w trzecim roku latem zbiegł, wywieziony wieczorem na usypisko śmieci pod miastem. Szedł przez tajgę w kierunku północnym, by wyjść na zakole Angary, ku wyspie, gdzie mieszkali starowiercy, którzy mieli go schować i utrzymać między sobą, jak obiecał mu ich starzec, katorżnik w Irkucku. Szedł dwa miesiące, obchodząc wsie i ludzkie osiedla, ukradłszy, co się dało, z żywności. Opadł już z sił, *gnus* go zżarł, robactwo doskwierało, gdy dotarł do budy na Cyplu i zobaczył, że ktoś tu nocował. W półomdleniu podążył tym szlakiem, trzymając się zaciosów na drzewach jak ślepy płotu – tędy szedł człowiek, jakiś żywy człowiek na tym strasznym leśnym bezludziu, ujrzeć go bodaj raz i skonać... Aż dowlókł się do tej leśnej polany, z widokiem na dom i pracujących ludzi na dachu. „Kryją gontem, spokojni ludzie”, pomyślał i stracił przytomność...

– Dobrze trafiłeś, Pawle, będę miał z kim pogadać... Zostań, jak długo będziesz chciał, robotę sam sobie znajdziesz.

A Buriaci po powrocie nie pokazywali się. Dziwne,

obdarowani tak hojnie nie pokazywali się wcale. Bronisław nie chciał ich nachodzić, jeśli nie przychodzą, myślał, to widocznie szykują się...

Tak minął tydzień i drugi, pod koniec trzeciego tygodnia Buriaci przyszli w całej gali. Stary Chongodor, Cagan i Dandor z dwoma starszymi synami. Z tyłu ich nowych lisich czapek powiewały kolorowe wstęgi. Ich tułupy krojone na modłę chałatów, obszerne, zapinane lewą połą na prawą, co sprawiało, że prawą ręką można było kłaść i dostawać zza pazuchy, były nowe, rozszyte kolorową nicią, wszystko na nich było nowe, kapciuchy na tytoń i skórzane torebki na krzesiwo u pasów, i *unt*y z aplikacjami.

Zdjęli czapki, skłonili się nisko – cztery głowy czarne i jedna srebrzysta z mysim warkoczykiem. Stary poprosił, żeby Bronisław im pozwolił złożyć ofiary dziękczynne i podziękować w modłach duchowi wielkiego Chongodora, pierwszego z ich *jasu*.

– Proszę bardzo – odrzekł Bronisław. – Musicie tylko zgarnąć śnieg z kamienia. Oto łopata.

I wszedł do izby, nie chcąc ich krępować swą obecnością podczas tego obrzędu.

– Są nastrojeni bardzo uroczyście – oznajmił Mitraszy i Pawłowi. – Nie obejdzie się bez stypy, bądźcie przygotowani.

Po jakimś czasie przyszli. Ustawili się półkolem i stary wystąpił. Mówił z głębokim wzruszeniem, pomagając sobie w chwilach patetycznych gestykulacją obu rąk, długo i nie zawsze zrozumiale, a w streszczeniu to tak by wyglądało –

przyszliśmy do tego Wzgórza Błękitnego Snu głodni i zrujnowani do cna, błagając wielkiego Chongodora o ratunek, i on natchnął twe serce, panie, litością dla nas, dałeś nam pracę, jedzenie, ubranie i broń. Weź teraz tę rzecz, która przechodziła z ojca na syna przez wszystkie pokolenia naszego rodu, ostatnią rzecz po wielkim Chongodorze, i wraz z nią bierz nasze serca i naszą wolę, bo tyś nasz pan!

Z tymi słowami podał Bronisławowi stary róg myśliwski.

To był niewątpliwie relikw z czasów Czyngis-chana, XIII lub XIV wiek. Ogromny róg, owinięty wężowato ornamentowym srebrem, nosił ślady przemijania. Setki dłoni starły lepiej niż szmergiel całe wyrazy, zostały tylko gotyckie litery, polskie czy niemieckie, i jakiś herb niejasny, na pół starty. Lejkowaty ustnik też ucierpiał, wargi ludzkie zlizwały srebro aż do kości.

A oczy Buriatów patrzyły na niego z oddaniem, z uwielbieniem – nie można było nie przyjąć tego daru, po prostu nie sposób. Równałoby się to śmiertelnej obrazie.

– Darujesz mi, co masz najdroższego – rzekł Bronisław obejmując starego. – Postaram się być godnym waszego daru i zaufania.

I przytknąwszy do ust róg, dmuchnął. Zdało im się, że sufit uniósł się lekko i opadł, a szyby w oknach, wybrzuszywszy się, brzękły – taki to był potężny głos.

Stary wytłumaczył mu, że róg ma trzy tony. Ilekroć w lesie będzie chciał ich zawołać do pomocy, niech tylko da

jeden sygnał długi i dwa krótkie.

Bronisław podziękował i zaprosił do stołu. Mieli już w domu zastawę, więc wszyscy siedli i Paweł podał wędliny i ser „Uda” z winem czerwonym, które dała im Wiera Lwowna na odjeźdym, potem pieczeń sarnią z bruszcicami i grzybkami, na koniec herbata i *szaniegi* z jagodami... Podczas tego obiadu Bronisław wyznaczył im teren ich penetracji łowieckiej.

– Na północ od najbliższego wzgórza, pięć wiorst stąd, i do samej rzeki na lewo. Tam będziecie polowali, mieszkać możecie na tym samym miejscu, gdzie jesteście, tylko radziłbym postawić drewniane domy, nie jurty. Bo dom, wiecie, zawsze cieplejszy i wygodniejszy, bardziej ustawny.

Gdy wyszli na dwór, Cagan chciał zabrać swoją łajkę, ale ona chowała się za Pawła, była już u niego cały miesiąc, czuła się jak w raju, a i Paweł przywiązał się do niej. Chciał kupić, pokazywał Caganowi srebrne ruble, ale ten odmówił ruchem głowy.

– Ty lubić łajka – łajka twoja... Ale ty dać wszystkie szczeniaki od niej i od Brysz!

– Naturalnie, oddam ci wszystkie szczeniaki, tylko jednego, pierwszego sobie zostawię.

Tak łajka zmieniła pana i świetnie na tym wyszła: zawsze syta, w ciepłe, pieszczona, razem z wielkim swoim ukochanym Brysiem. Paweł wołał na nią zwyczajnie Łajka albo pieszczotliwie Łaja.

– Ile musieli znieść upokorzeń, ile wymyślań,

poszturchiwać i batów dostać, żeby normalne ludzkie słowo przyjmować jak łaskę – powiedział w zamyśleniu Bronisław, wróciwszy do pokoju.

Powiesił róg na ścianie nad łóżkiem, i nieraz potem brał do ręki, oglądał, zgadywał: może został zdobyty pod Legnicą, a może później w Krakowie? Tajsza Chongodor wiódł własny oddział pod rozkazami wielkiego chana, a jeśli to się działo w czasach późniejszych, był w służbie chana krymskiego... Ogromny szlak wędrowny z Polski przez stepy, góry, lasy do tajgi wschodniosyberyjskiej... Samo dotknięcie obłego wybruszenia rogu, wypolerowanego dłońmi niezliczonych pokoleń, wywoływało całe roje myśli-obrazów, myśli-nastrojów dookoła wieków średnich z ich fanatyzmem religijnym i ciemnotą, z ich ascezą i rozpustą, gdy istniały zakony żebracze i rycerskie, gdy modlono się w kamieniu, wznosząc ostrołuki gotyckich bazylik...

Z samoironią przyłapywał siebie na tęsknocie do średniowiecza, którego ideały już wyśmiano dostatecznie i zdemaskowano w naszych czasach, jak wyśmiane i zdemaskowane będą zapewne kiedyś nasze ideały. Ale czuł, że pragnienie czynu niezwykłego, jakie go dręczy, czynu wielkiego ryzyka dla pani jego serca, dla miłości bezinteresownej, pokornej, idealnej jest bliższe średniowiecza... Gdyby tu były tygrysy – ubić tygrysa i skórę rzucić na podłogę jak dywan pod nogi, to byłby odpowiedni prezent wigilijny. Bo ubić niedźwiedzia żadna sztuka. Zawsze wsadzi mu kulę między oczy lub pod serce,

gdzie tylko zechce, ryzyko minimalne, chyba że broń nie wypali lub noga się poślizgnie przy strzale. Z samą rohatyną na niedźwiedzia, to dopiero polowanie, ale gdzie tu wziąć rohatynę? A jakie są jeszcze sposoby polowania bez strzelby? Gdy tak w myślach przebierał i poszukiwał, przypomniało mu się nagle opowiadanie Mikołaja, jak dawniej Buriaci, nie znając jeszcze broni palnej, polowali na niedźwiedzia z trójnogiem. Przymierzył to na swoje zamiary i orzekł – to w sam raz dla mnie.

Nazajutrz poprosił Pawła, by zrobił mu trójnog – wysokość taboretu, rozpiętość nówek dwadzieścia cali, pośrodku nówek poprzeczka, zamiast blatu na siedzenie można dwukrotnie obić skórą łosia czy rena...

– Kiedy zrobisz?

– No, tak prędko to ja nie mogę. Deski na pół mokre muszę podsuszać na piecu przez dziesięć dni, dopiero wtedy mogę zaniknąć w piecu po chlebie... Za dwanaście dni.

Przyniósł deski do suszenia na piecu, a Bronisław z Bryśkiem poszedł w obchód rozległych chaszczki cedrowiny, ostoi sobola, tam stawiał swe paści i potrzaski. Wyszedł z jednym sobolem w worku na plecach i udał się niżej w te strony tajgi, gdzie w październiku zauważył gawrę i niedźwiedzia szykującego się do snu zimowego. Znalazł. U wykrotu, pod masywną czapą chwoi i śniegu, spał twardo, o czym świadczył jeden otwór czysty, którym wychodziło nagrzane oddechem powietrze, osiadając nitkami srebrzystego szronu na igliwiu otworu.

Wycofał się tak samo cicho, jak przyszedł. W pewnym oddaleniu ściał młodą brzoźkę, okrzesał i zrobił długą żerdkę. Oparł o drzewo, by zabrać, kiedy pójdzie na niedźwiedzia z trójnogiem, i poszedł w kierunku jurty Buriatów...

Na szczekanie psa wyjrzała z jurty Erche, która została z kobietami: Cagan i Dandor strzelali wiewiórki na ich terenach łowieckich, a stary z dwoma wnukami łowił na rzece ryby w przeręblu. Powiedziała mu to zaraz na wstępie, przeszywając go bystrymi czarnymi oczkami. Ponieważ była w jurcie, nie miała nakrycia głowy, widziało się mnóstwo warkoczyków połączonych koralikami. Jej jubka czy chałat składał się jak gdyby z dwóch części, ze spódnicy i przyszytej do niej bluzki. Na nogach miała juchtowe buty z krótkimi cholewami na grubej wojłkowej podeszwie i o lekko zagiętych noskach, bez obcasów.

– Właściwie przychodzę do ciebie, Erche. Chcę cię prosić, byś uszyła ze skóry sakiewkę na pieniądze z takim samym haftem, jak to zrobiłaś ojcu, tylko mniejszą, bo to dla dziewczyny... Zrobisz?

Radośnie przytaknęła kilka razy głową. Wszystkie warkoczyki podskoczyły na głowie... Była ładniutka jak wiosenna brzoźka, o drobnych regularnych rysach, małych ustach, zwinna i zgrabna. Bronisław z przyjemnością patrzył na nią, nie mogąc przypomnieć sobie, gdzie widział podobną.

– A czy dziecko... żyje? – zapytał z pewnym ociąganiem się.

– Tak – trząchnęła znów warkoczykami. – Dziecko

żyć... dziecko śmiać się dużo, dużo!

– To się bardzo cieszę... Więc jak zrobisz sakiewkę, to ją przynieś. Przyjdź do nas z braćmi. Pokażę ci nasz dom, a braci nauczę, jak się robi naboje.

W pewnym oddaleniu uświadomił sobie podobieństwo: przypominała mu niektóre dziewczęta żydowskie, widziane w zaułkach Starego Miasta i Nalewek w Warszawie.

Po tygodniu przyszła z Caganem i Daridorem, przynosząc gotową sakiewkę i na drewnianym talerzu przysmak, *urme*, grube, z lekka podsuszone słoje pianki, zdjęte z gotowanego mleka.

Bronisław chciał zapłacić za sakiewkę, ale Erche tylko potrząsnęła głową, nie i nie, to jest podarunek. Podziękowawszy, oprowadził ich po całym domu, tłumaczył nie tylko przeznaczenie każdego pokoju i zakamarka, ale i sposób budowy, żeby wiedzieli, to leży w ich możliwościach, powinni zamiast nowych jurt postawić dwa nowe domy, tym bardziej że mają tu cieśnię, tu wskazał na Pawła, pomoże, jak nie będą czegoś umieli. Na zielone kafle holenderskie z obrazkami tylko pocmokali, ale naprawdę poruszył ich i olśnił wspaniały piec w kuchni, gdzie można wszystko ugotować, usmażyć, upiec i wyprażyć, na dole, pod spodem, trzymać kury, gęsi, indyczki, kiedy się niosą i mają małe, a na górę, na policy, kilku ludziom w najcieńsze mrozy będzie się spało ciepło jak w uchu.

Potem w górniczy uczył przy stole Cagana i Dandora, jak należy robić naboje, napełniając wystrzelone łuski miedziane.

Mówił o właściwościach prochu i spłonek, o tym, jakich warunków bezpieczeństwa pracy trzeba bezwzględnie przestrzegać, itp. W miarę tej pogładowej lekcji wydłużały się przed nimi szeregi gotowych nabojuw.

A tymczasem w kuchni Paweł uczył Erche lepić *szaniewy*. Zrobił ciasto, rozwałkował, potem odwróconym małym sitkiem wycinał krążki wielkości talerzyka, kładł na wierzch jagody, zawijał i piekł... Erche zachwycona tym domem, zdziwiona, że mężczyzna wykonuje tu pracę kobiety, odpowiadała cicho i krótko, za to Paweł tokował... Już raz kiedyś w kuchni działo się coś podobnego, tylko wtedy Jewka pokazywała Szulimowi, jak się zaczyna chleb, a teraz Paweł uczył Erche robić *szaniewy*...

Na kolację mieli kawior i struganinę, czyli mrożoną rybę, którą strugało się cienko i jadło na surowo, zanim zdążyła odtajać, zimne mięso z gruzdziami i ogórkami, ser „Uda” z pysznym białym pieczywem, wreszcie gorące *szaniewy* i herbata z cukrem w przygryzkę.

Odprawdzili gości do bramy. Zamykając za nimi furtkę na noc, Paweł westchnął:

– Ale akuratna dziewczucha...

– Uważaj... Kiedy ostatnio widziałeś kobietę?

– Ze trzy lata będzie.

– No, to nie zakochaj się. Z Erche nie ma zabawy.

Trzeba się żenić.

– To się ożenię, jak mnie będzie chciała.

Na co ci zeszło, pomyślał Bronisław, były

untieroficerze, samarski cieśło, żeś już gotów wziąć Buriatkę, jak cię będzie chciała...

W dni następne znów chodził w obchód swoich potrzebów i wyjął sobola, potem dwa, razem miał dwanaście soboli, dwa gronostaje i trzy lisy, z których jeden był taki sam czarnobury jak ten, za którego dostał pięćset rubli dwa lata temu. A Mitrasza upolował w tym czasie około trzystu popielic i cztery lisy rude, wcale nieźle jak na pierwsze dwa, najlepsze miesiące sezonu. Trójnóg Paweł wykonał w terminie. Bronisław przymierzył. Dwie nóżki postawił sobie na ramionach, trzecią trzymał lewą ręką, głową niemal dotykał skórzanego wierzchu trójnoga. Brakowało tylko wizjera. Zrobił dwa otwory na oczy.

– Do czego to ma być? – zapytał Paweł.

– Do obserwacji Wielkiej Niedźwiedzicy.

Nie wiedzieli, żartuje czy mówi serio. A Bronisław, wzięwszy wiadro wody i *brus* z marmurkiem, poszedł do siebie.

W pokoju zaczął na *brusie*, zwilżając go wodą, ostrzyć swój dziesięciocalowy szeroki nóż tajgowy. Kładł na płask, ścierając całą szerokość klingi, żeby kąt cięcia był ostrzejszy, i dyskutował z nieobecnym oponentem – to co, że w tym przedsięwzięciu można zginąć? Można, ale kto mi tego zabroni? Nie mam żony, matki, kochanki, nikogo, kto by ucierpiał, Halinka jest zabezpieczona... Ubić niedźwiedzia w walce sam na sam, nie korzystając z broni palnej, jak w dawnych wiekach, gdy to robili dla pani swego serca czy

dlatego, że musieli, innego sposobu nie znając, ale dziś wygląda to na szaleństwo albo na głupotę. Tak, tylko o wartościowaniu ja decyduję, a dla mnie to horrendalne głupstwo urasta do konieczności, do racji istnienia, popełniam je z całą świadomością, bo się jednak trochę boję, a bać się nie chcę, bo pragnę dla mej miłości zrobić coś niezwykłego, co oglądałbym później w skrytości ducha sam jeden, Wiera Lwowna nie może się nawet domyślać, inaczej byłaby to błazenada...

Na ostrzu klingi powstał ledwo dostrzegalny „druć” – wtedy zaczął wecować nóż na marmurku do ostrości brzytwy, w końcu ogolił się na próbę.

Nazajutrz wstał jak zwykle o szóstej, umył się, zdarł kartkę z kalendarza ściennego i zobaczył, że jest do katolickiej Wigilii trzynaście dni, skóra zdąży wyschnąć, jeśli będzie...

Po śniadaniu ze zdziwieniem zauważył, że Mitrasza nie idzie do lasu, lecz siada do stołu i robi naboże. – Zapomniałeś zrobić? – zapytał. Ten skinął głową. Wobec tego wziął z sobą także Żywego, trójnóg i róg, by zawołać Buriatów, niech mają tuszę... Przy furtce, gdy się odwrócił, spostrzegł, że obydwoj, Paweł i Mitrasza, patrzą za nim... „Coś czują”, pomyślał przelotnie.

Dzień był mroźny, tajga wydała mu się jakaś śnieżnie zasepiona. Nie słyszało się żadnego odgłosu, żadnej popielicy, orzechówki, drozda, wszystko pochowało się i z ukrycia śledzi jego dziwnie bezbronną postać, bez

„Paradoksa”, z trójnogiem w ręku, jak idzie na północny zachód, a przed nim biegną ogromne psiska, wielkości i siły wilka... To uczucie przyczajenia się, jak przy oglądaniu zbrodni, towarzyszyło mu całą drogę, do brzozonej żerdki opartej o drzewo, wziął ją i podążył dalej.

Oto i gawra. Psy zachodzą, przypadając do ziemi, jeden z prawa, drugi z lewa, bliżej czarnego otworu, drząc, wężą ciepły zapach zwierza... Spojrzał w górę na wierzchołki drzew unurzanych w chmurnym niebie, i nagle wydało mu się absurdalne ubicie niedźwiedzia dla wykazania własnej odwagi, czegoś pustego i niskiego wobec ogromu świetlanej miłości, ale stało się, wybacz, Wiero Lwowna, cofnąć się już nie mogę, ambicja, przekłeta ambicja! – gwizdnął i pchnął żerdką w otwór gawry.

Gruchnęło szczekanie psów i żerdka trafiła na miękkie. Poszturchnął. Na pół senny poryk... Szturchnął jeszcze. Żerdka trzasła, zakolebał się wierzch gawry i pan pułkownik wstał!

Najpierw wysadził kosmatą głowę o małych oczkach i uszach, rozeźlony, spojrzął na prawo, na lewo – psy odskoczyły – spojrzął prosto, gdzie kucnęło coś przy ziemi z trójnogiem... Wylazł na niego. Trójnóg wyprostował się na cały wzrost Bronisława – niedźwiedź także podniósł się na tylne łapy, ale w tejże chwili Bronisław, trzymając na głowie trójnóg za nogę lewą ręką, runął na niego i wbił mu nóż w dół brzucha ostrzem do góry. Wszedł jak w masło i szedł tak ślizgając się końcem po kręgach pacierzowych aż do piersi...

Ryk wściekłości i bólu targnął powietrzem, pobocznica trójnoga w niedźwiedziach łapach złamana przez pól wbiła się w skroń Bronisława, głowa, zdawało się, pęknie jak orzech w kleszczach... Nie trzeba było zmieniać pomysłu Buriatów, nie trzeba było dawać na wierzchu zamiast desek skóry, deski by wytrzymały... Nadludzkim wysiłkiem wyrwał głowę z tego potrzasku, szarpnął się do tyłu, poślizgnął w kałuży krwi na śniegu i padł.

Leżał na wznak, patrząc lewym okiem, prawe zalewała krew. Niedźwiedź także leżał na wznak. Odstąpił dwa kroki i całe wnętrze wywaliły się z rozprutego brzucha. Do świeżej parującej juchy dopadły psy. Niedźwiedź z wyszczerzonymi zębami patrzył na swoje jelita, na psie mordy we krwi, nie rozumiejąc, co się stało, łapą coraz wolniej odganiał latające przed oczyma ćmy, zaćmiewające mu wszystko...

Wyrwał zza pazuchy nagan i dwoma strzałami w ucho skrócił to konanie. Wciąż trzymając głowę krzywo, żeby krew nie zalewała lewego oka, odnalazł krzak, na którym powiesił róg. Zatrąbił na Buriatów raz długo i dwa razy krótko. Potem siadł pod drzewem na szczątkach złamanego trójnoga, przykładał śnieg do skroni, której nie czuł, tam była goła kość. Rana piekła, ale dusza bardziej.

To obrzydliwe, pomyślał. Nigdy więcej nie ubije niedźwiedzia...

„6-9 I 1913 r. – Przybyliśmy do Starych Czumów w samą porę, z pierwszą gwiazdą na niebie. Oczekiwano nas. Duniasza zaraz rozwarła bramę na oścież, jakby wjeżdżał cug paradny, a nie para jeleni, gęsiego z sankami, i zakrzętnęła się żwawo koło nas, nie ta sama dziewczyna. Pamiętałem ją bladą, załęcznioną, z siniakiem na policzku.

- A czego ty się cieszysz, Dunia? Czemuś taka wesola?
- Bo dziś polski *soczelnik** ... I ja już jestem wykupiona!
- Od kiedy?
- Od miesiąca.

Wiera Lwowna, witająca nas na ganku kuchennym, usłyszała ostatnie jej słowa i potwierdziła. Jak to się stało? A tak, że one, Wiera Lwowna i Dunia, umówiły się, że jak jeszcze raz szwagier zrobi awanturę, to Dunia zostanie wygnana. I tak zrobiły. Szwagier Kolcowych przyszedł, zapytując, co się stało, dlaczego wygnana? Wiera Lwowna na to, że nie ma już nerwów, tłuką dziewczynę co pewien czas, ona potem chodzi jak otumaniona, robota leci jej z rąk, jest do niczego, a niech sobie wraca do domu... Przestraszyli się, że stracą w ogóle dochód, powiedzieli, że się zgadzają odstąpić Dunię za pięćdziesiąt rubli, które swego czasu proponowała im Wiera Lwowna. Nie, ona im na to, już za późno, szukam innej służącej, Marfę od Siedych godzę... Wtedy wpadli w popłoch i żeby coś skubnąć, sprzedali w końcu prawa opieki nad Dunią za piętnaście rubli... A chcieli

* *Soczelnik* – Wigilia Bożego Narodzenia

sto, bezwstydni!

– W łaźni napalono. Jak się umyjecie z drogi, to zaraz proszę na kolację.

Umyliśmy się, wyparzyliśmy, Mitrasza zmienił mi opatrunek. Buriaci wtedy potracili głowy, próbując daremnie zatamować krew, ale nadbiegł Mitrasza, który jak usłyszał róg, to złapał kawał płótna lnianego i cudowną maść Mikołaja, cedrową żywicę z sadłem niedźwiedzim, i pognął na zew rogu. Niemy, ale okazał się najbardziej przytomny – pomyślał, że jeśli trąbię, to mogę być ranny. Odsunął Buriatów – sam się mną zajął. Posmarował ranę maścią i obandażował głowę paskami z płótna. Po trzynastu dniach goła kość na skroni zaciągnęła się cieniuchną jak bibuła skórką. Już nie krwawiło. Nałożył jednak bandaż ochronny.

Włożyłem świąteczną koszulę z seledynowego jedwabiu, tę z Nerczyńska, i udałem się na kolację wigilijną.

Kiedy bez *małachaja* wszedłem do kuchni, Wiera Lwowna zauważyła bandaż.

– Co się panu przytrafiło?

– Muśnięcie konającego misia.

– Niedźwiedzia!?

– Dziś polowanie na niedźwiedzia prawie nie zawiera żadnego ryzyka.

– To po co się poluje?

– Właśnie. Przyrzekłem sobie, że to ostatni mój niedźwiedź.

– Opowie mi pan o tym po kolacji. Teraz chodźmy na

wigilię.

W górnicy ujrzałem świątecznie nakryty stół, nierówności obrusa świadczyły, że pod nim było siano. Za stołem pod ścianą stała wysoka do sufitu choinka cała w zabawkach, złotych łańcuchach i szklanych niciach. Pod choinką już było kilka paczuszek.

– Połóż przy nich – powiedziałem cicho do Mitraszy, który niósł skórę niedźwiedzia owiniętą w płachtę.

Tymczasem Wiera Lwowna wzięła talerz z opłatkiem i trzymając go przy piersi powiedziała uroczyście:

– Muszę coś wyjaśnić wam, młodym – nikogo to nie zdziwiło, że matkuje Mitraszy, swemu rówieśnikowi. – Otóż święta Bożego Narodzenia zaczynają się w Polsce od przełamania opłatka, który zastępuje Polakom naszą *prosforą**. Dzieli się opłatkiem jak chlebem, składając sobie życzenia... Więc ja życzę panu z całego serca, Bronisławie, rychłej amnestii, po której wróci pan do swego kraju i będzie opowiadał o przyjaciołach na Syberii.

– A ja pani życzę, Wiero Lwowna, żeby zapadła kurtyna niepamięci nad przeszłością, żeby pani znów spojrzała na świat z taką ufnością jak z okna wagonu latem w 1906 roku.

W odpowiedzi poczułem lekkuchny pocałunek w policzek. Usta nie były zimne, jak wyobrażałem sobie. Pozostawiły po sobie wspomnienie czegoś nieuchwytnie

* *Prosfora* – kwaszony chleb pszenny święcony, używany jako komunia w Kościele prawosławnym.

ciepłego, jakiś podmuch majowego dnia. Za naszym przykładem składali sobie życzenia Dunia, Mitrasza i my im, całując się wzajemnie. Mitraszę uściskałem ze słowami «daj ci, Boże, tysiąc popielic na rozkładzie» a on wsunął mi w dłoń karteczkę wyrwaną z bloczka, którym wyręczał się w bardzo ważnych odpowiedziach. Przeczytałem: «życzę panu Wiery Lwowny». Zdumiewa mnie ten chłopak swoją bystrością spostrzeżeń.

– A po opłatku – powiedziała Wiera Lwowna – następuje najprzyjemniejsza chwila – rozdawania podarków. Najpierw dzieci podchodzą do choinki w domach polskich, potem dorośli, i wszyscy wszystkim coś miłego darują...

Na te słowa «wszyscy wszystkim» Mitrasza nagle poczerwieniał i polazł pod stół ku wyjściu.

Zbliżyłem się do choinki i wziąłem pakiet z moim imieniem, napisanym ręką Wiery Lwowny. Była to świąteczna koszula z biało-srebrzystego jedwabiu o bogato haftowanej piersi, kołnierzu i mankietach. Podziękowałem i prosiłem przyjąć skórę niedźwiedzia, ubitego przeze mnie trzy lata temu na polach Jemielianowa. A Duni wręczyłem sakiewkę z dwudziestoma rublami w środku. Jakże się ucieszyła! Nigdy nie miała w ręku takiej sakiewki ani dwudziestu rubli srebrem. Przyjemnie było widzieć jej rozradowaną, prawie dziecinną twarz, ma przecież piętnaście lat i pół... Podarowała mi ciepłe pończochy wełniane własnej roboty.

W tej chwili wrócił Mitrasza z sobolami dla Wiery

Lwowny i Duni. Był zaskoczony, nie spodziewał się podarków, które przyjmuje się i daje, musiał wybiec na dwór, gdzie pod krytym dachem stały jego sanki, i wydostać sobole, przeznaczone prawdopodobnie dla brata i bratowej.

Kiedy Wiera Lwowna i Dunia, podarowawszy mu pończochy i gruby skórzany notes ze srebrnym automatycznym ołówkiem, naradzały się, co zrobić z sobolami, czapeczki czy mufki, dałem Mitraszy zegarek kupiony zawczasu w Udińskim. Powiedziałbym – oniemiał ze szczęśliwości – gdyby nie był niemy od urodzenia. Na głuchej wsi syberyjskiej zegarek stanowi rzadkość, zwłaszcza u młodego bez gospodarstwa, do tegoż jeszcze zegarek z dewizką, którą wypuszcza się z kamizelki na łańcuszku, żeby wszyscy wiedzieli, że on zna rachubę czasu, liczy swój czas – to szczyt marzeń kawalerskich... Chwycił bloczek i napisał:

– Podaruję panu panty w maju! Odpowiedziałem:

– To za drogi rewanż. Wystarczy, jeśli podarujesz mi wabik na jarzabki.

Siedliśmy do stołu. Zupełnie zapomniałem o modlitwie, Wiera Lwowna szeptem przypomniała: «A modlitwa?» Spojrzałem na nią wzruszony, droga moja, o wszystkim pamiętasz, chcesz, żeby wszystko tu było po polsku... I zmówiłem «Ojciec nasz».

Teraz zanotuję, co było na wigilię. A więc były: grzybowa z łązankami i barszcz czerwony z uszkami grzybowymi. Następnie kawior i śledź. Kapusta z grochem. Dwa dania rybne – ogromny, wielkości ręki, łosoś gotowany i

tej samej długości łośoś w galarecie. Kompot z gruszek. Na deser do herbaty baby, mazurki i strucle. Te dania i białe wino w wysmukłych kryształach, wytworność zastawy, srebrne sztucce i porcelanowy serwis rodzinny z inicjałami Izwolskich, wszystko to obok zapalanej choinki sprawiało wrażenie Wigilii przeniesionej tu z innego świata.

Rozmawialiśmy żywo o naszej podróży, jak wilki nas goniły, o moim polowaniu na niedźwiedzia, które opowiedziałem krótko i nieciekawie, strzeliłem, niedźwiedź upadł, ale padając zdążył drasnąć mnie po skroni... o księdzu Sierpińskim, u którego była Wiera Lwowna i wypytała go szczegółowo, jak obchodzi się w Polsce Wigilię Bożego Narodzenia. Ksiądz Leonard ogromnie jej się spodobał.

– A jakie macie kolędy i ile ich! Może by pan zaśpiewał którąś z nich?

– Kiedy ja się obawiam...

– Czego? Głosu pan nie ma?

– Głos to ja mam, owszem, tylko słuch szwankuje.

– W takim razie ja spróbuję...

Zanuciła melodię, potem słowa «Jezus malusieńki leży nagusieńki, płacze z zimna...». Sopran jej dziwnie ciepły, matczyne, jak gdyby kołysał i otulał małego. Włączyłem się i ja... Wtem skądś, chyba z góry, drozd czy flet nieśmiało pisnął, ale tak udatnie, tak melodyjnie, że Wiera Lwowna obejrzała się, co to? A temu wymknął się jeszcze jeden rzewny trel i Wiera Lwowna poznała Mitraszę, rozradowaną twarzą zachęcała, śmielej, głośniej! Wtedy, uskrzydłony,

swobodnie poszybował swoim pogwizdem fletowym i towarzyszył jej gdzieś wyżej z zadziwiającą muzykalnością i słuchem – sopran śpiewał przy wtórze, zdawało się, flażoletu:

Bo uboga była,
rąbek z głowy zdjęła,
w który dziecię uwinąwszy,
siankiem je okryła...

Zobaczyłem jeszcze Dunię, jak chwyciła za łokieć siedzącego przy niej Mitraszę, wpatrując się w niego z wyrazem najwyższego zdumienia... Potem widziałem tylko ojca i matkę tej ostatniej Wigilii, kiedyśmy wszyscy byli razem, w styczniu 1898 roku. Ojciec grał na flecie, a matka z nami śpiewała... W dwa tygodnie później obudził mnie nocą brzęk ostróg żandarmów, aresztowanie ojca, błagania matki, głos oficera: «Niech pani się nie niepokoi, mąż wkrótce wróci do domu...»

Ból i tęsknota, wspomnienia, poniewierka, wygnanie – wszystko naraz spiętrzyło się we mnie na dźwięki rzewnej kolędy, ścisnęło nie do powstrzymania, czułem łzy i nie miałem sił, nie miałem chęci ich opanować.

Wiera Lwowna zrobiła krok naprzód, zasłoniła mnie sobą i wołając do Mitraszy: – Cudownie! Pan ma absolutny słuch! – podała mi ręką wyciągniętą do tyłu swoją chusteczkę.

Wytarłem łzy. Wziąłem się w garść, tak że po chwili też mogłem powiedzieć coś o talencie Mitraszy.

Porozmawialiśmy jeszcze trochę. Było po dziesiątej, Mitrasza pożegnał się i poszedł do brata, który ożenił się z Lubą. Dunia go odprowadziła. Stałem wtedy przy piecu kaflowym.

– Serdecznie pani dziękuję. Zadała pani sobie sporo trudu, żeby wszystkiego się dowiedzieć i zrobić jak należy po polsku. Ale wszystko się udało. Moje łzy są tego dowodem.

– Co to było? Tęsknota za domem, za ojczyzną?

– Tak. Ostatniej Wigilii, którą ojciec spędził w domu, grał na flecie tę samą kolędę «Jezus malusieńki leży nagusieńki...», a my z matką śpiewaliśmy.

– Ojciec nie żyje?

– Zniszczyli go Moskale. Nie wiem nawet, za jaką sprawę i czy była sprawa. Prawdopodobnie omylili się.

– Ja pana nie przepraszam. Jak nie przepraszam pana Hercen i wielu takich jak on Moskali za śmierć pana ojca.

– Wybaczy pani niewłaściwe słowo... Oczywiście nie Moskale, ale policja carska. Co innego rząd, a co innego naród.

– Powtarza pan to bez przekonania jak wyuczoną lekcję... A nie pomyślał pan, jaką krzywdę wyrządza nasz rząd swoją polityką gwałtu i nietolerancji nam, Rosjanom?

Bardzo ją dotknąłem. Po takiej pracy, tyle serdeczności i troski – Moskale!

– Jest mi bardzo przykro, Wiero Lwowna. Są słowa mimowolne, odruchowe, które wymykają się...

– Ach, co tam słowa... Dzieli nas morze krwi i

nienawiści, stulecia wojen i powstań wytykają panu, żeś Lach, a mnie, że Moskiewka! Ale my dziś nie będziemy przerzucać mostów nad tym. Wypijmy wina na dobranoc i pójdźmy spać.

Tak też zrobiliśmy. Wróciła Dunia, razem posprzątałyśmy ze stołu, potem Dunia poszła na piec do kuchni, Wiera Lwowna położyła się u siebie z niedźwiedziem pod nogami, a ja w sąsiednim pokoju w łóżku Mikołaja. Długo nie mogłem zasnąć.

Nazajutrz po świątecznym śniadaniu chciałem pójść na grób Mikołaja. Wiera Lwowna wybrała się ze mną, żeby pokazać, gdzie to jest. Wzięliśmy Bryśka i poszliśmy na cmentarz za wsią na wzniesieniu. Dzień był mroźny, ale w słońcu śnieg lśnił diamentowym blaskiem i oddychało się lekko pełną piersią suchym powietrzem.

Szliśmy, witając się z nielicznymi przechodniami. W takiej wiosce jak Stare Czumy wszyscy się znają.

– Nie obawia się pani, że wezmą nas na języki? – spytałem żartobliwie.

– Kobieta, która zabiła męża, nie obawia się już nikogo, jednego chyba Pana Boga... Gdybym była normalną kobietą, może wyszłabym za pana albo żylibyśmy na wiarę.

– Na kocią łapkę?

– Tak się mówi po polsku? Ciekawe, kota biorą na patrona wolnej miłości...

Do mogiły Mikołaja dotarliśmy ścieżyną, którą Akulina wydeptała. W początkach listopada, mówiła Wiera Lwowna,

robotnicy Zotowa przenieśli trumnę z Sinicy i wtedy też zostało obwieszczono, że za dziesięć dni, piętnastego listopada, odbędzie się pogrzeb Mikołaja Czutkich. Zjechało się dużo ludzi ze Starych Czumów, Udińskiego, Solska i innych wsi. Tu się przekonano, ilu przyjaciół Mikołaj zostawił, jak był lubiany i znany. Jednym domy i piece stawiał, z drugimi polował, innym znów wyświadczył jakąś przysługę... Ojciec Ksenofontow nad mogiłą, z właściwym sobie kunsztem oratorskim, opowiedział wzruszającą i pouczającą historię, jak żył i pracował Mikołaj Czutkich, jak mu zbójce syna zabili, jak po latach tych zbójców odnalazł i straszną śmiercią pokarał, oddawszy wilkom na pożarcie, a był przy nim w onych dniach młodzian ubogi, piękny i szukający prawdy bożej, bo pochodził z judejskiej rodziny. Pod wpływem zacnego Mikołaja nawrócił się ów młodzian na prawdziwą wiarę Chrystusową i dał mu Mikołaj za żonę jedyną córkę swoją, i tak dalej w tym samym stylu o szukaniu złota, o zamordowaniu Mikołaja i o tryumfie Opatrzności, kiedy ręka sprawiedliwości boskiej dotknęła morderców... Wszyscy byli wstrząśnięci, wielu płakało.

Córka wyjechała, nie było komu urządzić stypy. Wobec tego sporo ludzi zeszło się u Akuliny, sporo u sołtysa Jemielianowa, a popa, Ksenofontowa z popadią i Wasiliewów z Tietiuchinem przyjęła i gościła u siebie Wiera Lwowna.

Pogrzeb kosztowny, Akulina szarpnęła się, pomyślałem, trzeba jakoś jej zwrócić, przynajmniej moją dolę w tych wydatkach...

Idąc, przed nowym domem Luby i młodego Jakowa Czutkich zobaczyliśmy tłumek żywo o czymś rozprawiający. Na nasz widok umilkli i wszystkie głowy zwróciły się do nas, niektórzy chcieli podejść do nas, ale Mitrasza powstrzymał – ja to sobie przypomniałem nazajutrz, kiedy sensacja wybuchła.

Zjedliśmy obiad z indorem na czołowym półmisku, potem graliśmy w warcaby, a o szarej godzinie Wiera Lwowna opowiedziała mi o sobie i swojej rodzinie.

Spośród drobnej, płodnej szlachty Izwolscy wybili się osobą jednego generała w końcu XVIII wieku. Dowódca dywizji grenadierów Fiodor Izwolski otrzymał od Katarzyny II duże dobra i pięć tysięcy dusz w guberni woroneskiej, zbudował pałac, który z niewielkimi zmianami przetrwał do naszych dni, założył wokół niego piękny park i był ostatnim wojskowym w ich rodzinie. Starszy syn pomnażał posiadłości ziemskie, średni służył w administracji państwowej, między innymi pomagał Sperańskiemu w jego reformach na Syberii, a młodszy ukończył korpus morski i poszedł do marynarki. Jej ojciec wywodzi się w prostej linii od starszego syna generała i jest głową rodu Izwolskich. Ukończył uniwersytet w Kijowie, ożenił się i wyjechał do Heidelbergu, gdzie zrobił doktorat. Został profesorem propedeutyki prawa w swojej alma mater, był zwolennikiem psychologicznej teorii państwa i prawa swego przyjaciela ze studiów, Leona Petrażyckiego, Polaka, profesora uniwersytetu w Petersburgu, według którego, jak powiedziała

Wiera Lwowna, prawo jest minimum etyki. Był liberałem, członkiem partii konstytucyjnych demokratów, występował w obronie Bejlisa, przeciwko wszelkim dyskryminacjom narodowym, religijnym i politycznym. Z natury towarzyski, lubił przyjęcia i dyskusje, prowadził dom otwarty. Wierę Lwownę, swą jedyną córkę, kochał bardzo, po śmierci żony powtórnie żenić się nie chciał, chociaż miał powodzenie u kobiet i jeden dramat z tego powodu, że zrezygnował, przerwawszy poważny romans w obawie, że da córce macochę i utraci jej miłość.

– Czy ojciec pani wciąż wykląda?

– Nie. W związku z wyrokiem na mnie uległ lewostronnemu paraliżowi po wylewie do mózgu. Przebywa w Izwoliu.

Po chwili milczenia powiedziała, że miała piękne dzieciństwo i młodość. Do dwunastego roku życia chowała się w Izwoliu. Z jednej strony mama, niania, guwernantka francuska, później nauczyciele, z drugiej – gromadka dzieci wiejskich, z którymi wolno było jej się bawić. Ojciec mawiał, że mądrość życia polega na umiarze. Stąd pewna prostota w ich pałacu.. Chodziła boso, łąziła po drzewach, zbierała w lesie jagody i grzyby, dzieliła się swymi radościami i smutkami z Maszą, córką garderobianej, i z Siomą, synem stangreta, miała swoje ulubione zwierzęta, koty, psy, kucyka, sarenkę. Gdy przybyła do Kijowa, by zdawać do trzeciej klasy gimnazjum, była zdrową, mocną dziewczynką, świetnie przygotowaną ze wszystkich przedmiotów, znała francuski i

niemiecki, i po kryjomu bawiła się jeszcze lalkami, opowiadając im na dobranoc bajki. W szesnastym roku życia wyjechała z chorą matką do Szwajcarii i przebywała tam z nią cały rok, do jej śmierci. W 1906 roku zdała maturę i pojechała z ojcem na wycieczkę – tu nasze pociągi się spotkały – odbyła wycieczkę Wołgą do Morza Kaspijskiego i Persji i w ogóle miała najpiękniejsze wakacje w Izwoliu. A od jesieni zaczęło się «przygotowanie do życia» według koncepcji ojca, polegające na tym, że przejęła od Anny Pietrowny prowadzenie domu. Ma się rozumieć, wszystko szło ustalonym trybem, domem rządziła po dawnemu Anna Pietrowna, ale teraz za wszystko odpowiedzialna była Wiera Lwowna, więc wszystkie rachunki i zarządzenia wymagały jej akceptacji, musiała wchodzić w sprawy gospodarcze, ważniejsze przyjęcia uzgadniano z nią i w ogóle żadnej innowacji nie wprowadzano w domu bez jej zgody. Studia pochłaniały mnóstwo czasu, ale nie były męczące, sprawiały przyjemność, uczyła się przecież nie po to, by uzyskać dyplom, nie dla zarobku, ale dla siebie, chodziła więc na wykłady wybranych profesorów, którzy prowadzili wykłady w sposób interesujący lub od których można się było dowiedzieć czegoś na bliski jej temat, a tematem interesującym dla niej była historia sztuki zahaczająca czasem o filozofię, o Hegla, jak to się jej zdarzyło przy badaniu historii estetyki... Wakacje letnie spędzała w Izwoliu.

– Najpiękniejsze moje chwile, najczystsze,

bezgrzeszne... Czasami śni mi się, jak idę boso o porannym chłodzie po rosie przez łąkę w morzu kwiatów albo na naszej pasiece jem miód z ogórkiem, albo tańczę w upojeniu balowym nad stawem, po szerokich stopniach wirując w walcu schodzimy stopniowo w aleje, gdzie kołyszają się girlandy różnokolorowych lampionów, a skrzypce słodko łkają «Nad modrym Dunajem...»

Был тихий вечер, вечер бала,
Был летний бал меж темных лип,
Там, где река образовала
Свой самый выпуклый изгиб,

Где наклонившиеся ивы
К ней тесно подступили вплоть,
Где показалось нам – красиво
Так много флагов приколоть.

- Lubi pan poezję?
- Poezję? Nie wiem, to znaczy, nie znam jej.
- Dziwne.
- W gimnazjum zadawano nam rosyjskie wiersze, a potem w życiu nie miałem sposobności odczuć braku poezji.
- Dobrze, ale przyzna pan, że wiersz jest ładny? Podoba się panu?
- Owszem, jest melodyjny.
- Melodyjny to mało. Po każdej spółgłosce idzie

samogłoska, stąd śpiewność niemalże języka włoskiego... To Igor Siewierianin. Zaraz panu dam Błoka... Co pan wie o Rawennie?

– Byłem tam. Piękne miasto, mnóstwo pamiątek historycznych, znajduje się tam mauzoleum Teodoryka i grobowiec Dantego.

– I jeszcze jedno: to jest miasto, od którego morze odeszło... Niech się pan odpręży i chłonie bez obawy, że słuchając poezji rosyjskiej zdradza pan Mickiewicza.

Odrzuciła włosy, wyprostowała się i zaczęła recytować z pamięci.

Всѣ, что минутно, всѣ, что бренно,

Похоронила ты в веках.

Ты, как младенец, спишь, Равенна,

У сонной вечности в руках.

W surowym rytmie wielkiego smutku świata nad wszelkim przemijaniem, wolno, uroczyście następują słowa pogrzebowe o tym, co niegdyś tutaj było, o rzymskich bramach tryumfalnych, o tłumach niewolników za rydwanem zwycięskiego wodza, o sławie, złocie i wielkich pomnikach przeszłości... Daleko odstało morze i róże zarosły wał, by śpiący w grobie Teodoryk za burzą życia nie zatęsknił. I winnice, domy, ludzie – wszystko groby. Tylko miedź na płytach nagrobkowych dostojnie dźwięczy po łacinie jak fanfara. Tylko w spojrzeniu bacznym, ukradkowym raweńskich dziewcząt niekiedy smutek po niepowrotnym

morzu przewija się jak cień.

Лишь по ночам, склоняясь к долинам,

Ведя векам грядущим счет,

Тень Данта с профилем орлиным

О Новой Жизни мне поет.

Byłem do głębi poruszony. Nigdy nie przeżywałem takiego wrażenia. Czulem zapach ziemi italskiej, opary jej wielkości ze zwilgłym, trupim chłodem nad rozświetloną, czarowną krainą.

– No, wie pani, ten wiersz upaja, wprawia w taki jakiś nastrój niepo czytalny...

– Nastrój poetycki!

– Możliwe... A fonetycznie to wprost się słyszy «wiedza wiekam graduszcim szczyot» – trzask prast na liczydłach kulkami odrzuca!

– A teraz, uwaga! Niech się pan skupi. Oto wiersz, który niesie całkiem inny nastrój. Znów Aleksander Blok.

По вечерам над ресторанами

Горячий воздух дик и глух,

И правит окриками пьяными

Весенний и тлетворный дух.

W samej rzeczy, nie słysząc tu żelaznych kroków komandora, czyli nic z historii... W oddali, nad kurzem ulicznym, nad nudą daczy podmiejskich, ledwo-ledwo złoci się rogal piekarni i słysząc gdzieś, jak dziecko płacze. Ni to

miasto, ni to wieś, gdzie każdego wieczoru w melonikach zsuniętych na bakier spacerują wśród rowów z damami znani kpiarze, a nad stawem jęczą dulki wiosel i rozlega się pisk kobiecy. Wśród tej nudnej trywialności siedzi co wieczór poeta nad szklanką, a obok tkwią lokaje senni pod ścianą i pijanice z oczami królików wołają «in vino veritas»! I w każdy wieczór o tej samej porze, a może tak się tylko mu śni, dziewczęca postać, opięta w jedwabie, przesuwa się w zamglonej szybie. Wolno przechodząc między pijakami, zawsze bez towarzyszy, sama, owiana perfumami, *tumanna*, siada przy stoliku u okna. Tchną czymś bajkowym z prastarych podań czarne jej, elastyczne jedwabie i kapelusz z żałobnymi piórami, i upierścieniona wąska dłoń. Dziwna bliskość jej onieśmiela, obezwładnia. Widzi za ciemnym woalem brzeg zaczarowany i zaczarowaną dal. «Przekazano mi najskrytsze, zamknięte na głucho tajemnice, myśli. Czyjeś słońce zostało mi powierzone...» A strusie pióra kołyszą się w jego mózgu, oczy błękitne i bezdenne zakwitają na dalekim brzegu. «W duszy mej spoczywa skarb i klucz oddano tylko mnie!»

– No, jakie wrażenie?

– Nie bardzo rozumiem, czyje słońce zostało mu powierzone, ale że klucz oddano tylko jemu, to czuję... Wyczarować taką tęsknotę za pięknem, za niezwykłym z podmiejskiej nudy i banału codzienności – to sztuka. To prawdziwy poeta.

– Wielki poeta. Cieszę się, że to słyszę od pana. Bo

czegoś by mi w panu brakowało, gdyby pan był niewrażliwy na poezję. A pan po prostu nie stykał się z nią, nieosłuchany... Może byśmy tak co zjedli? Poezja zaostrza apetyt podobno. Jestem głodna, a pan pewnie także...

Podeszła do drzwi i zajrzała do kuchni. Palila się tam lampa, Dunia żywo coś opowiadała Mitraszy. Nareszcie ktoś dorosły, z niewielkim, ale prawdziwym wąsem, słucha jej wynurzeń i wcale nie uważa, że są błahe, dziecinne.

– Może byśmy, Duniu, wspólnie nakryły do stołu i podały kolację?

Po kolacji rozmawialiśmy, to nieważne o czym, warto zanotować tylko, że postanowiliśmy zrobić kulig na renach.

Znów długo nie mogłem zasnąć. Leżałem, mając na wysokości oczu widok przez nogi stołu – fragment sąsiedniego pokoju ze skórą niedźwiedzią na podłodze i bambosze. Nie zamknęła drzwi, byłby to gest nieufności. W jej pokoju palila się lampa, ale ja nie widziałem tego, co było powyżej poziomu stołu. Przed snem, mówiła, lubię sobie poczytać na dobranoc. Co czyta? Gdzie jest myślami? Po głowie chodziły mi strzępy tego wiersza: i widzę brzeg zaczarowany i zaczarowaną dal... Aktualnie – widzę błękitne bambosze na niedźwiedziej skórze i błękitną dal... W duszy mej spoczywa skarb i klucz oddano tylko mnie!

Po śniadaniu zawiesiliśmy janczary od upręży na rogach reniferów, posadziłem Wierę Lwownę ciepło ubraną, w kożuszk, przed sobą, Mitrasza zrobił to samo z Dunią. Kiedy wyjechaliśmy na drogę, oddałem jej lejce, mówiąc, że

zwierzęta są łagodne i mądre, niech pozwoli im biec swobodnie... Objąłem ją oburącz w pasie, żeby nie wypadła z sanek i tak trzymając swój skarb przy sobie, pomknąłem ośnieżoną, drogą w naburmuszony zimowy las do tego miejsca, gdzie zabity został Łukasz Czutkich, przeszło dziesięć wiorst od Starych Czumów i z powrotem.

Przy obiedzie, kiedy wykończyliśmy nareszcie indora, Mitrasza poprosił Wierę Lwownę, by puściła Duniaszę do domu brata na zabawę, zbiera się tam młodzież. Naturalnie Wiera Lwowną pozwoliła i Dunia poszła z Mitraszą. Zostaliśmy sami. Zakurzyłem fajeczkę, czując przedsmak rozmowy z Wierą Lwowną, wtem rozlega się stuk do drzwi frontowych i wwalają się Sidor Jemielianow z Pantielejmonem.

Mieli trochę w czubie, jak się przywitali hałaśliwie z Wierą Lwowną i ze mną:

– A, witajże nam, witaj, bohaterze!

– Dlaczego bohaterze? – spytała Wiera Lwowna, nakrywając ponownie do stołu.

– No, jakże, sam jeden na niedźwiedzia! Mitrasza nam wszystko na kartkach napisał. Ale ja chcę usłyszeć dokładnie z każdym szczegółem od samego Najdarowskiego! Od niego samego! Co poszedł na niedźwiedzia z jednym tylko nożem i zarznął go!

Niedobrze mi się zrobiło. Tego nie przewidziałem. Niemy, a zdradził mnie. Nie uprzedziłem, żeby się trzymał mojej wersji, że strzelałem, o trójnogu ani słowa, on by

usłuchał, a tak, nie wiedząc, na karteczkach pysznił się mną, rozdawał karteczki na prawo i lewo... Myślałem – niemy. Zapomniałem, że umie pisać, że pisze, kiedy czegoś nie może, a bardzo chce powiedzieć.

– Przede wszystkim spróbujcie mojej nalewki – usłyszałem głos Wiery Lwowny.

Podawała na tacy. Jemielianow ucichł. Pamiętał, że jest zamożnym gospodarzem, sołtysem i od marca będzie kupcem, ale jeszcze bardziej zdawał sobie sprawę z tego, że przyjmuje kieliszek od zesłanki, której termin zesłania upływa w przyszłym roku, dziedziczki majątku ziemskiego objętości ośmiu tysięcy dziesięcin, z cukrownią i gorzelnią, do tego jeszcze domy w Woroneżu i Kijowie... Respekt jego wyrażał się w tym, że zwracał się do niej per pani, *barynia*.

– Za zdrowie pani, *barynia!* – powiedział wychylając kielich.

Za jego przykładem poszedł Pantielejmon, ten skopiec, który uczył dzieci.

– Proszę skosztować pieroga dla porównania. To pieróg ukraiński, tak się robi go w Kijowie.

Uczynili zadość jej życzeniu. Spróbowali, owszem, porównując smak, ciasto, składniki nadzienia tego pieroga ze swoim, ukraiński wypadł bogaciej.

– A teraz opowiedzcie mi spokojnie, panowie, co to było za polowanie, bo ja nie wiem. Raz nóż, a raz strzelba.

Jemielianow otworzył usta, ale ja go wyprzedziłem:

– Może ja opawiem... To stary buriacki sposób

polowania na niedźwiedzia. Trzeba tylko mieć taboret o trzech nogach, żeby go włożyć na głowę, nóż ostrości brzytwy i błyskawiczny refleks...

Włożyłem taboret na głowę i zademonstrowałem Jemielianowowi swój atak na niedźwiedzia: uderzyłem go, Jemielianowa, w pierś głową, czyli taboret, i w tejże chwili ciąłem od spodu do góry nożem.

– Kwestia sekundy. Kiedy niedźwiedź zareagował i ścisnął taboret z moją głową, był już martwy. Miał rozpruty brzuch.

– A gdyby on nie zechciał pana obejmować i ścisnąć? – zapytał swym babim głosem Pantielejmon. – Walnąłby pana łapą i odrzucił?

– Tak, odrzucił – podchwycił Jemielianow. – Trzyma pan taboret słabszą lewą ręką, a w prawej nóż, nie ustoi pan na nogach i polec... Nie, tu nie ma co udawać, że to łatwy sposób. To luty zwierz i z nim nie ma żartów. Udało się. Krzyż Świętego Jerzego za odwagę! Na całej Syberii, jak długa i szeroka, nikt tak sam jeden z niedźwiedziem sobie nie poczynał!

Pogadali, poroztrząsali, wypili jeszcze po jednym kieliszku i poszli.

Zostaliśmy sami.

Wiera Lwowna wyjęła z nocnego stolika pudełko papierosów.

Źle, pomyślałem. Palila bardzo rzadko, tylko w chwilach zdenerwowania.

– To rzeczywiście skóra z pierwszego pana niedźwiedzia? – zapytała z pierwszym dymkiem.

– Tak, leżała na piecu, Mikołaj na niej spał.

– A tamta?

– Była nieco uszkodzona. Psy wyrwały kawał zadu. Poza tym widok wnętrzości w kałuży krwi obrzydził mi wszystko. Przyrzekłem sobie, że więcej na niedźwiedzia polować nie będę. Zamieniłem więc skóry, nową położyłem na piec, a starą przywiozłem pani.

– I powiedział pan, że strzelał. Zgadza się, strzelał trzy lata temu. O polowaniu z trójnogiem, trzeba przyznać, ani słowa. Dlaczego?

– Krępowalem się. Zrobiłem to po kryjomu przed panią.

– Istotnie, zabić niedźwiedzia tylko po to, żeby móc popisać się swoją odwagą, to wstyd. Taki duży miś, o wiele mniej szkodliwy w lesie aniżeli człowiek... Samiec?

– Samiec.

– Byłby do pary dla mojej Małanii. Sześć lat przecież, czuje zew natury, w maju chce mieć małe niedźwiadki, ryczy. Ja bym ją wypuściła, ale ludzie zaraz ją zabiją. Jest ufna, wierzy człowiekowi...

Dopaliła w zamyśleniu, w końcu zdecydowanym ruchem zgmiotła niedopałek w popielnicze.

– Nie, ja tego nie rozumiem. Jak mógł pan zrobić coś podobnego? Nie dla brawury, nie dla rozgłosu wybrał pan najbardziej ryzykowny sposób polowania, mógł pan zginać, więc po co?

– Bo tak chciałem.

– Na miłość boską, to nie odpowiedź. Już kilkakrotnie pytałam pana, dlaczego? Może mi pan wyjaśnić tę zagadkę psychologiczną?

– Postaram się. Zaczęło się od rogu. Buriaci podarowali mi róg myśliwski, zdobyty kiedyś na Zachodzie przez założyciela ich rodu, wielkiego Chongodora, pamiątkę, klejnot rodu. Nie mieli nic więcej do zaoferowania, ale czuli, że muszą dać, powinni. Przyjąłem, bo dawali w tak serdeczny i zarazem uroczysty sposób, że nie przyjąć znaczyło obrazić śmiertelnie. Wieczorami nieraz potem w swoim pokoju gładziłem na pół starte litery łacińskie na srebrnym okuciu rogu z XIII lub XIV wieku. Zdawało mi się, że z tego rogu emanuje cała gorąca aura krwistych wieków średnich, wieków straszliwej wiary religijnej i nienawiści, zakonów rycerskich i żebractwa, kultu pięknej damy w sercach trubadurów i wędrownych rycerzy, historii miłości wielkich, po grób, z woli gwiazd i przeznaczenia, począwszy od Tristana i Izoldy, wszystko w końcu wynaturzone, skarłate i śmieszne, jak śmiesznym, skarłałym i wynaturzonym przejdzie do historii obraz naszego wieku. I zapragnąłem czynem ryzykownym, nikomu niepotrzebnym, anonimowym, dowieść sobie, że jestem wart mojej wielkiej miłości.

– Oblęd... Czy pan jest tak samotny, że z nikim nie rozmawia?

– Z nikim nie można o tym mówić. Można tylko z panią, Wiero, pani obecność wystarcza, jest jak sumienie, i ja

mówię.

– Jak pan do mnie mówi?

– Tego tematu nie powinniśmy poruszać. Umówiliśmy się, że nie będę mówił o moim kochaniu.

– Ale ja chcę wiedzieć, jak pan ze mną po kryjomu rozmawia! Ostatecznie to mnie bezpośrednio dotyczy!

– Wiero Lwowna, rozmawiam z panią, bo dusza pragnie i czuję twą bliskość. Niekiedy radzę się. Na przykład, czy słusznie postąpiłem przyjmując zbiega, jakkolwiek wiedziałem, że to katorżnik, ale może on odsiedział już swoją karę za jakąś mimowolną sprawę, w każdym razie nie wygląda na łajdaka... Czekałem, wiedząc, że należy odprężyć się, nie myśleć o odpowiedzi, wtedy odpowiedź sama przyjdzie w sposób naturalny i oczywisty, tak, Bronku, trzeba dać mu szansę, ale uważaj, wchodzisz w smak dobrych uczynków, łatwo można się pomylić... Raz powiedziałem to, co powinnaś wiedzieć o mnie, pani. Nie możesz być kobietą – sama to wyznałaś w swojej spowiedzi, jakże trudnej dla ciebie spowiedzi, na którą zdobyłaś się z litości nade mną. Ale mnie to nie wyleczyło, przeciwnie. Nigdy bym nie uwierzył, że można kochać samą duszę, zjawę, czyste uduchowanie kobiecości. Wypełniasz mnie całego po czubki włosów i dzięki ci za to, że istniejesz...

Jakże piękna była w tej chwili! Z roziskrzonym wzrokiem, przybladła, ściągnęła swe sobolowe, królewskie brwi pod wrażeniem moich słów.

– Tak dobrze żyło mi się w przyjaźni z panem... Wciąż

kochasz kalekę, Bronisławie Edwardowiczu? To nie ma sensu. Jesteś młody, przystojny, odważny i dobry, znajdziesz sobie kobietę czułego serca, która wdzięczna ci będzie za takie słowa... Zastanów się. Bo czego się po mnie spodziewasz?

– Niczego. W przyszłym roku upływa termin zesłania pani, wyjedziesz do ojca i wszystko się skończy na pozór. Zostanie obraz pani i kochanie pani, Wiero Lwowna.

– Niestety, nigdzie nie wyjadę, Bronku, na twoje nieszczęście, biedaku... Pragnę mieszkać, pracować i umrzeć w Starych Czumach”.

„Wzgórze Błękitnego Snu, 16 IV 1913 r.

Droga Pani Wiero!

Piszę, korzystając z okazji, że Mitrasza z Caganem i Dandorem jadą po zakupy do Udińskiego i przejazdem zatrzymają się jak zawsze u pani.

Minęły trzy miesiące, dokładnie dziewięćdziesiąt siedem dni od naszego niedobrego rozstania. Oboje byliśmy skrępowani, nieswoi. Pani nagle sobie uświadomiła, że jednak nadal Kocham Ją bezrozumnie, wiedząc, że dzieli nas ropucha – pamięta Pani, przy pierwszym spotkaniu powiedziała Pani, że na samą myśl, że dotknie Ją mężczyzna, czuje obrzydzenie, jakby miała skoczyć na Nią ropucha? Ja to sobie zapamiętałem i to mnie trzymało w ryzach, kiedy

słabłem, patrząc na nerwowe śliczne ręce Pani, na usta...

Wymknęło się Pani nieopatrzne słowo «biedaku» i litością poparzyło nasze dusze, Pani i moją. Nie trzeba tak mówić, tak myśleć. Mimo wszystko jestem bogatszy od wielu ludzi, którzy nie zaznali prawdziwej miłości. Pani nie jest winna, że nie może w pełni odwzajemnić mego uczucia, tylko w części, która jest przyjaźnią, i to stanowi wiele, jak na mężczyznę i kobietę, to rzadki skarb!

Opowiem teraz, co się zdarzyło w ciągu tych trzech miesięcy po powrocie ze Starych Czumów.

Zaraz w pierwszych dniach, chodząc po tajdze, odkryłem stały wilczy trop z północy na południe. Wziąłem Pawła i tu na wysokim urwisku nad rzeką postawiliśmy solidny szałas, w którym miałem czatować na wilki.

Dwudziestego stycznia Łaja urodziła sześcioro ładnych szczeniąt, kropka w kropkę małe Bryški.

W tydzień potem zdarzyły się wielkie mrozy, które przesiedzieliśmy w domu. Paweł w dalszym ciągu meblował dom.

Padły nam dwa reny. Zawieźliśmy je na sankach jakie trzy wiorsty pod urwisko. Nazajutrz był młody księżyc, poszedłem do szałasu. Ujrzałem w dole, na trupach renów, uczującą rodzinę wilków i ubiłem dwa, tusze zostawiłem.

Po trzech dniach padły nam cztery reny. Zaciągnęliśmy je w to samo miejsce. Poszedłem pod wieczór z Mitraszą. Przyszło dziesięć wilków, strzeliłam trzy i Mitraszą dwa. Tak samo oskórowaliśmy je, zostawiając tusze na pożarcie.

Nazajutrz poszliśmy na zasiadkę do tej czatowni. Z początku, kiedy czekaliśmy, była pełnia księżycy, w promieniu stu pięćdziesięciu kroków widzieliśmy jak na dłoni, potem zaczęło się chmurzyć, a właśnie ze wszystkich stron schodziły się wilki, cała chmara, przeszło dwadzieścia sztuk. Zaczęła się niesamowita uczta na trupach renów i wilków, żerowanie najdziksze oszalałych głodomorów, z chrupotem gryzionych kości, z powarkiowaniem na sąsiadów i wyciem nie dopuszczonych, wszystko skłębione, rozedrgane przy zmiennym księżycu, który coraz to chował się za chmury i wyblyskiwał, zalewając swym upiornym blaskiem żerowisko wilkojadów, aż nam się włos jeżył na myśl, co będzie, jeśli bestie nas wyczują i pójda pod górę, trzydzieści kroków nad sobą. Najwyżej cztery ubijemy, reszta rzuci się na nas... Nie warto ryzykować. Dałem znak Mitraszy. Po cichu wycofaliśmy się i na nartach wróciliśmy do domu.

Od tego czasu w tych stronach trzymały się wilki i lisy. Można było trafić na nie i w dzień. W ten sposób ubiłem jeszcze trzy wilki i sześć lisów.

W marcu Paweł miał ze mną rozmowę. Od dawna wiedziałem, że chodzi do jurty Buriatów, podobała mu się Erche. Teraz powiedział, że on i Erche mają się ku sobie i że on prosił starego o Erche, ale ten zażądał wykupu, czyli *kałymu* w sumie stu pięćdziesięciu rubli, zaznaczając, że tak tanio żąda za Erche tylko ze względu na to, że go lubi i że on przyjaźni się ze mną. Paweł pytał mnie, co robić. Zapytałem, czy kocha Erche. Odpowiedział – bardzo. W takim razie,

poradziłem mu, zapłacić trzysta rubli i bierz Erche... Dlaczego trzysta, przepytał, więc mu wyjaśniłem, że jak mu każą płacić za Erche, wybrankę jego serca, to musi dać co najmniej dwa razy tyle, ile żądają, dziewczyna jest tego warta. Jeszcze się wahał, wtedy powiedziałem, raz się żenisz, co znaczy trzysta rubli w porównaniu ze szczęściem Erche i dozgonnym uznaniem Buriatów – po wszystkich *ulusach* rozejdzie się sława *kałymu* według twego uznania, i po pięćdziesięciu latach Erche będzie opowiadała wnukom, już całkiem rosyjskim w trzecim pokoleniu, ileś ty za nią zapłacił, jaki byłeś dobry dla niej, jaka była szczęśliwa... Za podobną legendę dopłacisz tylko sto pięćdziesiąt rubli.

Pożyczyłem mu tę sumę i Paweł poszedł. Wrócił rozpromieniony. Wszystko odbyło się, jak przewidziałem. Oświadczył, że nie może zapłacić stu pięćdziesięciu rubli, stary wyraził żal i zaczął zachwalać Erche. Paweł wyjął pieniądze i powiedział, że za Erche może zapłacić tylko trzysta rubli i ani grosza mniej.

Z początku stary myślał, że zaszło nieporozumienie, ale Paweł wyprowadził go z błędu – nie, on dobrze zrozumiał go, ale sumienie nakazuje mu zapłacić taką sumę. Wtedy stary Buriat podskoczył ze zdumienia na swym *otboku*. Uspokoiwszy się, wziął trzysta rubli, powiedziawszy tradycyjne *mal barichu*, czyli «przyjąłem bydło» – jak widać w dawnych wiekach *kałym* płacono w naturze, to znaczy byłem.

Buriaci, stary z Caganem, zaraz pojechali do swoich po

reny dla nas i dla siebie, u nich także padło kilka sztuk na skutek nie rozpoznanej choroby. Wrócili dopiero teraz, przywożąc reny i wiadomość, która zbulwersowała wszystkich – o likwidacji bandy Chariamowa. Ta banda zbiegłych ze służby kozaków od sześciu lat terroryzowała tunguskie i buriackie osiedla, pobierała *jasak*, czyli daninę, albo grabiła całe wsie, znała świetnie teren, miała swoje kryjówki i działała na wielkiej przestrzeni półtora tysiąca wiorst w granicach trzech powiatów. Ona właśnie doszczętnie zniszczyła rodzinę Chongodorów, przed nią musieli uchodzić do tajgi. Teraz dowiedzieliśmy się, że wszyscy zbójce z Chariamowem na czele zostali w jednej kryjówce otoczeni i co do nogi wybici.

– Więc możecie spokojnie wracać w swoje strony – powiedziałem po wysłuchaniu tej nowiny. – Niebezpieczeństwo minęło.

Nie, odrzekł patriarcha rodu, oni zostają. Duch Chongodora uratował ich i nadal sprzyja im w tych stronach, gdzie niegdyś była ich ojczyzna.

Zamierzają pobudować sobie domy i w tym celu posyłają do Udińskiego po narzędzia oraz po gwoździe, *urys* blaszane, piecyki z fajerkami i szkło. Za futra z całego roku myśliwskiego Cagan z Dandorem dostaną po sześćset, siedemset rubli każdy, Mitrasza około tysiąca stu rubli, a ja mniej więcej tysiąc trzysta rubli. Jak Pani widzi, z myślistwa można na Syberii dobrze żyć, a jeśli o mnie chodzi, to futra samych drapieżników zapewniają dostatnie życie.

Cagan zabrał od Łajki szczeniaki po trzech miesiącach, zostawił tylko pierworodnego. Jest to rozkoszny, zmysłny szczeniak, podobny do Bryśka, będzie od niego tylko nieco mniejszy. Pani lubi zwierzęta, Wiero Lwowna, może wzięłaby go pani? Cieszyłbym się, gdyby Pani przyjęła ode mnie tego szczeniaka.

Dla mnie Mitrasza ma przywieźć, oprócz żywności, płótno, pokost i sól. Mitrasza zakomunikował Pawłowi, że wie, jak się robi *omorocze*, i narysował szkic tej łódki. Paweł wykona, więc stąd zamówienia na płótno i pokost, a sól, dużo soli, potrzebuję na przynętę dla iziubra, by zdobyć panty.

Kiedy mówiłem, co będę robił na wiosnę, wspomniałem o pantach dla Wojciechowskiego, i Pani, Wiero Lwowna, nie rozumiała mnie, zapytała ze zdziwieniem: «Znów?» Nie zdążyłem wyjaśnić całego znaczenia tego polowania dla mnie.

Otóż coroczne panty dla Wojciechowskiego to dar serca, dowód dozgonnego przywiązania. Wkrótce potem, jak mnie okradli w kąpieli i zostawili gołego na brzegu, wstąpiłem do księdza Sierpińskiego i poznałem u niego Narcyza Wojciechowskiego. Zebrało się nam na zwierzenia, z początku on opowiedział swój życiorys potem ja. Gdy dowiedział się, że nie mam strzelby, że mi ją ukradli – niech Pani pomyśli, co za gest wobec przypadkowo spotkanego człowieka! – wówczas pan Narcyz oświadczył, że jest już za stary, i podarował mi swoją strzelbę, ostatnio kupioną angielską broń «Paradoks» na kulę i śrut – marzenie każdego

myśliwego. Wiedziałem, że ma pięciu synów i wszyscy polują, więc wzbraniałem się przyjąć bezcenną broń, wówczas powiedział, że ilekroć zwątpię w ludzi, to do tych dwojga znanych, którzy mi wierzą i szanują, do Stefanii Sempołowskiej i Edwarda Abramowskiego w Warszawie, niech doliczę trzeciego, Narcyza Wojciechowskiego na Syberii... Ponad głowami wszystkich synów podał mi «Paradoks» na dowód, że szanuje i nie uważa mnie za prowokatora... Dlatego poluję na panty, kiedy ma chorobę w domu.

Jeśli mi Pani odpisze, będzie to dla mnie droga pamiątka i znak, że rozumiemy się.

Żegnam Panią wierszem Błoka, który chodzi mi po głowie: *«W duszy mej spoczywa skarb i klucz oddano tylko mnie...»*

Bronisław Najdarowski”

Mitrasza przywiózł żywność, pieniądze za sprzedane futra, sól, płótno z pokostem i wiadomość na karteczce – Wiera Lwowna pozdrawia, jest bardzo smutna, całymi dniami rozmawia tylko z panem z Moskwy w eleganckim garniturze, ma on zegarek ze złotym łańcuchem w kieszonce kamizelki.

PAN BÓG SPOJRZAŁ NA NICH, UŚMIECHNĄŁ SIĘ I ZAPOMNIAŁ WKRÓTCE

Z szumem i świstem skrzydeł, z kwakaniem, gęganiem i klangorem przeleciały noce wiosenne nad tajgą, klucze i bezładne stada pękały nad drzewami, osypując się ptasim deszczem na szuwary i zaciszne nagrzane haławki.

Rozsypaną na tropach jelenich solą zanęcili Bronisław i Mitrasza iziubry, aby się trzymały tych samych zeszłorocznych solanek, i ubili je z tych samych gniazd w majową pełnię księżyca, podwędzili, zapakowali i wysłali z Buriatami do Minusińska.

Tymczasem Paweł według wskazówek Mitraszy robił *omorocze*, czółno tubylców, zszywając żyłką reniferów płaty kory brzozonej przeciętej przez pół i okrywając nią lekki szkielet drzewny. Posmarował z zewnątrz smołą i na gorąco okleił płótnem, to samo wewnątrz, rzucił na spód podłogę z pięciu lekkich deszczyn świerkowych, obramował burty listwą calową i spiął je dwiema deskami siedliska, wszystko zapokostował i pomalował na biało. W tym lekkim, wąskim czółenku, szerokości zaledwie kroku, a długości sześciu kroków, wiosłowało się po eskimosku, twarzą do przodu, wiosłem dwupiórkowym.

W połowie maja *omorocze* wagi piórkowej Bronisław i

Paweł przenieśli cztery wiorsty na plecach i spuścili na rzekę razem z kilkoma pustymi beczułkami i workami. Przewiesili na plecach strzelby lufą w dół, na wypadek wywrotki, żeby ich nie pogubić, i odbili od brzegu.

Nurt ich porwał. Paweł, siedzący z tyłu, coś krzyknął, jakieś zawołanie wodniackie z jego stron, Bronisław nie słyszał, skupić się musiał na wiosłowaniu, nigdy nie płynął takim czólnem po rzece. Za to Paweł, urodzony nad Wołgą, zawołany rybak, czuł się w swoim żywiole i chociaż także pierwszy raz płynął *omoroczem*, to jednak miał wycucie wody i wiosła, kierował, podając komendę, prawym mocniej czy lewym, i tak mknęli środkiem spienionej rzeki, szerokości stu pięćdziesięciu kroków, wartkiej i narowistej w górnym biegu, tylko drzewa uciekały w tył i biegnący brzegiem Brysiek ledwo mógł nadążyć za nimi. Miejscami napotykało się przeszkody, sterczały z rzeki skały lub osiadłe na mieliźnie drzewa, gdzieniegdzie były bystrza i szypoty... Przechylony nieco z burty Paweł czytał wodę, którejdy idzie główny nurt, i trzymał się go.

Po paru godzinach rzeka się zwężyła i dał się słyszeć w oddali szum wodospadu. Nie znając go, obawiali się płynąć dalej i skręcili do brzegu. Zziajany Brysiek dopadł ich tu nareszcie, musiał dobrze wyciągać nogi, by zdążyć za nimi, tak śmigłym czólnem było to *omorocze*. Wzięli je na plecy i wiorstę obnieśli, spuszczać na cichą wodę poniżej wodospadu.

Wyłynęli na szeroką taflę jeziora i zwiedzili je wzdłuż i

wszerz. Miało przeszło dziesięć wiorst długości i cztery szerokości, zawyspione, o fantastycznie powyginanej linii brzegów, porośnięte trzcina. Odgłosy kaczek, gęsi, łabędzi świadczyły, że to ptasie jezioro i prawdopodobnie rybne.

Zatrzymali się na wysepce pośrodku jeziora. Już pierwszy połów wykazał rybność jeziora. Wśród miętusów, płoci i okoni znalazły się dwa piękne omule. Paweł zaraz wyciął całą grzbietową część, czyli *batyk*, i zasolił w beczulce, by po czterech dniach suszyć na słońcu i wędzić. Z reszty ugotowali zawieszistą *uchę*. Położyli się w zrobionym na miejscu *bałaganie*, rozpalili u wejścia *dymokur* i gawędzili przed snem.

Paweł opowiadał o swoim rybaczeniu w Nowodewicziu, od małego tym się pasjonował, odkąd złapał mu się na haczyk pierwszy okonek, i potem już całe życie, nawet w wojsku, gdy zobaczył wodę, to chciałby ją wędką pomacać. O pięknych i strasznych powodziach mówił, i o cichych nocach czuwania nad zarzuconym żywcem, i o zapachu onucy, koszul i gaci, jak wypiorą je baby w Wołdze, pralnikami wybiją i na wietrze wysuszą, to chodzi w nich człowiek jak odnowiony – pachną wiatrem i Wołgą... Bronisław od czasu do czasu odzywał się jakąś monosylabą, niech mówi – on słucha, i myślał o swoim, o sobie i Wierze Lwownie. Coś się w nim przełamywało. W swoim czasie poczuł się dotknięty, że mu nie odpisała, tylko kazała pozdrowić, smutna czy mocno czymś przejęta, całymi dniami rozmawiała z jakimś eleganckim panem, który utkwiał w

pamięci Mitraszy zaledwie pięknym złotym zegarkiem z dewizką na grubym łańcuszku. Zaciął się wtedy, użądłony zazdrością. Nie mógł ścierpieć intruza, kogoś jeszcze prócz niego, kto mógłby być powiernikiem jej myśli, spraw i uczuć. A może nie tylko duchowo? Może ta ropucha, która obrzydza jej każdego mężczyznę w Starych Czumach, ulotniła się, gdy przybył ktoś z jej sfery, dobrze urodzony, bogaty, bliski językiem i sposobem bycia? To są inni ludzie, ułożeni w formach towarzyskich, przez pokolenia zaprawieni w sztuce pogodnego myślenia. W miarę jak podsycona samotnością wyobraźnia ukazywała mu podobne wyjaśnienia postępowania Wiery, coraz bardziej wchodził w tę koleinę dręczących domniemań. Teraz po miesiącu rozruszał, rozwiosłował uleżałe poszlaki. Oczy Wiery wytrzymały, patrzyły z dawną serdecznością. Darzyła go przecież przyjaźnią, był jej bliski. Czy zadałaby sobie tyle wysiłku i pracy, by urządzać polską Wigilię, gdyby był jej całkiem obcy? Pojechała do Udińskiego, wypytała księdza Leonarda o wszystko, nauczyła się kolędy, pomyślała o prezentach... Nie, to co innego, nie tchnienie wielkiego świata ani wpływ intruza – zaszło coś niezwykłego, co przyprawiło ją o smutek czy zakłopotanie, ale co? Zaczynał żałować, że urażona miłość własna, ta jego ambicja, kazały mu się zwinąć na podobieństwo winniczka w skorupie. Trzeba było z miejsca ruszyć do Starych Czumów i zapytać, co się stało. A obecnie, po miesiącu, nawet pytać nie wypada, przepadło...

Nazajutrz łowili siatką w zatoczce, trafiło się kilkanaście

sztuk zwykłej ryby i kilka sztuk łososiowatych, te i tamte zasolili i zaczęli robić suszarnię w kształcie wielkiej etażery z żerdzi. Skończyli tę robotę w następne dni i zabrali się do podwieszania do poziomych żerdzi zasolonej ryby, by w słońcu na wietrze ją wysuszyć.

Strzelali kaczory i piekli je w glinie. Kiedy taką wielką kulę, upieczoną na kolor ceglasty, wyjęło się z ogniska i trzasnęło o ziemię, to mięso opróżnione we własnym tłuszczu bez dostępu powietrza buchało niezapomnianym aromatem. Jedli rybę smażoną i gotowaną. Zabrali z domu worek sucharów, a kiedy się skończyły, smażyli na patelni racuchy z mąki pszennej.

Postanowili na swej wyspie postawić budę noclegową, żeby móc przyjeżdżać na połowy jesienne. Zaczęli ścinać drzewa, okrzesywali z gałęzi, równali, przycinali pod wymiar, stawiali ściany i dach, w dziesięć dni postawili chatkę.

Pewnego wieczoru zauważyli dym na południowym brzegu. Gęstymi kłębami wznosił się nad tajgą i ciągnął w stronę jeziora. Gorzał tajgowy las na dużych połaciach.

Jeszcze groźniej wyglądało to następnego dnia, kiedy ogień dotarł do brzegu i różnorodne stada dzikiego ptactwa wzbily się w powietrze i z rozpaczliwym krzykiem kołowały nad trzciną, która także się zajęła, próbując ratować swe gniazda i pisklęta w rozgrzanym syczącym powietrzu. Wieczorem pożar zawrócił i poszedł w stronę ujścia rzeki, którą oni przebyli. Przyszedł skądś z daleka, może zaczął

się nie opodał.

Przy ujściu rzeczki zatrzymali się na przeciwległej stronie ogarniając wzrokiem z bliska klęskę żywiołową. Pożar sięgał już do brzegu, nagrzana woda parowała, w gorącym powietrzu wichrowym języki ognia jak demony wlatywały ponad wierzchołki drzew, by z sykiem i trzaskiem rac rozsypać się na fali. Płonąca tajga ziała żarem pieca hutniczego, uciekało z niej wszystko, co żyło, wiewiórki skakały z drzew do wody i już nie wypływały, mimo to jak okiem sięgnąć widziało się puszyste ogonki, szparko mknące przez rzekę. Jak się okazało, to były te, które nie skakały, ale podbiegły do wody i popłynęły pilnując ogonka, aby broń Boże go nie zamoczyć, bo jak zamoczyły, gdy fala nakryła, to się topiły – ozdoba ich i chluba, puszysta kitka, dłuższa niż ciałko, pociągała nasiąkniętą wodą w głębinę...

Bronisław usłyszał chrobotanie pod burtą. Wychylił się i zobaczył jakieś stworzonko. Telepało się nieporadnie. Wiewiórka, pomyślał i wyciągnął. Okazało się, że nie. Płaska, tępą mordką koloru brunatnego, uszka ledwo widoczne, palce spięte błoną spławną... Wydra. Mała, cała mieściła się w dłoni, zwisał tylko długi ogonek zwężający się ku końcowi jak ster, najwyżej dwumiesięczna wyderka. Prawdopodobnie gdy w norze zrobiło się gorąco, stara wyprowadziła małe, uciekając w popłochu, pogubiły się i ta sierota przepłynęła szeroką zatokę i znalazła się pod ich czółnem, skrobała pazurkami próbując wydostać się na brzeg.

Dotknięcie ręki przyjęła krótkim, przerażonym piskiem. Szarpnęła się i zamarła, tylko pod palcami czuło się oszalałe dygotanie jej serca. Bronisław ostrożnie włożył ją za pazuchę i zapiął koszulą. W półmroku, poczuwszy ciepło ludzkiego ciała, odprężyła się i przytomniała.

– Co z nią zrobisz? – spytał Paweł.

– Wychowam. Wydra łatwo się oswaja. Będzie rybę mi łowiła.

Popłynęli w górę rzeki trzymając się brzegu, na który ogień się nie przerzucił. U wodospadu wysiedli i wzięli *omorocze* na ramiona, było ciężkie teraz, z suszoną rybą w workach i z *bałykami* w czterech beczułkach ważyło tyle, co trumna z nieboszczykiem.

Obnieśli i ruszyli dalej pod prąd, pokonując z wysiłkiem oporną wodę. Brysiek teraz biegł truchtem, od czasu do czasu oglądając się na nich, robili nie więcej niż sześć wiorst na godzinę. Parę razy odpoczywali, zjedli obiad, wyderce dali rybę i wodę do popicia, po czym znów wiosłowali galerniczo z odsapkami, aż o zachodzie przybyli do miejsca, gdzie ich potok wpadał do rzeki.

Paweł wziął jedną beczułkę pod pachę i poszedł po Mitraszę, Bronisław wyciągnął się na trawie, zdrzemnął się, dopóki nie wrócił Paweł z Mitraszą.

– Czy zaszło w domu coś nowego? Nie było żadnych wydarzeń? – zapytał Bronisław niemego. Ten pokręcił głową – wszystko po dawnemu.

– No, to chodźmy. Trzy tygodnie nie byliśmy w domu.

– Warto by się umyć. Ja już napaliłem w piecu.

– Tak, przede wszystkim do łaźni. Prześmierdliśmy rybami, zapach miły tylko dla mojej wyderki.

Bronisław wziął na plecy jeden wór suszonej ryby, żeby nieco ulżyć Pawłowi z Mitraszą, którzy dźwignęli *omorocze* na plecy i ponieśli pod górę.

Było już zupełnie ciemno, gdy zbliżyli się do bramy. Z tamtej strony ogrodzenia powitał ich radosny chór szczekających psów, basowe ujadanie Żywego, wysokie zawroźnienie Łai i zrywający się dyszkancik szczeniaka.

– Słyszysz, Brysieku, jak cię żona z synami wita? Ja nie mam takiej rodziny.

Otworzył furtkę. Bryśka dopadły psy tarmosząc, obniuchując, oblizując – Brysieku wszedł na podwórko wyprostowany, pomachując łaskawie ogonem, krokiem inspektora w przyjaznej wizytacji. Za nim Paweł i Mitraszą nieśli *omorocze* prosto pod magazyn, postawili i pobiegli do łaźni... Kiedy później Bronisław przypomniał sobie wszystko od tego momentu, nie mógł się nadziwić, że też nie zwrócił uwagi na ich zbyt spieszne zaproszenie do łaźni, na to, że wszystko było przygotowane, mydło, ręczniki, świeża bielizna i winnik, którym po wyszorowaniu i wyparzeniu chłostali się w brzożowej radości.

Kiedy potem rześki, buchający wodnym parem wszedł do kuchni, uderzyło go, że taka jasna, schludna, czysta. Mitrasza na ogół dbał o czystość, ale żeby szkło lampy było wypucowane na kryształ, żeby na stole ani kruszynki, w

piecu buzuje ogień, trzy rondle na płycie bez śladu kopcia, jak ze sklepu... Co się tu dzieje?

Wszedł do pokoju i ujrzał Wierę.

Wierę z jego wyderką na dłoni. Stała obok stołu nakrytego świątecznym, nie znanym mu obrusem, na nim dwa nakrycia, dwa wysokie kielichy, wino, kwiaty...

– Bronku, ona jest prześliczna – powiedziała Wiera, głaszcząc wyderkę. – Podarujesz mi ją, kochanie?

Patrzył osłupiałym wzrokiem na Wierę – kochany, prosiła! Wita go, jak gdyby nieraz już witała i zegnała w tym pokoju, tak odmienionym ażurowymi firankami, obrazkiem na ścianie, półeczką z bibelotami, całym wystrojem i ładem, który zdradza obecność kobiety.

– Dawno przyjechałaś? – zapytał, żeby coś powiedzieć, nabrać tchu, oswoić się, że to nie sen.

– O, dwa tygodnie już tu jestem. Robiłam porządki, przystrajałam dom, założyłam ogród, miałam pełne ręce roboty.

– A jak się tu dostałaś? Kto cię przywiózł?

– Fiedot nas przywiózł, mnie, Dunię i Małanię. Ale Małania zaraz poszła w las, bo to był maj, niedźwiedzie się kochały.

– I na... długo?

– Na próbę... Być może na zawsze, kochany.

Wtedy pojął. Coś się otwierało bezszelestnie, płynnie, jak na kulkowych łożyskach, zalewała go jasność, o jakiej marzyć nie śmiał, a która teraz wydała się niesamowita.

– Tak cicho w całym domu... Gdzie są wszyscy? Dunia, Mitrasza, Paweł...

– Są dyskretni. Nie chcą nam przeszkadzać, kiedy mamy tyle sobie do powiedzenia.

Ułożyła wyderkę w koszyczku na stole i podeszła do niego.

– Dziś są nasze zaślubiny, wiesz?

Zarzuciła mu ręce na szyję. Ujrzał z bliska jej usta nabrzmiewające pocałunkiem i zdążył rzucić kamiennym słowem w swoją zmorę:

– Uważaj na ropuchę! Chce skoczyć na ciebie z mojego policzka!

Roześmiała się dźwięcznie, wyzwalając:

– Och, ropuchę dawno zdmuchnęłam... Już wtedy, gdy ostatnim razem byłeś u mnie w Starych Czumach, domyślałam się uzdrowienia – kocham, jestem normalną kobietą.

„10 VI 1913 r. – Dziś przy śniadaniu Wiera, rozlewając herbatę wszystkim, nalała mi do kubka nerczyńskiego i powiedziała: «Musi tu być gdzieś drugi taki sam, z kobietą...» Zamarłem. Był taki z kobietą, wyciągającą ramiona na ratunek mężczyzny. Pił z niego tylko raz Wasiliew tej nocy, gdy opowiadał o niedoszłym zamachu na Stołypina. Poza tym trzymałem ten kubek osobno. Na dnie podświadomości tliła się jednak nadzieja, że kiedyś wreszcie nie będę sam, że spotkam kobietę, która mnie pokocha. I oto Wiera podeszła do półeczki, znalazła: «Jest do pary, rzekła, będę z niego piła».

Wstałem, wzruszony, i pocałowałem ją w usta przy wszystkich, przy Duni, Mitraszy i Pawle.

«Dziękuję ci, kochanie. Na tę chwilę czekałem trzy lata».

W ten sposób, formalnie rzecz biorąc, zawarliśmy związek małżeński.

11 VI – Wyjaśniła się sprawa mojego konkurenta ze złotym zegarkiem i dewizką. Papa Izwolski zmarł. Dowiedziała się o tym w kwietniu i boleśnie przeżyła tę stratę. Ponieważ w Starych Czumach był on nie znany, nikomu o nim nie mówiła i żałoby, rzecz na pokaz, nie włożyła. Pojechała tylko do Udińskiego i zamówiła u ojca Ksenofontowa mszę za duszę papy. Wkrótce potem przyjechał adwokat Bułatowicz, plenipotent ich majątku, elegancki pan ze złotą dewizką, która tak urzekła Mitraszę. Z nim musiała Wiera całymi dniami omawiać swą decyzję,

sprzedaż ziemi w wieczystą dzierżawę chłopom za bezcen – po rublu za dziesięcinę. W ten sposób mogli wyłącznie z okolicznych wsi nabywać działki od piętnastu dziesięcin do pięćdziesięciu bez prawa odsprzedaży i z zachowaniem całości, późniejsze podziały między dzieci były wykluczone. Zachowała tylko pięćset dziesięcin na utrzymanie pałacu, parku i wypłacenie dożywocia Annie Pietrownie oraz służbie. Trzy domy w Kijowie i Woroneżu poleciła także sprzedać, ale bez pośpiechu, gdy uzyska się dobrą cenę. Przed wyjazdem Bułatowicz wpłacił staroście Jemielianowowi dwa tysiące rubli na budowę i wyposażenie szkoły w Starych Czumach. Potem poprosiła Fiedota, który znał drogę, aby ich odwiózł, to znaczy ją, Dunię i Małanię, na Wzgórze Błękitnego Snu.

– Swoją drogą, było to wielkie ryzyko. Mogłaś przecież zastać u mnie jakąś młodą Buriatkę.

– Tak, całkiem ludzka rzecz, ale nie u ciebie... Ty pokochał mnie jakąś miłością zupełnie niewspółczesną, od pierwszego wejrzenia na zatracenie, jakąś wizję, legendę, to nie ja w tych królewskich szatach! Kiedy ockniesz się, być może poszukasz sobie Buriatki.

– Wolne żarty. Poważnie mówiąc, popełniłaś mezalians. W każdym razie ja grosza od ciebie nie wezmę i nam w zupełności powinno wystarczyć to, co ja z lasi wyciągnę...

Po wzajemnym uzgodnieniu stanowisk, jak mówi sprawozdawcy konferencji dyplomatycznych, przyszliśmy do wniosku, że takie życie, jakie tu mamy na Wzgórze

Błękitnego Snu, najzupełniej nam odpowiada, a co będzie w przyszłości, to się zobaczy.

Dowiedziałem się jeszcze, że stan Gozdawy, po chwilowym polepszeniu na skutek zmiany klimatu, znów się pogorszył i obecnie jest beznadziejny. Na domiar złego jego żona jest w ciąży.

12 VI – Zdumiewająca jest wytrzymałość fizyczna i upór Wiery w dążeniu do wytkniętego celu. Cały dzień na nogach, cały dzień pracowita, wesoła, przytomna (pc naszych nocach szalonych), w domu i w ogrodzie, ani krzty zmęczenia, słabości... A przecież to dziecko salonu wychowane w komforcie, przesycie i kulcie próżniactwa, powinno być raczej anemiczne, słabo umięśnione, ze skłonnością do migreny. Widocznie pokolenia zdrowych antenatów plus ojcowska maksyma – mądrość życia polega na umiarze – a więc złoty środek między etykietą a swobodą z wiejskimi dziećmi, w miarę pracy, konnej jazdy, dojenia krów i wirowania w walcu przy świetle lampionów po zwirowanej alei parku, «był letni wieczór, wieczór balu, był bal wśród ciemnych lip» – wydały ten cudowny owoc, którym ja mam cieszyć się w upojeniu – Wiera, Wierusia, Wieruska!

W domu firanki, obrusy, chodniki, porozwieszane ręczniki, robótki, na ławach poduszki... Dom tchnie ciepłem, przytulnością, Wierą!

Podwórze posprzątane, nigdzie ani szczapeczki, wszystkie gałęzie i wierzchołki drzew, które dwa lata po

robocie budowlanej leżały przed domem, zostały zebrane i poukładane pod płotem.

Ogród wykarczowano, przekopano, zasadzono kartofle, kapustę, ogórki, groch, cebulę, czosnek i pomidory w inspektach od księdza Leonarda... Dzikie jabłonie ścięto i w szparę wsadzono zrazy „ranietek Sierpińskiego”, co wykonał Mitrasza według wskazówek księdza.

Tego wszystkiego dokonała Wiera pracą swoją, Duni i Mitraszy w ciągu dwóch tygodni.

Wstajemy o szóstej, jemy śniadanie o siódmej, obiad o pierwszej i kolację o siódmej (po napisaniu tego spostrzegłem, że nasz rozkład dnia niczym się nie różni od rozkładu dnia w zagrodzie Jemielianowów).

13 VI – Straszny rykiem obwieściła Małania swoje przybycie przy bramie. Stęskniła się za Wierą i prawdopodobnie za wygodami życia u niej, za miodem, którego zdobyć w tajdze nie umiała. Schudła po miesiącu życia na własnym wikcie. Obląpiła Wierę i przestępując z nogi na nogę próbowała liznąć jej twarz i ręce. Poznała też i przywitała się z Dunią, Mitraszą i ze mną, tylko Pawła unikała bocząc się przekornie na jego umizgi. Psy, widząc naszą zażyłość z niedźwiedzicą, uciszyły się, zaczęły z wolna podchodzić i obwąchiwać. Cały dzień nam zeszedł pod znakiem Małanii.

Wieczorem u nas w pokoju z wyderką, bo z nią prawie się nie rozstawała przez cały dzień i zabierała z sobą w koszyczku, Wiera powiedziała:

– Powinna mieć jakieś imię, jak Małania. Ty ją znalazłeś i tyś powinien dać jej imię. Pomyśl. Przyjemnie mi będzie, jeśli to wyjdzie od ciebie.

Nabiłem fajkę i myślałem. Długo myślałem.

– No, masz już? – spytała po pewnym czasie.

– To nie jest takie łatwe... Powinno pachnieć wodą i powinno być polsko-rosyjskie.

– To pomyśl jeszcze. Na pewno znajdziesz. Trwało to jakiś czas, aż powiedziałem:

– Radunia.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że jesteś jej rada.

– To prawda, bardzo rada.

– Poza tym jest taka rzeczka w dorzeczu Wisły, Radunia, ale nie przypominam sobie, gdzie.

– Jesteś wspaniały, masz zdolność asocjacji... Radunia! Proszę, żebyś jutro był ogolony. Mitrasza z Pawłem też. Wszyscy, ojciec chrzestny, matka, świadkowie, mają być umyć i w najlepszych swoich strojach.

14 VI – Wyderka leżała w koszyczku z kokardką, otoczona wianuszkiem świeżo uwędzonych *bałyków*, ruszała niespokojnie noskiem: pachniało rybą, ale i dymem, swądem, pożarem, w którym straciła matkę.

– Raduniu, sierotko moja miła – mówiła Wiera – postaram się uczynić tve życie szczęśliwym i wszystko ci dam, tylko nie wodę.

– Ale dla wydry grunt to woda – odezwał się Paweł.

– Tak, ale nasz potok ma tak silny nurt, że porwie Radunię i nie odda nam jej.

– Cóż, możemy podarować Raduni staw – powiedziałem jeszcze w tonie żartobliwym.

– Staw? W jaki sposób staw?! – zapytali jednocześnie Wiera i Paweł.

– W taki, że zbudujemy groblę – zacząłem z zamiarem uprawdopodobnienia żartu, ale mnie poniosło. – Nasz potok płynie kotlinką, którą sobie wyrył, ale tuż za płotem jego bieg zwęży się, brzegi kotlinki stromieją prawie prostopadle i tworzą bramę szerokości dwudziestu kroków. Jeśli zasypać to miejsce ziemią, gliną, kamieniami i zbudować przepust z podnoszonym stawidłem, to powstanie duży, dość głęboki staw na wprost naszego domu. Chodzi tylko o groblę długości dwudziestu kroków.

– Przecież to nie jest Bóg wie jakie przedsięwzięcie, prawda, Bronku? – zapytała Wiera i w oczach jej ujrzałem błaganie. Kochana, pomyślałem, jeśli tak bardzo chcesz, to będziesz miała swój staw!

– Taka rzecz to na nasze możliwości... Ile czasu to by nam zajęło?

– Dwa tygodnie, jak dobrze pójdzie – odrzekł Paweł. – W Mandzurii taką groblę długości pół wiorsty usypaliśmy w dwa tygodnie.

– Ale robiliście całą kompanią... Cóż, pracy teraz w ogrodzie nie ma, możemy zająć się stawem, pięknie będzie przed domem!

23 VI – Tydzień nie pisałem. Brak czasu, wieczorem już jestem zmęczony. Robimy tę groblę. Paweł z Mitraszą robotę ciesielską, a tragarską ja, Wiera, Dunia i Erche z Szyrabem, mamy cztery reny z jucznymi koszami po obu stronach zwierzęcia, którymi wozimy kamienie, glinę i ziemię.

Paweł z Mitraszą ścięli cztery drzewa i na długość grobli, na dwadzieścia kroków przycięli. Dwa dolne pnie umieścili na dnie w odstępach czterech kroków, a dwa nad nimi, po czym zaczęli z obu stron objąć deskami, w ten sposób powstaje coś w rodzaju ukośnie pochylonego płotu. A my w koszach wozimy kamienie i kładziemy je warstwą między deskami, wozimy glinę i wywalamy ją na kamienie, potem sypiemy ziemię i zaczynamy kłaść nową warstwę ziemi, i tak dalej. Teraz Paweł z Mitraszą robi przepust, który ma wyglądać jak ogromna skrzynia z zastawką podnoszoną do góry.

Przez dzień tak się narobimy, że wieczorem nawet jeść się nie chce. Ręce mamy w bąblach, a twarz i kark pokąsane przez *gnus*. *Gnus* nam bardzo dokucza. We włosiankach niewygodnie, duszno i źle widać, a *dymokury* nie na wiele się zdają. Chciałem przynajmniej Wierze zaoszczędzić tego piekielka, ale gdzie tam! Robi jak na pokutę. Ma wyrzuty sumienia, że nas popchnęła do tego przedsięwzięcia. Za późno na wycofanie się, a biadolenie nie pomoże. Nic nie pozostaje, tylko targać, sypać i urobić groblę!

8 VII – Onegdaj, w dwudziestym pierwszym dniu robót, ukończyliśmy groblę i zamknęliśmy zastawkę. Dziś, po

dwóch dobach napełniania stawu, woda osiągnęła maksymalny poziom, tak że powstał zbiornik szerokości pięćdziesięciu kroków, a długości ponad trzystu, zwężający się na początku i na końcu. Zmierzyliśmy głębokość – prawie do pasa u nasady, po szyję pośrodku i z główką pod przepustem. Podnieśliśmy zastawkę, dając upust normalnemu biegowi strumienia. Chlusnęła woda z szumem, jak na koła młyńskie, jakkolwiek Paweł założył na upust siatkę drucianą, żeby od nas nie mogła się przedostać nie tylko wyderka, ale nawet płotka.

Staliśmy na grobli chłonąc wzrokiem nasze dzieło – zielonkawą od drzew tafłę stawu, w której przeglądała się tajga. Widok był przepiękny, nie do poznania inny. Lustro wody wypełniając kotlinkę rozświetliło swymi migotami wszystko i przejaśniony las, zda się, zamyślił się nie dowierzając własnej urodzie. Wtem polatujący kaczor zwabiony niezwykłym widokiem plusnął o wodę ciągnąc za sobą trójkąt rozchodzących się fal i rozkwakał się donośnie. Czar prysł. Wiera puściła Radunię do stawu.

Dzień był upalny. Postanowiliśmy wykąpać się. Ponieważ Erche i Dunia nie umiały pływać, Wiera poszła z nimi w górę stawu, gdzie było po pas, a my zeszliśmy nieco z grobli i rozebraliśmy się na brzegu. Bryś bez namysłu skoczył za mną do wody, jak skoczyłby w ogień, zobaczywszy mnie tam. Pozostałe psy z jego rodziny, ociągając się i ujadając, poszły jednak w jego ślady. Wówczas i Małania, nieufnie przyglądająca się z brzegu,

weszła i siadła, chłodząc się w wodzie, a psy pływając obszczekiwały jej głowę. Zawierały z nią przymierze.

A Radunia wróciła wieczorem do nas i jak zwykle spała w koszyku.

Ten dzień był wielkim naszym dniem, na długo pozostanie w pamięci. Dzień podwójnego tryumfu. Naszego tryumfu nad przyrodą – zmieniliśmy krajobraz. I zwierzęta, mając możliwość wyboru, wracają jednak do nas.

11 VII – Dalsze skutki urządzenia stawu.

Staw pomyślany z początku dla Raduni niespodziewanie wniósł do naszego krajobrazu walory bliskiego piękna i stał się dla nas wszystkich miejscem kąpieli.

Teraz coś więcej.

Wiera spostrzegła, że ogród nasz jest położony niżej stawu. Wczoraj przekopaliśmy kanalik i woda popłynęła ze stawu do zbiorniczka pośrodku ogrodu. Teraz uciążliwe podlewanie stało się zabawką.

A dzisiaj Paweł, siedząc na grobli, złowił okonia. W stawie pojawiły się ryby.

– Sazana zapuścić! – zamarzył Paweł. – Masz pojęcie, jaki smak ma wędzony sazan, czyli dziki karp?

– Sazana nie ma w naszej rzece. Zresztą po co zapuszczać, mało to ryby w rzece?

– Tak, cztery wiorsty, tam i z powrotem osiem, a tu zaraz za parkanem staw, przetoczony staw z górską wodą, to skarb... Grzech nie zarybić.

Nasionko marzenia padło, będzie kiełkowało, stanie się

czynem – rybnym stawem Pawła.

15 VII – Codziennie kąpiemy się w stawie.

Buriaci przyszli, podziwiali, ale nie kąpali się. Tylko Erche, jako narzeczona Pawła, wyłamała się z tej rodzinnej abnegacji wody. Umawia się z Dunią i razem się kąpia.

Mitrasza z Szyrabem jutro o świcie jadą do Udińskiego po zakupy. Wiera zamówiła kilka kur z kogutem. Chce mieć jajka. Do mnie powiedziała:

– Michale, zanotuj: człowiek, przy którym żadne stworzenie nie może się pożywić, niewiele jest wart.

(Czasem jestem jej Michałem, sekretarzem, notującym złote myśli swej pani).

17 VII – Do późna w nocy rozmawiałem dziś z Wierą. Opowiadałem o moim dzieciństwie, z początku chaotycznie, potem zmusiła mnie, żebym trzymał się porządku, po kolei, wtedy zacząłem odtwarzać od kołyski klimat pogrobowców 63 roku, klimat strachu, szeptów, nienawiści, piosenek, jak «Pojedziem na Sybir z kozakiem», odwiedziny Stanisława przekłutego piką kozacką, konspiracja Stamirowskiego aż do aresztowania ojca, jedno powodowało drugie, zazębiało się o trzecie, musiałem z tego środowiska i klimatu, z moim temperamentem, pójść w organizację bojową i tak dalej, aż do wykradzenia trzydziestu karabinów i zabójstwa stójkowego.

– Mój Boże, Bronku, ja zaledwie słyszałam co nieco o tym wszystkim... Żyliśmy w odrębnych światach. Jak to się stało, że mój świat był tak nieczuły na twój?

18 VII – Opowiadałem dalszy ciąg mojego życiorysu. Słuchała z zapartym tchem, odzywając się w najbardziej dramatycznych momentach, na przykład o Potomskiej powiedziała: «Jak mogłeś od razu nie poznać, co to za osoba?» «Miłość zaślepia» – odrzekłem, a ona zamilkła, przypomniawszy sobie widocznie, że i ona była zaślepiona, jej ideał okazał się erotomanem i zbrodnicem.

Kiedy skończyłem, długo myślała z głową na mojej piersi.

– Nie rozumiem. Oskarżają cię o prowokację, a ty milczysz. Nie protestujesz.

– Komu mam złożyć skargę? Wszystkim? Zapominasz, że rzecz dzieje się w podziemiu, gdzie mroczno i nikt nikogo naprawdę nie zna, bohater czy prowokator.

– Gozdawie pozwoliłeś się znieważyć.

– Gozdawa jest ciężko chorym człowiekiem.

– Mogłeś uciec, byłeś przecież na dworcu w Niznieudińsku. Dlaczego nie wyjechałeś z Barwienkową?

– Bo nie znoszę emigracji... Każdym dniem przeżyтым tutaj zaprzeczam tym pogłoskom, dlatego nie uciekam.

Przytuliła się.

– Kochany, ja nie dlatego pytam, że chcę się upewnić co do twojej niewinności, tylko dlatego, że widzę, jak się tym dręczysz.

– Już się tak nie dręcę, odkąd jesteś ze mną. Szeptem wyznałem poufnie, czego nikomu bym nie wyjawiał:

– A w ogóle od czasu jak straciłem wiarę, jest mi

obojętne, gdzie się znajduję, może nawet lepiej, że na Syberii... Nie wierzę, że za życia mego nastanie socjalizm.

19 VII – Wiera ma kupę krewnych i powinowatych, ale z naprawdę bliskich – nikogo, tylko babkę po matce, Zarubinów, Kiryła Pawłowicza i Wierę Władysławownę, z domu Rościszewską. Historia ich była taka. Na początku lat sześćdziesiątych, po kampanii sewastopolskiej, rotmistrz Zarubin został przeniesiony do pułku ułanów w Warszawie, gdzie w grenadierach służył porucznik Roman Rościszewski. Poznali się przypadkowo przy pojedynku, w którym obaj byli sekundantami poważnionych stron. Zaprzyjaźnili się tak, że kiedy rodzina Romana zjechała na karnawał do Warszawy, przedstawił Zarubina rodzicom i siostrze, która wtedy była Teresą. Zarubin odwiedził ich potem w majątku pod Łomżą i wyznał swą miłość Teresie, która pokochała go także, ale rodzice byli przeciwni, dlatego że Rosjanin i prawosławny. Powstanie ich rozdzieliło. Roman Rościszewski zdezerterował i walczył w powstańczych oddziałach, pod Augustowem dostał się do niewoli i byłby niechybnie rozstrzelany, gdyby Zarubin, znajdujący się ze swoim szwadronem w miasteczku oddalonym o trzydzieści wiorst od Augustowa, nie ułatwił mu ucieczki. Wprawdzie żołnierz, który doręczył Rościszewskiemu i dwóm jego kolegom noże, pistolety i sznury do związania warty, nic nie powiedział i przeszedł przez różgi całego pułku, skonawszy uwiązany na lufie karabinu, przed pół rokiem był to jednak żołnierz ze szwadronu Zarubina, a wiadomo, jakie stosunki łączyły

Zarubina z Rościszewskim. Niczego nie mogli mu udowodnić, ale szept były i Zarubin musiał z pułku wystąpić. Kiedy po powstaniu w cywilu już, Zarubin zjawił się u Teresy, ojciec nie żył, brat był za granicą, majątek ich skonfiskowano, ją przygarnęła rodzina. Ponowił swe oświadczenia i został przyjęty. Teresa wyszła za niego, otrzymawszy przy przejściu na prawosławie imię Wiera. Wyjechali do majątku Zarubina w tambowskiej guberni, gdzie mieszkali do późnej starości, nigdzie prawie nie wyjeżdżając. Wiedli zamknięty tryb życia, przyjmując tylko niewielkie grono przyjaciół. Wzorowa żona, matka i pani domu, dała mu poczucie niemalże szczęścia, żyli w swej nadpękniętej szczęśliwości, okupionej, wyrzeczeniem się polskości i całkowitym zruszczeniem. Unikała rozmów o Polakach i sprawach polskich. Raz tylko mówiła po polsku – kiedy po dwudziestu pięciu latach przyjechał do nich z zagranicy jej brat. Dziadek Kirył zmarł po osiemdziesiątce a babcia Wiera przeżyła wszystkich, córkę, męża, teścia ma siedemdziesiąt dwa lata i cieszy się dobrym zdrowiem.

– Parę razy ją widziałam. Sprawia wrażenie rezolutnej staruszki, owianej jakimś cichym smutkiem. Nie mam nikogo, kto miałby mi pobłogosławić. Wypada napisać do niej – kochana babciu, pobłogosław twój imienniczce i jedynej wnuczce – wychodzę za Polaka.

21 VII – Ułożyła Radunię w koszyku, ucałowała ją w płaski pyszczek, na co ta odpowiedziała swoim chlpiącym popiskiem, i wsunęła się do mnie pod prześcieradło (noce są

parne, przykrywamy się tylko prześcieradłem).

– Dziś, Broneczku, pomówimy o Bogu.

– Co ci przyszło do głowy? To kwestia wiary. Tu nie ma nic do rozumowania.

– Ale mnie interesuje twoja dusza. Czy ty wierzysz.

– Stawiasz mnie w takie samo kłopotliwe położenie jak ksiądz Sierpiński, kiedy mnie o to pytał. Odpowiedziałem mu, że raz wierzę, raz nie... Nie chciałem go niczym urazić. Bardzo lubię i szanuję księdza Leonarda.

– Nie obawiaj się mnie, że mnie urazisz albo coś stracisz. Powiedz, wierzysz, że On istnieje?

– Nie.

– Zdecydowanie?

– Zdecydowanie nie.

– Dlaczego?

– Bo wszystko móc i wszystko wiedzieć znaczy za wszystko odpowiadać. Żaden Bóg nie udźwignie odpowiedzialności za nonsensy, zbrodnie i nieszczęścia świata. I żadne pokrętne tłumaczenie nie usprawiedliwia z moralnego punktu widzenia, że On jakoby nie wtrąca się do walki czarnych mocy z białymi na ziemi – On przecież wie, co z tego wyniknie.

– To i życie pozagrobowe?

– Nie istnieje. Na szczęście, kochana. Czy ty zdajesz sobie sprawę, co to znaczy wieczne? Zawsze, ciągle zawsze i tak samo, zawsze miliony milionów lat uchodzących w antyludzką, monstrualną nieskończoność... Miałbym,

pozbawiony uczucia i wszystkich zmysłów, duchem samym, radować się lub męczyć za jedno mgnienie, mniej niż mgnienie ziemi – to straszne! Nawet jeśli to będzie w raju, gdzie męki znudzonej szczęśliwości wiecznej nie można przerwać, rzuciwszy się z wysokości w dół... Nie, już lepsza śmierć. Nie trzeba żądać za wiele i nie trzeba buntować się bezcelowo. To krótki błysk i koniec. Nic.

– Powiedz, dlaczego jesteś dobry? Czemu czynisz dobro?

– Bo to sprawia przyjemność. Bezwiednie. A racjonalnie uzasadniając, mogę powiedzieć, że powinniśmy sobie pomagać nawzajem w nieszczęściach, w walce z przeciwnościami losu i złymi ludźmi, lżej nam będzie. Wcale nie dlatego, że mi ktoś za to zapłaci na tamtym świecie. To ubliża mojej godności.

Pocałowała mnie.

Potem błędząc dłonią po policzkach i ustach moich, zaczęła mówić:

– A ja myślę, że to nie może być tylko ewolucja od ameby do człowieka i potem, przez setki tysięcy lat, do nadczłowieka równego bogom i klops, jądro ziemi wygasło i w przestrzeni kosmicznej będzie się unosiła oblodzona, martwa kula. Potem gdzieś na krańcach kosmosu, w odległości tysięcy lat świetlnych, zacznie się znowu ewolucja od ameby do istoty rozumnej, i tak w kółko. Mój rozum przeciw temu się wzdraga. Takie cuda jak rozum ludzki czy oko pszczoły nie może być dziełem samej tylko

ewolucji. Jest to emanacja woli i rozumu istoty najwyższej, która rządzi światem... Ale wcale nie jestem religijna! Wszystkie religie to tylko przecucie istoty najwyższej, naiwne, bezsilne wyobrażenia o niej, jakby mrówka, nie, jakby robak myślał o człowieku. Każda religia jest wzniosła tym przecuciem i niska swym zarozumiałstwem, że posiada wszystkie przykazania i prawdziwy obraz Najwyższego, stąd jej nietolerancja dla innych religii. Mój stosunek do nich jest pobłażliwy. Rzadko chodzę do cerkwi. Lubię tylko piękne chóry cerkiewne i nastrój modlitewny.

25 VII – Wrócili Mitrasza z Szyrabem, przywieźli gwoździe, rury i blachy dla budujących się Buriatów i produkty dla nas oraz sześć kur i jednego wspaniałego koguta. Nareszcie będziemy mieli jajka i głos kura.

Wiera stała boso na ganku (lubi chodzić boso) i szerokim gestem wyrzucała z podółka ziarno ptakom. W kraciastej chustce na głowie wyglądała jak prawdziwa gospocha, która zna swój drób po imieniu i żadnej kury zarznąć nie da.

Spełniało się jej marzenie – żyć w przymierzu ze zwierzętami. Psy i kury chodzą za nią. Małania i Radunia wychodzą i wracają. Małania z miedzianą obrozą na szyi ryczy u furtki, żeby ją wypuścić do tajgi, a Radunia zrobiła podkop pod bramą i kiedy chce, idzie do stawu.

Naturalnie Radunia jest za mała, żeby nałapać sobie ryb i żab do syta, więc wraca do domu, gdy głód ją do tego zmusza. Co innego w przyszłym roku, nabierze wprawy i

głos jej stanie się tym chlipiąco przejmującym poświstem, co wypłoszy ryby ze wszystkich kryjówek, jak kwilenie jastrzębia wypłasza drobne ptaki, jak głos myśliwego jadącego czołnem wzdłuż trzciny: «hejże, kaczki, w górę dupy, jedzie strzelec z Gwadelupy...» Kaczki zrywają się, myśliwy strzela... Małania też nie jest samowystarczalna w lesie. Po sześciu latach w zagrodzie Czutkich znalazła się na wolności, trochę za późno. Nie ma tej sprawności, którą nabywa się od niedźwiadka. Nie umie na przykład łązić po drzewach. Nie wie, co i jak dostać do jedzenia. Wystarczy rozkopać norkę burunduczka, małego pasiastego gryzonia, a znajdzie tam ogromne zapasy. Albo sięść sobie wygodnie przy tarlisku kety i jak ryba idzie, raz po raz łapą wyrzucać na brzeg... Tego wszystkiego nie umie, więc często wraca głodna do domu. Sądzę jednak, że nie tylko dobre pożywienie, wygody i poczucie bezpieczeństwa trzymają je przy nas, ale i jakieś przywiązanie. Przyjemnie myśleć, że czują podobnie jak my chodząc swobodnie między nami.

28 VII – Przejrzałem od początku i zdumiałem się. Wszystko tu jest, tylko nie ma naszej miłości, pieśczoć, czulenia się i chwil oddania. Tej pory, na którą czekamy po kolacji, aż drzwi zamkną się w pokoju za nami i zostaniemy sami, Wiera i ja. Dlaczego z Jewką mogłem opisać, jak było, a z Wierą nie? Może dlatego, że z nią za każdym razem inaczej, to ekstatyczne wybuchy namiętności, to znów łagodne, prawie matczyne pieśczenie, albo jak gdyby zabawa w niewidomego, albo wyznanie ciał jak

ślubowanie... Może spontaniczność nastroju Wiery – w tym cały jej czar – zmienność nastrojów i niuansów są tak trudne do odtworzenia? Obawiam się, że bez nich nasze intymne wizje będą tylko nagim splotem aktu. Niech spoczywają w komorach mego serca.

2 VIII – Pokazałem Wierze zanurzwszy Radunię, że jej nos, uszy i oczy znajdują się na jednym poziomie, dzięki czemu może, wystawiwszy tylko czubek nosa, wszystko czuć, widzieć, słyszeć. Może długo nurkować, jej nozdrza i uszy zamykają się wtedy specjalnymi klapkami. Pod wodą jej brunatne futro wygląda na srebrzyste, bo nie zwilża się wodą i utrzymuje powietrze.

– Czym się wydra żywi? – spytała Wiera.

– No, nie gardzi młodą, nielotną kaczuszką czy wodnym szczurem, ale głównie żywi się żabami i rybami. Daje sobie radę z rybą nawet większą od niej. Mikołaj opowiadał, że raz ubił wydrę, która wyciągnęła na brzeg szczupaka wagi trzydziestu funtów, a sama ważyła nie więcej jak dwadzieścia.

15 VIII – Paweł skończył werandę. Na wysokim fundamencie, cztery schodki, duża, dziesięć kroków na pięć, balaski po bokach i słupy z dachem krytym gontami. Po obu stronach fundamentów werandy dwa otwory dla psów, tu bowiem jest stałe miejsce ich legowiska i czuwania. Teraz Paweł całkowicie przerzucił się do pomocy Buriatom przy budowie ich chat, co należy do *katymu*: dał trzysta rubli plus fachową pomoc przy budowie, więc otrzyma Erche, jak tylko

domy będą gotowe.

Wieczorem postawiliśmy na werandzie stół z zydłami i zjedliśmy kolację z winem. Widok stąd ponad parkanem przepiękny na tafłę stawu w obramowaniu lasu, który przegląda się w nim i odwrotnie, igra migotami wody na zielonej jego ścianie.

Śpiewaliśmy. Wpierw pieśń katorżniczą «W daliokich stiepiach Zabajkalia», potem pieśni ludowe «Kalina» i «Jamszczyk», wreszcie romanse «Wieczernij zwon» i «Proszła lubow', izczeszła strast'...». Wyszkolony głos Wiery przewodził, muzyczny Mitrasza w lot chwycił każdą melodię i gwizdał jak drozd czy flet, Dunia, Paweł i ja podtrzymywaliśmy, a psy z dołu podwywały, co naszemu chórowi nadawało pewien akcent pierwotnej dzikości. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że odbywa się premiera. Pierwszy raz słyszał tu las coś podobnego.

18 VIII – Śpiewanie po kolacji weszło w zwyczaj. Wieczory stają się chłodniejsze. *Gnus* coraz mniej dokucza.

22 VIII – Erche była na kolacji i potem słuchała naszego śpiewu. Swoim milczeniem i dziewczęcym buriackim *chałatem-degilem* wyobcowana spośród nas, siedziała ze złożonymi rękami na kolanach, wpatrzona w otwartą, złocistą twarz Pawła. Ten zauważył to i śpiewając pogłaskał ją czule po rękę, jak tylko może zakochany zbiegły katorżnik i zabójca na drodze swego zmartwychwstania.

24 VIII – Wysłaliśmy Mitraszę do Udińskiego po beczułki i beczki na kapustę i ogórki. W ogrodzie wszystko

ładnie dojrzewa.

28 VIII – Zbieramy cebulę, czosnek i groch.

1 IX – Pomidory w inspektach przykrywamy, bo mogą być gruntowe przymrozki.

4 IX – Wrócił Mitrasza, przywoząc beczki, beczułki i pocztę z Udińskiego. A z wydarzeń w Starych Czumach – że zmarł Gozdawa.

Otrzymałem listy od Szulima, Wasiliewa i Halinki. Szulim pisze, że w kwietniu Jewka urodziła mu syna wagi dziesięciu funtów, odbył się huczny chrzest, który zaszczycił swoją obecnością Zotow i wicedyrektor kolei wschodniochińskiej. Po roku praktyki na dole posunął się na sam szczyt, pracuje w zarządzie kampanii wykonując zlecenia Klementiewa. Interesy idą świetnie, rubel stoi mocno, towary chińskie idą za bezcen, żyje się tu świetnie, tylko trzeba uważać na przyjaciół, bo z wrogami dam sobie radę... Wasiliew donosi, że urodziła się im córeczka Nadia, że awansował na kierownika oddziału związku kooperatystów w Niźnieudińsku, że fabrykę serów «Uda» ukończono i pierwszą ich partię wysłano do Niemiec przez Władywostok... A u Halinki wciąż życie w cieniu wielkiego męża, kasjera na dworcu w Warszawie, ostatnio chorowała z przemęczenia, spędziła trzy tygodnie w Otwocku, gdzie zaczęła robić dla mnie duży ciepły sweter z czystej wełny... Kochana, biedna Halinka, zmarnowane życie...

A do Wiery pisze Jemielianow, że dwie izby będą wybudowane na początek roku szkolnego, Pantielejmon

może uczyć, a cała szkoła będzie gotowa na przyszły rok... Natomiast adwokat Bułatowicz w swoim liście komunikuje, że decyzja Wiery o sprzedaży siedmiu tysięcy pięciuset dziesięcin chłopom po rublu za dziesięcinę wywołała prawdziwą sensację w powiecie, akcja rozpocznie się w listopadzie i potrwa całą zimę. Córki miejscowych chłopów zdrożały, bo mąż, choćby i z odległych stron, należy jednak do rodziny i ma także prawo nabyć od piętnastu dziesięcin do pięćdziesięciu... Na końcu powiadał, że otrzymał list od plenipotenty babci Wiery, w którym ten komunikował mu o sporządzeniu przez nią testamentu – cały majątek po niej ma dziedziczyć jej jedyna wnuczka, Wiera Lwowna Izwolska.

– Znowu majątek spadnie na ciebie jak klęska.

– Nie szkodzi. Ja tę ziemię znowuż rozparceluję za symbolicznego rubla od dziesięciny, a pieniądze za sprzedane nieruchomości zdeponuję w banku.

– Tylko się nie śpiesz. Nie wiesz jeszcze, na jaki cel najlepiej jest przeznaczyć te pieniądze albo jaką założyć fundację... Poza tym musisz mieć bezwzględną pewność, że takie życie ze mną tobie najzupełniej odpowiada.

– Widzę, Bronku, że ty wciąż podejrzewasz mnie o to, że ja się poświęcam. A ja gardzę tymi ludźmi, nienawidzę tego świata, który przez trzy tygodnie mojego procesu znęcał się nade mną. Badał moją moralność jak dziewczki – nie mojego męża! Wszystkie sprawy naszej sypialni roztrząsano jak perypetię sensacyjnej powieści. Czułam się naga pod bezwstydnymi, lubieżnie obmacującymi mnie spojrzeniami

tłumu i byłam bliska obłądu... Po wyroku, dzięki nauce kroju i szycia, przyszłam do siebie, polubiłam pracę. W Starych Czumach, wśród prostych ludzi, zaczęłam szyć, obszywać wieś, odnalazłam ukojenie i pogodę ducha... Teraz jestem szczęśliwa. Kocham i jestem kochana! Uzdrowiłeś mnie swoją miłością i dałeś mi nowe życie. Wszystko, co tutaj mamy, sami sobie wypracowaliśmy. Niczego nam nie brak. Żyjemy zżytą małą gromadką ludzi, którzy się lubią i jeden dla drugiego wiele by zrobił. Mamy najczystsze powietrze, najzdrowszą wodę, cudowne widoki, kochane psy, kury, reny, niedźwiedzicę i wyderkę... Chciałabym tu przeżyć mój sen, błękitny sen o życiu...

6 IX – Zbieramy pomidory. Tylko niektóre popsuły się w inspektach.

9 IX – Kilka pierwszych jabłuszek zdjęliśmy z drzew. Zbiór ogórków.

12 IX – Wykopki. Dołowanie kartofli.

13 IX – Zbiór kapusty.

15 IX – Kiszenie ogórków w beczułkach.

17 IX – Szatkowanie i kiszenie kapusty, na mnie przypadło ugniatanie w beczkach, musiałem umyć nogi i tańczyć w kapuście.

21 IX – Wiera dziś zapytała:

– Bronku, kiedy ostatnio miałeś książkę w rękę?

– Nie pamiętam. Sześć, może siedem lat temu.

– Ja także nic nie czytałam od czterech miesięcy...

Wiesz, co nam grozi?

– Wiem. Schłopienie.

– Otóż to! Musimy temu zaradzić. Idą długie zimowe wieczory. Będziemy sobie czytać. Ja napiszę do mojej księgarni, żeby wysłali mi wszystkie nowości, i ty napisz do jakiejś znanej polskiej księgarni. Ułóż spis. To będzie załączek naszej biblioteczki... Nie zapomnij o historii Polski. Musisz mnie zapoznać z historią swego kraju.

Cudowna Wiera. O wszystkim w porę pamięta.

22 IX – 12 X – Dwudziestego drugiego września przybył posłaniec od Zotowa. Zotow pisał, że jest w Sinicy, niedaleko, pięć dni drogi, koniecznie chce się rozmówić w sprawie rezerwatu, przysłała konia, na którym jeździłem i którego polubiłem... Była to białonóżka. Nie było rady, pojechałem.

Szóstego dnia byłem na miejscu. Sinicy nie poznałem. Na bezludnym miejscu powstało miasteczko baraków, składów i maszyn amerykańskich, w którym pracowało około tysiąca ludzi. Zotowa nie zastałem, ale pokój był zarezerwowany, prosił, żebym w nim zaczekał, aż wróci ze zwiadu. Czekałem cztery dni. Przywitaliśmy się serdecznie, powiedziałem, co u mnie słyhać – Wiera! – niestety, jego propozycji przyjąć nie mogę i dlatego, nie będę się nad tym rozwodził – mam ważniejsze rzeczy do zanotowania – stanęło na tym, że wymógł na mnie odroczenie ostatecznej decyzji na rok, do następnej jesieni.

Pojechałem z tym samym posłańcem z powrotem, bo ktoś przecież musiał białonóżkę odstawić do Sinicy, i w

domu nie zastałem Wiery. Paweł powiedział, że w parę dni po moim wyjeździe przyjechał po nią Fiedot z wezwaniem do umierającej Gozdawiny. Mitrasza także z nią pojechał, żeby potem towarzyszyć jej ze Starych Czumów do nas.

Trzy dni czekałem, czwartego postanowiłem, że pojedę, zacząłem się zbierać do drogi, aż tu Wiera przyjechała z Mitraszą, Fiedotem i Lubą.

Był zimny dzień, na wierzch kozucha miała zwyczajem chłopskim narzuconą przez lewe ramię dużą wełnianą chustę, którą podtrzymywała jakieś zawiniątko.

– Chodź, Bronku, mam prezent dla ciebie.

Przeszliśmy przez kuchnię i stołowy do naszego pokoju.

Tu zdjęła chustę, położyła zawiniątko na łóżko i podeszła do pieca. Dobrze, że napaliłem, zaczęła grzać zziębnięte dłonie na kaflach. Wydało mi się, że jest zdenerwowana.

– Gozdawa umarł, to wiesz – powiedziała tuląc się do pieca. – A Gozdawina przeżyła go zaledwie o sześć tygodni. Zmarła na moich rękach po porodzie. Zdążyła tylko oddać mi dziecko i wziąć słowo, że wychowam na Polaka, Podeszła do łóżka i rozwinęła zawiniątko. Ukazała się malutka twarzą uśpionego niemowlaczka.

– To Józef Gozdawa.

– Czyli mały Ziutek.

– Tak go nazwał ojciec przed urodzeniem, imieniem swego uwielbianego wodza. «Pamiętaj, powiedział do żony, masz go nazwać Józefem!»

– Ale czemu ty tak się denerwujesz? – zapytałem, czując, że cała drży. – Co cię dręczy, Wierusiu?

– Bo to wszystko ogromnie ważne dla nas obojga. Nie przerywaj... Więc kiedy nastąpiła ta okropna noc po zgonie Gozdawiny, zaczęłam rozmyślać. Przysiężenie dane umierającemu jest święte. Jak ja wychowam dziecko na Polaka, kiedy sama jestem Rosjanką? Chcę, żeby mnie kochało, wierzyło mi, ale zawsze dla matki Rosjanki będzie miał szczelinę nieufności albo nie będzie całkiem Polakiem. Jest inna rzecz, jeśli ja będę katoliczką. Od najwcześniejszych wzruszeń przy modlitwach nawiąże się ta wspólna więź miłości. A i dla ciebie, myślałam, będzie dobrze odmawiać ze mną tę samą modlitwę.

– Wiesz dobrze, że ja się nie modlę.

– To zostaną nam kolędy, które tak cię wzruszyły, żeś się rozplakał. Zostanie cała mowa polska, którą przy Rosjance zapomnisz... Tak, postanowiłam przejść na katolicyzm. Wiesz, że to dla mnie nieistotne. Mówiłam, katolicyzm czy prawosławie to zaledwie nikłe przeczucie Najwyższego, nic więcej.

– Wiero, nie rób tego! Twoja rodzina cię wyklnie!

– Kochany, ja nie mam rodziny w dosłownym, serdecznym znaczeniu. Mam tylko jedną babcię. A ona nie weźmie mi za złe, jeśli napiszę: «Kochana Babciu, mogłaś z miłości zostać Wierą, mogę i ja z tegoż samego powodu z Wiery zostać Teresą».

– I co ty zrobiłaś?

– Zostawiłam małego Lubię i pojechałam do Udińskiego po księdza Leonarda, żeby ochrzcił dziecko i mnie przyjął na wiarę katolicką. Zmieszał się, usłyszawszy moją prośbę, powiedział, że nie może tego uczynić, biskup zabronił mu odprawiania mszy i udzielania sakramentów, ale kiedy do niego przyjedzie w odwiedziny ksiądz z Irkucka, wtedy to się zrobi... Wróciłam do Starych Czumów i poprosiłam Lubę, czy nie mogłaby karmić obu chłopców, swojego i Gozdawiny, i na ten czas, powiedzmy, na pół roku, zamieszkać u nas? Naradziła się z mężem i Jaków zgodził się. Nie mogli odmówić, mieli u mnie dług wdzięczności za ziemię im podarowaną.

Z wymizerowanej twarzy ogromne jej oczy wpatrywały się we mnie z niepokojem, z trwogą:

– Czy cieszysz się, że będziemy mieli dziecko?

Tym samym zdaniem zapytała kiedyś męża, a ten kazał usunąć... Tyle robi dla mego szczęścia i jeszcze się pyta!

Spazm wdzięczności chwycił za gardło, a wzruszenie rzuciło mnie na kolana przed nią.

– Moja Wierusiu, moja Tereniu, pobłogosław mi, najdroższa, żebym był dobrym ojcem naszego maleństwa!”

W pierwszą niedzielę listopada poszli do Buriatów na nowosiedliny. Zostawili Lubę z dziećmi w towarzystwie Mitraszy, żeby się nie bała sama, oraz wszystkie psy, Żywego, Łaję i Łajkisyna, wzięli ze sobą tylko Brysia i poszli.

Akurat przed paroma dniami wrócili Bronisław z Cabanem i Dandorem z wielkiej wyprawy w dziesięć sań po pierwszym śniegu do Udińskiego. Zakupili żywność na zimę i wszystko dla dziecka. Bronisław pomyślał też wtedy i o podarkach na nowosiedliny, więc teraz wszyscy szli – Wiera, Bronisław i Paweł – niosąc swe podarki.

Po drodze, schodząc ścieżyną w dół, Paweł opowiadał o budowie, w której brał udział, bo z początku udzielał wskazówek i czasami pomagał, a od połowy sierpnia przez sześć tygodni robił z nimi od świtu do wieczora. Według niego Buriaci chcieli utrzymać stare życie w nowej formie. Ponieważ z dawien dawna żyli w okrągłych wojłokowych jurtach z otworem na południe, chcieli koniecznie, budując z rosyjska na zrąb, postawić domy okrągłe z drzwiami na południe, przy czym stary żądał, żeby z lewej strony drzwi zrobić wąskie długie okienko, bo zgodnie ze starodawnym zwyczajem w tym miejscu jurta miała rozcięcie do podawania myśliwskiej zdobyczy, która jakoby sama przyszła. Bronisław o tym wiedział i nawet ubił onegdaj sobola dla nich, żeby wsunąć na szczęśliwy początek.

Z daleka zobaczyli na wysokim brzegu dwa jakby ogromne stogi siana. Były to chaty Buriatów, które, jak się

przekonali, zbudowano z ośmiu ścian na zrąb w ten sposób, że tworzyły koło. Dach wysoki o ściętym czubku kryty był gontami.

Wszyscy domownicy w odświętnych strojach wyszli ich powitać.

Bronisław powiedział *ailczyn irebe*, gość przyszedł, i wsunął sobola przez to okienko do chaty. Stary zaczął dziękować, zapraszając wszystkich do środka.

Zatrzymali się na chwilę przy wejściu, bo wewnątrz chaty uderzyło ich swoim wyglądem. To wielkie prawie że koło, składające się z ośmiu modrzewiowych belkowatych ścian, poutykanych mchem, dzieliło się na dwie części: jedna czwarta była czarna bez podłogi i trzy czwarte białej, czyli czystej części z podłogą na pewnej wysokości od ziemi ze schodkami. Spod niej wyglądały główki świeżo narodzonych jagniąt i cieląt, które tu chowano w okresie zimowym. Po schodkach przeszli na czystą stronę, gdzie stał piec z drzwiczkami i płytą z fajerkami, z pieca wyprowadzono blaszane rury, których końce wypuszczono na zewnątrz przez okrągły usieczony stożek dachu i zamurowano. Chata dzięki temu nie była dymna. A jak się obrócili do drzwi, to zobaczyli nad nimi szeroką półkę, na której leżał śnieg i lód, co tając spływał drewnianym korytkiem do wiadra – taki sobie zrobili wodociąg.

Przeszli na pikowany wojłok i usiedli na *olbokach*, kolorowych materacykach, które ułożono jeden na drugim jak najwyżej, aż powstał słupek – stary Chongodor, Cagan i

Dandor siedli naprzeciwko, a cały ich ród, synowie, dzieci i żony, stali za nimi jak się dało.

Wszyscy byli ubrani odświętnie w nowe chałaty, buty, bezrękawki. Obie strony, lewa dla mężczyzn, prawa dla kobiet, były posprzątane. Z prawej strony stał nowy kredens na naczynia kuchenne i niskie łóżko z poduszkami o dwojakim kształcie: u ściany okrągłe, a od pieca i frontu czterokątne, ozdobione balaskami i kolorową taśmą... Widziało się dobrobyt i czuło się tu święto.

– Przyniosłem wam, kochani sąsiedzi, lampę na nowosiedliny, żeby jasno było w tym domu – powiedział Bronisław, rozpakowując prezent.

Rozpalił białą kołpaczek – zaszumiało, zaiskrzyło się i nagle izbę zalało oślepiająco białe światło.

– Ostatni cud techniki: naftowca lampa kołpaczkowa! Spółdzielnia akurat sprowadziła tuzin takich lamp, kiedy ja przyjechałem, więc kupiłem dla siebie dwie i dla was jedną.

Lampa, oglądana przez wszystkich, powinna być zawieszona na łańcuszku pod sufitem. Kiedy się chce zapalić, łańcuszek na bloczku opuszcza lampę, a potem podnosi do góry. Ale nie mogli teraz wkręcić haka w sufit, więc Bronisław postawił lampę na kredensie.

Wtedy powiedziała Wiera:

– A ja wam chciałam podarować coś na ścianę, żeby było ładnie i ciepło.

I rozwinęła dywanik.

Na dywaniku rzeczka pomykała po kamieniach, był las i

w oddali widziało się chatkę, na wodopój przysła sarenka z małym, mały pił z rzeki, a matka, podniósłszy nóżkę i nastawiwszy uszy, nasłuchiwała...

Wywołało to niebywały entuzjizm. Wszyscy stłoczyli się przed dywanikiem, oglądali, macali, namalowane to czy haftowane, aż znaleziono kilka gwoździków i przybito dywanik na ścianę w całej okazałości.

Z kolei Paweł rzekł:

– Ja przyniosłem lustro, żeby każdy mógł przyjrzeć się, jaki jest piękny i zdrowy.

I rozwinął duże lustro w złożonej ramie.

Wszyscy oniemieli. Każdy zobaczył siebie po raz pierwszy. Dotąd nie wiedział, jak wygląda. Pierwszy Chongodor stanął przed lustrem i zdjął czapkę, ten w lustrze też zdjął, ukazała się głowa do połowy ogolona z siwym warkoczykiem, jaki nosił jeszcze tylko on jeden spośród rodu swego, wierny dawnym obyczajom. Patrzył długo na tamtego i powiedział: „Ja być bardzo stary, *pomrał budiet...*” Żal jego zaginał w tłoku i ścisku mnóstwa postaci, cisnących się do lustra, oglądających ze zdumieniem siebie, wydających okrzyki zdziwienia, uciechy, przestachu...

Stary Chongodor dał znak żonie Cagana. Ta z dużego dzbana o wąskiej szyjce wyciągnęła drewnianą zatyczkę i z otwartej szyjki zaleciał zapaszek samogonu.

Siedzieli tarasun, pomyślał Bronisław przypominając opowieści Mikołaja o zwyczajach Buriatów, ten znał je dobrze, w zimowe wieczory opowiadał, jak żyją, polują,

jedzą i piją, że wódka nazywa się u nich *tarasun*, czyli *archi*, że *siedzieć tarasun* znaczy pędzić bimber.

Żona Cagana nalala chochlą mlecznej wódki do czarki i podała Bronisławowi.

Czy będziemy tylko *archidaczyć*, czy też *duchorianić*?, zastanawiał się Bronisław, przypominając sobie, że *archidaczyć* znaczy, jak mówił Mikołaj, pić wódkę (od *archi*), a *duchorianić* – pić wódkę według pewnego ceremoniału, który nazywa się *duchorian*. Sprawdziwszy, czy pamięta wszystkie kolejki i co kto powinien powiedzieć, postanowił: „Nie, ja będę *duchorianił!*”

I wtedy, gdy wszyscy się spodziewali, że po prostu podniesie czarkę do ust – wstał, podszedł do pieca i wylał kilka kropli na blachę, ofiarą tą uszanowawszy bóstwo ogniska domowego. Powiódł okiem po bożnicy, gdzie w przykładowej zgodzie na półce *eche uge** stała ikona prawosławna, miedziane wizerunki Buddy i symbole pogańskich *edżynów*, gospodarzy lasów, gór i wód, po czym rzekł:

– Niechaj Matka Boska Kazańska zawsze ma w opiece dom ten, mieszkańców jego i dobytek ich! A gdy zajęta będzie ważniejszymi sprawami, niech wielki Budda wyręczy ją w tym i niech w dobroci swej pozwoli miejscowym *edżynom* pomóc sobie w tej pracy, żeby wszyscy byli tu zdrowi, weseli i bogaci!

* *Eche uge* – najważniejsza, najstarsza półka, czyli bożnica.

Odpił z czarki i podał ją Chongodorowi.

Ten nie od razu przyjął, nie od razu odpowiedział.

Stał rażony zachowaniem Bronisława, tym, że ten znał *duchorian!*

Oprzytomniawszy, stary odpił z czarki i przemówił:

– O, Bronić Sławy! Ty śmiały i dzielny, chodzić na niedźwiedzia z trójnogiem i nożem, zabić burego i dać nam mięso, my jeść, dużo jeść! Ty mądry, być potok koło twego domu, nie ma teraz potok, jest wielka woda, ona iść do ogrodu, do cebuli, grochu, kapusty; ona ma ryby i w niej pływa twoja wydra, która łowić ryba dla ciebie! Ty dobry, dać nam jedzenie i strzelby, i mnóstwo rzeczy, i kazać, że lepiej żyć w drewnianych domach z podłogą i drzwiami. My dużo, dużo kochać ciebie, my dużo słuchać ciebie, Bronić Sławy, jak naszego *jasu, tajszę* Chongodora!

Napełnił czarkę po brzegi i zwrócił Bronisławowi, ten przyjął, wiedząc, że tym razem trzeba wypić do dna.

A stary zaczął wszystkich częstować po kolei. Wiera musiała odpić choć kapkę, Paweł dostał normalną porcję, następnie Cagan, Dandor, Erche i reszta.

Zaczęła się ucztą. Na pierwsze danie podano bulion w rzeźbionych czarach z brzoźowych narostów. Na drugie danie *buuza* – pierożki z praśnego ciasta, nadziewanego surowym mięsem, które gotowano na parze w specjalnym blaszanym naczyniu. Na trzecie szaszłyk na długich cienkich patyczkach. Potem przyszła kolej na *aruł*, twarogową masę wysuszoną i nanizaną na nitki, *uruma*, krążki z mlecznej

pianki, złożone we dwoje, lepioszki, gotowane w baranym tłuszczu, różne konfitury i *kirpiczna* herbata, czysta tym razem, za radą Pawła, bez soli, mleka i sadła.

Rozmowy toczyły się swobodnie, rozwiązały się języki, przypominano, jak to było, gdy oni tu przybyli, snuto wspomnienia, dzielono się zamierzeniami na przyszłość, opowiadano różne historie, raz po raz zrywał się śmiech, pokazywano sprzęty gospodarskie i dzieci... Gdy Wierze pokazano pyzatą dwuletnią dziewczynkę, Bronisław szepnął: „To ta w kołysce...”. Wiera zrozumiała – to ta, co w cuchnącej kołysce umierała z głodu, nie mogąc już ssać swej piastki.

Był już wieczór, gdy wyszli z chaty. Gospodarze odprowadzili ich kawałek drogi, pożegnali się i zostali.

– Zauważyliście, jak on tym razem dziwnie nazwał Bronka – Broni Sławy?

– To ja mu wytłumaczyłem – odezwał się Paweł. – Pytał, co znaczy to imię, nigdy takiego nie słyszał... Powiedziałem, że my tak nazywamy miasto – Władystok, Władykaukaz... Że mają panować nad tym krajem... A Polacy nazywają osoby, co mają bronić swojej sławy, Władysław, Bronisław...

Za tydzień miało się odbyć wesele Erche z Pawłem. Mieli zamieszkać tymczasem w pokoju na górcie, a jak w przyszłym roku Paweł postawi chatę dla siebie, to się tam przeniosą. Od poniedziałku Paweł robił drugi stół i ławy, żeby wszystkich posadzić. Od czwartku kobiety krzątały się

w kuchni, piekły, gotowały i smażyły.

W niedzielę wstawiono długi stół tej samej wysokości co pierwszy, nakryto obrusem, umajono zielenią, rozłożono talerze, sztuce, kielichy, postawiono karafkę wódki dla mężczyzn i butelki wina dla kobiet oraz przygotowano zimne dania, jak śledzie, kawior, ryby w galarecie, szynkę, pasztet, grzybki, ogórki solone, *klukwę*...

– Takiego stołu Paweł może się nie wstydzić – powiedziała Wiera krytycznym spojrzeniem obrzucając stół i zaraz zwróciła się do Luby i Duni. – A teraz, dziewczęta, musimy się przydziać i zrobić się piękne.

Ledwo zdążyli uporać się z tym, jak otworzyły się wierzeje i w bramę wjechał Cagan renem z kolorowymi taśmami na rogach, wiozący kufer z posagiem Erche, za nim drugie sanie, w których siedziała Erche i jej ojciec z *chegenykiem*, kołczanem pełnym strzał, potem trzecie z Dandorem i jego żoną, i tak dalej, razem siedem sań.

Otwarto paradną sień i Cagan z Dandorem przenieśli ten kufer przez werandę i dalej po schodach do pokoju na piętrze, gdzie postawili przy ścianie, a stary uwiązał kołczan u wezłowia łóżka młodej pary ze słowami:

– Przywieźć my *chegenyk* ze strzałami – pełen padolek dzieci przynieść my!

Paweł spochmurnia. Gdy wszyscy wyszli i oni sami zostali w pokoju, rzekł do Bronisława:

– Tego tylko brakowało... Sama prawie dziecko, na osiemnasty jej idzie, i już dziecko!

– Nie chcesz teraz dzieci?

– Na Boga, nie! Niech wpierw nacieszy się życiem, a potem, gdy przyjdzie pora, że zapragnie być matką.

– Tak, łatwo powiedzieć, a krew nie woda... Słuchaj, Paweł, pewien lekarz w Nerczyńsku, gdy poprosiłem go o maść na rany po kajdanach, ulitował się nade mną, że jadę na wieczne osiedlenie między Tungusów czy Buriatów, gdzie dziewczyny co druga zarażona, więc wsunął mi po kryjomu w prezencie paczuszkę „Olla”. Nie są mi już potrzebne. Chodź, dam ci je.

Kiedy za chwilę wyszli z pokoju na parterze – Paweł nieco czerwony ze wzruszenia, Bronisław jak zawsze opanowany – w stołowym panował tłok, ludzie stali, niektórzy przesuwali się, oglądając, jak tu się mieszka, nikt nic nie mówił.

– Bronku, co teraz? – spytała Wiera. – Wszyscy czekają na coś, wiesz, na co?

– Nie wiem. Powinien być ślub buriacki czy prawosławny, potem siądziemy do stołu, ale Paweł mnie nie uprzedził, jak to się ma odbyć...

Właśnie nadszedł. Przyszedł pod rękę z Erche.

– Bronisławie Edwardowiczu – powiedział Edwardowiczu, jak zwykle, gdy zwracał się w poważnej sprawie, był skupiony, trzymając Erche, patrzył na nią – do cerkwi pójść nie możemy, ojca i matki prosić nie mogę, bo daleko i nie wiem, czy żyją... Proszę, dajcie nam ślub po swojemu, jak uważacie, wy, człowiek sprawiedliwy.

I opuścił się z Erche przed nim na kolana.

W izbie zrobiło się cicho. Po chwili rozległ się spokojny głos Bronisława, który mówił głośno, dobitnie, jakby brał wszystkich na świadków:

– Nie jestem władzą duchowną czy państwową, żeby udzielać ślubów. Mogę tylko poświadczyć wszystkim, że ty, Paweł, i ty, Erche, spotkaliście się w moim domu, pokochaliście się i chcecie zawrzeć związek małżeński. Wierzę, iż będziecie dobrym mężem i dobrą żoną pomagając sobie wzajemnie, i na tej nowej drodze życia z całego serca życzę wam szczęścia!

Podniósł ich z kolan i po kolei oboje ucałował.

Zbliżyła się Wiera, pobladła, przejęta tym sierocym ślubem w tajgowym domu osadnika, objęła ich i wsunęła na palce złote obrączki życząc wszystkiego najlepszego.

Po niej zaczęli podchodzić składając życzenia Luba, Dunia, Mitrasza, ojciec, bracia i cała rodzina.

Wiera zajęła się rozmieszczeniem gości na ławach i zydlach, co było nie lada sztuką, zważywszy, że trzeba było posadzić dziewiętnaście osób, z których większość nigdy nie siedziała przy stole, należało dać im w sąsiedztwie pomoc, co jeść, jak się posługiwać łyżką, nożem i widelcem, zachęcać do tego trudnego sposobu jedzenia. W końcu wszyscy siedzieli na swoich miejscach, wódka i wino nalane do kielichów, wypito zdrowie młodej pary i zaczęła się uczta.

Zaczęło się grobowo. Goście z przejęcia nie mogli wymówić słowa. Na początek zaproponowano śledzika.

Bronisław częstując obie sąsiadki, żony Cagana i Dandora, specjalnie zwolnionym ruchem nakładał im na talerze, potem brał sobie. Inni domownicy naśladowali jego ruchy, więc Cagan i Dandor, nieco już obcy z tym stołowym arsenałem w czasie odwiedzin Wiery, wzięli sobie na widelce po kawałku śledzia, za ich przykładem poszła reszta. Potem tak samo ostrożnie, jak gdyby był to dynamit, brali na talerz kawior, rybę, pasztet...

Dopiero po właściwym obiedzie, gdy podano rosół, kulebiak i inne dania mięsne, goście oswoili się i zaczęli rozmawiać swobodnie. W ogólnym gwarze i wesołości raz po raz wybuchał śmiech, nie krępowano się już mówić po buriacku. A przy babkach puchowych z rodzynkami, przybranych lukrem i różyczkami, przy pierniku, bakaliach, konfiturach podanych do herbaty, przy pierwszych owocach z własnego ogrodu, gdy każdy dostał pół jabłuszka, bo więcej nie starczyło, zauważono pewną ociężałość u gości i senność dzieci. Śpiewano im wtedy pieśni rosyjskie z towarzyszeniem drozda czy fletu, ma się rozumieć, i wszyscy patrzyli jak urzeczeni na Mitraszę, jakie wywodzi trele. Bronisław spoglądając na uniesioną w natchnieniu głowę z nikłym ciemnym wąsem i bródką, z której wychylały się czerwone zgrabne usta, nie mówiące, niestety, pomyślał, że Mitrasza wyrósł na przystojnego mężczyznę, wysoki, szeroki w barach, wąski w biodrach, niepospolitej siły i zręczności, prawdziwy myśliwy, cóż, kiedy niemowa... I w tejże chwili zobaczył twarz Duni, wpatrzonej w Mitraszę jak w tęczę.

W końcu odprowadzono młodą parę, trzydzieści sześć lat i niecałe osiemnaście, na schody, prowadzące do ich pokoju. Goście rozjechali się obdarowani resztkami z uczyty i domownicy zostali sami przy stole, w całkowitym bezładzie, z obrusem zachlapanym, z plamami.

Zaczęto sprzątać. Wiera zbierała segregując, Bronisław wynosił do kuchni, gdzie Dunia w gorącej wodzie myła, a Mitrasza wycierał.

– Udało się. Było pięknie – powiedział Bronisław. – Dziękuję ci, kochanie. To twoja troska, twoja praca. Nie mogę cię ucałować, bo trzymam tacę.

– To weź jeszcze i tę karafkę... Najbardziej przeżył to Paweł. On tego dnia nigdy nie zapomni.

– Tak właśnie chciałem, żeby nie zapomniał! Żeby zrozumiał, katorga i przeszłość to koszmarny sen, a teraz wstaje nowy dzień!

– Wiedziałam.

– Co wiedziałaś?

– A że tak myślisz... Pawła trzeba postawić na nogi. Dać mu nową miłość, nową żonę i troski...

– W myślach moich czytasz. Doprawdy, na stare lata mówić będziemy do siebie bez słów, spojrzeniami...

W tym roku cedr nie obrodził, wiewiórek było mało, tak że Mitrasza musiał dorabiać sobie inną zwierzyną, stawiając potrzaski i paście na sobole i gronostaje, czego w zeszłym roku nie robił, przepadając całymi dniami za popielicami. Co do Bronisława, to ten w dalszym ciągu chodził za sobolami i gronostajami, wyspecjalizował się w tym, ale tej zimy zaczął więcej czytać ślady wilków i lisów, których nie wiadomo skąd i dlaczego mnóstwo zjawilo się w ich okolicy, i ta lektura, w miarę jak nabierał biegłości, coraz bardziej wciągała go w tropienie.

Pewnego dnia wrócił późnym wieczorem do domu, zmachany, ale zadowolony, ubiwszy dwa rude lisy. Wszyscy już zjedli kolację i rozeszli się po swoich pokojach, tylko Dunia zmywała w kuchni naczynia. Dała mu zostawione dla niego jedzenie, więc zjadł i poszedł do siebie, by podzielić się wrażeniami z Wierą.

W ich pokoju paliła się świeca na stole (Wiera lubiła świece w chwilach rozmyślań albo gdy rozmawiali we dwoje). Siedziała z rozpiętą bluzką pochylona nad dzieckiem przy piersi. Małeństwo widocznie dobrze się nassało od Luby i teraz zasypiało błogo, ssąc jałową jej pierś.

Nie podniosła głowy. Wiedziała, kto przyszedł. Cicho podszedł do pieca, oparł się, grzejąc plecy. Czuł nastrój melancholijny. Czekał.

– Czasami już nie mogę... – powiedziała, wciąż nie podnosząc głowy. – Nie myśl, że wariuję... Tylko jak mnie rozpacz chwyci, to to daje ulgę... Jakbym naprawdę była

jego matką albo jakby on wyssał ze mnie trochę tej goryczy.

Bronisław milczał, nie wiedząc, jakim słowem ukoić jej ból.

– Poza tym to skaza na małżeństwie... Kiedyś zapragniesz mieć syna.

– Przecież nigdy tego nie pragnąłem, przeciwnie...

– Ach, co innego nie chcieć, a co innego nie móc, choćbyś nie wiem jak chciał!

Usiadł przy niej na łóżku.

– Uspokój się, kochanie. Nie mogę patrzeć, jak się szarpiesz. To okropne, taka rozpacz z niepewnością, taka rwa duchowa... Przecież mamy nasze maleństwo!

– Tak, nie wzięłeś ani razu go na ręce!

– Bo się boję! Nie miałem nigdy do czynienia z niemowlętami. Wydają się takie kruche jak nowalijki, że łatwo uszkodzić.

– Nie, jest silne, już główkę trzyma! Weź...

Wyciągnął ręce po dziecko, wziął. Patrzył w uśpioną twarzączkę z ledwo zaznaczonym noskiem. Od przytulonego ciała udzielało mu się jakieś ufnie ciepło.

– Jest piękny. Popatrz na te włoski, na usteczka, na nosek... Nosek u dziecka najpóźniej się rozwija. Jak zobaczysz u niemowlaczka kształtny nosek, możesz być pewien, że wyrośnie okropny nochal.

– Wiesz, czuję do niego tkliwość i coś jakby już miłość. Jestem pewny, że będę go kochał. A ty, jak przeżyjesz radość jego wzrostu i niepokoje jego chorób dziecięcych, wystarczy

trzy, cztery lata, zapomnisz w ogóle, że to nie twoje dziecko.

– I nigdy nie zamarzę, że moje mogło być lepsze?

– Za to nie ręcę, może mieć wady i braki, ale nawet wtedy będziemy go kochali, bo będzie naszym synem, tylko naszym!

Przeminęły święta Bożego Narodzenia, prawosławne i katolickie, z tą tylko różnicą, że w katolickie śpiewano kolędy, w tym czasie, akurat pod Nowy 1914 Rok, Małania urodziła małe.

Odkryła je Wiera, zajrzawszy do barłogu Małanii, do którego zaglądała co pewien czas dla porządku, jak się jej śpi, a barłóg swój Małania urządziła w kępie drzew porastających rozpadające się rumowisko legendarnego Chongodora.

Na wołanie Wiery zbiegli się wszyscy domownicy.

– Patrzcie! Oto niedźwiadki Małanii!

Zobaczyli, że w każdej dłoni trzyma po zwierzątku z rzadziutką sierścią, ślepe, wagi najwyżej funta.

– To są niedźwiadki? – rozległy się głosy zdumienia. – Te funciki?!

– Góra urodziła mysz!

Nie podobała się widać Małanii ta ogólna wesołość, mruknęła groźnie i Wiera oddała jej małe. Małania zabrała je do barłogu, położyła się na boku, przygarnawszy łapą noworodki do sutek, spała, one na pół śpiące ssały, i tak z rzadkimi przebudzeniami dotrwały do maja, kiedy wyszły na światło dzienne oba niedźwiadki o niebywałym przyroście

około arszyna* , ale wciąż nazywane Funcikami.

Z wydarzeń pamiętnych, o których długo potem opowiadano ze zgrozą, należy wspomnieć o nocnym najściu wilków. Gdzieś około północy w środku lutyh mrozów zbudziło mężczyzn zajadłe szczekanie psów. Nim chwycili za strzelby, wielka wataha, przeszło dwadzieścia sztuk, przeskoczyła z zasy nawianej pod częstokołem prosto do środka zagrody. Mitrasza z Pawłem strzelali do nich z okien pięterka, a Bronisław z ganku, jednak cztery reny zdążyły zagryźć i napocząć. Ubili pięć wilków i jednego zagryzł Brysiek przy pomocy Żywego (Brysiek przegryzł mu kark, gdy Żywy złapał go z tyłu). Łaja z Łajkisynem siedziała cały czas jak trusia pod werandą.

Z nastaniem zimy zmienił się ich rozkład dnia. Wstawali wprawdzie o szóstej, ale o wpół do ósmej mężczyźni szli do lasu z suchym prowiantem w chlebaku, sprawdzali pułapki, stawiali nowe, potem szli po tropach na podchody – Bronisław w jedną stronę, Mitrasza w drugą, a Paweł chodził raz z tym, raz z tamtym. Do myślistwa nie miał charakteru, za to rybak był z niego zawołany. Od czasu do czasu chodził nad rzekę i łowił w przerębli. Wyrąbywał sobie w lodzie taką studzienkę, ryba podchodziła, żeby pooddychać świeżym powietrzem, i znajdowała pożywienie, bo sypał w to miejsce zasuszone od jesieni *barmasze*, małe białe raczki, łowił na szmacianego *barmasza* z kotwiczką. Raz po raz wolno

* Arszyn – miara długości w Rosji przed rewolucją = 0,71 m.

opuszczał żyłkę z tą przynętą na końcu i podnosił – „pompował”. Jak ryba chwyciła, to wyrzucał na lód, gdzie palił się ogień w żelaznym trójnogu, i znów zaczynał „pompować”. W ten sposób zaopatrywał ich w ryby łososiowe, które potem jedli w postaci mrożonej, jako „struganinę”, krając cienkimi plasterkami surową rybę jak bryłkę zmarzliny, albo w postaci znakomitej *solanoczki rybnoj* według przepisu Aloszy Milionera.

O czwartej schodzili się na obiad, siadali do stołu wszyscy – Wiera, Bronisław, Mitrasza, Paweł, Erche, Luba i Dunia – potem odpoczywali rozmawiając przy stole, i to była najmiłsza pora dnia. Dzielili się wrażeniami i sprawami dnia, opowiadali sobie zasłyszane historie lub z własnego życia dykteryjki, anegdoty, czasem śpiewali, przy tym ręce kobiet częstokroć były zajęte jakąś robótką domową... O siódmej była kolacja i gdzieś koło ósmej rozchodzili się do swoich pokojów.

Odżywiali się w tym czasie jak nigdy. Wiera dbała o pożywny, sytny i urozmaicony jadłospis. Więc w dni powszednie był rosół, kapuśniak na mięsie, grochówka, ogórkowa zabieleną na nerczkach, barszcz, grzybowa, *pielmienie*, pieczone z dziczyzny, kotlety siekane, udziec pieczony w piecu chlebowym, także kasza gryczana i zapiekanka, szaszłyk, jarzabki, cietrzewie i inne ptactwo lub „zamieszanka”, czyli mięso w kostkę, słonina, kartofle, groch, cebula, uduszone w ostrym sosie czeremszanym... Na deser kisiel żurawinowy, *szaniegi* z jagodami i ciasto

domowe do herbaty. Często widziało się na stole kiszoną kapustę, ogórki, grzyby. W niedzielę i święta na przystawkę „struganina”, *batyki* i kawior, który Wiera bardzo ceniła za jego wartości odżywcze, potem *solanoczka rybna* lub kulebiak, deser w te dni starano się podać szczególnie suty i obfity. A chleb jadalі zawsze ten sam, smaczny, syberyjski, z wysokich bochnów pszennej mąki domowego wypieku.

W początkach marca przyjechał Fiedot, syn Akuliny, który znał drogę, i Jaków Czutkich, mąż Luby. Przywieźli pocztę z Udińskiego, zamówione książki rosyjskie i polskie, oraz maszynę Wiery z manekinem. Wiera zabrała się do obszywania Erche, kroila spódnice, bluzki, *sarafany*, w które miała się przebrać Erche, jak przystało Rosjance, żonie Pawła. Tymczasem Fiedot i Jaków wychodzili z rana do lasu, Fiedot z Bronisławem, Jaków z bratem, mieli strzelby jak prawie każdy chłop syberyjski, szli na polowanie i coś ubili, poznając normalny dzień pracy zawodowej myśliwego. Wieczorem przy stole bywało, gwarno i wesoło, gawędzili i bawili się do późna. Paweł zabrał ich na rzekę, zrobili trzy przeręble i łowili na *barmasza* w trzy wędki, przynosząc do domu mnóstwo ryby. Odwiedzili Buriatów. Na tę okazję Buriaci *siedzieli tarasun*, czyli narobili bimbru. Fiedot z Jakowem przynieśli podarki. Od tego zaczęło się przyjęcie. Bronisław ze starym zaczęli *duchorianić*, prawiąc sobie grzeczności przy ceremoniale picia, a goście z domownikami mogli *archidaczyć*, czyli po prostu pić.

Po dwóch tygodniach goście odjechali, uwożąc Lubę,

bez piersi której półroczny Ziutek mógł już się obejść, przechodząc na mannę kaszkę mleczną, na zupki i tartą marchew. Siedział u Wiery, trzymając główkę pewnie, i zrobił nawet przy jej pomocy „pa, pa” rączką na pożegnanie.

Był trzeci kwietnia, czas poobiedni. Obiad jadali teraz wcześniej, o drugiej, bo skończył się sezon myśliwski.

Wszyscy byli w domu. Wiera szyła, Bronisław podliczał przy stole zarobki w sezonie, Dunia i Erche gotowały obiad, Mitrasza siedział na ławie z Ziotkiem w beciku, a Paweł majstrował w warsztacie.

– Do lisów srebrzystych miałem w tym roku fart i wilków ubiłem dwanaście sztuk, reszta jak zwykle kuny, sobole i gronostaje – odezwał się Bronisław. – Razem, Wierusiu, wiesz, ile będzie? Dwa tysiące dwieście rubli!

– Cudownie! Tyleżes nigdy jeszcze nie zarobił?

– Nigdy! Przynosisz mi szczęście. Przeciętna, jak podzielić wszystkie zarobki przez cztery lata, wyniesie tysiąc siedemset dziewięćdziesiąt dwa ruble... A jak u ciebie, Mitrasza? Ileś wyciągnął z tajgi?

Ten uniósł brwi, zrobił ruch niezdecydowania, potem, odłożywszy Ziotka, napisał na bloczku: „tysiąc pięćset albo tysiąc sześćset rubli”.

– No, widzisz, zbliżasz się do mojej średniej... Wniosek z tego taki, czarno na białym, matematycznie, że na wszystko

nam wystarczy, możemy tu żyć, i to dobrze żyć!

– Wniosek twój uczcimy winem – powiedziała Wiera. –
Duniu, jak ty stoisz?

– Obiad gotów...

Wiera zgarnęła skrojone części *sarafanu* Erche, Bronisław zabrał swoje notatki, zaczęli nakrywać do stołu, wtem psy zaszczekały. Przez okno zobaczyli, jak Paweł poszedł otworzyć furtkę i zaraz pobiegł co tchu z powrotem w towarzystwie Cagana.

– Mówi, że do nas jadą kozacy!

– Tak, tak, papacha! Tyle papacha! – potwierdził Cagan, pokazując sześć palców.

Okazało się, jak zrozumieli z opowiadania Cagana, zobaczył ich ze Stromeego Stoku, skąd rozpościera się widok na całą południową stronę. Jechali konno, prowadząc dwa luzaki, i przed nimi biegł człowiek na nartach.

– Przewodnik – mruknął Bronisław i chwilę milczał. Gdy przemówił, w głosie i twarzy było takie napięcie, że wszyscy zrozumieli niebezpieczeństwo, gotowi na rozkazy. – Weźmiesz *bierdankę* z nabojami i wszystkie swoje rybackie *priczyndały** i przyśniesz na nartach z Szyrabem do naszej budy na wyspie. Za kilka dni przyślesz Szyraba na zwiady do Cagana. Wiero, daj mu zaraz prowiantu na te dni. Erche, wyniesiesz wszystkie swoje i Pawła rzeczy z pokoju, pójdziesz do ojca, przebierzesz się w chałat, zdejmiesz

* *Priczyndały* – akcesoria, neologizm w mowie rosyjskiej.

obraczkę – nigdy nikogo nie poślubiłaś, rozumiesz? Szybko!
Mamy tylko pół godziny!

Ledwo wypchnęli Pawła i Erche z Caganem za bramę, ledwo posprząтали i Bronisław powiedział: „Spokojnie, siedzimy sobie jak zwykle w domu, wszystko zwyczajnie, codziennie” – jak psy znów zaszczekały.

Bronisław i Mitrasza, wzięwszy broń, podeszli do bramy.

– Kto tam?

– Otwierać! Policja!

– Proszę o dowód.

– Jak śmiesz! To opór władzy!

– Możliwe, ale my tu żyjemy na bezludziu, przeżyliśmy już dwa napady, więc obawiamy się otwierać nieznajomym...

– Przecież widzisz, że umundurowani!

– Każdy może włożyć mundur... Proszę pana, niech mi pan da swój dowód ponad furtką.

Po chwili zamieszania wysunęła się ręka nad częstokołem i podała papier.

Nakaz rewizji u Bronisława Najdarowskiego... I jeszcze Bronisław zapamiętał, że rewizję ma przeprowadzić *pristaw* Piotr Sawicz Podieniczn.

Otworzył wierzeje.

Wjechał *pristaw* w policyjnej czapce i oficerskim szynelu, za nim pięciu kozaków w papachach i na końcu skulony Fiedot na nartach, obraz winy i samoudręki, kazano mu pokazać drogę, musiał pokazać...

– Najmocniej przepraszam, siedzimy tu jak w fortecy, wszystkich obawiamy się – przepraszal Bronisław.

Pristaw skinął głową.

– Prowadźcie do domu.

Był wysoki, lat czterdziestu, przystojny, z czarnym wąsem i gęstymi czarnymi brwiami na smagłej twarzy południowca, o dużych, ślicznych oczach, wyprostowany, wszystko na nim leżało jak ulał, chociaż wcale nie było takie nowe.

U paradnego wejścia, na werandzie, musieli chwilę zaczekać, póki Dunia z klucza otworzy drzwi z wewnątrz.

– Piękny domek i okolica piękna – zauważył *pristaw* rozglądając się dokoła. – Pan to sam wszystko pobudował?

– Nie, budował mój przyjaciel, świętej pamięci Mikołaj Czutkich. Po jego zamordowaniu kupiłem u córki i dokończyłem budowy.

Klucz zgrzytnął, otwarły się drzwi i przeszli przez sionkę do stołowego, gdzie stali wszyscy domownicy. Bronisław zaczął przedstawiać, na widok Wierę *pristaw* wyprężył się, brzęknął ostrogami i skłoniwszy głowę, powiedział: „*Madame...*” Pewnie słyszał o niej, bogata ziemianka, zamordowała męża, rotmistrza, a może przemówiła jej uroda i obejście, toć nawet gdyby stała boso, poznałby w niej damę... „Oficer kawalerii, pomyślał o nim Bronisław, coś przeszkobał, szurnięty z wojska do policji...”

– Mogę prosić pana do stołu po podróży? – zapytała Wiera.

– Niestety, łaskawa pani, dziękuję. Przyjechałem w przykrych sprawie, mam przeprowadzić rewizję, więc przede wszystkim obowiązek.

Zaczęli, jak sobie życzył, od piwnicy. On, *uriadnik* i jeszcze jeden kozak zeszli po schodach do piwnicy i skrupulatnie przetrząsnęli wszystko, nawet kijkiem mierzyli zawartość beczek kapusty, żurawiny, ogórków i grzybów, opukali ściany i wyszli.

Na podwórzu zauważył dwa otwory w fundamentach, na których stała weranda, gdzie było legowisko psów. Kazał usunąć rozszczekane, miotające się psy, po czym dwóch kozaków weszło na czworakach i opukało mur, szukając ukrytego wejścia pod dom.

Potem poszedł na górę. Zrewidował pokój Mitraszy i pokój Duni, dawniej Pawła i Erche. Ciemno już się zrobiło, zapalono lampy. Zeszli na dół, zaczęli rewidować pokój Bronisława i Wiery. Przetrząsnęli wszystkie książki rosyjskie i polskie. Sprawdzili zawartość szafy z bielizną i ubraniami, szuflady stołu i komódki między łózkami, zajrzeli pod kołdry, poduszki i materac, nawet pod łóżka. Nic.

– To możecie już iść i zjeść sobie w kuchni – powiedział Podieniczn do *uriadnika* i kozaka. – Raport to już moja sprawa.

Tamci wyszli. Podieniczn palił w zamyśleniu. Wzrok jego padł na podłużne pudełko tekturowe z namotaną nań owczą wełną. Leżało na samej krawędzi parapetu, lada chwila mogło spaść. Ruchem, jakim zwykle usuwamy

nieporządek, chciał przesunąć pudełko i zdumiał się, że takie ciężkie. Potrząsnął. Coś tam odezwało się metalicznym pobrzękiem. Wtedy usunął motek wełny. Ukazał się wykaligrafowany napis: „50 szt. naboju do nagan” ręką Wojciechowskiego. W odpowiedzi na prośbę Bronisława przysłał trochę naboju do nagan, to wystarczy na dziesięć lat. Istotnie w ciągu dwóch lat Bronisław wystrzelał zaledwie siedem sztuk.

– Tyle naboju, a gdzie nagan? – zapytał Podieniczn.

Bronisław sięgnął pod pazuchę i wyjął spod pachy pistolet. Położył na stole przed nim.

– Pan tak zawsze nosi go przy sobie?

– Zawsze. Pod moją opieką znajdują się kobiety i dziecko, a najbliższego policjanta można szukać przeszło dwieście wiorst stąd w Udińskim.

– Pan sam to zrobił? – zapytał Podieniczn wskazując na szelki pod pachą.

– Sam. Płytką kabura na szelkach pod lewą pachą. Niewidoczna, a chwyt łatwy – odpowiedział Bronisław tymże spokojnym głosem, choć czuł, że ziemia mu się spod nóg usuwa – przesiedlę daleko, gdzieś do Jakucji albo i na Sachalin...

– Od kogo pan go dostał?

Mógłby powiedzieć: „To z waszej składnicy, Gulajew dał go Wasiliewowi, Wasiliew miał z niego zabić Stołypina” – tak mu się teraz stało wszystko obojętne, odkąd poczuł, że traci Wierę... Spróbował jednak ratunku:

– Zotow dał.

– Zotow? Z jakiej racji miałby panu dawać?

– Byłem przy nim w charakterze ochrony osobistej. Pan wie, że jestem wyborowym strzelcem? No, więc Zotow mnie wziął z sobą na wyprawę do Sinicy i dał ten pistolet, a odebrać zapomniał czy też nie chciał. Miałem u niego dalej pracować.

– W Sinicy?

– Nie, w rezerwacie leśnym.

– Nie wiedziałem, że ma rezerwat.

– Ma powstać. Jedyne na Syberii wielki rezerwat przyrody. Mam być jego kierownikiem.

– Z pensją, jeśli wolno zapytać?

– Pięćset rubli plus deputat trzydzieści dziesięcin, trójka koni i służba.

– Bajecznie... Więcej niż dyrektor departamentu!

– Tak, Zotow płaci więcej niż państwo, ale kraść nie pozwala.

– Po co kraść przy takiej pensji... To rzecz postanowiona?

– Postanowiona. Mam tylko przemyśleć do września.

– Warto przemyśleć...

Wziął pistolet i naboje, schował do szuflady stołu.

– Niedobrze, jeśli ktoś zobaczy to u pana.

– Proszę pana – rozległ się głos Wiery za nimi, stała w drzwiach od kilku minut i słyszała wszystko, trochę tylko pobladła, ale głos miała opanowany: – Proszę pana, czy mogę

pana prosić na ten spóźniony obiad czy wczesną kolację?

– *Madame* – brzęknął ostrogami – mam nadzieję, że zechce mi pani towarzyszyć...

– Niestety, wygłodziłam się i już jadłam. Mój mąż dotrzyma panu towarzystwa.

Mąż! Pierwszy raz wymówiła. I to w jakich okolicznościach? Gdy ważą się jego losy... W kochanych, jasnych oczach Bronisław czytał wyzwanie i postanowienie: „Tak, mąż! Pójdę za tobą choćby i na Sachalin!”

W stołowym, gdy zajmowali miejsca, powiedziała:

– Nie piję, ale lubię robić nalewki... Może pan spróbuje mojej dereniówki?

Nalała jemu i Bronisławowi, sobie tylko kapkę... Nie siadłaby do stołu z *pristawem*, gdyby nie widziała jego gestu rezygnacji z czynności policyjnych, gestu zamykania szuflady.

Rozmowa żywo się potoczyła, znaleźli jeden wspólny temat, mianowicie, jak Dołgoszejn wyleciał – Bronisław teraz dopiero dowiedział się, *pristawowi* Podienicynowi nieobce było, co się dzieje w wyższych sferach policyjnych, toteż poinformował, że gubernator w try-miga *isprawnika* Dołgoszeina zwolnił, nawet nie dał mu możliwości złożenia podania o dymisję na własną prośbę, bo zamierzał wytoczyć mu sprawę o współwinę w zabójstwie Mikołaja Czutkich i otrucie winnych zabójstwa, ale z tego zrezygnował, bo sprawa była poszlakowa... Podienicyn znał koniec tej historii, więc Bronisław opowiedział mu początek, co i jak

wydarzyło się w Sinicy.

– Państwo, zdaje się, nie mają sąsiadów? – zapytał Podieniczn.

– W odległości wiorsty mieszkają Buriaci.

– Szkoda, nie mogę jutro wyjechać... I u nich będę musiał przeprowadzić rewizję.

Po kolacji udał się za Bronisławem, życząc dobrej nocy, do swego pokoju na górze, gdzie przedtem sypiał Mitrasza, i stało jedno łóżko. A drugi pokój, większy, gdzie mieszkali Erche i Paweł, przeznaczono dla kozaków. Stały tam dwa łóżka i zrobiono na podłodze posłanie ze skór na trzy osoby.

Bronisław zszedł do kuchni, gdzie zastał Mitraszę, Dunię i zbiedzonego Fiedota. Ten mógł nareszcie opowiedzieć – bo dopiero teraz zostali sami bez obcych ludzi – jak z nim było. Z wieczora przyszedł do Jemielianowa kozak, że sołtys każe mu jutro być przewodnikiem do Najdarowskiego. Wiedział, że parę razy bywał na Wzgórzu. Kozak zanocował u niego, a ledwo świt zaprowadził do Jemielianowa, gdzie nocował *pristaw* z kozakami. Co miał robić? Musiał...

– Nie przejmuj się, nic się nie stało. Kładź się na piecu razem z Mitraszą i śpijcie spokojnie. A Dunia położy się w stołowym.

Wrócił do swojej sypialni. Wiera rozczesywała włosy przed lustrem.

– Zdaje mi się, że nie pojedę daleko na północ pod świetlistą feerię zorzy polarnej za nielegalne posiadanie

wojskowego pistoletu.

– Zła jestem na siebie. Namotałam wełnę na to pudełko z nabojami i tak zostawiłam na parapecie.

– Trudno, przeoczenie... Nic się nie bój.

– Uwierz w końcu, Broniek, że ja się niczego nie boję. Jednej tylko rzeczy boję się – żebyś ty nie umarł przede mną.

– Wierusiu, po co tak krańcowo i patetycznie... Jesteśmy młodzi i zdrowi, normalnie mamy kilkadziesiąt lat szczęśliwego życia przed sobą... Wiesz, co ci powiem? – siadł na łóżko i zdjął buty. – Cały dzień chodzę i myślę, co się stało? Do licha, przecież coś się musiało stać, skoro *pristaw* z kozakami jedzie dwieście z czymś wiorst do Najdarowskiego, by zrobić u niego rewizję! Więc co? Jakaś wsypa gdzieś? Ucieczka?

– Tak, ja także myślałam o tym, że coś musiało się wydarzyć.

– Musimy się dowiedzieć... Jutro Podienicyn będzie rewidował Buriatów i nic nie znajdzie. Wypada niedziela... Będzie lepszy obiad?

– Jak zwykle w niedzielę. Mogę zrobić kulebiak, a mogę zrobić i *solanoczku rybnuju*.

– Zrób to i tamto. Kozacy dostaną obiad u siebie na górze z wódką, Mitraszą, Dunia i Fiedot zjedzą w kuchni, trzeba ich uprzedzić, a ty, Podienicyn i ja w stołowym, bez świadków będzie swobodniejszy, ja go pociągnę za język...

Nazajutrz po śniadaniu Podienicyn pojechał z kozakami i Fiedotem do Buriatów i nie było go całe popołudnie. Wiera z Dunią zajęte były w kuchni, Mitrasza pomagał, a jemu dali Ziułka do pilnowania, co go specjalnie nie absorbowowało, dziecko po nakarmieniu wkrótce zasnęło, mógł sobie rozmyślać, wychodząc z pokoju do sionki na fajkę. A kiedy się przebudziło, to przewinał je w suche pieluchy i zabawiał dzwoneczkiem na sznurku, wodząc mu przed oczyma; Ziułek próbował złapać, wtedy podrywał do góry i nie było dzwoneczka. Ziułek rozglądał się, szukał oczami, aż gdzieś w dole rozległ się melodyjny głos dzwoneczka, Ziułek cały pręży się, podnosi główkę – gdzie to? skąd to? – dopóki w zasięgu jego oczu nie ukazał się znajomy dzwoniący przedmiot, chwiał się na sznurku, drobne rączki dygotały z podniecenia, ale mądre doznana porażką zniknięcia dzwoneczka nie usiłowały go chwycić, śledziły w skupieniu, czekając na sposobny moment – moment następował, i łaps do buzi...

Nareszcie wrócił Podienicyn.

– Znalazł pan coś z tego, czego pan szuka? – zapytał go Bronisław, biorąc Ziułka na rękę.

– Gdzie tam... To ciekawe skądinąd środowisko, ale całkowicie poza moim zainteresowaniem zawodowym.

Zabrał się do pisania protokołu.

Protokół wypadł długi, z wymienieniem osób rewidowanych i rewidującego, z wyszczególnieniem wszystkich miejsc i obiektów rewizji, a wniosek był krótki –

żadnych przedmiotów podlegających zajęciu nie znaleziono.

Podpisali się, kopię dał Bronisławowi.

– A teraz mogę panu powiedzieć, panie Najdarowski, że mam już dość tej parszywej służby w policji i też bym się chętnie przeniósł do Zotowa.

– Daję panu słowo, że jeśli będę pracował u Zotowa, uczynię wszystko, żeby pan się tam dostał.

Po czym przeszli do stołowego na obiad, gdzie przy smakowitych zakąskach, jak „struganina”, *bałyki* i kawior, rozmowa potoczyła się w klimacie towarzyskim, o wszystkim i o niczym w szczególności, a przy trzecim kieliszku, po *solanoczce rybnoj*, a przed kulebiakiem, Bronisław zapytał:

– A kiedy już pan, Piotrze Sawiczu, pokończył swe obowiązki w naszym domu, może pan teraz wyjaśnić, dlaczego pan przyjechał?

– Cóż, sprawa się toczy, ale nie jest tajemnicą, zresztą pan, Bronisławie Edwardowiczu, jest po rewizji poza wszelkimi podejrzeniami... Otóż przyjechałem do państwa w związku ze śmiercią osobnika, waszego znajomego, podającego się za Leonarda Sierpińskiego.

– Co, ksiądz Sierpiński nie żyje?!

– Nie ksiądz i nie Sierpiński... Zachodzi domniemanie, że w roku 1898 w partii konwojowanej na Sybir zmarł ksiądz Leonard Sierpiński i że ktoś przebrał się w jego ubranie i przybrał jego nazwisko, zostawiając trupa księdza w swoim ubraniu i wcieleniu.

– Ale dlaczego?

– Dlatego, że jest różnica między wiecznym osiedleniem na Syberii a wieczną katorgą. Trzech było Polaków w partii, idących na wieczną katorgę.

– I nie wiadomo, kim był naprawdę ksiądz Sierpiński?

– Nie wiadomo i wątpię, czy kiedykolwiek dowiemy się... Partia była duża, ponad pięćset osób, była zima, akurat Boże Narodzenie na etapie, kiedy załoga się popiła, zakopali w pośpiechu bez należytego sprawdzenia. Wszyscy trzej podejrzani, ci katorżnicy, nie żyją. A teraz po piętnastu z górą latami co da ekshumacja zwłok? Nagi szkielet...

– I o cóż bezimiennego oskarżono?

– Wydawał „Poradnik Obywatelski”. Z wyglądu i formatu nie różnił się od innych podobnych przewodników. Miał na początku wiadomości przydatne w każdym gospodarstwie rolnym, o ziemi i nawozach, o duńskiej hodowli krów i temu podobne, dokładnie nie powiem, ja tylko raz go widziałem, powtarzam, co mi opowiadano, bo to przecież po polsku... A pod tą warstewką był dynamit – artykuły wywrotowe, jak z nami walczyć, przegląd procesów politycznych za ubiegły rok, informacje o wyrokach śmierci, ilu zesłano na Syberię i na katorgę, i tak dalej, aż do pewnych smaczków skandalicznych, o aferach rządowych i dworskich, o Rasputinie... Wszystko to robił sam, wydawał, redagował, korektor i ekspedytor w jednej osobie, samotny, starszy wiekiem, zamiłowany ogrodnik, wybitny agronom. Listy do niego prawie że nie przychodziły, ludzie z rzadka go

odwiedzali. Raz do roku przyjeżdżał do niego hurtownik jakoby z Kańska, doręczał materiał, zabierał skrzynki z warzywami, potem w Kańsku naklejało się tekturowy szyldzik miejscowej fabryki serów i jako ser syberyjski przychodził do Warszawy. A policja w Warszawie od pięciu lat głowę sobie łamała, urządzając zasadzki na przypuszczalnym szlaku wędrówki „Przewodnika Obywatelskiego” z zagranicy, z Lipska, ze Szwajcarii lub Francji!

– To on pięć lat wydawał „Przewodnik Obywatelski”?

– Wydawał sam bez niczyjej pomocy tutaj w Udińskim.

Na malutkiej maszynie drukarskiej, na bostonce.

– I jak to się w końcu wydało?

– Przypadek zrządził, że przy wylądunku w Warszawie jedna skrzynia spadła z wysokiej rampy i rozleciała się. Wyskoczył „Przewodnik” spomiędzy serów. Policja od razu zorientowała się, sprzątnęła, cicho, sza, i czekali, aż zgłosi się odbiorca – nikt się nie zgłosił, widocznie tamci obserwowali czy mieli swoich ludzi.

Zaczęto więc po cichu dochodzić do kłębka. Wysłali wywiadowców do Kańska. Tam rzeczywiście mieszkał jeden hurtownik warzyw, Polak, z byłych zesłańców politycznych, między innymi jeździł za towarem i do Udińskiego, ale wyjechał przed tygodniem. Dokąd – nie wiadomo. Już zdążyli powiadomić. Ale rzekomego księdza nie zdążyli, dziwne... Rewizja zastała go przy druku kolejnego numeru „Przewodnika” na rok 1914. Przeprowadzono rewizję

wszystkich zesłańców politycznych w okolicy w promieniu dwustu wiorst. Pan jest ostatni. Sędzia śledczy zamknie sprawę wykrytą, przy jednym sprawcy nieżyjącym, z braku innych.

– Nieżyjącym, powiedział pan... Jak to się stało?

– Tylko przez przeoczenie śledczego. Po całym dniu pracy i *doprosów* pisał protokół, zaś rzekomy ksiądz powiedział o Serafimie, że jest niewinna, analfabetka, nie wiedziała o niczym, i że napije się wody. Wyszedł do sąsiedniego pokoju, ale zamiast po karafkę, sięgnął po swoją dwulufkę myśliwską, co stała w kącie. Na początku rewizji oznajmił, że nie nabita, sędzia uwierzył na słowo. Więc sięgnął po broń, powiedział: „Za stary na katorgę!” i na oczach Serafimy wsadził sobie do ust lufy. Pociągnął za oba spusty naraz. W lufach był zajęczy śrut. Zostało po...

– Niech pan nie mówi, co po nim zostało! – poprosiła Wiera.

– Ile lat miał, jak panu się wydaje? – spytał Bronisław.

– No, ponad sześćdziesiąt na pewno... I wiecie państwo, niewiele mu brakowało już, cztery lata, bo amnestia zmniejszyła mu wieczne osiedlenie na dwadzieścia lat. I w tym wieku, w takiej sytuacji podjął się samotnie... Sędzia śledczy, sam już człowiek niemłody, powiedział, że dałby mu order... Nie pamiętam, jaki. Może pan powie, za męstwo jakie u was były ordery?

– Virtuti Militari.

– O, właśnie, Virtuti... Dałbym mu, powiada, Virtuti

Militari pierwszej klasy za męstwo...

Powiódł wzrokiem po ich milczących twarzach i stropił się.

– Przepraszam, ja tak swobodnie mówię o nieboszczyku, a może on był państwu kimś bliskim?

– Nie miałem pojęcia o jego działalności, ale lubiłem go i szanowałem – odpowiedział Bronisław.

– Zaledwie trzy razy rozmawiałam z nim, a również polubiłam – dodała Wiera.

– Tak, tak, rozumiem... Bywają u nas sprawy, przed którymi człowiek by uciekł, ale dokąd?

– A Serafima? – spytała, przerywając mu, Wiera. – Co z nią?

– Sędzia śledczy, wyjeżdżając z Udińskiego, opieczętował jej dom i zabrał Serafimę z sobą. Jest w więzieniu do dyspozycji gubernialnego zarządu żandarmerii. Zupełnie załamana. Jest jej, zdaje się, wszystko jedno, co z nią będzie. A będzie jedno z dwojga: albo całkowite uniewinnienie z powodu analfabetyzmu i wieku, albo parę lat katorgi za współudział.

– Panie – zawołała Wiera – jej potrzebny jest dobry obrońca! Trzeba natychmiast wysłać depeszę do Moskwy do mecenasa Bułatowicza, żeby obrony podjął się Dekarton i przyjechał do guberni bez względu na koszt! To najlepszy obrońca, mój obrońca. Zrobi pan to dla mnie?

– Madame, pani prośba jest rozkazem!

– Dziękuję panu. Wieczorem dam panu tekst depeszy –

zamilkła, potem innym, cichszym głosem, jakby przypominając, dodała: – Ostatnim razem, odprowadzając mnie do sieni, powiedziała: „To święty człowiek, ten mój ksiądz. Ja bym do śmierci nie wiedziała, że po ziemi może chodzić taka świętość...”

Zapanowało milczenie. Podieniczn wstał.

– Państwo wybaczą, że na razie ich zostawię. Mam u siebie jeszcze trochę roboty.

Ucałował rękę Wiery i wyszedł.

Z kuchni wyjrzały twarze Duni, Mitraszy i Fiedota.

– Proszę pana, stało się co? – zapytała trwożnie Dunia.

– Stało się. Bałem się o Pawła, a tymczasem nieszczęście spotkało księdza Sierpińskiego. Nie żyje.

– Ojej! – zawołała Dunia chwytając się za skronie, i jakby odpowiadając na to, Ziutek w ich pokoju zapłakał.

– Duniasza, zajmij się nim, nie potrafię, jestem rozstrojona jak stara gitara.

– Dobrze, proszę pani, już idę...

Pobiegła do malucha, a Fiedotz Mitraszą cofnęli się do kuchni.

Wiera sięgnęła po papierosa, Bronisław nabił fajkę. Zapalili.

– To dlatego nie chciał ochrzcić nas, Ziutka i mnie – powiedziała po chwili Wiera, podążając wzrokiem za kółeczkiem dymu.

– Jasne. Mógł oszukiwać rząd, że jest księdzem, ale nie wierzących... To byłaby profanacja sakramentów.

– Wiesz, jakoś nie mogę sobie wyobrazić go nieksiędzem.

– Ja także.

– Mówimy o nim mimo wszystko „ksiądz”...

– Widocznie tak długo grał rolę księdza, że stał się w końcu nim.

– Wsadził obie lufy do ust i pociągnął... Boże, co on myślał w tej chwili? Co czuł?!

– Widzisz, jest wśród nas dużo trójlojalnych, dwulicowych patriotów, ludzi miałkich charakterów. To nieprawda, że niewola hartuje – niewola upadla... Wszystkie nasze powstania były tragiczne. Wyglądały jak bunty liliputów między nogami trzech wielkoludów. Nie wierzę w niepodległość Polski, dopóki istnieją Austria, Niemcy i Rosja jako państwa zaborcze. Ale naród, żeby do cna nie zmiął, musi mieć od czasu do czasu dla swej wiary w siebie, dla swej godności takich szaleńców jak ten ksiądz czy nieksiądz, człowiek bez imienia, który walczył z całym imperium i zmarł w przeraźliwej samotności... Nawet wróg, nawet sędzia śledczy, zabijając go, przyznał mu *Virtuti Militari* za męstwo.

Jest piękny sierpniowy dzień, późne popołudnie. Lustro stawu lśni za ogrodzeniem w ukośnych promieniach słońca, wydaje się zamarłe, lecz niekiedy słyszy się tam buszowanie i widać pod wodą srebrzysty grzbiet Raduni.

Psy drzemią pod werandą.

Nie opodal na polance leży Małania ze swoimi Funcikami wielkości już dużego psa. Baraszkuje na niej. Funcik atakuje, gramoli się na barykadę cielska matki, Funta go spycha.

Za ogrodzeniem słychać miarowe postukiwanie siekierki – to Paweł robi ostatnie wiązanie dachu, Mitrasza mu pomaga. Chata stoi frontem do stawu.

Na ścieżce od domu do budynku gospodarczego Dunia ostrożnie, krok za krokiem, prowadzi Ziutka za rączkę. W pewnej chwili puszcza go i Ziutek niepewnie, jednakże idzie dalej sam...

– Proszę pani! Ziutek poszedł!

Na ten krzyk Wiera rzuca konewkę w ogrodzie i pędem biegnie ku niej, chwyta Ziutka i podnosi do góry:

– Poszedł! Moja ty radości!

Zbliża się Bronisław.

– No, Ziutku, pokaż, co potrafisz...

– Zrób trzy kroczyki dla tatusia – mówi Wiera prowadząc go za rączkę.

Puszcza go samego i Ziutek robi nawet pięć kroczków, ogląda się na nią i śmieje, potem wzdycha i siada na trawie. Dunia podnosi go i prowadzi dalej za rączkę po dróżce ku

domowi, ku niedźwiedzim.

– Kiedy dzieci zaczynają chodzić? – zapytuje Bronisław.

– Różnie bywa. Dziewczynki wcześniej, chłopcy na ogół później, gdzieś około roku, Ziułek poszedł w jedenastym miesiącu.

Idą z powrotem do przerwanej pracy. Wiera bierze jedną konewkę, Bronisław drugą, kończą podlewanie... W tym roku obrobili dwukrotnie większy teren ogrodu. Zapowiada się piękny urodzaj. Pomidory zaczynają się czerwienić, za tydzień zbiór.

Za płotem ustaje ciachanie siekierą, rozlega się stukanie po gwoździach na dwa młotki – stawiają rusztowanie.

– Kiedy Paweł kończy chatę? – zapytuje Wiera.

– We wrześniu.

– W takim razie trzeba napisać do Serafimy, żeby szykowała się w październiku.

– Napisać, tak, ale zabiorę ją ja sam. W październiku porobię zimowe zakupy w Udińskim i przywiozę z sobą Serafimę.

W tym czasie Paweł z Erche przeprowadzą się do swej chaty, Mitrasza weźmie ślub z Dunią i zamieszkają w ich pokojach, a Serafima otrzyma pokój Mitraszy. Przypomniały się wszystkie kłopoty i starania o uniewinnienie Serafimy. Mecenas Dekarton dokazał cudów zręczności i talentu obrońcy, uwalniając Serafimę.

Podeszli z konewkami do jabłonek, obsypanych owocem. Zaczęli podlewać.

– Jeszcze jedno misterium natury – mówi Wiera.

– Co masz na myśli?

– To, że ścinasz gałązkę szlachetnej odmiany jabłoni i trzymasz ją rok w piasku gdzieś w piwnicy, a kiedy ruszą soki we wszystkich drzewach, to w rozszczepiony pień dzikiej jabłoni wsadzisz swoją gałązkę i ta przyjmie się, zakwitnie, okaże się silniejsza niż źródło jej życia, niż jej pień! Wyrośnie nie dzika, ale szlachetna jabłoń odporna na mrozy... Myślałeś kiedy o tym?

– Myślałem, ale nie znalazłem wytłumaczenia.

– Ja w tym widzę jeszcze jeden dowód na istnienie rozumnego prapoczątku świata...

Odstawił konewki do budynku gospodarczego i poszli nad staw. Tu przyszła do nich Radunia, więc popływali razem i ponurkowali trochę, bo zrobiło się późno i trzeba było szykować kolację.

W domu powiedzieli dobranoc Ziutkowi, którego Dunia układała do snu, pocałowali i wzięwszy talerze ze wszystkim do nakrycia stołu, przeszli na werandę.

Była ta łagodna szara godzina, między dniem a nocą, kiedy tylko odbłask czerwonej zorzy na niebie rozświetlał mrok i zamierały wszystkie odgłosy dziennych spraw.

– Tak cicho – powiedziała Wiera, rozstawiając naczynia na stole – zdaje się, że tu Pan Bóg spojrział na nas dobrotliwie, uśmiechnął się i zapomniał wkrótce.

Bronisław palił fajkę na ławie. Czuł lekkie zmęczenie, dzień wspólnej pracy i drobnych trosk miał się ku końcowi,

zaraz kolacja i potem smaczny, błogi sen.

– W ten sposób schodzi dzień po dniu, a przyszłość wciąż niezdecydowana... Trzeba odpisać Zotowowi, tak lub nie.

– To odpisz, jak uważasz.

– Nie, jak ty uważasz... Powiedz, czy tobie nie jest tutaj nudnawo i monotennie?

– Nie, wcale nie jest nudnawo ani monotennie.

– Jako kierownik rezerwatu miałbym strażników i personel naukowy, przyjeżdżaliby do mnie ludzie nauki, miłośnicy przyrody, myśliwi... Czy nie uśmiecha ci się rola czarującej pani domu, ośrodka kultury, w głuchych lasach Syberii?

– Wiesz, że nie uśmiecha się.

– Poza tym praca wymarzona...

– Tak, praca świetna, ale najemna. Zależna od woli i humoru twego pana. Nigdy wielkim panom nie służyłeś, Bronku, kark ci zeszytniał, trudno będzie przyzwyczać się... Słowem, ja nie chcę, ale jeśli ty chcesz, to weźmiemy ten rezerwat.

– Więc zostajemy tutaj na co najmniej dziewięć lat, kiedy Ziułkowi będzie potrzebne miasto z pierwszą gimnazjalną. Wtedy pomyślimy, co dalej.

– Właśnie, możemy na tym Wzgórzu przeżyć nasz błękitny sen o życiu... Czy mogłabym cię prosić, Bronku, żebyś przyniósł latarnię, robi się ciemno... Na stole u nas, obok świeczki.

Bronisław wstał.

– I nie zapomnij zanotować w kalendarzu, że Ziutek poszedł.

W pokoju na stole zapalił latarnię, popatrzył na śpiącego Ziutka i zerwał z kalendarza ściennego kartkę. Słyszał głosy z werandy schodzących się na kolację domowników. Na karcie 15 sierpnia 1914 roku w pośpiechu napisał: „Ziutek zaczął chodzić”, schował do szuflady stołu i ta kartka ocalała. Przechowywana wśród najdroższych pamiątek rodzinnych, pożółkła, pokazywana była potem zawsze z tym samym bezradnym usprawiedliwieniem: „A myśmy wtedy nie wiedzieli, że od dwóch tygodni toczy się gdzieś wojna światowa...”

NOTA BIOGRAFICZNA O DALSZYCH LOSACH RODZINY NAJDAROWSKICH

Rodzina Najdarowskich w towarzystwie wiekowego Bryśka przybyła do kraju w 1923 roku z ogromnym majątkiem w rublach carskich, którymi po roku bezrobocia wytapetowali ubikację i pokój służbowy dozorca tartaku na Słodowcu, przedmieściu Warszawy.

W Polsce Bronisław nie miał nikogo. Koledzy i towarzysze walk poumierali lub rozproszyli się, szukać ich nie miał czasu ani pieniędzy. Siostra umarła w roku odzyskania przez Polskę niepodległości. W styczniu 1915 roku otrzymała z Charbina od Szulimowa trzydzieści tysięcy rubli. Szwagier natychmiast kupił domek jednopiętrowy na Dolnym Mokotowie, na pustkowiu, gdzie teraz jest ulica Stępińska. Na parterze mieszkał, górę wynajmował. Był teraz inspektorem na kolei, miał medal za zasługi, należał do stronnictwa narodowego i Bronisławem mógł znów pogardzać, odkąd dowiedział się, że przybył bez grosza i jest w nędzy: „Zawsze mówiłem, że lump!”

Nie było łatwo wtedy dostać pracę, zwłaszcza jeśli poszukujący liczył sobie lat czterdzieści, bez zawodu, bez znajomości, nie był układny ani przebiegły. Dosyć najedli się biedy i upokorzenia, toteż powiedzieli sobie, dobrze jest, jak

jest, kiedy właściciel tartaku, poznawszy przypadkiem Najdarowskiego, wyczuł, ten nie pije i nie kradnie, i dał mu dozorczość za mieszkanie i trzydzieści złotych pensji, potem czterdzieści. Ziućka, jako sierotę po uczestniku wyprawy Marszałka na Bezdany, udało się z miejsca umieścić bezpłatnie w modlińskim korpusie kadetów. A Teresa, jak nazwała się po babce Wiera w strzelistej katedrze Irkucka, dokąd przybyli w niezapomnianym 1917 roku upadku caratu i gdzie odbył się nareszcie chrzest Ziućka, a potem ślub z Bronkiem – Teresa zabrała się do szycia. Jej pracowitość, gust, umiejętność tanim kosztem robienia pięknych rzeczy zyskały jej stałą klientelę wśród kobiet Słodowca, klientelę wierną, która później, kiedy trzeba było jechać tramwajem na dalekie rozległe Pola Bielańskie, trzymała się jednak swojej pani Teresy. Zarabiała trzy razy więcej od niego, co kłułoby jego próżność męską, gdyby nie to, że więcej zarabiać nie mógł – był pariasem Rzeczypospolitej Polskiej, człowiekiem napiętnowanym hańbą.

Podanie Bronisława o przyjęcie do Stowarzyszenia Byłych Więźniów Politycznych wywołało różną reakcję w sprawie po bez mała dwudziestu latach, od chłodnej rozwagi do burzliwego oburzenia, i zostało oddalone do dnia przedłożenia „niezbitych dowodów nieskazitelnej czystości moralnej i godnej Polaka postawy wobec carskich urzędów karno-administracyjnych”. Jedni niezwykle byli zmieniać zdania, jak powiedzieli: prowokator, tak miało być – w tej

stałości sądów widzieli głęboką pryncypialność. Inni nie bardzo byli pewni swego rozeznania sprzed dwudziestu lat, nie zabierali głosu. Poza tym klimat kraju nie sprzyjał rehabilitacji człowieka posądzanego o prowokację. W kraju pełno było jak najbardziej lojalnych byłych poddanych cara, teraz afektacją swej polskości i nienawiścią do rosyjskości zagłuszających w sobie wspomnienie o niedalekiej obojętności narodowej... Bronisław słyszał szepty wokół siebie, widział kose spojrzenia, raz ktoś, usłyszawszy nazwisko, bez słowa odwrócił się i odszedł... Aż w 1926 roku, kiedy Ziutek był w trzeciej klasie, komendant korpusu zawiadomił go, że korpus przejmuje całkowitą opiekę nad Ziućkiem, w związku z czym na ferie i święta wyżej wspomniany wychowanek przyjeżdżać do niego nie będzie. To był cios, wszyscy troje odczuli to boleśnie. Pozostał już tylko kontakt korespondencyjny.

W tym czasie Bronisław prawie nie wychodził z tartaku. Wiera zauważyła, że wyjście poza ogrodzenie tartaku stało się dla niego całym przedsięwzięciem: na samą myśl o możliwości zetknięcia się z nieznanymi twarz mu tężała jak przed grożącym niebezpieczeństwem.

Było tak do roku 1929. Ze swoich zarobków krawcowej uzbierała dwieście złotych na ogłoszenia w prasie stołecznej i prowincjonalnej, że ktokolwiek zetknął się ze sprawą Bronisława Najdarowskiego, która toczyła się przed sądem wojennym warszawskim w 1906 roku, proszony jest o napisanie w tej sprawie.

Zgłosili się Georgij Andriejewski, pułkownik carskiej służby, potem księgowy w poznańskiej fabryce maszyn rolniczych, a przedtem porucznik rewelskiego pułku strzelców, najmłodszy członek kompletu sędziowskiego w sprawie Bronisława; Anna Żabińska, właścicielka pensjonatu w Otwocku; Sebastian Kozakiewicz z Ciechocinka, stelmach, z PPS, u którego nocowali przed przekroczeniem granicy Perepećko i Zawistowski, dwaj później powieszeni, oraz malarz Seweryn Wróblewski z Gdyni.

Andriejewski potwierdził relację Bronisława. Przewodniczący kompletu sędziowskiego, generał Smirnow, powiedział im, oficerom, że mają sądzić w warunkach czasu wojennego, a więc szybciej i srożej, ale to także ma być wymiarem sprawiedliwości. Był służbistą, ale nie katem. Tymczasem akt oskarżenia i pierwsze badania wykazały, że czarną sprawę szyto białymi nićmi i policja nie zadała sobie trudu szyć staranniej przekonana, że tak czy owak każdą sprawę sąd wojenny uzna za winną i wyda odpowiedni wyrok. Bomba to była purchawka, według określenia Smirnowa, dobra na efekty batalistyczne, ale nie do wysadzenia mostu z trzema pociągami, w których car ze świtą wcale nie musiał jechać, bo nie wybierał się do Białowieży na toki wiosenne głuszców, czyli zamach nie mógł się odbyć na torze kolejowym Białystok-Białowieża, w pobliżu stacji Czeremcha, więc po co zamachowcy tam się zebrali? – Żeby udać się następnie do Petersburga! Oni byli na wszystko gotowi! – To tylko wasze domniemanie,

prokuratorze, nie poparte faktami... Ale oskarżony przyznał się do winy: „Chciałem zabić cara za wszystkie krzywdy wyrządzone matce mojej, Polsce!” Jego młody wiek oraz postawa desperacka budziły respekt i współczucie. Prokurator zażądał kary śmierci dowodząc, że w tych sprawach rangi najwyższej czyn zamierzony należy traktować jako czyn dokonany. Dlatego, drogą kompromisu między stanowiskiem jego a stanowiskiem kompletu sędziowskiego, wypadł wyrok pośredni – cztery lata katorgi i wieczne osiedlenie na Syberii.

Anna Żabińska pokazała zdjęcie, jakie otrzymała z X Pawilonu Cytadeli. Młodziutki Bronisław w jasnoszarym garniturze stoi z niewzruszoną miną, choć burza huczy wokół nas, w wąskiej celi z zakratowanym okienkiem u góry, a na odwrocie stempel „Adam Kulesza, fotograf, Freta 4”, i tekst: „Szanowna Pani, na życzenie Bronisława Najdarowskiego wezwano mnie do Cytadeli, gdzie sfotografowałem go, i jedną odbitkę przekazuję Pani z następującymi słowami skazańca – staję przed sądem, niczego się dla siebie nie spodziewając. Przyjąłem sakramenta i żegnam Drogą Panią wraz z Wujkiem Samem, niech Pan Bóg ma Was w swojej opiece”.

– Jak tylko przeczytałam to zdanie, zaraz zbiegłam do hallu, gdzie stał duży posąg Samsona, zwany przez domowników Wujem Samem. Nacisnęłam kamyczek u nogi, obróciłam posąg wokół osi i wtedy ukazała się skrytka. Wyrzuciłam z niej wszystkie szpargały, jakie tam były, i

spaliłam w kominie... Tak, proszę komisji, nie wierzę w plotki, że Najdarowski to prowokator. Tylko szlachetny człowiek ratuje innych, chociaż sam jest skazany.

A towarzysz Kozakiewicz, członek PPS, napisał z Ciechocinka, że w lipcu 1906 roku zatrzymali się u niego Perepećko i Zawistowski. Czekając na przemytnika, który miał ich przerzucić przez granicę, opowiadali o nieudanym zamachu, o aresztowaniu i skazaniu Bronisława, o swoim własnym losie i że wszystkiemu jest winna niejaka Potomska. Przedzierali się do Paryża, by babę zlikwidować. Ale w nocy natknęli się na patrol. Wynikła strzelanina. Jeden żołnierz został postrzelony w brzuch i umarł. Sądził ich także sąd wojenny, ale w innym składzie. Za próbę ucieczki, zabicie żołnierza i zamach na cara dano im łączny wyrok: karę śmierci przez powieszenie.

A Seweryn Wróblewski mówił nie na temat, nie o zamachu, którego nie znał, ale o Bronisławie, jak go poznał w Rzymie, o ich wędrówce pieszej z Rzymu do Paryża, emigranckiej biedzie do czasu wygrania przez niego w zawodach strzeleckich dziesięciu tysięcy franków. Opowiadał, jak on odmawiał Bronisława od udziału w tym zamachu, ta Potomska i cała organizacja zamachu śmierdziała mu prowokacją, ale Bronisław, otumaniony miłością, nie widział. Poszedł, zostawiając mu prawie nietkniętą nagrodę, dziewięć tysięcy franków, które pozwoliły mu spokojnie pracować i osiągnąć to, czym jest obecnie – znanym polskim malarzem.

Przesłuchanie zakończyło się całkowitą rehabilitacją Bronisława i przyjęciem go do Stowarzyszenia Byłych Więźniów Politycznych z wnioskiem o przyznanie mu uposażenia, czyli renty za lata spędzone na wygnaniu syberyjskim.

Przyjaciele spotkali się dopiero na przesłuchaniu.

Wróblewski przyjechał prosto z Gdyni, a Bronisław przyszedł ze Słodowca. Padli sobie w ramiona. Po przesłuchaniu poszli z Daniłowiczowskiej do pobliskiego Hotelu Saskiego, gdzie zatrzymał się Wróblewski, i posłali gońca do Teresy, że zjawią się jutro, żeby się nie niepokoiła. Całą noc gadali i pili, Bronisław z umiarem, a Wróblewski bez poczucia miary. Spali do południa, potem Wróblewski wziął taksówkę i pojechali na Słodowiec-Marymont.

Pojawienie się taksówki w tej dzielnicy wywołało sensację. Wyszedł z kantorku sam właściciel tartaku.

– To bohater narodowy – oświadczył mu Wróblewski, ściskając dłoń. – Wnukom będziesz pan opowiadał – Najdarowski pracował u mnie dozorcą!

Na progu dozorcówki zatrzymał się i zdjął kapelusz – cały pokój był wytapetowany niebieskimi rublami. Banknoty dziesięcio-, dwudziesto-, pięćdziesięcio- i sturublone patrzyły ze wszystkich ścian twarzami Katarzyny, Piotra, Aleksandrów i Mikołajów, aż w oczach ćmiło, a na powitanie mu szła przebrana piękna dama.

Ale kiedy usiadł, to się poczuł w tym dziwnym pokoju tak swojsko, swobodnie i przyjemnie, że czas mu zleciał

niepostrzeżenie na rozmowach do obiadu i po obiedzie, aż dopiero o czwartej przypomniał sobie rzecz najważniejszą.

– Słuchaj, przecież ja tobie jestem winien dziewięć tysięcy franków!

– Daj spokój, ja to zostawiłem tobie, nie pożyczałem...

– Tere-fere kuku, nie do mnie to gadaj... Ileż to wypadnie? Zawsze byłem słaby w rachunkach. Dziewięć tysięcy franków, kurs franka teraz wynosi dwadzieścia sześć groszy, to będzie coś około dwóch tysięcy pięćset złotych. A przecież frank w 1906 roku stał mocniej niż w 1929! A procenty do tego dochodzą za dwadzieścia trzy lata, procenty od procentów!

Bronisław nie chciał słyszeć o procentach, ten się upierał, ale z liczeniem nie mógł sobie dać rady, powiedział, że Adelberg zliczy, to po drodze na dworzec... Pożegnali się i pojechali do Hotelu Saskiego po walizkę Wróblewskiego, potem na Marszałkowską do Adelberga, kantor wymiany walut, gdzie Wróblewski nieraz załatwiał przelewy do Francji i odwrotnie.

Adelberg sięgnął do starych ksiąg, szukał, jaki był kurs franka w rublach w 1906 roku i później, przeliczał na złotówki, liczył procenty... Zorientował się, że w tym przyjacielskim targu jeden chce dać jak najwięcej, drugi otrzymać najmniej, więc w końcu zaproponował kompromis:

– Zgódź się pan, panie Najdarowski, na pięć tysięcy. Bo, jak wszystko zliczę, to będzie więcej...

– Zgoda, niech będzie pięć tysięcy.

Zdążyli na wieczorny pociąg do Gdyni. Wróblewski odjechał, wziąwszy przyrzeczenie, że Najdarowscy przyjadą do niego, i Bronisław wrócił do Teresy, wręczając jej pięć tysięcy złotych.

Wynajęli pokój sublokatorski na Żoliborzu z niekrępującym wejściem, żeby Teresa nadal mogła przyjmować swoje klientki. Sprawił sobie przyzwoity garnitur, płaszcz i kapelusz, i najbliższej soboty z rana wybrał się do Modlina.

Komendantowi korpusu kadetów przedstawił list rehabilitacyjny z prośbą, aby kadet Gozdawa mógł święta i ferie spędzać znów w ich domu. Komendant wyraził zgodę, pogratulował całkowitej rehabilitacji i dał list wychowawcy, by ten odczytał w klasie – niech szept i plotki ucichną raz na zawsze.

Bronisław porozmawiał z komendantem, poczekał potem w czytelnicy na zwrot listu i wyszedł na schody, zobaczywszy całą klasę stojącą na baczność.

Wzruszony zdołał tylko wymówić: – Dziękuję wam, chłopcy...

Wyrośnięty Ziutek przypadł mu w ramiona:

– Tatusiu, ile musiałeś wycierpieć!

– Ty także...

Na wakacje pojechali statkiem „Vistuli” Wisłą do Gdańka, stamtąd okrętem żeglugi przybrzeżnej do Gdyni, gdzie spędzili piękne dwa tygodnie nad morzem w willi Wróblewskich.

A na jesieni – jako że szczęście i nieszczęście lubią chodzić parami – Bronisław wygrał w międzyklubowych zawodach strzeleckich pięć tysięcy nagrody i został zaangażowany na trenera w legii akademickiej. Renta w wysokości stu pięćdziesięciu złotych miesięcznie i posada trenera zapewniała im dostatnie życie. Też jesieni Bronisław nabył od chłopca hektar kartofliska na Polach Bielańskich, za Zdobyczą Robotniczą, która później się pobudowała, gdzieś na wydmuchu Warszawy, i wziął z banku długoterminową pożyczkę wysokości piętnastu tysięcy złotych, aby postawić domek na swoim terenie – zadawnione marzenie ich obojga, nie mieszkać w blokach betonowych, ale w małym domku u siebie, wśród zieleni.

W kwietniu 1930 roku Bronisław wraz z robotnikami zaczął robić wykopy pod fundamenty i piwnice, potem pracował z murarzami, z cieślami, stolarzami przez całe lato. Ziutek zdał maturę celująco i miesiąc wakacji także przepracował na budowie przed rozpoczęciem zajęć w oficerskiej szkole kawalerii, a Teresa szyła, miała starą swoją klientelę, do której doszła nowa, żoliborska. W pierwszych dniach listopada domek jednopiętrowy, pięciopokojowy, trzy pokoje na parterze i dwa na górze, był gotów, wprawdzie jeszcze nie otynkowany, ale mogli się wprowadzać.

Dwa pierwsze lata było im nielekkko. Musieli żyć i utrzymać się tylko z renty i posady trenera strzeleckiego, spłacając jednocześnie raty budowlanej pożyczki bankowej, bo ze względu na odległość i brak komunikacji zarobki

Teresy ustały. Warszawa kończyła się wówczas właściwie na placu Wilsona pętlą tramwajową. Teren dopiero zaczynano zabudowywać, a Pola Bielańskie wyglądały jak morze zagajników, uchodzące aż po horyzont z rzadko sterczącą gdzieniegdzie wysepką w postaci jakiegoś domku. W te lata zdążyli założyć tynki, wodę i kanalizację, jak również sad owocowy i ogród warzywny. Potem doprowadzono linię tramwajową obok Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego aż do Lasku Bielańskiego, i w pustkę tchnięto życie. Zaczął się ruch budowlany, w oczach rosły domy i ulice, powstawały zakłady pracy, Bielany stawały się dzielnicą mieszkaniową Warszawy. Wraz z zaludnieniem rosły potrzeby i zamówienia. Pod koniec lat trzydziestych Teresa nie mogła się od nich opędzić i musiała przyjąć pomocnicę.

W tym okresie, mam na myśli 1933 rok, kiedy się zaczął ten okres *prosperity* Bielania, Ziutek powiedział ojcu, że pragnie przyłączyć jego nazwisko do swojego.

– Wiesz dobrze – odrzekł Bronisław – że dzieci nie mamy, tylko ciebie, synu...

Formalności prawne zostały załatwione przed ukończeniem oficerskiej szkoły kawalerii, tak że w akcie nominacyjnym figurował już podporucznik Józef Gozdawa-Najdarowski.

– Ot, i zapuściłeś korzonki nieśmiertelności – powiedziała Teresa.

– Dzięki tobie, kochanie.

To były ich najpiękniejsze lata, ostatnie lata bielańskie. Życie bez trosk materialnych, z ufnością, że na wszystko wystarczy, praca, którą się lubi, swój domek z pięknym sadem i ogrodem, kochający, udany syn i miłość ich dwojga, która wytrzymała wszystkie próby, której pulsowanie wypełnia każdą chwilę istnienia – doprawdy, nie można żądać więcej od losu.

W tym czasie, od roku 1933, Bronisław odkrył jeszcze jedno źródło dochodów. Kilku jego uczniów, należących do kółka łowieckiego „Żbik”, zaprosiło go na pryncypalne doroczne polowanie z udziałem dostojników państwowych. Zwierzyny było mnóstwo. Bronisław nie pudłował. Miał dwadzieścia zajęcy, czterdzieści pięć bażantów i dzika, został otrąbiony królem polowania. Co zrobił ze zwierzyną? Ano, wysłał pociągiem do żoliborskiego sklepu delikatesowego pani Kurowskiej. I tak się zaczęło. Sybirak, strzelec niezawodny ze swym „Paradoksem” i przygodami w tajdze, stał się mile widziany i modny. Dzięki temu, wydatnie wspierając panią Kurowską, spłacił o trzy lata wcześniej pożyczkę bankową, mianowicie w 1938 roku.

Najdarowscy mieli dużo znajomych i przyjaciół, prowadzili dom otwarty. Między innymi stałymi gośćmi w ich domu byli ludzie z grona Sybiraków. W starszym wieku, gorzej lub lepiej urzędzeni w Polsce, nie mogli się jakoś zasymilować w odzyskanej ojczyźnie i wstydliwie tęsknili za Syberią. Lubili ludzi tamtejszych, surowych i gościnnych, dania i pieśni syberyjskie, a jak zeszło na wspominki, to

tracili poczucie czasu, gadali za północ z wypiekami na twarzy, z roziskrzonymi oczami, jak gdyby śnili swój błękitny sen.

Kiedy wybuchła wojna, pięćdziesięciosześcioletni Bronisław zgłosił się (na ochotnika do wojska i został przyjęty jako strzelec wyborowy. Był w obronie Warszawy cały wrzesień na bielańskim odcinku i zginął w przededniu kapitulacji, dwudziestego siódmego września, niedaleko swego domu.

Teresa kupiła i wymurowała na Powązkach grób rodzinny (a to była sztuka w owym czasie, w warunkach chaosu i zajęcia Warszawy) i pochowała Bronisława pod różową bryłą polnego kamienia. Na gładko szlifowanej stronie jest napis złotymi literami:

Bronisław Najdarowski

ur. 3 V 1883 roku w Warszawie – poległ 27 IX

1939 r. w obronie Warszawy,

członek OB „Proletariatu”, b. więzień Akatuja i zesłaniec.

Wszyscy zwrócili uwagę, że i drugi napis na kamieniu mogiłnym był gotów:

Teresa-Wiera z Izwolskich-Najdarowska

ur. 16 II 1888 r. w Kijowie – zm. w Warszawie.

Brakowała tylko daty zgonu.

Było to drugiego listopada, po Wszystkich Świętych, na cmentarzu pełno było kwiatów, ogarków świec, papieru i folii. Rozliczono robotników, po czym odbyła się msza.

Wśród obecnych Sybiraków i licznej rzeszy strzeleckiej znajdowała się synowa Bożena, poślubiona w sierpniu przed wybuchem wojny – od Ziułka wciąż nie było żadnej wieści. Żegnając się z nią na przystanku tramwajowym, Teresa poprosiła, aby Bożena wstąpiła do niej. „Koniecznie o siódmej, nie zapomnij!” – „Będę niezawodnie, mamoo...”

Gdy o siódmej Bożena zadzwoniła, nikt nie otworzył. Pchnęła drzwi, były otwarte. Zawołała. Milczenie... Zapaliła światła i w sypialni znalazła Teresę na łóżku w świątecznej sukni z karteczką na piersi:

„Możecie tak pochować, jestem po kąpielach, we wszystkim czystym...”

Na stole leżał arkusz papieru:

„Nie mogę żyć dłużej bez Bronka. Idę do niego... Wybacz, Córeńko, że zostawiam Cię samą w takich czasach, ale Ty jesteś młoda i wszystko przetrzymasz... Żegnaj!”

Obok była koperta z testamentem, w którym cały domek przekazywała dzieciom, Bożenie i Józefowi Gozdawa-Najdarowskiemu.

Z pogrzebem Bożena miała kłopot. Długo musiała przekonywać lekarza, żeby w akcie zgonu zamiast samobójstwa (luminal) podał zawał serca. Pochowała Teresę razem z Bronisławem, uzupełniając na kamieniu mogiłnym brakującą datę zgonu – drugi listopada 1939 roku.

Przeniosła się na Bielany i czekała. Życie znaczyło czekać. Dopiero przed Bożym Narodzeniem w nocy przyszedł Ziułek, wymizerowany, w przebraniu kolejarza.

Miał co opowiadać. Na początku wojny, kiedy nasze wojska cofały się, wielkopolska brygada kawalerii generała Abrahama wtargnęła w głąb Niemiec i zrobiła rajd do Wschowej, potem zawróciła i zaczęła przedzierać się do swoich. Ziutek dowodził szwadronem w zastępstwie swego zabitego rotmistrza. Brał udział w bitwie pod Kutnem, wyszedł cało, ale pod Sochaczewem został ciężko ranny, leżał w szpitalu, przewieziony do zajętego przez Niemców Poznania, uciekł z transportu i przemykał się do domu. „Wojna się nie skończyła, oświadczył Bożenie, my dopiero zaczynamy!” Po kilku dniach odszedł. Tak samo nagle potem zjawiał się i znikał, oddany bez reszty walce podziemnej, raz był przed przerzutem do Anglii, skąd wrócił awansowany na rotmistrza. Zginął w Powstaniu Warszawskim 25 sierpnia 1944 roku.

Dopiero w 1945 roku wdowa odnalazła miejsce pochowania i przeniosła zwłoki męża do grobowca rodzinnego:

Józef Gozdawa-Najdarowski, rotmistrz WP, ur. 26 IX 1913 r. w Starych Czumach na Syberii –

uczestnik kampanii wrześniowej, poległ w Powstaniu Warszawskim 25 VIII 1944 r.

Wdowa mieszka razem z przyjaciółką. W domku mieści się spółdzielnia pracy „Zaradność”. Zatrudnia około dwudziestu kobiet. Szyją na zamówienie swetry i dzempery, słyną z dobrej roboty.

Grób Najdarowskich na Powązkach zwraca na siebie

ogólną uwagę. Zawsze zadbane i zawsze jak rok cały w kwiatach. Piękny, podobny do palmy, jawor u wezłowania, a przed nim oryginalna, w kształcie siodełka ławeczka. Co niedziela przychodzi do tego grobu starsza pani. Wybiegają jej na spotkanie zwinne baśki, ma dla nich orzeszki i dobre słowa. Żyje, opiekuje się zmarłymi...

1981-1983, Warszawa-Mazury

To dziesiąta moja książka i chyba ostatnia. Tak mi się zdaje, że ostatnia. Oddaję ją do druku, żegnając jak przyjaciela, co pomógł przeżyć trudny okres, nie bez dojmującego uczucia pustki – jakże teraz bez „Wzgórza Błękitnego Snu”?

Skończyłem „Za Opiwardą, za siódmą rzeką” i nie zamierzałem więcej pisać. Tym tomem opowieści z czterdziestu lat moich wędrówek kajakowych chciałem godnie pożegnać czytelnika, bo tam dużo przygody i dużo przyrody, poza tym w tych wszystkich zasłyszanych, widzianych, przeżytych historiach przeglądają się jak w lustrze mijanej wody krajobrazy różnej Polski.

Ale nazajutrz po Zaduszkach tejże jesieni, pamiętnej jesieni 1981 roku, znalazłem się na Powązkach. Cmentarz po wczorajszych tłumach z całej Warszawy wyglądał żałośnie,

zdeptany, schodzony, cały w więdnących kwiatach, w ogarkach, folii, papierach. Chodząc po kwaterze Sybiraków, czytałem na gładkim marmurze imiona i nazwiska tych, którzy doczekali się Niepodległości i zostali pochowani w rodzimej ziemi, i tych na blaszanych klepsydrach przy murze, co zostali za Uralem. Tytu ich było, że ta jedna kwatery zaspokoiliby dumę każdego narodu. Zostawili po sobie sporo pamiętników i wspomnień i nikły ślad w literaturze, nie przypominam sobie żadnego nazwiska poza Sieroszewskim. A mieli co pisać, skazani na życie w tak odmiennych warunkach Syberia, myślałem, kraj od dawna przeklęty, napiętnowany katorgą i zesłaniami, i zarazem najbogatszy kraj świata, gdzie wszystko jest możliwe...

Myśl wypełnienia tej luki – napisania powieści z życia zesłańców na Syberii – nie opuszczała mnie i po powrocie do domu. Niepokój z mgławicą namolnych obrazów wzrastał się i zmuszał do skreślenia zdania, paru zdań, z tych, co zostaną w powieści, nie wiadomo jeszcze gdzie i kiedy.

Zacząłem pisać. Wbrew dotychczasowej praktyce pisałem pierwszy rozdział nie wiedząc, co będzie w drugim ani czym to się skończy.

Wokoło mnie wybuchały jak szrapnele wydarzenia osypując się głośnym echem po całym kraju. Namiętności, nadzieje, złudzenia ogarniały wszystkich, a ja byłem sam z minionym moim czasem, za stary na to, by wmieszać się w tłum, coś poradzić lub zaradzić... Rad byłem, że mogę żyć w zmyślonym moim świecie, mogę dalej pisać, podsuwając

pani Beacie coraz to nowe karteczki z pytaniami: którego października zaczyna się na Syberii sezon łowiecki i do kiedy trwa? – zabójstwo premiera Stołypina, wszystkie domysły i domniemania prasy na temat, kto zabił? – ile myśliwemu na Syberii płacono w 1911 roku za lisa rudego? srebrnego? czarnego? – dokładny obraz życia wsi syberyjskiej przed wojną? – sposoby wydobywania złota? – jak w gwarze katorżników rosyjskich nazywa się rubel, kobieta i niebezpieczeństwo? – w którym roku angielska firma Richardsona zaczęła produkować dubeltówkę typu „Paradoks”? – i tak dalej, temu podobne realia, bo wyobraźnia tworzy powieść, a wiedza buduje ją z takich oto cegiełek.

Zawsze miałem amatorskie podejście do pisania, zrywami, kiedy się chciało. Między jedną a drugą książką powstawały u mnie niekiedy przerwy paru lat, wypełnione różnymi, sposobami marnowania czasu, w czym prym wiodły trzy moje hobby – stolarka, kajakarstwo i myślistwo. Za to gdy poczułem wolę bożą, to rzucałem się w odmęty nowego tematu, nic nie istniało poza nim i zawsze czułem się znowu debiutantem. Ale nigdy dotąd nie zdarzyło mi się pracować tak długo i w takim natężeniu, żeby w trzy i pół roku skończyć dwie rzeczy – „Za Opiwardą, za siódmą rzeką” i „Wzgórze Błękitnego Snu” – razem około pięćdziesięciu arkuszy druku. Widocznie prawdą jest, że każda świeca rozjarza się pod koniec, nim zgaśnie.

Dziesięć książek... To niewiele jak na osiemdziesiąt lat.

I tym dziwniejsze, że pisałem od dawna, zawsze, a debiut miałem właściwie po czterdziestce. Pamiętam u dziadka w Białowieży, w księżycowy wieczór wczesnej jesieni, gdy las tchnął już winnym zapachem tlenu i z głębi puszczy dochodziły wzbierające porykiwania stęsknionych byków, wymknął mi się pierwszy wierszyk i poparzył duszę, aż się rozpląkałem, a nie byłem rzecznym chłopcem, nie pamiętam, żebym kiedykolwiek płakał w dzieciństwie. Od tego czasu zacząłem pisywać, raz wierszyk, to znów historyjka, w późniejszych latach bazgrałem całe bruliony, wciąż kryjąc się z tym moim intymnym zajęciem i bez myśli o celu, właściwie po to, żeby wywołać TO. Wielkimi literami T i O szyfrowałem w sekretnej mojej mowie ten nienormalny stan jak błogi rausz, dający dziwny, dobry smutek i lekkość niby snu, tego snu, kiedy się lata wysoko nad ziemią, a ciała nie ma, może mnie w ogóle nie ma, a może jestem we wszystkich dokoła. A że podobne odświeżające uczucie rzadko nawiedza przy pisaniu, pisanie to cholernie żmudna praca, wymagająca hartu i dużej ambicji, której mi brak, toteż niewiele napisałem i dlatego między innymi tak późno przeszedłem z amatorstwa do warsztatu, do zawodu pisarza.

No i jeszcze życiorys. Mam go. Pomaga, czasem przeszkadza i utrudnia. Gdybym skończył Korpus Kadetów im. A. Suworowa w Warszawie, jak pragnęli rodzice, tobym trafił prosto do Białej Gwardii, a tak, wolny od obciążeń środowiska oficerskiego, poszedłem w rewolucję i trzy lata, do dziewiętnastego roku życia, byłem w Komsomole, który

bynajmniej nie zajmował się przysposobieniem do zawodu pisarskiego na wzór naszych Kół Młodych Literatów, lecz przysposabiał do rewolucji światowej – *my na gorie wsiem burżujam mirowoj pożar rozdujem!* – o niczym innym nie myśleliśmy wtedy (przygody, pragnienia, nadzieje i złudzenia tego czasu oddałem w powieści autobiograficznej „*Zostało z uczty bogów*”). A potem na polskim brzegu, gdy w przydługich spodniach wuja, z pięciozłotówką w kieszeni przybyłem na podbój miasta stołecznego Warszawy, to jak tu myśleć o literaturze o głodnym pysku. Fortuna toczyła się kołem, raz na wozie, raz pod wozem. Bezrobocie, szukanie pracy, głód. Poszcęściło się – zostałem stenografem, nawet szefem biura Esperto wraz ze wszystkimi jego stenografami, maszynistkami i inkasem w mojej osobie (jak grasowałem po Warszawie udając całe biuro – w „*Żywym więzaniu*”).

Dobrze mi się wiodło. Na zjazdach, posiedzeniach sądowych, zebraniach i odczytach poznawałem życie kraju. Wtem zamach majowy, przewrót Piłsudskiego i cisza wyczekiwania, co teraz będzie? A cisza dla stenografa to *mortus*. Skończyło się tym, że nie mając zarobków, zgarnąłem do teki pod pachę moje *mabilia* i po kryjomu wymknąłem się z mieszkania, by dozorca nie widział.

Sześć tygodni byłem bezdomnym. Nocowałem pod mostem Kierbedzia, na Krakowskim Przedmieściu na skwerku niedaleko Związku Literatów, gdzie Polska na pomniku ronila łzy wdzięczności dla Stanów Zjednoczonych, w Małpim Gaju, ale najchętniej w krzakach bzu na wprost

elektrowni na Powiślu. W te noce poznałem i pokochałem Warszawę, stała się moim miastem i ja byłem jej.

Pod koniec września znalazłem lekcję stenografii i sublokatorski pokój, w samą porę, bo noce stawały się coraz zimniejsze. A że szczęście chodzi parami, poznałem wkrótce Korczaka, zostałem jego sekretarzem, zacząłem pracować w jego internatach jako wychowawca-instruktor robót ręcznych, w końcu przekazał mi dalsze redagowanie „Małego Przeglądu”, pisma dzieci i młodzieży, które założył w 1926 roku.

Tu właśnie byłby czas na debiut. Bo później nastaly lata nienormalne, lata wojny i okupacji – przez rok pracowałem jako szklarz, potem zostałem stolarzem, następnie więźniem Majdanka, Oświęcimia, Oranienburga i Belsen-Bergen. Ale wtedy gdy redagowałem „Mały Przegląd”, w ciągu tych ośmiu stabilnych lat, i później, w 1945 roku, gdy wróciłem do kraju i budowałem instytut kultury materialnej Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, mogłem, rzeczywiście zadebiutować jakąś książką i wcześniej przejść z amatorstwa na zawodowe uprawianie literatury. Ale ja się wyżywałem w pracy, o której wyobrażałem sobie bógwieco i w której zapamiętywałem się zupełnie jak na pysznej zabawie.

Spóźniony odwet dzieciństwa. Ja w dzieciństwie niczym się nie bawiłem. Wszystko brałem serio. Dotknięty byłem pragnieniem autentyczności – pasjonat, mawiał dziadek... Łuk powinien być zrobiony z prażonej buczyny według przepisów

z wieków średnich i bić na sto kroków... Pamiętam, jak wiele dni kopaliśmy z Bolkiem, synem stangreta, rów odpływowy ze stawu, żeby spuścić wodę; to była ciężka praca, ponad siły ośmioletnich chłopców, po to, żeby zobaczyć złote karpie, które babcia kiedyś ponoć zapuściła, a których nikt nigdy nie widział... Cały miesiąc budowałem z kolegami fortecę w Jabłonie, gdzie stacjonował nasz pułk, miała fosę pełną wody i wał na wysokość dziewięciolatka, a między wałem i fosą my ćwiczyliśmy musztrę – feldfobel przychodził z rekrutami i pokazywał im, ucicie się od nich, patrzcie na nich!

Z takim samym zapałem i poczuciem wielkiej sprawy redagowałem potem „Mały Przegląd”. Uczyłem młodzież żydowską pisać po polsku na łamach ich wolnej trybuny, obcy między nimi, jednak czułem, że mi ufają i lubią, a to była duża gromada, tysiące korespondentów, dziesiątki kół współpracowników w różnych miastach i miasteczkach, które odwiedzałem, konkursy literackie, rysunkowe, zawody sportowe i szachowe, obozy letnie w górach i spływy kajakowe, to wszystko tętniło życiem i wydawało mi się czymś niebywałym, eksperymentem w dziejach młodej prasy.

A potem zaraz po wojnie, po obozach, trzy lata w RTPD na gołym terenie w cieniu Dworca Gdańskiego – to było też nowe, niebywałe, eksperymentalne! Teren byłego podręcznego obozu hitlerowskiego ogrodzić siłami jeńców niemieckich, stawiać baraki i halę maszyn, wyszukiwać, kompletować na Ziemiach Odzyskanych tabor maszynowy,

zwozić do Warszawy, budować tu warsztaty mechaniczne, fabrykę stolarską, modelarnię zabawek i pracownię konfekcji dziecięcej, i produkować, bo nic nie było, przede wszystkim produkować – czy temu wszystkiemu podołam, czy potrafię? Potrafiłem, zbudowałem, dostałem Złoty Krzyż Zasługi i o mało nie dostałem po krzyżu za lekceważenie przepisów prawa, darowano mi ze względu na wyniki i nienaganną przeszłość. Ale ja się obraziłem, nie chciałem więcej zajmować się produkcją – pisałem dla Polskiego Radia „Chłopca z Salskich Stepów”, z audycji powstała książka i zrobił się debiut.

Był rok 1948, miałem 45 lat, wiek, w którym pisarz normalnie zaczyna już spoczywać na pierwszych listkach bobkowych, zwanych wawrzynem.

Prześlądam owe dziesięć książek i widzę, że każda jest nowa, w żadnej nie poruszam na powtórkę tematu poprzedniej – to znów z życiorysu, tylko nieznane i ryzykowne mnie pociągało, nęcił temat trudny, nigdy przeze mnie nie penetrowany.

I żeby z tym skończyć, pisarze z grubsza dzielą się na dwa odłamy – z życiorysem i bez. Jedni chłoną życie, najpierw żyją, potem piszą, jak Dickens, Blaise Cendrars i London. Drudzy przede wszystkim piszą i tym żyją, jak Proust czy Sartre. W zestawieniu tym nie ma nic z wartościowania, tu i tam można znaleźć świetnych pisarzy, tylko barwa i tętno prozy będzie inne.

Pozostaje mi spełnić miły obowiązek i podziękować

moim cichym wspólnikom.

Dziękuję najserdeczniej mojej sekretarce, pani Beacie Pogorzelskiej, za żmudę wyszukiwania w bibliotekach i starych czasopismach potrzebnych informacji, a pani Halinie Wojciechowskiej za umożliwienie mi opublikowania drukiem pamiętników jej dziadka, Narcyza Wojciechowskiego, powstańca 1863 roku. Profesorowi Ludwikowi Bazyłowowi jestem wdzięczny za przyjemność przeczytania jego pracy pt.: „Ostatnie lata caratu”, które to dzieło uważam za najlepsze w tym przedmiocie – pod jego wpływem skreśliłem obraz niedoszłego zamachu na Stołypina w Udińskim w guberni jeniisejskiej. Pani Jadwidze Biernackiej, panu Michałowi Klingerowi serdecznie dziękuję za konsultacje i rozmowy.